

1853.

24

WALERY ŁOZIŃSKI

ZAKŁĘTY DWÓR

OPRACOWAŁ

DR. ADAM BAR



1853.

<https://rcin.org.pl>

KRAKÓW

NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ



I- 2925

KRAKÓW — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

<https://necin.org.pl>

WSTĘP

Powieść polska w Galicji przed rokiem 1860. Niepomyślne były warunki rozwoju literatury polskiej w Galicji w pierwszej połowie XIX wieku. Rząd austriacki bardzo podejrzliwie patrzył na wszelkie objawy życia umysłowego, śmielszym poczynaniom stawiał wprost nieprzezwyciężalne przeszkody, tłumił rozwój dziennikarstwa, zamykał stowarzyszenia o celach kulturalno-patrjotycznych, młodzież wysyłał do więzienia. To też i powieść polska musiała się chyłkiem przemykać i kryć pod osłoną niedomówień, nie mogła przeto spełniać tej roli, jaką np. w Królestwie Polskiem odgrywała powieść Kraszewskiego. Stąd słaby jej rozwój. Jeżeli wymienimy Kaczkowskiego, Dzierzkowskiego i Zacharjasiewicza (bo pominąć należy pisarzy, którzy już wówczas nie posiadali rozgłosu), będziemy mieli niemal wszystko, co o niej powiedzieć można. Ale nie jest to mało. Szczególnie w Kaczkowskim i Dzierzkowskim odnajdujemy dwa charakterystyczne dla ówczesnych stosunków typy utworów. W pierwszym spotykamy reprezentanta powieści w rodzaju starszslacheckim, w drugim — utworów o tle obyczajowym, niewolnych od dygresyj satyrycznych.

Kaczkowski zaczął od drobnych powiastek w okresie, w którym Pol był u szczytu sławy, a Rzewuski wprawdzie nie lubiany, ale dla wysokiej artystycznej wartości swoich powieści skwapliwie i chętnie czytany. Interesowano się również *Obrazami Chodźki*. Na tej samej drodze starszslachetczyzny wszedł Kaczkowski, przynosząc ze sobą wielką

znajomość czasu, miejscowych tradycji i anegdot zabawnych a charakterystycznych. Pisał żywo, z pewną fantazją kawalerską, nie liczącą się z przeszkodami, miał dokładną znajomość podgórz karpackiego, z którego czerpał swoje typy, a przez to ludzi, których wprowadzał do powieści, rozumiał doskonale. Prócz tego posiadał styl płynny i charakterystyczny, dialog lekki i swobodny. To też pierwsze jego powiastki obudziły słuszne zainteresowanie, a *Murdeljo* został przyjęty z niesłychanemi pochwałami.

Dz i e r z k o w s k i e g o powieść ma charakter tendencyjno-obyczajowy. Już w pierwszym jego utworze pt. *Placz i śmiech* tkwią w zarodku późniejsze tematy: zepsucie wielkiego świata, znikczemnienie młodzieży, próżniactwo warstwy szlacheckiej itd. W opracowaniu widać zamiłowanie do kontrastów, spleatanie motywów poetycznych z chłodną rozważą, barwność często zbyt jaskrawą. W późniejszych powieściach te same cechy: szlachta występuje w najczarniejszych barwach, zato rzemieślnikowi, wieśniakowi i szlachcicowi chodackowemu nie szczędzi autor jasných światel; to samo swobodne poruszanie się w treści i charakterach; to samo bogactwo wyobraźni i łatwość dialogu. Po rewolucji marcowej r. 1848, gdy wyłoniły się przeciwnieństwa między zachowawczym programem szlachty a postępowym stronnictwa demokratycznego, Dzierzkowski stał się rzecznikiem interesów demokratycznych i rozpoczął atak na przeciwników wszelkiemi środkami: wojował kwiecistą wymową, odwołującą się do najświętszych wspomnień i uczuć, szyderstwem, okrzykami poezji i pogardy, a wszystko to wypisywał w *Gazecie narodowej* lub w broszurkach umyślnie wydawanych. Po kampanji węgierskiej, w której wziął czynny udział, wrócił do Lwowa, i teraz, jakkolwiek nie zaparł się swoich poglądów, wypowiadał je w powieściach z większym spokojem, mniej jaskrawo. Bez wątpienia był to talent niemały, odznaczający się doskonałą obserwacją i znajomością warstw społecznych, lubo artysta średniej miary, niedbający o opracowanie swoich utworów. Powieści jego cechuje przede-

wszystkiem charakter publicystyczny, a więc miały raczej wartość współczesną; dziś są tylko dokumentem czasu.

Wprost odmiennego pokroju był talent Zacharjasiewicza. O ile Dzierzkowski jest więcej męski, silny, niekiedy nawet brutalny, ponad wszystko realista, czerpiący tematy do powieści z obserwacji i zdarzeń codziennego życia, w Zacharjasiewiczu tkwią cechy raczej miękkości, chwyta delikatne rysy społeczeństwa, a charaktery ostre i twarde nie odpowiadają zakresowi jego upodobań. Nie unosi się, rzadko wpada w zachwyt, jest spokojny, nawet chłodny. O fabułę kunsztowną i interesującą nie dba, na wszystko patrzy bardziej ze stanowiska filozofa, stara się nawet o podkreślenie psychologicznej głębi postaci swoich utworów.

Na tych trzech przedstawicielach powieści polskiej w Galicji zamyka się właściwie jej historia. Jest jeszcze kilku pisarzy, których utwory mają jednak raczej znajomość współczesnych obrazków społeczno-obyczajowych. Wspomnieć tu należy przede wszystkim Leszka Borkowskiego, który, zaniechawszy poezji, przerzucił się do prozy satyrycznej, wyśmiewając warstwę arystokratyczną, jakkolwiek sam z niej pochodził. Głośną między rokiem 1843 a 1850 była jego *Parafianiszczyzna*, właściwie nie powieść, ale w ścisłym tego słowa znaczeniu satyra społeczna, początkowo spokojna, w drugim tomie gwałtowna i piorunująca. Humorystą na miarę niemal Augusta Wilkońskiego był Szczęsny Morawski, niegdyś bardzo poczytny pisarz, którego znowu utwory odznaczają się rodzimym i naturalnym dowcipem, jakkolwiek widać w nich wiele chropowatości stylu oraz braku swobody w wyrażeniach i kompozycji. Jeżeli wymienimy jeszcze Łobeskiego, Dobrzańskiego i Wł. Zawadzkiego, którzy zresztą nie odgrywali w naszej beletrystyce znaczniejszej roli, znajdziemy już tylko kilka piór i to trzecio, a nawet czwartorzędnego znaczenia.

Naogół powieść nasza w Galicji w pierwszej połowie XIX w. miała charakter w przeważnej części społeczno-

obyczajowy, nie chodzi więc tyle o jej artystyczny poziom, ile o aktualność treści i przedstawienia. Z powodu ograniczenia wolności wypowiedzania myśli w prasie, uciekano się do utworów lekkiej treści, w których powstawała możliwość swobodnego poruszania się w poglądach i zapamiętywaniach, jakkolwiek i tutaj oko cenzury było niemniej baczne, a ołówek panem wszechmogącym. Przez ten swój charakter współczesności powieść ta po chwilowych przeblaskach gasła i znikwała w pyłach bibliotecznych, poto, aby ją stamtąd wydobył chyba jaki specjalista, którego interesowało współczesne życie, bo wśród szerszej publiczności nie mogła ona później wzbudzić zainteresowania. Dlatego dziś, jeżeli się czyta, to chyba tylko Kaczkowskiego; Dzierzkowskiego ironicznie nazwał Tarnowski (*Historja literatury*, VI, str. 207) «pewnym starym Dzierzkowskim» i to wszystko, co jedynie «dla pedantycznej ścisłości» miał o nim do powiedzenia; mało kto przeczyta bodaj jedną powieść Zacharjasiewicza, a cóż dopiero mówić o innych; Cieszewski, Pomezańska, Goczałkowska, Szedler, Szukiewicz, Pietruski albo Czernicki, Mączyński, Mann, Powidaj itp. nawet z nazwiska dziś nie są znani.

Większej sławy doczekał się jednak młody, bo ledwie 23 lat liczący powieściopisarz, Walery Łoziński. Mało wprawdzie o nim pisano, tak, że nawet o życiu jego skąpe, poza materiałem rękopiśmiennym, posiadamy wiadomości, ale wielu starszych dobrze sobie przypomina, jak pod ławą szkolną czytano *Zakłęty Dwór*, albo *Czarnego Matwija*, jak żywo interesowano się maziarem, a szczególnie Katyliną, jak z zapartym oddechem obserwowano rozwój spisku, który srebrną nicią przesuwają się przez najlepszy utwór młodego powieściopisarza. Łoziński umie chwycić za serce, umie poruszyć strunę patriotyczną naszej duszy, to znów niekiedy rozbawia i uweseli, niekiedy poważnie zmarszczy czoło i szepce do ucha słowa, które budzą w naszych myślach jakieś uczucie entuzjazmu. I dlatego, choć nawet taki Lam, pod wielu względami jego naśladowca,

przeszedł swój okres świetności, on wśród późniejszego rozwoju powieści polskiej pozostał na swoim stanowisku.

O życiu i twórczości autora «Zakłętego dworu».¹ Walerj Łoziński pochodził z ubogiej, szlacheckiej rodziny. Domku pana pocztmistrza ze Smolnicy, małej wsi, położonej w pięknej naddniestrzańskiej okolicy przy gościńcu prowadzącym do Sambora, nie opuszczały troski materialne, to też o synów (było ich trzech) niewiele dbano, jakkolwiek nie szczędzono trudu i nakładu na ich wychowanie. Nie dziw więc, że Łoziński wcześniej musiał myśleć o zabezpieczeniu swojej przyszłości. Temperament żywy, gorący, umysł szeroki i wiecznie jakimiś planami zaprzątnięty, nie pozwalał mu zrazić się żadnymi trudnościami i przeszkodami, wobec których stawał z wysoko podniesioną głową, mając to mocne przekonanie, że każdy kamień na drodze życia spotkany usunąć należy i usunąć się musi. Kamieni tych nie brak było w jego krótkim życiu; to też słusznie Karol Estreicher w swoich *Zapiskach* powiedział, że jest ono «godnem powieści lub tragedji».

Łoziński urodził się w Mikołajowie (w powiecie stryjskim) dnia 15 stycznia 1837 r. Gdy miał sześć lat, oddano go do t. zw. *Hauptschule* w Drohobyczu. Po dwóch latach wstępnej nauki, chlubnie w katalogach szkolnych zanotowanej, zapisano Łozińskiego do klasy gramatycznej gimnazjum we Lwowie, w którym odznaczał się szczególną pilnością w arytmetyce. W r. 1849 oddano go do trzeciej klasy gimnazjum w Samborze. Stosunki, panujące tutaj, były niesłychanie opłakane. Do nastrojów, które stwarzał rząd ówczesny, przyłączały się jeszcze walki narodowościowe, wówczas już silnie w Galicji wschodniej rozognione. Trzeba bowiem pamiętać, że jest to okres rzą-

¹ Materiał drukowany, do poznania życia i twórczości Łozińskiego, ogranicza się ledwie do kilku artykułów, niestety nie rzadko fałszywych i nieścisłych; dlatego niniejszą biografię opieramy na rękopisach, przede wszystkim na papierach rodzinnych, oraz zapiskach Karola Estreichera.

dów Bacha, podczas których środkiem władzy był przede wszystkim system policyjny. Wszędzie krążyli konfidentci. W Galicji sytuacja była tem bardziej palącą, że rząd celowo starał się rozdmuchać antagonizm polsko-ruski. Te chorobliwe stosunki miały jak najgorszy wpływ na szkolnictwo. W gimnazjach jako język wykładowy wprowadzono ruski, polski zaś był tylko nadobowiązkowym. Rozporządzenie gubernatora Wacława Zaleskiego z r. 1849, wprowadzające częściowo w gimnazjach język polski, wywołało protest Rady ruskiej, która w adresie do cesarza prosiła o zatrzymanie języka niemieckiego; ruskiego nie domagano się, ponieważ, jak wyraźnie w adresie Rada zaznaczyła: «język ruski w obecnym czasie nie jest jeszcze tak rozwinięty, aby mógł być językiem wykładowym». Stadion, nowy gubernator w Galicji, otrzymawszy protest Rady, cofnął rozporządzenie Zaleskiego, zgodził się czekać na wykształcenie języka ruskiego, i stworzył ruską radę szkolną krajową. Sytuacja pod tym względem szczególnie była napiętą w gimnazjum samborskiem, do którego uczęszczali przeważnie synowie wieśniaków, niższych funkcjonariuszy państwowych, oraz księży ruskich, przy czem już około r. 1855 Rusini stanowili większość. Nadto wśród uczniów gimnazjalnych prowadzono energicznie propagandę patryjotyzmu austriackiego, czem gorliwie zajmowali się Rusini.

Stan nauki w gimnazjum samborskiem był bardzo niski, tak, że podczas pobytu i wizytacji szkoły przez arcyks. Karola Ludwika i Gołuchowskiego, przychodziło do scen, dla profesorów bardzo kompromitujących. Uczono oczywiście po niemiecku. To też Łoziński braki, które powstawały wskutek wadliwego sposobu nauczania i niezdrowych stosunków (popierano tylko uczniów lojalnie usposobionych dla rządu), dopełniał prywatną lekturą, chaotyczną i bezplanową, ponieważ nie miał przewodnika, któryby nim pokierował. Czytał przeważnie romanse sensacyjne, w rodzaju *Tajemnic Londynu*, albo też powieści Dumasa i Sue'go, które dla swej awanturniczości i nie-

jednokrotnie kryminalnej zaprawy znalazły w nim gorliwego zwolennika. Walki narodowościowe, które rozwinęły się dość bujnie w gimnazjum samborskiem, przyczyniły się do zacieśnienia związków przyjaźni między uczniami Polakami. Łoziński, zaliczany do najlepszych uczniów (szczególnie w historii i języku polskim szybko wybił się na czoło), był przez współkolegów bardzo lubiany, a po pierwszych swoich wystęпах literackich uważany wprost za geniusza. Już w r. 1853 rozpoczyna druk pierwszych swoich «utworów». Tak nazywali przyjaciele Łozińskiego krótkie ustępy p. t. *Tutti frutti i Szpargaly Wartogłowa*, rodzaj dowcipów zamieszczanych dziś w piśmiech humorystycznych, a które młody uczeń gimnazjum samborskiego drukował w brukowym piśmie lwowskim *Telegraf* (z r. 1853, Nr. 221, 224, 255). Te próbki literackie Łozińskiego tak podobały się redaktorowi *Telegrafu* Goczalkowskiemu, że zaproponował mu stałe współpracownictwo w czasopiśmie. Ponieważ jednak koledzy tłumaczyli, że marnuje się w piśmie brukowym, przeto propozycję odrzucił i, znowu za radą przyjaciół, wziął się do pracy nad większym utworem. Z rękopiśmiennej korespondencji kolegów Łozińskiego dowiadujemy się, że w *Szpargalach* (tytuł *Tutti frutti* wywołał protest przyjaciół) młody, wówczas lat 15 liczący pisarz, znany w szkole z ciętego dowcipu, ilustrował skandaliki, które zdarzały się w gimnazjum samborskiem, czego jednak dziś trudno już się dopatrzyć. Ale to nie wszystko. Przecież te humorystyczne ulotki, jakkolwiek nawet drukowane, nie byłyby wzbudziły tak wielkiego entuzjazmu kolegów Łozińskiego, zwłaszcza że w młodych głowach spotykamy już wówczas dość wiele krytycyzmu. Łoziński znany był wśród przyjaciół i ceniony jako poeta. Wiemy, że już w r. 1853 w czasopiśmie *Gartenlaube* umieścił jakiś wierszyk po niemiecku, w papierach zaś, po nim pozostałych, znajdujemy pięć wierszy niemieckich (*Juenglingsleben, Herbstmelancholie, Der Kosak, Gnom, Die Gefangenen*), w których znalazły swój wyraz wzloty i marzenia, upadki i smutki

młodego, silnie na nutę romantyczną nastrojonego chłopca. Z wierszy polskich jeden był drukowany w *Przyjacielu domowym* (1853), jest to polski tekst wiersza *Juenglingsleben*, a utwór *Do początkującego poety* (w rękopisie) jest znowu tłumaczeniem *An einen Dichterling-Gnom*. W papierach rodzinnych znajdujemy wreszcie wiersz, zaczynający się od słów «Świat się chełpi, że uczony», będący jednak już przejściem od poezji do prozy, a zarazem świadectwem, że okres prób, wahań i szukania drogi minął, i Łoziński wreszcie począł wchodzić na właściwy sobie teren. Wiersz ten, pozbawiony wszelkich znamion artystycznych, był zarazem ostatnim śpiewem młodego poety. W tym bowiem czasie Łoziński począł pisać pierwszą swoją powieść.

Najwcześniejsze o niej wiadomości znajdujemy w liście kolegi jego Haisiga, który czuł się dumny, że Łoziński oddał mu *Kamień w Spasie* (taki jest tytuł utworu) do przepisywania. Powieść pisana była na konkurs, ogłoszony przez lwowskie czasopismo *Nowiny*. Z końcem roku 1853 już gotową oddał za pośrednictwem Antoniego Sozańskiego, który Łozińskim się opiekował i udzielał mu szeregu wskazówek, do redakcji *Nowin*. Mimo, że spodziewał się pierwszej nagrody, *Kamień w Spasie* został odrzucony. Ten pierwszy zawód w karierze literackiej nie zdołał go jednak złamać. Wprawdzie nie dał początkowo za wygraną i wszedł z księgarzem Manieckim w układy o druk powieści, gdy jednak i te usiłowania, zrazu pomyslnie, nie dały wyniku, przestał o niej myśleć. Wskutek tego ten pierwszy utwór Łozińskiego pozostał w rękopisie. Na *Kamieniu w Spasie* łatwo odkryć wpływy sensacyjnych powieści w rodzaju Sue'go i Dumas'a. Skłonność do awanturniczych przygód, wyolbrzymianych w wyobraźni młodego chłopca do rozmiarów fantastycznych, rzuca się w oczy; opisów, poza małemi wyjątkami, brak; charakterystyki niedostatecznie ujęte; styl przesadny, pełen emfazy, metafor, łzawy i roztkliwiony, albo też zasypany wprost silnemi wyrażeniami grozy i przerażenia. Jej autor powinien

być zadowolony, że powieść ta nie ujrzała światła dziennego.

Kamień w Spasie napisał Łoziński w Smolnicy, podczas przepauzowanego, z powodu poprawki z arytmetyki, roku szkolnego. W listopadzie r. 1854, po złożeniu egzaminu wstępnego, został przyjęty do klasy ósmej, a popierany przez niektórych profesorów (szczególnie Palmariniego, nauczyciela historii), na pierwsze półrocze otrzymał piątą lokację. Na świadectwie tem jednak znalazła się równocześnie notatka, że «wurde wegen seiner irreligiösen Aeusserungen, unziemlicher, das Ansehen der Lehrer herabsetzender Bemerkungen und wegen Unvertraeglichkeit mit seiner Mitschuelern vom Samborer Gymnasium entfernt». Jak się okazuje z notatki, która wkrótce po katastrofie ukazała się w *Nowinach* (1855, nr. 93), uczniowie Rusini wnieśli przeciwko niemu formalną skargę do dyrekcji gimnazjum, oskarżając go «o żywienie i rozkrzewianie zasad niebezpiecznych, o sceptycyzm religijny i autorstwo uszczypliwych epigramatów na osoby kilku nauczycieli». Sprawa nabrała wielkiego rozgłosu tak, że namiestnictwo we Lwowie wysłało umyślną komisję dla przeprowadzenia śledztwa. Epilogiem jej było wydalenie Łozińskiego z gimnazjum. Posiadamy w rękę sprawozdanie z 28 lutego 1855 r. (nr. 1146 pr. i 2077 pr. Rkp. Archiwum namiestnictwa we Lwowie), przysłane do prezydjum namiestnictwa przez Seliga, jednego z członków komisji śledczej, o ostatecznych wynikach przeprowadzonych dochodzeń, z którego okazuje się, że przyczyną relegacji z gimnazjum było jego ironiczne wyrażanie się o obrządku grecko-katolickim wobec kolegów, czytanie dzienników i innych pism politycznych treści zakazanej, które w szkole rozszerzał, i prowadzenie antypaństwowych rozmów politycznych. Nietrudno wytłumaczyć jego stosunek do religii grecko-katolickiej, który wypływał z niechęci do kolegów szkolnych, prowadzących agitację austriacką; do Rusinów umiał odnosić się z przychylnością, jak łatwo przekonać się z *Zakłętego Dworu* i innych jego powieści, ale

tylko do tych, z którymi łączyła go wspólna nienawiść ku wspólnemu wrogowi, t. j. rządowi austrjackiemu.

Właściwą jednak przyczyną relegacji była propaganda patryjotyczna, którą między kolegami prowadził, co potwierdza list Władysława Łozińskiego i *Zapiski Estreichera*. Były to czasy, w których o sprawie polskiej wiele mówiono. Wojna krymska kończyła się klęską Rosji, a nadzieje wzrosły jeszcze bardziej, gdy w marcu 1855 r. zmarł car Mikołaj, na początku zaś 1856 roku Paszkiewicz, a 8 września padł Sebastopol. Wiadomość tę powitano w całej Polsce z radością. O Polsce coraz częściej mówił ks. Orłow, Napoleon III, Walewski i poseł angielski Clarendon. Wieści tych nadsluchiwali uczniowie gimnazjum samborskiego z całą uwagą, a może najwięcej Łoziński, który, jeżeli cieszył się wielką popularnością wśród kolegów (wyrazów tej sympatji nietrudno się dopatrzeć w korespondencji z przyjaciółmi), to nietylko ze względu na talent literacki, ale może przede wszystkim dlatego, że widziano w nim duszę czystą, niezdolną ulec agitacji germanizacyjnej. Podczas pobytu jego w domu, szczególnie w czasie roku przepauzowanego, całe życie uczniów samborskich, węzłami większej lub mniejszej przyjaźni z Łozińskim związanych, ogniskowało się w skromnym domku pana pocztmistrza ze Smolnicy. Wymiana korespondencji między nimi była bardzo żywa, przesyłano sobie książki, czasopisma, udzielano wzajemnych uwag i rad, prowadzono dyskusje, układano plany i snuto marzenia. Wszystkie sprawy obracały się około Łozińskiego, w którym widziano niejako swego duchowego kierownika. Rozgrywające się wypadki silnie wszystkich interesowały. «Pisałbym ci o politycznych nowinach — czytamy w liście Łozińskiego z r. 1854 do Władysława Szymonowicza — lecz ich zapewne znasz, zarówno ze mną wiesz więc, iż Car przywraca pod protekcją syna Królestwo Polskie... Czytałeś zapewne w gazetach, iż Car wysłał agenta do ks. Czar-toryskiego, ofiarując mu tekę ministra prezydenta, jego

zaś partji arystokratyczno-polskiej przewagę w urzędach krajowych... Są to wszystko fakta historyczne — błoga jutrzeńka niedaleko, może się kiedyś aż za Dźwiną zobaczymy — a zatem do szczęśliwego widzenia się!!!». Wobec tych nastrojów agitacja germanofilska, szerzona przez kolegów Rusinów, musiała go wreszcie pchnąć do przeciwstawienia się ich usiłowaniom. Czy założył jaki związek, mający na celu paraliżowanie tej agitacji, nie wiadomo, to tylko przypuszczać należy, że Rusini dokładali starań, aby usunąć niewygodnego ucznia. W tym celu wniesiono przeciwko niemu wspomnianą skargę. Ministerstwo potwierdziło decyzję w tej sprawie namiestnictwa, usuwając go ze wszystkich gimnazjów w Austrii.

Wypadek ten stwarzał dla młodego literata sytuację ciężką, ale nie bez wyjścia. Nie chcąc być rodzicom ciężarem, wyjechał do Lwowa, niezrażony pierwszym dramatem swego życia i ufny w swe siły. We Lwowie mieszkał Karol Szajnocha, jego bliski krewny, bardzo poważany jako historyk i jako człowiek. Zajął się nim gorliwie i umieścił go w redakcji *Gazety lwowskiej*, oraz wystarał się o współpracownictwo przy wydawnictwie *Biblioteki polskiej* Turowskiego. Te pierwsze pomyślnie kroki otworzyły Łozińskiemu drogę do dalszej pracy. Wkrótce zyskał sobie opinię młodzieńca nadzwyczajnych zdolności, zwłaszcza gdy rozpoczął w *Dzienniku literackim* (1857) druk *Szlachcica chodackowego*. W powieści tej poruszył temat dotychczas w beletrystyce naszej nieznany. Wpływ, jaki wówczas wśród młodzieży galicyjskiej wywierały poezje Mickiewicza, zadecydował o wyborze treści. Łoziński do *Szlachcica chodackowego* przeniósł «Radę» z *Pana Tadeusza*, oraz szereg innych motywów. Powieść przyjęto bardzo przychylnie. Prawdopodobnie najmniej zadowolony był z niej sam autor, bo wkrótce (1858) podejmuje ten sam temat po raz drugi w *Szaraczku i karmazynie*, który miał być przeciwstawieniem albo uzupełnieniem utworu pierwszego (jak wskazuje pierwotny tytuł: *Szlachcic karmazynowy*); reminiscencje z *Pana Tadeusza* są daleko

silniejsze (zaścianek, dwa zwaśnione obozy, bitwa, zgoda wobec niebezpieczeństwa itd.). Wykonanie jest udatniejsze, akcja przeprowadzona bardziej planowo, opracowanie staranne. Fabuła w zasadzie tak w pierwszej, jak i drugiej powieści nie posiada większego znaczenia, szkic obyczajowy wysuwa się na pierwszy plan.

Równocześnie zajął się Łoziński komedią. Pierwszą jego sztuką miał być *Grajek*, o którym, poza krótką wzmianką, podaną w liście do rodziców, nic nie wiemy. Dlatego też za pierwszą komedię Łozińskiego należy uważać *Verbum nobile*, odegrane w teatrze skarbkowskim 21 marca 1858 r. Jest to raczej komedia charakteru, w której znać silny wpływ *Zabobonnika* Zabłockiego. Mimo wad (farsowe znamię fabuły, niezawsze udatne wykonanie itd.), na które zresztą już współcześnie zwrócono uwagę, sztuka zyskała przychylne przyjęcie tak przez publiczność, jak i oficjalną krytykę. Po komedji p. t. *Niebezpieczny człowiek*, pozbawionej wszelkiej wartości artystycznej, rozpoczął pisać nową sztukę, opartą na wzorach staroszlacheckich (akcja prawdopodobnie rozgrywała się za czasów Stanisława Augusta), z której jednak wykończył tylko cztery sceny z aktu pierwszego (zachowała się w rękopisie jedynie scena czwarta).

Tymczasem w r. 1857 rozpoczęły się w dziennikarstwie lwowskim ostre spory, które następnie przeniosły się do redakcji *Dziennika literackiego* i pociągnęły secesję dwóch najzdolniejszych jej współpracowników, a mianowicie Zacharjasiewicza i Dzierzkowskiego. Po wybuchu walki z *Dziennikiem literackim*, a zwłaszcza z redaktorem Dobrzańskim, secesjoniści założyli pismo konkurencyjne p. t. *Kółko rodzinne*. Łoziński zrazu trzymał się dość zdala od wszelkich nieporozumień, wkrótce jednak między nim i Dobrzańskim wywiązał się zatarg na tle niedostatecznego wynagrodzenia za *Szlachcica chodackowego*. W następstwie sporów, które w dalszym ciągu powstawały, Łoziński kilkakrotnie posyłał Dobrzańskiemu sekundantów, zwłaszcza że redaktor *Dziennika* miał się o nim nieprzy-

chylnie i ujemnie wyrażać. Wreszcie po skandalicznej scenie, jaka wywiązała się między nimi w kawiarni Lewakowskiego dn. 9 czerwca 1860 r., przyszło do pojedynku, w którym obaj przeciwnicy zostali ranni w głowy. Po pojedynku Łoziński zmienił się całkowicie, zerwał z dotychczasowem życiem i oddał się usilnej pracy. Równocześnie zajmował się gorliwie pierwszem w Galicji pismem ludowem p. t. *Dzwonek*, założonem w r. 1857 przez jego najserdeczniejszego przyjaciela Brunona Bielawskiego. Umieścił tu szereg doskonałych opowiadań ludowych. Gdy w r. 1860 ogłosił Michał Mrozowski konkurs na dziełko ludowe, Łoziński wysłał swoich *Ludzi z pod słomianej strzechy* i uzyskał pierwszą nagrodę. Współpracownictwo jego w *Kółku rodzinnem* nie było zbyt wyddatne, zamieścił w niem bowiem ledwie dwa artykuły.

W tak młodym wieku zdobył już Łoziński popularność bardzo lubianego pisarza. Druk *Zakłętego dworu* postawił go odrazu w szeregu znanych powieściopisarzy. Szybko następują potem *Dwie nocy* i *Czarny Matwij*. Druk tej ostatniej powieści omal że nie został wstrzymany z powodu zakazu dyrekcji policji, która motywowała to tem, że wszystko, co Łoziński napisze, jest niebezpieczne i szkodliwe dla porządku publicznego. Dopiero wskutek wniesionego przez Zacharjasiewicza podania, z dołączeniem zakończenia powieści, zakaz policyjny uchylono. Z powodu zakończenia *Dwóch nocy* wytoczyła prokuratura Łozińskiemu proces o podburzanie przeciwko władzom. *Czarny Matwij*, znacznie słabszy od *Zakłętego dworu*, był ostatnią jego powieścią.

W marcu 1860 r. założył Karol Cieszewski pismo dla młodzieży p. t. *Czytelnia akademicka*, które skupiło koło siebie młodych, jak Romanowski, Łoziński, Bielawski, i innych. Przed wyjazdem do kąpiel, celem poratowania zdrowia, prosił Cieszewski Łozińskiego o zastąpienie go w prowadzeniu i redagowaniu pisma. Łoziński zgodził się na to. W redakcji zbliżył się do narzeczonej przyjaciela Anieli Przyłęckiej, w której zakochał się i zyskał

wzajemność. Wskutek tego, gdy Cieszewski powrócił do Lwowa, powstały między nimi ostre nieporozumienia, które skończyły się pojedyńkiem dn. 10 stycznia 1861 r. Łoziński, ciężko ranny w głowę, zmarł 30 stycznia 1861 r. Pogrzeb jego był manifestacją żalu całego Lwowa.

Pomysł trylogji. Najlepiej opracowana i największą popularnością ciesząca się powieść Łozińskiego, *Zaklęty dwór*, jest pierwszą częścią trylogji, drugą — *Dwie nocy*, drukowane w *Dzienniku literackim*, trzecia zaś nie została napisana.

Genetycznie pomysł *Zaklętego dworu* tkwi w ówczesnych stosunkach panujących w Galicji i w demokratycznych poglądach autora. W chwili przyjazdu Łozińskiego do Lwowa rozeszła się wieść o śmierci Mickiewicza, która wywarła na wszystkich niesłychanie przygnębiające wrażenie. «Żadałaś odemnie — pisał wówczas Romanowski do Józefy Skwarczyńskiej — jakiej błogiej, pocieszającej wieści, a ja niestety posyłam Ci wieści Hioba; o moja Józio! My dziś ogromne sieroty, w jednej chwili straciliśmy Noego naszego koraba, wieszczą nad wieszczami. Adam Mickiewicz nie żyje!» Trzeba zdać sobie sprawę z tego, czem były poezje Mickiewicza dla ówczesnej Galicji, trzeba poznać jej życie, aby zrozumieć, że te maleńkie książeczki, przemycane przez Berlin i Księstwo Poznańskie pod opaskami «Książki do nabożeństwa», były pokarmem, na którym uczono się miłości ojczyzny, i z którego czerpano siły do walki z germanizacją. Pamiętać równocześnie należy, że jest to okres pracy podziemnej, w której wykuwano myśl polską. To też, gdy 19 stycznia 1856 r. odbyło się we Lwowie u Bernardynów nabożeństwo żałobne za Mickiewicza, kościół był przepełniony. Zgromadziły się wszystkie warstwy społeczeństwa. Wracano do domu w smutnem skupieniu. Potem nastąpiły aresztowania studentów. Pośród tłumów znajdował się młody chłopak świeżo wydany z gimnazjum samborskiego za to, że pragnął tego samego, co i Mickiewicz, który odtąd stał się jego mistrzem

i przewodnikiem. Poza Czarnym Matwujem we wszystkich powieściach Łozińskiego znać wpływ *Pana Tadeusza*.

Z tem wszystkiem łączyły się hasła, które wokół niego powtarzali entuzjaści, zgromadzeni przy *Dzienniku literackim*. Idee Centralizacji, z pewnością nieobce mu jeszcze w gimnazjum, tworzyły utopijnych idealistów, nastrojonych na wysoką nutę demokratyczną. O ile Centralizacji niejednokrotnie zarzucano kosmopolityzm, tutaj wśród walki z rządem austriackim zanikał on, a pojęcia emigracyjne stapiały się z wyobrażeniem polskości i dlatego może tem więcej rozpałały. Łoziński szybko przejął się programem demokratycznym i począł go głosić w swoich powieściach. Pamiętał o roku 1846, i dlatego zwrócił się przedewszystkiem do stanu średniego, który znał dobrze, a o którym mówił także Mickiewicz. W *Szaraczku i karmazynie*, jak Mickiewicz w *Panu Tadeuszu*, wyraził zasadę, że z zaścianków wyjdą przyszłe kadry obrońców ojczyzny. I tutaj przedewszystkiem należy szukać klucza do jego zapatrywań na szlachtę, wszak widział wśród niej takich szlachetnych, którzy, jak Książnin, na widok klęsk narodowych, popadali w obłąkanie. Jej wzorem pięknym i tragicznym w swej nieszczęśliwej doli, wielkim w bohaterstwie uczucia, jest ów starosta Żwirski, konfederat barski, który po rozbiorach postradał zmysły, zamieszkał w wielkiej sali rodzinnych portretów i rozparty w krześle poręczowem raz po raz powtarzał uroczystym głosem: «Nie pozwalam, protestuję!». To jeden typ z *Zakłętego dworu*.

Główną postacią powieści jest właściwie kum Dmytro. Przez cały ciąg rozwijającej się akcji pozostaje on tajemnicą dla czytelnika, który gubi się w domysłach, kim jest w istocie. Już w pierwszym rozdziale widzimy, że agituje między ludem, czasem pewnem się okazuje, że jest emisariuszem, przygotowującym powstanie, i dopiero z końcem utworu poznajemy, iż kum Dmytro a staroście Mikołaj Żwirski jest tą samą postacią. Otóż w tej właśnie postaci wypowiada Łoziński swoje poglądy na lud

i szlachtę, a pod tym względem niczem nie odbiega od zapastrywań głoszonych przez Goszczyńskiego, który, jakkolwiek w *Królu zamczyńska* szlachtę ostro osądził, ale w *Memorjale*, wykazującym już pewne otrzeźwienie społeczno-polityczne, nazwał ją «jedyną przechowywaczką świętego ognia życia i narodowości polskiej», przedstawiał jako «pragnącą ojczyzny jak zbawienia, władającą pośrednio i bezpośrednio wszystkimi środkami materialnemi, umysłowemi i moralnemi narodu, wszechmocną prawie w kraju, jedyną, przez którą w dniach przygotowywanych można coś zrobić, na którą w samym powstaniu najwięcej rachować można... najzdolniejszą wszystko pojąć, przyjąć, poświęcić własny swój interes i zrobić powstanie», co więcej, jej właśnie, jako znającej miejscowe stosunki, porucił w powstaniu rolę najbardziej odpowiedzialną, bo emisariuszy. Łoziński oczywiście nie znał *Memorjału* Goszczyńskiego, poglądy jednak w nim wypowiedane musiały być popularne w Galicji, skoro znajdujemy je w *Zaklętym dworze*. Tylko, że Łoziński, mimo widma r. 1846, nie chciał wierzyć w przepaść istniejącą między ludem a szlachtą, miał to silne przekonanie, że się ona da wyrównać, i dlatego w rozdz. p. t. «Schadzka nocna» (T. I, r. V) spotykają się szlachcic chodackowy, małomieszczanin i chłop związani w spisku, którego duszą jest kum Dmytro — szlachcic Mikołaj Żwirski. W ten sposób *Zaklęty dwór* miał być symbolem zbratania wszystkich stanów.

Starościc Żwirski, człowiek pod wieloma względami podobny do Jacka Soplicy, szlachcic dumny, przytem nieznający granic swoich kaprysów, ale w gruncie rzeczy dobrego serca, po wypadku z Ołańczukiem, podczas choroby spotyka się z nieznanym zakonnikiem, w rzeczywistości emisariuszem, a rozmowy z nim wywołują całkowitą zmianę jego dotychczasowego życia. «Kto go teraz pierwszy raz ujrzał lub słyszał mówiącego — opowiada manderjusz Katylinie — nie wierzył w pierwszej chwili własnym oczom i uszom. Z dawnego wilka jakby cudem zrobił się baranek, z sokoła gołębek» (t. I, str. 67). Ucieka do

Dreżna, rozgłasza swoją śmierć i wraca do kraju pod skromnem przebraniem maziarza, chcąc niejako swoje dotychczasowe postępowanie odpokutować gorliwą pracą dla ojczyzny. I jak Jacek Soplica w *Panu Tadeuszu* pragnął «zły przykład dla ojczyzny, zachęłę do zdrady... okupić dobrymi przykładami», tak starościc mówi o sobie: «umarłem dla świata, dla siebie samego... i dla wszystkich, co mię znali. Starościc Mikołaj Żwirski nie żyje! Lepsza część jego istoty, jego duszy i natury odrodziła się do nowego bytu, poświęconego, oddanego... (wykreślone przez cenzurę) ...jednej wyłącznie myśli. Na grobie starościca wziął namaszczenie kum Dmytro».

Te słowa starościca są nietylko ważne z tego względu, że wskazują one przełomową chwilę w jego życiu, ale również i dlatego, że tkwi w nich podstawowa idea powieści. Łozińskiemu szło nietylko o to, by wskazać, że wolność ojczyzny osiągalna jest jedynie w zbrataniu i złączeniu wszystkich stanów oraz zapomnieniu wzajemnych uraz, ale może najbardziej pragnął podkreślić to, że powodzenie przyszłej walki zbrojnej zależne jest nietylko od ludu, który stanowi rdzeń kadrów powstańczych, lecz przede wszystkim od szlachty i od tej roli, jaką właśnie ona w pracach przygotowawczych odegrać będzie chciała. Wierzył, że droga reform jest ciężka, że praca nad ludem wymaga żmudnych wysiłków (z goryczą o niej opowiada Juljusz), ale, by uspione siły i zapaly w ludzie obudzić, potrzeba poświęcenia i zaparcia się własnego nawet szczęścia. Łoziński, wyznaczając jednak szlachcie tak wielką i odpowiedzialną rolę, do wspólnej pracy zaprzął wszystkie stany, z wyjątkiem arystokracji, na którą wprawdzie nie rzuca, jak ówcześni demokraci, kamieniem potępienia, odsuwa ją jednak od bezpośredniej pracy w powstaniu. Otóż w maziarzu daje Łoziński wzór szlachcica, który, po życiu bez celu, pełnem wybryków i kaprysów, idzie między lud, aby go przygotować do walki powstańczej. Agitacja między ludem — to teren jego pracy w *Zaklętym dworze*, czyli w pierwszej części trylogji.

Dwie nocy, drukowane w r. 1860 w *Dzienniku literackim*, są drugą częścią trylogji, a zarazem drugim terenem pracy maziarza. Akcja rozgrywa się wśród mieszczań oltyńskich. Maziarz jednak posiada tutaj dość szczupłą rolę, przesuwając się niejako poza obręb fabuły, występuje ledwie dwa lub trzy razy, a potem znika. Wskutek tego właściwa idea powieści gubi się w mrokach nie-domówień i niejasności, z których trudno cokolwiek wydobyć. To pewne tylko, że maziarz ukończył swoją pracę na wsi i obecnie skierował ją na miasto; czy jednak przyniosła ona jakikolwiek rezultat, nie wiemy z tego względu, że powieść cała przeszła przez rotowy ogień cenzury, która pozostawiła z niej jedynie strzępy. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w rękopisie idea powieści musiała wyraźnie przeświecać, cenzura jednak wykreśliła to wszystko, co na nią jaśniejsze światło rzucało. Zapewne i tutaj, jak w *Zaklętym dworze*, poprzez całą powieść płynął prąd szczerzego patryjotyzmu i wielkiej wiary w pomyślną przyszłość. *Zaklęty dwór* uległ tylko nieznacznym skreśleniom cenzury, *Dwie nocy* zaś wywołały nawet proces kryminalny. Już pierwsze rozdziały, przedstawiające urzędników austriackich w bardzo komicznych sytuacjach, nakazywały obawiać się, że cenzura nie zadowolili się jedynie skreśleniami. «Pisząc przeciwko austriackim urzędnikom — czytamy w rękopiśmiennych *Zapiskach* Karola Estreichera — naraził się na proces kryminalny. Przestrzegałem go po przeczytaniu pierwszych rozdziałów, że go to czeka, ale nie wierzył, przestrzegałem go przez Bielawskiego». Wytoczony jednak przeciwko Łozińskiemu i wydawcy *Dziennika Literackiego* Manieckiemu proces z powodu zakończenia powieści, w którym dopatrywano się zbrodni podburzania przeciwko władzom z § 300 ust. kar., z powodu śmierci Łozińskiego nie doszedł do skutku (rozprawa miała się odbyć w pierwszych tygodniach 1861 r.).

W *Dwóch nocach* znać jakiś pośpiech i zdenerwowanie, które nie pozwoliło autorowi skupić się i nad tekstem popracować. Brak szarmonizowania poszczególnych scen,

odpowiedniego opracowania charakterów; na to zapewne w dużym stopniu wpłynęły nieporozumienia z Dobrzańskim, wskutek czego pragnął powieść jak najprędzej skończyć, ale może najwięcej skreślenia cenzury. «Cała powieść — pisze Łoziński w zakończeniu — składa się niejako z rozstrzelonych urywków, jak gdyby w ogólnym jej składzie grasowały drapieżne pazury jakiegoś surowego Zoila», przez co nie zawierała ona «ani dziesiątej części tego, com chciał, a ani połowę tego, com napisał». W słowach tych znajdujemy całkowite usprawiedliwienie wszelkich wadliwości utworu: powieść, zapewne dobrze skonstruowaną, zniszczył całkowicie ołówek cenzora.

Akcja *Zakłętego dworu* rozgrywa się w r. 1845, jest to więc okres przed tragicznym powstaniem 46 roku. *Dwie nocy* obejmują czas po ujawnieniu tajemnicy poprzedniej powieści i stanowią razem z pierwszym utworem dwa tereny pracy przygotowawczej. W zakończeniu *Dwóch nocy* mamy wzmiankę, że trzecia część trylogii będzie obejmować dalsze losy mazarzaka i jego śmierć, zapewne na polu walki. Kto wie, czy już *Dwie noce*, gdyby nie interwencja cenzury, nie zapoczątkowałyby wybuchu powstania. Tak czy inaczej, niewątpliwie cały cykl miał ilustrować jeden ważny moment w życiu społeczeństwa galicyjskiego, t. zn. powstanie w r. 1846 w tej formie, w jakiej pojmował je Łoziński. A pojmował je tak, jak ówczesni szlachetni idealisci, których tylu było wśród entuzjastów hasel demokratycznych.

Źródła «Zakłętego dworu». Powieść składa się z dwóch zasadniczych części, jeżeli weźmiemy pod uwagę kwestję wpływów: z jednej strony znajdujemy reminiscencje z powieści *Dumasa Les compagnons de Jéhu* (1857), z której Łoziński zaczerpnął pomysł podstawowego motywu (tajemniczy dwór, jako miejsce spisku), a z drugiej spotykamy się z wpływami *Pana Tadeusza* Mickiewicza, z którego ślady nietrudno było odszukać już w *Szaraczku i karmazynie*, oraz w *Szlachcicu chłopskim*.

W *Towarzyszach Jehudy Dumas* daje obraz walki

między republikanami a rojalistami z czasów napoleońskich. Rojaliści utworzyli tajny związek, którego członkowie napadali na gościńcach poczty, obrabowywali je z pieniędzy rządowych, pokrywali z nich koszta walki z Napoleonem. Te motywy oczywiście obce są powieści Łozińskiego. Spiskowi jako miejsce schadzki obrali sobie opuszczony klasztor Kartuzów w Seillon, gdzie odbywano ważne narady i przechowywano zrabowane rządowi pieniądze. Aby klasztor zabezpieczyć przed okiem ciekawych, rozpuszczono między ludem okolicznym pogłoskę, że pojawiają się w nim duchy, które zdradzały swoją obecność przez jakieś płomienie i brzęk łańcuchów, co było rzeczą powszechnie znaną, zwłaszcza że niejednen z okolicznych wieśniaków miał sposobność na własne oczy o tem się przekonać. Na pytanie Rolanda, jednego z bohaterów powieści, dwaj chłopci opowiadają, że w klasztorze był raz wprawdzie Piotr Marey, ale mu skrzyło głowę. Gdy do Seillon przyjechał Roland i sir John Tanlay (jakby odpowiedniki Juljusza idealisty i Katyliny realisty), postanowili zbadać tajemnicę. Wyprawa Anglika na duchy o mało nie skończyła się jego śmiercią (spiskowcy uderzają go sztyletami). Ostatecznie tajemnica została odkryta. Jeżeli teraz te szczegóły z powieści Dumasa porównamy z *Zaklętym dworem*, przekonamy się, że istnieje między nimi wiele punktów wspólnych. I dwór żwirowski służy za miejsce schadzki spiskowym. Celem ukrycia tajemnicy konspiracji wmówiono w lud, że we dworze pojawia się nieboszczyk starościc. Wielu z włościan, a nawet sam manderjusz, widzieli w oknach lewego skrzydła pałacu światło (w powieści francuskiej jakieś płomienie). Wprawdzie nie było słyszeć brzęku łańcuchów, ale zato nieboszczyk starościc czasem z nahajką przechadzał się po ganku, lub też na czarnym koniu jeździł po dachu swego dworu (pomysł zastosowany do wierzeń ludowych). Pan Girgilewicz opowiada Katylinie, że raz do dworu zakradł się znany na całą okolicę złodziej, który wprawdzie wrócił stamtąd, ale rozchorował się z przestachu i wkrótce umarł. Katyliną,

podobnie jak sir John, postanowił zbadać tajemnicę dworu, przedsięwziął więc wyprawę na duchy i o mało jej życiem nie przypłacił (klucznik chciał go przebić nożem).

Wspominaliśmy już, że między główną postacią powieści, t. j. starościcem Żwirskim-kumem Dmytrem a Jackiem Soplicą-ks. Robakiem istnieje szereg silnych podobieństw. Pomijamy już to, że tajemnica osłania obie postacie, że zostaje ona odkryta dopiero w scenie spowiedzi, bo są to podobieństwa wprowadzie wiele mówiące, ale nadto drobne. Mikołaj Żwirski — to natura gwałtowna, awanturnicza, nieznająca granic swego temperamentu, człowiek, który waży się na największe szaleństwa. Przypomnijmy sobie teraz Jacka Soplicę, który, «zawadjaka sławny na Litwie całej», co «nie żył dnia bez bitki, co nie Stolnikowi», aleby się «pokrzywdzić nie dał i królowi». Zmieniła Jacka miłość dla Ewy, zdusił w sobie dumę, a gdy stolnik odmówił mu córki, rozpił się z rozpaczy i stał pośmiewiskiem dzieci włościańskich. Podejrzenie, że został zwolennikiem Moskwy, wypędziło go z kraju.

...ja com był junakiem
Spuściłem głowę, kwestarz, zwałem się robakiem
Że jako robak w prochu...
Zły przykład dla ojczyzny, zachęty do zdrady
Trzeba było okupić dobrymi przykłady...

Jacek Soplica pod habitem mnicha wraca do kraju jako emisariusz.

Starościca Żwirskiego nie złamała wprowadzie miłość do Kseńki, choć i jemu wyrządzono krzywdę, tem straszniejszą, że sprawcą jej był brat. Złamała go krzywda, wyrządzona Mykicie Ołańczukowi. Wypadek ten, który pociągnął za sobą chorobę, zmienił go całkowicie, a choć się z niego nie śmiano, nazywano go jednak warjatem, Ucieka do Drezna, rozgłasza swoją śmierć (o Jacku wieść zaginęła) i wraca do kraju w skromnem przebraniu, wprowadzie nie kwestarza, ale maziarza kuma Dmytry. Tamten pragnął «zły przykład dla ojczyzny, zachętę do

zdrady ...okupić dobrymi przykłady» — starościc zaś, bojąc nad tem, że kiedyś był okrutnym dla swoich poddanych, przedsięwzięje żmudną pracę nad ludem. Podobnie jak ks. Robak opiekuje się córką Ewy, tak kum Dmytro córką Kseńki. Wyjawiwszy bratu swoją tajemnicę, starościc prosi go o zastąpienie Jadzi ojca. Ostatni rozdział powieści, rozmowa, która wyświeśla tajemnicę kuma Dmytra, jest zarazem sceną pojednania starościca z hrabią Zygmuntem i wyraźnie przypomina spowiedź ks. Robaka. W obu wypadkach znajdujemy rozwiązanie tajemnicy: kim jest maziarz i kim jest ks. Robak. Wprawdzie w *Zaklętym dworze* niema spowiedzi, jak w *Panu Tadeuszu*, bo ks. Robak leży na łożu śmierci, a fikcyjna śmierć starościca nastąpiła wcześniej, ale jak w epopei Mickiewicza spowiedź kończy się pojednaniem ks. Robaka i Gerwazego, podobnie w powieści Łozińskiego w ostatniej scenie otrzymujemy wyjaśnienie stosunku między obu braćmi żyjącymi dotychczas w nienawiści i następuje ich zgoda. Pojednanie w *Panu Tadeuszu* dokonało się po bitwie, która narażiła na niebezpieczeństwo prześladowania ze strony rządu wiele osób i ostatecznie sprowadziła wyjaśnienie tajemnicy ks. Robaka, w powieści zaś Łozińskiego po pożarze zagrody Kostia, pożarze, który kompromitował maziarza i uniemożliwił dalsze schadzki we dworze. Między Jackiem a Gerwazym na drodze do pojednania stała nienawiść tego ostatniego, która po spowiedzi ginie w słowach przebaczenia. Ksiądz Robak wyjaśnia swój stosunek do Ewy, opowiada, że wziął jej córkę na wychowanie. U Łozińskiego nienawiść rozłączyła starościca z hr. Zygmuntem, maziarz w scenie we dworze, będącej odpowiednikiem mickiewiczowskiej spowiedzi, przedstawia swoją miłość do Kseńki i wreszcie mówi o jej córce, którą również wychował; scena ta kończy się przebaczeniem.

Analogje więc między obydwoma utworami są bardzo silne. Idą one jednak jeszcze dalej. Tadeusz poznał Zosię w chwili przyjazdu do Sedziego Ogoła, ta scena poznania jest znowu ogromnie podobna do motywu spotkania

się Juljusza z Jadwigą. Juljusz bierze nieznaną (Jadzię) za Eugenję, kocha się w Eugenji i, jak Tadeusz do Telimeny, którą początkowo bierze za Zosię, po odkryciu omyłki czuje niechęć do hrabianki. Karczma Łozińskiego, jej arendarz Chaim Organista, w wielu względach przypominają karczmę mickiewiczowską i Jankla. Daleko jednak silniejsze analogje nasuwa rozdz. I, t. I, p. t. Organiscina z *Zakłętego dworu* i ks. IV p. t. *Dyplomacja i łowy* (scena w karczmie) z *Pana Tadeusza*. Powieść Łozińskiego zaczyna się w izbie szynkowej. Panuje tu niesłychany hałas. Na popołudniową pogawędkę świąteczną zeszła się cała gromada ryczychowska i zajęła od końca do końca główny stół. Chaim ze swoim dobrotliwym uśmiechem kręci się z miejsca do miejsca i wnet temu, wnet owemu dolewa do szklanki. Jest dla wszystkich bardzo uprzejmy, szczególniejszą jednak uwagę poświęca maziarzowi, który pośród gromady pierwsze miejsce zajmuje. Podobnie i w karczmie soplicowskiej zebrała się cała gromada, pośród której ks. Robak, szczególnie łaskawie traktowany przez Jankla. W karczmie ryczychowskiej wszyscy narzekają na rząd, mandatarjusza itd., i pytają maziarza, co czynić należy. Ten odpowiada ogólnikami, wygląda ciągle przez okno, jakby kogoś oczekiwał, a wreszcie na liczne nalegania ma opowiedzieć bajkę. Jaką, nie wiemy, bo w tej właśnie chwili wchodzi do karczmy Katyliną. To samo w dość wiernem odbiciu znamy w scenie mickiewiczowskiej, z tą tylko różnicą, że ks. Robak zdołał opowiedzieć historję tabakiery.

Sceny z Girgilewiczem, Żachlewiczem, cały motyw dworu żwirowskiego, wreszcie sama postać mandatarjusza i jego przygody są zupełnie oryginalne. Szczególnie wprowadzenie do powieści postaci mandatarjusza jest bezwzględnie nowością Łozińskiego, a obrazy z nią związane skopjowane są ponad wszelką wątpliwość z życia. Że nie są one przesadzone, o tem zapewnia sam autor, wyraźnie zaznaczając: «mamy to wewnętrzne przekonanie, że malując go [mandatarjusza], jeśli nie za blahych, to pewnie

nie za jaskrawych użyliśmy barw». Zresztą pan Gągolewski nawet jako typ jest nowością w naszej literaturze. Dopiero Jan Lam w powieści p. t. *Głupi świat Capowic* umiał tak doskonale odmalować urzędnika austriackiego.¹ Jeżeli Łoziński podkreśla, że pan Gągolewski jest ostatnim typem mandatarjusza galicyjskiego, ma najzupełniejszą słuszność. Już wprawdzie rok 1848 kładzie kres ustrojowi patrymonjalnemu, ale reforma w tym kierunku przeprowadzona szła dość powoli, tak, że wiele jeszcze z tych stosunków pozostało w późniejszych czasach i dopiero w r. 1856 zniknęły w Galicji urzędy dominikałne, a z wejściem w życie urzędów powiatowych, jako pierwszej instancji, upadają mandatarjaty. Mandatarjusz była to zazwyczaj mieszanina brutalności i szorstkiej urzędowej samowoli, służalczej pokory wobec dziedzica, jako chlebowodawcy, i cyrkulu, z zarozumiałością wobec podległych jego władzy chłopów, z wyrafinowaną umiejętnością podporządkowania pod przepisy prawne wszelkich nadużyć, co zresztą przy ówczesnym chaosie administracyjnym nie było trudnem do przeprowadzenia. Nie do wszystkich jednak mandatarjuszy opinie te stosować należy. Archiwa z doby spiskowej mówią o jednostkach bardzo popularnych między ludem i przejętych gorącym patryotyzmem, oraz gotowością do ofiar dla sprawy narodowej. Rok 1848 na barykadach lwowskich i w komitetach popierania rewolucji węgierskiej powiększył znacznie szeregi mandatarjuszy poprzedniego okresu spisków. To też Łoziński w ostatnim rozdziale swojej powieści zaznacza, że charakteryzując pana Gągolewskiego, nie miał nigdy na myśli ogólnego stanu tej kategorii urzędników w Galicji, pośród których «znajdowało się wielu ludzi zacnych, prawych, wylanych dla ojczyzny».

Również oryginalną postacią jest Katyliną, jeden z tych typów, które, jak łatwo poznać, Łoziński z praw-

¹ Przy sposobności zaznaczyć należy, że nie trudno dojść do wpływu powieści Łozińskiego na Lama.

dziwą przyjemnością tworzył. Czasem rubaszny, Katyliną w istocie ujmuje człowieka za najczulszą strunę serca, a za swoje przewiny wywołuje, aby tak rzec, pobłażliwe machnięcie ręką. Łatwo się przywiązuje do ludzi, ale również łatwo do nich zniechęca, idzie w życie z szeroko otwartymi oczami, umie znaleźć się w każdej sytuacji, niebezpieczeństwo nigdy go nie odstrasza, co więcej, potęguje jego energję. Awanturnik, kpiarz, z wiecznym uśmiechem ironji na ustach, w rzeczywistości złote serce. Postać tę Łoziński doskonale rozumiał, bo przecie malował w nim człowieka zupełnie do siebie podobnego. Początkowe dzieje Katyliny, to historia Łozińskiego z pewnemi tylko zmianami. Wiemy, że Katyliną w klasie szóstej wziął na siebie autorstwo i następstwa nierozsądnego wiersza Juljusza, za co został z gimnazjum wydalony. Wiemy również, że Łoziński został z gimnazjum usunięty między innemi za uszczypliwe wiersze przeciwko profesorom. Dalsze dzieje Katyliny są również wzięte z życia. Łoziński miał kolegę Duszyńskiego, znanego z awanturniczości, beztroski życia i szerokiej natury. Otóż wśród papierów rodzinnych znajdujemy list Duszyńskiego, datowany z dn. 13 czerwca 1856 r., w którym pisze, że z wielką wprawdzie nieśmiałością udaje się do niego, bo, jak słyszał, stał się sławnym (w powieści Juljusz, ubogi chłopiec, otrzymuje ogromny spadek, który go o znaczny krok od Katyliny odsuwa), ale, jak czytamy dalej: «rozważywszy... że to nie minęło 50 lat, jak byliśmy, chociaż nie bardzo wielkimi przyjaciółmi, ale trochę rozumieliśmy się — i że ty drogi Panie Walerjanie jeszcze nie Protektorem rzeszy niemieckiej — więc trochę ochłonąłem z nagłego przestachu... Jestem Aeneasz przywrócony swej ojczyźnie, to jest chcę mówić — przyszedłem na tak zwany urlop na zawołanie, nie widząc dla siebie żadnego szczęścia w tym zawodzie». Duszyński służył w wojsku w Kronszadzie, jak się okazuje z dalszego ciągu listu, był przez trzy tygodnie w lazarecie i został wreszcie zwolniony ze służby. Dodaje: «miałbym wielką ochotę prosić ciebie o radę, gdyż przekonany jestem, że w Twojej bardzo otwar-

tej głowie tysiące projektów otworzyć się może — udaje się dlatego o Twoje zdanie z wielką prośbą, byś raczył nie gardzić dawnym Socjuszem Złego i Dobrego i udzielił mi rady braterskiej». Otóż Katyliną wprowadzie takiego listu nie napisał, choć w nim mamy jego dzieje, wołał to samo powiedzieć osobiście Juljuszowi. On również służył w wojsku, wprowadzie nie w Kronsztadzie, ale w Hermansztadzie, i on również zachorował, aby być z wojska zwolnionym, a gdy zwolnienie to otrzymał, przyszedł do Juljusza z prośbą o radę, co ma dalej robić. Pamiętać również należy, że Katyliną razem z Juljuszem chodził do gimnazjum w Samborze. Zresztą fakt, że Duszyński i jego list dał Łozińskiemu pomysł Katyliny, zachował się również w tradycji rodzinnej.

Łoziński sam zapewne czuł dobrze, że w powieści jego znajdzie się wiele motywów, które nietrudno będzie wykryć z innych utworów, i dlatego w rozdz. I-szym *Zakłętego dworu* stara się sprawę tę wyjaśnić. Przedewszystkiem określa tam pogląd na powieść, od której wymagać należy nie tylko fantazji, ale prawdy i naturalności: «jak sama najpowszedniejsza rzeczywistość» musi ona odsłaniać coraz nowe strony serca i duszy ludzkiej, a w tem wszystkim «powinna opierać się na jak największej prostocie uczucia, na jak najogólniejszych prawdach psychologicznych, zrozumiałych dla każdego, a wolnych od wszelkich rysów wyjątkowych». Ale to nie wszystko, bo powieść, aby spełniła całkowicie swoje zadanie, musi być również oryginalna. Otóż w tem właśnie największa trudność, bo obecnie przy rozroście powieści pisarz «ani się nieraz spostrzeże, że układając i kombinując zupełnie nowe i oryginalne w własnem przekonaniu charaktery, rysy, sytuacje, kolizje i perypetje społeczne, powtarza tylko za kimś innym, jak za panią matką pacierz, czyli raczej, że tworząc najoryginalniej w własnem przeświadczeniu, odzuwa tylko najniezręczniejszą w rzeczywistości». Otóż te utyskiwania na trudność zdobycia oryginalności w powieści miały usprawiedliwić zaczęcie utworu w karczmie,

a więc od motywu znanego chyba wszystkim naszym powieściopisarzom. Ale wolno przypuszczać, że mają one szersze znaczenie i odnoszą się szczególnie do motywów z *Pana Tadeusza*. Mimo wszystko jednak, mimo to, że motywów tych znajdujemy wiele, usprawiedliwianie to było zgola zbytczne, jeżeli będziemy pamiętali o tem, że o wartości utworu stanowi nietyle oryginalność fabuły, choć i to nie jest bez znaczenia, ale przede wszystkim artystyczna strona wykonania. Jeżeli zaś z tego stanowiska patrzeć będziemy na *Zaklęty dwór*, to bezwarunkowo przyznamy mu wartość wcale wysokiej miary. Nawet te same motywy, które Łoziński zaczerpnął z innej ręki, w jego opracowaniu nabierają nowego życia, znaczenia i wartości, nie mówiąc już o charakterach i opracowaniu poszczególnych scen, które same w sobie są wskrós oryginalne.

Podział ról, postacie, sposób charakteryzacji. W pierwszych swoich powieściach Łoziński opierał podział ról na schemacie bardzo niejasnym. W *Szlachcicu chodackowym*, jak i w *Szaraczku i karmazynie* niema wcale głównej postaci; stąd też może wypływał ogólny charakter tytułów. Właściwym bohaterem w obu utworach jest gromada czy partja, której równocześnie inna gromada się przeciwstawia. W ten sposób drogą przeciwstawności dwóch grup osiągał Łoziński motyw do zawiązania konfliktu. W obrębie poszczególnych grup brak postaci naczelnych, bo wszystkie te, które z pośród tłumu wybijają się, są zawsze utrzymane na płaszczyźnie jednopoziomowej. Metoda ta wypływała już z samego założenia obu powieści, w których może nietyle szło o wybitniejsze typy, ile o charakterystykę poszczególnych środowisk, co nadawało im znamie obyczajowo-opisowe. Wprawdzie nie brak i tutaj fabuły, ale w zasadzie kryje się ona poza obrębem typów i ugrupowań postaci, które, razem wzięte, miały służyć do zilustrowania jakiegoś obrazka obyczajowego.

Inaczej w *Zaklętym dworze*. Tutaj szło, o ile nie więcej, to z pewnością również tyle o fabułę, co o typy. W istocie i fabuła jest żywa, nie brak jej nawet pewnej

przymieszki sensacyjności, i charakterystyki silne a dosadne. Podział ról jest jasno przeprowadzony. Na pierwszym planie stoi oczywiście postać starościca Żwirskiego. Łoziński umiał ten typ, mimo najróżnorodniejszych powikłań, które w sobie łączył, przeprowadzić zręcznie, tak, że mimo komizmu takich postaci, jak mandatarjusz, albo Girgilewicz, mimo tak silnego typu, jak Katylina, którzy wszyscy razem budzą wielkie zainteresowanie, staroście przede wszystkim na sobie ogniskuje uwagę. Trudność w przedstawieniu starościca Mikołaja polegała przede wszystkim na dwoistości niejako jego postaci. Wszak musiało się dać charakterystykę i starościca i kuma Dmytra, oraz szarmonizować obie postacie w jeden typ, trzeba było wreszcie postać starościca skryć poza zasłonę jego fikcyjnej śmierci, a maziarza usunąć pozornie na plan dalszy, ukazując go zaś od czasu do czasu, stopniowo odkrywać jego fizjognomję, rzucać na tę postać więcej światła, aby wreszcie zlać ją w jedno ze starościcem. Ta metoda, ledwie przez Kaczkowskiego próbowana, była w istocie nowością w naszej powieści w tej formie, w jakiej ilustrował ją Łoziński, to też wymagała doświadczonej ręki pisarza, który technikę powieści opanował już pod każdym względem. Otóż Łoziński w tym wypadku wyszedł bezwarunkowo z próby zwycięsko. Akcję przeprowadza w ten sposób, że kum Dmytro i staroście Żwirski stanowią początkowo dwie odrębne postacie. W szeregu rozmów (Katyliny z Kostiem Bulijem, z mandatarjuszem, z Juljuszem) powoli odsłaniają się dzieje i postać starościca, przyczem kum Dmytro zrazu schodzi do roli drugoplanowej. Zczasem historia starościca zsuwa się na plan coraz dalszy, w miarę tego, jak znowu postać kuma Dmytra coraz większą rolę odgrywa, i wreszcie staje jako całkowity typ w oczach czytelnika. Wtedy o starościcu już bardzo mało słyszymy, a wreszcie w scenie końcowej obie postacie zlewają się w jedno. Ta metoda dwoistego charakteryzowania postaci, ustawicznie przesuwających się przez pryzmat zainteresowania czytelnika, tworzyła wiele trudności z tego

względu, że łatwo było wypaść z raz wytkniętej drogi i podkreślić ważność w powieści n. p. starościca z pominięciem maziarza i odwrotnie. Musiało się zawsze stopniowo osłabiać uwagę zogniskowaną początkowo tylko na starościcu i równocześnie coraz silniej wplatać w akcję kuma Dmytra. Otóż pod tym względem okazał się Łoziński wprost mistrzem. A podkreślić należy, że równocześnie tok akcji wymagał utrzymania charakteru tajemniczości maziarza, a więc zachowania do ostatnich stron podstawowego motywu powieści.

Łatwość zbłądzenia w przedstawieniu postaci maziarza nasuwała się jeszcze z tego względu, że równie silne zainteresowanie budzi Katyliną, skreślony z ogromnym rozmachem i sporą dozą znajomości psychologii. W powieści swej przeprowadził Łoziński podział ról wedle popularnej metody dwoistości akcji: z jednej strony historia *Zakłętego dworu* i postaci koło niego zgrupowanych, niejako pozarzeczywistych, z drugiej dzieje Katyliny w Żwirowie i wszystkich postaci z tłem realnem i pozabawionem tajemniczych osłon. Że o ten właśnie podział szło Łozińskiemu, tego najlepszym dowodem może być to, iż zaraz w pierwszych scenach występuje Katyliną i kum Dmytro, a dopiero potem około tych dwóch bohaterów stają inne postacie, mniej lub więcej w powieści ważne. Metoda charakterystyki bohaterów obu ośrodków akcji idzie odmiennymi drogami. Postać kuma Dmytra powoli wzrasta, autor z każdą sceną coraz więcej charakter ten rozświetla, czyli dopiero go tworzy. Natomiast Katyliną staje odrazu jako gotowy typ. Początkowo Łozińskiemu nie idzie o szczegóły; w scenie w karczmie daje wszystkie znamionujące go rysy: awanturniczość, śmiałość, odwagę, jasność i szybkość decyzji, rubaszność i pewność siebie. Czytelnik wie, że Katyliną, jak wszystkie zresztą typy o tym pokroju, zawsze pozostanie ten sam, nie ugną go ani zmienia żadne wydarzenia, albo jakiegokolwiek zmiany losu. W miarę dalszego rozwoju akcji rysy te nabierają tylko silniejszego uwypuklenia w szczegółach, czyli sta-

piają się w postać z krwi i kości. Później przybywają jeszcze tylko dwie cechy: gorące przywiązanie do Juljusza, dobroć serca i uczuciowość, charakterystyczna dla tego rodzaju typów. Przy charakterach rubasznych, śmiałych i pewnych zawsze wywołuje ona pewien refleks wzruszeniowy.

Okolo Katyliny grupują się znowu dwa rodzaje postaci: jego zwolenników i przeciwników. Do zwolenników należy właściwie tylko Juliusz, jeden z tych papierowych bohaterów, których nie brak we wszystkich powieściach Łozińskiego. Charakteru marzycielskiego nie rozumiał Łoziński, odczuwał dobrze tylko ludzi o pokroju Katyliny, patrzących w świat szeroko otwartymi oczami i zdających sobie dobrze sprawę z tego, że życie to nie teatrzyk oświetlony blaskami księżyca, ale ustawiczna walka, w której trzeba umieć się przeciwstawić i zwyciężyć. Dlatego z umiłowaniem każdego drgnienia jego myśli odczuwał Katylinę, a w ciężkim trudzie wypracował postać Juljusza, który jest charakterem z wyobraźni wysnutym, chwiejnym i w wielu wypadkach trudnym do określenia. Właściwie Łozińskiemu szło tutaj o wprowadzenie do powieści człowieka nawskróś szlachetnego, szlachetność to jednak, tak jak się w powieści przedstawia, nierealna i nieproduktywna. Juliusz to jeden z tych typów, które spotykamy w okresie sentymentalizmu naszej powieści: pragnąłby coś dobrego ludziom zrobić, ale nie wie, jak się do tego wziąć, a jeżeli wreszcie zdecyduje się na jakieś postanowienie, to nigdy nie dojdzie ono do skutku.

Drugą grupę postaci stojących znowu przeciwko Katylinie tworzą: Gągolewski, Zachlewicz, hrabia Żwirski i Girgilewicz. Są to postacie drugoplanowe, a jednak niepoślednie miejsce zajmują w powieści. Zwłaszcza typy o znamionach komicznych budzą silne zainteresowanie. O hr. Żwirskim prawdopodobnie sam Łoziński nie miał jednolitego zdania. Wiemy, że staroście dlatego nie chciał się z nim pogodzić, że przyjął austriacki tytuł hrabiego. To go potępiało w oczach brata i patryjotycznie czu-

jacej opinji. Ale mimo to Łoziński nie chce, aby o nim czytelnik powziął złe wyobrażenie, to też wiele mówi o jego dobrym charakterze, zapewnia, że nigdy nie splamił się stosunkami z rządem, i że był szanowany przez ludzi. W tem jednak, że przyjął tytuł hrabiego, hojnie wówczas szafowany przez rząd austriacki, tkwiła sprzeczność w utworze, którą łatwo wytłumaczyć koniecznościami kompozycyjnymi. Przedewszystkiem szło o to, aby starościca poróżnić z bratem, a właśnie przyczyną tej niezgody był wspomniany tytuł hrabiowski. Tok akcji jednak wymagał wreszcie zgody (tak jest w *Panu Tadeuszu*); gdyby hrabiego w dalszym ciągu opinja potępiała, starościc nie mógłby mu podać ręki do zgody, dlatego też Łoziński wołał zdecydować się na pewne niejasności w jego charakterze, niżeli cokolwiek ustąpić z raz wytkniętej treści utworu. Również zamiary hrabiego co do obalenia testamentu są niejasne, boć przecie w zasadzie godzi się na projekt Żachlewicza; majątek, któryby mu przypadł po procesie, przyjąć jest gotów, a wynagrodzenie pod postacią oddania córki Juljuszowi zupełnie nie rehabilituje go w oczach ludzkich: wszak godził się na obalenie testamentu czyli sądowe uznanie brata za warjata. Są to niejasności bardzo znamienne, powiedzmy odrazu, szkodliwe dla powieści.

Ogólnie rzecz biorąc, podkreślić należy, że wartość powieści Łozińskiego polega może przedewszystkiem na doskonałej charakterystyce ówczesnych czasów, przez co stanowią one niejako dokument chwili. Łoziński, obserwator wszystkich wad i zalet, ambicyj i pragnień, ułomności i śmiesznośtek u ludzi, z którymi się stykał, chwycił obrazy z życia i stąd mają one tyle prawdy i wierności. Cechy te wybijają się już w jego pierwszych utworach, zwracają zaś szczególnie uwagę w *Zakętym dworze*, w którym przecie przed oczami przesuwają się wszystkie warstwy społeczeństwa, poczynwszy od ludu, a skończywszy na arystokracji. Co więcej, nietylko dawał on do-

bre charakterystyki, umiał również wprowadzić związki przyczynowe w ich postępowaniu, umiał wyczuć to, co w ich duszach grało najrozgłośniejszą nutą.

Była już mowa o szlachcie, obecnie jeszcze wspomnieć należy o ludzie i biurokracji. Lud maluje Łoziński, z małemi wyjątkami, w barwach dodatnich, bo nawet postacie tego rodzaju, co Olańczuk, znajdują swoje usprawiedliwienie w krzywdach, które im wyrządzono. Naogół uważał lud za element najzdrowszy do akcji niepodległościowej, widział w nim ogrom sił i dobrych chęci do pracy, do czego musi się go tylko pchnąć i podać rękę. W *Zaklętym dworze* łączą się wszystkie warstwy około ideału niepodległej Polski, a co jest najbardziej charakterystyczne, oto, że ten lud, który bierze tak żywy udział w konspiracji, to sami wyłącznie Rusini. Nawet Katylina jest Rusinem (wszak był w zakonie Bazyłjanów). Na ten lud, jakkolwiek jest on innej narodowości, patrzy Łoziński okiem pełnem ukochania, pracuje nad nim staroście Żwirski i stwarza dobrych obywateli kraju. Okolice Sambora, skąd Łoziński czerpał swoje typy, są w znacznej większości ruskie, element polski stanowi w nich część znikomą małą, ale mimo ruskiego charakteru okolicy mógł w niej autor z całkowitem prawdopodobieństwem umieścić sieć spiskowej emigracji paryskiej. A właściwie inaczej powiedzieć należy: w to społeczeństwo ruskie, dotychczas zgodne z polskiem żywiące ideały, w latach pięćdziesiątych rząd wiedeński rzucił kość niezgody, starając się w niem obudzić odrębne dążenia. Prądy antypolskie wkraadały się już do inteligencji ruskiej, ale większość Rusinów pielęgnowała jeszcze wówczas nienaruszone tradycje dawnej wspólnoty państwowej i czuła silnie swoją łączność z Polakami. Ten motyw najsilniej rzuca się w *Zaklętym dworze*, przedewszystkiem przez to, że lud ruski, on wyłącznie, bo polskich nazwisk, poza Żwirskim, tutaj nie spotykamy, bierze udział w konspiracji, która przecie godziła właśnie w rząd austriacki, głoszący wówczas emancypację narodowości ruskiej. Również Katylina, po-

stać w powieści tak sympatycznie odmalowana, jeden z jej bohaterów, przyjaciel Juljusza, który w imię hasła demokratów, przygotowujących powstanie, pragnął ulżyć ludowi, stara się na każdym kroku sparaliżować niebezpieczeństwo, grożące spiskowcom z zakłętego dworu, i nie nawidzi biurokracji austriackiej z pewnością niemniej, niżeli Łoziński, walczy z nią, drwi z niej i stara się przedstawić ją w świetle najbardziej ujemnem.

Otóż ta właśnie biurokracja zajmuje niepoślednią rolę w powieści Łozińskiego, co jest tem ważniejsze, że występują tutaj typy, dziś już należące do przeszłości niemal zupełnie zapomnianej. Łoziński mówi, że Gągolewski jest ostatnim mandatarjuszem galicyjskim, i mówi słusznie, a mógłby jeszcze powiedzieć to samo o Chochelce, że jest ostatnim pomocnikiem mandatarjusza. Postacie te zostały tak barwnie i z taką prawdą odmalowane, że niewątpliwie są z życia wzięte, a tem ciekawsze, że skupiają w sobie wszystkie niemal rysy ówczesnej biurokracji galicyjsko-austriackiej. Nieludzkość wobec ludu ich opiece powierzonego, służalczość względem przełożonego, od którego zależą, chciwość, zřeczność w obejściu litery prawa itd., te rysy, które cechowały mandatarjuszy w większej części, Łoziński dosadnie podkreśla; aby zaś jeszcze silniej je uwydatnić, stwarza sytuacje, które podnoszą jaszkrawo ich znamiona, a równocześnie osiągają ten cel uboczny, że stawiają ich w świetle komicznem, co mieściło w sobie wyraźny rys agitacyjny.

Wreszcie do postaci już niejako trzecioplanowych należy: Jadzia, Eugenja i Kost' Bulij. Typy kobiece w *Zakłętym dworze* są słabe, bez większego znaczenia. Daleko lepszy jest Kost' Bulij, charakteryzowany zawsze w barwach nastrojowych, dla uwydatnienia tajemniczości obrazu, na którego tle występuje.

Aby dokładnie zaznajomić czytelnika ze swoimi bohaterami, posługuje się Łoziński rozmaitemi środkami, przyczem wykazuje już pełne opanowanie technicznej strony charakteryzacji. Nie starczy mu opis, do całkowi-

tego obrazu posługuje się techniką kombinowanych środków. W ten sposób nawet bezpośrednią charakterystykę stara się urozmaicić i niejako zastosować do roli danej postaci, a nawet do toku akcji. Katylinę opisuje najpierw bezpośrednio, daje niejako rejestracyjny obraz, krótki, zwięzły, a przede wszystkim charakterystyczny (więc, aby wzbudzić dla niego poszanowanie wśród chłopów i oficyalistów, daje mu strój wędrownego ekonoma). Następnie Katyliną sam się charakteryzuje przez gesty i słowa: we wszystkich jego ruchach widzimy jakąś awanturniczość, rubaszość, stanowczość decyzji i postanowienia; na ustach jego widać zawsze ten sam uśmiech ironji. W dalszym rozwoju akcji Łoziński nigdy nie zapomina, że należy dorzucić jakiś nowy szczegół do pełnego obrazu jego charakterystyki, jakkolwiek unika już bezpośredniości w charakteryzowaniu.

Mandatarjusza kilkoma słowami charakteryzuje podczas rozmowy z Kostiem Bulijem, następnie daje dłuższą charakterystykę bezpośrednią, potem fizyczny opis, wreszcie charakterystykę przez akcję. Od czasu do czasu dorzuca jakieś uwagi, tworzy sceny charakterystyczne, i w ten sposób obraz uzupełnia. Podobnie charakteryzuje Chochelkę. Postaci drugo- i trzeciorzędnych nie stara się scharakteryzować z taką dokładnością, jakkolwiek i tutaj nie skąpi rysów zasadniczych (Kost', Organista itd.).

Często plastykę postaci podnosi przez gesty i ruchy: szczególnie metody tej używa przy charakteryzacji Katyliny, którego ruchy odpowiednio do typu, jaki przedstawia, są zawsze ostre i wyraziste. Klasycznym wprost przykładem jest w tym wypadku Girgilewicz podczas gry w wista, albo też scena rozmowy Żachlewicza z mandatarjuszem.

Tragiczność i komiczność w «Zaklętym dworze». Postaci ani sytuacji tragicznych w *Zaklętym dworze* nie spotykamy, jeżeli za nieodzowną cechę tragizmu będziemy uważali upadek fizyczny lub duchowy. Wprawdzie pewne znamiona tego rodzaju posiada starościc Żwir-

ski (tragizm upadłej wielkości), ale cały jego dramat rozgrywa się właściwie przed rozpoczęciem akcji i dlatego czytelnik wrażenia tragicznej grozy nie przeżywa.

Natomiast wybitnie występuje u Łozińskiego pierwiastek komizmu, tem dla niego charakterystyczniejszy, że istotnie komiczności nie spotykamy w powieści galicyjskiej (trudno o niej mówić np. w *Parafianstczyźnie* Borkowskiego, odkryć możnaby ją jedynie w opowiadaniach Morawskiego, w utworach Lama wystąpiła już ostra satyra).

Łoziński ironiczny, a nawet złośliwy, z natury swego usposobienia miał skłonność do komizmu podmiotowego. Jeżeli Katylina tyle nadokuczał mandatarjuszowi, Zachlewiczowi, Chochelce i Girgilewiczowi, to przez usta jego przemawiał nikt inny, jak tylko sam autor *Zakłętego dworu*. Komizm podmiotowy w powieści jego to nie tylko słowa i zdania, mające na celu dokuczenie ludziom, ale i całe sytuacje, które same z siebie wywołują równocześnie wiele humoru. Jeżeli Katylina od Kostia, o którym wie, że się do niego od pierwszej chwili odnosi nieprzychylnie, pożycza tytoń i fajkę, to trudno jeszcze mówić o komizmie: ale Katylina również krytykuje jego tytoń i to już jest komiczne w tej formie, w jakiej wszystko w powieści się przedstawia. Całe zachowanie się Katyliny wobec Girgilewicza, każde niemal jego zdanie wywołuje znowu szereg sytuacji o typowej formie komizmu podmiotowego. Nie brak też komizmu w poszczególnych scenach, a z tych chyba najklasyczniejszą jest ta, która rozegrała się między Katyliną, Gągolewskim a Zachlewiczem (t. II, rozdz. 7).

Najwięcej przecie zainteresowania budzi w powieści Łozińskiego komizm przedmiotowy. Jeżeli w *Zakłętym dworze* jest tak wiele postaci komicznych, to właśnie dzięki ich indywidualnym cechom. W tym kierunku wyzyskuje Łoziński całą skalę środków, które osiąga swojski i naturalny humor. Już nie idzie mu tutaj o pewne momenty, tworzy całe postacie, których komiczne znamiona tem sil-

niej jeszcze uwydatnia i podkreśla, że łączy z tem wszystkim pierwiastek naiwności. Scena wistowa to typowy obraz komizmu przedmiotowego. Cała postać Girgilewicz, Chochelki, Zachlewicza i zachowanie się wobec nich Katyliny, to już może typowy komizm przedmiotowo-naiwny. Ta prosta natura ekonoma, który w swojej dobrodusznosci powtarza ironiczne słowa Katyliny, ta scena, w której gra w wista, są z taką swobodą i naturalnością przeprowadzone, że rzadko im równych znaleźć w dziejach naszej powieści. A przecież takich sytuacji spotykamy w powieści Łozińskiego niemało, najważniejszym zaś jest to, że niema w nich nic nienaturalnego ani sztucznego.

Jedną jednak jeszcze rzecz podkreślić należy. Łoziński dla wywołania tem większego efektu łączy najczęściej momenty poważne obok komicznych, przez co uzyskuje efekt kontrastu, który tem silniej uwydatnia nastrój i potęguje wrażenie. Katyliną przychodzi do mandatarjusza, zastaje go z Zachlewiczem na rozmowie, która może mieć dla Juljusza, a więc przyjaciela Katyliny, jak najgorsze skutki: i w tę poważną sytuację wplata Łoziński komiczną scenę (komizm podmiotowy o charakterystycznej formie), oraz szereg momentów w komicznej sytuacji stawiających Zachlewicza (pisanie listu pod groźbą batów), mandatarjusza, ostro występującego przeciwko Katylinie, w pewności pomyślnego wyniku procesu, a po chwili usuniętego z posady, i wreszcie Chochelkę, który drży przed Katyliną i zostaje przez niego mianowany następcą Gągolewskiego. Po scenie, o typowej formie komizmu przedmiotowego (Chochelka pisze list do ukochanej) następuje spisek między Zachlewiczem a mandatarjuszem w sprawie wytoczenia Juljuszowi procesu. Takich scen wiele w powieści Łozińskiego; z prawdziwą znajomością techniki kontrastowania użyte, osiągają zamierzony efekt i budzą żywe zainteresowanie.

Szczegóły techniczne. Z natury swego przeznaczenia powieści charakterystyczno-obyczajowej *Szlachcic chodackowy* nie miał kunsztownej akcji, ani też silnie uwy-

datnionych motywów. W *Szaraczku i karmazynie* widzimy już znaczny postęp w tym kierunku. W *Zaklętym dworze* Łoziński okazuje się wprost mistrzem w użyciu środków kompozycyjnych. Ulubionym jego motywem konstrukcyjnym we wszystkich powieściach (bo nie brak go i później w *Czarnym Matwiju* i w *Dwóch nocach*) jest jakaś tajemnica. W pierwszej jego powieści odgrywała ona stosunkowo małą rolę, w drugiej stanowi szkielet części akcji, w *Zaklętym dworze* i następnych powieściach tworzy już podstawę całości. Jest to motyw stary, chętnie bardzo używany przez Waltera Scotta, Dumasa, Sue'go i we wszystkich powieściach awanturniczych. Cała trudność polega na utrzymaniu tajemnicy do końca powieści, bo w ten sposób obudza się niesłychanie żywe zainteresowanie czytelnika, wymagane jest jednak opanowanie strony technicznej, stopniowego odsłaniania tajemnicy, aby w ten sposób nie umniejszyć zasadniczego efektu. Pod tym względem Łoziński w powieści polskiej wprost nie miał współzawodnika. Nietylko zasadniczy motyw tajemnicy umiał on utrzymać do ostatniej niemal stronicy powieści, ale przez dorzucanie poszczególnych scen komplikował sytuację i wzmacniał nastrój. Poza tem w toku powieści zręcznie odsłaniał rąbek tajemnicy, w ten sposób jednak, że nie osłabiał wrażenia, ale utrzymywał je do końca.

Sposób wprowadzenia fabuły odbywa się w *Zaklętym dworze* stopniowo i ewolucyjnie. W pierwszej zaraz scenie (w karczmie) znajdujemy zawiązek całej akcji: tajemnica i dwie postacie (maziarz i Katyliną), około których ześrodkowują się zasadnicze motywy całego utworu i wątek fabuły. Łoziński niemal równocześnie rzuca szeregi pobocznych motywów, które służą jedynie do scharakteryzowania akcji. Następna scena (wistowa) ma za zadanie scharakteryzować postacie komiczne i wprowadzić trzeci wątek (mandatarjusz). Opowiadanie o staroście Żwirskim, oraz o zaklętym dworze stanowi niejako predyspozycję treści utworu. W ten sposób już w pierwszych kilku rozdziałach spotykamy się właściwie z całkowitą

konstrukcją, mimo, że stanowią one niejako predyspozycję akcji, która dopiero w następnych scenach zostaje rozprowadzoną. Sceny te służą do scharakteryzowania poszczególnych postaci, wątek akcji, poprzednio ledwie naszkicowany, podlega silniejszej rozbudowie przez wprowadzenie motywów drugorzędneho znaczenia i na tem właśnie zaszadza się ewolucyjność w rozwoju powieści.

Wprowadzenie do akcji większej części postaci odbywa się przy pomocy scen niespodziewanych, w pewnym stopniu charakterystycznych. Katyliną występuje w momencie, gdy maziarz ma rozświetlić zebranej w karczmie ryczychowskiej gromadzie swoją rolę i zadanie, które jej w niedalekiej przyszłości ma przypaść (udział w powstaniu); podobnie Kost' Bulij. Ten sposób wprowadzania postaci ma na celu przede wszystkim to, aby w pierwszym wypadku już przez nagłe wystąpienie (rozmach efektu) scharakteryzować Katylinę, w drugim zaś, aby podnieść nastrój tajemniczości w postaci klucznika zaklętego dworu. W innych wypadkach (mandatarjusz) daje autor najpierw bezpośrednią charakterystykę drogą stopniowego wdrażania w szczegóły. Celem osiągnięcia większego efektu scenicznego, często, na wzór Dumasa, urywa jakiś motyw, szczególnie czytelnika interesujący (np. scena między Katyliną a klucznikiem w czerwonym pokoju, albo też zniknięcie maziarza w płonącej zagrodzie Kostia).

Całość akcji przeprowadza autor metodą silnie zmontowanej konstrukcji, dążąc do uwydatnienia jej zawiązku (scena w karczmie), punktu kulminacyjnego (pożar) i rozwiązania (scena między starościcem Mikołajem a hrabią Zygmuntem). Poszczególne sceny stara się zawsze do najdrobniejszych szczegółów wypracować, sceny zaś zbiorowe buduje zazwyczaj w ten sposób, że na tle tłumów umieszcza dwie lub najwyżej trzy postacie, około których akcja się ogniskuje, przyczem nie zaniedbuje też szczegółów mających na celu podkreślenie strony realistycznej obrazu. Dialog zawsze jest naturalny, żywy, służy nie tylko do poinformowania czytelnika o rozwoju akcji, ale uwydatnia

również charakterystykę występujących osób, oraz jest czynnikiem ożywiającym sceny zbiorowe, wreszcie stanowi środek do wywołania efektów komicznych. Jest on lekki, jakkolwiek czasem twardy, zwłaszcza gdy Łoziński zaprawia go dykcją (Girgilewicz).

Osobistych uwag autora bardzo mało, nie spotykamy ich w formie morałów, dwa albo trzy zaledwie razy mają one charakter uwag autora i to zawsze w jakiejś bardzo ważnej sprawie (np. gdy pragnie wytłumaczyć niestosowność wplątania w mowę słów francuskich). Częściej natomiast pojawiają się uwagi reżyserskie, jakkolwiek i pod tym względem był Łoziński, jak rzadko który powieściopisarz, wstrzemięźliwym.

Zwracając tak wielką uwagę na architektonikę poszczególnych scen, nie zapominał autor równocześnie o ich stronie malarskiej. Gdy Katyliną wybiera się do zakłętego dworu, «noc była ciemna, kilka tylko gwiazdek z pod grubych, mglistych osłon blado zerkwały na ziemię, księżyc skąpym pękiem srebrnych promieni wychylał się z za chmury. W naturze panowała zupełna cisza». Przed pożarem zagrody Kostia Bulija zbiera się na burzę, chmury przelewają się po niebie itd. Dla wywołania efektu nastrojowego, zwłaszcza w scenach o podkładzie tajemniczości, nie zaniedbuje Łoziński żadnych środków. Pozatem opisy przyrody, jeżeli zdarzają się w powieści, są krótkie, kilkudzaniowe, a mają na celu jedynie spotęgowanie nastroju. W innych wypadkach ich nie ma. Zdaje się, iż leżało to już w naturze talentu autora, że obrazów przyrody prawie nie odczuwał. Umysł realistyczny i do namacalnych faktów jedynie przyzwyczajony, nie był usposobiony do nastrojów poetycznych. Przemawiałoby za tem i to, że nie rozumiał uczucia miłości, i unikał tego, co wymagało sentymentalizmu, jeżeli zaś był zmuszony o tem pisać, to zawsze tworzył sceny nienaturalne i papierowe. Ponieważ zaś opisy przyrody z konieczności zmuszały do poruszania struny uczuciowej, przeło obrazki przyrody, jeżeli się w powieści jego pojawiają, mają charakter zrejestrowanego

wrażenia, nie stanowią same w sobie celu artystycznego piękna, czyli, jak kto woli, służą tylko do wywołania efektu dekoracyjnego.

Styl *Zaklętego dworu* jest naogół gładki, choć zdarzają się w nim germanizmy. Błędy te jednak łatwe są do wytłumaczenia. Metoda nauki w gimnazjum samborskiem, mająca na względzie jedynie zgermanizowanie młodzieży, pozostawiła na Łozińskim ten wpływ, że zasiała jego styl makaronizmami niemieckimi. Ustawiczna lektura zdołała te obce naleciałości w pewnym stopniu z języka usunąć. Szczególnie późniejsze współpracownictwo Łozińskiego przy «Bibliotece polskiej» Turowskiego przyniosło mu wiele korzyści. Z konieczności bowiem musiał się rozczytywać w literaturze staropolskiej, studiował nawet jej język na najczystszych i najwspanialszych wzorach literackich, a to wygładziło jego styl, jakkolwiek wszystkich nalotów niemczyzny całkowicie usunąć nie zdołało. Pozatem jednak ma on wszelkie znamiona naturalności, jest płynny i swobodny i wskazuje niesłychaną łatwość pisania.

Łoziński i jego powieść. Sądy i ocena. Jeszcze na ławie szkolnej widział Łoziński jasno swój cel, któremu życie poświęcił. Uświadomił to sobie w dniu pierwszej swojej tragedji, która mogła załamać jego przyszłość pozornie i rozbić wszelkie marzenia. Mówimy «pozornie» dlatego, że właśnie usunięcie ze szkoły, wypadek, który stawiał go na progu przełomu, otworzył mu oczy na stokroć większą tragedję, która rozgrywała się w sercu całego społeczeństwa. Jedni pracowali w podziemiach, w których tworzone myśl polską, inni szli między lud, Łoziński zaś pracował nie mniej niż wszyscy, jakkolwiek tylko — powieścią. A kto wie, czy ta właśnie jego praca nie przyniosła więcej korzyści, niżeli żmudny trud niejednego spisowca ery powstań. Rozpoczął swój zawód powieściopisarski od haseł, które wielu wówczas bało się głośno wypowiedzieć, haseł głoszących ideę zespolenia wszystkich sił w imię pracy dla ojczyzny i poświęcenia wszystkiego

na ołtarzu wspólnego celu. A umiał to wypowiedzieć z taką siłą przekonania, że odrazu zyskał sobie powszechne zrozumienie i zaufanie.

Oczywiście — o wartościach społeczno - narodowych *Zakłętego dworu* cenzura nie pozwoliła pisać, dlatego też krytyka uwzględniała zawsze tylko jego znaczenie ze stanowiska artystyczno-literackiego. Karol Estreicher podnosił skomplikowaną i zręczną architektonikę powieści, którą Łoziński umiał utrzymać do końca zainteresowanie czytelnika, ganił jedynie zbyt używanie prowincjonalizmów; Dobrzański podkreślał, że mimo wąskiego tła lokalnego (powiat samborski), na którym rozgrywa się akcja powieści, «umiał zainteresować czytelników i malując miejscowe drobne stosunki, sceny i charaktery, w głębi ustawić umiał myśl wyższą narodową», oraz zwracał uwagę na «z góry przemyślaną, zręcznie przeprowadzoną intrygę, stąd wiele jest artyzmu w budowie i całość jest zaokrągloną»; Władysław Zawadzki podnosił doskonale ujęcie typów; wreszcie Karol Szajnocha podkreślał bujną imaginację, swobodny humor i umiejętną charakterystykę.

Naogół więc powieść oceniono przychylnie, a jeżeli robiono jakiekolwiek zarzuty, nie posiadały one większej wagi, miały raczej charakter pedagogiczny. Widać z nich było, że recenzenci, wysoko oceniając talent młodego powieściopisarza, pragnęli mu raczej dopomóc, udzielić praktycznych wskazówek, opartych na większym doświadczeniu i znajomości przedmiotu.

BIBLIOGRAFJA

Materiał do poznania życia i twórczości Walerego Łozińskiego jest bardzo szczupły. Do czasów szkolnych najobszerniejsze i zupełnie wiarygodne, jakkolwiek nieco ogólnikowe, wiadomości czerpiemy z artykułu umieszczonego przy wydaniu Łozińskiego *Pism pomniejszych* (Lwów, 1865), bez nazwiska autora. Z listu jednak Władysława Łozińskiego do Karola Wilda, wydawcy *Pism pomniejszych*, którego autograf był własnością p. Stanisława Wasylewskiego, a podczas wojny wraz z innemi

archiwaljami zaginął, dowiadujemy się, że autorem wspomnianego artykułu był właśnie brat Walerego, Władysław Łoziński, a stąd prawdziwość danych w tej jedynej biografii autora *Zakłętego dworu*. Cenne wiadomości do lat szkolnych przynosi broszurka prof. Wilh. Bruchnalskiego p. t. *Walery Łoziński* (Lwów, 1924), zwłaszcza dołączone do rozprawki listy do Władysława Szymonowicza. Do późniejszych czasów kilka szczegółów dorzucają artykuły: J. Dobrzańskiego «Walery Łoziński i Bruno Bielawski» (*Dziennik literacki*, 1861, nr. 13 i 14), Karola Estreichera («Bruno Bielawski» *Pamiętnik literacki*, 1911), oraz Wł. Zawadzkiego (*Z teki literackiej*. Poznań, 1870); krótką wzmiankę znajdujemy w *Encyklopedji Orgelbranda*, podpisaną C. B. W artykułach tych jednak nie brak omyłek, a nawet zgoła fałszywych wiadomości.

O *Zakłym dworze* pisali:

K. Estreicher. «Powieściopisarze w Galicji». *Bibl. warsz.*, 1860, I.

J. Dobrzański. «Walery Łoziński i Bruno Bielawski». *Dziennik literacki*, 1861, nr. 13 i 14.

Pisma pomniejsze. Lwów, 1865.

Wł. Zawadzki. *Z teki literackiej*. Poznań, 1870.

Wyjętek z listu Karola Szajnochy. *Tyg. Ilustr.* 1861, nr. 73.

Przedruk *Zakłętego dworu* w niniejszym tomie *Biblioteki narodowej* dokonany został na podstawie tekstu powieści w *Dzienniku literackim* z r. 1859. Powieść Łozińskiego miała dotychczas ośm wydań, co jest dowodem niezwyklej jej popularności. Osobną odbitkę z *Dziennika literackiego* wydał najpierw Karol Wild (Lwów, 1864). Między rokiem 1890 a 1900 ogłoszono cztery wydania, a mianowicie: Chicago, druk *Gazety Polskiej*, 1890; Gródek, nakł. i druk J. Czańskiego, Księg. Pol. we Lwowie, 1892; Bibl. powszechna, Złoczów, nakł. i druk W. Zukerkandla (1897); Warszawa-Kraków, nakł. Gebethnera i Wolffa, druk W. L. Anczyca i Sp., 1899; w ostatnich latach wydano ją jako dodatek do *Tygodnika ilustrowanego* (Kraków, druk W. L. Anczyca i Ski, 1907), oraz w Częstochowie, nakł. księg. A. Gmachowskiego, druk F. D. Wilkoszewskiego, 1925, z przedmową Dr. St. Pazurkiewicza.

CZĘŚĆ PIERWSZA

I

ORGANIŚCINA

Największy człowiek¹ naszego wieku utyskiwał w pewnych chwilach, że nie jest swym własnym wnukiem, nas biednych powieściopisarzy wcale przeciwne trapi zachcenie, my znowu nie możemy się pocieszyć, że nie jesteśmy swymi własnymi dziadkami, że przynajmniej o jedno stulecie wcześniej nie przyszliliśmy na świat. Za trudne jest dzisiaj nasze stanowisko za ciężkie zadanie!

— Powieść dzisiejsza, — pisze jeden z nowoczesnych estetyków niemieckich — choćby prócz zabawy innych nie miała celów, musi opływać w wszelkie cudowne barwy i blaski fantazji, jak bajka z Tysiąca i jednej nocy, a tchnąć przytem prawdą i naturalnością, jak sama najpowszedniejsza rzeczywistość, musi nam co chwila odsłaniać nowe nieznane dotychczas strony duszy i serca ludzkiego i co chwila do nowych jakichś nieprzewidzianych prowadzić rezultatów, ale w tem wszystkim powinna opierać się na jaknajwiększej prostocie uczucia, na jaknajogólniejszych prawdach psychologicznych, zrozumiałych dla każdego, a wolnych od wszelkich rysów wyjątkowych.

¹ W ten sposób powiedziano o Racinie; cytat wzięty z powieści Dumasa p. t. *Józef Balsamo*; Dumas, obok Suego i Rzewuskiego, byli najulubieńszymi pisarzami Łozińskiego.

W takim tylko razie zdoła mniej więcej odpowiedzieć swemu zadaniu.

Ależ nie na tem jeszcze koniec trudności. Pół biedyby jeszcze przewalczyć te i tympodobne wymagania, byle tylko przy dzisiejszem rozbujaniu powieści nie tak trudno przychodziło zachować od szwanku reputację własnej twórczości.

Powieść nasza, acz tak ogromnie rozmogła się ostatnimi czasy, w tak ciasnych przecie tkwi jeszcze ramach, że biednemu powieściopisarzowi trudno krok zrobić, aby zaraz nos w nos nie zetknąć się z dziesięcią poprzednikami, lub mimo chęci, wiedzy i woli nie potraścić łokciem któregoś z współczesnych kolegów.

I ani się nieraz spostrzeże, że układając i kombinując zupełnie nowe i oryginalne w własnem przekonaniu charaktery, rysy, sytuacje, kolizje i perypetje¹ społeczne, powtarza tylko za kimś innym, jak za panią matką pacierz, czyli raczej, że tworząc najoryginalniej w własnem przeświadczeniu, odżuwa tylko najniezręczniejszą w rzeczywistości. Ani wie też często, że zamiast nowe napisać dzieło, złożył tylko nowy obraz z starych kalejdoskopicznych² fatalaszków, uklecił nową całość z dawnych stokroć zużytych części składowych, jakgdyby pomimowolnym obszernym komentarzem chciał dokumentnie stwierdzić słowa Goethego:

Wer könnnt' was Kluges, wer was Dummes denken,
Was nicht ein Andrer schon vor ihm gedacht!³

— Ależ do czego to wszystko mierzy? — zapytasz może czytelniku. — Maż to być reklama dla własnej powieści, czy pokorne przyznanie się do własnego braku oryginalności?

O, bądź spokojnym, ani jedno, ani drugie! Jeśli już mamy mówić z sobą po otwartej szczerości a szczerzej otwartości, to wierzaj mi, że do wszystkich tych stosownych czy niestosownych uwag i ekspektoracyj⁴ naprowadził mnie tylko zły hu-

¹ sprzeczności i nieprzewidywane zmiany. ² ciągle się zmieniających.

³ Któż może wymyślić coś mądrego czy coś głupiego, czegoby inny już przed nim nie pomyślał?

⁴ wywnętrzać się.

mor, iż chcąc niechcąc muszę niniejszą moją powieść zacząć w karczmie, tem najpowszedniejszym miejscu powieściowych schadzek i wszelkich wogóle spotkań umyślnych i przypadkowych.

Lecz niestety, Bóg świadkiem, że nie mogłem postąpić sobie inaczej. A to przynajmniej zostaje mi pocieszenie, że karczma moja, jak pospolite miejsce zająć musi w powieści, tak wcale niepospolitą rolę odgrywała w rzeczywistości.

Położona przy bitym gościńcu o ćwierć mili za małą wioską Ryczychową,¹ cała murowana i pobita gontem, jakby umyślnie dlatego tylko wysunęła się tuż na samo rozdroże, między obwód² samborski a przemyski, aby zarówno po obudwu rozślawić się stronach.

I w samej rzeczy, w całym samborskiem i przemyskiem niewiele szczególnych naliczyłbyś zakątków, gdzieby bogdaj z imienia nie znali ryczychowskiej karczmy, bogdaj ze słychu nie umieli coś powiedzieć o jej czcigodnym arendarzu. Karczma i arendarz tworzyli tu zresztą, jak nigdzie, jedną nierozdzieloną całość, że niepodobnaby sobie ani pomyśleć jedno bez drugiego: ktokolwiek zapamiętał karczmę, musiał zaraz przypominać sobie i garbatego Chaima, zwanego Organistą; bo nim jeszcze budynek stanął pod gontem, on już rozparł w nim swój szynkwias,³ rozłasował swe garnce, flaszki, kwarty i kwatyrki, i przechrzciwszy przyszłą siedzibę od siebie *Organisciną*, szynkował w niej po dzień dzisiejszy, a szynkował z bezprzykładnem w okolicy powodzeniem.

Mogłeś przejeżdżać tamtędy we dnie czy w nocy, w powszednią czy święteczną, jarmarczną czy odpustową dobę, za stałeś zawsze tłumno i pełno w sieniach i przed zajazdem, ludno i gwarno w szynkowni i w alkierzu.

Garbaty Organista, jak Bóg wie skąd swój niewłaściwy wziął przydomek, tak Bóg wie jaką szczególną siłą tajemniczą umiał przywabić sobie gości, jednać przyjaciół i łaskawców, i osobliwszą na wszystkich wywierać ponętę.

¹ wieś tej nazwy leży w powiecie Komarno.

² niem. Kreis, w dawnej administracji galicyjskiej część kraju większa niż powiat.

³ bufet w karczmie.

Żaden brykarz, solarz, maziarz, żaden wogóle wóz z okolicy nie przejechał pewno popod okna ryczychowskiej karczmy, nie zatrzymawszy się bogdaj na chwilę u jej wrót, nie pomówiwszy bogdaj kilka słów z arendarzem.

Garbaty Organista, wylany na wszystkich usługi, nigdy na godzinę nie opuścił domu, zawsze w każdej dobie i porze można było go zastać gotowym i ochoczym do rozmowy, a co główna, zawsze w najweselszem pod słońcem usposobieniu.

A ktokolwiek w dłuższą zapuścił się z nim rozmowę, mógł domyśleć się potrosze, dlaczego ryczychowska karczma nie mając ani miar lepszych, ani trunków tańszych i doskonalszych jak inne karczmy, tak rozgłośnej wzdłuż i wszerz używała reputacji i tak świetnem cieszyła się powodzeniem.

Garbaty Organista obok wódki, piwa, miodu i dalszych tympodobnych artykułów, handlował jeszcze innym wyższego rzędu spirytusem,¹ który mu podobno największe ze wszystkich przynosił zyski: posiadał żywy i bystry dowcip i, co główna, umiał zawsze w jaknajlepszy użyć go sposób.

Należy to do najzwyczajniejszych nieszczęść wszystkich ludzi dowcipnych, że jak łatwo jedną sobie przyjaciół i wielbicieli, tak nierównie łatwiej jeszcze ściągają sobie na kark wrogów i przeciwników.

Nasz Organista był najzupełniejszym z tej reguły wyjątkiem. Dowcip jego mnożył mu codziennie przyjaciół, a nigdzie i nigdy nie wzniecił nienawiści. Bo też nikt inny nie umiał zręcznie od niego zastosować się w jednym mgnieniu oka do natury i usposobienia tego, z kim mówił.

Garbaty Organista był inaczej dowcipny z chłopem, inaczej z przechodzącym małomieszczaninem lub szlachcicem chodackowym,² inaczej z prywatnymi oficjalistami a spieszącymi na wesela i odpusty popadjankami.³ Wszystkich razem i każdego z osobna potrafił zabawić na umor, a choć z częsta gęsta i jakieś uszczypliwe wymknęło mu się słówko, to padało ono zawsze na karb kogoś nieobecnego. Przebiegły żyd jak ognia

¹ gra słów: *spiritus* po łac. *duch*, franc. *esprit* dowcip.

² szlachcic zagrodowy.

³ córka księdza ruskiego.

unikal w oczy wszystkich uszczypliwości, a jakby instynktem odgadywał zawsze, co i kiedy należy pominąć. Kiedy bywało rozsiadł się między chłopami, prawil im cuda o tym sławnym z baśni gminnych Iwanie, co niewyczerpany w swej przebiegłości tyle ucieśnych psot płał żydom, tak zręcznie zawsze wywinał się kłopotu, a w zastawione sobie sidła tak chytrze chwycił swych własnych prześladowców.

Z spieszącym na termin sądowy szlachcicem chodaczkowym Organista z innej czerpał beczki. Przytaczał rozliczne ucieśne dykteryjki z ostatnich praktyk sejmikowych,¹ opowiadał o niedawnych zawołanych w okolicy rembajłach i bi-bułach,² a na zakończenie dodawał zawsze jakąś ciekawą anegdotę prawniczą, jakiś zabawny fortel pieniacki.

Kiedy wśród drogi [na] któryś z sąsiednich jarmarków zagościli do Organiściny małomieszczanie z pobliskich miasteczek,³ Organista inny znowu tok nadawał gawędce. Przed staromiejskimi baraniarzami drwił z szewców starosolskich, przed radymieńskimi powroźnikami wyszydzał dowcipnie krukenickich kuśnierzy, przed drohobyckimi cebularzami opowiadał niestworzone rzeczy o komarzańskich sadownikach i tak naodwrot, zawsze jednak jedni i drudzy ubawili się jak najlepiej, a wracając, nie pominęliby za nic w świecie Organiściny.

Dla przejeżdżających oficjalistów prywatnych miał Organista zapas anegdotek o dziwactwach okolicznych panów, zaś panów rozśmieszał dowcipnemi kradzieżami i oszustwami oficjalistów, jednym słowem, wszystkich bawił wybornie, a wszystkich w inny sposób.

Poznawszy z tej strony garbatego Organistę, łatwiej już domyślać się, czemu to karczma jego tak świetne zawdzięczała powodzenie.

Ale czasby wręście zajrzeć do niej do środka. W izbie

¹ intryg sejmikowych.

² pijakach.

³ W tym ustępie wymieniono same znane miasteczka, z innych, niżej wspomnianych, w urzędowych spisach znajdujemy tylko wielką wieś Buczały (pow. Komarno), Ryczynów, Strzebice (pow. Stany Sambor), Opary a nie Oparki (koło Medenic?), brak natomiast Zwirowa, które jest nazwą zmyśloną (podobnie jak rodzina Żwirskich), Szpałówki i Orkizowa.

szynkowej panuje niesłychany hałas i wrzawa. Na popołudniową pogadankę świąteczną zeszła się cała gromada rzychowska do Organiściny, i zajęła od końca do końca główny stół, co od przytulonego pod drzwiami szynkwasu ciągnął się aż po przeciwległą ścianę.

Na głównem miejscu oczywiście rozparł się wójt z należytą powagą, za nim rzędem podług wieku i mienia celniejsi zasiedli gospodarze.

Garbaty Organista z zwichniętą na bakier jarmurką,¹ z swym jednostajnym zawsze napół dobrodusznym, napół szyderczym uśmiechem na ustach, snuje się z miejsca na miejsce i wnet temu, wnet owemu z sporej blaszanej przylewa mianierki. Już to po swoim zwyczaju dla wszystkich jest niezmiernie uprzejmy, ale szczególniejszą jakąś cześć i uwagę poświęca człowiekowi, co tuż przy boku wójta siedzi za stołem, a właściwie zdaje się rej wodzić w zgromadzeniu. Wszyscy słuchają bacznie na jego słowa i, jak się zdaje, raczą się jego traktamentem.

Z tem wszystkiem widać z jego stroju i powierzchowności, że nie należy wcale do gromady. Jest to niemłody już, silnej i krępej budowy człowiek, w czarnym okrągłym kapeluszu na głowie i krótkiej, szerokim rzemieniem przepasanej siermiędze zwyczajnego szarego koloru. Małe, czarne plamy mazi rozsiane hojnie po twarzy, rękach i całej odzieży, każą się domniemywać w nim jednego z owych wiejskich przemysłowców, co jednokonnym wózkiem z niewielkim zapasem swego towaru przeciągają odleglejsze od miasteczek okolice.

Rzeczywiście «kum Dmytro», jak go wszyscy nazywają, był przejeżdżającym maziarzem, ale bardzo dobrze znanym i nader często widywanym w tych stronach. Znać to już po samej poufalości, z jaką niemal z wszystkimi bez wyjątku tyka sobie gospodarzami, że nie pierwszy raz ma zaszczyt raczyć swym kosztem rzychowską gromadę.

W tej chwili coś wielce ważnego prawi zgromadzonym gospodarzom, bo wszyscy tak pilnie i uważnie wlepili weń

<https://rein.org.pl>

¹ nakrycie głowy u żydów.

oczy, jak gdyby pragnęli pochwycić i zrozumieć każde słowo, zanim mu jeszcze z ust wypadnie.

Kum Dmytro z jakimś osobliwszym rozprawia ferworem¹ i naciskiem:

— Nic darmo niema na świecie! Bóg, coć przecie hojność najwyższa, nie przyrzekł nam darmo szczęścia ani za życia, ani po śmierci. Ziemia nie żywi nas darmo, wszystko musimy okupywać taniej lub drożej, łatwiej lub trudniej... Wybyście jednak wszystko chcieli darmo! — dorzucił po chwili i pięścią w stół uderzył, a potem z niechęcią kapelusz zrzucił z głowy.

Teraz dopiero można lepiej przypatrzeć się jego twarzy, a twarz ta osobliwszy jakiś przedstawia wyraz. Dość raz na nią rzucić okiem, a nie tak łatwo wypadnie z pamięci. Gęsty, krótko ostrzyżony, czarnemi plamami mazi okryty zarost brody pozostawia tylko małą wolną przestrzeń około nosa i oczu, które pod niskim, wypukłym czołem biegają tak ruchliwie i niespokojnie, że niepodobna żadną miarą odgadnąć ich barwy. Nos zadarty w górę z szeroko rozwartemi nozdrzami nadaje całej fizjognomji pewien wyraz dzikiej namiętności, podczas kiedy szczególnie uformowana czaszka i silnie zaciśnięte usta zdają się świadczyć o niepospolitej energii i sile ducha.

Ostatnie słowa jego sprawiły wielkie wrażenie na całym zgromadzeniu.

Sam wójt, Iwan Chudoba, posunął zamaszystą czapkę barania z lewego ucha na prawe i odezwał się z niejakim wahaniem:

— Tać niema co mówić, kumie Dmytrze, macie słusność. Ale my nie chcemy bynajmniej darmo, nie wiemy tylko co robić.

— Kto nie wie, powinien się dowiedzieć — odparł maziarz krótko.

— A u kogo? — zapytał wójt dalej.

Maziarz potarł ręką po czole.

¹ zapalem.

— U kogo? — powtórzył po chwili. — U siebie samego, u własnego sumienia i rozumu.

— Hm — wycedził wójt nie ze wszystkim zadowolony.

— Mówicie, kumie, jakbyście zadawali zagadki — ozwał się z boku dziesiętnik¹ Mykita Tandara, najpierwszy «mudrahel»² w gromadzie.

Maziarz zamyślił się czegoś.

— Nie czas jeszcze — szepnął po chwili, jakby sam do siebie.

— Jakto nie czas jeszcze? — zapytał wójt.

— Nie czas jeszcze, abym ja wam rozwiązywał zagadki, kiedy sami nie umiecie.

— Hm — wybąknął wójt na nowo.

Maziarz spojrział nagle do okna, jakby kogoś niecierpliwie wyglądając, potem pochylił głowę na piersi i bębniąc palcami po stole, odezwał się po krótkim namyśle, jakby od niechcienia:

— Domagacie się wielkiej ulgi, wielkiej łaski, wielkiego podarunku od ludzi, których nienawidzicie, którym złorzeczycie.

— Ba, alboż możemy inaczej? — poderwał od szarego końca dawny polowy³ dworski, Hryć Wenczór.

Maziarz niecierpliwie zabębnił po stole.

— Ot, ciemno wam w głowie i kwita. Nie sądzicie nic z rozumu, na wszystko patrzycie według pozoru. Pokrzywdzi was łotr mandatarjusz,⁴ dziedzic winien, uciśnię niecnota ekonom, dziedzic winien.

— Ho, ho! — przerwał jakiś ponurego oblicza, niemłody już chłop od szarego końca. — Musicie niemało za maż targować od panów, kiedy tak zawsze stajecie po ich stronie.

Maziarz zmarszczył czoło, chciał coś prędko odpowie-

¹ przełożony nad oficjalistami dworskimi.

² z ukr. mędrak.

³ nadzorca nad robotnikami polnymi.

⁴ po zniesieniu sądownictwa patrymonjalnego szlachty, urzędnik w dawnej administracji galicyjskiej, zależny od dziedzica i władzy państwowej; sprawował on władzę sądowo-administracyjną nad sprawami wynikającymi z poddaństwa.

dzieć, ale powstrzymał się nagle. Machnął tylko ręką i obracając się ku szynkwasowi, zawołał żywo i wesoło:

— Jeszcze garniec wódki! panie Organisto.

— Ho, ho, co robicie, kumie Dmytrze — upominał ten i ów u stołu, lubo wszyscy z zadowoleniem poruszyli się na swych ławach.

— At, żeby nie znać licha! jeszcze po kieliszeczku! panowie gromada!

— Ta! — przyzwał wójt z poważnym uśmiechem za siebie i całą gromadę.

Nowy kielich szybko wokoło stołu obiegł kolej.

— Wasze zdrowie, kumie Dmytrze — powtarzał jeden gospodarz po drugim, wychylając duszkiem blaszaną miarkę.

Kum Dmytro znowu zamyślał się głęboko, a czasami ukradkiem wyzierał przez okno.

— Czy oczekujecie kogo, kumie? — zapytał Mykita Tandarą.

— Nie, patrzę tylko, czy wysoko słońce na niebie, dziś jeszcze muszę jechać dalej — odparł obojętnie.

— Jedziecie i nic nam już nie powiecie? — ozwał się wójt z niejakiem ubolewaniem.

— A cóż wam mam mówić, kiedy mi wierzyć nie chcecie?

— Ah! — tłumaczył się urzędnik gromadzki, jakby napół obrażony tym wyrzutem.

Maziarz potarł ręką po czole, a oko dziwnym jakimś załśniło mu blaskiem.

— Cóż chcecie? — rzekł po chwili z przekonywającym naciskiem — wierzcie albo nie wierzcie, ale powiadam wam na sumienie, że od was tylko zależy, aby od dziś za rok nikt w całym kraju nie znał pańszczyzny.

Cała gromada wydała jeden tylko wykrzyk radosnego zdziwienia, pomieszanego z pewnem niedowierzaniem.

— Ba, ba! — zawołał wójt, i w znak radości czapkę zasunął na sam tył wygolonej głowy.

— Pan Bógby z was mówił — ozwał się liczny chór.

Maziarz, jakby się nagle czegoś zawahał, sparł głowę na

ramieniu, przymrużył napół oczy i zakołysał się cały, jakby go trunek rozbierał.

— Ale — poderwał nagle cokolwiek zmienionym głosem — pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki! Jak się i wy do tego z swej własnej nie przyłożycie strony, to furda z wszystkiego!

— A jakże to rozumiecie, kumie? — zapytał wójt, wracając do dawnej urzędowej powagi, od której nigdy nie lubił odstępywać.

Kum Dmytro zakołysał się znowu.

— Kiedy mi się jakoś w głowie kręci — zabełkotał naraz.

— Tak prędko! — przejął z ubolewaniem przysiężny¹ Jać Makar, najsilniejsza głowa w gromadzie.

Maziarz podniósł się cokolwiek.

— Poczekajcie! — zawołał — opowiem wam bajkę. Słuchajcie tylko dobrze.

W tym momencie drzwi z łoskotem rozwarły się na ściężaj, a do izby szynkowej wszedł gość nowy.

Maziarz utknął w mowie i uważnie wpatrzył się w nowoprzybyłego. Za jego przykładem poszli i wszyscy inni, i nagle cicho zrobiło się w szynkowni.

Bo też nowoprzybyły nie miał nic wspólnego z resztą obecnych gości, a miał na sobie strój, który w czasach pańszczyźnianych do pomimowolnego chłopca zmuszał szacunku.

Był to wcale młody jeszcze mężczyzna, ubrany z wasze-cia, z grubą laską sękatą w rękę i niewielkiem zawiniątkiem na plecach. Możliwyby myśleć, że jakiś szukający służby ekonom lub leśniczy.

Sam widok takiego człowieka napawał chłopca w owych czasach pewnym rodzajem nieufności i odrazy. To też wcale naturalna cisza nastąpiła nagle w szynkowni i sam maziarz zamilkł wśród mowy, zwłaszcza, że tym razem tak fizjonomja, jak cała powierzchowność nowoprzybyłego niewielkiem wogóle mogła przejmować zaufaniem.

Niezwyczajnie silnej i krępej budowy nieznajomy miał na sobie strój bardzo lichej i wyszarzały, a każda z osobna część ubrania wydawała się jakby zdarta z kogo innego. Zielona, wypłowiała, po szyję zapięta kurtka za krótko sięgała mu w rękawach, a zato znowu grube, sukniane pantalony aż kilkoma naraz fałdami zwisły po niezgrabnych, rudawych butach, z których jeden zapiętkiem wybiegł na lewo, a drugi przyszwą daleko wychylił się na prawo. Czarna, sukienna czapka z oddartym napół daszkiem spadała mu aż gdzieś na kark i z natury zuchwalej już fizjonomji nadawała wyraz więcej jeszcze awanturniczy i wyzywający.

Zdawało się, że nieznajomy każdym swoim spojrzeniem, każdym krokiem i ruchem szuka tylko kogoś, z kimby się dało wszcząć burdę i komuby potężnego guza można nabić przy łada okazji.

Kiedy wszedł do szynkowni, powiódł dokoła wzgardliwym i uśmiechniętym wzrokiem, czapkę zasunął wtył i, przystępując z wolna do szynkwasu, zrobił zrozumiały znak żydowi.

Organista skinął głową z uśmiechem i tuż zaraz pełny kieliszek wysunął z za kratki.

Nieznajomy sięgnął ręką niedbale, wypróżnił do dna sporą miarkę i krząknął z taką siłą, że aż kieliszki zadrżały na szynkwasiu.

— *Repetatur?*¹ — zapytał Organista, który czasami lubił także popisywać się łaciną.

Nieznajomy skinął głową na znak przyzwolenia, a po drugim kieliszku jeszcze silniej krząknął niż po pierwszym.

— Jakoś to mówią *omne trinum perfectum*² — zagadnął znowu Organista.

— Pal cię djabli, dawaj! — odparł nieznajomy silnym, basowym głosem, i znowu duszkiem trzecią wychylił miarkę.

Ale Organista nie tak prędko zwykł przerywać toku swych przypowieści.

— No, a teraz — ozwał się znowu z figlarnym uśmie-

¹ powtórzyć?

chem — po moich własnych wierszów: wypije czwarty — kto nie uparty.

Nieznajomy uśmiechnął się od niechcenia.

— Cóżto! ty i wiersze robisz? — zapytał.

— Ot tak, panie, dla lepszego szachrajstwa! Ale jegomość musi być zdaleka, kiedy o tem nie wie! — podchwycił żyd z swym niezmiennym nigdy uśmiechem.

— I djabło zdaleka, mój bratku! aż z Siedmiogrodu!

— Owa! fiufiu! — wybąknął Organista, pokiwując głową.

— Ależ nareszcie stanąłem już na miejscu! — wysapał z pełnej piersi nieznajomy, mówiąc więcej do siebie.

— Jakto tutaj? — zapytał Organista i mimowolnie cofnął się o krok wtył.

— Tutaj, w tych stronach — odparł, i nagle obracając się ku stołowi, gdzie siedział maziarz na czele ryczychowskiej gromady, zawołał głośno jakby chciał przestraszyć wszystkich: — Hej, daleko jeszcze do Żwirowa?

— Do Żwirowa? — zapytał wójt poważnie, jakby niedośłyszał dobrze.

— Do Żwirowa? — zawołał maziarz, na którym zapytanie to jakieś szczególniejsze wywarło wrażenie, bo aż porwał się z miejsca i z dziwną uwagą wpatrzył się w nieznajomego.

— Ile mil jeszcze? — pytał podróżny rozkazująco dalej.

— Jak dla jegomości, to tylko trzy, ale dla kogo innego, to dobre cztery — wtrącił Organista, wyręczając zapytanych.

Nieznajomy spojrzał na żyda surowym wzrokiem, jak gdyby chciał powiedzieć, że nie od lada kogo przyjmuje żarty. Ale przebiegły Organista nie tak łatwo dał się zbić z toru.

— Bez żartów proszę jegomości — ciągnął dalej niezmieszany — dla kogo innego, co to na przykład jeździ wozem, to gościńcem będzie dobre cztery mile, ale jegomość piechotą może jedną milę zostawić na boku.

— Aha, jest zapewne jakaś krótsza droga.

— Buczański¹ wygon!² — tłumaczył na rozum wójt ryczychowski.

<https://rcin.org.pl>

¹ Buczały, wieś położona koło Komarna.

² wygon — wspólne pastwisko pod wsią.

Organista bił się widocznie z jakąś ukrytą myślą, którą wahał się narazie wyjawic. Nagle poprawił zakręcone pejsy, uklonił się nisko berłydkiem i zapytał nieśmiało, bo po prawdzie niepospolicie mu imponowała zuchwała postawa i zawadjacka mina nieznajomego:

— Bez urazy jegomości, jeśli wolno zapytać z przeproszeniem, do kogo jegomość do Żwirowa?

— Do kogo? do dworu — odparł nieznajomy niedbale, wyciągając się wygodnie na najbliższej ławie.

Organista odskoczył wtył, jak oparzony, a pomiędzy rzychowską gromadą jakiś nagły, szczególniejszy powstał szelest.

— Do dworu? — zapytał żyd, jakby nie dosłyszał dobrze.

— Albo cóż? — wybąknął podróżny, zdziwiony niespodziewanem wrażeniem słów swoich.

— Et, jegomość sobie żartuje — przemówił z nowym ukłonem Organista — do kogożby jegomość szedł do dworu?

— Jakto do kogo, do dziedzica, błazniel — zawołał nieznajomy z dumą, zniecierpliwiony cokolwiek temi zapytaniami.

— Do nieboszczyka? — wybąknął Organista, jakby sam nie wiedział, co mówi.

Nieznajomy jak opętany porwał się z ławy i jednym sussem przyskoczył do żyda.

— Jakto? Co mówisz, nowy dziedzic żwirowski nie żyje? — zawołał gromowym głosem.

Biedny Organista aż przykucnął z przestachu, tak groźnym wydał mu się w jednej chwili nieznajomy.

— Uchowaj Boże — zawołał skwapliwie — pocoby miał nie żyć! — Żyje, ale mieszka o milę za Żwirowem, aż w Oparkach, proszę jegomości, bo dwór żwirowski zakłęty.

— Jaki? zakłęty?! — wykrzyknął podróżny, rubasznym wybuchając śmiechem.

Garbaty Organista skrzywił się z niesmakiem. Mimo całego swego dowcipu ulegał powszechnej wadzie swego pokolenia, był zabobonnym, jak i wszystkie nasza wiejska dziatwa Izraela.

— No, niema się tu wcale z czego śmiać — przedkładał z niezwykłą u siebie powagą. — Widzi jegomość, ludzie gadają, że nieboszczyk pan Starościc chodzi po śmierci.

— Chodzi! — powtórzył nieznajomy, i nowym parsknął śmiechem.

— No, może sobie i biega, albo ja wiem — wycodził żyd widocznie niekontent z niedowiarstwa swego gościa. — Ale ja powiadam panu, że tak ludzie utrzymują, a stary dwór żwirowski nazywa się w całej okolicy, na dwadzieścia mil wzdłuż i wszerek *zaklętym dworem*, bo nieboszczyk Starościc w nim się najczęściej pokazuje.

— Komu? — zapytał podróżny drwiąco.

— Ho! ho, czy jeden go już widział — upewniał żyd stanowczo.

— No, jużto wybaczyć, panie arendarzu, — wtrącił się z powagą wójt ryczychowski — zbliża go podobno jeszcze nikt nie widział, prócz starego klucznika, Kostia Bulija, który z nim jakieś nieczyste utrzymuje konszachty. Ale zdaleka niejedyn już spostrzegł światło w zaklętym dworze i przypatrzył się samemu nieboszczykowi, bądź jak z nahajką przechadza się po ganku, bądź jak na czarnym gdyby węgiel koniu uganiania po dachu swego dworu.

— I to wszystko można widzieć każdej nocy? — pytał podróżny, nie wychodząc z tonu drwiącej wesołości.

— Broń Boże — tłumaczył dalej wójt. — Nieboszczyk pokazuje się tylko w pewnych porach, w dniach zadusznych i kiedy nów na niebie.

— I do tego czasu nikt mu jeszcze porządnie skóry nie wygarbował? — zapytał podróżny z nowym rubasznym wybuchem śmiechu.

Wójt obrócił się z niechęcią i indygnacją.¹

— Nie godzi się żartować w takich rzeczach — upominał z powagą.

Nieznajomy wzruszył ramionami.

— Ha, — szepnął półgłosem, jakby sam do siebie —

<https://rein.org.pl>

¹ gniewem.

Szekspir¹ powiada, że są rzeczy na niebie i ziemi, o których się ani śniło filozofom.

A potem, obracając się do zgorszonego cokolwiek wójta, zapytał dalej mniej już drwiącym tonem:

— A jakże, w samym dworze nikt nie mieszka?

— Niema żywej duszy ani w dworze, ani w oficynach. Od śmierci Starościca niczyja jeszcze noga nie przestąpiła progów zaklętego dworu, bo nieboszczyk zabronił tego wyraźnie w swym testamencie. Nowy dziedzic mieszka w Oparkach i nigdy ani się pokaże do Żwirowa.

— A któż u licha gospodaruje w samym Żwirowie?

— Folwark leży o ćwierć mili na Buczałach, a tam mieszka i sędzia żwirowski.

— A stary, pusty dwór stoi tak na opatrność boską bez wszelkiej straży?

— Ta mógłby się wprowadzić obejść bez straży, bo każdy omija go na ćwierć mili; przy tem wszystkiem pilnuje go jednak Kost Bulij, dawny kozak nieboszczyka, przewany dziś klucznikiem zaklętego dworu.

— A ten nie boi się upiora?

— On! — zawołał wójt, i wieloznacznie pokiwał głową. — Powiadają ludzie — dodał po chwili, zniżając głos uroczyście, ale w tym momencie drgnął na całym ciele, i co żywo zrobił krzyż w powietrzu.

Jednocześnie jakiś osobliwy szmer obiegł wszystkich obecnych.

Nieznajomy obejrzał się zdziwiony ku drzwiom i sam o krok wtył cofnął się z przestachu.

W rozwartych na ścieżaj drzwiach ukazała się jakaś olbrzymiego wzrostu postać męska, której nagle pojawienie się najśmielszy nawet umysł pomimowolną mogłoby przejąć zgrozą.

Garbaty Organista umknął co żywo za kratki szynkwasu, w przechodzie mógł tylko na ucho szepnąć nieznajomemu:

— To on! klucznik zaklętego dworu!

<https://rcin.org.pl>

¹ Szekspir w *Hamlecie* w akt. I, sc. 5.

II

KLUCZNIK ZAKŁĘTEGO DWORU

Nowy, niespodziewany gość, co jak istny *lupus in fabula*¹ pojawił się w najciekawszym toku rozmowy, a tak szczególnie na wszystkich sprawił wrażenie, zatrzymał się chwilę nieruchomo przy drzwiach i badawczem po całej szynkowni potoczył okiem, jakgdyby kogoś szukał lub się czegoś zawahał u wnijscia. A przyznać należy, że cała jego postać i powierzchowność musiałaby niepospolicie i temu nawet zaimponować, ktoby do wszystkich jego tajemniczych stosunków z zakłętym dworem najmniejszego nie przywiązywał znaczenia.

Wzrostem sięgał do samej niemal powały, siłą budowy i dosadnością kształtów mógł z najzawołanszym mierzyć się atletą. Zdawało się niejako, że brakuje mu tylko lwiej łopatki w rękę, a potrafiłby sprawdzić wszystkie biblijne cuda Samsona, sam jeden potykać się z tysiącami przeciwników, mury wywracać z posady.

Z twarzy widać było jednak, iż pewno z okładem przeszedł już krzyżyk piąty. Liczne zmarszczki okrywały czoło i policzki, podgolony dokoła głowy włos przypruszył się znacznie siwizną; tylko wąs krótko podstrzyżony i niesłychanie gęste i krzaczaste brwi zachowały jeszcze pierwotną, czarną jak węgiel barwę.

Na sobie miał zwyczajny w tych stronach strój chłopski, szarą siermięgę, szerokim przepasaną rzemieniem, buty z wywróconemi u góry cholewami, czarny pilśniowy kapelusz z szerokimi krysami i czerwonym sznurkiem dokoła.

— Pal go diabli, to jakiś prawdziwy klucznik czartowski! — wyszepnął nasz nieznamy wędrowiec, który, jak się spodziewać można, w jednej chwili obejrzał go ciekawie od stóp do głowy, a ochłonawszy z pierwszego swego, pomimo-

wolnego jakiegoś wrażenia, posunął się o krok naprzód ku nowoprzybyłemu.

Z reszty obecnych nikt nie śmiał ani spojrzeć na straszego olbrzyma, tylko ów maziarz, co tak głośno doniedawna rej wodził między ryczychowską gromadą, a całej rozmowie o zaklętym dworze w obojętnym przysłuchiwał się milczeniu, porwał się nagle z swego siedzenia, a jakiś zagadkowy wyraz ciekawości i niespokoju przemknął mu po twarzy.

— Jak się macie, Kosciu! — ozwał się poufale — wracacie z Sambora?

Kost' kiwnął głową, na znak potwierdzenia.

— A nie potrzebujecie też mazi? — pytał maziarz dalej, a oczy jego jakieś osobliwsze wyrażały oczekiwanie.

— Nie, nie wyszła mi jeszcze dawniejsza — odpowiedział obojętnie klucznik i obrócił się ku szynkwasowi.

W tej chwili jednak wydawało się naszemu nieznanemu wędrowcowi, który stojąc w pobliżu śledził z uwagą każde poruszenie starego klucznika, że ten jakiś dziwny zagadkowy znak zrobił nagle maziarzowi.

Nieznanomy obrócił się szybko ku maziarzowi i spotkał się z nim oko w oko. I teraz dopiero uderzyła go niepostrzeżona dotąd postać i fizjonomja znanego nam kuma Dmytra.

Nieznanomy cofnął się nagle zdumiony, bo mu się zdało, że i ten w tejże samej chwili wymienił z klucznikiem jakiś tajny znak porozumienia.

— Cóż to może znaczyć? — wycedził przez zęby i badawcze w maziarzu utkwil spojrzenie.

Ale i ten jednocześnie z tak szczególniejszym jakimś wyrazem spojrzał mu w oczy, że nieznanomy nasz wędrowiec w wykrzywionych butach, mimo całej cynicznej¹ niemal zuchowości, jaka z każdego jego tchnęła poruszenia, mimowolnie w dół spuścił oczy.

Chciał coś przemówić, ale maziarz obrócił się już do stołu, i ochoczo i weselo zawołał do swych towarzyszy:

<https://rcin.org.pl>

¹ bezwstydnej.

— No, bywajcie mi zdrowi, panowie gromada, miejcie się dobrze, a co wam nie dostaje, kupcie sobie za gotowe pieniądze.

— Jakto, już jedziecie? — zapytał wójt, Iwan Chudoba.

— Jadę, ale za kilka tygodni będę znowu między wami. Bywajcie zdrowi.

I w jednym momencie uściskał serdecznie wójta, podał rękę kolejno wszystkim siedzącym przy stole i przypadając do szynkwasu, gdzie właśnie olbrzymi klucznik z rąk garbatego Organisty małą blaszaną wychylał miarkę, zawołał prędko:

— Ilem ci winien, mości Organisto?

— Ze wszystkim, z wódką dla gromady, z sianem i owsem dla konia i z moją przygrywką, dziesięć sorokowców¹ jak uciał — odpowiedział Organista, zliczywszy kilka niezgrabnie nabazgranych cyfer na szynkwasio.

Maziarz dobył spory skórzany worek z za pasa, wyrzucił dziesięć sorokowców na stół, zasadził kapelusz głęboko na uszy, jeszcze raz skinieniem głowy pożegnał wszystkich obecnych i jak strzała wypadł z szynkowni.

I znowu zdało się naszemu nieznanemu wędrowcowi, że na samem wyjściu nowy jakiś tajemniczy znak wymienił z klucznikiem.

— Czy się łudzę, czy mię zamroczyło w oczach, — mruknął przez zęby nasz bohater o wykręconych butach — ale mnie się zdaje, że ci dwaj znają się jak lyse konie na jarmarku. A jeden i drugi osobliwszą jakąś ma fizjonomję.

I nagle zwrócił się do żyda.

— Kto jest ten człowiek, co wyszedł teraz? — zapytał.

Stary klucznik miał już właśnie odchodzić od szynkwasu, ale zatrzymał się na to zapytanie i spojrzał uważnie na pytającego.

— To kum Dmytro, maziarz — odpowiedział żyd, któremu obecność starego klucznika zdawała się aż język plątać w gębie.

— A skąd on jest? — pytał dalej nieznamy.

<https://rein.org.pl>

¹ moneta srebrna austriacka, równa dawnym 40 groszom polskim.

— A któż go tam wie — odparł Organista, wzruszając ramionami — wozi wyborną maź od wsi do wsi, sprzedaje taniej niż w mieście, kredytuje każdemu, kto chce i nie chce, a sam wszystko płaci gotówką. Wielce rarytny człowiek, ale niema się czemu dziwić, mówią przecież kto smaruje, ten jedzie po świecie, a on musi najlepiej smarować, bo sam sprzedaje smarowidło.

— Szczególna! — mruknął nieznajomy. — Gdybym był powieściopisarzem, musiałbym tu koniecznie znaleźć zawikłanie do powieści.

I znowu ciekawie wpatrzył się w olbrzymiego klucznika. Nagle jakaś myśl strzeliła mu do głowy.

— Hej. Kostiu! — rzekł żywo, zastępując drogę olbrzymowi.

Klucznik zakłętego dworu przystanął zdziwiony na miejscu, i chmurnem i groźnem okiem spojrzał na nieznajomego, który ni stąd ni zowąd tak poufale zagadnął go po imieniu.

— Wyście tu wozem? — pytał dalej nieznajomy.

— Albo co? — odciął krótko, a wypreżając się surowo w całej postawie, groził powaleć przebić głową.

— Musicie mię wziąć z sobą do Żwirowa!

— Co? jak? — zapytał klucznik tonem człowieka, który nie wie, jak w rogu,¹ co chcą od niego.

Nieznajomy wyprostował się, i odkrzaknął głośno.

— Idę do waszego pana — rzekł z pewnym naciskiem.

Klucznik o krok cofnął się wtył i spojrzał na nieznajomego wzrokiem, który komu innemu niezawodnie poplątałby język w gębie.

— Do kogo? — powtórzył wręście.

— Do waszego dziedzica, mówię.

— Do Żwirowa?

— To jest właściwie do Oparek, bo jak mi powiadają, dziedzic nie mieszka w Żwirowie.

Klucznik coś niezrozumiale mruknął przez zęby.

¹ skrócone, powinno być: będąc głupim jak tabaka w rogu.

Niezbity z toru nieznajomy ciągnął dalej z drwiącą niemal poufałością:

— Otóż mój szanowny Kostiu Buliju, kluczniku zakłętego czy przekłętego dworu, tytułem przyszłej znajomości i przyjaźni musisz podwieść mię do Żwirowa, czyli raczej do tego tam folwarku, jakieś go to nazwał, żydzie? — zwrócił się nagle do Organisty.

— Buczały — przypomniał Organista usłudźnie.

— A prawda, Buczały! Otóż z łaski swojej odwieziecie mię do Buczał, do ekonoma, do mandatarjusza, lub jakiegokolwiek innego czorta, a ten mię już odeszle do dziedzica.

Kost' Bulij z wielką uwagą wpatrzył się w nieznajomego i nie rzekł ani słowa.

— No, jakże?... — pytał tenże, biorąc już swe zawiniątko na plecy.

Klucznik zawahał się czegoś.

— Skądżeto znacie naszego dziedzica? — zapytał po chwili.

— Ho, ho! Szerokoby o tem mówić — zawołał nieznajomy, i rezolutnie pokiwał głową. — Jestem ty a ty z waszym dziedzicem. Kochamy się jak bracia ślubni! dawniej żaden z nas żyć nie mógł jeden bez drugiego!

Organista spojrział na wykrzywione buty i krótkie rękawy nieznajomego i jakoś z niedowierzaniem wydał wargi, klucznik wzruszył ramionami i nie rzekł ani słowa.

Podróżny rozochocił się jakoś do wynurzeń.

— Poczciwy Julek, ani mu się śniło, że będzie kiedyś siedział w milionach! — zaczął na nowo. — Dałbym gardło, że nie wie dotychczas, jak sobie z niemi postępować. Ale ja go wezmę pod moją opiekę! Ho, ho! obaczycie, jak jak go wyfrycuje.

Klucznik znowu wzruszył ramionami.

— Ale co tam — przerwał sobie nagle podróżny. — Jedźmy lepiej! Podwieziecie mię przecież — dorzucił tonem, który żadnej już nie dozwalał odmowy.

— Ta — wybałnął klucznik.

Nieznajomy wywinął sękatą swą łaską młynca w powie-

trzu, poprawił zawiniątko na plecach, czapkę głębiej zasadził na tył i postąpił ochoczo za klucznikiem, który nie mówiąc już ani słowa więcej, zmierzał ku drzwiom.

— A za wódkę? — nagadnął Organista, zachodząc z boku nieznajomemu.

— Później, jak będę kiedy przejeżdżał tędy — odparł niezmieszany nieznajomy, i z takim świstem zamachnął znowu swoją laską, że biedny Organista jak mógł najprędzej cofnął się za swój szynkwias obronny.

Na mostku przed karczmą czekał wysoko wyścielony wóz z podolskim koszem plecionym, uprzężony dwoma rącznymi końmi, których czarna jak węgiel maść niemało w opinii ludu szkodziła ich właścicielowi.

Klucznik z rzadką na swój wiek i swą tuszę zręcznością wskoczył w siedzenie, ale przed nim jeszcze znalazł się już tam nasz nieznajomy.

— Pojedziemy tedy! — rzekł, klepiąc swego woźnicę łaskawie po ramieniu.

Klucznik znowu spojrzał na natręta, ale ten nielada czem dał się, jak to mówią, zbić z pantałyku.¹

— Palicie fajkę? — zagadnął znowu swego woźnicę.

Klucznik potwierdził skinieniem głowy.

— A macie tytoń przy sobie? — ciągnął dalej nieznajomy.

Klucznik zamiast odpowiedzi podał mu kapczuk² napełniony.

— To może i fajkę macie nadoredziu?³

Klucznik wzruszył ramionami, dobył z za pasa zwykłą glinianą, z wierzchu żółtą blachą pobitą fajkę z krótkim drewnianym cybuszkiem i nie mówiąc ani słowa, podał ją swemu towarzyszowi.

— No, jak na klucznika zakłętego czy przekłętego dworu to nie z najlepszej palicie lulki — wtrącił jeszcze podróżny, który, jak widać, nie tak łatwo dał się zadowolić, a nałożyw-

¹ zbić z tropu.

² woreczek na tytoń.

³ pod ręką.

szy fajkę jak mógł najsilniej, zażądał jeszcze hubki i krzesiwa.¹

Klucznik tymczasem coraz żywiej zaciął konie, wóz toczył się szybko po bitym gościńcu, a niebawem stanął na zakręcie do prywatnej drogi ubocznej.

Tu jednocześnie jakaś inna zbaczała fura. Był to mały, słomianą plecionką okryty z wierzchu wóz, uprzążony jednym małym pstrokatym koniem, a powożony przez człowieka, którego twarz zasłaniały szerokie krysy kapelusza. Oba wozy miały się, ocierając jeden o drugi. W tej chwili podniósł głowę woźnica jednokonki, a nasz nieznajomy poznał maziara z ryczychowskiej karczmy. I znowu przysiągłby, że między nim a klucznikiem przeleciał w pośpiechu jakiś nowy tajemny znak porozumienia.

— Ho, ho, to i ten maziarz coś zmierza ku Żwirowu — ozwał się wreszcie, dmąc przed siebie spory kłęb dymu.

Klucznik nic nie odpowiedział, tylko rzucił na pytającego spojrzenie, które zdawało się mówić: Milczże raz, jeśli nie chcesz zlecieć z wozu.

Nieznajomy ucichł, ale nie na długo, rozochocony raz język świerzbiał go nad siły.

— A daleko mamy jeszcze przed sobą? — zapytał po chwili.

— Dobrą milę — odparł klucznik krótko.

— Wasz sędzia oczywiście żonaty?

Klucznik przyznał skinieniem głowy.

— A jak się nazywa?

— Bonifacy Gągolewski.

— Gągolewski! Gągolewski! jakieś gągające nazwisko! Jego właściciel musi koniecznie mieć coś wspólnego z gęsim rodem. A ekonom wasz jak się nazywa?

— Onufry Girgilewicz — odparł klucznik krótko.

Nieznajomy parsknął głośnym śmiechem.

— A to widzę jakaś kolonja gęgotliwych nazwisk. Onufry

¹ z hubki przy pomocy krzesiwa dobywano ognia, przed rozpowszechnieniem się zapalek siarkowych czy fosforowych.

Girgilewicz, Bonifacy Gągolewski! dobrali się obadwaj, niema co mówić. I do któregoż z nich zajechać? Girgilewicz tędy, Gągolewski owędy! Wielce czcigodny dobrodzieju i laskawco, błogosławiony kluczniku przekłętego dworu — ozwał się wreszcie z komiczno-poważnym nastrojem — zawieziesz mię do pana Gągolewskiego, albo jeszcze lepiej do pani Gągolewskiej, *nota bene*,¹ jeśli warta grzechu.

Niezażegnany niczem dobry humor nieznajomego zdawał się ugłaskiwać potrosze samego nawet ponurego klucznika, przynajmniej nietyłe już niechęci i surowości malowało się w jego spojrzeniach.

— A cóż, nie dojedziemy dziś do tego Żwirowa? — ozwał się znowu nieznajomy po długim przestanku.

— Z tego tam pagórka ujrzymy już dwór — odpowiedział klucznik i raźniej zaciął konie.

— Prawdziwie zaklęty dwór, bo zakłęcie daleko do niego. Klucznik znowu zaciął konie.

Nieznajomy coś niezrozumiale mruknął przez zęby. Spojrzał zboku na klucznika i jakby się czegoś zawahał. Nagle machnął ręką i ozwał się nanowo:

— Czy dwór ten dawno już stoi pusto?

— Od lat pięciu — odpowiedział klucznik, a jakoś mimowolnie silniej zmarszczył czoło.

— Jakto od lat pięciu? kiedy dopiero trzy lata, jak nowy dziedzic objął w posiadanie.

— Tak; ale nieboszczyk JW. Starościc, świeć Panie jego duszy, — przemówił klucznik uroczystym głosem — na dwa lata przed swym zgonem wyjechał był zagranicę.

— I gdzież umarł?

— W Dreźnie — odpowiedział starzec szybko, jakby chciał przykre jakieś przytłumić wspomnienie.

— A wyście byli przy jego śmierci?

— Skonał na moim ręku — odparł szorstko prawie, obrażony i zdziwiony tem zapytaniem.

— Spoczął tedy na obcej ziemi! — ciągnął podróżny dalej.

¹ rozumie się.

— Przeciwnie, w ostatniej swej woli kazał pochować się w Żwirowie i ja sam przywiozłem tu trupa.

— A nie miałże ani dzieci, ani żadnych bliższych krewnych, kiedy cały majątek zupełnie niemal obcemu zostawił imiennikowi?

— Ś. p. JW. Starościc był nieżonatym — odpowiedział klucznik z ciężkiem westchnieniem.

— Ale to nie przeszkadzało mu przecież mieć braci, siostry, synowców, siostrzeńców, synowice, siostrzenice. Bez tych przydatków trudno sobie nawet pomyśleć bezdzietnego bogacza.

Klucznikowi widocznie przykrą była cała ta rozmowa, twarz jego więcej jeszcze ponury przybrała wyraz, a i głos zdawał się twardszym i surowszym.

— Nieboszczyk miał przyrodniego brata, ale...

— Ale? — podchwycił nieznajomy.

— Nie lubił go — odparł klucznik krótko.

— I nie zapisał mu nic zgoła?

— Ani złamanego szeląga.

— A brat ten żyje?

— Mieszka o półtora mili od Żwirowa, w Orkizowie.

— Tam do katal jakże ten przyjął nowego dziedzica?

— Dowiedzie się to najlepiej od niego samego — odciął klucznik tonem, który zdawał się wypraszać sobie wszelkie dalsze zapytania.

Niezrażony niczem podróżny chciał na nowo podchwycić wątek rozmowy. Ale w tej chwili wóz wtoczył się na pagórek, a w niezbyt dalekiej odległości odsłonił się nagle upragniony widok żwirowskiego dworu.

Nieznajomy aż podskoczył w siedzeniu i chciwie wypatrzył się przed siebie. Słońce już przed półgodziną skryło się za góry i zmrok już stopniowo osłaniał ziemię.

Z tem wszystkiem dwór żwirowski w dość wyraźnych przedstawiał się zarysach. Był to okazały jednopiętrowy gmach murowany, z dwoma naprzód wybiegającymi skrzydłami, z wspaniałym gankiem, o sześciu słupach kręconych na froncie. Ztyłu ocieniał go szeroko sad owocowy, który po jednej

stronie łączył się z niewielkim sosnowym gaikiem, z przodu gnał się otoczony ostrokołem¹ dziedziniec, z ogromnym klombem pośrodku. U boku, w głębi dziedzińca, poza szpalerem z lip i dzikich kasztanów, wyzierały obszerne, również jednopiętrowe oficyny.

Zdaleka przy zapadającym zmroku nie widać było żadnego zniszczenia ani w gmachu samym, ani w dziedzińcu i oficynach, i trudno by się nawet domysleć, że stoi zupełnie pusty i niezamieszany.

— Toż tedy ów dwór zaklęty? — wykrzyknął nieznajomy.

Klucznik zamiast odpowiedzi zaciął konie.

— Dalibóg wcale niestrasznie wygląda zdaleka! — mruknął nieznajomy po chwili milczenia.

— Głupców własny cień straszy — przemówił Kost Bulij.

— A gdzie wy mieszkacie z waszemi kluczami?

— Mam osobną zagrodę za gajem ogrodowym.

— A wyście żonaci? — zapytał dalej nieznajomy, nie dając się zrazić lakonicznością² otrzymywanych odpowiedzi.

— Nie.

— Mieszkacie sam jeden?

Klucznik nic już nie odpowiedział. Wjechał w szeroką, gęstemi rzędy dzikich kasztanów ocienioną ulicę, a nagle zakręcił na wąski wygon uboczny.

— Gdzieżto zawracacie? — zagadnął nieznajomy.

— Podwiozę pana do Buczał.

— A taż ulica kasztanowa?

— Prowadzi do dworu.

Nieznajomemu strzeliła jakaś myśl nagle.

— Hej, stójcie — zawołał żywo. Wieście mię raczej do dworu. Oglądnę to zaklęte miejsce, przenocuję u was, a jutro ze świtem pójdę sobie piechoto³ do Oparek.

— Pójdź sobie pan, gdzie cię lichy poniesie — wybuchnął

¹ płot z kołów, w górze zaostzonych.

² zwięzłością.

³ przysłówek używany na kresach (także przez Mickiewicza) zam. piechotę.

obcesowo zniecierpliwiony do najwyższego klucznik — tylko odczep się odemnie!

Nieznajomy nabiegł krwią cały i z impetem chwycił za swą łaskę sękatą.

— Ho, ho, bratku — zawołał z zuchwałą, buńdiuczną miną — zaczynacie się gniewać, jak widzę.

Kość Bulij zmierzył swego towarzysza napół groźnem, napół pogardliwem spojrzeniem, wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

W tem przypadkowo rzucił na bok okiem, i w jednej chwili jakaś szczególniejsza zaszła w nim zmiana. Wszystkie krew wezbrała mu do głowy, brwi mocniej ściągnął pod czołem, wargi z zacieklą przygryzł złością, a z oczu groźna wymknęła się błyskawica.

Nieznajomy mimowolnie spojrzał w tę stronę, zapominając z nagłego zdziwienia o swej własnej urazie.

O kilka kroków na przedzie, tuż przy samym gościńcu, wznosił się na małym kopcu stary, pochylony napół krzyż drewniany, a o niego stał plecyma oparty jakiś człowiek w chłopskim stroju.

Nie wyglądał na żebraka, choć gruba i brudna na nim płótnianka w rozliczne strzępiła się dziury, słomiany, okopcony kapelusz był bez dna prawie, a z wydeptanych chodaków bose wyzierały nogi.

Był to widocznie jeden z nielicznych jeszcze wówczas proletarjuszów wiejskich, co nie mając sami gruntów, nie potrzebowali robić pańszczyzny, a jeśli uszli poboru wojskowego, lub w stałą gdzie nie najęli się służbę, stawali się ciężarem i plagą nie tylko wsi własnej, ale i całej nieraz okolicy.

Był to zresztą niepierwszej już młodości człowiek; mógł mieć lat blisko czterdzieści, a twarz jego dziwnie nieprzyjemny i odrażający nosiła wyraz. Jedno oko zdawało się spoczywać głębiej od drugiego, nos krótki, zadarty u spodu, a przyplaszczony w górze, miał w sobie coś nieludzkiego, lubo godził się dobrze z niezwykle wystającymi jagodami i spiczastą brodą. Małe, wklęsłe, zielonkawe oczy, włos jaskrawo rude i tyjące blizn po ospie uzupełniały całość fizjonomji.

Stojąc oparty o krzyż drewniany, z zagadkowym zajęciem śledził każde poruszenie toczącego się ku niemu wozu, a prawdziwie szatański wyraz fizjonomji podnosił się jeszcze, im więcej zbliżał się wóz.

Na zaciśniętych ustach igrał mu uśmiech zapamiętałej złośliwości, oczy migotały złowrogo w swych głębokich jamach.

— Kto jest ten człowiek? — zapytał mimowolnie nasz nieznamy.

Kość Bulij nic nie odpowiedział, tylko raźniej zaciął konie, jakby conajrychlej chciał ominąć figurę.

Człowiek pod krzyżem zaśmiał się dziko, a śmiech ten miał wielkie podobieństwo do przytłumionego wycia wilka.

Klucznik jakieś okropne wybąknął przekleństwo i znowu popędził konie.

Wóz już mijał figurę, kiedy nagle, jakby syk gadziny, ozwał się głos obdartusa:

— Powoli, powoli. Kościu Buliju, abyście karku nie skreślił przed czasem. A nie zapominajcie o Jurku Ołańczuku!

Klucznik nowe dzikie wyrzucił przekleństwo, i co sił stało zaciął konie, a jakby nie słyszał licznych wykrzyków i zapytań swego towarzysza, nie obejrzał się nawet, aż przy zupełnie zapadłym zmroku stanęli u kresu podróży w Buczałach.

III

Ś. P. MANDATARJUSZ GALICYJSKI

Mieszkanie mandatarjusza, prześwietne dominjum¹ w języku urzędowym, stało tuż przy drodze w niewielkiej odległości od zabudowań folwarcznych, opasanych dokoła wysokim, ociernionym w górze płotem.

Był to niepokąźny, gontem pobity budynek, i gdyby nie-

¹ dominjum nazywano większą własność ziemską, za dawnej jednak administracji austriackiej również miejsce zamieszkania mandatarjusza.

przyparte w zatyle przymurowanie z osobnemi dębowymi drzwiami i dwoma małemi, słomą zatkanemi otworami po bokach, aniby domysleć się można, że to siedziba jurysdykcji¹ całego żwirowskiego klucza. Rodzaj ten lamusu, ochrzczonego techniczną nazwą aresztu dominikalnego,² starczył razem za napis i całą zewnętrzną wystawę urzędu, który z tem wszystkim niepospolitej używał powagi i niesłychany wzbudzał szacunek.

Co ma odżyć w pieśni, musi zagać w życiu, powiedział poeta,³ a na szczęście mandatarjusz i jego urząd dopełnili tego niezbędnego warunku, i można już śmiało ich obrać za przedmiot powieściowego obrobienia. A po prawdzie potrzeba spieszyć się z tem przedsięwzięciem, bo dla najbliższych już czasów, dla najbliższego pokolenia stanie się nasz niedawny mandatarjusz, podobnie jak komornik,⁴ istną figurą mitologiczną, rzeczywistem bajecznem wspomnieniem przeszłości, że niepodobna będzie uwierzyć nawet w jego egzystencję, zrozumieć jego stanowiska, pojąć jego zakresu działania. I jak Cooper⁵ mienił się szczęśliwym, że widział i słyszał ostatniego Mohikana, tak niebawem każdy za podwójne poczyta sobie szczęście, kto ujrzy i usłyszy ostatniego mandatarjusza.

Pomiędzy wszystkimi osobliwościami czysto galicyjskimi mandatarjusz był niezaprzeczenie jedną z najciekawszych.

Zajmował on tak szczególniejsze w społeczeństwie naszym stanowisko, a miał tak właściwy zakres działania, że koniecznie musiał urobić się w pewien typ odrębny, przybrać pewne cechy i znamiona charakterystyczne.

Napoly oficjalista prywatny, napoly urzędnik publiczny, tak niby ni pies ni ryba, musiał całe życie chwiać się pomię-

¹ władzy sądowniczej, dworskiej i państwowej.

² dominikalny: należący do dominjum.

³ za Schillerem przytoczył Mickiewicz na czele *Sonetów krymskich*.

⁴ urzędnik do wykonywania wyroków sądowych.

⁵ Cooper Jakób Fenimore (1789—1851) powieściopisarz amerykański, jeden z najzdolniejszych naśladowców Waltera Scotta w romansie historycznym, autor *Ostatniego Mohikanina*.

dzy dwoma przeciwnymi siłami, balansować wpośrodku dwóch przeciwnych ciężarów, kurczyć się między młotem a kowadłem.

Płatny i zawisły od dziedzica, podległy władzy obwodowej,¹ a przełożony nad chłopem i żydem, upadał pod brzemieniem potrójnych obowiązków. Musiał po pierwsze dogadzać każdemu kapryswi, każdemu zachceniowi dziedzica, powtórnie mydlić ustawicznie oczy władzy, a po trzecie skubać co się dało chłopu i żyda: a najczęściej wszystkie te trzy obowiązki spływały się naraz. Na tem też właściwie polegał cały talent, cała zręczność mandatarjusza, aby w jednej i tej samej chwili pochlebić się i jaśnie wielmożnemu panu, i zyskać reskrypt² pochwalny od starosty i jakąś okrągłą sumkę, jakiś akcydensik³ nieszeptny capnąć do własnej kieszeni.

Z historii naturalnej znamy pewną klasę zwierząt, zwanych amfibjami,⁴ które mogą zarówno żyć na lądzie i w wodzie.

Mandatarjuszowi nie wystarczały obie te własności; obok natury amfibjów musiał mieć jeszcze w naddatku coś z przymiotów bajecznego salamandra.⁵ Nie dość było dla niego umieć żyć zarówno w wodzie, jak i na lądzie, potrzebował jeszcze, jak salamandra, żyć w ogniu. Musiał wszelkimi siłami utrzymywać się na chwiejnym lądzie swego anomального⁶ stanowiska, przebijając się przez powódź najróżnorodniejszych przeciwności, a nadto opierać się jeszcze ogniewi pańskich gniewów, chłopskich skarg i cyrkularnych⁷ komisyj.

— Pod utratą służby nie pozwól się aspan żenić Kiryle Harahucowi — nakazywał dziedzic peremptorycznie.⁸

— W przeciągu dwudziestu czterech godzin udzielić konsens⁹ ślubny Kiryle Harabusowi, albo wytłumaczyć się ze słu-

¹ niem. Kreisamt, zob. str. 5, przyp. 2.

² rozporządzenie władzy wyższej.

³ dochód postronny, często nieprawy. ⁴ gady.

⁵ wedle podania salamandra może żyć nawet w ogniu; tu wyrażenie to użyte w tem znaczeniu, że mandatarjusz umiał zachować się nawet w najgorętszej sytuacji.

⁶ wyjątkowego.

⁷ z cyrkulu, okręgowo.

⁸ stanowczo.

⁹ pozwolenie.

sznych i prawnie uzasadnionych przyczyn odmowy — upominał cyrkuł.

— Pozwól mi się żenić, wielmożny sędzio, z Jawdoszką Kogucianką, a przyniosę ci korowaj,¹ jak krakowska brama, i krowę boczaśtą dam na rozplodek i czterdzieści sorokowców za papier i podpis — błagał małoletni Kiryło Harahuc.

Mandatarjusz zgiał się we dwoje przed groźbą dziedzica, skrzywił się jak po łyżce pieprzu na reskrypt cyrkularny, a aż się zakrztusił pożądliwą ślinką na walną obietnicę Kiryły.

— Pał djabli taką służbę! — mruczał w rozdrażnieniu i co mógł nakłął dziedzicowi w myślach, nawyzywał na cyrkuł, ale potem jak zaczął się bić z myślami, kręcić, mataczyć, frymarczyć, aż koniecznie jakiś rozjemczy znalazł się środek, a tak i dziedzic się udobruchał, i cyrkuł przymilkł i krowa stanęła w oborze, i czterdzieści sorokowców wpłynęło *ad acta*.²

— Bo to zdatny mandatarjusz, mospanie, — zwykł mawiać sam o sobie — to djabłu podkowę urwie z kopyta i jeszcze na dobrą kreskę zarobi sobie w piekle.

I w samej rzeczy potrzeba było takiej zdatności, aby z biedą utrzymać się na swem anomalnem stanowisku, podolać swym drażliwym obowiązkom.

Cale czynne życie mandatarjusza było tylko jednym pasmem walk między dziedzicem a wymaganiami władzy, a podnietami własnego interesu. Potrzeba było zawsze godzić jedno z drugim, a nie zapomnieć nigdy o trzecim. Zawisły bezwzględnie od humorów pańskich, zawsze niepewny jutra, dziś tu, jutro tam, wnet w takim, wnet w owakim kłopotcie, wnet w tej wnet w owej komisji, podobny był mandatarjusz do zręcznego kuglarza, co całe swe życie musi balansować na chwiejnej, w powietrzu uwieszonej tyce, lub toczyć się bez wychylenia po kuli w górę i na dół, w prawo i w lewo.

Niech mu się raz tylko powinęła noga, a skręcił kark nieochybnie. Bardzo często z kancelarji dominikalnej wiódł prosty jak sznurek manowiec na śliskie bezdroża, lecz częściej

¹ kolacz rus. ² wki

² do aktów; w

jeszcze mandatarjusz na stare lata wypoczywał, gospodarując na własnej wiosce, lub brał całe klucze¹ w dzierżawę, lub wreszcie osiadał w miasteczkach i w różne zyskowne zapuszczał się spekulacje: bawił się lichewką, skupywał suche a przewoził wilgotne zboże, podejmował się dostaw dla wojska lub w ostatecznym razie zaczął rzemiosło pokątnego pisarza...

— Brać, co się daje! — było zasadą, hasłem, godłem mandatarjusza.

Chodziło tylko o to, aby umieć drzyć lyko, aby broń Boże nie pominąć żadnej korzystnej sposobności.

— Brać, kiedy samo pcha się w kieszeń, to lada dureń potrafi, — mawiał z dumą stary mandatarjusz — ale z zaciśniętego capnąć kułaka, do zaszytej dobrać się kabzy,² to mi sztuka i zasługa! Zdątnemu mandatarjuszowi powinny szydła golić, kiedy innym brzytwy nie zechcą.

A już co pod tym względem to pan Bonifacy Gągolewski, mandatarjusz i policajrichter³ żywirowskiego dominjum, z którym niebawem poznamy czytelników, mistrz nad mistrzami, co się zowie! Niedarmo uchodził za najtęższego mandatarjusza w całym obwodzie, a od dwudziestu lat potrafił utrzymać się na jednym miejscu.

Toż słuchać i drukować tylko, co o nim rozpowiadano w okolicy!

— Pan sędzia żywirowski i z kamienia pieniędzy wyciśnie, jak zechce. — A co się djabłu w gorączce nie przyśni, to on na jawie wymyśli — mawiali chłopi z jego okręgu.

I w samej rzeczy nikt na bożym świecie nie potrafiłby lepiej wyzyskać i wyeksploatować tej szczypty władzy, jaka do jego mandatarjuszowskiej przywijała się godności.

Przy tem wszystkiem odróżniał się jednym zaszczytnym przymiotem.

Brał, ale zawsze zrobił o co chodziło, kiedy przeciwnie inni w każdym razie wzięli, a mało kiedy co zrobili.

¹ wielki majątek ziemski, składający się z pewnej liczby wsi.

² woreczek.

³ mandatarjusz miał władzę sądowo-policyjną nad podległymi włościanami, oczywiście tylko w mniejszych sprawach.

Przy takim jednak trybie urzędowania nie mogło się obejść bez częstych groźnych chmur na horyzoncie; nieraz pan mandatarjusz zabrnął w kłopoty po uszy, a kilka naraz śledztw i komisyj zawisło mu nad karkiem. Ale od czegoż znowu był dekret mandatarjuszowski w kieszeni, a blisko trzydziestoletnia praktyka w głowie: pan Gągolewski wysliznął się zawsze suchą nogą bez szwanku, często jeszcze z nowym reskryptem pochwalnym, zawsze zaś z zyskiem materjalnym w przydatku.

Niech tylko jakakolwiek zagroziła mu komisja, pan mandatarjusz zapowiadał zaraz szesnastu wójtom swego okręgu:

— Za dni kilka zjedzie komisarz w sprawach gromadzkich.¹ Oczywiście zagości wprost do mnie, a mnie ptaki z nieba nie znoszą, za jakie lichy mam go żywić! Potrzeba mi kilka kapłonów, wina, cukru, rumu, kawy, herbaty, rozumiecie!

Wójtowie pokłonili się aż do ziemi, nazajutrz zbierali składki od kolka do kolka² po wsi, a za dwa, trzy dni przybywał do dominjum z każdej wsi posłaniec gromadzki i pokornie składał w ręce pani sędziny pół tuzina kapłonów, flaszkę rumu, oko³ cukru i kawy, funt herbaty i kilka butelek wina.

Nietrudno było przy takich źródłach dochodu przyjąć po hrabsku zapowiedzianego komisarza, a nadto jednać sobie mnogimi prezentami wszystkich urzędników cyrkularnych.

Bo jużto pan Gągolewski starał się z całym cyrkułem na jak najlepszej żyć zawsze stopie.

Najpośledniejszego kancelistę tytułował komisarzem, a jak się sam pokazał w mieście, to fundy i traktamenta nie miały końca.

Dzięki tej szczodrośliwości pan Gągolewski wiedział zawsze o każdym grożącym sobie niebezpieczeństwie, o każdej przeciw sobie wymierzonej skardze, nim jeszcze weszły do protokołu i nim przedwstępne odbyły się formalności. To też nigdy nie dał się zaskoczyć znienacka, a drwił w żywe oczy i z najgroźniejszego przeciwnika.

¹ mieszkańców gminy, wsi.

² z łac.: a capite ad calcem t. zn. od małego do wielkiego.

³ trzy funty.

Nie było nadto choćby i najsurowszych zasad urzędnika, któremu by sam w jakiś dowcipny sposób nie umiał wetknąć kubana.

Pan komisarz X. naprzykład nie wziąłby złamanego szeląga od rodzzonego ojca, pan Gągolewski potrafił jednak znaczną sumkę przegrać do niego w karty. Pan koncepista¹ Y. wyskoczyłby ze skóry, gdyby mu kto najmniejszy ośmielił się ofiarować prezent, pan Gągolewski umiał odprzedać mu jakąś niezrównaną dubeltówkę, jakby jej taniej nie mógł znaleźć na gościńcu. Temu odstąpił jakiś serwis srebrny niby za psie pieniądze kupiony na licytacji, z innym z widoczną stratą zamieniał się na futro, do innego wreszcie za bezcen przełrymarchzył zegarek. I każdego podszedł z innej beczki i ujął sobie czy chciał czy nie chciał, czy takim czy owakim fortelem.

Niezachwiany też nigdy na swem stanowisku, jednakim zawsze urzędował trybem.

Drugą pensję opłacali mu sami żydowscy arendarze, boć pan mandatarjusz, choć cały kurs swej edukacji odbył jedynie w bazylijańskiej normalce² w Drohobyczu. znał na palcach ustawy, szczególnie te paragrafy, które żydom zabraniały mieszkają po wsiach, trzymać chrześcijańskie sługi itp. A zresztą za cóż dawał arendarzom swego dominikałnego policjanta, aby u chłopów zaległe egzekwować lichwy?

Ryby na Boże Narodzenie, wino, jaja, mięso, cukier i korzenie na Wielkanoc szły swoją drogą, a pieniężne interesa osobno.

— Tamto, *drańcie*³ — mawiał pan mandatarjusz — to powinność, na odwiecznym oparta obyczaju, to do mojej ordynarji⁴ należy; w innych interesach jakbyśmy się nie znali.

A nie chciał kto rozumieć się na rzeczy dobrowolnie, to mandatarjusz znalazł już środek, aby mu przypomnieć swoją moc i swoje znaczenie.

¹ referent biurowy.

² z niem. Normalschule: szkoła powszechna, początkowa.

³ *drańcie* z ukr. *hultaj*.

⁴ część wynagrodzenia danego służbie w naturze.

Ot w Horbaczach umarł pierwszy bogacz we wsi, co posiadał aż dwa grunta pańszczyńniane, a jedno soltystwo. Wdowa i syn myśleli, że przy pogrzebie można obejść się bez pana sędziego, ale pan sędzia namotał sobie na wasie pozostałe po nieboszczyku talary.

— Pogadamy z sobą — szepnęła i przygryzła wargi, a to zawsze groziło niemałym niebezpieczeństwem.

I oto wszystko już gotowe do pogrzebu, z całej okolicy zbiegli się ludzie na sutą stypę,¹ sześciu księży zaproszonych mają śpiewać parastasy,² aż wtem, jak wilk drapieżny, zjawia się pan mandatarjusz, a wszyscy potruchleli ze strachu.

Widać już z surowego marsa na czole i z przybranego towarzystwa wójta i policjanta, że z ważnem jakimś przybywa postanowieniem.

— Nic z pogrzebu — przemówił surowo do przerażonej wdowy. — Zaszła skarga do dominjum, że nieboszczyk nie umarł naturalną śmiercią.

Prze bóg żywy, toć od roku dogorywał na suchoty! — tłumaczyła wdowa, krewni, sąsiedzi.

— Nic nie znaczy, zaszła skarga, a ja muszę pełnić mój obowiązek, nieboszczyk zostanie niepochoowany, aż zjadą lekarze, pokrają w sztuki trupa i przekonają się dokumentnie, czy rzeczywiście gwałtowną nie umarł śmiercią.

Piorun z jasnego nieba nie mógł silnie ugodzić w krewnych i przyjaciół nieboszczyka. Jaka hańba! pogrzeb wstrzymany, śledztwo wytoczone, a nadto wszystko jeszcze, mają nieboszczyka, jak nieprzymierzając wieprza, krajać po śmierci, wertować w jego wnętrznościach.

— Zmiłuj się, łaskawy sędzio! — wołają wszyscy chórem.

Ale pan sędzia jeszcze w pasję wpada, grozi aresztem, kryminałem, że aż włosy stają na głowie.

Na szczęście nawinął się skądś diak porządnie już pijany, ale z tem wszystkiem domyślniejszy od innych. Wziął babinę na stronę, i nuż jej coś wykladać pocichu, a ta jakby

¹ uczyła pogrzebową.

² modlitwa czytana w cerkwi za nieboszczyka.

cudem opamiętała się w trwodze, poprosiła do izby wielmożnego sędziego i coś z nim krótko poszeptowała.

— No, kiedy tak, to co innego — mówił głośno z urzędową powagą, pokiwując pompatycznie głową. — Można pochować nieboszczyka, a jakby kryminal¹ chciał urgować,² to ja temu jakoś zaradzę.

A zaledwie zadowolniony powrócił do domu, aż tu nowa nawija się grzanka. U Hrycia Gieregi z Szypalówki przytrzymano parę kradzionych koni.

— Gierega galgan, nie wydusi z niego ani złamanego szeląga, — mruknął pan mandatarjusz w zamyśleniu — ale od właściciela koni kapnie dziesiątka! Ho, ho — dorzucił nagle z impetem i potarł czuprynę. — Gierega ma bogatego sąsiada, Iwana Maciuryna. Tego trzeba skubnąć należycie!

I tej samej chwili spieszny mandat do Szypalówki, aby Iwan Maciuryn w sprawie kryminalnej natychmiast stawił się do protokołu.

Biedny Maciuryn we dwoje zgarbił się z przestachu, bo wie już zgóry, czem pachnie protokół w dominjum. Nieborak Bogu ducha winien, a zafrasował się, jakby naprawdę popełnił jaką zbrodnię. Nie namyślając się długo, dwie tuczne gęsi wsadził w kobiałkę, złowrogi mandat ukrył w zanadrze, i dalej z ciężką kobiałką a cięższem jeszcze sercem spieszył na rozkazy prześwietnej dominji.

W brudnej kancelarji, przy kiwającym się, zabazgranym inkaustem³ stoliku, siedział pan mandatarjusz z ogromnem piórem za uchem, a tak groźnie spojrzał na nowoprzybyłego, że biedakowi aż oddech zamarł w krtani. Chwycił za kolana wielmożnego sędziego, ale ten mało mu zęby nie wybił obcasem.

— Precz, złodzieju! — krzyknął z szlachetnem oburzeniem. — Takiemu bogaczowi konie kraść!

Iwanowi Maciurynowi kolana załamały się z przestachu.

— W imię Ojca i Syna... — przeżegnał się całą pięścią.

— Nie mnie to wywiedziesz w pole, stary łotrze! — pio-

¹ wyrażenie ludowe: sąd karny. ² naglić.

³ atrament, z grec. enkauston.

runował mandatarjusz dalej. — U Hrycia Gieregi znaleziono parę koni kradzionych. Tyś wiedział o tem złodziejstwie!

— Prze bóg żywy — chciał zapierać się Maciuryn.

Ale pan sędzia nie dał mu dokończyć.

— Milcz — przerwał gromowym głosem. — Przysłowie mówi: wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi! tyś sąsiadem Gieregi, musiałeś więc wiedzieć o jego kradzieży.

Przestraszony tak dosadnym argumentem Maciuryn, płakiem padł do nóg panu sędziemu i przyrzekł dwa korce czystej jak złoto pszenicy, byle go tylko wybawił z tej kalamancji, w którą go znać jakaś zła mara wplątała.

Pan mandatarjusz zamyślił się głęboko, brwi podciągnął w górę, a potem pokiwał głową i przemówił łaskawiej:

— No idź, idź, durniu, i przywoź pszenicę, a jakoś to będzie. Tylko miarę daj dobrą, łotrze — dodał jeszcze na pożegnanie.

Lecz dokądżeby zaprowadziło chcieć spisywać wszystkie takie i tem podobne sprawy pana sędziego? do tego by pewnie niejedna, ale kilka wołowych nie wystarczyło skór.

Wszakże wszystko to było niczem jeszcze w porównaniu z tryumfami, jakie odnosił rok rocznie w ważnej epoce rekrutacji, tego prawdziwego niewodu¹ dla rybołówczej przebiegłości mandatarjuszowskiej.

— Rekrutacja, to nasz jubileusz — mawiał sam pan Gągolewski. — Dla samej rekrutacji warto już być mandatarjuszem.

Na kilka tygodni przed tem swem żniwem błogosławionem, pan sędzia złoty już dostawał humor, a kiedy przyszło do wypracowania pierwszych list konskrypcyjnych² i innych zwyczajnych wykazów i sprawozdań, to jakby nagle o dziesięć lat odmłodził.

Sam nie zajmował się nigdy niezbędnymi wyrobami urzędowymi, wszystko to spoczywało na głowie aktuarjusza.³ Pan sędzia osobiście śleczął nad innemi wykazami i wypracowaniami, układał wcale innego rodzaju listy.

¹ sieć rybacka.

² spis poborowych do wojska.

³ spisujący akt urzędowy, pisarz.

— Taksuję moją trzodkę — mawiał sam do siebie.

Naprzód wyróżniał wszystkich takich, za którymi żadne nie przemawiały nadzieje i którymi potrzeba było pokryć przepisany na dominjum kontyngent,¹ a na resztę nakładał pogłówny² okup, odpowiedni zasobom każdego zosobna.

— Pańko Duma da tyle i tyle, Hawryło Ławryk, Harysym Cap, Dmytro Kowal tyle a tyle — zapisywał z ścisłą dokładnością do swych regestrów; a łatwiejby djabłu kupioną wydrzeć duszę, niż czcigodnemu sędziemu wytargować jeden szeląg z uchwalonego okupu.

Bo też arcydowcipne wynajdował sposoby, aby zgóry przyszłych rekrutów piekielnym przejąć popłochem i ułatwić sobie egzekucję rozłożonych haraczów.

Regularnie przed każdą rekrutacją wydawał formalną wojnę któremuś z mocarstw europejskich, a czasami nawet i azjatyckich. W jednym roku wszczywał spór z Francją, w drugim gotował się do zaboru Anglii, w trzecim najeżdżał Rosję, a w najgorszym razie wyprawiał się aż na Turków i tak strasznych w podaniach ludowych Tatarów.

— Bieda — mawiał z zafrasowaną miną do zgromadzonych na tygodniowej sesji wójtów — rekrutacja będzie strasznie surowa, bo nasz cesarz pójdzie na Francuzą, a z Francuzem to rzecz niełatwa! Hohoho, niejednego to trzeba będzie żołnierza.

I tak szło porządkiem co roku, z tą tylko różnicą, że innym razem pan mandatarjusz zamiast Francuzów gotował się zawojować Anglików, Prusaków, Rosjan, w najgorszym razie spieszył jakąś okropną wewnętrzną przytłumiać rewolucję. A dopiero po takiej pogłosce tłoczyli się do pana sędziego ojcowie, matki, krewni i przyjaciele zapisanych na liście kon-skrypcyjnej parobków.

— Wielmożny sędzio, nie bierz mego syna, miej wzgląd na mego jedynaka, ratuj mi wnuka — zawodzili w niebogłosy.

¹ tu w znaczeniu określonej ilości nowych żołnierzy, którzy co rok mają być zaciągnięci do wojska.

² od głowy, t. zn. od każdej osoby.

Pan mandatarjusz miał dla wszystkich jedną tylko od powiedź.

— Gotujcie pieniądze na doktora i inne ekspensa.¹

Zachodziło teraz pytanie, ile potrzeba było na to wszystko. Pan mandatarjusz nie zdradzał zgóry swych taks ułożonych, i, aby zachować pewien pozór słuszności i sumienności, kazał sobie przyprowadzić każdego z zagrożonych z osobna i każdego oglądał ze wszystkich stron, jak mógł najdokładniej. Wszakże wszystkie te oglądania prowadziły do jednego zawsze wniosku:

— Zda się jak w palce trzasł!

I teraz dopiero zaczęły się właściwe targi i układy.

Pan sędzia każdemu jakąś inną przykładał wadę, i za taką a taką sumę obowiązywał się wyjednać, że i cała komisja rekrutacyjna zgodzi się z jego zdaniem.

— Ty, Hawryło, będziesz utykał na nogę od urodzenia. Tobie, Mykita, czasami w uszach zastępuje,² ty, Jurko, masz żebra złamane. Ale na to wszystko potrzeba przynajmniej po trzydzieści reńskich od każdego.

— Aj, to zawiele! proszę wielmożnego sędziego — ważył się odezwać ten i ów nieśmiało.

— Zawiele, lotrze, aby ci zdrowe złamać żebro. prostą wywichnąć nogę! — piorunował pan mandatarjusz w gniewie i indygnacji.³

Po takim argumencie nie uchodził już żaden w świecie zarzut. Pan sędzia gotów był rozgniewać się i odmówić zupełnie swej pomocy.

Biedny chłopiek aż do krwi wydrapał się za uchem, a koniec końców, choćby ostatnią przyszło mu sprzedać krowę, postarał się o żadaną sumę, aby tylko ocalić zagrożonego syna.

W niektórych szczególnych wypadkach pan sędzia nie ograniczał się na tej jedynie taktyce.

Przywołał do siebie poufnie zafrasowanego ojca i niejako tonem serdecznego politowania i współczucia przemówił do niego pod największym sekretem:

¹ wydatki.

² zatyka ci uszy, jesteś głuchy.

³ oburzeniu.

— Żle, mój Matwiju Salamacho. Na twego syna uwzięli się tam.

Struchlał biedny Salamacha.

— Gdzie? proszę wielmożnego sędziego — ważył się zapytać drżącym głosem.

— Tam, w *Werbbecyrku*¹ — odpowiedział mandatarjusz uroczyście. — Oto przypatrz się: dwa razy czerwonym ołówkiem podkreślili twego syna!

I przy tych słowach podsunął napół nieżywemu Salamache pod sam nos listę konskrypcyjną, gdzie w jednym miejscu uderzały dwie grube kreski czerwone.

— Widzisz tu, twój syn, Jurko Salamacha, z pod numeru 47 — ciągnął z uroczystą powagą, wodząc palcem ponad kreskami — a tu go podkreślili, ma to znaczyć, że chcą go wziąć koniecznie. Zapewne ten oficer, co przed dwoma laty był tu na konskrypcji, wyświadczył ci taką przysługę.

— Bogdajby go Pan Bóg skarał — wyjęknął stary Salamacha żałościwie, i ledwo mu oczy nie wylazły, tak oczami wpatrzył się w te zagadkowe dla niego znaki. — Za cóż on nastał na moją zgubę!

Pan sędzia wzruszył tylko ramionami.

— Ach, wielmożny panie, czy nie masz już żadnego ratunku? — zawodził dalej przerażony ojciec.

— Wiesz co, mój dobry Salamacho, jeśli nie masz czem grubo poforsować, aby go wybawić na złość *werbbecyrkowi*, to daj odrazu wszystkiemu pokój. Poddaj się losowi i siedź cicho!

— Ach, wielmożny panie, toż to mój jedynak! a do tego i niezdatny, ma krzywe nogi.

— Ej, co tam nogi! ale ręce ma proste, a przecież rękami dźwiga się karabin.

Biedny Salamacha nie ma już na to odpowiedzi. Duszo mu się zrobiło, kiedy posłyszał, jak wielkiej potrzeba kwoty, aby zapobiec grożącemu niebezpieczeństwu. Lecz choćby miał

¹ budynek, w którym mieści się komisja poborowa.

rozbić kogo na gościńcu, musiał wystarać się na czas żądanej sumy.

Pan mandatarjusz miał osobną szkatułkę na dochody rekrutacyjne, które nazywał swemi «przychodami benefisowemi»,¹ a które rok rocznie jednaką uczynić mu musiały sumę. Z nich samych mógł już przez czas dwudziestoletniego swego urzędowania w Żwirowie znaczny złożyć kapitałik.

Niedarmo też uchodził za ogromnego bogacza w całej okolicy, a żydzi pobliskich miasteczek, te najlepsze wyżyły na obce majątki, obliczali gotówkę jego na kilkadziesiąt tysięcy.

— I komu on to wszystko zostawił! — troszczyli się zawistni, bo pan Gągolewski nie miał dzieci.

Niestety opatrzność odmówiła mu konsolacji.²

— A jabym tak życzyła sobie konsolacji — mówiła zawsze pani sędzina, zawracając oczy i wzdychając z głębi piersi.

I prawda, że sobie strasznie życzyła konsolacji.

Lecz poznawszy pana sędziego już z reputacji, poznajmyż i z osoby.

IV

WISTOWA PARTJA U P. MANDATARJUSZA

Po trudach i znojach całodniowego urzędowania pan sędzia rozrywał się wieczorem.

Zabierając pierwszą z nim znajomość, zastajemy go przy codziennej partji wista w tak zwanym bawialnym pokoju jego mieszkania. Naprzód jednak przypatrzmy się bliżej jego powierzchowności.

Odpowiednie dwoistej, oficjalnej i prywatnej naturze charakteru pana mandatarjusza, i rysy twarzy jego podwójny noszą wyraz. Obok powagi i statku publicznego urzędnika przebijają się w nich i wszystkie szczególne znamiona i właściwości prywatnego oficjalisty.

<https://rcin.org.pl>

¹ niosący zysk.

² pociechy.

Mandatarjusz musiał *ex officio*¹ mieć w fizjonomji swej coś z obłęsności lokaja, a uroczystości kapłana Temidy.²

Pan Bonifacy Gągolewski był najwybitniejszym typem, idealnym niejako wyobrazicielem dawnego mandatarjusza galicyjskiego, musiał też koniecznie obok znamion i zalet moralnych łączyć i uwydatniać także wszystkie jego zewnętrzne cechy i przymioty.

Średniego wzrostu, silnej budowy, mógł w jednej chwili według potrzeby bądź na całą piędź zadrzeć głowę w górę, lub też podobnie zniżyć się ku ziemi, wprost ku kolanom jaśnie wielmożnego pana. Stąd zapewne pochodziło, że chłopci i żydzi mienili wzrost jego wysokim, a dziedzic i starosta widzieli w nim ledwie nie karła.

Nijakiego wyrazu czoło, nad którem sztywnie podczesywana wznosiła się czupryna, mogło dowolnie bądź w groźne zmarszczyć się chmury, bądź w pokorną i uniżoną rozjaśnić się pogodę, jak niemniej grube, pełne, cokolwiek nawet wydęte wargi zdawały się wnet do surowej zaciśnięte powagi, wnet do obłęsnego rozszerzone uśmiechu. Oczy, w wklęsłych osadzone jamach, z natury już spoglądały zukosa, lecz w pewnych razach jak najzawzięciej chyliły się nadół, a nos miał wielkie podobieństwo do wykrzyknika, zmienionego wpół drogi w znak zapytania. Wąsy podcinał pan mandatarjusz u dołu, a podgalał starannie po bokach, a włosy tak gładko przygłaskiwał na skroniach, jak gdyby chciał koniecznie zakryć wielkie, odstające, jak skrzydła nietoperza, uszy.

Na strój niewielką przekładał wagę, tylko chustka musiała zawsze w szeroki u przodu schodzić się fontaż.³ a kołnierzyki wybiegały niezbędnie aż do połowy twarzy.

Czy to już z przyrodzonej jakiejsz skłonności, czy też z długoletniego przywyknienia, pan sędzia prawą rękę zawsze trzymał w kieszeni, a lewą poprawiał łańcuszek od zegarka.

Tylko w tej chwili robił wyjątek z stałej, niezmiennej reguły, bo grał właśnie rober z kołkiem⁴ i trzymał karty w rękę.

¹ z obowiązku, z przodu.

² kapłan bogini sprawiedliwości, sędzia.

³ fantastyczny węzeł. ⁴ rober — podwójna partja wygrana przez jedną osobę w wście; z kołkiem — z fikcyjnym partnerem.

Pan mandatarjusz jest zapalonym miłośnikiem wista, a nie ma nawet za boże poszycie¹ człowieka, który przypadkiem nie zna tej gry szlachetnej.

Żał się Boże! nawet wiska² grać nie umie — było już najgorsze, co kiedykolwiek na czyjeś mógl przytoczyć potępienie.

Sam zaś miał się za najlepszego gracza jeśli nie w Europie, to przynajmniej w całej, jak mówił, Galicji i Lodomerji wraz z Bukowiną i księstwami Zator i Oświęcim.

— A wisk, mości dobrodzieju, — mawiał — to nie filozofja, którą lada błazen może liźnąć za parę lat. Wiska możesz pięćdziesiąt lat grać, i będziesz fuszerował ni w pięć ni w dziewięć, jeżeli nadzwyczajnej nie masz bystrości tu... tu... — kończył, pukając zagiętym palcem po czole.

Przyznać też należy, że niemależ zadał sobie pracy i niezwykłej złożył dowody cierpliwości, nim dla własnej rozrywki i własnego ćwiczenia wyuczył ulubionego wiseczka swego obecnego przeciwnika a najbliższego sąsiada, pana Onufrego Girgilewicza, ekonoma buczalskiego klucza, który co wieczór po skończonych zatrudnieniach gospodarskich na trzy lub sześć robrów zagaszczwał do pana sędziego.

Pocziwy pan Onufry kiedyś zamłodu nauczył się był labeta, później w dojrzalszych latach liźnął gdzieś marjasza,³ ale do niedawna ani z nazwy nie znał wista.

Dopiero kiedy dostał się w sąsiedztwo pana Gągolewskiego, musiał chcąc niechcąc pokusić się o tak wysoki szczebel społeczńskiej oświaty, i na łeb na szyję uczył się tej gry postępowej.

A słusznie utrzymywał pan sędzia, że to rzecz niełatwa, bo ileż to trudu i pracy kosztowało pana Girgilewicza, nim wyprowadził do tego, jak utrzymać naraz trzynaście kart w ręku. Jeszczeż dopóki nie wydawał, to jakoś oboma pomagał sobie garściami, ale jak przyszło samemu zagrać z ręki, to pewnie z jedną potrzebną dziesięć niepotrzebnych kart wysypało się na stół. i to zawsze figurami na wierzch!

¹ w dawnej polszczyźnie poszyciem bożem nazywano czuprynę.

² wulgarna nazwa wista.

³ labet i marjasz: gry w karty.

Pan sędzia okropnie się niecierpliwił, ale, aby zczasem trzeciego wyrobić sobie partnera, nie szczędził usiłowania i uczył, informował, pokazywał, zachęcał niezmordowanie.

Biedny pan Girgilewicz pocił się jak w parowej łaźni, nakłął się w duchu, co ślina na język naniosła, ale po kilku latach próby i ciągłego ćwiczenia doszedł wreszcie do tego przekonania, że gra dość dobrze, tylko nigdy nie wie co zadać i nie pamięta co wyszło.

Dość jednak spojrzeć na facjatę czcigodnego ekonoma, aby się nie dziwić bynajmniej tej powolności postępów.

Pan Onufry Girgilewicz to jeszcze ekonom pańszczyźnianego kroju, dyspozytor¹ dawnej daty. Twarz pełna, nabrzmiała, a czerwona jak burak, nos zawieszisty, wąsy gęste, rozstrzępione, zielona krajka² przez pas, hajdawery³ w buty, nahajka w rękę, ot i cały portret jego na łanie i w gumnie. Na wizycie u pana sędziego zachodziła tylko ta zmiana w jego powierzchowności, że zamiast krótkiej kurtki, przepasanej krajką, miał na sobie jakąś niepierwszej już młodości długą kapotę zieloną, i że oczywiście przy kartach obchodził się bez nahajki.

Podobnie jak pan Gągolewski trzymał się pan Girgilewicz już od lat blisko trzydziestu jednego skarbu, a to dość powiedzieć, aby zaraz o całej jego osobistości wysokię powziąć wyobrażenie.

Ekonom, który od lat dwudziestu na jednym gospodaruje folwarku, potrafi pewno w każdej chwili zapłacić gotówką ten sam folwark i jeszcze się zagospodarować po swojemu.

— Uchowaj Boże, abym miał kraść! — mawiał pan Girgilewicz z indagacją — ale jakoś się tak mimochodem uciula parę groszy. Z tego coś kapnie, z tamtego wściubnie, na tem się zarobi, z tego przygospodaruję, ot *taj tylko!*

Inaczej trochę mawiali złośliwi ludzie, ale bo też i czegoż ci już nie mówili. Toć między innemi dowodzili niezbić, że pan Girgilewicz zamłodu w piecu palił we dworze, i że tylko z łaski jakiegoś pisarza nauczył się trochę czytać i pisać, a jeszcze przed laty piętnastu ani znał nawet jakiegoś Gir-

<https://rcin.org.pl>

¹ rządcą folwarku.

² pas wełniany.

³ spodnie szerokie.

gilewicza. Wówczas nazywał się po ojcu, stróžu zawałowskiej karczmy, poprostu Onufrym Giergołą.

Ale pan Girgilewicz zadawał wszystkim tym pogłoskom fałsz zupełny.

— Czegoż psie pyski nie oszczekają — żalił się swoim właściwym ekonomskim trybem. — Niech ich Pan Bóg skarże, *taj tylko!*

Wszakże jednej rzeczy nie mógłby zaprzeczyć się pan Girgilewicz, choćby się na głowie postawił. Że sam z Giergoły przedzierzgnął się na Girgilewicza, o tem tylko ludzie gadali, ale że jedyne go swego syna, oddanego do szkół do Sambora, z Girgilewicza przechrzcil na Gergolickiego, do tego sam się przyznawał.

Wszakże miał do tego swoje właściwe powody.

— Co to komu szkodzi, *taj tylko* — tłumaczył się pofnie. — Chłopak ma talent, może daleko doprowadzić, a to przeklęte nazwisko Girgilewicz stanowiłoby mu jeno przeszkody, *taj tylko*. A zresztą, któż to może wiedzieć, uciulało się jaki taki grosik, zczasem potrafiłoby się kupić jaki folwareczek nie-szpetny, a tak Michaś może wy kierować się na pana, na jaśnie wielmożnego nawet. Nie wierzysz, pan dobrodziej? Toć zechciej się tylko rozglądnąć pomiędzy dzisiejszą naszą arystokracją galicyjską, a obaczysz, że za ledwie mniejsza połowa z nich, jak to mówią, panowie z panów. Reszta, żal się Boże, dorobkiewicz-e albo mechesy,¹ *taj tylko!* Większa część naszych głośniejszych dziś jaśnie wielmożnych, przypomina sobie dziadów w ekonomskich kapotach, jeśli jeszcze nie gorzej, a nie jeden nosi nazwisko, co tak pospolitością pachnie, że dalibóg dawniej wstydzilby się go lada kuchta magnacki, *taj tylko!*

Trudno zaprzeczyć, żeby pan Girgilewicz, mimo swej ciasnej głowy, nie miał daru wymowy i pewnej logiki w rozumowaniu.

Trzecim w gronie graczem był młody, sztywnie trzymający się mężczyzna, z ogromnemi bakenbardami, na które śnać niezmiernie wiele ważył, bo co chwila je muskał, przyglądał,

¹ przechrzty.

poprawiał, podciągał, przyczem zawsze zukosa zerkał do zwierciadła po przeciwnej stronie ściany. Ubiór na nim, acz widocznie tandytny,¹ siłił się nagwałt uchodzić za elegancki. Bronzowy, opięty surducik wygiął się ogromnemi klapami na przodzie, odsłaniając kolorową koszulę, z wysokimi, sztywnie wykrochmalonemi kołnierzykami, jasne pantalony sięgały tylko po kostki, lubo wąskie strzemiączka skórzane przyciągały je na dół co sił stało, a chustka pod szyją, w kunsztowny jakiś związana fontaż, odsłaniała niechcący jeden rąbek strasznie już wystrzępiony.

Tak lichej a pretensjonalnej odzieży odpowiadała zarówno licha a pretensjonalna fizjonomja, w której głównie uwidatniała się nadętość, próżność, zarozumiałość.

W samej rzeczy pan Gustaw Chochelka, tak zwany aktuarjusz dominikalny, był strasznie próżny i zarozumiały, lecz to z wielu ważnych wpływało powodów. Najpierw nazywał się Gustaw, co przecie, jak sam mówił, jedno z najpiękniejszych imion kalendarza, powtórę uchodził za najprzystojniejszego kawalera i najwytworniejszego eleganta w okolicy, po trzecie mienił się człowiekiem światowym w całym pojęciu tego wyrazu, a po czwarte jako aktuarjusz dominikalny, figura urzędowa, znaczył coś przecie i miał piękne widoki na przyszłość.

Z tem wszystkiem pan mandatarjusz z niewielkiem jakoś był dla niego poważaniem, i tylko w wypadkach nadzwyczajnych, w razie choroby, wyjazdu lub chwilowego przeszkodzenia² księdza proboszcza, przypuszczał go do jednego z sobą stolika.

O wiele lepiej zato umiała pani sędzina poznać i ocenić jego zalety, tak przynajmniej utrzymywały złośliwe języki.

To też i w tej chwili, przypatrując się grze, siedzi za jego krzesłem, bo ciekawa, czy panu Gustawowi przyniesie szczęście lub nieszczęście.

Pan Gustaw czasem ukradkiem zabójcze rzuci na nią spojrzenie i czule przytłumi wetschnienie, a otyła, rumiana na twarzy pani sędzina uśmiechnie się tylko i poprawia aż nadto może

¹ lichej.

² germanizm.

bujne koki swych ciemnych, pozłotą od rosolu smarowanych włosów.

Pan sędzia gra z kolkiem,¹ co ogromnej wymaga uwagi, a pan Girgilewicz strasznie się jakoś zaperzył i zacierzewił, bo mając cztery asy w ręku, nie wie którego zadać, aby najpewniej uciec od szlemu.²

— Kto zagrywa? — pyta pan sędzia niecierpliwie.

— Ja, *taj tylko* — odpowiedział pan Girgilewicz, mrużąc przez zęby jakieś zagadkowe kombinacje.

— Czekamy — odezwał się pan aktuarjusz z salonową gracją³ i pełnym powabu uśmiechem.

Z pana Girgilewicza pot leje się strumieniem. Nie sztuka zagrywać, mając tylko jednego asa, ale któregoż najsamprzód wydać ze czterech. Każdego zosobna obmacał już na wszystkie strony, a ani rusz zdecydować się za tym lub owym. Nareszcie do jakiegoś heroicznego namysłu się postanowienia, zamrużył oczy, zaparł dech w sobie i, na los szczęścia, pierwszą lepszą wyrzucił kartę, a aż poskoczył z radości, kiedy zobaczył, że to był as atutowy i że nie przybity obiegł dokoła.

— Nasza — wykrzyknął pan Girgilewicz i z tryumfem zagarnął lewę.⁴

— Atutuje... — mruknął pan sędzia przez zęby.

— Dobrze gra, — wtrącił skwapliwie aktuarjusz — bo jak wyatutuje, a ja potem przyjdę z mojami pikami,⁵ to skończymy odrazu.

— Tylko nic nie gadać — upominał mandatarjusz kategorycznie — bo to wisk, nie kiks,⁶ mój panie.

Pan aktuarjusz poprawił kołnierzyk, przymuskał faworyty i w kornem milczeniu przyjął upomnienie.

Pan Girgilewicz sapał, pocił się, a atutował i atutował, co zresztą niewielką było sztuką, kiedy, jak się pokazało, miał sam wszystkie honory.⁷

Pan sędzia skrzywił się i nasrożył czoło, szlem zawisł mu

¹ z fikcyjnym partnerem.

² wzięcie w wiście wszystkich 13 lew.

³ wdziękiem.

⁴ karty za jeden raz wzięcie, ⁵ kolór w kartach (wino).

⁶ gra w karty, popularna w niższych warstwach.

⁷ największe figury.

nad głową, a szłem od fuszerów,¹ to rzecz niemiła dla tak znamienitego gracza.

Lecz wtem, jakby umyślnie dla wybawienia go od grożącego niebezpieczeństwa, jakiś wóz z turkotem zatoczył się przed ganek.

— Pewnie pan komisarz Mrkwiczka, którego się od wczoraj spodziewam — wykrzyknął pan mandatarjusz i w pośpiechu pomieszał swe karty z uzbieranemi lewami swych przeciwników.

— Zaraz, zaraz — zatrzymywał pan Girgilewicz — ja mam jeszcze dwa asy i trzy trumfy.²

Ale pan sędzia już go nie słuchał, spieszył co tchu na przeciw swemu dostojnemu gościowi. Lecz nim jeszcze mógł wybiec z pokoju, drzwi rozwarły się z niezwykłym zamachem, a zamiast spodziewanego komisarza Mrkwiczki, wszedł nasz nieznajomy wędrowiec z ryczychowskiej karczmy.

Pan sędzia przystanął na miejscu z niezadowoleniem zadowolonego oczekiwania, pan Girgilewicz usiadł napowrót i otarł pot z czoła, a pan aktuarjusz wzruszył ramionami, zmierzwszy jednym rzutem oka niepoczesną garderobę nowo-przybyłego.

Nieznajomy dopiero w progu zdjął czapkę z głowy i wszedł do pokoju niezmieszany i niezażenowany z tym samym, zuchwałym, wyzywającym wyrazem twarzy, tym samym napół drwiącym, napół cynicznym uśmiechem, z jakim w karczmie przysłuchiwał się opowiadaniom organisty.

— Zastąłem pana mandatarjusza? — zapytał tonem jak-gdyby mówił do podwładnych.

Pan Gągolewski strasznie się nasrożył i wyprężył w całej postawie. Po wszelkiej formie i wszelkim zwyczaju należał mu się przecież tytuł sędziego.

— Czego sobie pan życzy? — zapytał z surową powagą.

— Chcę go poznać przedewszystkiem — odpowiedział nieznajomy i z wyrazem protektorskiej uprzejmości wyciągnął

¹ lichesy gracz.

² karty, wyswiedone, afuty. <https://rcin.org.pl>

rękę ku zagapionemu mandatarjuszowi, który mimowolnie prawie wysunął swą dłoń do uścisku.

— Z kimże mam honor? — przebaknął, jakgdyby zawstydzony tą poufałością.

— Zaraz, zaraz, mój łaskawco i dobrodzieju — ciągnął dalej nieznajomy, jakby do najpoufalszego mówił przyjaciela — niech się pierwej rozkwateruję.

I nim jeszcze skończył mówić, rzucił swój tłumoczek i czapkę na najbliższe krzesło, łaskę niedbale potrącił w kąt i twarz otarł z kurzu.

Pani sędzina i reszta przytomnych przypatrywali się każdemu poruszeniu nieznajomego z zdziwieniem ludzi, którzy sami nie wiedzą, jakie przybrać miny i jaki zachować ton.

— Ale przedewszystkiem nie deranżujcie¹ się państwo — zaczął na nowo nieznajomy i ręką wskazał na stół. — Cóż to, gracie preferansika?²

— Wiska — odpowiedział pan Girgilewicz i nadał się z dumą.

— Głupia gra — zawyrokował nieznajomy i z lekceważeniem machnął ręką.

Pan sędzia zachnął się, jakgdyby go ktoś szydłem ubodł w pięty. On przecież poczytywał wist za najszczytniejszy wymysł ducha ludzkiego.

— Z kimże mam honor? — powtórzył swe pierwsze zapytanie z nieco silniejszym naciskiem.

Nieznajomy parsknął rubasznym, drwiącym śmiechem.

— No, już to honoru niewielkiego się pan przezemnie spodziewaj, — przemówił śród śmiechu — ale na przyjemność możesz liczyć śmiało.

— Przynajmniej szczerzy — poszepnął pan Gustaw Chochelka z dowcipnym uśmiechem do ucha pani sędzinie.

— Ależ... — upomniął pan mandatarjusz, wyprężając się do najwyższej swej grozy urzędowej.

— Chcesz pan wiedzieć jak się nazywam? — poderwał

¹ krepujecie.

nieznajomy — dobrze, wyjawię panu wszystkie moje nazwiska, a z nich wybierz sobie, jakie zechcesz.

— Jakto? — wycodził mandatarjusz, który z pierwszego zdziwienia przechodził w jakiś przestrach pomimowolny.

— Słuchaj pan tedy: po chrzcie zowie się Damazy, po ojcu Czorgut, w szkołach nazywano mię Katyliną,¹ w klasztorze Bazyljanów braciszkiem Pantalemonem, a w naszym pułku Żelaznym wilkiem.

Po każdym z tych wyliczonych imion i tytułów, pan mandatarjusz o krok cofał się wtył, pan Girgilewicz zawsze o cal szerzej rozdziawiał gębę, a pan aktuarjusz coraz wyżej podciągał swe kolorowe kołnierzyki. Tylko pani sędzina siedziała niema i nieruchoma na swem krześle, w niej ozwała się sama tylko ciekawość kobieca, a dziwaczne zachowanie się nieznajomego sprawiało na niej więcej korzystne, niż nieprzyjemne, wrażenie.

Nieznajomy, którego odtąd będziemy nazywali po jednym z jego licznych imion i przydomków, wybuchł znowu w głośny i rubaszny śmiech.

— A co? prawda, że jest w czem wybierać?

— Ale czegoż odemnie chcesz... pan? — zapytał pan sędzia, zacinając się przy ostatniem słowie.

— Wstąpiłem tak sobie po drodze, mój łaskawco i dobrodzieju — odparł najspokojniej i usiadł wygodnie na najbliższe krzesło.

Pan sędzia zgłupiał do reszty, pan Girgilewicz prędko zamknął gębę, bo uczuł, że już dalej niepodobna jej roztworzyć.

— Jakto po drodze? — zapytał znowu pan mandatarjusz i aż pod samą prawie przeciwną cofnął się ścianę.

Zaimponowały mu strasznie ton, mina, i całe postępowanie nieznajomego, a nieczyste sumienie kazało mu się mimowolnie czegoś obawiać i mieć bacznie na ostrożności.

¹ Katylina, młody Rzymianin, uknuł spisek, celem dokonania przewrotu w państwie; oskarżony przez Cicerona w senacie, musiał uciekać z Rzymu. Przewzisko to, dawane osobistościom zuchwałym i gwałtownym, otrzymał Czorgut, jak niżej, jeszcze w gimnazjum.

— Idę do waszego dziedzica — rzekł Katyliną krótko i stanowczo.

— Ej, czy nie jakiś koleżka bez służby? — pomyślał w duchu mandatarjusz.

— A skądże droga prowadzi? — zapytał pan Girgilewicz.

— Wprost z Hermansztadtu, z Siedmiogrodu.

— Trudno, abyś pan dziś już zaszedł do Oparek, bo to jeszcze dobra mila — wtrącił pan Gustaw Chochelka protekcjonalnie.

— A komużby się tam chciało iść w nocy — odburknął pan Damazy Czorgut, wzruszając ramionami. — Przenocuję u was w prześwieatnej dominji.

Pani sędzina wydeła wargi niekoniecznie uprzejmie, a pan sędzia ledwo na głos nie wyrzekł:

— Chyba w areszcie, ale nie u mnie.

Katylina nie uważał nawet na miny swego gospodarstwa rozparł się wygodnie w krześle, jakby w własnym domu, a dopiero po chwili odezwał się więcej z impertynencją niż grzecznością:

— Tylko nie róbcie sobie państwo żadnej subjeckji,¹ najmniejszego zachodu, ja tam niewiele dbam o wygody.

— Wierzę — wyszepnęła pani sędzina półgłosem.

— A zresztą niebawem powetuję sobie za wszystko u kochanego Julka.

— U kogo? — zapytali jednocześnie państwo sąsiedztwo i pan Girgilewicz.

— U Julka, mówię; wasz dziedzic nazywa się przecież Juljusz Żwirski.

Na taką poufałość z imieniem dziedzica pogłupieli wszyscy do reszty. Pan sędzia niesłychanie wytrzeszczył oczy, pani sędzina nastrzeżyła uszy, a pan Girgilewicz rozdziawiał gębę po ekonomsku, że niejedna, ale całe stado wron znalazłoby w niej pomieszczenie.

— To pan dobrodziej... — odezwał się po dobrej dopiero chwili mandatarjusz, grzeczniejac nagle do niepoznania.

¹ kłopotu.

— Co ja? — zapytał pan Damazy nawpół drwiąco.

— Pan dobrodziej jest...

— Dawnym znajomym dziedzica? — dokończyła sędzina.

— Więcej niż znajomym, moja mości dobrodziejko — odparł Katyliną napuszony — muszę sobie oddać tę sprawiedliwość, że jestem jego przyjacielem.

— Tak — wydusił z siebie mandatarjusz wiernie i pokornie, ale ukradkiem zerknął na wykrzywione buty i wytarte łokcie mówiącego.

— Mamy z sobą nawet dawne rachunki — ciągnął Katyliną dalej.

— Hm, hm — zakaszłał się mandatarjusz.

Pan Girgilewicz nic nie mówił, z otwartą gębą, z wybałuszonymi oczyma stał nieruchomy jak drogowskaz, odkąd powziął wiadomość, że ma przed sobą przyjaciela jaśnie wielmożnego pana.

— Panowie zapewne się już dawno nie widzieli z sobą — odważyła się zapytać sędzina.

— O tak, już przeszło sześć lat minęło, los w zupełnie przeciwne zapędził nas strony, jego poprowadził do pałacu, a mnie Bóg wie którądy. Musiałem tulać się po rozmaitych dziurach, ukrywać się nawet przed kutą¹ bazylijską *et caetera et caetera*² — prawili nieznajomy, wpadając w ton wynurzeń.

Pan mandatarjusz pokiwał głową ze znaczeniem, a pan Gustaw Chochelka ściągnął brwi do góry, wydał wargi i wyszepnął półgłosem coś jak: podejrzany ptaszek.

Pan Damazy Czorgut czegoś niespokojnie obejrzał się po pokoju.

— Czy państwo już po kolacji? — zapytał nagle.

— O, nie jeszcze — odparła pani sędzina, nieprzygotowana wcale na takie zapytanie.

— To proszę dla mnie najmniejszego nie robić sobie zachodu — ozwał się pan Damazy na nowo. — Zjem co bądź, zwłaszcza żem djabło głodny.

¹ pogardliwa nazwa habitu, z kapturem.

² i tak dalej i tak dalej.

— Zaraz każę przyspieszyć kolację — wyrzekła pani sędzina i porwała się z krzesła.

— O jedno tylko prosiłbym panią dobrodziejkę — zagadnął znowu pan Damazy.

— Słucham pana.

— Lubię czaj¹ bardzo mocny.

— Dobrze — wyrzekła zagapiona gospodyni i prędko wybiegła do kuchni, jakby się obawiała, aby szczególniejszy gość nie wyjechał za chwilę z czemś nowem.

Pan Damazy obrócił się do pana mandatarjusza, który się czegoś głęboko zamyślił.

— No, mój gospodarzu łaskawy — przemówił, uderzając go poufale po ramieniu — poznawszy mnie z sobą, poznajże mnie i z swymi gośćmi.

— A prawda, zapomniałem — wybąknął pan sędzia. — Rekomenduję² panu — zaczął z urzędową powagą, odkrzaknąwszy należycie. — To mój sąsiad, rządca buczalskiego folwarku, pan Girgilewicz.

Pan Girgilewicz uklonił się bardzo nisko, Katylina kiwnął głową niedbale.

— Spodziewam się, że niebawem poznamy się bliżej — wycedził z protekcjonalnym uśmiechem.

— To zaś mój aktuarjusz — ciągnął dalej gospodarz.

— Pisarz niby? — poprawił Katylina.

— A tak pisarz, pan Gustaw Chochelka.

— Tam do djabła! — zahuczał Katylina rubasznym uśmiechem. — Także nie miał się już jak nazywać, ta Chochelka!

Biedny pan aktuarjusz ledwie ze skóry nie wyskoczył, tak strasznym zawrzał gniewem. Nieznajomy ugodził go w najdotkliwszą stronę. Nazwał pisarzem, co na okropną zakrawało óbelgę, i wyśmiał jego nazwisko, dla którego, jak mówił, wszystkie kobiety jakąś szczególniejszą czuły sympatję.

— Nie rozumiem, prawdziwie — chciał coś powiedzieć, lecz zająknął się niemiłosiernie.

¹ z chińsk. czaj-i, pić herbatę, ² polecam.

Pan Damazy ani spojrział już na zapырzonego aktuarjusza, a ni stąd ni zowąd natarł nagle na ekonoma.

— Czyś pan szlachcic, panie Girgilewicz? — zagadnął go, jak najmniej przygotowanego na takie zapytanie.

— To jest... ja... zdaje się... myślę na przykład... *taj tylko*... — zaciął się nieszczęśliwy ekonom cały jak w ogniu.

— Więc nie szlachcic? — pomagał mu nielitościwie Katylina.

— To jest... znaczy... ja mówię... *taj tylko!* — wydusił z siebie z wielką biedą ni w pięć ni w dziewięć.

— Aha, rozumiem, pan mówisz tylko, żeś szlachcicem, ale po prawdzie niby nie wahałeś pergaminu¹ — podchwytывał drwiąco Katylina.

Napół nieprzytomny z zakłopotania ekonom chciał koniecznie coś odpowiedzieć, ale ani rusz zdobyć się na coś stosownego, aż posiniał nieborak, tak strasznie się natężał.

— *Taj tylko* — wybąknął wreszcie i nic więcej.

— Szkoda, żeś nie szlachcic, — ciągnął Katylina — bo w takim razie miałbyś niezawodnie przydomek Giergoła! de Giergoła Girgolewicz, jak na Potoku Potocki!

Żeby kto pana Girgilewicza młotem palnął po łbie, nie ugiąłby się tak mocno jak pod ciężarem tego jednego słowa Giergoła, które spadło nań, jak grom z jasnego nieba, a najdrażliwsze rozbudzało wspomnienie.

Pan Damazy już coś nowego miał na ustach, lecz wtem na szczęście pojawiła się w progu pani sędzina, prosząc panów na kolację do drugiego pokoju.

— Idziemy, służymy! — zawołał wesoło gość nieżenowany, posuwając się pierwszy na zaproszenie gospodyni.

¹ tu w znaczeniu: nie masz dokumentów szlacheckich (wystawianych na skórze pergaminowej), czyli nie jesteś szlachcicem,

V

NIEBOSZCZYK STAROŚCIC ŻWIRSKI

W pół godzinę później siedziało napowrót całe towarzystwo w bawialnym pokoju, a pani sędzina przyrządzała czaj przy ubocznym, czerwoną serwetą okrytym stoliku.

— Tylko z masą rumu, pani dobrodziejko — przypominał gość nieżenowany, jakgdyby w publicznej dysponował¹ gospodzie.

— To jakiś prostak bez wychowania! — wyszepnęła pani sędzina urażona. — Rum będzie przecież na stole, każdy z panów może sobie dolać według upodobania — dorzuciła głośno z widocznym ucinkiem.

— Wybornie, wyśmienicie — zawołał wesoło Katylin. — Obaczycie państwo, jak zaraz inaczej pójdzie cały tok rozmowy.

Pan Girgilewicz uśmiechnął się z zadowoleniem i zcichu cmoknął językiem. Upomnienie się pana Damazego przypadło mu wielce do smaku, bo i on jest tego zdania, że czaj, jeśli nie chce uchodzić za rumianek albo za centurję, musi być mocny jak sto djabłów, *taj tylko*.

Dzięki tej sporej flaszy wcale niezłego rumu, a wybornemu przykładowi i ciągłym zachętom Katyliny, całe towarzystwo po jednej szklance w lepszym i weselszym ujrzało się humorze niż kiedyindziej po trzech lub czterech.

Pani sędzina wyniosła się do swego pokoju, a pan Damazy, zapaliwszy fajkę z najdłuższego cybucha gospodarza, rozparł się jak najwygodniej na przyległej sofie, i pociągając od czasu do czasu spory łyk płynu, zakrawającego więcej na rum z herbatą, niż herbatę z rumem, zapadł na chwilę w jakieś głębokie, niezwykle u siebie zamyślenie.

Naraz zwrócił się do gospodarza.

— Powiedziałem jegomości, — rzekł, dmąc przed siebie ogromny kłęb dymu, — że lubo zespolony z Julkiem najści-

ślejszym węzłem przyjaźni, musiałem od lat czterech zupełnie stracić go z oczu, i nie wiem ani w ząb, jakim sposobem do tak ogromnej przyszedł fortuny.

— Jakto? — zapytał pan mandatarjusz zdziwiony — nie wiesz pan, że zagarnął całą puściznę po nieboszczyku starościcu Żwirskim?

— O, o tem dowiedziałem się, zaledwie wróciłem do kraju, lecz radbym wiedział, jakim cudownym wpływem czy przypadkiem dostał się tego szczęścia niespodziewanego?...

Pan mandatarjusz podciągnął brwi do góry i bardzo ważną przybrał minę.

— Hm, hm, strasznie to zawikłana historja! — mruknął po chwili.

— Wielka kałamancja!¹ — dodał po swojemu Girgilewicz.

— Tem lepiej! rozciekawiacie mię panowie.

— Długoby o tem potrzeba opowiadać — ciągnął dalej mandatarjusz.

— Zaczynaj więc prędzej w imię boże, mój dobrodzieju.

— Pan nie słyszałeś nic a nic o nieboszczyku starościcu?

— Nic zgoła.

Pan Girgilewicz pokiwał głową, jakby nie wierzył temu, a pan sędzia nadał się jeszcze poważniej.

— Któż to był tedy ten nieboszczyk starościc? — pytał dalej Katylin.

— Szczególny człowiek! — mruknął mandatarjusz z naciskiem.

— Dziwak — wykladał jaśniej pan Gustaw Chochelka.

— Warjat, *taj tylko* — zakonkludował² ostatecznie Girgilewicz.

— Ho, ho, coraz ciekawiej! — wykrzyknął wesoło Katylin — słucham was, panowie.

— Nie wiem tylko, od czego panu zacząć — zawahał się mandatarjusz.

— Wpadnij zaraz *in medias res*,³ to najlepiej.

¹ to samo co: zawikłana historja.

² krótko powiedział, orzekł.

³ w środek rzeczy.

— Gdzie, gdzie? — zapytali jednocześnie mandatarjusz i ekonom, obadwaj nie biegli w łacinie.

— Zaczynaj pan od środka, mówię — tłumaczył Katyliną. Pan mandatarjusz wstrząsł głową.

— Nie uchodzi — rzekł poważnie.

— To opowiadaj, jak chcesz, byleś raz zaczął łaskawco — naglił Katyliną, trochę już znecierpliwiony.

Pan mandatarjusz zamyślił się na chwilę, jakby się czegoś wahał, nagle pokrzepił się sporym haustem czaju, odkrzyknął głośno, najeżył w górę podstrzyżony wąs, i ozwał się z napół poważną, napół tajemniczą miną:

— Nieboszczyk starościc, jak i brat jego, dzisiejszy hrabia Zygmunt Żwirski z Orkizowa, byli synami ś. p. starosty Michała Żwirskiego.

— Aha — bąknął nieznajomy jakby dla zachęcenia opowiadającego.

— A wieszże pan, kto był znowu ś. p. starosta? — zapytał pan mandatarjusz.

— Nic a nic.

Pan sędzia z niewiadomością swego gościa rósł widocznie w powagę. Pociągnął nowy haust z wypróżnionej do pół szklanicy i zaczął dopiero po chwili:

— Pan starosta był to pan, mości dobrodzieju, pan, o jakich już dzisiaj ani słyhać, ale jak wszyscy Żwirscy miał tu coś — dodał ciszej, pukając w czoło.

-- Małego bzika *taj tylko* -- wypalił mniej ostrożny ekonom.

— Jakto? — przerwał, śmiejąc się, Katyliną — wszyscy Żwirscy mieli bzika?...

— Wszyscy w prostej linii z dziada pradziada, aż do ostatniego starościca — potwierdzał stanowczo mandatarjusz.

— Więc i hrabia z Orkizowa cierpi na zajączki?

— O, uchowaj Boże — zaprzeczał mandatarjusz — pan hrabia był młodszym synem i do tego z drugiej żony starosty, i on pierwszy wypadł z tej reguły.

— No, a cóż tedy sam starosta? — pytał dalej Katyliną i pół na pół rozłożył się na sofce.

— Starosta na starość przy ogromnej fortunie i ogromnem znaczeniu wplątał się w wojnę konfederacką.

— Przysłał do konfederatów *taj tylko* — poprawiał ekonom.

— Więc był dzielnym patriotą, jak widzę, — zawołał Katylina żywo.

Na wyraz patriota pan sędzia obejrzał się szybko po całym pokoju, a pan aktuarjusz schował się cały za swe krochmalne kołnierzyki i mruknął przez zęby:

— Owa! już o patriotyzmie gada, nie mówiłem, że to jakiś podejrzany ptaszek!

— No i cóż dalej? — zapytał Katylina niekontent z przerwy.

Pan sędzia obejrzał się jeszcze raz po pokoju, pociągnął nowy haust ze szklanki i prawił dalej z niejakim wahaniem.

— Tak, w istocie, w samej rzeczy był, jak to mówią, patriotą, ale ten patriotyzm djabło mu na złe wyszedł, bo i majątek znacznie podszargał i krwi własnej w kilku przelał okazjach, i nareszcie, kiedy się wszystko nie udało, i nastąpił ów jako nazywają...

— Ostatni rozbiór — pomógł prędko Katylina,

Mandatarjusz znowu obejrzał się na wszystkie strony.

— A tak, niby, tak... jak pan nazwałeś — jąkał się, wahając. — Otóż wtedy... — zaczął spiesźnie.

— Wtedy?

— Rozum stracił.

— Zwarjował do reszty, *taj tylko*.

— Nie wyszedł nigdy z wielkiej sali, gdzie wiszą portrety rodzinne i rozparty w wielkiem krześle poręczowem, jakby na tronie, powtarzał raz po raz z uroczystą powagą: Niepozwalam! Protestuję! Czasami tylko wpadał w dziki szal, w jakiś ferwor niepohamowany, a wtedy brońże Boże przystąpić do niego. Starosta dobywał nieodstępnej od boku karabeli i wymachiwał, jak opętany, na wszystkie strony, a co ostrzem ugodził w wielki stół debowy, to zawsze zawołał okropnym głosem: Masz, zdrajco, Potocki! A to mój zajęchał, psie Branicki!

To dla ciebie, infamisie Poniński! ¹ I tak rąbał nieustannie, coraz nowe wygłaszając nazwiska, aż znużony, zziąjany, zapieniony, powalił się bez zmysłów na ziemię. Po każdym takim napadzie śludzy kładli go zaraz w łóżko i głowę okładali lodem. Ale raz, czy za późno się opamiętali, czy zresztą przyszedł już czas od Bogaznaczony, pan starosta jak stracił zmysły, tak nie odzyskał ich już więcej.

— Trafił go paralusz ² *taj tylko* — zakończył Girgilewicz i jednym łykiem większą pół szklanki wychylił do kropli.

Pan Damazy Czorgut z wielką uwagą przysłuchiwał się opowiadaniu, a zdawało cię, że na chwilę znikł mu nawet z ust nieodstępny nigdy uśmiech sardoniczny. ³

— I cóż dalej? — zapytał z widoczną niecierpliwością.

Pana mandatarjusza ucieszył efekt, jaki sprawił swem opowiadaniem. Potarł czuprynę, najeżył wyżej wąs podstrzyżony i po krótkiej chwili namysłu zaczął prawić dalej.

— Po nieboszczyku została wdowa i dwóch synów, ś. p. zmarły przed trzema laty starościc Mikołaj i dzisiejszy orkizowski hrabia Zygmunt. Obadwaj już w pełne dojrzeli lata i zaraz po śmierci ojca podzielili się majątkiem. A trzeba panu wiedzieć, że choćby cały świat obszedł wszerz i wzdłuż, nie spotkałby nigdzie dwóch braci tak sobie sprzecznych i niepodobnych, jak byli obaj starościce żwirscy. Od dzieciństwa nie zgadzali się z sobą w niczem i nie lubili się...

— Jak pies z kotem — poderwał pan Girgilewicz i machnął ręką.

Pan mandatarjusz skrzywił się, niekontent widocznie z przerwy.

— Ludzie — ciągnął dalej — bardzo łatwo tłumaczyli sobie tę wzajemną antypatję. Starościc Mikołaj urodził się z innej, a pan Zygmunt z innej matki; pierwszy był brzydki jak małpa,

¹ Potocki Szczesny był marszałkiem konfederacji targowickiej, którą związał 14 maja 1792 r. przeciwko Konstytucji 3 Maja; Branicki Ksawery był regimenterem konfederacji targowickiej; Poniński Adam marszałkował sejmowi r. 1773 i przyprowadził do skutku pierwszy rozbiór Polski, był również płatnym agentem obcych państw.

² paraliż.

³ szyderczy.

a ponury, dziki, niepohamowany, uparty, zawzięty jak djabeł, drugi ładny jak panienka, ujmował wszystkich swym wesołym humorem, słodyczą, uprzejmością. Ten opływał w pieszczoty matki, lubił odpowiednie sobie towarzystwo, gonił za rozrywkami, tamten po całych dniach przesiadywał u boku obłąkanego ojca, i niepoznany od niego przysłuchiwał się jego szalonym krzykom i dzikim wybuchom. O naukach ani słyszeć nie chciał, z wielką biedą nauczono go zaledwie najniezbędniejszych wiadomości. Kiedy urósł w lata, po całych dniach znowu jak opętany uganiał na koniu, strzelał co mu w drogę weszło, a do towarzystwa przybrał sobie dwóch w swoim wieku parobków, najsilniejszych i najtęższych chłopów w całym kluczu i tych ani na chwilę nie puszczał od swego boku. Nieboszczka starościna ani śmiała co powiedzieć niesfornemu starościcowi, który zuchwałość swoją mógł posunąć do najwyższego, a gotów był w każdej chwili najdzikszego ważyć się szaleństwa.

— Fiufiu! — przerwał znowu Girgilewicz — czegoż on nie dokazywał już zamłodu! Cuda wyrabiał, *taj tylko*.

— Jak tylko umarł starosta, starościna z panem Zygmuntem przenieśli się do Orkizowa, a starościc Mikołaj objął klucz zwirowski na siebie. Dawniej rządziła matka wszystkim w imieniu obłąkanego męża, teraz gorszy jeszcze warjat od zmarłego miał całe gospodarstwo pochwycić w swoje ręce. Jakiż to popłoch ogarnął wszystkich na samą tę wiadomość!

— Przyznam się, — poderwał Girgilewicz — że ja sam wahałem się, czy natychmiast dziękować za służbę, czy próbować szczęścia pod warjatem.

— Od czegoż zaczął nowy dziedzic? — zapytał Katyliną coraz więcej rozciekawiony.

— Od największych warjacyj, jak drugi Kaniowski.¹ Najpierw spalił jednej nocy ośm wsi swego klucza.

— Co, spalił?! — zawołał pan Damazy i porwał się z sofki.

— Nie podobała mu się budowa, *taj tylko* — rzekł krótko Girgilewicz.

¹ Mikołaj Potocki, starosta kaniowski, znany awanturnik; Łoziński z tą postacią poznał się zapewne z *Pamiętek Seweryna Soplicy*.

— Zwołał wszystkie ośm gromad naraz i rzekł im: Do jutra macie wypróżnić wasze chaty, stodoły, obory, bo was podpale na wszystkie cztery rogi. Chłopi potruchleli, cichaczem ułożyli suplikę¹ do cyrkułu, ale tymczasem wypróżnili obejścia² jak zamiótl. Na drugi dzień krwawa luna zawisła nad okolicą, wszystkie ośm wsi spłonęły do szczętu. Starościc wtedy szesnaście gromad spędził w jedno miejsce i nuż pruskim murem odbudowywać w symetrycznym porządku siola zgorzałe. Nowe chaty musiały iść w dwóch rzędach wzdłuż gościńca, jedna o pięć sążni od drugiej. I nim komisja zjechała z cyrkułu, stały już wszystkie wsie odbudowane, a pan starościc nad nową przemyśliwał warjacja.

— Niezły początek! — mruknął nieznajomy.

— Ale któżby tam zliczył i spamiętał wszystkie jego dalsze warjacje i dziwactwa — kontynuował mandatarjusz. — Jak sobie co ubrdał, musiało się stać, choćby ziemia miała wypaść z swej osady. Żadna potęga ziemiska nie była w stanie przełamać jego żelaznego uporu, nieugiętej zaciekłości w najdrobniejszym postanowieniu. Czego się raz chwycił, nie odstąpił od tego, choćbyś go w drobne sztuki posiekał.

— A niechżeby kto z poddanych albo oficjalistów śmiał w czemkolwiek sprzeciwić się jego woli, niech Bóg broni, *taj tylko!* — wtrącił Gurgilewicz.

— Dwóch owych nieodstępnych nigdy od jego boku opryszków pełniło obowiązki siepaków, a gdyby był Pana Boga rozkazał zdjąć z krzyża, pewnieby się ani zawahał żaden. Za łada przewinienie palnąć komu pięćdziesiąt kijów, było u niego ledwie nie igraszką.

— A jakże uchodziło to wszystko? — zapytał Katyliną.

— Inne to były jeszcze czasy, mości dobrodzieju, — westchnął żałośnie mandatarjusz — a zresztą nikt nie śmiał pomyśleć o skardze. Starościc był zarówno mściwym i zawziętym, jak porywczym i gwałtownym, a każdy wiedział, że bez wahania gotówby narazić się na wszystko, nie zważając na żadne dalsze skutki i następności.

— A zresztą prawdę mówiąc — ozwał się Girgilewicz — chłopci się bali niesłychanie, ale go też lubili, jak mało którego dziedzica.

— Lubili? — zapytał Katyliną zdziwiony.

— Niezawodnie — potwierdzał pan sędzia — staroście żądał, aby każdy poddany ślepo poddawał się jego woli, w czu ducha spełniał jego rozkazy, ale też zato jak nikt inny dbał o los każdego. Zapłacić podatki za całą gromadę, wyznaczyć kilkadziesiąt korcy zapomogi na przednowku, powrócić całą szkodę pogorzelcowi albo okradzionemu, było u niego czemś tak zwyczajnem i naturalnem, jak sto kijów palnąć za łada drobne uchybienie, za łada występki nierozważny.

— Szczególniejszy człowiek! — mruknął nieznajomy.

— Możesz sobie pan jednak wyobrazić z tego wszystkiego, jak trudno było utrzymać się u niego w obowiązku, — ciągnął dalej mandatarjusz z pewnym rodzajem dumy — bo to mości dobrodzieju zarazem i katował i protegował chłopca, a potrzeba mu było zawsze dogodzić we wszystkim, ślepo usłuchać każdego zlecenia.

— A z bratem i macochą widywał się czasami? — zapytał Katyliną.

— Nigdy. Brat kilka razy robił pierwszy krok pojednawczy, ale wszystkie zabiegi rozbijały się o niezłomny upór, nieugiętą zawziętość starościca. Pan Zygmunt przyjął tytuł hrabiego, bo mając w rodzie trzech wojewodów i pięciu kasztelanów, miał zupełne do tego prawo, staroście ani sobie o tem mówić nie dał.¹

— Osobliwszy charakter — poszepnął znowu Katyliną.

— Jużto musi pan wiedzieć, że staroście nie cierpiał Moskali jak rogatych djabłów, i gdzie mógł wyjawiał otwarcie swoją nienawiść. Niech tylko jaki poddany powrócił z wojska, a zaczął moskiewskie lub niemieckie słowa mieszać w swej mo-

¹ rząd austriacki hojnie wówczas szafował tytułami hrabiów i baronów, i stąd powstała nowa arystokracja, bardzo źle widziana przez patryjotyczne rody staropolskie.

wie, to takich sto kijów otrzymał na powitanie, że mu pewno wszystkie nieswojskie słowa od jednego wywietrzały raz.

— I to wszystko uchodziło? — zapytał jeszcze raz Katylin.

— Musiało mości dobrodzieju — odparł mandatarjusz z dumą — moja głowa a starościca pieniądze zaradziły każdemu niebezpieczeństwu.

— Można się bezpiecznie spuścić na takich pomocników — poderwał aktuarjusz z dowcipnym uśmiechem, chcąc koniecznie jakimś komplementem podkadzić pryncypałowi.

Pan mandatarjusz uśmiechnął się zadowolony.

— Jużto muszę sobie oddać tę sprawiedliwość, — rzekł z znaczącym uśmiechem — że mogę spuścić się w każdym razie na moją mózgowicę. Nie chwając się bynajmniej, mógłbym mości dobrodzieju zmierzyć się śmiało z najślawniejszym adwokatem.

— No, o tem potem, mój łaskawco dobrodzieju — przerwał Katylin. — Naprzód skończ opowiadanie.

— Strasznieś pan widzę ciekawy — odparł mandatarjusz trochę urażony. — Już mi niewiele pozostaje dodać. Pan starościc gospodarował tym trybem lat trzydzieści, a przez ten czas nawykli już powoli do niego i chłopci i oficjaliści, i dziwactwa i warjacje jego przestały już dziwić okolicę. Często z początku skargi do powiatu i kryminału urwały się zczasem zupełnie, bo, jak powiedziałem. moja głowa a pańskie dukaty umiały zaradzić wszystkiemu, i zgóry zapobiegały każdemu niebezpieczeństwu. Ale wtem niespodziewana zbliżała się katastrofa.

— Katastrofa?! — powtórzył Katylin, i z ciekawości napół podniósł się z sofy.

Mandatarjusz zamilkł na chwilę, jakgdyby większy efekt chciał przygotować dalszemu opowiadaniu.

— Słucham tedy... — naglił Katylin.

Mandatarjusz odchrząknął, musnął wąs i prawił dalej:

— Właśnie w tym czasie powrócił z wojska po wysłużonych latach Mykita Płaneczuk, zuchwalec pierwszego rzędu, a lotr na wielki kamień. Ten z wrodzonego sobie zuchwalstwa,

nie chciał pogodzić się z zaprowadzonym u nas porządkiem rzeczy, i nuż judzić i buntować chłopów i zbierać podpisy na jakąś groźną suplikę, którą sam przyrzekał zanieść przed tron i złożyć w ręce samego cesarza. Zaimponował ogromnie chłopom i wielu dało się uwieść naprawdę i uległo ślepo wpływowi Ołańczuka. Lecz tuż zaraz doniosło się to do uszu dziedzica. I byłoż wtedy widzieć starościca, jak srogim zakipiał gniewem. Kazał natychmiast przywołać do siebie Mykitę, ale ten nietylko nie stanął na wezwanie, ale jeszcze z zuchwałemi dał się słyszeć pogroźkami. Rozsrożony do najwyższego posłał staroście swych olbrzymich kozaków, ci i diabła na rękach przynieśli by z piekła, toż w jednej chwili za kołnierz w powietrzu przystawili Ołańczuka do dworu. Ale Ołańczuk i wobec groźnego dziedzica nie spuścił bynajmniej z swego zuchwałego tonu.

— Janie takich już widział panów! Służyłem w wojsku i nie boję się żadnego cywila — zawołał w żywe oczy staroście. To zawiele było nawykłem do ślepej uległości, nieograniczonego posłuszeństwa panu, przyskoczył sam do zuchwalca i pięścią uderzył go w twarz. Ale Mykita Ołańczuk był to łotr nad łotrami! Wyobraź sobie pan, porwał się na samego dziedzica! Nie zważając na obecnych kozaków, rzucił się znienacka na nieprzygotowanego starościca, i nim jeszcze kozaki mogli przyskoczyć w pomoc, porwał go za gardło i powalił na ziemię.

Tu przerwał na chwilę mandatarjusz, jakby chciał zbadać, jak wielkie swem opowiadaniem sprawił wrażenie.

Katyliną śnać jakiejś innej spodziewał się katastrofy, bo widocznie niezupełnie był kontent z nowego toku opowiadania.

— Z tem wszystkiem był to przecież jakiś chwał, ten Mykita Ołańczuk! — odezwał się wreszcie, widząc, że mandatarjusz urwał śród mowy.

— Łotr, nie chwał — poprawił mandatarjusz — diablo też źle wyszedł na swem zuchwalstwie. Jak go pochwycili obadwaj przytomni kozacy, to nimby dziesięć mógł zliczyć, dostał już sto kijów odlewanych i bez przytomności prawie leżał na ziemi. Ale wszystko to nie ostudziło jeszcze wściekłości starościca, który prawie od zmysłów odchodził na pierwszym razie.

— Niech Pan Bóg broni, *taj tylko!* — mruknął Girgilewicz, który pobladł na samo wspomnienie tej chwili pamiętnej. Mandatarjusz ciągnął dalej opowiadanie:

— Starościc kazał napół nieżywego odnieść do mnie do aresztu i groził codziennie dopóty powtarzać tę operację, dopóki nędznik ducha nie wyzionie.

— I byłby pewno dotrzymał słowa — mruknął Girgilewicz.

— Niezawodnie — przyznawał mandatarjusz — ale śnać sam Pan Bóg chciał oszczędzić mu zbrodni. Gwałtowna irytacja tego dnia była za mocną nawet na jego żelazną naturę. Pod wieczór dostał silną gorączkę, a nazajutrz rozniemógł się naprawdę, że co tchu potrzeba było posyłać po doktora. Kilka dni trwało niebezpieczeństwo życia. Starościc nabawił się nerwowej febry, a w gorączce nie poznawał nikogo i bredził od rzeczy.

— Miał szczęście łotr! kilka dni jeszcze przytrzymałem go na czystym rosole w areszcie, a kiedy przyszedł wreszcie do siebie, pozwoliłem mu uciec na cztery wiatry. Ale, panie — zawołał mandatarjusz i z dumą potarł czuprynę — kilka razy potem dostał się w moje ręce i dałem mu się we znaki co się zowie. Raz...

— Ależ starościc... — przerwał Katylina.

— Starościc, panie — podchwycił mandatarjusz, odstępując od zamierzonej odrębnej wycieczki — ocalał od śmierci, ale sześć tygodni musiał przeleżeć w łóżku. Cóż to była za bieda, jak zaczął powoli przychodzić do sił! przyzwyczajony do ciągłego ruchu, do ciągłego życia czynnego, nie mógł jednej godziny wyleżeć spokojnie! aż wtem na szczęście zjawił się ni stąd ni zowąd jakiś kwestarz we dworze.

— Kwestarz? — powtórzył Katylina.

— Tak niby kwestarz, niby pustelnik, dość, że w sukni zakonnej. Ktoś wpadł na myśl, czy nie potrafiłby on rozerwać na chwilę chorego. Kwestarz podjął się chętnie tego zadania. A jak poszedł do pokoju chorego, to zabawił aż do późnego wieczora. Nazajutrz miał odejść, ale starościc cały dzień za-

i czwarty i kwestarz na piękno rozkwaterował się we dworze. Z początku bawił chorego samą tylko rozmową, ale następnie zaczął mu czytywać rozmaite jakieś książki, a rzecz szczególna, starościc, co jak ognia bał się wszelkiego pisma, słuchał z coraz większem upodobaniem. Kwestarz ani na chwilę nie oddalał się od jego łóżka, a kiedy potem czytał lub mówił, nie mógł nikt być w pokoju. Nie podobało się to wszystkim we dworze, ale nikt nie mógł się domyśleć niczego złego. Kwestarz przesiedział dwa tygodnie przy chorym, a potem znikł jakby go nie było. Starościc podźwignął się z łóżka i napowrót objął gospodarstwo. I nagle ani go poznać! Przeinaczył się, jakby go kto zamienił! Kto go teraz pierwszy raz ujrzał, lub słyszał mówiącego, nie wierzył w pierwszej chwili własnym oczom i uszom. Z dawnego wilka jakby cudem zrobił się baranek, z sokoła gołąbek!

— Proszę! — wybąknął Katyliną mimowolnie.

— O tak, panie — potwierdził Girgilewicz — ja sam, jak mię tu pan widzisz, zgłupiałem w pierwszym momencie, *taj tylko*.

— Jakto, dopiero wtedy pan zgłupiałeś? — zapytał Katyliną złośliwie.

— Dopiero wtedy — odpowiedział Girgilewicz dobroduszenie, nie domyślając się w tem żadnej myśli ukrytej.

— Ale na czemże polegała ta zmiana? — zapytywał Katyliną.

— Najpierw — ciągnął dalej mandatarjusz — zwołał wszystkich swych oficjalistów i oznajmił im krótko i kategorycznie,¹ że chce, aby odtąd jak najłagodniej obchodzić się z chłopami, i jeśli ktokolwiek najmniejszej dopuści się niesprawiedliwości, straci służbę...

— Bez pardonu. *taj tylko* — dokończył Girgilewicz, który coraz stawał się mowniejszym.

Pan mandatarjusz machnął ręką, jakby sobie wypraszał wszelkie przerwy i kontynuował dalej:

— Potem...

<https://rcin.org.pl>

¹ stanowczo.

— Potem? — przerwał tym razem jakby naumyślnie Katyliną.

— Zwołał wszystkie gromady i oświadczył im uroczysto z niezwykłą u siebie dobrocią i łagodnością, że odtąd postanowił obchodzić się inaczej z swymi poddanymi. Nie chce odtąd, mówił, być waszym panem, ale waszym ojcem, waszym bratem. Co dla was dawniej robiłem dobrego, będę robić nadal, a z dawnej surowości, bądźcie pewni, nie zostanie ani śladu.

— Jeszczeż żeby tylko to powiedział — wtrącił znowu Girgilewicz — ale równocześnie ogłosił także chłopom i ów nam udzielony nakaz, i polecił na każdą najmniejszą krzywdę udać się wprost do niego na skargę. *taj tylko.*

— Możesz pan sobie wyobrazić — prawil dalej mandatarjusz, — jak chłopcy gęby porozdziawiali na to oświadczenie. Z początku nie wierzyli sami sobie i z niemem zadziwieniem obzierali się dokoła, ale pogłupieli do reszty, kiedy przeistoczony nagle dziedzic, chcąc zaraz czynem sprawdzić nowe zasady, darował im wszystkie remanenta¹ pańszczyźniane, wszystkie zaległe dworu czynsze, osypy,² daniny i nadto po kwarcie wódki na każdy osobny numer zaasygnował z swych spichlerzów.

— Nawet i Ołańczukowi? — zapytał Katyliną.

— O ten po swym pierwszym chrzcie znikł bez wieści ze wsi, ale starościc ani się o niego nie zapytał i udał, że zupełnie zapomniał o całej tej scenie.

Katyliną coraz większe objawiał zajęcie, porzucił nawet swoje wygodne stanowisko na sofie i przysunął się bliżej opowiadającego.

Mandatarjusz uśmiechnął się zadowolony.

— Z początku myśleliśmy wszyscy, — zabrał głos po krótkiej pauzie — że to tylko nowy jakiś zwrot jego warjacji, ale niebawem pokazało się dowodnie, że zmiana była szczerą i gruntowną. Starościc zmienił się we wszystkim do niepoznania. Nie uganiał już z swymi kozakami z jednej wsi do drugiej, ale

<https://rein.org.pl>

¹ zaległości.

² opłaty w zbożu.

częściej przesiadywał we dworze, zamykał się w swym pokoju, zapisywał¹ jakieś rozmaite dzieła ze Lwowa.

— I zapewne pogodził się z bratem? — zapytał Katyliną.

— O nie — zaprzeczył prędko mandatarjusz. — Jak się bowiem pokazało z jego urywanych słów w gorączce, — dodał ciszej — nienawiść ta obudwu braci miała swoje słuszne powody. Chodziło tu podobno o Kseńkę.

— O jaką Kseńkę?

— Jakto? nie wspominałem panu nic o Kseńce? — wykrzyknął mandatarjusz, i wybałuszył oczy z zdziwienia.

— Ani pół słowa.

— Czy być może! A toż cymbał ze mnie! — strofował się pan sędzia, — wszakże to rzecz główna! a należała na sam początek.

— Nic nie szkodzi, chętnie usłyszemy ją i na końcu.

— Musisz pan wiedzieć, — szepnął mandatarjusz z uśmiechem politowania — że starościc zakochał się był w swoich dwudziestu dwóch latach.

— W Kseńce?

— W Kseńce, najładniejszej dziewczce całego klucza.

— Córcie Hrycia Syłozuba, gumiennego ze Sołomek — uzupełniał ekonom.

— Starościc gdzieś ją przypadkiem zobaczył — kontynuował mandatarjusz — i zaraz okrutnie wpadła mu w oko. Ładna bo też to była bestja, niech ją wszyscy djabli wezmą — zachwalał prawdziwie po mandatarjuszowsku. — Ale...

— Ale? — zapytał niecierpliwie Katyliną, którego niezmiernie zajął ten nowy romansowy zwrot w opowiadaniu.

— Na całej kuli ziemskiej nie było większej zalotnicy. Niech ją piorun trzaśnie! Zawróciła głowę wszystkim chłopcom w mojem dominjum. Przez nią trzech najbogatszych parobków nie chciało wykupić się od rekrutacji — dodał z ciężkiem westchnieniem niezapomnianej nigdy zgryzoty.

— Pal djabli rekrutację — przerwał Katyliną niechętnie. — W niej się więc zakochał starościc?

<https://rein.org.pl>

¹ zamawiał.

— Jak kot w sadle, *taj tylko* — wyjechał Girgilewicz z ekonomicznym porównaniem.

— A onaż?

— Jej pochlebiało oczywiście, że straszny dla wszystkich starszy panicz tak słodkie do niej robi oczy, więc nawzajem przymilała mu się wszelkimi siłami.

— *Taj tylko* — zakonkludował Girgilewicz i ze znaczeniem machnął ręką.

— Niebawem doniosło się to do dworu. Pani starościna chciała robić jakieś przedstawienia pasierbowi, ale to było jak groch o ścianę. Nie wskórawszy nic z tej strony, chciała się starościna choć już trochę za późno wziąć do Kseńki, ale panicz przeszkodził wszystkiemu, bo wyprawił dziewczkę w przyległe dobra kameralne¹ do Deminiec, gdzie wuj jego faworyta kozaka, Kostia Bulija, osiadł na sołtysowskim gruncie. Tam nie mogła jej dosięgnąć starościna, a panicz podjeżdżał codziennie nieulękniomy.

— Podjeżdżał, ale niedługo — wmieszał się ekonom.

— Cóż się stało?

— Kseńka znikła nagle bez wieści.

— Starościna ją porwała? — zawołał Katyliną.

— Ba i bardzo, sama uciekła, *taj tylko!*

— Chciała zapewne hołdów panicza, ale tam, gdzie ten panicz miał tak wielkie znaczenie, i gdzie tak wielki przed sobą rozsiewał postrach: tymczasem w nowym jej przybytku znikł jego urok, a pozostała tylko twarz brzydka i niemila. To też prędko sprzykrzył jej się ten cały stosunek, a pewnego pięknego poranku spakowała swoje manatki i znikła gdzieś bez wieści.

— A cóż za udział miał w tem braciszek?

— Zdaje się, że kiedy starościc wracał jedną drogą z Deminiec, to pan Zygmunt pędził tam drugą i, że Kseńka, głównie na jego nalegania, opuściła swoje dotychczasowe miejsce schronienia i przeniosła się do gajowego w dobrach brata starościny, gdzie młodszy panicz przebywał po kilka miesięcy co roku.

— I cóż na to starościc?

— Mało nie oszalał w pierwszej chwili, ale po kilku tygodniach jakoś się opamiętał.

— Jeśli ją kochał szczerze — mruknął Katyliną więcej sam do siebie — to nietrudno wytłumaczyć sobie wszystkie te szczególne rysy jego późniejszego charakteru.

— Ale mniejsza tam o Kseńkę, bo to już strasznie dawne dzieje — zabrał mandatarjusz głos nanowo. — Teraz zbliżamy się do głównej katastrofy.

— Ach! — wybąknął Katyliną, jakgdyby się już nie spodziewał niczego więcej.

— Starościc bratał się coraz otwarciej z chłopami.

— Że aż wstyd zbierał. *taj tylko*.

— Często zaś z jakiemiś szczególniejszemi odzywał się do nich przemowami.

— Hh, hm! — krząknął Katyliną.

— Mnie to zaraz wpadło w oczy, — poprawił mandatarjusz z pewnym naciskiem — ale człowiek patrzył przez szpary. Aż wtem nagle, jak piorun z jasnego nieba, pada bomba niespodziewana.

— Ho, ho!

— Pewnego pięknego poranku ledwie co wstałem z łóżka i zabrałem się najspokojniej do kawy, aż tu trzask prask dwa powozy zajeżdżają przed dominjum. Spojrzałem przez okno i skamieniałem prawie z przestachu. Z powozu wysiadali pan komisarz cyrkularny z landsdragonem i pan konsyljarz kryminalny, dwaj najzdatniejsi urzędnicy w całym obwodzie. Dla Boga, cóż się stało! pomyślałem napół nieżywy. Nim jeszcze miałem czas wyjść naprzeciw nich, już obadwaj wpadli do kancelarji i w tej chwili przy zamkniętych drzwiach rozpoczęli ze mną komisję, i nuż mnie zapytywać to o to, to o owo, to tak, to owak, aż wreszcie połapałem się o co chodzi. Szukali tropu owego kwestarza, co podczas choroby starościca pojawił się we dworze.

— Tam do kata! — wykrzyknął Katyliną.

— Ale cóż tu panu długo opowiadać jak szła komisja, jak ja to, mości dobrodzieju, mieszałem szyki i mydliłem oczy

obudwom, żeby siebie od wszelkiej ocalić kompromitacji! Koniec końców wysliznąłem się z wszystkiego suchą nogą, jeszcze z reskryptem pochwalnym w dodatku, ale z starościcem na zle się zaniosło...

— Ów kwestarz — dorzucił po chwili, zniżając głos — był to emisariusz¹ z Paryża, z centralizacji.²

— Tak, tak z *centnaralizacji* — potwierdzał stanowczo Girgilewicz.

Katyliną coś niezrozumiale mruknął przez zęby. Mandatarjusz kontynuował:

— Staroście snąc przywidywał takie następności, bo właśnie przed tygodniem wyrobił sobie był paszport do Paryża, a teraz, kiedy cała sprawa coraz gorszą zaczęła przybierać postać i powoli wykrywały się dowody jego tajnych z kwestarzem konszachców, drapnął nagle z swymi obudwoma kozakami, że się tylko zakurzyło za nimi.

— Cóż to była za kałamancja w całym kluczu! — ozwał się Girgilewicz. — Nikt nie wiedział, komu składać raporta, od kogo brać dyspozycje.

— I komu oddawać pieniądze za sprzedawane z spichlerza zboże! — wtrącił z drwiącym śmiechem Katyliną.

Girgilewicz wybałuszył oczy, jakby chciał powiedzieć: a pan skąd o tem wiesz?

— I cóż dalej? — zapytał Katyliną, nie zważając na to.

— Resztę dowiesz się pan najlepiej od samego jaśnie wielmożnego pana, który jest jego przyjacielem. Po roku niebytności starościca, zawezwał go rząd krajowy publicznymi dziennikami, że jeśli w rok i tydzień nie powróci, postrada prawo obywatelstwa w państwie austriackim, a tem samem i majątek jego przejdzie na prawych spadkobierców. Nim jeszcze upłynął termin, wyczytaliśmy w dziennikach, że w Dreźnie umarł nagle śmiercią jakiś znamienity Polak, imieniem

¹ tajny wysłannik, celem prowadzenia agitacji powstańczej.

² «Centralizacja Towarzystwa Demokratycznego w Paryżu», utworzona przez emigrantów po r. 1831, głosiła hasła demokratyczne i przez emisariuszy przygotowywała w kraju powstanie.

Mikołaj Żwirski. Na tę wiadomość hrabia Zygmunt, jako prawny sukcesor, natychmiast objął administrację całego klucza.

— Ale nie na długo — pochwycił ekonom.

— Zapewne nadszedł testament?

— Nie inaczej, mości dobrodzieju — ciągnął dalej mandatarjusz. — Nagle i niespodziewanie pojawił się Kost' Bulij w Żwirowie i jednym słówkiem obalił wszelkie nadzieje hrabiego. Nieboszczyk starościc zostawił testament, którym cały majątek zapisał komu innemu.

— A tym innym był mój Julek, Gracchus¹ — zawołał Katylina.

— Kto, kto? — zapytali jednocześnie ekonom i mandatarjusz.

— Wasz dziedzic dzisiejszy.

— A tak. Kost' Bulij złożył testament w sądzie, a w kilka tygodni instalował pan komornik Gramarski² nowego dziedzica, o którym ani się przyśniło nikomu.

— Cóż na to hrabia Zygmunt?

— Z początku chciał podobno wszczynać proces, ale się prędko odradził i poprzestał na swoim Orkizowie.

— A skądże do diabła Juljusz przyszedł do tej łaski u starościca?

— Tego się pan tylko od niego samego możesz dowiedzieć. Jest podobno nietylko imiennikiem, ale i jakimś dalekim krewnym starościca, a ojciec jego miał nawet być w przyjaźni z nieboszczykiem starostą.

— Hm, hm — mruknął Katylina, jakby niezupełnie jasno pojmował stan rzeczy.

— O wszystkim tem dowiesz się pan najlepiej, jak mówiłem, od niego samego.

— Prawda — mruknął Katylina.

¹ Tyberjusz i Gajus Gracchowie, Rzymianie, synowie znakomitego rodu, dążyli do wywalczenia praw dla ludu, które w Rzymie posiadały tylko znakomite rody patrycjuszowskie.

² komornik Gramarski występuje w *Szlachcicu chodackowym*, oraz w *Szaraczku i karmazynie*. I tam jest scharakteryzowany, jakkolwiek większej roli nie odgrywa.

— Nowy dziedzic objął cały klucz z wyjątkiem żwirskiego dworu.

— Który wtedy oczywiście nie uchodził jeszcze za zaklęty? — poderwał Katyliną.

— Ej, gdzie tam, panie! — odezwał się Girgilewicz — zawsze w nim jakiś djabeł dokazywał. Jeszcze za życia starościca zaczęły się różne nocne w nim brewerje.¹ Mówiono, że nieboszczyk starosta wykrzykuje swoje wieczne: niepozwalam! protestuję! i rąbie zdrajców w postaci stołu dębowego, *taj tylko*.

— Ale to były tylko luźne gadaniny, mości dobrodzieju — zaczął na nowo mandatarjusz.

— A terazże jest w tem co innego? — zapytał skwapliwie Katyliną.

Pan mandatarjusz wzruszył ramionami, podciągnął brwi aż pod samą niemal czuprynę i rzekł zniżonym cokolwiek głosem:

— Gdybym nie był filozofem z przekonania, sambym uwierzył we wszystko, co mówią ludzie.

Katyliną parsknął śmiechem. Girgilewicz przeżegnał się i splunął:

— Niema się tu czego śmiać — upominał z powagą.

— Powiedzcież mi tedy z łaski swojej, czem właściwie straszy ten dwór zaklęty?...

— Główna rzecz, że starościc chodzi w nim po śmierci, tak przynajmniej lud utrzymuje.

— I tak jest w samej rzeczy, *taj tylko*

— Z tegom się jeszcze niewiele dowiedział — ozwał się Katyliną.

Mandatarjusz potarł czuprynę.

— Starościc — zagaił po chwili — położył jako główną klauzulę² testamentu, aby zaklęty dwór aż do zupełnej swej ruiny pozostał niezamieszkanym i nietkniętym zgoła w swym urzą-

¹ awantury.

² warunek zamieszczony, w tym wypadku, w testamencie, z obowiązkiem dotrzymania go.

dzeniu. Straż nad nim poruczył Kostjowi Bulijowi, przeznaczając mu na mieszkanie dom dawnego ogrodnika w zatyle¹ ogrodu. Samo to już szczególniejsze postanowienie rzuciło pewien cień tajemniczy, pewien urok na opuszczony, ponury z powierzchni dwór.

— I stąd zapewne urósł i jego przydomek i rozszerzył się popłoch między prostym ludem!

— Ba i bardzo! co też pan gadasz. *taj tylko* — zżymał się ekonom napół zapominając, że mówi do przyjaciela swego dziedzica.

Mandatarjusz znowu potarł czuprynę i znowu brwi podciągnął wysoko w górę.

— Widzisz pan dobrodziej — ozwał się z podwójną powagą — zaszły niektóre zdarzenia, objawiły się pewne indycje,² że naprawdę rozum głupieje.

— Naprzykład? Słucham! — zawołał Katyliną z wzrastającą ciekawością na twarzy.

— A! co tu gadać *taj tylko* — podchwycił Girgilewicz — ja sam, jak mię pan tu widzisz, widziałem jasne światło w lewym skrzydle pałacu, w tym pokoju, gdzie to przesiadywał nieboszczyk starosta.

— A światło to nie mogło już w żaden sposób z naturalnych jakich pochodzić przyczyn? — wtrącił Katyliną z drwiącym niedowierzaniem.

Girgilewicz wzruszył ramionami prawie z politowaniem.

— Pijany nie byłem wówczas, a księżycy ani widać było na niebie. Koniecznie więc musiał być ktoś we środku.

— Oczywiście Kost' naprzykład.

— Kost' wtedy siedział u mnie w areszcie — ozwał się mandatarjusz.

— A to zaco?

— Myślałem, że to on jakieś tumany puszcza³ między lud i zamknąłem go był *brevi manu*⁴ na parę dni.

¹ w tylnej części.

² oznaki.

³ otumania.

⁴ dosłownie: krótką ręką, czyli: bez dochodzeń.

— Więc mógł jaki złodziej zakraść się do dworu?...

— O, od smutnego końca Pawła Faryły nie odważyłby się tam ani zbliżyć żaden złodziej, choćby mu Bóg wie jaka nasuwała się zdobycz.

— A ten Faryło właśnie najlepiej dowodzi wszystkiego — przemówił z tryumfem pan Girgilewicz.

— W samej rzeczy, to szczególniejszy wypadek i trudno go sobie wytłumaczyć przy największej filozofji we łbie.

— Słucham!

— Miałem w mojem dominjum zawołanego na całą okolicę złodzieja, podpalacza, rozbójnika jednym słowem. Sześć razy siedział w kryminale, a zaledwie odzyskał wolność, zaraz dzie sięć nowych popełnił lotrostw i zbrodni. Otóż ten korzystając z uwięzienia Kostia, zakradł się do dworu, wybił szybę w sieni i wlażł do środka. Co się tam z nim działo, o tem nikt nie wie. Dopiero nad ranem powrócił do domu z próżnemi rękami, a zmieniony do niepoznania. Włosy miał rozjeżone, oczy obłąkane, twarz trupiej bladeści, a cały drżał jak we febrze. Na wszystkie zapytania żony i dzieci nie odpowiadał nic więcej, jak tylko te dwa słowa «nieboszczyk pan!» Cały dzień leżał w gorączce, wrzeszcząc ciągle w niebogłosy: nieboszczyk! nieboszczyk! ratujcie! W nocy zaś...

— W nocy?

— Umarł z przestachu.

— Hm, hm — mruknął Katylina, kiwając głową w zamysleniu.

— Ale to jeszcze nic, mospanie — poderwał Girgilewicz z wzrastającym tryumfem — nazajutrz, kiedy trupa kładli na mary, pokazało się na lewem jego policzku pięć sinych pręgów, jakby od pięciu palców ręki. A pan dobrodziej wiesz przecie, — dodał ze znaczeniem — że po każdym dotknięciu upiora pozostaje niezatarty siny znak.

Katylina zabębnił palcami po stole i wzruszył ramionami. Widocznie nie wierzył tym skazówkom, nie chciał tylko sprzeciwić się otwarcie.

Mandatarjusz [zabrał głos na nowo.](https://rcin.org.pl)

— Przyznam się panu, że na mnie samego tak wielkie sprawiło to wrażenie, że niezwłocznie Kostia puścił z aresztu, zwłaszcza że wartownicy klęli się na wszystko w świecie, że jednej nocy nieboszczyk starościc ukazał się pode drzwiami aresztu i kilka jakichś niezrozumiałych słów zawołał na swego dawnego kozaka.

— Ale co tam długo rozprawiać, *taj tylko* — wtrącił się Girgilewicz z ekonomiczną niecierpliwością. — Alboż mój gumieny nie widział go na gumnie! Nieborak mało ducha nie wyzionął *taj tylko*, bo nieboszczyk siedział na czarnym jak węgiel koniu i bezustannie skakał z dachu stodoły na stertę pszeniczną, z sterty pszenicznej na stodołę. A co koń skoczył, to mu tysiące iskier buchnęło z nozdrz, że biedny gumieny jak tylko przyszedł do głosu, na całe gardło zaczął wrzeszczeć: ogień, pali się, ratujcie! i w jednej chwili zbudził całą czeladź folwarczną. Ale wtedy znikł już nieboszczyk bez śladu, *taj tylko*.

— Czy tylko gumieny pański zawsze trzeźwy i nie lubi skłamać czasami?

— Alboż to on jeden widział nieboszczyka, *taj tylko*. Sto ludzi postawię, co się własnemi przypatrywali oczyma, jak nieboszczyk na czarnym jak smoła koniu jakieś opętane harce wyprawiał na dachu swego dworu, a niemasz może dziesięciu ludzi w całym kluczu, coby go nie widzieli bądź z fajką na ganku, bądź gdzie na rozstajnej drodze z nahajką w ręku. Czasami nawet nie sam się pokazuje. Stary starosta wyjeżdża wraz z nim na koniu i krzyczy, że go słyszać na milę: Niepozwalam! protestuję!

— Ale pan sam prócz światła w oknach nie widziałeś nic zgoła — zapytał Katyliną rozjędzonego ekonoma.

— Ja nie, ale czego tu ukrywać, pan sędzia widział, *taj tylko*.

— Co pan, panie Gągolewski?

— Czy być może! — zawołał w zdziwieniu i pan aktuarjusz, który dotychczas ani gęby nie roztworzył.

Mandatarjusz zmieszał się strasznie i spojrzał gniewnie na ekonoma, jakby mu chciał wyrzucać, że zdradził tajemnicę.

— No cóż, nieprawda może? nie widziałeś pan sam na własne oczy nieboszczyka? — pytał dalej niezrażony Girgilewicz.

— To jest... to... — jękał się mandatarjusz.

— Jakto? sam go widziałeś, człowieku, i nic nie mówisz? — zakrzyknął Katylin.

Mandatarjusz konfundował¹ się coraz mocniej.

— Bo to widzisz pan — zająknął się — nie wiem, jak pan to weźmiesz... to jest... jak ci się to wyda...

— Ależ zmiłuj się, dobrodzieju, opowiadaj, nie nadużywaj mej ciekawości.

— Opowiadaj pan sędzia, *taj tylko* — zachęcał Girgilewicz.

Mandatarjusz znowu potarł czuprynę.

— Daję panu słowo honoru, słowo uczciwości, — ozwał się wreszcie, jakgdyby do jakiegoś hazardownego nakłaniał się postanowienia — że wszystko, co panu opowiem, jest szczerą prawdą, którą w każdej chwili mógłbym stwierdzić świadectwem żywego człowieka.

— Bez wstępów, bez przedmowy! — niecierpliwił się Katylin.

Mandatarjusz odkrzęknął i odkasznął i nareszcie ozwał się dopiero po krótkiej chwili:

— Było to prawie o tym samym czasie zeszłego roku...

— Jeszcze nim ja nastąpiłem — uzupełniał pan Gustaw Chochelka.

— Miałem wówczas małą komisijkę, bawił u mnie młody konceptowy praktykant z cyrkułu, pan Józef Minsowicz, zapalony miłośnik skrzypców i polowania. Walny chłopak co się zowie! Pół dnia grał na skrzypcach, drugie pół polował.

— *Taj tylko* — wtrącił się Girgilewicz w silnem przekonaniu, że w tem miejscu ani rusz obejść się bez tych jego dwóch słów ulubionych.

— Pewnego dnia — kontynuował mandatarjusz — wy-

¹ mieszał się.

braliśmy się popołudniu na krzyki¹ aż pod Zawałówkę, o dobre trzy mile stąd. Kilka godzin brnęliśmy po kolana w błocie, a licho nadało, że ani wrona się nie pokazała! Znużeni, zniechęceni, mieliśmy wracać do domu, kiedy zaproponowałem wstąpić na przekąskę do zawałowskiego proboszcza...

— Ależ jak tak zaczniesz *ab ovo*,² mój łaskawco — przerwał Katyliną — to dzisiaj nie skończysz opowiadania.

Mandatarjusz przygryzł wargi, cokolwiek urażony.

— Pozwól-no pan, wiem co należy do rzeczy. Na prohostwie zatrzymaliśmy się do późnej nocy, komisarz zabałakał³ się z popadjankami, ja z księdzem proboszczem puściłem się w ekartę⁴ o cwancygierka.⁵ Dopiero po jedenastej wracaliśmy wozem do Buczał. Prawie o samej dwunastej stanęliśmy na zakręcie lipowej ulicy, która prowadzi do dworu. Mimowolnie jakoś rzuciłem okiem w tę stronę i krzyknąłem napół z przestachu, napół z zdziwienia. Zdawało mi się, że widzę światło w lewym skrzydle dworu. To samo przywidziało się i naszemu furmanowi, ale komisarz upierał się nazabój, że to tylko odbłask księżycy.

— Śliczny mi odbłask — mruknął Girgilewicz i machnął ręką.

— Ja z grzeczności nie chciałem się sprzeciwiać, ale komisarz mimo to wziął się przekonać nas dowodnie, że się próżnem ludzimy przywidzeniem. Rozkazał więc jechać ku dworowi. Napróżno składał i wymawiał się biedny woźnica, napróżno ja sam prosiłem i przedstawiałem. Komisarz nie odstąpił od swego i otóż nagle ni stąd ni zowąd znaleźliśmy się pod bramą dworu.

— I światła nie było? — poderwał Katyliną.

— Przysiagliłbym, że zgasło w naszych oczach, ale koniec końców nie było.

— Aha — zaśmiał się Katyliną.

— No cóż aha? jeszcze pan nie mów hoc! Tak samo i ko-

¹ rodzaj ptaków.

² dosłownie: od jaja, czyli: od początku.

³ zagadał się.

⁴ gra w karty.

⁵ dawna moneta austriacka.

misarz mówił mi aha, i nuż drwić i kiepkować¹ sobie ze mnie, a potem śmiejąc się do rozpuku, jął na całe gardło różnemi słowy zaklinać z grobu nieboszczyka. I oto nagle...

Tu urwał na chwilę mandatarjusz, nie wiedzieć czy dla większego rozdrażnienia słuchaczy, czy pod wpływem przestachu, jakiego go nabawiło samo wspomnienie tej chwili.

— No i cóż nagle? — zapytał niecierpliwie Katylina.

Mandatarjusz otarł pot z czoła i nieco przytłumionym ozwał się dalej głosem:

— Nagle rozwarły się z trzaskiem drzwi parapetowe, a na balkonie ukazał się starościc jak żył i wyglądał za życia.

Katyliną aż podskoczył w górę.

— Żartujesz pan! — zawołał.

— Słowo honoru, słowo uczciwości! — upewniał mandatarjusz.

— Szczera prawda, *taj tylko* — dodał nadobitek ekonom.

— I cóż dalej? — pytał Katyliną, drżąc prawie z niecierpliwości.

— A cóż! skamienieliśmy z przestachu. Starościc chwilę stał niemy i nieruchomy na miejscu, a potem zniknął nagle, jakby się w ziemię zapadł.

— I pan poznałeś twarz jego?

— Jak swoją własną w zwierciadle!

— A nie wpadliście zaraz do dworu?

Mandatarjusz wybałuszył oczy, jakby na obląkanego.

— Co? — zawołał — uciekaliśmy, że się tylko kurzyło za nami. A przez całą drogę szumiało nam wszystkim w uszach, jakgdyby ktoś pędził za nami.

— I odtąd uwierzyłeś pan już w stracha zakłętego dworu?...

— To jest odtąd przestałem naigrawać sobie z niego.

Katyliną powalił się napowrót na sofę i w jakieś głębokie wpadł zamyślenie.

— Dziwna rzecz! — mruknął po chwili. — W tem wszystkim tkwi jakaś szczególna tajemnica! — Ach! — zawołał na-

<https://rcin.org.pl>

¹ pokpiwać (od *kiep*).

gle, jakgdyby sobie coś przypominał — ten tajemniczy obdarius pod krzyżem, to Mykita Ołańczuk! tak... przypominam sobie to nazwisko! Otóż jedno już zrozumiałem, resztę trzeba dopiero odgadywać...

Mandatarjusz spojrział nagle na zegarek.

— O, tośmy się zabalakali! — zawołał — dwunasta godzina.

— O dla Boga! — wrzasnął Girgilewicz i prędko porwał się z miejsca. — Cóż tam sobie pomyśli moja żona! Upadam do nóg! Spokojnej nocy życzę państwu. — Kłaniał się pospiesznie na wszystkie strony i co tchu wymknął się za drzwi.

— Tylko żebyś się gdzie na drodze nie spotkał z nieboszczykiem! — krzyknął za nim Katylina.

— Pan Bóg z panem! — zawołał Girgilewicz z za drzwi i przeżegnał się przestraszony.

Katylina wyciągnął się i ziewnął głośno.

— Gdzież mię ulokowałeś, ¹ laskawco? — zapytał gospodarza.

— W kancelarji.

— Z panem Chochełką.

— Ze mną — potwierdził aktuarjusz.

Katylina spojrział nań z szyderczym uśmiechem i westchnął.

— Ach, gdybyś pan był przynajmniej tem, czem twoje nazwisko! — szepnął.

— Jakto? czem? — wybąknął aktuarjusz i poczerwieniał aż powyżej uszu, przeczuwając nową jakąś obelgę.

— *Generis feminini* ² — bąknął Katylina i głośnym, rubasznym wybuchnął śmiechem.

— Dobranoc ci, kapłanie sprawiedliwości — zawołał poufale do swego gospodarza, a chwytając pod ramię aktuarjusza, w dwóch susach wyciągnął go z pokoju do kancelarji po drugiej stronie sieni.

Mandatarjusz, milcząc, patrzył kilka chwil za odchodzącym, a potem w zamyśleniu potarł czoło.

<https://rcin.org.pl>

¹ umieścić. ² rodzaju żeńskiego.

— Trzeba iść spać — szepnął. — Ale ten szuja ma da-libóg w sobie coś mandatarjuszowskiego! Dawny przyjaciel dziedzica! hm, hm, miejmy się na ostrożności!

VI

GRACCHUS I KATYLINA

Wielka i zamożna wieś Oparki, teraźniejsza stolica żwirowskiego klucza, leżała o niespełna pół mili od Buczał w powabnej i dość rozległej dolinie, przypartej z jednego boku do szerokich smug lasów, a opasanych z trzech stron innych prądem małej, w Dniestr wpadającej rzeczki.

Pałac oparski, siedziba dziedzica, wznosił się na małym pagórku o dobrą staję ode wsi, do której cienista lipowa prowadziła ulica.

Był to wielki, murowany budynek o sześciofilarowym ganku, a lubo zdala nie przedstawiał się w takiej okazałości jak dwupiętrowy dwór żwirowski, zasługiwał na wszelki wypadek na nazwę pałacu, która u nas nieraz i drewnianemu przysłużyła dworowi.

Obszerny, ostrokołem otoczony dziedziniec, mieścił w sobie po jednej stronie murowane oficyny, a po drugiej z poza gęstego rzędu dzikich kasztanów wyzierały stajnie, wozownie i lamusy, do których osobny prowadził zajazd.

W zatyle ciągnął się daleko piękny ogród angielski¹ z bogatą oranżerją i wysokim, starannie utrzymywanym ślimakiem,² na którym prześliczna wznosiła się altana.

Zewnętrznej okazałości pałacu odpowiadało godnie wewnętrzne bogate, acz znacznie już staroświeckie urządzenie.

Nieboszczka starościna myślała przez długi czas przenieść swą rezydencję z Żwirowa do Oparek i wszelkie już potrzebne do tego porobiła przygotowania, ale nagła śmierć męża, a na-

¹ w ogrodach angielskich naśladowano malownicze widoki natury.

² linja spiralna, wedle której układano ścieżki między klombami.

stępny podział majątku pomiędzy obudwu synów przeszkodziły temu zamiarowi. Jak wiemy, przesiedliła się starościna do Orkizowa, staroście pozostał w Żwirowie, a urządzony zupełnie pałac oparski czekał kilkanaście lat napróżno na godnego siebie lokatora. Znalazł go dopiero po śmierci starościca w nowym dziedzicu, który dla pewnej znanej nam klauzuli testamentu nie mógł pod żadnym warunkiem mieszkać w Żwirowie.

Było to już dobrze z południa nazajutrz, po owym wieczorku u mandatarjusza, kiedy przed ganek pałacu zatoczyła się prosta chłopska fura, a z niej raźnie i zwinnie wyskoczył nasz barczysty, awanturniczy nieznajomy z ryczychowskiej karczmy, który w domu mandatarjusza tak szczególne przykładał sobie imiona.

Twarz jego, jak zawsze, nosiła wyraz jakiejś wyzywającej zuchwałości i pewnego nietajonego lekceważenia dla wszystkich i wszystkiego, na ustach igrał mu niezmienny uśmiech sarkazmu, wpadającego aż w cyniczną niemal bezczelność: z tem wszystkiem zdawało się, że ubył mu cokolwiek owej dziwnej pewności, owego bezwzględного zaufania w siebie, jakie do niedawna objawiał w każdym swym kroku, ruchu i słowie.

Kiedy skoczył z woza, zawahał się na chwilę w ganku i niekoniecznie zadowolony obejrzał się dokoła.

— Niema co mówić — szepnął — brakuje mi tylko stryczka na szyi, a każdyby przysiągł, żem się urwał z szubienicy. Jak też mię on przyjmie! koleżeństwo szkolne, przyjaźń koleżańska! jakieżto głupie wspomnienia po kilku latach niewidzenia i przy zupełnie zmienionych stosunkach towarzyskich.

Nagle wstrząsł się cały, jakby gwałtem odpędzał od siebie wszystkie nieprzyjemne myśli i przypuszczenia i głośnym wybuchł śmiechem.

— Et, co tam, furda! — mruknął półgłosem, wstępując na marmurowe schody ganku. — Powie mi: nie znam aspana, to ja mu na to bez ogródki: pal cię djabli, durniu! i lewo wtył marsz!

I czy to dla lepszej odwagi, czy dla odzyskanej już zu-

pełnej pewności, zagwizdał nagle jakby chciał psy zwoływać do sfory.

W tej właśnie chwili lokaj ukazał się w sieniach i prawie z przestrachem wytrzeszczył oczy na nieznanego.

— Pan w domu, błaznie? — zapytał Katylina gromowym głosem, aby sobie zaraz zgóry należytej nadać powagi.

Lokaj już naprawdę przestraszył się, lubo w pierwszej chwili tak mu zaimponowało owe kategoryczne «błaznie», że się aż po ziemię uklonił i coś jak jaśnie wielmożny miał na ustach.

— No, cóż? nie słyszysz, trutniu? — huknął Katylina jeszcze głośniejsze. — Jest pan?

— Jest... ale — wybąknął zmieszany sługus.

— Co ale?

Lokaj miał już czas ochłonąć z pierwszego wrażenia. Zmierzył nieznanego od stóp do głowy i wzruszył ramionami, więcej z gniewem, jak lekceważeniem.

— Czego pan chcesz? — zapytał zuchwale i postawił się w pozycji, jakgdyby teraz dopiero przypominał sobie przesłanego w pierwszej chwili błazna i trutnia.

Katyliną zamiast odpowiedzi przystąpił bliżej do niego, wyciągnął rękę znienacka i nim jeszcze zagapiony tym nowym ruchem lokaj mógł zmiarkować o co chodzi, ujrzał się silnie pochwyconym za kołnierz i w jednym mgnieniu oka trzy razy zwinął młyńca w powietrzu.

— Gwałtu! ratunku! — zawrzeszczał w niebogłoso, przekonany, że jeśli nie ma do czynienia z rabusem, to pewno z warjatem.

Katyliną popchnął go naprzód, a przestraszony służalec jak długi powalił się na ziemię. W tym momencie dwóch innych wypadło służących, a jednocześnie w drzwiach po lewej stronie ukazał się jakiś młody mężczyzna w aksamitnym szlafroku i z otwartą książką w ręku.

— Co to znaczy? — zapytał głosem gospodarza.

— Gracchus! — krzyknął nieznanomy i z rozwartymi ramionami posunął się ku niemu.

Młody mężczyzna cofnął się o krok wtył i spojrzał zdzi-

wiony i zmiészany przed siebie. Nagle wesołym parsknął śmiechem i także rozwarł ramiona.

— Katylina! — zawołał i pociągnął nieznanego za sobą do pokoju.

Wszyscy trzej słudzy spojrzeli po sobie zdziwieni i przestraszeni, a podnoszącemu się z ziemi lokajowi jakieś nawpół już wymówione przekleństwo zastygło na ustach.

Obadwaj dawni znajomi i przyjaciele przebiegli tymczasem milcząc cały szereg wspaniale i gustownie umeblowanych pokoi, aż nagle zatrzymali się w małym, mnóstwem książek i papierów zarzuconym saloniku. Tu Gracchus rzucił się wygodnie na małą safjanem wybitą sofkę i wybuchł w długi, serdeczny śmiech.

Katylina nie zmieszał się bynajmniej tem oryginalnem powitaniem, rozparł się najswobodniej na pobliskiem karle,¹ i tak głośno i szczerze zawtórował gospodarzowi, że echo aż w czwartym odezwało się pokoju.

— Katylina! — wybąknął gospodarz, zanosząc się od śmiechu.

— Gracchus! — wykrztusił z siebie gość wśród coraz głośniejszych i rubaszniejszych wybuchów wesołości.

— Przestańże, bo pękne — wołał gospodarz i przewrócił się na drugą stronę w swej sofce.

— Ależ do djabła — nie ja zacząłem! — wydusił z siebie gość i w całej długości wyciągnął się na krześle.

I znowu kilka chwil śmieli się obadwaj jak opętani.

— Z czegoż się śmiesz? — zagadnął nareszcie Gracchus, ocierając łzy z oczu.

— Ja? przez grzeczność dla ciebie — odparł Katylina.

I jeszcze raz obadwaj głośnym wybuchli śmiechem.

— Wiesz — ozwał się nareszcie wyraźniej gospodarz — powinienbyś żądać dziesięcioletniego przywileju na sposób, z jakim po raz pierwszy przedstawiasz się w obcym domu. Poturbowałeś mi lokaja...

— Chciałem go tylko zmusić, aby mię zaprowadził do ciebie.

— I nie oglądał bliżej twojej garderoby.

— To już było zapóźno, łotr zaczął od tego.

— Ależ na miłość Boga, opowiadaj prędko, skąd się tu bierzesz, gdzie bawiłeś, co robiłeś *et caetera, et caetera*.

— Ho ho, nie tak prędko, łaskawco, najprzód musisz się dowiedzieć, poco tu przyszedłem.

— Więc nie w odwiedzin?

— Ba i bardzo! Szukam obowiązku, jaśnie wielmożny panie!

— Aż tak źle z tobą!

— Do niedawna było jeszcze gorzej, ale teraz...

— Teraz?

— Będzie już dobrze, kiedy mego Gracchusa zastaję niezmiennego mimo szesnastu wsi, które, jak istne pieczone gołąbki, spadły mu do gęby.

— Znajdujesz mię więc niezmiennym — pytał Gracchus ciągle tym samym drwiąco wesołym tonem.

— Jak siebie samego!

Gracchus aż podskoczył z swej kanapki.

— *Vade retro, satanas!*¹ więc ty się nic nie zmieniłeś? — zawołał z przestachem.

— Ani o włos! Oto najdobitniejszy dowód — odparł z rubasznym śmiechem Katyliną i wskazał na podniesione w górę ukośne zapiętki.

— Zawsze ten sam hulaka, szalawiła, hałaburda.

— Burda — powtórzył tylko Katyliną i kiwnął głową.

— Ten sam libertyn,² niepomny na wczoraj, niedbały o jutro.

— A tak trochę... mniej więcej!

— Kpiarz, dla którego nic świętego, nic poważnego, nic nietykalnego.

— Za długą snujesz już litanję — przerwał Katyliną, choć ani myślał się urażać.

<https://rcin.org.pl>

¹ idź precz, szatanie.

² rozpustnik, niedowiarek.

— Namiętny wielbiciel płci pięknej...

— Aha... płci... — powtórzył Katylina i zakrztusił się czegoś.

— Niedowiarek nieuznający ni Boga ni djabła!

— Ale wierzący ślepo w twój charakter i twoje serce.

— I w moją pamięć, nieprawdaż?

— Ale tylko w twoją.

— Ocaliłeś mnie kiedyś od ekskluzji.¹

— No, jak teraz rzeczy stanęły, to niewielką wyświadczyłem ci przysługę.

— Ale wówczas ogromną, i to nie tylko mnie.

— Prawda, przysłużyłem się trochę i twojej matce, o którą zaledwie teraz pozwalasz mi się zapytać.

Wesoła i uśmiechnięta twarz Gracchusa spoważniała i zasępił się nagle, a z piersi wyrwało się przytłumione wetschnienie.

— Moja matka — szepnął zmienionym głosem...

— Nie żyje?! — wykrzyknął Katylina, domyślając się reszty.

— Niebo przeznaczyło jej snąć samą tylko walkę z losem, nie miała na ziemi zupełnego doznać szczęścia. Umarła...

— Nim jeszcze odziedziczyłeś spadek...

— Spadek ten miał mi tylko osłodzić jej stratę — szepnął i w jakieś głębokie wpadł zamyślenie.

Katylina pochylił głowę na piersi i uśmiech sarkastyczny znikł mu z twarzy. Po chwili podniósł oczy i prawie z spólczuciem spojrzął na przyjaciela, co całej fizjonomji jego jakiś niezwycajny nadało wyraz.

Gracchus siedział ciągle w zamyśleniu, a dziwnie piękną wydawała się w tej chwili cała jego postać. Wysoki, smukły, łączył w twarzy swej kobietą miękkość i regularność rysów z wyrazem prawdziwie męskiej powagi i śmiałości. Najpierwsza piękność niewieścia mogłaby mu pozazdrościć białości i rumieńców twarzy, jasnych, lśniących i miękkich jak jedwab włosów, które z natury w bujne skręcały się kędziory i tych błękitnych, wymownych oczu, co zawsze zdawały się zamyślane,

<https://rcm.org.pl>

¹ wypędzenie ze szkoły.

napół nieprzytomne prawie, a mimo to jednym spojrzeniem przejmowały do głębi. Tem wydatniej i nadobniej występowały obok tych kobiecych wdzięków prawdziwie męskie, wysokie i wypukłe czoło, i szczególny skład energicznie zawsze ściśniętych ust, które niewielki jeszcze ocieniał wąsik.

Katyliną z widocznym upodobaniem wpatrzył się w twarz dawnego przyjaciela.

Gracchus po chwili ocknął się z zamyślenia, potarł czoło i zdawał się przezwyciezać swój smutek. Wszakże nie wrócił już do tej swawolnej wesołości, w jaką wprowadziło go na początku niespodziewane a tak oryginalne pojawienie się dawnego kolegi, z którego imieniem i osobą tysiączne ucieczne wiązały się wspomnienia.

— Niech cię kule biją — zawołał naraz Katyliną, widząc wypogadzające się czoło przyjaciela. — Stałeś się jeszcze piękniejszym niż byłeś dawniej.

Gracchus uśmiechnął się tylko.

— Widać, że gonisz za służbą, bo wprowadzasz się w pochlebstwa.

— A ty już diabło oswoiłeś się z rolą *pana*, kiedy lada luźną uwagę bierzesz za pochlebstwo.

— Pamiętajże wystrzegać się ile możliwości takich luźnych uwag, a zacznij lepiej opowiadać, gdzie się obracałeś przez pięć lat naszego niewidzenia.

— Jakto! bez fajki? bez sygarâ? — zapytał Katyliną, obzie-
rając się naokoło.

— Obróć się tylko, masz wszystko za sobą.

Katyliną sięgnął ręką do pobliskiego stolika, gdzie w ozdobnym porcelanowym naczyniu stała paczka hawannów.¹ Obejrzał cygaro na wszystkie strony, pokiwał głową i cmoknął językiem.

— *Tempora mutantur!*² — mruknął zapalając. — Pamiętasz te czasy, kiedyśmy się to z wielką biedą musieli składać na lichą paczkę *Drei König*u.³

<https://rcin.org.pl>

¹ cygara hawańskie.

² czasy się zmieniają.

³ gatunek najtańszego tytoniu austriackiego.

Gracchus uśmiechnął się i zamarzył.

— Możesz ty głodny? — zapytał nagle.

— Nie jeszcze do tej chwili, wyjechałem po śniadaniu od twego czcigodnego mandatarjusza.

— Ho, ho, już zabrałeś z nim znajomość.

— Nietylko z nim, bratku, ale i z twoim nieoszacowanym Girgilewiczem, a nawet z klucznikiem twego zakłętego dworu.

— Z Kost'iem Bulijem? — zapytał prędko Gracchus, i porwał się napół z sofki.

— Z nim samym.

— Kiedy, gdzie, jak? — pytał dalej Gracchus dziwną jakąś tkniętą ciekawością.

— Ależ poczekaj, chcesz naprzód, abym ci opowiedział moje *curriculum vitae*¹ od chwili naszego rozstania.

— A dlaczegoż nie zaczynasz, nudziarzu?

— Bo naprzód musisz zgodzić się na jeden warunek.

— Naprzykład?

— Musisz w odwet opowiedzieć mi twoją historję.

— Na zawołanie! choć niewiele się z niej dowiesz.

— O i moja historia bardzo krótka.

— Zaczynajże raz.

Katylina wypuścił ogromny kłęb wonnego dymu, rozparł się wygodniej w karle i zaczął:

— Wiesz, że przyjąwszy na siebie autorstwo twoich nie-roztropnych wierszy, a zagrożony przez to nieochybnem wykluczeniem ze szkół całego austriackiego państwa, chciałem coś więcej jeszcze zbroić na to konto: więc przy pierwszej nadarzonej okazji wygarbowałem potężnie grzbiet naszemu dyrektorowi.

— Że nieborak cały miesiąc nie ruszył się z łóżka.

— Po takim ekscesie² niebezpiecznie było i jedną godzinę dłużej zabawić w Samborze.

— Zniknąłeś więc, nie pożegnawszy się nawet z nami.

— Ani z wami, ani z moimi licznymi brodatymi i niebro-

¹ bieg życia.

² wykroczenie.

datymi wierzycielami. Drapnąłem tej samej chwili po wyłataniu skóry łotrowi dyrektorowi.

— I gdzie się udałeś?

— Nie zgadłbyś nigdy w życiu!... Pognałem prostą drogą do klasztoru...

— Do klasztoru!

— Zostałem nazajutrz zaraz braciszkiem dobromilskich OO. Bazyljanów.

— Czy być może? — zawołał Gracchus, głośnym parszcząc śmiechem.

— Na moje szczęście umarł był właśnie wówczas brat szafarz klasztoru, a czcigodni ojcowie wnosili z mojej facjaty,¹ że muszę znać się na wiktualach i potrafię zastąpić nieboszczyka.

— I przyjęli ciebie w swoje grono, ciebie, największego heretyka, jakiego kiedykolwiek ziemia nosiła!

— Bez długich zachodów i korowodów. Przywdziałem kutę bazyljańską, otrzymałem imię brata Pantalemona i zostałem wicegubernatorem klasztornej spiżarni, klasztornych stajen i chlewów.

— I złożyłeś ślub zakonny?

— Jeszcze czego nie stało! Naprzód przecież musiałem przebywać nowicjat.²

— I o ten zapewne rozbila się twoja zakonna karjera?

— Tak mniej więcej. Ciche spokojne życie klasztorne, ujęte w karby surowej reguły, nie mogło na długo pogodzić się z moją naturą. Jużto śmiej się jak chcesz, ale ja święcie wierzę w przysłowie: *Nomen et omen*.³ Nazywam się Damazy Czorgut, a czy nie czujesz, że w samym dźwięku tego imienia przebija się już coś niestałego, niepewnego, awanturniczego!

— To też posłuszny temu dźwiękowi, czmychnąłeś z monasteru?⁴ — przerwał, śmiejąc się Gracchus.

— Pewnego pięknego poranku dobrałem się do mych sukien dawniejszych i zniknąłem bez śladu i wieści.

— I gdzieś uciekłeś?

¹ wyr. prow.: z twarzy. ² czas próby w klasztorze.

³ imię zawiera w sobie jakąś wróżbę. ⁴ klasztor ruski.

— Wprost do Przemyśla na plac asenterunku. Zaciągnąłem się do wojska.

— I służyłeś?

— Całe cztery lata. Raz byłem już feldfeblem, dwa razy kapralem, ale zawsze po jakimś czasie musiałem *da capo*¹ od prostego żołnierza zaczynać moją karierę — rzekł, śmiejąc się rubasznie.

— Jakto, więc trzykrotnej ulegałeś degradacji?

— *Omne trinum perfectum!* Nie chciałem już po raz czwarty doznać podobnego despektu i postanowiłem opuścić szereg.

— Dezerterowałeś?! — zawołał Gracchus przestraszony.

— Za kogoż mię masz! Są przecież inne sposoby uwolnienia się od służby.

— Więc uwolniłeś się legalnie?²

— Oczywiście. Zachorowałem niby na piersi, dostałem niby okropnej chrypki, żem zaledwie mógł mówić, i przeleżawszy się kilka tygodni w hermansztadzkim szpitalu, otrzymałem nareszcie abszyt³ pożądaný. I dziś jestem już *cywil*.

Gracchus zamyślił się czegoś.

— Ubolewasz nad moją niepoprawnością, nieprawdą? — ozwał się Katylina wesóło. — Daj pokój temu. Wiesz, że jestem sam jeden na świecie, rodzice odumarli mię, kiedym był jeszcze w pieluchach, a po dzień dzisiejszy nie przyznał się do mnie żaden krewny. Samo więc przeznaczenie popchnęło mię niejako na drogę awanturniczych przygód. Jestto wprawdzie trochę niebezpieczna droga, ale nie dla człowieka, co choćby chciał, nie może nic innego zaryzykować, jak tylko to nędzne życie, o które nie dba wcale.

Gracchus nic nie odpowiedział i tylko w głębsze jakieś zapadł zamyślenie.

Katylina wzruszył ramionami, pociągnął całą pierśią kłęb dymu z dopalającego się cygara i niecierpliwie poruszył się w siedzeniu.

— Zrobiłem swoje — mruknął po chwili — opowiedziałem ci moje dalsze *curriculum vitae*, a teraz czekam na twoje.

— W samej rzeczy, przyrzekłem ci to — odezwał się z pewnym melancholijnym nastrojem jasnowłosy młodzieniec.—Wiesz, że między nami osobliwsze zachodzi podobieństwo.

— Podobieństwo?! — wykrzyknął Katyliną zdziwiony.

— I ja jak ty, jestem sam na świecie!

Katyliną wybuchł głośnym śmiechem.

— Wybornyś, mój drogi! Sam jeden przy milionowym majątku! Dla Boga chciej tylko, a w jednym mgnieniu oka otoczy cię grono krewnych, znajomych i przyjaciół, liczniejsze niż całe potomstwo Abrahama.

Gracchus zmarszczył czoło.

— Miljonowy majątek, milionowy majątek; otóż to, co wszyscy mają na ustach! — zawołał z goryczą — a wieszże, że z tym milionowym majątkiem przybywa dwa miliony nieznanych ci dawniej trosk, cierpień, przykrości, że z tym...

— Stój przez litość — przerwał Katyliną. — Nie poznaję, nie pojmuję cię. Jakto! ty, ty utyskujesz na ciężar majątku!

— Dlaczegoż cię to właśnie u mnie dziwi? — zapytał Gracchus z nietajoną niechęcią.

— Ależ zmiłuj się, przypomnij sobie, skąd przyszedłeś w szkołach do przydomku Gracchusa, największego z rzymskich trybunów.¹

— Że w naszych rozmowach i dysputach występowałem zawsze jako patron² poniżenia, trybun ubogich i upośledzonych...

— A niezłagany nieprzyjaciół, niezłomny przeciwnik bogactwa, czyli raczej złego użycia bogactw.

— Tem wszystkim jestem i dzisiaj — zawołał Gracchus z dumą.

— W takim razie nie pojmuję, jakich trosk, cierpień, przykrości może cię nabawiać twoje jakby z nieba spadłe bogactwo. Ciskałeś niegdyś gromy i pioruny na złe używanie bogactw, snułeś najrozmaitsze plany, budowałeś najróżnorodniejsze teorie, jak właściwie należy korzystać z darów losu, toż

<https://rcin.org.pl>

¹ urzędowy obrońca praw ludu.

² opiekun,

teraz nie potrzebujesz jak tylko wprowadzać w życie dawne marzenia, urzeczywistniać onegdajsze chęci.

Gracchus z impetem potarł czoło.

— Prawda — zawołał — piorunowałem na bogatych egoistów, nie miałem dość słów zelżywych, dość przekleństw na nieużytych dla dobra publicznego bogaczy, a i dziś z dumą przyznaję się do tego wszystkiego.

— Hm, hm — mruknął Katylina, wzruszając ramionami — ani w ząb nie pojmuje, do czego mierzysz!

Gracchus uspokoił się nagle.

— Chciałem tylko powiedzieć, — rzekł, w jednej chwili zmieniając z tonu — że co innego jest roić marzenia, budować teorie, a co innego wprowadzać w wykonanie, w rzeczywistość.

Katylina przez zęby jakąś wesołą zagwizdał arję.

— Winszuję ci — ozwał się nie bez pewnego drwiącego nacisku. — Przy bogactwach przyszedłeś w dwudziestym szóstym roku do tego doświadczenia, którego przy ubóstwie nie osiągnąłbyś pewno i w latach sześćdziesięciu!

Gracchus w gniewie tupnął nogą.

— I ten mię nie rozumie — zawołał z goryczą — i temu się zdaje, że przyszedłszy jakby cudem do bogactwa, zaparłem się dawnych zasad, dawnego sposobu myślenia, dawnej mej duszy i istoty.

— At pleciesz — przerwał Katylina z najzimniejszą krwią, wyciągając obie nogi na środek pokoju — gdybym był tego zdania, nie byłbym pewnie tak nieżenowany w twojej przytomności.

Gracchus w zamyśleniu wypatrzył się w róg sufitu.

— Słuchaj — ozwał się po chwili — przybyłeś mi jak zawołany. Nigdy może nie pragnąłem silniej jak teraz wynurzyć, wywnętrzyć się przed kimś. Ty, co mię znałeś dawniej, kiedy jeszcze w pocie czoła pracowałem na chleb powszedni, kiedy gorzkim trudem okupywałem szmat odzieży na grzbiecie, ty mię będziesz mógł osadzić najlepiej, przed tobą wyświadcam się ze wszystkiego.

Katylinie pochlebily widocznie słowa przyjaciela, bo

uśmiech sarkastyczny znikł mu nagle z ust, a twarz jakoś spoważniała i zszlachetniała w jednej chwili. Gracchus tymczasem szybkimi krokami zaczął przechadzać się po pokoju, jakgdyby zbierał myśli lub jakąś wewnętrzną przytłumiał walkę.

Nim podsłuchamy dalszej poufnej rozmowy obudwu dawnych przyjaciół, poznajmy bliżej ich przeszłość i wzajemny stosunek.

Wiemy już mniej więcej, że Gracchus i Katylina czyli inaczej Juljusz Żwirski i Damazy Czorgut byli kolegami szkolnymi, i że od pierwszej chwili poznania ścisła łączyła ich z sobą przyjaźń.

Przyjaźń ta, oparta na dziecięcych jeszcze wrażeniach i skłonnościach, na kilkuletniem sąsiedztwie jednej ławki, przeszła już wiele prób i walk, a od pierwszego swego zawiązania mogła tylko uchodzić za żywe sprawdzenie przysłowia *les extrêmes se touchent*.¹

Trudnoby bowiem wyobrazić sobie dwie sprzeczniejsze natury, dwa różniejsze charaktery, dwie odrębniejsze indywidualności nad naszych obudwu młodzieńców, o tak znaczących rzymskich przydomkach. Obadwaj nie mieli z sobą nic wspólnego, jeden wyglądał raczej jak istne przeciwieństwo drugiego, a mimo to spajała ich jakaś tajemna, zagadkowa nić sympatyczna.

Łagodny, cichy, przyzwoity Juljusz uchodził w szkołach za wzór skromności i dobrych obyczajów, podczas kiedy gwałtowny, niesforny i nieokrzesany jego towarzysz raził już w pierwszych latach dziecięcych zawadjackiem, zuchwałością bez miary, i wogóle obok namiętnego charakteru, zdradzał zupełnie brak wychowania.

Juljusz dziesięciu ustąpił, nim jednego sobie naraził. Damazy dwudziestu zraził, nim o włos uległ jednemu. Pierwszy tkliwy i wrażliwy jak panienka, niepoprawny marzyciel i fantast, zakrawał prawie na melancholika, drugi jak głaz zamknięty wszelkim uczuciowym wrażeniom i wpływom, poddany ślepo zmysłowemu pędowi niezwyklej namiętnej na-

¹ krańcowości się stykają.

tury, z wiecznym złośliwym uśmiechem na ustach, odpychał nieprzewyciężonym pociąganiem do szyderstwa, bezwzględnem zaufaniem w samym sobie i pewnem, aż w cynizm wpadającym, lekceważeniem wszystkich na świecie.

Jaskrawa ta sprzeczność charakterów wpływała po części przynajmniej w swych początkach z różnego wychowania obudwu.

Juljusz pochodził z uboższej, podupadłej gałęzi szczytnej rodziny Żwirskich. Ojciec jego miał jeszcze małą wioskę w samoborskiem, i mógł jednemu synowi zapewnić życie bez trudu i troski; wszakże nieszczęsny rok 1831 pochłonął i te resztki znacznej niegdyś fortuny szlacheckiej. Stary pan Michał Żwirski udzielał hojne zasiłki pieniężne wszystkim młodym ochotnikom, co z tych stron spieszyli na plac boju, a oprócz tego i tysiączne inne ponosił ofiary. To też z upadkiem nowo na chwilę odżytych nadziei, doznał i zupełnej ruiny majątkowej i narażony na rozliczne kłopoty i prześladowania, wyzuty zupełnie z ostatniej posiadłości ziemskiej, musiał na jakąś nędzną zejść dzierżawę, gdzie z potem czoła mógł zaledwie kęs powszedniego chleba zapracować dla swej nielicznej rodziny.

Ciężkie zgryzoty, troski nieustające, praca nad siły, podkopały wątłe z natury zdrowie zacnego obywatela. Umarł przedwcześnie, zostawiając żonę i syna na walkę losu, której sam nie był w stanie podolać.

Pani Żwirska musiała dotrzymać umowy dzierżawnej, a pozbawiona wszelkiej męskiej pomocy, nie znająca się na gospodarstwie, pełna ślepej ufności do każdego, straciła wszystko, co pozostało jeszcze z ogólnego rozbicia, i nagle opuszczona i osierocona ujrzała się bez wszelkich środków do życia, wszelkich zasobów do dalszego wychowania jedynego dwunastoletniego syna, który dotychczas w domu jeszcze pierwsze pobierał nauki.

Sama gotowa była ciężkim znojem zapracowywać gorzko kawałek chleba, pasować się bez skargi z najsroższą niedolą, ale los jedynego dziecięcia okrutną przejmował ją trwogą. Złamana cierpieniem nie widziała innego środka w rozpacz, jak uciec się do pomocy majątnych krewnych. Przewyciężając

szlachetną dumę, która wzmogła się tylko w nieszczęściu, udała się najpierw do swych własnych, następnie do krewnych mężowskich.

I z jednej i z drugiej strony czekał ją zawód, zanadto zresztą zwyczajny i powszechny w naszych czasach i naszym świecie, aby go zgóry nie można było przewidzieć. Zamiast otrzymać spodziewaną pomoc na wychowanie syna, musiała tylko połknąć kilka kropel nowej goryczy, ponizając się bezowocnie, prosząc napróżno.

W zupełnem już prawie zwątpieniu przypomniła sobie w jakiejś szczęśliwej chwili, że i bogaty i głośny w okolicy staroście Żwirski należy w jakimś stopniu do rodziny mężowskiej.

Napisała do niego, chwytając się niejako ostatniej już, pajęczej nitki gasnącej zupełnie nadziei. W tydzień otrzymała odpowiedź umyślnym posłańcem, która obok banknotu na tysiąc złotych reńskich następujące zawierała słowa:

«Posyłam większą sumkę naraz, aby być wolnym od wszelkich dalszych kwerend.¹ Obejdzie się bez podziękowania».

Mimo tak nielitościwej, okrutnej prawie formy listu, przyjęła biedna wdowa dar ofiarowany, i sprowadziwszy się do Sambora, postanowiła żyć z rozdzielonych na lata części otrzymanej sumy, a syna pod własnem okiem oddała do szkół publicznych.

Sliczny, jasnowłosy Julek miał lat trzynaście, kiedy już po rozpoczętym kursie wszedł do pierwszej klasy gimnazjalnej czyli tak zwanej łacińskiej, a wola profesora posadziła go w trzeciej ławce, tuż przy boku jakiegoś barczystego kolegi, który go od samego wstępu na próg nawskróś swym szyderczym przeszywał wzrokiem.

Julek usiadł spokojnie na wskazanem sobie miejscu, a słyszał jak barczysty sąsiad mruknął półgłosem:

— Ten chrzaszcz patrzy coś na panicyka.

Niebawem dowiedział się nazwiska swego groźnego, szyderczego sąsiada.

Profesor zawołał nagle z katedry:

<https://rcin.org.pl>

¹ nagabywać.

— Damazy Czorgut!

— *Adsum!*¹ — odpowiedział głośno i śmiało barczysty sąsiad.

— Posadziłem koło ciebie nowozapisanego Juljusza Żwirskiego, bo widać mu z twarzy, że łagodny i spokojny — prawil profesor poważnie — pamiętajże utrzymywać z nim zgodę, bo pierwsza z twej strony zaczepka karana będzie z podwójną surowością.

Czorgut wzruszył z lekceważeniem ramionami, potem spojrział z nietajoną złością na swego sąsiada i mruknął zuchwale:

— Nie miałbym z kim szukać zaczepki, ta z nim. Niech sobie siedzi spokojnie, ale proszę pana profesora, najczęściej cicha woda brzegi rwie.

— Milczyć — upomniał profesor surowo — ty na wszystko znajdziesz odpowiedź, ale powiadam ci jeszcze raz, że na pierwszą skargę Żwirskiego nie będę uważał, żeś eminentysta,² ale cię zamknę do karceru i dam złą notę w obyczajach.

Czorgut usiadł i znowu wzgardliwie ruszył ramionami. A widać było, że namotał sobie na nos protekcję profesora. Całą godzinę siedział spokojnie, ale zaledwie profesor w chwili wypoczynku wyszedł ze szkoły, porwał się nagle z miejsca i silną ręką pochwycił za kark nowego sąsiada.

— Co ty, chrząszczu, masz być fagasem belfera? — huknął mu nad uchem.

Przestraszony tak nagłym napadem Julek nie miał nawet siły odpowiedzieć.

— Potrzeba mu zrobić *października* na powitanie! — zawołał Czorgut.

— Października, października! — zakrzyczały wesoło rozliczne głosy.

Październik był to własny wynalazek Czorguta, a polegał na tem, aby komuś w jak najnieprzyjemniejszy sposób wszystkie włosy zburzyć wgórę, a potem kilka razy zaciśniętą pięścią przesunąć mu od brody przez nos do czoła.

<https://rcin.org.pl>

¹ jestem. ² celujący uczeń.

Julek miał długie, starannie uczesane włosy, to też operacja paździenika miała wielką dla wszystkich ponętę.

— Paździenika! paździenika! — odzywały się ciągle głosy z najdalszych kątów klasy.

— *Silentium!*¹ — upominał napróżno nominalny prestrzegacz porządku szkolnego, tak zwany *familias*.

Czorgut pochwyił w obie swe szorstkie dłonie jasnowłosą głowę swej ofiary i w jednym mgnieniu oka w dziwny wprowadził ją nieład, a potem w napomkniony powyżej sposób tak gwałtownie pięścią przesunął mu po twarzy, że biednemu przestraszonemu Julkowi krew puściła się z nosa.

Czorgut nie spostrzegł tego, a lękając się nadejścia profesora, zaczął prędko przyglądać mu włosy.

Lecz w tej chwili profesor ukazał się już we drzwiach.

— Co tu się dzieje? — zapytał surowo.

Cisza nastąpiła jakby mak²śiał.

Stary pedagog powiódł wprawmem okiem po całej szkole i spostrzegł nagle skrwawionego Julka. Nasrożył się, że aż strach przejął siedzących w ostatniej ławce, i usiadłszy na powrót na katedrze, wytoczył formalne śledztwo.

— Przystąp tu, Żwirski.

Julek wysunął się na środek i stanął przed katedrą.

— Co ci kto zrobił? — zapytał profesor.

Cisza nastąpiła w klasie, że nikt ani mrugnąć nie śmiał. Julek zawahał się czegoś, obejrzał się za swym napastnikiem, a widząc ciągly szyderczy uśmiech na jego ustach i prawie powiększony jeszcze wyraz wyzywającej zuchwałości w oczach, zmarszczył zlekka czoło i odpowiedział stanowczo:

— Nikt mi nic nie zrobił, panie profesorze.

Całą szkołę obiegł przytłumiony szmer zdziwienia.

— Jakto nic? — zachnął się profesor — skądże ta krew?

— Z nosa — odpowiedział naiwnie zapytany.

— Któż ci ją puścił?

— Nikt, sama się puściła...

¹ milczenie.

— *Ad locum, asine*¹ — krzyknął pedagog rozgniewany i nie troszcząc się więcej o tę sprawę, zaczął dalszy wykład.

Julek wrócił do swej ławki, a czuł jakoś instynktem, że szlachetnem swem zaparciem odniósł większy tryumf nad przeciwnikiem, niż gdyby go był na najsurowszą naraził karę.

Kiedy usiadł na dawnym miejscu, Czorgut ukradkiem pochwycił go za rękę, i szepnął mu nieznacznie:

— Przepraszam cię, nie jesteś fagasem, będziemy odtąd przyjaciółmi.

I w samej rzeczy od tej chwili, od tego drobnego, mało-znaczącego wypadku, zawiązała się naprawdę szczerą pomiędzy obudwoma przyjaźń. Czorgut powziął szczególny szacunek i sympatję do swego słabszego sąsiada, a z natury szczerzy, wy-lany, otwarty Julek, nie odepchnął podawanej ręki do zgody i braterstwa.

Przyjaźń zresztą Damazego Czorguta nie zasługiwała wcale na wzgardę lub lekceważenie. Najzuchwalszy i najniesforniejszy uczeń w klasie, był on oraz najzdolniejszy i największe miał u kolegów zachowanie. Nieobeznany z zwyczajami i obyczajami szkolnymi Julek znalazł w nim odrazu doradcę i przewodnika, a tak pierwsze słabe w początkach węzły przyjaźni spajały się coraz silniej.

Damaz był od dzieciństwa sierotą po jakimś pisarzu prowentowym, matka, służąc gdzieś za klucznicę, bardzo słabej udzielała mu pomocy, mimo więc swego nader młodocianego wieku, musiał po większej części sam starać się o siebie.² Dawał lekcje początkowe normalistom,³ przepisywał skrypta wyższym gimnazjastom, wyrabiał zadania domowe i szkolne swym słabszym kolegom, a tak z trudem, mozołem, przy głodzie i chłodzie przebijał się jakoś z klasy do klasy.

Świetne postępy w szkołach, bystre do wszystkiego pojęcie i niesłychana pamięć, jednały mu o tyle względy profesorów, że najczęściej patrzali przez szpary na gwałtowne wybryki jego od pierwszej już młodości zuchwałej i niesfornej natury.

<https://rcin.org.pl>

¹ na miejsce, ośle!

² w tekście mylnie: na siebie.

³ uczeń szkoły normalnej, tj. początkowej.

Ludzie, co wcześniej sami muszą starać się o siebie, uczają się zazwyczaj porządku, statku i oszczędności, u Damazego Czorguta działało się przeciwnie.

Dwa bochenki razowego chleba nadsyłane mu regularnie co tydzień od matki służyły mu za bezpieczną rezerwę, na którą mógł spuścić się na najgorszy wypadek. Cokolwiek też zarobił ubocznie, przepuszczał tej samej chwili, nie pamiętając o jutrze. Nigdy jakaś stalsza troska nie zasepiła jego czoła, nie zamąciła mu spokoju. Zawsze wesóły, swobodny, śmiejący się, zdawał się opływać w wszelkie dostatki, kiedy nieraz od dwu dni ani w gębie nic nie miał, a z większą fantazją, z większą śmiałością stapał w swych wykrzywionych butach, niż inny koleżka w lakierowanych ciżemkach.¹

Z każdym nowym rokiem ułatwiał mu się oczywiście utrzymanie, dostawał już korzystniejsze lekcje, pobierał więcej za wypracowania obcych zadań, ale z tem wszystkiem nie zmienił trybu życia. Im więcej rosły dochody, tem znaczniejsze mnożyły się potrzeby, tem gwałtowniejsze zresztą odzywały się w nim namiętności.

Julek, młodszy od niego o cztery lata, prowadzony starannie pod czujnem okiem matki, niewiele stykał się z swym przyjacielem poza szkołą. Sąsadował z nim zawsze w jednej ławce, często Damazy odwiedzał go w domu i na tem kończyły się ich wzajemne korrelacje.² Dopiero w latach późniejszych, kiedy Julek łatwiej mógł oddalić się z pod oczu matki, poznał cały nieporządny tryb życia swego przyjaciela, ale wszelkie rady, przedstawienia i upomnienia przychodziły już teraz za późno. Czorgut ani nie myślał zmienić nagannego trybu życia, lekkomyślność jego z każdym dniem nowym rosła. Niepomny na wczoraj, nie troszcząc się o jutro, kontynuował³ dalej z świetnym zawsze sukcesem swój zawód szkolny, i tak nareszcie doszedł do klasy szóstej, ostatniego roku nauk gimnazjalnych. Śmierć matki rozwiązała mu do reszty ręce, odtąd należał już w dosłownem tego słowa znaczeniu sam do siebie, ostatnie pękło ogniwo, które choć cokolwiek kiełzało jego wolę.

¹ rodzaj półbucików.

² stosunki.

³ ciągnął.

— Jestem już zupełnie *sui juris*¹ — mawiał odtąd na wszelkie przyjacielskie upomnienia.

W takim stanie zaskoczyła go katastrofa, która nagle na zupełnie inny tor popchnęła jego życie.

Młodzież szóstej klasy zaczyna już czuć i myśleć głębiej. W młodzieńczym szale i upojeniu nietrudno jednak w tej porze o jakiś krok nierozważny, który na całe życie późniejsze zgubny nieraz wywrze wpływ.

Kilkunastu uczniów szóstej klasy zawiązało się w tajne wielkich zamiarów a małych środków stowarzyszenie. Wszyscy członkowie poprzybierali rzymskie imiona i wszyscy do jak najściślejszej zobowiązali się tajemnicy.

Łagodny, szlachetny Juljusz, fantazujący zawsze o biednym i uciśnionym ludzie, na którym, zdaniem jego, cała przyszła ojczyzny polegała nadzieja, otrzymał imię Gracchusa, zuchwały charakter, niesforna natura Czorguta, ściągnęły mu przydomek Katyliny.

Dwa razy na tydzień zbierali się związkowi na walne zgromadzenie w rozmaitych miejscach umówionych, a każdą razą jednogłośnie aklamacją² zajmował Gracchus miejsce prezydenta.

Niebawem jednak zawisła groźna chmura nad młodocianym klubem.

Zawezwany przez swych towarzyszy, napisał Gracchus ognisty, pełen prawdziwego poetycznego polotu wiersz, który miał służyć niejako za program stowarzyszenia.

Tajemnica samego związku zachowała się nienaruszoną, ale ów śmiały, pełen namiętnych wybuchów wiersz rozposzechnił się po całym Samborze, a Bóg wie jakim sposobem ni stąd ni zowąd ustaliło się mniemanie, że autorem tego z rąk do rąk ukradkiem podawanego wiersza był nasz Juljusz Żwirski.

Dyrektor wytoczył śledztwo, które tem zgubniejsze mogło pociągnąć za sobą skutki, że groziło naprowadzić³ na trop tajnego stowarzyszenia.

<https://rcin.org.pl>

¹ pełnoletni.

² zgoda przez okrzyknięcie.

³ germanizm.

Aby więc wraz z sobą i innych nie zgubić kolegów, postanowił Gracchus przyznać się do zarzuconego mu autorstwa i poddać się dobrowolnie nieuchronnej karze.

Oznajmił swój zamiar zgromadzonym towarzyszom i wszyscy przyjęli go w ponurem milczeniu, widząc, że rzeczywiście ten jeden tylko pozostaje środek.

Ale w tej chwili zjawił się spóźniony cokolwiek Katylina.

— Nie pozwalam! — huknął zaraz na wstępie stentorowym¹ głosem.

Wszyscy spojrzeli na niego zdziwieni. Katylina wyglądał zupełnie zmieniony. W fizjonomji jego przebijała się niezwykajna uroczystość i powaga, zeszlachetniał i wypiękniał w całej swej postaci, i widać było, że z jakimś silnem, nieugiętem przybywa postanowieniem.

— Ja jestem autorem wiersza i kwita — wykrzyknął po chwili.

Na to całe zgromadzenie wybuchło w jeden tylko głośny wykrzyk radości.

Napróżno zżymał i opierał się Juljusz.

— Siedź cicho, głupcze — zakrzyczał go Katylina z swoją rubaszną poufalością — masz matkę, która teraz już potrzebuje twojej podpory, a ja nie mam żadnych obowiązków na tym świecie. Tobie różne przyświecają nadzieje, ja, jeśli do czego doprowadzę, to tylko na drodze awanturniczych przygód: nie chciej mię więc powstrzymywać na ścieżce mego powołania. Samo moje nazwisko rwie mię na ten tor, bo czyż podobnaby uwierzyć, aby ktoś, co nazywa się Damazy Czorgut, mógł być kiedy gryzipiórkiem lub czemś podobnem?...

— Niech żyje Katylina! — zahuczało całe zgromadzenie.

Myśl o podpadającej codziennie na siłach matce rozbroiła poniekąd Gracchusa, zawsze jednak silne jeszcze odzywały się w nim skrupuły. Chciał się znowu z czemś odezwać, ale Katylina zamknął mu gębę.

— Nie myśl, że się poświęcam za ciebie; — rzekł mu

¹ donośnym,

z uśmiechem lekceważenia — sprzykrzyło mi się już to głupie szkolarstwo, potraciłem lekcje, narobiłem długów, czy tak czy tak, musiałbym dziś jutro zrobić *fugas chrustas*.¹ Nie odbierajże mi sposobności usunąć się z honorem z widowni. Do widzenia, koledzy. Idźcie do domu i zabierajcie się spokojnie do waszych pensów,² ja walę wprost do dyrektora i załatwię wszystko jak najlepiej.

Towarzystwo rozeszło się w najlepszym usposobieniu, a nazajutrz dowiedział się cały Sambor, że Damazy Czorgut przyznał się do autorstwa potępianych wierszy, a niedość na tem, po podpisaniu protokołu obił w naddatku dyrektora i potem zniknął bez wieści.

Z ucieczką Katyliny upadło dalsze śledztwo. Tajemny związek pozostał w ukryciu, dopokąd się sam nie rozszedł, a Gracchus ocalał od nieochybnej ekskluzji.

Jakie przygody i koleje losu przechodził tymczasem zbiegły Katylina, wiemy już z jego własnego opowiadania. Nie podobало mu się w zaciszu klasztornych murów, za trudno było wydolać pod surowym rygorem karność wojskowej. Uciekł z klasztoru, wywinął się z wojska i wracając do kraju, ujrzał się znowu na rozdrożu życia. Potrzeba było koniecznie jakąś nową obrać ścieżkę, obejrzyć się za nowym sposobem utrzymania, ale wtem doszła go przypadkowo wieść o nagłej, szczególnej zmianie losu swego dawnego kolegi a przyjaciela.

Katyliną nie namyślał się długo.

— Pójdę do niego, — powiedział sobie — niech mi wytknie jaki zawód.

I z kijem w rękę, a lekkim zawiniątkiem pod pachą, przywędrował wśród mnogich przygód po drodze do siedziby dawnego kolegi, a dzisiejszego milionowego pana.

Opowiedziawszy swoje, jak mówił, *curriculum vitae*, czekał teraz niecierpliwie na opowiadanie Gracchusa.

VII

ZWIERZENIA

Gracchus kilka chwil jeszcze przechadzał się w zamyśleniu po pokoju. Nareszcie usiadł napowrót na sofkę, głowę wsparł na ramieniu i z napoły smutnym, napoły gorzkim uśmiechem wpatrzył się w twarz Katyliny.

— Szydziśmy, śmiejemy się, — przemówił z pewnym naciskiem — kiedy nam chcą dowodzić moralisci, że bogactwo nie robi szczęśliwym, że owszem staje się nieraz powodem, źródłem nieszczęść i cierpień.

Katylna uśmiechnął się ironicznie.

— Trudnoż bo nie śmiać się i nie szydzić. Bogactwo nie stanowi szczęścia, to prawda, ale że także nikomu zaszkodzić nie może, to zdaje się niemniej niewątpliwem. Że tam jakiś niezdarne niedołęga, co w ubóstwie miał jeszcze kapkę oleju we łbie, postrada go zupełnie w bogactwie i brnąć z jednego głupstwa w drugie, w przykrem postawi się nieraz położeniu, no to przecież nie wina biednych, spotwarzonych samowolą pieniędzy, ale jego własnego charakteru i jego własnej natury.

— Czyż i mię liczysz do takich niedołęgów?... — wykrzyknął Juljusz porywczo.

Czorgut parsknął śmiechem.

— Ciebie nie mogę policzyć do żadnej kategorii, bo cię jeszcze nie rozumiem i nie pojmuję o co tu właściwie chodzi.

Juljusz zerwał się z siedzenia i kilka razy szybkim krokiem przeszedł się po pokoju.

— Przypominasz mi sobie dobrze z moich czasów studenckich, — przemówił naraz — powiedzże, nie byłem szczęśliwy z memi wyobrażeniami, memi marzeniami, memi nadziejami na przyszłość?...

— No tak, w samej rzeczy, *circa circiter*¹ — odpowiedział Katylna, zapalając z flegmą nowe cygaro.

¹ mniej więcej,

— Cóżby zato nie dał, żebym dziś w takim samym znajdował się usposobieniu!

— Potraf tylko pozbyć się sześciu lat, które ci przyrosły tymczasem, a powrócisz pewnie do ówczesnego usposobienia.

Juljusz zachnął się niecierpliwie.

— Ależ nie pojmujesz mnie, człowieku! — wykrzyknął.

— Najprostszy na to sposób, mów wyraźniej — odpowiedział Katylina, puszczając spory kłęb dymu.

Gracchus usiadł znowu.

— Dobrze, — zawołał żywo — wytłumaczę się najwyraźniej.

— *Tandem?*¹ — zapytał Katylina, wyciągając się wygodnie w krześle, jakgdyby na dłuższe przygotowywał się opowiadanie.

— Przypominasz sobie nasze różne i różne wspólne plany, zamiary i marzenia. Aby wiele z nich wprowadzić w wykonanie, zdawało się nam wszystkim, że nie brakuje nic więcej, jak tylko pieniędzy, znaczenia i tym podobnych przypadków. Ja sam podobno najwięcej z was utyskiwałem, że nie jestem ogromnie bogaty. Czegobym nie dopiął wtedy? jakiż przykład postawiłbym światu, jak silnie poparłbym naszą świętą sprawę, jak wielką zmianę przeprowadziłbym w całym społeczeństwie! Otóż jakby naumyślnie dla ukarania mię za te zuchwałe rojenia, niebo spełnia najśmielsze moje zachcenia, daje mi w ręce pożądane środki, wynosi mię jakby cudem na urojone stanowisko, i patrz, trzy lata jestem już panem miljonowym, od dwóch lat jestem już nadto zupełnie pełnoletnim, i czegoż do dziś dnia dokazałem? — dodał z wzrastającą gorączką.

Katylina poruszył się w siedzeniu i kiwnął głową.

— Stara jak świat reguła, — przemówił z pośród coraz gęstszych kłębow dymu — że rzeczywistość daje nam tylko nadzwyczaj nędzne procenta od naszych marzeń. Kto zamłodu liczy na cały kapitał, oswoi się później z procentami, ale kto od początku wyciąga ręce tylko po procenta, ten się djablo

¹ a zatem.

gorzej przerachowywa, bo tego czekają same goluteńkie *pas-sywa*.¹

Gracchus wstrząsł się zlekka wśród nowego zamyślenia.

— Abyś mię lepiej rozumiał, — przemówił po krótkiej chwili — opowiem ci cały bieg mego życia od chwili naszego rozłączenia.

— Od tego miałeś zacząć podobno?

— Ukończyłem ostatni rok w Samborze ze świetnym, jak zawsze, sukcesem. Na drugi rok zapisałem się we Lwowie na kurs filozoficzny. Wiesz, że lichy kapitalik mojej matki wyczerpał się dawno, i że już ostatnie lata mych studjów gimnazjalnych własnem opędzać musiałem staraniem. Nie bez ciężkiej troski i obawy przybyłem też na mieszkanie do Lwowa. Dla siebie nie bałem się niczego, ale biedna matka moja, podupadająca coraz bardziej na siłach, coraz większej potrzebowała pomocy. Ale los zaraz w początkach szczególną rozpostarł na mnie opiekę. Otrzymałem znaczne stypendjum, znalazłem korzystne lekcje i mogłem sobie i matce przyzwoite zapewnić utrzymanie. Ale wtem — szepnął z ciężkiem westchnieniem.

— Domyślam się — mruknął Katyliną — matka twoja...

— Zaczęła coraz więcej zapadać na zdrowiu... i mimo wszelkich starań niepodobna było utrzymać ją przy życiu.

Katylina pochylił głowę na piersi i prawie wzruszonym ozwał się głosem:

— Ciężką poniosłeś stratę. Znając najlepiej twoje nieograniczone przywiązanie do matki, domyślam się, co musiałeś uciepieć w pierwszej chwili.

Juljusz na samo wspomnienie otarł łzę z oczu.

— Jakby tylko dla pocieszenia po tej nieodżałowanej stracie otrzymuję nagle ni stąd ni zowąd wizytę jednego z pierwszych adwokatów lwowskich i z ust jego odbieram wiadomość, którą nie wiedziałem, czy mam wziąć narazie za prosty żart, czy za jakąś zagadkową mistyfikację,² czy Bóg wie zresztą za co innego...

¹ niedobory.

² oszustwo.

— Jakto, tej sukcesji nie spodziewałeś się do ostatniego momentu? — przerwał Katylina.

— Na czymże do licha miałem opierać moje nadzieje? Wiedziałem wprawdzie, że osławiony z gwałtowności charakteru i rozlicznych dziwactw starościc, Mikołaj Żwirski, jest jakimś moim krewnym dalekim, że wsparł matkę moją w najcięższej niedoli, ale byłem pewny także, że zapomniał już i o swem dobrodziejstwie i o naszym istnieniu na świecie.

— I zapewne wiedziałeś także, że ma brata z Orkizowa, tego hrabiego Zygmunta, który na wszelki wypadek bliżej powinien stać jego serca?

Na wspomnienie hrabi Zygmunta dziwna zmiana zaszła w fizjonomji Juljusza. Drgnął zlekka i pobladł znacznie, a na czole pomimowolna zarysowała się chmura.

— Skądże ty wiesz o hrabiu Zyguncie? — zapytał prędko, omijając właściwe zapytanie.

— Mówilem przecież, że nim przybyłem do ciebie, poznałem twego ekonoma i sędziego, a ci mię wtajemniczyli w niektóre rzeczy.

— I cóż ci powiedzieli o hrabiu? — pytał Juliusz dalej z szczególną skwapliwością.

— Nic takiego, czegoś ty nie wiedział. Od dzieciństwa nie cierpiał się z przyrodnim bratem, a ten umierając wystrychnął go na dudka i pokazał mu figę w testamencie, i oto wszystko, czego się dowiedziałem...

— Ja sądziłem...

— Co?

— Że ci ludzie przez swe styczności z orkizowskimi oficjalistami wiedzą może... — cedził zwolna przez zęby i urwał nagle.

— Cóż takiego? — pytał Katylina.

— To jest mogli słyszeć... zwietrzyć... jak...

— Jak?... — naglił Katylina, nie pojmując dziwnego wahania się przyjaciela.

— Jak sam hrabia jest naprzeciw mnie usposobiony.

— Tam do licha — mruknął Katyliną, wzruszając ramionami — tyś sam przecie powinien wiedzieć o tem najlepiej.

— W samej rzeczy... ale widzisz... pod tym względem sam sobie nie mogę zdać sprawy — jakaś się z jakimś osobliwszem pomieszaniem.

Katyliną przypatrywał mu się pilnie z boku i nagle rzucał się w swem krześle.

— Niech mię piorun trzaśnie, — pomyślał z ważną miną — czy nie wlałem tu w sam stek jakichś szczególniejszych tajemniczych, romantycznych wypadków. Co krok stapię, jakaś tajemnica, co słowo usłyszę, jakaś zagadka. Czegoż ten się znowu tak miesza i jaka na wspomnienie hrabi Zygmunta, czy nienawisć do niego otrzymał w puściźnie po swym dobrodzieju?...

Juljusz tymczasem przeszedł się szybko tam i nazad po pokoju.

— Niech cię nie dziwi moje zapytanie, — przemówił po chwili spokojniej — dowiesz się jego powodów z dalszego toku opowiadania.

— Jako kawałek literata — bąknął Katyliną wesoło — powinienbyś zachować lepszy szyk, i naprzód przytaczać powody, a potem dopiero przystępować do skutków.

Juljusz usiadł napowrót na sofkę i zaczął dopiero po chwili:

— Odziedziczyłem mój bajeczny spadek nie będąc jeszcze pełnoletnim. W pierwszym roku musiałem się poddać opiece sądu szlacheckiego i przyjąć z jego ramienia kuratora.¹ Aby jednak prędzej niejako wypełnić brakujące mi do dojrzałości lata, a przytem i rozerwać się po stracie matki, wybrałem się na dłuższy czas zagranicę.

— I zwiedziłeś?

— Niemcy, Włochy, Francję. Urzeczywistniłem tym sposobem jeden z najpiękniejszych snów moich. Widziałem na własne oczy święte pamiątki Rzymu, bogate skarby Florencji.

— *Et caetera, et caetera.*

— Po roku powróciłem do domu i objąłem majątek sam na siebie.

— I teraz dopiero zaczęła się heca między uludą i rzeczywistością? — zapytał Katyliną ze zwykłym szyderczym uśmiechem.

Gracchus zmarszczył brwi i z impetem potarł czoło.

— Gdybyś wiedział, — przemówił po chwili — całą drogę myślałem, marzyłem, czego to zaraz nie dokażę, jak ważnych i różnych nie poprzeprowadzę zmian...

Katyliną zaśmiał się półgłosem.

— Powróciwszy nareszcie, od czegoż zacząłeś?

— Od kilku rzeczy naraz. Darowałem poddanym wszystkie zaległe remanenta,¹ zniósłem karę cielesnej chłosty w całych mych dobrach. Pod utratą służby nie śmiał tknąć mi chłopą ekonom lub mandatarjusz. Jednocześnie postanowiłem swoim kosztem pozakładać szkoły we wszystkich wsiach, a potem jednym zamachem przystąpić do głównej rzeczy, do zniesienia pańszczyzny, tego ostatniego zabytku barbarzyńskiego feudalizmu.

— Bravo! mój szlachetny Gracchusie — wykrzyknął z szczerem wylaniem Katyliną. — Przy tak nagłej i świetnej zmianie losu zatrzymałeś wszystkie swe zasady, nie zapomniałeś o dawnych marzeniach..

Gracchus westchnął.

— Ależ niestety — szepnął po chwili — teraz dopiero mogłem się przekonać, jak ciężka walka, jak wielki trud czeka te zasady, te marzenia, jeśli tylko pierwszy krok zrobią do rzeczywistości.

Katyliną mruknął coś niezrozumiale przez zęby.

Gracchus prawił dalej z goryczą:

— Czy uwierzysz, że w jednej chwili zrobiłem sobie tysiące nieprzyjaciół między sąsiadami, obywatelami, zniechęciłem mych własnych oficjalistów, a co główna, natrafiłem na dziwną niechęć, niepojęty upór samych chłopów.

— Przewidywałem to potrosze — szepnął Katyliną.

— Poddani moi przyjmowali moje dobrodziejstwa z pewnem niedowierzaniem, z rodzajem wahania się i obawy. Spra-

<https://ccin.org.pl>

¹ pozostałości świadczeń.

wiałem często całym gromadom traktamenta¹ tu u siebie we dworze, sam poufaliłem się z wszystkimi, a kiedy niekiedy z jednym i drugim wolniejszym odezwałem się słówkiem. I cóż powiesz, chłopci moi, przypominając sobie, że przed swą starością ucieczką takie i tym podobne miewał do nich przemowy, zaco później w surowe popadł śledztwo, oskarżyli mnie sami do cyrkułu, zjechała mi na kark ogromna komisja i z wielką biedą wymknąłem się jeszcze suchą nogą z wszystkiego, tylko po dziś dzień pod surowym zostaję nadzorem. Ale niedość na tem, zaprowadzane przezemnie na łeb na szyję szkółki ludowe ściągnęły na się ogólną niechęć, nikt nie chciał korzystać z ich dobrodziejstwa, wszelkie przedstawienia były daremne. W niektórych wsiach popalono mi nowopobudowane szkółki, gdzieindziej obito ustanowionego przezemnie nauczyciela. Zniesienie cielesnej chłosty, nagła poniewolna łagodność mych oficjalistów podnosiła z każdym nowym dniem ich zuchwałość, i czy uwierzyłbyś, że bez najmniejszego powodu z mojej strony przyszło do otwartego buntu i dopiero komisarz cyrkularny z kilku żołnierzami potrafił przywrócić spokój i porządek...

Katylna parsknął głośnym śmiechem.

— Ty się śmiesz? — zapytał Gracchus zdziwiony.

— Śmieję się, bratku, że własnym gorzkim zawodem musiałeś przekonywać się o tem, co nader łatwo było odgadnąć zgóry i o czem ci nieraz mówiłem w moich dawniejszych rozmowach. Droga reform, to droga grudy i cierni. Aby przebyć ją zwycięsko i zamierzony odnieść owoc, są dwa sposoby. Albo trzeba postępować naprzód pędem jak do szturmu, nie uwzględniając niczego, nie obzierając się za niczem, nie przebierając w środkach, depcąc, gniotąc, tłumiąc przemocą każdy cień oporu i przeciwności. Tak postępowali reformatoremie teroryści² we Francji. Nie chcąc lub nie mogąc obrać tego sposobu, należy sunąć się na palcach chyłkiem, milczkiem i ukrad-

¹ poczęstunki.

<https://rcin.org.pl>

² działacze rewolucji francuskiej z obozu t. zw. jakobinów pod wodzą Robespierre'a, doszedłszy do władzy w r. 1793, rządili krwawym terorem.

kiem, musisz powoli i ostrożnie wlec nogę za nogą, aby omi-
nać każdą grudkę, obejść każdy cień, a tak z większym lub
mniejszym trudem i znojem staniesz zczasem u mety.

Gracchus zamyślił się.

— Masz poniekąd rację, lecz burzę w morzu zastosowu-
jesz do burzy w szklance wody; reformy na wielką stopę, re-
formy głównych podstaw społecznych, odwiecznych jakichś
nadużyć światowych, mogą się tym lub owym przebijać torem...

— Zanosi się na dysputę — przerwał Katyliną — a wiesz,
że te nieprędko kończą się między nami. Skończ naprzód swoje
opowiadanie.

— Niezrażony wszelkiemi dotychczasowemi trudnościa-
mi — zaczął Juljusz na nowo — trwałem stale w mojem przed-
sięwzięciu i chcąc jak najrychlej znieść pańszczyznę, myślałem
tylko pierwszy przykład postawić krajowi. Ale w jednej chwili
rzucili się na mnie ze wszystkich stron sąsiedzi, krzyk powstał
w całej okolicy, jakbym dżumę zamierzył rozszerzyć w kraju;
śródt tego...

— Śród tego?

— Otrzymałem niespodziewanie list zapraszający od
hrabi Zygmunta.

— Ah!

— Objąwszy moje, jakby z nieba spadłe dziedzictwo,
nie śmiałem się zbliżyć do brata nieboszczyka starościca, wie-
dząc, iż w pierwszej chwili zamyślał wytoczyć proces przeciw
ważności testamentu. Nie mogłem sobie w żaden sposób wy-
tłumaczyć jego nagłych zaprosin.

— Oczywiście jednak pojechałeś niezwłocznie?

— Pojechałem. Hrabia przyjął mię z nadzwyczajną
uprzejmością, moje dotychczasowe usuwanie się od niego kładł
na karb obiegających okolicznych plotek. Nie mógł mię dość
naupewniać, że ani mu w myśli wydarte przezemnie dziedzic-
two. — Nie harmonjowałem z bratem za życia, nie mogłem
się też nic spodziewać od niego po śmierci — rzekł mi z dumą
i godnością. Potem przedstawiał mnie swojej żonie, księżnie
z rodu i...

<https://rcin.org.pl>

Tu zaciął się mimowolnie i w dół spuścił oczy.

— No, i?... — spytał nieubłagany Katylina.

— I swojej córce, Eugenji...

— Ah! — zawołał Katylina głośniejsz niż pierwszą razą.

— Przy pożegnaniu... — ciągnął z wolna Gracchus, jak gdyby mu się nagle poplątała nić opowiadania.

— Ho, hola bratku — przerwał prędko Katylina — nie wspominasz nic o głównej osobie. Hrabianka Eugenja ładna?

Z oczu Gracchusa strzeliła błyskawica prawdziwego zachwyty.

— Cudownie piękna! — zawołał żywo.

Katylina zagwizdał jakąś arję przez zęby.

— I cóż tedy przy pożegnaniu? — zapytał po chwili, jakby się domyślał reszty.

— Hrabia wziął mnie jeszcze na chwilę do swego pokoju i upominając mnie jeszcze raz o swej szczerzej dla mnie życzliwości, jako dla swego kuzyna i imiennika, zaczął mi najusilniejsze robić przedstawienia, abym się nie zapędzał daleko w mym szale młodzieńczym i doznawszy już raz jak najczarniejszych niewdzięczności, zaniechał nie tylko samego siebie na rozliczne narażać niebezpieczeństwa, ale i szkodzić wszystkim swoim sąsiadom.

— Przysiękłeś tedy?... —

— Nic nie przysiękałem, wywinałem się dwuznaczną jakąś odpowiedzią, ale kiedy już wyszedł i miał wsiadać do powozu, rzuciłem okiem mimowolnie ku oknom pałacu i ujrzałem...

— W szybach twarz hrabianki — kończył Katylina z ironicznym uśmiechem, zapalając z flegmą trzecie z kolei cygaro.

— Tak. Patrzyła na mnie.

— Jak ci się zdawało, z wielkiem zajęciem — wpadł mu znówu w mowę Katylina.

Juljusz pochylił głowę na piersi i zadumał się na chwilę.

— I cóż dalej? — zapytał znówu Katylina.

— W krótkim nad me spodziewanie czasie odwiedził mnie hrabia wzajem.

— I znówu [zapewne](https://roin.org.pl) roin.org.pl swoje przedstawienie.

— Bynajmniej. Rozmawiał ze mną, jakgdyby był przekonany, że już ślepo usłuchał jego rady i nawrócił się zupełnie.

— Wiesz — poderwał Katyliną, zrywając się nagle z swego kręła — resztę zgadłbym zupełnie.

— Wątpię!

— Tobie stała zawsze w oczach cudowna postać hrabianki — ciągnął Katyliną niezrażony. — Niebawem pojechałeś znowu do Orkizowa, fizjognomja hrabianki wdroiła ci się silniej jeszcze w pamięć i zacząłeś bywać coraz częściej... zakochałeś się po uszy... ale po dziś dzień nie wiesz, jak właściwie stoisz u hrabiego, t. j. czy rzeczywiście uważa cię za swego kuzyna, czy tylko za jakiegoś przypadkiem bogatego, ale nieskończenie od siebie niższego sąsiada, *alias*¹ jednym słowem, czy chce żyć z tobą z wszelką uprzejmością, ale zdaleka, czy też gotówby nawet patrzeć bez obrażonej dumy na otwarte do córki konkury.

Juljusz, jakby wcale nie słuchał, przechadzał się w zamysleniu po pokoju.

— Nie wiem, czy w murach klasztornych, czy koszarach wojskowych nabyłeś takiego daru dywinacyjnego² — rzekł z lekceważeniem.

Katylina wzruszył ramionami i usiadł na dawnym miejscu. Juljusz zatrzymał się nagle w swej przechadzce po pokoju.

— Słyszałeś już o żwirowskim dworze?

— Zaklętym?

— A tak! zaklętym, jak go nazywa lud.

— Nasłuchałem się o nim niestworzonych rzeczy od twego ekonoma i mandatarjusza.

— Wiesz, w nim jakaś osobliwsza tkwi tajemnica.

Czorgut zerwał się na równe nogi.

— Co, i ty wierzysz w chodzącego nieboszczyka?! — wykrzyknął w najwyższem zdziwieniu.

— Nie w nieboszczyka, ale w tajemnicę, którą osłania.

— Więc rzeczywiście coś osłania?

¹ inaczej.

² wróżbiarskiego.

Juljusz, zamiast odpowiedzi, przystąpił do małego biórka mahoniowego i dobył z niego jakiś papier zapisany.

— Patrz — rzekł, rozwijając — oto kopja testamentu starościca. Punkt 21 opiewa:

«Chcę i postanawiam niezmiennie, aby nie wpadający w ogólny Juljuszowi Żwirskiemu zapisany spadek mój pałac żwirowski, starożytna siedziba moich przodków, pozostał nie-
tknięty w swem urządzeniu i aby tak, jak dziś się znajduje, stał zamknięty dla wszystkich aż do zupełnej ruiny. W nim zawarł powieki mój ojciec, ostatni z prostej linii Żwirski, który zasługą około ojczyzny uświetnił to imię, nie chcę więc, aby ktokolwiek inny rozgaszcział się w jego murach. Wykonawcą i przestrzegaczem tego punktu niniejszej mej woli mianuję mego wiernego kozaka Kost'ia Bulija. Przeznaczam mu na mieszkanie dawniejszy dom ogrodnika. Rzeczony Kost' Bulij ma być tylko stróżem żwirowskiego dworu, wszakże jeśliby tego potrzeba była, może w każdej chwili wystąpić wobec praw jako legalny właściciel».

— Całkiem jasno — mruknął Katylin. — Nieboszczyk niezupełnie dowierzał swemu spadkobiercy i ubezpieczył się na wszelki wypadek. Choćbyś i nie chciał uszanować tego punktu jego ostatniej woli, to nie ujdzie ci to żadną miarą, bo wtedy Kost' Bulij może wystąpić z wszelkimi prawami właściciela.

— Nie o to mi chodzi, — przerwał Juljusz niecierpliwie — w punkcie tym nie widzę nic szczególnego. Nieboszczyk tyle dziwactw popelniał za życia, że mógł sobie śmiało pozwolić jedno po śmierci. Otrzymałem zaledwie wiele z jego łaski, abym mógł choćby w myśli tylko pokuszać się o stary dwór żwirowski. Jestem jednak silnie przekonany, że dwór ten nie zawsze stoi pusto.

— Nie rozumiem cię!

— Niezawodnie ktoś w nim przebywa czasami.

— Nieboszczyk?

— Oszalałeś! według ostatniej jego woli, sprowadziłem ciało jego z Drezna i pochowałem po wszelkiej formie w familijnym grobowcu w żwirowskim kościele.

— Więc może sam Kost' Bulij zakrada się do wnętrza.

— W takim razie musiał niezawodnie otrzymać do tego tajemne upoważnienie i to tylko na jakieś wypadki nadzwyczajne. Człowiek ten nie mógłby ani o włoskę odstąpić od woli swego dawnego pana.

— Skądże jednak wnosisz o jakichś wypadkach nadzwyczajnych?

— Przed trzema dniami zrobiłem osobliwsze odkrycie.

— Ty sam? — wykrzyknął Katyliną.

— Memi własnymi oczyma. Szanując ślepo wolę nieboszczyka, ani śmiałem się zbliżyć kiedy do żwirowskiego dworu i nigdy też nie powstała we mnie myśl zajrzeć do niego do środka. Wszystkie zaś obiegające o nim po całej okolicy wieści poczytywałem tylko za proste wymysły bujnej wyobraźni i zabobonności naszego ludu, który nie mogąc się pogodzić z nagłą śmiercią nieboszczyka, na zagrobowe skazywał go życie. Ale słuchaj, przed kilku dniami byłem w Orkizowie, gdzie zastawszy liczniejsze nieco towarzystwo, zabawiłem do późnego wieczora. Rozmowa toczyła się bardzo długo o żwirowskim dworze. Jedna z pań mieszkających w okolicy zebrała skrzętnie wszystkie szczególne wieści i pogłoski o pośmiertnem pojawieniu się starościca i bawiła nimi zawzięcie całe towarzystwo. Uważałem, że cała ta rozmowa jakiś widocznie nieprzyjemny na hrabiu Zygmuncie wywierała wpływ, zato z osobliwszem zajęciem przysłuchiwała się Eugenia.

— Ah! — bąknął Katyliną przez zęby.

— Wypytywała się o każdy najdrobniejszy szczegół, interesowała każdą najpotworniejszą baśnią — ciągnął dalej Julusz. — Nie wiem, skąd się to wzięło, ale nazajutrz po raz pierwszy jakaś dziwna owładnęła mnie ciekawość. Wybrałem się konno na małą przejażdżkę i sam nie wiedząc kiedy, ujrzałem się...

— W pobliżu zakłętego dworu.

— Nie śmiałem żadną miarą żądać od Kost'ia Bulija, aby mi otworzył przynajmniej dziedziniec dworu, skrzyłem na bok i mimo rowów, głogu i krzewów, zasadzonych umyślnie po wszystkich stronach, podjechałem pod sam parkan ogrodowy.

W jednym miejscu z małego pagórka mogłem, wznosząc się w strzemiionach, zajrzeć do środka.

— I wtedy ujrzałeś? — zagadnął żywo Katyliną.

— Nic nie ujrzałem w pierwszej chwili: wspaniały kiedyś ogród wyglądał strasznie opuszczony i zaniedbany, ścieżki i ulice pozarastały bujną trawą, najpiękniejsze kwiaty podzięczały pośród gęstych zarośli chwastów, rozmaite najszlachetniejsze krzewy skoszlawiały i skarłowaciały przez nikogo niepielegnowane i niedozierane. Przypatrując się temu wszystkiemu, wpadłem mimowolnie w jakąś smętną zadumę, kiedy wtem...

— Wtem? — poderwał Katyliną.

— Zdawało mi się, że w zakręcie jednej z ubocznych ulic szpalerowych mignął się jakiś cień ludzki. W chwilę potem ukazała się jakaś postać kobieca na samym rogu ulicy. Spieszyła gdzieś z pochyloną na piersi głową, nucąc zcicha jakąś piosnkę urywaną. Siedziałem jak wryty w siodle i nie śmiałem odetchnąć nawet, ale na nieszczęście koń mój parsknął głośno. Tajemnicza postać podniosła głowę, wydała wykrzyk przestachu i zdziwienia i jak strzała furknęła wpośród gęstwinę. Jedno tylko okamgnienie spoczęło oko moje na jej rysach, ale to było dość, aby poznać w niej...

— Eugenję?

— Tak, Eugenję. Tylko ona jedna na całej kuli ziemskiej ma oczy tak cudownego wyrazu, tak prześlicznej barwy nieba i bławatu!

— Jakto, więc tylko po oczach ją poznałeś?

— Widziałem ją jedno okamgnienie i w dość znacznej odległości, poznałem jej rysy, ale tylko w ogólnym ich zlewie, lecz te cudowne oczy i te bujne, jasne, złotawe prawie włosy przedstawiły mi się wyraźniej.

Katyliną pokiwał głową w zamyśleniu.

— Szczególna jednak — ciągnął dalej Juliusz — miała na sobie strój jakiejś jakby małomieszczańskiej dziewczyny, przez co zdawała się cokolwiek wyższą i silniej zbudowaną. Patrzyłem jak zakłęty w miejscu, gdzie mi po raz ostatni jej błękitna mignęła spodniczka i kto wie jak długo jeszcze pa-

trzyłbym był w tę stronę, gdyby w tej chwili tuż w mojem pobliżu jakiś ciężki nie odezwał się krok. Obejrzałem się, o dwie stóp za mną stał Kost Bulij z założonemi na wkrzyż rękami i patrzył na mnie bystro swym ponurym, surowym wzrokiem. Niespodziewany jego widok, przerażający zawsze wyraz twarzy tak mnie jakoś zmieszały w pierwszej chwili, że nie mógł, czy nie śmiał go nawet zagadnąć. Odpowiedziałem śpiesznie na jego poważny, uroczysty ukłon i spinając konia ostrogami, pognałem galopem ku gościńcowi, a następnie napowrót do Oparek.

— A odtąd nie widziałeś jeszcze Eugenji?

— Jutro dopiero wybieram się do Orkizowa.

— Udując oczywiście, żeś jej nie widział.

— Przeciwnie, nie powiem jej tego otwarcie, ale zręcznie i nieznacznie dam do poznania.

Katyliną zagwizdał nową jakąś arję przez zęby i przeszedł się w zamyśleniu kilka razy po pokoju.

— Ze wszystkiego, co dotychczas słyszałem o zaklętym dworze — mruknął po chwili — zdaje mi się, że osłonięty u ludu naszego mgłą i czarem nadzwyczajności, osłania on właściwie tylko jakąś ziemską tajemnicę. Albo zresztą kto wie, znasz przecie słowa Szekspira w *Hamlecie*: Są rzeczy na niebie i ziemi... — dodał z wesołym uśmiechem.

Juljusz machnął ręką w milczeniu.

— Jeśli kto, to ty pewnie nie wierzysz w takie rzeczy — przebaknął po chwili.

— Dlatego też choćby djabeł postawił się na nogi, muszę przy twojem przyzwoleniu zbadać tajemnicę zaklętego dworu.

— Ja radbym tylko wiedzieć, jaką styczność ma z nim Eugenja.

— Dowiesz się o tem nieochybnie — zapewniał Katyliną stanowczo. — Wiesz, jak się raz na coś zawezmę, to niema rady i ratunku. Dotrę do wszystkiego. Tymczasem jednak — ciągnął z pewnem wahaniem, oglądając się po sobie.

— Cóż takiego?

— Chciałbym zapomocą twojej bogatej dziś, jak się spo-

dziewam, garderoby wykierować się cokolwiek na ludzi. Jesteś wprawdzie wyższy, a ja zato silniej od ciebie zbudowany, ale jakoś to pójdzie...

Juljusz uśmiechnął się i zadzwonił.

Wszedł lokaj, któremu przed godziną w tak oryginalny sposób zaanonsował się gość nowoprzybyły.

— Daj temu panu wszystkiego, czego będzie potrzebował z mojej garderoby i ulokuj go w zielonym pokoju...

— O, nie, nie; jeśli mam się rozlokowywać u ciebie, to wolę w oficynach, mam już swoje do tego powody. Lubię różnoplciowe sąsiedztwo! do widzenia się zatem, pocziwy Gracchusie, a ty — rzekł przy wyjściu, chwytając za ucho lokaja — prowadź mnie z sobą.

Gracchus położył się napół na sofie i zapadł w głębokie zamyślenie.

VIII

HRABIA ZYGMUNT ŻWIRSKI

Hrabia Zygmunt Żwirski, młodszy przyrodni brat nieboszczyka starościca, mieszkał, jak wiemy, w Orkizowie, o trzy mile od Oparek.

Pałac orkizowski o jednym piętrze z ogromnym ośmifilarowym gankiem, uchodził za jeden z najpiękniejszych i najwspanialszych w całym samborskiem. Zbudowany równocześnie co opuszczony dwór żwirowski, doznał w ciągu czasu tylu rozmaitych zmian i przekształceń, nabył tyle następnych ozdób i przydatków, że zupełnie stracił cechę swego starożytnego początku, przyswoił sobie wszystkie znamiona, zastosował się do wszystkich wymagań najnowszego smaku i najnowszej wytworności.

Bo też i jego pan i właściciel wżył się zupełnie w bieżące czasy, wyrobił się na najwybitniejszego wyobraziciela nowszego magnata, w którym zazwyczaj oprócz imienia wszystkie od-

rębne, narodowe zacierają się właściwości, a występuje tylko pewien charakter ogólny, kosmopolityczny.

Hrabia Zygmunt Żwirski, pan co się zowie, jak mawiali wyżsi, *grand seigneur en tous cas*,¹ jak utrzymywali równi mu stanem, potrzebował zmienić tylko swe imię, a mógł z takim samym prawem uchodzić z pozoru za grafa niemieckiego, francuskiego markiza lub angielskiego lorda, z jakim uchodził za polsko-galicyskiego hrabię.

Dziedzic dwunastu wsi i przysiołków, potomek jednej z najstarożytniejszych rodzin w kraju, skoligacony² z najpierwszymi domami, otoczony ogólnym szacunkiem i poważaniem, pan hrabia mienił się typem prawdziwego arystokraty w całym honorowym tego słowa znaczeniu. Najmniejsza jawna zmaza nie mogła powstać na jego imieniu i charakterze, jak i najmniejszy nawet cień pospolitości nie śmiał przyćmiewać blasku jego herbu i dostojności stanowiska.

Łatwo zrozumieć, że pan hrabia był przytem dumny. W oczach jego potrzeba być naprzód hrabią, aby mu się zbliżyć, a niedość jeszcze hrabią, aby mu wyrównać. W każdym swym kroku i postępk, każdym słowie i poruszeniu umiał okazać dziedzic Orkizowa, że człowiek, choćby o Bóg wie jakich zasługach, nie stanowi jeszcze hrabię, jak niemniej, że nie każdy hrabia nosi imię Żwirskiego.

Jeśli dumę taką można nazwać wadą, to trudno zaprzeczyć, że pan hrabia posiadał ją w wysokim stopniu, ale zato tylko ją szczególną. Pomijając wygórowaną, w bałwochwalstwo własnego imienia wyradzającą się dumę, najzjadliwszy nawet język nie mógł w niczem ubliżyć prywatnemu i publicznemu charakterowi pana hrabiego. Łagodny i łaskawy dla swych poddanych, względny i pobłażliwy dla oficjalistów, wyłany szczerze dla kraju, daleki od wszelkich nieojczystych sfer i wpływów, przestrzegający lekliwie wszelkich wymagań honoru, zasługiwał ze wszech miar na ogólny szacunek, jaki go otaczał w rzeczywistości.

Ale lepiej, aby sam czytelnik poznał go bliżej.

<https://rcin.org.pl>

¹ wielki pan w każdym wypadku,

² spowinowacony.

Pan hrabia siedzi właśnie w swej kancelarji, zajęty sprawami majątkowymi.

Fizjognomja i postać jego mają w sobie coś naprawdę szlachetnego, coś wybitnie arystokratycznego. Na wysokiem czole rysuje się duma, połączona jednak z godnością, piękne i regularne rysy zlewają się w bardzo nadobny, ujmujący wyraz: wysokiej, imponującej postawy. pan hrabia posiada tę naturalną arystokratyczną szlachetność i godność ruchów, która najczęściej przybywa z urodzenia, chociaż nieraz daje się i najpospolitszym przyswoić ludziom. Lubo lat liczy dopiero czterdzieści jeden, wygląda znacznie starszy, czego przyczynę szukaćby po części w długich angielskich bakenbardach, które za puścił na sposób angielski.

W towarzystwie pana hrabiego znajduje się druga jeszcze osoba, jakiś niski, cokolwiek na lewo skrzywiony człowieczek, którego fizjognomja niekoniecznie miłe sprawia wrażenie. W głębokich jamach osadzone, ruchliwe oczy, choć z natury nie patrzą zyzem, zawsze jakieś ukośne rzucają spojrzenia, niezwyczajnie spiczasty nos, wąskie, zaciśnięte i zawsze w schlebający uśmiech ułożone usta, starannie na skroniach przygładzone włosy, nadają mu coś fałszywego, obłego, prawie podłego.

Z całego jego zachowania poznać było na pierwszy rzut oka, że należy do grona oficjalistów hrabiowskich. I w samej rzeczy był to pan Pankracy Zachlewicz, jeneralny rządca, czyli, jak się sam nazywał, pełnomocny komisarz orkizowskiego klucza, który od lat już kilkunastu zostawał w służbie hrabiego i Bóg wie jakimi środkami i sposobami w nieograniczone wkradł się u niego zaufanie. Zachlewicz mógł i znaczył wszystko u swego pana, który w niczem nie obszedł się bez jego rady i do najpoufniejszych przypuszczał go spraw. Zachlewicz nie tylko administrował cały majątek, miał zupełną władzę przyjmowania i oddalania oficjalistów, wypuszczania dzierżaw, propinacyj, stawów i młynów, ale jako biegły jurysta¹ zastępował

także interesa skarbu¹ wobec prawa i rządu i liczne inne jeszcze piastował funkcje.

Był to niejako totumfacki² w najściślejszem tego słowa znaczeniu całego dworu, bo w swym przebiegłym rozumie uważał za dobre i stosowne jednać sobie zarówno łaskę i zaufanie jwnego pana, jak i jwnej pani, jwnej hrabianki, jwnego panicza. To też w najważniejszych i najdrobniejszych sprawach cała rodzina hrabiowska odnosiła się wprost do niego, a on pewnie odpowiedział każdemu zadaniu, dogodził każdemu zachceni.

A już jak do czego, ale do wszelkich drobiazgowych ampletów,³ Zachlewicz nieźrównany! Znał się na wszystkim, jak faktor żydowski, a kupił pewno taniej, niż ktokolwiek inny na świecie. Jużto, mówiąc nawiasowo, o tych tanich kupnach rozmaite obiegały zdania. Nieprzyjaciele Zachlewicza gadali dość głośno i bezwzględnie, że nieoszacowany rządca, aby utrzymać się w służbie i łasce jwnego państwa, cichaczem z własnej kieszeni dokłada pół na pół do wszystkiego.

— Ale to łotr na wielki kamień — mawiali dalej z jadowitą złośliwością — tysiączkę na rok dołoży, a obok ogromnej płacy przynajmniej trzecią część intraty⁴ hrabiowskiej kradnie rokrocznie bez sumienia!

Zachlewicz zżymał się okrutnie na tak ohydne oszczerstwa, ale składając ręce na piersi, pocieszał się zawsze z westchnieniem niesłusznie cierpiącej duszy.

— Na szczęście jwpan hrabia przekonany o mojej poczciwości i mojem poświęceniu, a psie głosy nie idą w niebiosy.

I niczem niezrażony, niczem niezachwiany, postępował niezmiennie po jednej drodze — drodze uczciwości, jak sam mówił, drodze kradzieży, łotrostwa, obludy i oszustwa, jak mawiali ludzie.

Teraz przybył świeżo ze Lwowa i zdawał sprawę hrabiemu z kilku załatwionych interesów. Snać jednak sprawozdanie to nie bardzo opiewało pomyślnie, bo hrabia coraz bardziej

<https://rcin.org.pl>

¹ t. j. zarządu dóbr.

² człowiek, którym się wszyscy wyręczają.

³ sprawunki, z franc. *emplette*.

⁴ dochód.

chmurzył czoło, a Żachlewicz czuł potrzebę kłaniać się coraz niżej, uśmiechać się coraz obléśniej.

— Więć koniec końców przyjechałeś bez pieniędzy — ozwał się wreszcie hrabia.

— Jaśnie wielmożny panie, *na uczciwość* rozbijałem się jak opętany. Ale *na uczciwość* okrutnie ciężkie czasy... *na uczciwość* ja nie wiem, co to dalej będzie.

Zacny pan Żachlewicz tak często wyjeżdżał na targ z swoją uczciwością, że aż odpowiednie urobił sobie przysłowie. Używając zaś tak często tego przysłowia, musiał koniecznie aż zmierzić tak spospolitowaną w ustach swych uczciwość. To też w samej rzeczy uczciwość pana Żachlewicza było to prawdziwe rzeszoto,¹ przez które najgęstsze przelałbyś brudy, najgrubsze przesiał grzeszki.

Hrabia milczał kilka chwil w zamyśleniu, a po chwili odezwał się na nowo:

— Powiedziałem ci przecie wyraźnie, że koniecznie potrzebuję pieniędzy.

— JWPan nie potrzebował mi tego mówić, tylko jednym skinieniem dać do zrozumienia, a na uczciwość nie spałbym, nie jadłbym...

Hrabia machnął ręką niecierpliwie.

— Jakaż nareszcie pozostaje rada? — zapytał z widoczną niechęcią.

— Posłać do Brunnentiefa, na uczciwość. Jaśnie wielmożny panie.

Hrabia wstrząsł głową.

— Na lichwę — mruknął przez zęby.

— Na uczciwość, jaśnie wielmożny panie, niema innego środka, wódka sprzedana, zboże wypłacone, kwartalne raty z propinacyj, młynów, tartaków i papierni nie wystarczą na pierwszy spłat dla towarzystwa kredytowego...

— Bój się aspan Boga — poderwał hrabia w złym n humorze, przestając już tykać faworytowi — mam tak znaczny majątek, a coraz mniej pobieram dochodów.

<https://rein.org.pl>

¹ przetak z wielkimi otworami.

— Na uczciwość, prosta rzecz, jaśnie wielmożny panie! Coraz więcej rosną procenta. Jaśnie wielmożny pan uniósł się zadaleko szlachetnością, ręcząc za hrabiego Teofila.

— Cóż mi tam aspan wspominasz to zaręczenie, straciłem przez to 50.000 złr. i nic więcej. A to przecież niewielka różnica w moim majątku.

— W majątku nie, to prawda, jaśnie wielmożny panie, ale na uczciwość trzeba było zaraz zaciągnąć znaczne długi, nie uiściwszy dawniejszej pożyczki towarzystwa kredytowego. Nadto, jaśnie wielmożny panie, zgorzał folwark w Wierzbińcach i spichlerz w Ordasowie, a i przymnożyły się wydatki jaśnie wielmożnych państwa. JWna pani więcej potrzebuje, jadąc do kąpiel...

— Zatrzymaj aspan swoje wyjaśnienia, wy kierujesz mnie tak swoim gospodarstwem, że będę musiał sprzedać cały Ordasów z czterema siolami.

— Na uczciwość jaśnie wielmożny panie — mruknął Zachlewicz, uderzając się w piersi, choć go wcale nie trwożyły cierpkie słowa oszukiwanego od tylu lat pana.

Hrabia prowadził dom na wielką stopę, a oddawna już przestały mu wystarczać dochody z dóbr, które naturalną koleją musiały naprzód przechodzić przez lepkie i drapieżne ręce ekonomów i nieocenionego jeneralnego rzadcy. Duma poniekąd sama, więcej zaś pewna wrodzona nieporadność umysła, zupełny brak energii, wypływający po części z nader flegmatycznego usposobienia, nie pozwalały hrabiemu zajmować się samemu swem gospodarstwem, to też ufając ślepo Zachlewiczowi, brnął z kłopotu w kłopot, z długu w dług, a ekstrakt tabularny¹ wybiegał w coraz większą litanję różniamiennych wierzycieli.

W nowym kłopotcie hrabia zżył się na Zachlewicza, ale jeneralny rządca zanadto stał się niezbędnym, aby mu jakiegokolwiek ważniejsze zagrozić mogło niebezpieczeństwo.

To też i tym razem powrócił hrabia niebawem do swej zwykłej flegmy i zapytał najspokojniej:

<https://rcin.org.pl>

¹ wypis z tabuli, t. j. hipoteki austriackiej.

— A jestżeś pewien, że Brunnentief da?

— Ręczę zato.

Pocziwiec mógł ręczyć śmiało i stanowczo, bo właściwie swój własny podsuwał kapitał, a starozakonny Brunnentief miał służyć tylko za pośrednika.

Hrabia wzruszył ramionami.

— Ha, cóż robić? — mruknął po chwili. — Pójdź do Brunnentiefa...

— To już jakby się stało, JWpanie, ale mam jeszcze jedno...

— Cóż znowu nowego?

— Będąc we Lwowie, JWpanie, byłem i u tego sławnego dziś adwokata Rabulewicza.

— O cóż ci to chodziło?

— Przypomni sobie JWpan, że zaraz przed trzema laty po śmierci nieboszczyka starościca i przybyciu jego testamentu, radziłem na uczciwość JWpanu wszcząć proces przeciw tak oczywistej krzywdzie...

Hrabia ściągnął brwi.

— Nie zgodziłem się na to — przemówił napół z niesmakiem — raz, że testament był zupełnie na swoim miejscu i proces żadnej nie rokował nadziei, a powtóre, że nie mogąc pogodzić się z bratem za życia, nie uważałem za rzecz godną wymagać od niego czegoś po śmierci.

Żachlewicz uklonił się niziutko i uśmiechnął słodko i obłeśnie.

— Gdyby JWpan pozwoił zrobić sobie pewne przedstawienie... — cedził zwolna.

— Cóż chcesz powiedzieć?

— Adwokat Rabulewicz podał mi nieomylny sposób obalenia testamentu nieboszczyka starościca.

Hrabia zachnął się niechętnie.

— Nie myślę już podnosić tej sprawy.

Żachlewicz znowu nisko się uklonił.

— Właśnie też trzebaby, aby ją podniósł kto inny, na uczciwość.

— Kto inny?

— JWpan srogą ucierpiałeś krzywdę.

Hrabia z dumą wydał wargę.

— Majątek ojcowski, a szczególnie Żwirów, gniazdo imienia Żwirskich, dawna siedziba wojewodów i kasztelanów, przeszły *jure caduco*¹ w ręce jakiegoś obcego przybłądy, hołysza...

Żachlewicz znał wybornie słabe strony hrabiego, a kiedy wymawiał zwolna: gniazdo imienia Żwirskich, widział dobrze, że hrabia drgnął i prędko schmurzył czoło.

— Według wszelkiego prawa bożego i ludzkiego JWpan jesteś właściwym dziedzicem Żwirowa z przyległościami... — ciągnął dalej Żachlewicz.

— Oczywiście, mam większe do tego prawa, niż dzisiejszy jego właściciel... Ależ niepotrzebnie niegdyś poważniłem się z bratem...

— JWpan przecież nie po bracie, ale po ojcu ma odebrać spuściznę.

— Jakto po ojcu?...

— Ja myślę, że nieboszczyk starościc nie rozrządzał własnym majątkiem, to jest chcę mówić własną ubieraną pracą, ale tylko spuścizną ojcowską, i w takim razie nie miał prawa przeznaczać go komuś poza obrębem familji, jak żaden monarcha nie ma prawa wyzuwać z korony swej rodziny.

Porównanie z monarchą wielce się podobało dumnemu panu.

— Mój kochany Żachlesiu — rzekł łaskawie do faworyta. — Takie prawa obowiązują niestety tylko monarchów. Tem nic nie wskórasz wobec sądu...

— Pan adwokat Rabulewicz podaje inny, nieomylny sposób...

— Ależ oszalałeś, to już sprawa zadawniona.

— Nie będzie nią wcale wobec prawa.

— W żaden sposób, w żaden sposób — mruknął hrabia przez zęby więcej sam do siebie.

— Wiem, że JWpan zrezygnował już z swej strony, ależ

<https://rcin.org.pl>

¹ *iure caduco*: djabelskim prawem, czyli bezprawnie.

JWpan na uczciwość ma dzieci, a te mają święte prawa, nie do mienia stryjaszka, ale do spadku po dziadku.

Hrabia więcej jeszcze ściągnął brwi i gwałtownie potarł czoło. Żachlewicz uśmiechał się chytrze i przebiegle, i trzepnął w palec.

— JWny pan zostawiasz dzieciom swym wielkie imię, a na uczciwość imię takie bez odpowiedniego majątku, to raczej kłątwa niż dobrodziejstwo... Na szczęście — pochwycił skwapliwie — to nie może stosować się do JWnej hrabianki i JWnego panicza Artura, ale zawsze odziedziczą daleko mniej, niż dziedziczyli dotychczas wszyscy z prostej linii Żwirscy, na uczciwość.

W hrabiu widocznie jakaś gwałtowna zawrzała walka.

— Więc twierdzisz, że dziś jeszcze słusznym procesem można obalić testament nieboszczyka Mikołaja?...

— Ja sam podejmuję się napewno.

— A cóż jabym musiał mieć w tem za udział?

— Prawie żaden, JWny panie.

— Jakto? nie potrzebowałbym nawet występować pod własnem imieniem?

— Bynajmniej, JWny pan przystąpi tylko do gotowego. Ja przy pomocy pana Rabulewicza unieważnię testament nieboszczyka starościca.

— Ale w jaki sposób?

Pan Żachlewicz zamiast odpowiedzi uśmiechnął się przebiegle, łypnął oczyma i brwi podciągnął w górę.

— Zaco jaśnie wielmożny pan poczytywał zawsze swego nieboszczyka brata?...

— Za warjata, za półgłówka! — mruknął hrabia w pierwszym zapędzie.

— Basta! — wycedził Żachlewicz i głowę zwiesił na piersi.

— Co mówisz?

— Dość już na tem, jaśnie wielmożny panie.

— Na czem? — zapytał hrabia, zdziwione robiąc oczy.

— Nieboszczyk staroście był poprostu *mente captus*,¹¹

<https://rcin.org.pl>

¹ warjat.

a jako taki, nie mógł żadnych prawomocnych wystawiać dokumentów.

Hrabia uderzył się w czoło i zerwał się na równe nogi.

— I Rabulewicz powiada, — zawołał nagle — że tym jednym zarzutem można obalić wszystko?

— Wszystko *ad nihil*,¹ jaśnie wielmożny panie.

— I ty się tego podejmujesz?

— Właściwie podejmuje się Rabulewicz, ja mam tylko dostarczyć mu potrzebnych materiałów.

— Jakichże to materiałów?

— Dowodów nienormalnego stanu umysłu starościca w ostatnich chwilach przed zgonem.

— I mniemasz, że ich tak łatwo dostaniesz?

— Oparty na zeznaniach wszystkich, co znali tu w kraju starościca, pojedę do Drezna, a za jeden i drugi tysiączek znajdzie się w najgorszym razie jakiś tam lekarz, co chętnie pożądane wystawi świadectwo.

— Ależ to nikczemność uciekać się do przekupstwa!

— Ja mówię tylko w najgorszym razie, jaśnie wielmożny panie. Zresztą na uczciwość jaśnie wielmożny pan nie potrzebuje się w to ani mieszać.

— Jakto?

— Według rady pana Rabulewicza ja najprzód pozwę JWnego pana, że obejmując na pierwszą wieść o śmierci starościca cały klucz żwirowski, przyrzekłeś mi JWny pan cały folwark buczalski w nagrodę długoletnich usług wokoło swojego domu... JWny pan...

— Ja?...

— Będzie się tłumaczył, że rzeczywiście zrobił mi podobne przyrzeczenie, którego i dziś nie cofa. Lecz przyrzeczenie to upada przez to samo, że na podstawie testamentu starościca runęła cała nadzieja spadku. Wtedy ja...

— Wtedy ty? — ciągnął dalej hrabia, owładnięty mimowolnie wymową swego komisarza.

Zachlewicz więcej jeszcze złamał się na lewo, twarz je-

<https://rcin.org.pl>

¹ w nicość.

szcze brzydszy przybrała wyraz i cały wyglądał w tej chwili jak uosobiona podłość...

— Postaram się o unieważnienie testamentu... — wyszepnął, cichym, przytłumionym głosem. — JWny pan uzyska Żwirow z piętnastą wsiami...

— Z piętnastu? — podchwycił hrabia prędko.

— Wygrywając proces, muszę tem samem otrzymać Buczały.

— Najpiękniejszą wieś w żwirowskim kluczu.

— JWny panie, jak na teraz, to jeszcze, na uczciwość, gruszka na wierzbie.

— Bierz cię lichu — mruknął hrabia.

— Jaśnie wielmożny pan przystaje? — zapytał skwapliwie.

— Nie, nie jeszcze, namyślę się do jutra.

Żachlewicz uśmiechnął się z niskim ukłonem, a w duchu pomyślał:

— Buczały jakby w kieszeni!

Hrabia zaczął szybko przechadzać się po pokoju. W tej chwili trzask z bicia rozległ się na dziedzińcu.

— Ktoś przyjechał — mruknął hrabia.

Żachlewicz szybko przystąpił do okna.

— Prowizoryczny dziedzic Żwirowa — szepnął z uśmiechem.

Hrabia zmarszczył czoło.

— Także mię w porę najechał — mruknął przez zęby.

Po chwili obrócił się do Żachlewicza i klepiąc go po ramieniu, rzekł do niego:

— Do widzenia, mój Żachlesiu. Pomyślę o tem, coś mi powiedział, ale tymczasem nie zapominaj o Brunnentiefie.

— Jutro będą pieniądze, jaśnie wielmożny panie, na uczciwość...

— A ja jutro dam ci odpowiedź.

Żachlewicz ukłonił się niziutko i skrzywiony w lewo wysuwał się chyłkiem z pokoju, jak kot, kiedy narobi szkody w spiżarni i pragnie uciec z oczu gospodyni.

Hrabia jeszcze kilka chwil pozostał w swej kancelarii.

nim udał się na powitanie gościa, który wprost do bawialnego pośpieszył salonu. Dumny magnat bił się z najsprzeczniejszymi myślami.

— Djabel, nie Zachlewicz — szeptał zcicha, ciągle szybkimi przechadzając się krokami — taki gwóźdź wbił mi w głowę... Muszę się dobrze namysleć, czy postępowanie takie pogodzi się z honorem... Nieboszczyk Mikołaj miał żal do mnie... — dodał marszcząc czoło i na chwilkę przystanął na miejscu i zamyslił się głębiej.

Naraz wstrząsnął głową, machnął ręką i mruknął przez zęby:

— Potrzeba rozważyć wszystko gruntownie, a teraz pójdźmy do naszego gościa — dorzucił nie bez pewnego lekceważenia i po tych słowach wyszedł z swej kancelarii.

IX

EUGENJA

Wchodząc do salonu, zastał już hrabia Juljusza w towarzystwie swej córki. Przywitał go dumniej i chłodniej niż zazwyczaj i usiadł z widocznym postanowieniem więcej się przysłuchiwać niż brać udział w rozmowie.

Hrabina i hrabianka siedziały na kanapie, a obie w jakimś szczególnie wesołym wydawały się usposobieniu.

Hrabina nosiła wszystkie zewnętrzne znamiona swego wysokiego pochodzenia. Wzrost okazały, postawa dumna i imponująca, nos orli, spojrzenie pewne i śmiałe, ręka bajecznie mała, wszystko to przystawało wybornie do jej książęcego urodzenia.

Wcale do niej niepodobną była jej córka jedyna, młoda, szesnastoletnia Eugenia. Szczupła, wątła, smukła jak trzcina, była to jedna z tych drobnych, eterycznych postaci, że zda się listek róży nie ugiałby się pod ich stopami. Hrabina uchodziła za ciemną szatynkę o czarnych brwiach i oczach, Eugenia była

jasną blondynką, miała oczy jakby urobione z najbłękitniejszych listków bławatu, a noszek tak drobny i tak prześlicznego zakroju, że nie powstydzilby się pewno obok najpiękniejszego greckiego wzoru. W twarzy hrabiny malowała się przeważnie duma i powaga, w fizjognomji hrabianki zdawał się każdy rys drgać dziecięcą swobodą i wesołością, posuwaną częstokroć aż do pustoty i swawoli. Na jej świeżych, zawsze wilgotnych i cudownie wciętych ustach, igrał wieczny uśmiech jakiegoś serdecznego zadowolenia, z którego najczęściej samaby sobie nie mogła zdać sprawy. Patrząc na jej pleć śnieżną, przeźroczystą, zdawałoby się, że już ani sobie wyobrazić coś równie białego, a przecież za pierwszem najlżejszem otwarciem ust odsłaniały się dwa rzędy malutkich ząbków, które mogły śmiało upomnieć się o ten przymiot. Biała, pulchna rączka zapatrzyła się w matczyną, bo snąć już od pieluchowego powicia przestała na zawsze rósć dalej, a za jej przykładem poszła zapewne przez współzalatnictwo nóżka, która wciśnięta w malutki ałasowy trzewiczek, w tej chwili wyzierała napół z pod lekkiej, błękitnej muslinowej sukienki.

Mimo starannego swego wychowania, niezupełnie jeszcze z salonowem życiem oswojony, Juljusz wydawał się jakoś nieśmiały i zakłopotany na wstępie, ale zagadnięty w jednej chwili kilku uprzejmymi słowy hrabiny, a kilku wesołemi, trzpiotowatemi zapytaniem hrabianki, nabrał zupełnej swobody i pewności.

Rozmowa toczyła się długo w zwykłym powszednim obrębie.

— Ale, ale — zawołała nagle Eugenia — mama sobie przypomina, co nam wczoraj opowiadała Solczaniowa?

— A prawda, coś o zaklętym dworze.

Juljusz uśmiechnął się z zadowoleniem. Sam ciągle bił się z myślami, jak na ten tor naprowadzić rozmowę, aby z swym niedawnem wyjechać spostrzeżeniem. Eugenia, jakby umyślnie, przychodziła mu w pomoc.

— Wyobraź sobie pan — poderwała żywo — nasza klucznica Solczaniowa, opowiadała wczoraj nowe, niestworzone rzeczy o zaklętym dworze.

— Nadszedł zapewne zwykły perjod strachów, który lud co roku prawie do tej odnosi pory — odezwał się Juljusz.

Hrabia niechętnie zmarszczył czoło.

— Moje dziecię — przemówił z pewnym naciskiem do córki — te niedorzeczne baśnie zabobonnego ludu ciągle tkwią ci w głowie. Mówisz o nich nieustannie.

— Ależ, kochany papo, mnie to wszystko zajmuje niewymownie. Wszystkie te wieści mają w sobie jakiś urok tajemniczy, w tym dworze opuszczonym, zamkniętym dla wszystkich, jest coś romantycznego... Mimowolnie przypominają się powieści Waltera Scotta.¹

— *En effet*² — szepnęła hrabina, która obok wielu szlachetnych przymiotów miała te dwie główne wady, że za często wmawiała w siebie migrenę, i powtórę zanadto powoli przychodziła do poznania, jak niedorzecznie i śmiesznie jest płać bez potrzeby francuskie zwroty i wyrazy w tok ojczystej mowy.

Każenie i nieważenie rodzinnego języka u narodów, mających samodzielność polityczną — niech nam wolno będzie powiedzieć to nawiasem — może być tylko wadą, śmiesznością, głupstwem poprostu, u nas, gdzie, jak dotąd rzeczy stoją, główne i jedyne tętno narodowego życia wcieliło się w język, jest ono czemś więcej jeszcze, a temsamem na dwójnasób sroższe zasługuje potępienie. Zaniedbywać w mowie potocznej język ojczysty na korzyść obcego, jest to odrzucać samowolnie jedyną, lojalną³ dziś broń, podtrzymującą narodowość naszą. Chęć się znajomością języka francuskiego, dziś, kiedy każda kucharka mówi po francusku, może być tylko dowodem nieprzebranej głupoty i próżności. Na szczęście ludzie z wyższem wykształceniem, wyższem pojęciem dawno uwolnili się od tej wady, a od dnia do dnia staje się ona coraz wyłączniejszą cechą charakterystyczną tej tylko części tak zwanej arystokracji galicyjskiej, która powstała z żydów-przechrztów, ekonomów-złodziejów, spekulantów niesumiennej i wszelkiego ro-

¹ Walter Scott był słynnym powieściopisarzem historycznym; romanse jego są pełne tajemniczych i romantycznych przygód.

² w istocie.

³ prawowitą.

dzaju tałatajstwa moralnego. Po tej krótkiej, wprawdzie wcale już nie nowej, ale niestety zawsze jeszcze słusznej ekspektoracji,¹ powróćmy do dalszego toku powieści.

Hrabiemu, jak zawsze, niemiłe było i teraz każde napomnienie o zaklętym dworze. Przypomniało mu to przykre stosunki z bratem, które nierad odżywał w pamięci.

— Daj pokój temu wszystkiemu, duszko — ozwał się z niechęcią. — Wiesz, że nie lubię wszystkich tych baśni.

— Sądziłam, że papa tylko w nie nie wierzy.

— Nie lubię ich wcale, — powtórzył hrabia z większym naciskiem — bo ubliżają pamięci mego nieboszczyka brata, a twego stryja.

Eugenja rzuciła główką, jakby po raz pierwszy dopiero spotkała się z podobnem zdaniem.

— Prawda — szepnęła.

— Ależ — poderwała nagle sama hrabina — mnie się ciągle zdaje, że w tych nedorzecznych bajkach ukrywa się coś prawdziwego.

— Coś prawdziwego? — podchwyciła skwapliwie Eugenja.

— Mniemam, — ciągnęła hrabina dalej — że jakieś jedno i drugie zdarzenie prawdziwe musiało dać powód do wszystkich tych pogłosek fałszywych.

— I ja byłbym tego samego zdania, co pani hrabina.

— *Vous aussi, monsieur?*²

— Są to tylko proste przypuszczania bez wszelkiej rzeczywistej podstawy — wtrącił hrabia, nie zmieniając z tonu.

— Przeciwnie, panie hrabio, ja sam miałbym dla nich niejaką podstawę.

— Pan sam? — wykrzyknęła Eugenja z żywą ciekawością.

Juljusz przygryzł wargę. Nie przygotował się wcale na podobny zwrot rzeczy, jemu się zdawało, że młoda hrabianka będzie najstaranniej unikała wszelkiej wzmianki o zaklętym dworze, w którego ogrodzie dała się przecież podejrzeć znie-nacka przed kilku dniami, a tymczasem ona sama naprowa-

<https://rcin.org.pl>

¹ wynurzeniu myśli.

² pan także.

dziła rozmowę na ten przedmiot i najmniejszego wogóle nie objawiała zakłopotania.

— Zrobiłem pewne szczególniejsze spostrzeżenie! — przemówił po chwili Juljusz.

— Czy być może! — zawołała hrabina.

Hrabia gwałtownem poruszeniem przesunął się bliżej z swym fotelem.

— Przed trzema dniami spotkałem się oko w oko z strachem — ciągnął dalej Juljusz.

— *Vous vous moquez, monsieur*¹ — zawołała hrabina.

— Mówię najszczerzą prawdę.

Hrabianka aż podskoczyła z ciekawości, a sam nawet hrabia nie mógł wielkiego ukryć zdziwienia.

— A zechceszże nam pan opowiedzieć całe to zdarzenie? — ozwała się hrabina.

— Najchętniej.

— Ale przedewszystkiem nie będzie to nic strasznego? — ciągnęła dalej hrabina.

— Nie śmiałym przecie trwożyć panie.

— A więc słuchamy — poderwała prędko Eugenja.

— Było to przed trzema czy czterema dniami, dziś mamy sobotę, a więc...

— W środę czy we czwartek?

— We środę. Wybrałem się na małą konną przejażdżkę i mimowolnie jakoś zapędziłem się ku żwirowskiemu dworowi.

— W dzień oczywiście? — wtrącił hrabia.

— W jasny dzień, około jedenastej przed południem...

Tu zawahał się na chwilkę Juljusz, nie chcąc i śmiać się jakoś przyznać, że umyślnie podjechał pod parkan ogrodowy...

— I cóż tedy? — zapytał hrabia.

Juljusz przewyciężył się prędko, i ciągnął dalej nie bez lekkiego zająknienia:

— Nie wiem z jakich przyczyn koń mój spłoszył się nagle i skacząc w bok, uniósł mię aż pod sam parkan ogrodowy.

¹ pan żartuje.

Powstrzymawszy go tutaj, nie mogłem poskromić mej ciekawości i zajrzałem do środka opuszczonego ogrodu.

— Który oczywiście musiał zdiczeć zupełnie — mruknął hrabia.

— W samej rzeczy zarósł chwastem i wygląda raczej na jakiś dziki ostęp lasu, niż na ogród pałacowy. Postawszy kilka chwil, miałem na myśli już wrócić na gościniec, kiedy wtem — ciągnął powoli, wpajając bystro wzrok w hrabiankę.

Hrabianka nie spuszczała oczu i najmniejszego nie objawiała pomieszaniam.

— Wtem? — zapytała z wybuchającą ciekawością.

Juljusz ściągnął brwi i nieznacznie wzruszył głowę.

— Na zakręcie zdiczącego, opustoszonego szpaleru zarysował się jakiś cień wyraźny...

Hrabia podrzucił się w swem siedzeniu, hrabina głowę wychyliła naprzód, a hrabianka aż zatrzęsła się cała.

— Za chwilę — ciągnął Juljusz, nie spuszczać oka z Eugenji — pojawiła się jakaś postać...

— Strach?! — krzyknęła hrabianka.

— Strach, ale w najpoważniejszej pod słońcem postaci...

— W postaci młodej, ładnej dziewczyny zapewne? — dorzuciła hrabina domyślnie.

Juljusz skinął tylko głową zamiast odpowiedzi, bo dziwny spokój, niewytłumaczona swoboda hrabianki mieszały mu wszystkie szyki. A przecież im baczniej i pilniej przypatrywał się jej twarzy, tem silniejszego nabierał przekonania, że ona, a nie kto inny była owem szczególnem zjawiskiem w pustym ogrodzie.

— Więc po prostu była to jakaś nimfa... — ozwała się hrabina.

— Jakaś urocza sylfida ¹ — dorzuciła hrabianka z uśmiechem. Hrabia zmarszczył czoło i nic nie mówił.

Juljusz zabrał głos na nowo, nie bez pewnego zakłopotania.

— W samej rzeczy mogła rościć sobie prawo do wszystkich nazw, bo naprawdę nadziemskiej wydawała się piękności.

<https://rcin.org.pl>

¹ właściwie: boginka; przen. zgrabna i wiotka kobieta.

— Ah! — zawołała hrabina z ironicznym uśmiechem.

— Tak dokładnie ją pan widziałeś? — zagadnął hrabia.

— Widziałem ją tylko krótką chwilkę, ale rzeczywiście dość dobrze.

— I jakże wyglądała? — zapytała hrabianka — brunetka czy blondynka?

— Jasna blondynka z niebieskimi oczyma — odpowiedział z pewnym naciskiem Juljusz.

— To coś do mnie podobna! — wykrzyknęła hrabianka wesoło.

Na te słowa Juljusz zmieszał się z swej strony.

— Byłaby to nie ona?! — pomyślał w duchu.

Ale właśnie w tej chwili spotkał się z oczyma Eugenji i wstrząsł się cały. Były to najwyraźniej oczy owego ogrodowego widziadła.

— Osobliwsza historia! — mruknęła naraz hrabina.

Hrabia w głębokie wpadł zamyślenie, widocznie jakby gonił za rozwiązaniem zagadki.

— A jakże była ubrana? — zawołała hrabianka znowu.

— Nie mogłem wielkiej uwagi zwracać na jej ubranie. Zdawało mi się jednak, że miała na sobie błękitną sukienkę.

— To znowu coś jak ja — zawołała Eugenja ze śmiechem.

— W samej rzeczy — zająknął się Juljusz do reszty zbity z toru.

Eugenja parsknęła głośnym śmiechem.

— Otóż mamy najlepszy klucz do wszystkich tych zagadkowych bajeczek — wykrzyknęła żywo, jakgdyby uszczęśliwiona jakimś nowym domysłem trafnym.

— Jaki klucz? — zapytali jednocześnie hrabia i hrabina.

Eugenja śmiała się serdecznie, a w oczach jej malowała się pewna nawet ironja.

— Pan nie mówił ani słówka z swoim widziadłem? — zapytała Juljusza zamiast żądanej odpowiedzi.

— Nie mogłem go zagadnąć, tak prędko znikło mi z oczu.

Na to wyznanie wzrosła jeszcze wesołość hrabianki.

— Najprościej państwu wszystko wytłumaczę — rzekła stanowczo.

— Ty, duszko! — wykrzyknęła hrabina.

— Pani? — ozwał się Juljusz z naciskiem, w którym więcej przebijało się oczekiwania, niż zdziwienia.

— Posłuchajcie mię tylko, moi państwo — wzywała Eugenja, przybierając minę poważną i uroczystą, która twarzy jej pocieszny nadawała wyraz.

— Jakiś żart zapewne — mruknął hrabia obojętnie.

— O, nie, nie żarcik, papo, ale jasne, umiejętnie, filozoficzne tłumaczenie widziadła pana Juljusza.

— Skądże do niego przychodzisz? — zapytał hrabia.

Eugenja z komiczną powagą zapukała w czoło swym drobnym, różowym paluszkami.

— Czerpię go stąd, mój ojciec — odpowiedziała uroczysto, a widząc, że hrabia zlekka schmurzył czoło, jakby się niecierpliwił tymi żartami, zawołała żywo i wesoło: — Zaczynam tedy! Zjawisko pana Juljusza należy do najpowszedniejszych, najzwyczajniejszych na świecie. Jest to prosta tylko ułuda. Pan jesteś trochę poeta, marzyciel, fantasta, panie Juljuszu — ciągnęła prędko, zwracając się do młodzieńca — to też zaglądając do opuszczonego ogrodu, uzupełniłeś rzeczywisty widok tworam fantazji, złudzeniami bujnej imaginacji. Zdało się ci, że brakuje tej ustroni tylko jakiejs nimfy, drjady, najady,¹ rusalki, a urzeczywistniłby ci jedną z owych czarodziejskich dziedzin, jeden z owych zaczarowanych ogrodów starożytnych zamków średniowiecznych w wcale nie czarujących powieściach rycerskich, i otóż nagle staje się co pragnąłeś, pojawia się czego pożądałeś. Krótką tylko chwilkę trwało przywidzenie zmysłów. Zjawisko znikło nagle, jak nagle się ukazało. Z wytrzeźwieniem umysłu rozpięchła ułuda. A pan! — zawołała głośnym wybuchając śmiechem — pan jesteś doskonałym w swym poetycznym usposobieniu. Nietylko, że pan uwierzyłeś naprawdę w ciało i krew złudnej swej mary, ale i nam każesz w nie wierzyć, jak Dante² w swoje widzenia piekła, jak Hoffmann³ w swoje fantastyczne postacie.

¹ nimfy leśne i wodne. ² w *Boskiej komedji*.

³ Hoffmann E. T. A. by nowelistą niemieckim, utwory jego cechuje niesłychanie wybujała fantastyka.

Obojgu hrabstwu przypadł wykład ten wielce do przekonania, bo hrabina z dumą i miłością spojrzała na córkę, a hrabia uśmiechnął się z zadowoleniem.

Ale Juljusz nie tak łatwo ustępował z pola.

— Przepraszam, że śmiem przeciwieć się pani — ozwał się z uśmiechem — ależ zjawisko moje było tak jawne i rzeczywiste...

— Jak bujna i żywa imaginacja pańska — podchwyciła prędko Eugenja.

— Słyszałem przecież wykrzyk tej nimfy ogrodowej...

— Czytałam zarówno o zwodniczych halucynacjach¹ słuchu, jak i o przywidzeniach wzroku...

— Zaręczam pani, że w tej chwili byłem tak dalekim od wszelkich złudzeń fantasmagorycznych...²

— Ach, pan widzę okropnie uparty! — zawołała hrabianka, ściągając zlekka swe w prześliczne łuki zaokrąglone brwi.

— Jestem tylko silnie przekonany...

Eugenja uśmiechnęła się ironicznie.

— Ależ panie, choćbyś mię o wszystkim dotykalnie przekonywał dowodami, to mi żadną miarą jednej nie wyjaśnisz okoliczności.

— I którejże to, pani?

Hrabianka spojrzała bystro w oczy młodzieńca.

— Dlaczego owa nimfa ogrodowa była ze wszystkiego podobną do mnie? — zawołała z lekkim naciskiem, a jednocześnie tak szczególniejszy uśmiech osiadł na jej ustach, że Juljusz zadrżał cały i uczuł w tem pomieszaniu, jak wszystka krew uderzyła mu do głowy.

Hrabianka zerwała się z swego siedzenia i jakby w jakimś napadzie dziecięcej pustoty poskoczyła do fortepianu, a w jednej chwili jakaś kapryśna warjacja wyrwała się w głośnych akordach z pod jej wprawnych paluszków. Hrabina poruszyła się w swem siedzeniu, hrabia, który pogrążony w ja-

¹ złudzeniach.

² zwodniczych.

kiemś głębokiem zamyśleniu nie zdawał się słyszeć ostatnich słów córki, podniósł się naraz z fotelu i przystąpił do okna.

Juljusz korzystał z nagłej przerwy w rozmowie, aby ukryć swe pomieszenie, a po kilku obojętnych słowach, wymienionych półgłosem z hrabiną, pochwycił za kapelusz.

— Już pan ucieka? — przemówiła hrabina obojętnie, jakby tylko zwyczajną bez myśli odmawiała formułkę.

Hrabia podał uprzejmie rękę żegnającemu się gościowi, wszakże nie mogło ukryć się Juljuszowi, że w całym zachowaniu jego daleko więcej niż zazwyczaj przebijało się dумы i chłodu.

Eugenja przestała grać, a odpowiadając uprzejmym uśmiechem na ukłon młodzieńca, zawołała figlarnie:

— Tylko nie odnawiaj pan znajomości z swoją nimfą onegdajszą, bo naprawdę gotówbyś pójść w ślady owego mitologicznego rzeźbiarza,¹ co zapłonął miłością ku jakiejś tam statuy marmurowej. A znikomy twór wyobraźni to jeszcze gorszy niż martwy i zimny marmur.

Juljusz nie mógł zdobyć się na odpowiedź w swem pomieszeniu, uśmiechnął się tylko i wyszedł z salonu, a kilka chwil później siedział już w pojeździe i wracał do Oparek, tyśiącznemi naraz zaprzątnięty myślami.

Rozpamiętując słowa hrabianki, zamiast zachwiewać, utwierdzał się tylko w przekonaniu, że ją samą, a nie kogo innego widział wtedy w ogrodzie zakłętego dworu.

— Poznawszy mię także, przygotowała się na moje przybycie — mruczał półgłosem sam do siebie. — Dlatego też nie zmieszała się wcale na moje opowiadanie i tak zręcznie siłła się zbić moje podejrzenia. Bądź co bądź muszę dotrzeć na dno tej tajemnicy.

Nagle wstrząsł się cały; stanął mu przed oczyma dziwny wyraz oczu i twarzy, z jakim napomknęła hrabianka o swem podobieństwie do owego widziadła. Zdało mu się, że przez to chciała tylko powiedzieć:

¹ Pigmalion z Krety, który, wedle Owidjusza, tak dalece zapalał miłością do posągu dziewicy Galatei, którą sam wyrzeźbił, że począł błagać Wenere, aby posąg ożył; bogini prośbę spełniła.

— Marzysz zapewne ciągle o mnie, toż i twoje ułudy fantasmagoryczne w moje przyodziewają się kształty.

I sam nie mógł sobie zdać sprawy, czy w uśmiechu, jaki wówczas igrał na jej ustach, malowała się sama tylko figlarność dziecięcia, czy przeważały w nim głównie ironja i lekceważenie.

— Jestem jednego z nią imienia, a bogatszy od niej! — odzywała się w nim duma na to przypuszczenie.

Ale tuż zaraz przypominał sobie, że imię to choć prawdopodobnie jednakiego początku i równego brzmienia z imieniem starszej linji, nie uświetniło się niczem w kartach dziejów, a terażniejszy majątek był tylko jakąś cudowną jałmużną losu, na którą w znacznej części musiała się składać i hrabianka sama.

— Według zwykłych praw natury majątek mój dzisiejszy powinien właściwie należeć do hrabiego — poszepnął — to też nigdy nie powinienem się doń odwoływać przynajmniej wobec niego.

Śród podobnej walki myśli i rozpamiętywań nie spostrzegł Juljusz, że kiedy powóz wolnym krokiem toczył się pod mały pagórek, jakiś człowiek w łachmanach przysunął się do samych stopni powozu, i chwytając się jedną ręką mosiężnej klamry u boku, drugą zdjął kapelusz słomiany i niemiłym a chryplywym przemówił głosem:

— Jaśnie wielmożny panie!

Juljusz wzdrygnął się, tak przykre głos ten sprawił na nim wrażenie.

— Kto ty? czego chcesz? — zawołał niechętnie, bo nieznajomy nader szpetną i odpychającą raził fizjognomją.

— Szukam *prawa*, jaśnie wielmożny panie!

Juljusz myślał w pierwszej chwili, że ma do czynienia z warjatem.

— Stój! — zawołał na furmana. — Czego chcesz? — zapytał nieznajomego.

— To ja, Mykita Ołańczuk, jaśnie wielmożny panie, czternaście lat służyłem w wojsku.

Juljusz przypomniał sobie imię byłego żołnierza, które tak ściśle łączyło się z historją starościca.

— Czego chcesz? — zawołał niechętnie.

— Nieboszczyk pan mię pokrzywdził i ciągle dochodzę mego prawa, jasny panie, bom sobie przysiągł, że nie daruję, choćbym miał zdechnąć jak pies — mruknął ciszej, a w napół zyzowatych oczach dzika mignęła nienawiść.

Juljusz rzucił się niecierpliwie.

— Prawuję się już od sześciu lat, jasny panie, zeszedłem na żebraka; ale to furda — ciągnął prędko dalej *ex-żołnierz*. — Nieboszczyk pan umarł, to mi Kost' Bulij musi zapłacić za moje, bo on mi swoją ręką *rychtyg* sto kijów wyliczył jak jeden, a i potem jeszcze obił mię kilka razy.

— Ale czegoż chcesz odemnie, łotrze? — krzyknął Juljusz, wybuchając gniewem.

— Jasny panie, ja *zabożyłem*¹ się nie darować Kost'owi i nie daruję, nie daruję, choćby mię robaki żywcem stoczyły... Dlatego też teraz mam coś *meldować* jasnemu panu.

— Mnie?

— Jasny panie, Kost' okrada zakłętą dwór! *Wysztyudrowałem*² go tej nocy i szedłem właśnie do dworu *meldować* jasnemu panu...

Juljusz zachnął się na to zaskarżenie.

— Jak to śmiesz utrzymywać! — zawołał groźnie.

— Poprzysięgnę, jasny panie, to com widział. Straciłem wszystko prawując się i nikt mię nie chce przyjąć w komorne.³ Tej nocy spałem sobie pod krzyżem, jak się skręca do Buczał, aż wtem widzę, że jakiś maziarz jedzie drogą. Myślałem, że zasnął na wozie i przysunąłem się bliżej...

Tu zająknął się nagle, że nietrudno było domyśleć się, w jakim celu zbliżał się do wozu.

— Ale niebawem przekonałem się — ciągnął dalej z flegmą — że maziarz nie spi, bo od czasu do czasu głośno napędzał konia. Już chciałem wrócić, aż wtem patrzę, a maziarz skręca w szpaler, co prowadzi do zakłętego dworu. Ho, ho, myślę sobie! tu się coś święci. I odżegnawszy od siebie czarta

¹ prowinc.: przysiągłem na Boga.

² wystudjowałem czyli podpatrzyłem.

³ na mieszkanie za pewnem wynagrodzeniem lub płacą.

i wszystko złe, nie zważałem na stracha, i co tchu pogałem naprzelaj ku dworowi. Przed bramą dworu dwoje osób przechadzało się tam i nazad jakby kogoś oczekiwało. Z początku strach mię wziął i aż włosy stanęły mi na głowie, ale ba, parzę i poznaję...

— Poznałeś te osoby? — wykrzyknął Juljusz, rozciekając się w miarę opowiadania exzołnierza.

— Był to, jasny panie, stary klucznik z jakąś panią.

— Panią! — zawołał Juljusz.

— Panią czy panną, nie mogłem poznać, choć się bardzo blisko zakradłem...

— Ale widziałeś przecie, jak wyglądała?

— Uważałem tylko, że miała włosy jak len.

Juljusz podrzucił się gwałtownie w swem siedzeniu.

— Cóż dalej, coś dalej? — natarł porywczo na opowiadającego.

— A cóż, jasny panie, chciałem jeszcze przysunąć się bliżej, aby lepiej widzieć, ale te przekłete brytany, które Kost' wpuszcza co nocy na dziedziniec dworu, jak zaczęły wyć i ujadąć, że aż mię strach wziął, aby nie obudziły gdzie nieboszczyka, albo żeby ich Kost' nie wypuścił za bramę, bo wtedy ciężka byłaby sprawa! Więc drapnąłem nazad, jak przyszedłem.

— A skądże wiesz, że Kost' okrada pałac? — zapytał Juljusz.

Mykita wzruszył ramionami.

— A proszę jasnego pana, pocóżby maziarz zajeżdżał furą pod dwór? — odpowiedział.

— I więcej nic nie widziałeś nad to wszystko?

— Nic, jasny panie.

Juljusz sięgnął ręką do kieszeni i dobywając kilka drobnych monet srebrnych, rzucił je obdartusowi i zawołał rozkazująco:

— Ani słówka o tem wszystkiem, coś widział... a jutro rano staw się do mnie do Operek.

— Dobrze, jasny panie — odpowiedział obdartus z niskim ukłonem.

Juljusz w dziwnem jakimś, gorączkowem rozdrażnieniu

rzucił się wtył powozu i każąc woźnicy prędzej popędzać konie, zapadł w głębokie zamyślenie, a od chwili do chwili jakieś niezrozumiałe mruczał przez zęby słowa.

X

NOCNA SCHADZKA

Mieszkanie starego kozaka, Kost'ia Bulija, stało, jak już wiemy poczęści z toku opowiadania, tuż przy ogrodzie, o kilkanaście kroków w zatyle opuszczonego dworu. Był to dawny dom ogrodnika, okolony teraz starannie ociernionym płotem, który szczelnie zamykał podwórze przed wszelkiem okiem ciekawem. Za szeroką z chrustu uplecioną, zawsze zamkniętą bramą, ujadły dwa ogromne, czarne jak węgiel brytany, których sam widok mógł już nazawsze odstraszyć natręta.

Chata starego klucznika rozsiewała niemniejszy postrach pomiędzy ludem zabobonnym, co sam dwór zaklęty. Długoletni sługa i towarzysz nieboszczyka starościca uchodził za jego przyjaciela i powiernika także i w pośmiertnem, zagrobowem życiu. Utrzymywano powszechnie, że nieboszczyk znosi się poufnie z klucznikiem swego osamotnionego dworu, ilekroć ukaże się z tamtego świata.

A szczególna, Kost' Bulij jakby sam umyślnie chciał podsycać to mniemanie, osłaniał się starannie mgłą jakiejś grubej tajemnicy i niezwykłości. Zawsze ponury, zamyślony, unikał pilnie wszelkiego zetknięcia się z ludźmi, a mieszkając sam jeden jak palec tuż w pobliżu osławionego dworu, nigdy nie przepuścił nikogo za próg swej chaty. To też, choć co niedzielę jak wszyscy inni ludzie przychodził pilnie do cerkwi i na klęczkach modlił się całą prawie mszę świętą, ustaliło się powoli przekonanie między ludem, że Kost' Bulij za pośrednictwem swego nieboszczyka pana, jak niegdyś Twardowski za życia, zapisał się diabłowi i, że jego tak troskliwie dobrane czarne psy, konie i krowy pochodziły wprost z piekła, stanowiły niejako czartowski zadatek na kupioną duszę.

Przy takiej reputacji zagroda Kost'ia Bulija wyglądała prawie jeszcze pustszą i posępniejszą, niż sam dwór zaklęty i niełatwo znalazłby się ktoś w okolicy, coby, nie mówiąc już o nocy, w jasny dzień śmiało zbliżyć się do niej.

Wszakże w chwili, kiedy idąc poniewolnie za biegiem wypadków, bliższą i z nią musimy zabrać znajomość, nie zastajemy jej bynajmniej wewnątrz tak pustą i samotną, jak wyglądała z swej powierzchowności i jakby każdy sądził z jej reputacji.

Jest już dobrze po północy, a na przestronnem ognisku wielkiej izby, nie różniącej się niczem od zwyczajnych mieszkzań chłopskich, płonie starannie podtrzymywany ogień i dość jasno całą oświeca przestrzeń. Wokoło długiego dębowego stołu, wsuniętego pomiędzy dwie drewniane ławy, siedzi rzędem wśród dymu fajek sześciu ludzi, różnych po większej części strojów i powierzchowności. Wszyscy popijają piwo z sporych kuflów glinianych i jakąś żywą, acz cichą toczą między sobą rozmowę.

Na samym przedzie, niejako na pierwszym miejscu honorowem, siedzi żywo rozprawiając nasz dawny znajomy ryczychowskiej karczmy, ów wędrowny maziarz, kum Dmytro. Wyrazista, gęstym podstrzyżonym zarostem okryta twarz jego — zaczerwioną jak wówczas całą prawie lepkiemi plamami mazi, które rozlały się gdzieś aż na czoło i znacznie już na skroniach siwiejące włosy.

Obok niego po jednej stronie przysłuchuje się pilnie dwóch chłopów w zwykłych płótnianych kaftanach, po drugiej wsparło się o stół dwóch jakichś odmiennych strojem ludzi. W jednym z nich poznać na pierwszy rzut oka po minie gęstej i buńczucznej, po wąsie długim i zwiesistym, po kapocie szaraczkowej¹ z potrzebami i niezbędnej wypchanej torbie borsuczej na plecach szlachcica chodząckiego w całej okazałości i wszelkiemi wybitnemi znamionami charakterystycznymi. Drugi w granatowej sukiennej, aż po kostki sięgającej kapocie, z wą-

¹ z tkanin z wątku czarnego a białej osnowy.

sem krótko podstrzyżonym i czarnemi ofarbowanemi rękami, wygląda na małomieszczanina, garbarza z rzemiosła.

Ostatnim w rzędzie jest chmurny i ponury jak zawsze gospodarz, Kost' Bulij, klucznik zakłętego dworu. Siedzi milczący i nieruchomy jak z glazu i ciągle z szczególniejszym jakimś wyrazem wpatruje się w twarz maziarza. Kufel z piwem przed nim nietknięty, a i fajka leży na boku nienałożona.

Maziarz prawi zcicha, ale z pewną uroczystą powagą i silnym naciskiem:

— Wszystko musi udać się szczęśliwie, chybaby już Boga nie było na świecie! Jeśli nie sobie, to jemu możemy zaufać ślepo, on najlepiej pokieruje naszymi krokami.

— To największy mocarz! — ozwał się jeden z chłopów z tą patetyczną powagą, jaką lud nasz tak chętnie przybiera we wszystkich ważniejszych okazjach.

Szlachcic chodackowy, pan Dominik Szczeczuga herbu Zerwikaptur, z impetem pokręcił węża.

— Niech tylko pięść nie zawiedzie, — burknął z junackim ferworem — a kroćset djabłów mospanie — dodał ciszej i zaciśniętym kułakiem młyńca wywinął w powietrzu.

— Ja się tylko zdrady boję — szepnął garbarz, małomieszczanin z Starzelic, pan Jędrzej Jurek, człek, jak wskazywała fizjognomja, wielce przezorny i oględny.

— Furda! — mruknął pan Szczeczuga — od czegoż olej we łbie, a konopie na zawołanie.

Garbarz pokiwał głową niekoniecznie uspokojony.

Maziarz wpadł na chwilę w głębokie zamyślenie.

— Dobry panie Jędrzeju — przemówił naraz — niechaj każdy boi się tylko samego siebie, a pewno do zdrady nie przyjdzie.

— Ba, ale-bo widzicie, kumie Dmytrze — poderwał drugi z chłopów, znany nam Iwan Chudoba, wójt ryczychowskiej gromady, któregośmy niedawno u garbatego Organisty widzieli w towarzystwie maziarza. — Żeby tylko panowie nie skrewili — szepnął i zagiętym palcem zapukał w czoło.

Maziarz skinął niechętnie ręką.

— Bajecie jak we śnie, kumie Iwanie. Dowiodłem wam

tylę razy, że my panów, a nie oni nas mają w kieszeni, i kwita. A zresztą o tem potem...

I nie troszcząc się o dalsze wątpliwości Iwana Chudoby, zwrócił się nagle do szlachcica chodaczkowego.

— Mówicie tedy, panie Dominiku, — rzekł z naciskiem — że zaścianek zawalicki nasz?...

— Z kretešem!

— A wy, Pańku Sołowiju — rzekł do siwowłosego towarzysza Iwana Chudoby, przysiężnego z Kniłowa — wasza gromada zaczyna coś miarkować...

— Ja ręczę za nią, że będzie miała rozum — odparł zapytany. — Wiecie, ta bajka, coście to opowiadali ostatnim razem w karczmie, wszystkim pozawracała głowy.¹

— Jużto bogdaj was licho wzięło, kumie Dmytrze — podchwycił wesoło Szczeczuga — jakeście to ostatnią razą podpiszy sobie niby w karczmie, zaczęli drwić i szydzić ze szlachty, że stare szerpentyny² poprzera biali na noże do sprawiania wieprzów, jakeście zaczęli dowodzić, że szlachcic bez szabli i broni wygląda jak szewc bez szydła, a kowal bez młota, toć przebóg żywy tak sobie wzięli do serca panowie bracia, że każdy ściągnął się do ostatniego i jaką taką szablina albo fuzyjkę wytrymarczył na pierwszym jarmarku.

Maziarz uśmiechnął się zlekka.

— Wasze miasteczko, panie Jędrzeju — rzekł zwrócony do garbarza — walne jak zawsze?

— Można się śmiało spuścić na nie!

Maziarz pochylił głowę na piersi, a po chwili podniósł się z swego siedzenia.

— Nie mam wam już nic więcej powiedzieć... Pamiętajcie tylko na waszą przysięgę... — rzekł z silnym naciskiem — i postępujcie ściśle tak, jak wam zaleciłem, a dalszych rozkazów czekajcie odemnie.

— A wyż znowu odjeżdżacie? — zapytał Szczeczuga.

¹ bajkę tę miał istotnie, jak wyżej, opowiedzieć gromadzie w karczmie ryczychowskiej, ale przeszkodziło mu/wówczas wejście Katyliny, — następnie nie znajdujemy o niej żadnej wzmianki.

² krzywa szabla polska.

- Odjadę przed świtem.
- Ale na czas powróćcie? — wtrącił Sołowij.
- Bez wątpienia.
- Pozostaje nam się tylko pożegnać.
- Zaraz — zawołał maziarz żywo — Kost'iu, podaj mi

pieniądze.

Kost' wyszedł do drugiej izby, a za chwilę powrócił z czterema sporymi workami w ręku.

— Oto macie — rzekł maziarz — w każdym jest po 500 złr. cwancygierami. Uważajcie baczenie, aby zawsze dopiąć celu, a nie zwrócić uwagi... A teraz bywajcie zdrowi, wychodźcie po jednemu i zaraz z gościńca rozpierzchnijcie się na wszystkie strony.

I to mówiąc, chwycił zaraz najbliższego Szczeczugę za szyję, a potem uściskał i ucałował wszystkich kolejno.

Kost' wyszedł na dwór, aby psom nakazać milczenie. W kilka chwil maziarz sam już pozostał w chacie. Usiadł na powrót na ławę i wsparł głowę na ramieniu. Widocznie dumiał i rozmyślał nad czemś głęboko.

Wtem na nowo rozwarły się drzwi wchodowe, a pan Dominik Szczeczuga wrócił z drogi. Wyglądał cokolwiek zakłopotany i niepewny siebie, ale nagle jakby przemocą nabierając odwagi, przysunął się bliżej do maziarza i rzekł cicho i tajemniczo:

— Nie gniewajcie się, Dmytrze, ale nie mogłem odejść, nie zapytawszy się was w jednej jeszcze rzeczy.

— Wiecie przecie, panie Dominiku, że rad odpowiadam na każde zapytanie.

Pan Dominik musnął wąs i mrużąc oczy napoły dowcipnie, napoły domyślnie, zapytał po krótkiej chwili:

— Kto wy jesteście, Dmytrze?

Na wyrazistej, napozór wszelkim wrażeniom nieprzystępnej twarzy maziarza, poznać było lekkie pomieszanie.

— Nie rozumiem was, panie Dominiku.

Pan Dominik podniósł palec do góry i pokiwał figlarnie maziarzowi.

— Wyście nie prosty chłop, Dmytrze?

Dmytro zlekka ściągnął brew.

— Niech mię piorun trzaśnie — ciągnął dalej — ale wyście szlachcic, Dmytrze!

Maziarz nie mógł lekkiego przytłumić uśmiechu.

— Być może — szepnął.

— Szlachcic! — krzyknął pan Szczeczuga z całego gardła i poskoczył w górę, jakby mu o połowę ubyło lat i ciężaru.

— Pst... — upomniął maziarz i zmarszczył brwi.

— Jakże *honor*¹ pański? — podchwytywał prędko stary szlachcic, kładąc silny nacisk na ostatnie szczególnie słowo.

Maziarz niechętnie wzruszył ramionami i odpowiedział dopiero po krótkiej chwili:

— Przypomnijcie sobie, że kiedym zwierzał się wam po raz pierwszy, powiedziałem wyraźnie, że odpowiem na wszystkie zapytania co do rzeczy, na żadne, co do osoby. Daliście słowo szlacheckie, że zastosujecie się do moich wymagań.

— Prawda! — odpowiedział stary szlachcic i głowę z powagą pochylił na piersi. — Jużem cicho! Sza... pst, ani słowa! Ale szlachcic, szlachcic, niech mię piorun trzaśnie! Ho, ho... Człek ma instynkt szlachecki!

I z prawdziwym uniesieniem rzucił się na szyję maziarza i uradowany, jakby go kto na sto koni wsadził, wybiegł z chaty.

W kilka chwil po nim wrócił Kost' Bulij. Maziarz siedział napowrót pogrążony w myślach nad stołem. Kost' usunął się w kąt i z pewną religijną czcią spoglądał na swego gościa.

Po chwili maziarz podniósł głowę w górę.

— Jesteś już, Kost'iu!

Kost' wyprężył się jak żołnierz w szeregu.

— Jestem, kumie! — odpowiedział.

— Z Oparek nie dowiedziałeś się nic nowego?...

— Wiem tylko, że pan jeździł wczoraj do Orkizowa.

— A ciągle jesteś przekonany, że wówczas umyślnie podjechał pod parkan ogrodowy?

— Przysięgałbym na to, kumie.

- I widział ją?
 - Jak ona jego!
 - A ten obcy przybłąda bawi ciągle we dworze?
 - Ciągle i rozgospodarował się nawet na piękne.
 - To źle — mruknął zcicha maziarz.
 - Musisz się widzieć z nim, Kostiu.
 - Z tym przybłądą?
 - Nie, z nim samym.
 - Dobrze, kumie.
 - Powiesz mu wyraźnie, że nie szanować woli swego nieboszczyka dobrodzieja nie zgadza się poprostu z honorem i sumieniem uczciwego człowieka.
 - Uczynię jak każesz.
 - Naprzód jednak z pierwszym brzaskiem dnia odwiedz ją napowrót.
 - Mówiłeś mi już to, kumie.
 - A teraz pójdz i przyładuj mój wóz do podróży.
- Kost' wyszedł w milczeniu.

Maziarz kilka razy przeszedł się po izbie. Potem przystąpił do przybitej do ściany półki, wziął małą lojową świecę do rąk i zcicha na palcach wszedł do drugiej izby. Stamtąd małe drzwiczki prowadziły na lewo. Maziarz odchylił je zcicha i wszedł do trzeciej wąskiej i ciemnej izby, urządzonej jednak o wiele wytworniej niż reszta domu.

Maziarz cichutko przysunął się do jednego kąta, gdzie wyzierało łóżko z białem jak śnieg posłaniem. Dopiero bliżej przysuwając świecę, można było wśród śnieżnej bieli rozróżnić bielszą jeszcze niemal postać kobiecą. Leżała lekko osłonięta, w głębokim pogrążona śnie. Gdyby nie łagodny oddech, który z różanych powiewając ust kołysał cokolwiek rozpuszczone po obnażonej piersi pukle włosów, trudno by przyszło uwierzyć, że postać ta należy do istoty żyjącej. Wyglądała raczej na jakieś uciósane z marmuru arcydzieło mistrza, w tak cudowną harmonję spływały jej rysy, tak idealnie szlachetnym wyrazem tchnęła cała fizjognomja.

Maziarz kilka chwil z niemym upodobaniem przyglądał się uśpionej dziewczycy, a na surowej, energicznej twarzy jego

dziwne wybiło się rozczulenie. Zdawało się, że drżał cokolwiek i, że lzy nagwałt cisnęły mu się do oczu.

Nagle wstrząsł się, westchnął z głębi piersi i przychyliwszy się bliżej, złożył lekki, acz gorący pocałunek na czole dziewczęcia.

Śpiąca uśmiechnęła się we śnie, jakgdyby ją właśnie w tej chwili jakieś przyjemne ludziło widzenie.

Maziarz, obzierając się jeszcze raz jeden i drugi ku łóżku, powrócił do pierwszej izby.

Kost' Bulij czekał już gotowy na dalsze rozkazy.

— Zaprzągleś?

— Wóz stoi już za bramą.

Maziarz uderzył się po sporym trzosie, który go opasywał, jakby się go obawiał zgubić lub zapomnieć.

— Pójdźmy więc — rzekł, rzucając tęskne spojrzenie ku drzwiom drugiej izby.

Obadwaj opuścili chatę i wyszli na gościniec. Maziarz u bramy popieścił się naprędce z brytanami, które wszelkimi starały mu się przymilić sposobami, a potem jeszcze raz obczekał się za siebie, a po chwili stał już przy swym wózku jednokonnym.

— I kiedyż was się znowu spodziewać, kumie? — zapytał Kost' nieśmiało.

— Sam nie wiem jak mi wypadnie... A zresztą — dodał z rezygnacją, wzruszając ramionami, — któż wie, co się ze mną stać może.

Kost' wzdrygnął się.

— Nie zechcecie przecie nie widzieć jej więcej? — wyszepnęła jakby z wyrzutem.

Kum Dmytro westchnął.

— Na wszystko się przygotowałem — mruknął po chwili.

— Gdyby się wam jednak co złego przytrafiło, od kogóż się dowiemy?

— Od księdza Wikowskiego.

— A gdyby?... — wyszepnęła ledwie zrozumiałe stary kozak i głowę z jakąś tajemną pochylił na piersi, nie kończąc zapytania.

— W takim razie wiesz już, jak sobie postąpić — odpowiedział maziarz z stanowczym naciskiem.

— Nie zmieniacie w niczem waszej woli?

— W niczem zgoła.

Kost' chwycił go za kolana.

— A więc bywajcie zdrowi, niech was Bóg prowadzi — wyszepnął z głębokiem wzruszeniem.

— Bądź zdrów, Kostiu — odpowiedział maziarz wzruszonym głosem i wyciągnął dłoń na pożegnanie.

Kost' z uczuciem i uszanowaniem ucałował podaną rękę, a potem prędko obrócił się na bok, jakby swe gwałtowne chciał ukryć rozrzewnienie.

Maziarz wskoczył na swój wózek i chwycił za batóg.

— Wracaj do chaty i pamiętaj dobrze o każdym poleceniu twego nieboszczyka starościca — zawołał jeszcze półgłosem na Kost'ia i zaczął konia.

— Mego nieboszczyka starościca! — wyszepnął stary kozak mechanicznie i w ciężkiem zamyśleniu pokiwał głową.

Wózek maziarza potoczył się tymczasem raźnie ku zakrętowi ulicy, który na publiczny prowadził gościniec.

Kost' długo stał nieruchomy na miejscu i patrzył przed siebie, aż zupełnie ogłuchł turkot wozu.

Potem powoli obrócił się ku bramie swej zagrody i znowu przystanął i w głębokie zapadł zamyślenie.

— Jak się to wszystko skończy?! — szepnął po chwili i oczy wzniosł zwolna ku ponurym murom opuszczonego dworu.

Nagle drgnął cały i wydał wykrzyk przestachu czy zdziwienia.

Z narożnych okien prawego skrzydła pałacu biło jasne na zewnątrz światło!

Kost' stanął na chwilę jak wryty i przetarł skwapliwie oczy.

Narożny pokój był widocznie oświetlony.

— Ho! — wykrzyknął stary kozak i pięścią uderzył się w czoło.

— W pokoju nieboszczyka starosty! — mruknął ciszej po chwili i wzdrygnął się cały.

Nagle uderzył ręką po pęku kluczków, który zawsze wisiał u jego pasa i co tchu popędził ku małej furtce, która z przeciwnej strony jego podwórza prowadziła do ogrodu.

Furtka była otwarta naściężaj.

Kost' cofnął się wtył i znowu ręką uderzył się w czoło.

— Co to znaczy? — mruknął przez zęby.

Nie wahając się długo, wpadł do ogrodu, lecz zaledwie w kilku susach przebiegł szpalerową ulicę, co zamykała mu widok, zatrzymał się nagle na miejscu, bo w tej chwili zdało mu się, że skrzypnęły drzwi wchodowe od dworu i jakiś śnieżny cień wsunął się do środka.

Chwilkę stał jak wryty, ale wnet opamiętał się, jakby mu jakaś nagła myśl strzelila do głowy.

— Aha! — mruknął przez zęby.

Ale podnosząc jednocześnie oczy do góry, do oświeconych okien dworu, ściągnął brwi i co tchu poskoczył ku nieprzymkniętym drzwiom wchodowym...

XI

DAMAZY CZORGUT NA NOWEM STANOWISKU

Choćbyśmy mieli zniechęcić sobie na zawsze którąś z ciekawszych naszych czytelniczek, nie możemy tuż zaraz w ślad za starym klucznikiem pospieszyć do wnętrza zakłętego dworu. Co gorsza, wzgląd na artystyczny układ naszej powieści każe nam cokolwiek wstecz cofnąć się z toku wypadków i przenieść na chwilę scenę działania pod dach znanego nam dworu w Oparkach.

Nasz dobry znajomy, pan Damazy Czorgut, lubo dopiero dzień jeden bawi w gościnie u swego świeżo odszukanego przyjaciela, zmienił się do niepoznania w całej swej postaci i oswoił się już zupełnie z swem nowem położeniem. Lichy i obszarpany ubiór wczorajszy zastąpiły wytworne suknie Juljusza, które, acz na zupełnie inną skrojoną miarę, musiały przecież jakotako zastosować się do figury nowego właściciela.

Były laik,¹ a onegdajszы żołnierz, widzi się jak mówi, po raz pierwszy od lat kilku «w futerale porządnego człowieka».

Wszakże z przybraniem przyzwoitszego stroju nie przybył mu bynajmniej przyzwoitszy wyraz fizjognomji, skromniejszy układ w obejściu. Ten sam co zawsze drwiący, zuchwały, wyzywający uśmiech igra mu na ustach, ta sama aż w bezczelność wpadająca pewność i swoboda przebija się w każdym ruchu i spojrzeniu.

Juljusz nie powrócił jeszcze z swej wizyty do Orkizowa, a pan Damazy siedzi najwygodniej rozparty na sofce w jego pokoju. Trzyma jakąś książkę w ręku, ale nie zdaje się czytać w tej chwili. Pociąga sporymi kłębami dym z wonnego cygara i w jakieś niezwykle zapadł zamyślenie.

— Czort wie, — mruknął po chwili półgłosem — jakie ja tu mam zajmować stanowisko. Jużci prostym pieczeniarem być nie mogę, muszę koniecznie poddać się jakimś obowiązkom. Ale jakim? w tem sęk?!... — Jak mię naprzykład mają tytułować tacy Gągolewscy, Girgilewicz?... Na wszelki wypadek muszę stać się użytecznym Gracchusowi... Najpierw zbadać tajemnicę tego zakłętego dworu, a powtóre będę mu pomocnym w jego reformatorskich staraniach...

Ten zeicha prowadzony monolog przerwało nagle wejście Filipa lokaja, który na palcach wsunął się do pokoju i z jakąś nietajoną trwogą uklonił się Katylinie.

— Czego chcesz? — zapytał pan Damazy surowo.

— Pan sędzia przyjechał w jakimś ważnym interesie do pana...

— Do mnie?

— Nie, do naszego pana...

— Więc cóż?

— Nie wiem czy mu kazać zaczekać, czy prosić na inny raz.

— Zawołaj go tu, błźnie — huknął pan Damazy po żołniersku i książkę odłożył na bok.

¹ laik — braciszek świecki w klasztorze, który jeszcze nie złożył ślubów zakonnych.

Za chwilę cichym, lisim krokiem wsunął się nasz prze-
zaczny mandatarjusz, pan Bonifacy Gągolewski.

Katyliną z swego siedzenia wyciągnął rękę i zawołał z impertynencką poufalością:

— Jak się pan masz, panie na Gągolach Gągolewski!

Mandatarjusz uklonił się nisko, i tylko zpodółba lypnął na swego niedawnego gościa. Spostrzegając zaś tak nagłą zmianę w całej jego postaci, przygryzł zlekka wargę i skwapliwie pochwylił za wyciągniętą ku sobie dłoń.

— Jak się ma magnifika i szanowny pan Chochelka? — pytał dalej Katyliną z drwiącym naciskiem.

Pan mandatarjusz zamiast odpowiedzi jeszcze raz uklonił się uniżenie i znowu zpodółba zerknął na mówiącego.

— A co tam pan powiesz nowego? — zagadywał dalej Katyliną tonem z pańska lekceważącym.

— Przybyłem w ważnym interesie do samego pana — odpowiedział mandatarjusz z ważną i tajemniczą miną.

— Zastajesz mnie w jego miejscu, łaskawco.

Pan Gągolewski zawahał się i jakby z niesmakiem poprawił czuprynę.

— Przybywam z pewnym sekretem...

— Fiufiu! — zagwizdał przez zęby Katyliną.

Mandatarjusz ściągnął brwi i mocniej przygryzł wargi.

— I cóż to tedy za sekret, mój dobrodzieju? — zapytał drwiąco Katyliną, dmąc mu prosto w nos spory kłęb dymu.

Pan mandatarjusz nadał się do większej powagi i uroczystości...

— Jest to rzecz bardzo delikatna...

— A więc?

Mandatarjusz zmieszał i zakłopotał się widocznie.

— Chciałbym pomówić o niej z samym panem — mruknął niezupełnie pewnym językiem.

Katyliną rzucił się gwałtownie w swem siedzeniu i surowo schmurzył czoło.

— A cóż to! pan mię masz za szpiega? — zagrzmiął piorunującym głosem. <https://rcin.org.pl>

Pan mandatarjusz aż o krok wtył cofnął się z przestachu.

— Uchowaj Boże — zawołał co żywo.

— A zatem, widząc we mnie poufnego przyjaciela swego jurysdatora,¹ nie wiem dlaczego tak tajemnicze stroisz miny.

Pan mandatarjusz mało nie do krwi ukąsił się w język.

— A to jakiś szubiennik pierwszego rzędu, — pomyślał w duchu — ale niebezpiecznie go sobie zrażać!

Katyliną tymczasem napół położył się na sofce, jakgdyby się do tem wygodniejszego przysposabiał posłuchania i zawołał peremptorycznie:²

— Słucham pana!...

Mandatarjusz wzruszył ramionami z desperacką miną człowieka, który samocząc w przykre wwikłał się położenie.

— Zdradzam tajemnicę urzędową — mruknął jeszcze jakby na ostatnią wymówkę.

Katyliną wzgardliwie tylko machnął ręką.

— A to jakiś łotr nad łotrami!... — pomyślał mandatarjusz, zaciskając zęby.

Ale z tem wszystkiem nie śmiał już sprzeciwiać się dłużej. Przyjaciel dziedzica imponował mu więcej, niż sam dziedzic.

— Przedewszystkiem jednak proszę o jak największy sekret pod słowem honoru — ozwał się jeszcze zamiast wstępnej przedmowy.

Katyliną ruszył sobą niecierpliwie.

— Kaduczny z ciebie nudziarz, panie Gągolewski — mruknął niechętnie.

— Ależ powiadam panu, zdradzam tajemnicę urzędową...

— Wielkie rzeczy!

— Ryzykuję mój dekret...

— Dajże pan pokój, czy jedno to już w swoim życiu ryzykowałeś! — odciął Katyliną z nowem wzgardliwem poruszeniem ramion.

Mandatarjusz aż do krwi ugryzł się w wargi, kułak zacisnął jak mógł najsilniej, a w duchu pomyślał:

— Poczekaj, oczajduszo, żebyś ty się raz dostał w moje ręce, powąchałbyś djable pismo nosem.

<https://rein.org.pl>

¹ mocodawca.

² stanowczo.

Katyliną nie uważał bynajmniej na nieme ruchy mandatarjusza, ale jakby przeczuł jego tajemny monolog, rzucił z takim impetem niedopalone cygaro wprost przed siebie, że zapyrzony mandatarjusz z wielką tylko biedą nos swój uchronił od szwanku.

Katyliną parsknął rubasznym śmiechem.

— Przepraszam pana — rzekł od niechcenia. — Ale czemuż pan nie siadasz i nie zaczynasz nareszcie?...

Pan mandatarjusz w złym humorze usiadł na pobliski fotel, krząknął, kaszlnął i potężnie zatrąbił nosem.

— Musisz pan wiedzieć, — rzekł, zniżając głos do najcichszego szeptu — że jak żaden mandatarjusz posiadam względy i zachowanie¹ starosty cyrkularnego...

Katyliną zrobił gest, którego trudno było odgadnąć znaczenie.

Mandatarjusz niezrażony ciągnął dalej:

— Otóż czasami, w pewnych szczególnych wypadkach, otrzymuję poufne zlecenia, *ad personam*.²

— Hm, hm — mruknął Katyliną.

Mandatarjusz uśmiechnął się przebiegle i przymrużył jedno oko.

— Aby jako tako utrzymać się na nogach, potrzeba być jak piskorz, panie dobrodzieju.

— Bez morałów, *ad rem*³ — upominał Katyliną.

— Otóż uważa pan dobrodziej, wczoraj był u mnie landsdragon Kraxelhuber i przywiózł mi dwa mandaty. W jednym szczególniejsze daje mi cyrkuł zlecenie...

— Każę panu może napisać rozprawę, jak się najzręczniejsz dziera chłopów! — przerwał Katyliną z rubasznym śmiechem.

Mandatarjusz zachnął się urażony.

— Czy pan to do mnie stosuje? — zapytał.

Katyliną wzruszył ramionami.

— At — mruknął niedbale — *exempla sunt odiosa!*⁴

¹ poszanowanie.

² osobiste.

³ do rzeczy.

⁴ przykłady są niechętnie widziane.

Mandatarjusz zadowolnił się tą odpowiedzią, choć jak w rogu nie pojmował jej znaczenia.

— Wyobraź sobie pan dobrodziej — zaczął po chwili, przewyciężając po chwili swój kwaśny humor, — historie o zaklętym dworze doniosły się do wiedzy cyrkulu.

— Ah — mruknął Katylina.

Mandatarjusz dla większej powagi brwi podciągnął do góry i palec wygiął naprzód.

— Landsdragon Kraxelhuber przywiózł mi nakaz, abym w przeciągu trzech dni przedłożył panu komisarzowi obszernie i szczegółowe sprawozdanie, skąd właściwie powstały te dziwaczne wieści, jakie lud prosty przywiązuje do nich znaczenie i jakie jest moje własne o tem wszystkiem zdanie.

Katylina zamyślił się i zmarszczył czoło.

— Pan tedy przyjechałeś? — zapytał po chwili.

— Porozumieć się z dziedzicem, jak się najlepiej wywiązać z tego zadania — dokończył mandatarjusz z pewnym patetycznym naciskiem.

Katylina w zamyśleniu zabębnił sobie po stole.

— Nie troszcz się pan o to — przemówił po krótkiej pauzie — ja pana zastąpię w tej mierze...

— Jakto? — zapytał mandatarjusz, niezmiernie wybałuszając oczy.

— Wypracuję za pana całe to sprawozdanie.

— Za mnie?

— Pan tylko podpiszesz.

Pan mandatarjusz znowu brwi podsunął w górę.

— Ja podlegam cyrkulowi — mruknął jakby demonstrując.¹

— Pan pobierasz płacę od dziedzica — odciął krótko Czorgut.

— Cyrkul może mi dać nosa, może...

Katylina parsknął głośnym śmiechem.

— Dziedzic może pana napędzić na cztery wiatry, nim

¹ protestując.

jeszcze będziesz miał czas namyśleć się nad sprawozdaniem — odpowiedział z impertynencką stanowczością.

Mandatarjusz nabiegł krwią na twarzy, ale cały swój gniew i przestrach zawarł tylko w silne ściśnięcie zębów i w ukośne jadowite spojrzenie.

Katyliną nie zważał na to bynajmniej.

— Skończyliśmy w tej materji — zdecydował stanowczo — poczekasz pan chwilę, ja panu prędko wypracuję całe podanie. Ale teraz masz mi pan jeszcze coś powiedzieć.

— Jeszcze coś?

— Otrzymałeś przecie dwa poufne zlecenia.

Mandatarjusz poruszył się niespokojnie na miejscu.

— To drugie jest jeszcze delikatniejszej natury... — mruknął, ocierając czoło, które zaczynało pocić się niepospolicie.

— Tem lepiej — odparł Katyliną krótko.

Mandatarjusz zakrztusił się, jakby przelękając ślinę na jakąś gwałtowną natrafił zaporę.

— Niema rady z tym oczajduszą — szepnął zcicha.

— A więc? — nacierał tymczasem Katyliną.

Mandatarjusz pochylił głowę z rezygnacją.

— Drugi mandat jeszcze ważniejszy i sekretniejszy — przemówił po chwili z uroczystą miną — nakazuje wielką baczność i gorliwość w przestrzeganiu przepisów policyjnych. Powzięto wiadomość, że niepoprawne nigdy stronnictwo, *unverbesserliche Partei*¹ — pomógł sobie po niemiecku — gotuje nowe dla kraju klęski.

— Oho! — mruknął Katyliną, z wielkiem przysłuchując się zajęciem.

Mandatarjusz zniżył głos, podciągnął brwi aż pod samą czuprynę, jeden palec wyciągnął w równej linii z nosem i powiedział dalek poważnie i tajemniczo:

— Emissarjusze mają kręcić się po całym kraju.

Katyliną zagwizdał zcicha przez zęby.

— Starają się wszędzie pozyskiwać chłopów, kaptować² obywateli, księży i urzędników prywatnych.

¹ niepoprawna partja czyli powstańcza.

² zyskiwać.

Tu urwał nagle czcigodny mandatarjusz i zpośledba zerknął na Katylinę. I tej samej chwili jakieś szczególniejsze powstało w nim podejrzenie.

— Ej, — szepnął zcicha — czy też ten wisus nie jest jednym z takich ptaszków!

Katylinę zniecierpliwiła nagle przerwa.

— Cóż dalej? — zapytał prędko.

— Ufając w zdrowy rozsądek, wierność i lojalność wszystkich zacniejszych mieszkańców, niewiele lękamy się tych nowych zbrodniczych machinacyj...

— Nowych zbrodniczych machinacyj... — powtórzył Katyliną z szczególnym naciskiem.

— Ale — zaczął znowu mandatarjusz.

— Ale?

— Mogliby się łatwo znaleźć ludzie niedoświadczonej głowy lub przewrotnego usposobienia, na których podobne zręczne, acz niegodne, poduszczenia potrafiłyby zgubny wywrzeć wpływ...

— A zatem? — poderwał Katyliną niecierpliwie.

— Nakazano czuwać pilnie wszystkim władzom bezpieczeństwa, aby w razie pojawienia się jakiego emissarjusza w okolicy... takowego — ciągnął urzędowym stylem.

— Takowego... — podchwycił Katyliną z szyderczym naciskiem.

— Schwytać i niezwłocznie odstawić do władzy.

— Nie żarty! — mruknął Katyliną, nie zmieniając tonu.

Mandatarjusz głowę pochylił do piersi.

— Smutno — szepnął.

Katyliną wpadł w jakieś nagle zamyślenie.

— I pocóż pan z tym drugim mandatem przybyłeś do Juljusza? — zapytał mandatarjusza, bystro patrząc mu w oczy.

Pan Gągolewski rzucił głową wtył z zdziwioną miną.

— Chciałem go się poradzić... — mruknął.

— Jakto poradzić?

Mandatarjusz z niesmakiem głową pokręcił na bok.

— Nie wiem jak działać w takich razach... to jest jak

sobie postępować... właściwie jakie jest zdanie polityczne pana Juljusza — plół bez związku i sensu.

Czorgut zachnął się niecierpliwie.

— Czy pan chcesz udawać łotra, czy durnia, panie Gągolewski? — zapytał swym zwykłym wyzywającym, bezwzględny tonem.

Pan mandatarjusz jakby cały skapał się w ukropie.

— Panie dobrodzieju... — zawołał, podnosząc się z krzesła. Katyliną nie patrząc na niego wcale.

— Albo może panu niedość na jednym albo drugim i chcesz być obojem naraz?...

— Ależ panie łaskawyl... — zawołał mandatarjusz w walce między oburzeniem a podłą uległością.

— Idźże pan do stu djabłów! — przerwał Katyliną tym samym tonem. — Któryż człowiek, co nie łotr ani dureń, potrzebuje rady w podobnych sprawach! Robi jak mu własne sumienie każe i kwita.

Mandatarjusz ściągnął prędko brwi.

W swej przebiegłości pojął odrazu znaczenie impertynenckich słów Katyliny. Przytłumił w sobie gwałtownie kipiącą złość i niezręcznie do obłęsnego zmuszając się śmiechu, odpowiedział z źle udaną spokojnością:

— Pan mnie nie rozumiesz... Wiemci ja dobrze, co się zgadza z sumieniem i honorem... ale właściwie co innego miałem na myśli.

— I cóż takiego? — zapytał wzgardliwie Katyliną.

Mandatarjusz do jakiegoś nagłego przynaglił się postanowienia.

— Chciałem tylko tym sposobem dać delikatnie do zrozumienia, czy nie zagraża panu samemu jakie niebezpieczeństwo.

Katyliną parsknął głośnym śmiechem.

— Jeśli panu o to chodzi, to napisz śmiało w swojej relacji, że nie znasz w swoim dominjum żadnego podejrzanego człowieka, chyba Damazego Czorguta, abszytowanego żołnierza z pułku hrabi Hartmana.

Mandatarjusz uklonił się w milczeniu.

— A teraz poczekaj pan — ciągnął Katyliną dalej — napisze panu prędko odpowiedź na pierwszy mandat cyrkularny.

I siadając prędko przy biurku Juljusza, zaczął pisać coś z niesłychanym pośpiechem.

Mandatarjusz pilnie przypatrywał mu się z boku, a wzruszając ramionami z politowaniem, mruknął przez zęby:

— Ten urwisz myśli, że to tak łatwo skoncypować¹ doniesienie do cyrkulu!...

Jużto każdy mandatarjusz miał się za najzdatniejszą głowę pod słońcem i utrzymywał głośno i bezwzględnie, że dobry koncept urzędowy «to panie nielada poezja, powieść albo dykteryjka!»

Katyliną w kilkanaście minut skończył swój wyrób.

— Odczytaj pan — rzekł, podając go mokry jeszcze mandatarjuszowi.

Pan Gągolewski zaczął czytać, a im dalej szedł oczyma, w tem większe jakieś wpadał zdumienie.

— Niech go wszyscy djabli wezmą! — ten urwisz musi być koniecznie mandatarjuszem. Fiufiu! jaki koncept, żaden wyższy urzędnik cyrkularny nie mógłby się go powstydić.

Wyższy urzędnik cyrkularny tworzył w wyobrazeniach mandatarjusza najwyższą potęgę umysłowych zdolności.

— Skończyliśmy z sobą na dzisiaj — ozwał się Katyliną. Mandatarjusz powstał z ukłonem.

Czorgut przystąpił bliżej do niego i położył mu rękę na ramieniu.

— Panie Gągolewski — rzekł mu poufale — bądźmy przyjaciółmi. Przedewszystkiem jednak nie zapominaj pan, że ja teraz działam za Juljusza, a ze mną trochę trudniejsza sprawa niż z moim rozmarzonym zawsze przyjacielem. Do widzenia, panie Gągolewski, sługa pana uniżony. Jeszcze raz mówię panu, bądźmy przyjaciółmi i dogadzajmy jeden drugiemu, bo jak się poważnimy, to dalibóg za ciasno będzie jednemu z nas!

Mandatarjusz jakieś niezrozumiałe bełkotał słowa, kła-

<https://rcin.org.pl>

¹ ułożyć.

niał się bezustannie i wyszedł z pokoju, zbity z terminu jak nigdy.

— To lotr nad lotrami! okropnie niebezpieczne indywiduum! — mruczał w drugim pokoju. — Powiedziałem zaraz, że trzeba się mieć na ostrożności!

Katyliną tymczasem rozparł się napowrót na sofce i wesoło zatarł ręce.

— Zacząłem dzisiaj pierwszą funkcję, a czuję, że się djabło stanę dogodnym Juljuszowi.

— Czy można? — ozwał się w tej chwili głos z drugiego pokoju i pojawiły się we drzwiach nastrzępione wąsy i czerwona facjata ekonoma Girgilewicza.

— Ho, ho — mruknął Katyliną — otóż i drugi z kolei.

— Proszę — zawołał głośno.

Czcigodny ekonom buczalskiego klucza wszedł do pokoju nieśmiało i niezgrabnie, i z rozdziawioną gębą obejrzał się zwykłym swym łakomym wzrokiem dokoła. Widząc tak wielką zmianę w powierzchowności niedawnego obdartusa, więcej jeszcze rozdziawił gębę, wybałuszył oczy i uklonił się jak mógł najniżej.

— Ah, pan Girgilewicz — zawołał wesoło Katyliną — witamy, witamy.

— Całuję stopy pana rządcy dobrodzieja.

Ekonomskim swym instynktem pan Girgilewicz znalazł już i odpowiedni tytuł dla przyjaciela dziedzica.

— Nie zastałem jasnego pana — przemówił po chwili.

Pan Girgilewicz tytułował Juljusza ciągle *jasnym panem*, choć ten wszelkiemi siłami bronił się przeciw temu przydomkowi.

— Byłby to przecie despekt¹ dla mnie — mawiał stary ekonom — abym służył u dziedzica, który nie jest jaśnie wielmożnym!

— Z czemże pan przybywasz? — zapytał Katyliną.

— Z raportem tygodniowym.

Katyliną wziął do ręki podany papier i nie rzuciwszy nawet okiem, położył na boku.

Girgilewicz nadał się i napuszył na taki dowód zaufania.

— Niech pan siada, panie Girgilewicz — mruknął Katyliną niedbale, zapalając sobie nowe cygaro.

Girgilewicz usiadł na sam róg fotelu.

Katyliną wypuścił spory kłęb dymu i zapytał jakby od niechcienia:

— Ile też mniej więcej niesie rocznie folwark buczalski?

— Jak do roku, panie dobrodzieju.

— Ale tak, mówię, mniej więcej, przeciętnie?...

Pan Girgilewicz z arcyważną miną potarł się po czole.

— Tak niby przy dzisiejszych cenach trzy tysiące, *taj tylko* — odsapał po chwili.

— To źle — szepnął Katyliną.

— Źle? — wycedził Girgilewicz, prawdziwie pe ekonomsku wytrzeszczając oczy.

— Musi być więcej! — mruknął Katyliną stanowczo.

— Jakto więcej?

— Mówię, że na przyszłość musi być więcej.

— Dałby Pan Bóg.

Katyliną cały prawie schował się w gęstej chmurze dymu.

— To będzie więcej od pana zależało, niż od Boga.

Pan Girgilewicz na znak zapytania okropnie rozdziawił gębę.

— Krótko mówiąc, panie na Giergołach Girgilewiczu — ciągnął dalej Katyliną z zwykłą swą impertynencką poufałością — jeśli teraz czynią w przecięciu trzy tysiące, to na przyszłość muszą nieść cztery tysiące.

— Nie rozumiem pana dobrodzieja, *taj tylko* — wybąknął Girgilewicz.

— Aj rozumiesz, rozumiesz, łaskawco, tylko umyślnie udajesz głupca.

— Broń Boże, *taj tylko*.

— Nie udajesz? — podchwycił Katyliną złośliwie.

Pan Girgilewicz zaprzeczył z jak najdobitniejszą stanowczością.

Katyliną wzruszył ramionami.

— Ha, więc wy tłumaczę się panu wyraźniej — rzekł kategorycznie. — Jak pan nie postarasz się o podniesienie dochodów buczalskich, to kto inny podejmie się tej próby.

— *Taj tylko* — wybąknął Girgilewicz machinalnie.

Katyliną przystąpił bliżej ku niemu i rzekł mu z rubaszną poufalością:

— At, panie Girgilewiczu, my znamy się jak lyse konie...

Girgilewicz zgłupiał do reszty na ten zwrot niespodziewany.

— To jest... to... *taj tylko* — wybelkotał.

— Ho, ho — prawil Katyliną wesolo dalej — obadwaśmy, jak to mówią, szpakami karmieni.

Girgilewicz pocił się a pocił aż litość zbierała, a prócz swego nieszczęśliwego *taj tylko* jak na złość żadne inne słowo nie nasuwało mu się na język.

— Jestem pewny, pan mię pojmujesz, chodzi tu o to, aby albo podnieść dochody z Buczał, albo złożyć rachunki i ustąpić z posady.

Girgilewicz otarł pot z czoła i nic nie odpowiedział.

— No, przecieśmy się jakoś porozumieli — mruknął Katyliną odetchnąwszy. — A teraz do widzenia się, kochany panie Giergologirgilewiczu! — dodał, ściskając biedną swą ofiarę kordjalnie za rękę.

Pan Girgilewicz wyszedł skonfundowany i skonsternowany¹ i, podobnie jak mandatarjusz, dopiero w drugim pokoju wybuchnął przytłumionym gniewem:

— Łotr, oczajdusza na wielki kamień *taj tylko*.

Katyliną po wyjściu ekonoma powalił się znużony na sofkę i zacierając ręce, mruknął z zadowoleniem:

— Powiedziałem, że się przydam na coś memu Gracchusowi. On nigdy nie dalby sobie rady z tymi ludźmi. Ależ bierz cię licho, szesnaście folwarków, szesnastu ekonomów i z każdym zosobna pogadać mądre słówko! Ba, nie wszyscy znowu będą tacy Girgilewicze! — pocieszył się na ostatek.

<https://rcin.org.pl>

¹ zmieszany.

Śród tego turkot rozległ się na dziedzińcu. Gracchus powrócił z swych odwiedzin w Orkizowie.

XII

WYPRAWA NA STRACHA

Juljusz wrócił się do dworu w szczególnem usposobieniu. Całe znalezienie się hrabianki, chłodniejsze niż zazwyczaj przyjęcie hrabiego, a nareszcie i niedawna rozmowa z Olańczukiem, silne sprawiły na nim wrażenie.

Wszedł do swego pokoju chmurny i zamyślony i wstrząsł się cały, gdy go Damazy Czorgut głośnym i rubasznym powitał śmiechem.

— Cóż to ma znaczyć? — ofuknął się rozdrażniony.

Katyliną nie zrażał się bynajmniej w swej weselości.

— Widzę, że z nosem na kwintę wracasz z swej wizyty — odpowiedział z drwiącym naciskiem.

Juljusz zachnął się niecierpliwie. Katyliną głośniejszym jeszcze zahuczał śmiechem.

— Jesteś w siarczystym humorze, jak się zdaje. Byłeś tylko mnie nie chciał użyć za konduktora,¹ bo dalibóg nie mam u siebie żadnych metalicznych przymiotów.

Juljusz, nic nie mówiąc, rzucił się na pobliski fotel i na chwilę w głębokie zapadł zamyślenie.

Czorgut ironicznie pokiwał głową.

— Może chcesz być sam z swemi myślami? — zapytał po chwili, nie zmieniając tonu.

— Owszem, zostań — zawołał Juljusz żywo. — Może prędzej znajdziesz nic do tego kłębka, który napróżno pragnę odłamać.

— Ho, ho! cóż to się znowu stało?

Gracchus, jak mógł najlepiej, opowiedział wszystkie szcze-

góły swych odwiedzin w Orkizowie i następnej rozmowy z eks-
zołnierzem.

— Widzisz więc, że coś rzeczywiście dzieje się w tym
zaklętym dworze, a Eugenia bierze jakiś szczególny udział we
wszystkiem.

— Niestety z tą Eugenią — mruknął Katyliną szyder-
czo. — Jak dla ciebie, to podobno to najniebezpieczniejszy strach
pustego dworu.

— Ale powiadam ci, kiedy co do swego podobieństwa
z tem tajemniczem widziałem z tak osobliwszą odezwała się
uwagą, było w całej jej fizjonomji, w jej głosie, spojrzeniu
coś takiego...

— Coś takiego, coś takiego, z czego sobie nie możesz zdać
sprawę, choć na to patrzyłeś, a co ja sobie wyobrażam, choć
tego nie widziałem — przerwał Katyliną.

— Ciekawym, cóżby teraz powiedziała na zeznanie Ołań-
czuka, który także najwyraźniej widział kobiecą postać z ja-
snymi włosami!

— Dajmy pokój podobnym dowodom, czas już nam sa-
mym zabrać się do dzieła — przejął Katyliną stanowczo.

— Jakto, nam samym?

— Powiadam ci, że jak najprędzej musimy zbadać ta-
jemnicę zaklętego dworu.

— Ale jak?

— W tem moja rzecz.

Gracchus wzruszył głową.

— Zapominasz, że winienem święcie szanować ostatnią
wolę nieboszczyka...

— Nie mógłbyś zatem pozwolić, abym poprostu zrobił
inwazję¹ do samego dworu.

— W samej rzeczy. Nieboszczyk zabronił tego wyraźnym
punktem swego testamentu.

— Jeśli o to chodzi, to zaraz rozbiorę twoje sumienie.

— Wiesz, że nie lubię sofizmów.²

¹ najazd.

² fałszów z pozorami. prawdy.

— Bądź spokojny, bądź spokojny, nie myślę się do nich uciekać tym razem.

— Cóż mi tedy powiesz?

— Powiem ci tylko, że jeśli my prędko nie dotrzemy na dno tajemnicy, którą na wszelki wypadek dwór ten osłania, to niebawem odkryje ją kto inny.

— Któż taki?

— Cyrkuł, bratku.

— Cyrkuł!

Katylna opowiedział pokrótce całą swą rozmowę z mandatarjuszem.

— Odpowiedziałem wprawdzie w jego imieniu cyrkulowi, — kończył — że wszystkie te pogłoski należy policzyć do zwykłych wymysłów zabobonnego ludu, do luźnych klechd właściwych każdej okolicy, ale któż wie, czy cyrkul poprzestanie na tem tłumaczeniu. Może ześle komisję...

Gracchus zamyślił się głęboko.

— Urzędowe badania i odkrycia mogłyby łatwo w taki lub owaki sposób skompromitować tę piękną nimfę, która, jak się zdaje, musi dość często przebywać w opuszczonym dworze — powiedział dalej Katylna.

Gracchus gwałtownie porwał się z miejsca.

— Masz słusność! Potrzeba ją przestrzec jak najprędzej! — zawołał.

— Takie jest i moje zdanie.

— Pojadę jutro do Orkizowa...

Katylna z niesmakiem wzruszył głową.

— Ależ dotychczas nie masz pewności, że owa nimfa ogrodowa a hrabianka jest jedną i tą samą osobą.

— Przysięgłbym na to bez wahania.

Katylna krzknął z impetem i niezadowolony zmarszczył brwi.

— Jabył sobie zupełnie inaczej postąpił w tej sprawie — rzekł po chwili.

— Naprzykład.

— Ja poprostu zapołożyłbym na samą nimfę ogrodową i jej, a nikomu innemu, odsłoniłbym grożące niebezpieczeństwo.

— O nie, nie, to nie uchodzi! — wykrzyknął Juljusz.

Katyliną machnął niechętnie ręką i jakby znudzony wyciągnął się w fotelu.

— Nie uchodzi... — wycedził przez zęby.

— Znaczyłoby to chwytac za pierwszy lepszy pretekst, aby wbrew świętej woli nieboszczyka wdzierac się w jakąś obcą mi tajemnicę.

Katyliną wesołą zagwizdał arję.

— Niema z tobą co mówić — mruknął. — Przed chwilą łamałeś sobie głowę, aby sobie to i owo wytłumaczyć, a tuż zaraz...

— Nie pomyślałem i nie pomyślę nigdy o żadnych gwałtownych środkach.

Katyliną znowu machnął ręką i na chwilę zapadł w nie-me zamyślenie. Nagle wstał, wyciągnął się na obie strony i wysunął rękę do Juljusza.

— Dobranoc ci, Gracchusie.

— Jakto, idziesz spać w lecie o siódmej?

— Wiesz, że od długiego czasu mam dopiero drugą noc przespać wygodnie. Wędrując do ciebie, radziłem sobie jak mogłem.

Juljusz uśmiechnął się zlekka.

— A zatem do widzenia jutro, wstaniesz zato zapewne raczej odemnie.

— Być może — mruknął, ziewając.

Juljusz pozostał rozmarzony w pokoju. Czorgut poszedł wprost do swego mieszkania w oficynach i kazał sobie co tchu przywołać lokaja swego przyjaciela.

— Najlepiej działać na własną rękę — mruczał sam do siebie. — Ja tam niewiele troszczę się, czy co uchodzi, czy nie. Ale szkoda nocy. Teraz położę się spać — szepnął, zrzucając zarazem surdut — około północy każe się zbudzić i pójde za tropem tej nimfy tajemniczej.

W tej chwili wszedł śpiesznie lokaj, który od pierwszego poznania niesłychany miał respekt przed szczególnym przyjacielem swego pana.

— Słuchajno, Filipku — rzekł mu Katyliną z właściwym

sobie imponującym naciskiem. — Położę się spać, ale chcę wstać około północy. Przyjdiesz mnie zbudzić.

— Dobrze, panie.

— Ale przyniesiesz z sobą tę parę pistoletów, co wisi nad łóżkiem pana.

Filip okropnie wytrzeszczył oczy.

— Tylko, jeśli ci twój grzbiet miły — ciągnął dalej Katyliną, kładąc mu swą silną, ciężką rękę na ramieniu — to sprawisz się z tem wszystkim tak cicho i zręcznie, aby ani mucha nie wiedziała o niczem.

— Ale... jakto... proszę pana... te pistolety... — jękał się, sam nie wiedząc, co mówi.

— Te pistolety przyniesiesz, mówię — rzekł stanowczo, rzucając na zdziwionego i przestraszonego zarazem lokaja spojrzenie, które najmniejszego nie dozwalało oporu.

— Dobrze, panie — wybąknął Filip, nie wahając się już dłużej.

— Obadwa są nabite?

— Obadwa.

— Pamiętaj więc około północy i idź do diabła.

Lokaj wyszedł skonsternowany, ale zaraz za drzwiami cichy wytoczył monolog.

— Poco jemu pistoletów o północy! — mruczał, bijąc się w czoło — czy chce wyjść na jaki rabunek, czy chce sobie może w łeb wypalić? Dałby Pan Bóg, bo *het* popsuje mi pana, a dalibóg dobre panisko...

Katyliną położył się do łóżka, a za kwadrans spał jak zabity.

Kiedy już wszystko ucichło we dworze, Filip na palcach wsunął się do pokoju i wypełnił ściśle otrzymane zlecenie.

Katyliną, obudzony znienacka, porwał się na równe nogi i zaczął się skwapliwie ubierać.

— Dobrze, chłopcze, — rzekł wesoło, zacierając ręce — ale teraz pójdź i co tchu osiodłaj mi konia.

Filipowi jakaś radosna myśl przemknęła przez głowę.

— Pewnie chce ~~drapnąć~~ ^{złapać} w nogi Krzyżyk na drogę — pomyślał i co tchu pobiegł spełnić odebrany rozkaz, za który

żadna zresztą nie czekała go odpowiedzialność, bo sam Juljusz nakazał we wszystkim ulegać swemu przyjacielowi.

W kwadrans później pędził już Katylina wśród ciemnej nocy co koń wyskoczy ku Żwirowi.

Kiedy był na zakręcie drogi od Buczał, przystanął na chwilę i zamyślił się czegoś.

— Zdaje się, że najlepiej będzie zejść od ogrodu — mruknął półgłosem.

I jednocześnie skręcił konia na bok, przesadził szeroki rów i przez łąn zbożowy pomknął naprzelaj ku dworowi.

Tu zwolnił koniowi w biegu i nie troszcząc się wcale o niedalekie szczekanie psów, podjechał w zatyle mimo cierni i głogu pod sam parkan ogrodowy, konia przywiązał do wystającej na zewnątrz gałęzi drzewa, a potem jednym susem wskoczył na ostry grzbiet parkanu.

Chwilę chciał się tu utrzymać, ale nie znajdując żadnego oparcia, runął na drugą stronę. Na szczęście spadł na miękką murawę i prócz lekkiego otłuczenia żadnego nie poniósł szwanku.

Zebrał się prędko z ziemi i wierny swej naturze wybuchł półgłośnym śmiechem rubasznym.

— Proszę, żeby zamiast murawy znajdował się w tem miejscu pniak drzewa, powiedzianooby jutro, że mi nieboszczyk skręcił kark własnymi rękami! Lecz w tej chwili ma ważniejsze zadanie, niech przynajmniej powagą swą odstrasza złodziejów od mego konia.

Po tych słowach obejrzał się dokoła, jakby się chciał lepiej zorientować.

— Ogród oglądniemy sobie jutro zrana, teraz wprost ku dworowi — mruknął znowu półgłosem.

Noc była ciemna, kilka tylko gwiazdek z pod grubych, mglistych osłon blado zerkwały na ziemię, księżyc skąpym pięciem srebrnych promieni wychylał się z za chmury. W naturze panowała zupełna cisza. Najlżejszy wietrzyk nie kołysał drzewami, nie słychać było nigdzie nawet skrzekotania żab, tej najpospolitszej muzyki pogodnych nocy wiejskich.

Katyliną, gwiżdżąc zcicha przez zęby, podsunął się pod

samą tylną facjatę dworu. Podobnie jak od frontu, wznosił się i tutaj wspaniały ganek z balkonem, wokoło którego wiły się niegdyś bujne szczepy winogronowe.

Tu znowu Katyliną zatrzymał się na chwilkę.

— Zapomniałem najgłówniejszej rzeczy: wytrycha — szepnął — ale nic nie szkodzi, poradzimy sobie jakoś — pocieszał się, wstępując na marmurowe schody ganku.

Za pierwszym zaraz krokiem głucho ozwało się echo, łamiąc się gdzieś w najdalszych pokojach dworu.

Katylina mimowolnie wzdrygnął się zlekka.

— Nie mogłem sobie lepszej nocy wybrać do mej wyprawy! Ta cisza, ten spokój w naturze, hm, hm — dodał i zapominając się, zagwizdał głośniej.

Znowu głucho z wewnątrz odezwało się echo.

Katylina przestał gwizdać i przystąpił do drzwi wchodowych.

— Zamknięte oczywiście — mruknął próbując.

Zamyślił się na chwilkę, a potem szybko zeszedł z ganku i podsunął się pod okna o kilka kroków dalej.

— Zaraz sobie poradzimy — szepnął i pocisnął silnie szybę, która w tysiączne rozprysła się kawałki.

Wszakże nie tak łatwo przyszło mu odsunąć zardzewiałe rygle okien. Z wielką biedą odemknął zasuwkę u spodu, a nie-mało się namozolił i natrudził, nim i górną odchylił zaporę.

Nareszcie rozwarł całe okno i wskoczył do środka. Ponura ciemność osłaniała go dokoła, z tem wszystkiem mógł roz-znać, że znajduje się w umeblowanym pokoju.

Chwilę stał niemy i nieruchomy, jakby słuchał, czy gwałtowne jego wniście nie obudziło kogo w pustym dworze, potem półgłośnie parsknął śmiechem.

— Strachy nie ruszają się jakoś — mruknął zcicha. — Szkoda, bo mam wyborne na nich lekarstwo.

Tu sięgnął ręką do kieszeni i dobył jednocześnie pistolet i mały stoczek woskowy.

— Na strachy ziemskie: pistolet, na strachy nadprzyro-dzone: światło! — szepnął pompatycznie, zapalając stoczek.

XIII

CZERWONY POKÓJ ZAKŁĘTEGO DWORU

Zapalony stoczek blade dokoła rzucił światło.

Katyliną ujrzał się w obszernym, wytwornie, ale po staroświecku urządzonym pokoju. Gęste tkanki pajęczyny okrywały ściany, na sprzętach bielił się wszędzie gruby pokład kurzu i pyłu.

Katyliną uważnie oglądnał się dokoła i z znaczeniem pokikiwał głową.

— Zdaje się naprawdę, — szepnął w zamyśleniu — że tu oddawna żadna ludzka nie postąpiła noga!

Ale nie zagłębiając się długo nad tem niezupełnie spodziewanem spostrzeżeniem, postąpił wprost ku otwartym na ścieżaj drzwiom, skąd odsłaniał się widok na szesnaście sznurkiem ciągnących się pokoi.

— Wartoby to wszystko obejrzeć bliżej — mruknął przez zęby — ale niema czasu na to. Strach, jak mówią, ma pokazywać się najczęściej w narożnych oknach pierwszego piętra, w tak zwanym czerwonym pokoju starosty, oddajmy mu więc wizytę w jego ulubionym przybytku.

I wychylając płonący stoczek naprzód, posunął na los szczęścia ku rozwartym naościęz pokojom. Niebawem znalazł się w wielkiej sali, skąd jedne drzwi parapetowe¹ prowadziły na ganek ogrodowy, drugie do obszernego przedpokoju.

Katyliną skręcił do przedpokoju i instynktem dobry zrobił wybór, bo w jednym kącie przestronnej, wąskimi skórzanymi ławeczkami dokoła otoczonej izby ujrzał jakieś wąskie, skryte drzwi napół odchyłone.

— Ho, ho! — zawołał półgłosem — mamy już trop stracha!

Poza drzwiami temi pięły się kręte schody. Katyliną za-

<https://rein.org.pl>

¹ balkonowe.

gwizdał wesolo i co tchu puścił się do góry. W pół drogi potrącił nogą o jakiś kawał papieru.

Schylił się coprędzej i podniósł z ziemi jakąś z trzech stron odartą drobną kartkę, jakby małą resztkę zniszczonego listu.

— Należy korzystać z każdej zdobyczy! — szepnął i wspierając stoczek na kolanie, próbował odczytać znaną kartkę.

Pismo na niej było widocznie ręki kobiecej, co tem więcej podniosło ciekawość znalazcy.

— To ślad tej nimfy jasnowłosej! — mruknął, wyteżając całą swą uwagę na kilka pozostałych, urwanych wyrazów obrudzonej i zmiętej kartki. — Aha, — szepnął sylabizując — *...jem-nica, która cię o... to zapewne: tajemnica, która cię osłania... czułość twa i troskliwość... ..wnane serce Kosfia...* nieporównane serce Kosfia.

Czorgut podciągnął łrwi do góry i w zamyśleniu pokiwał głową.

— Hm, hm, — mruknął — to ważniejsza zdobycz, niżby się zdawało w pierwszej chwili. Pismo ręki kobiecej, poprawne, ozdobne... Miałżeby to być zabytek jeszcze z czasów starościca?... Skądże znowu wzmianka o tej tajemnicy?... A do kogóż u licha mógł być pisany list cały?! — bił się z myślami, chowając kartkę do kieszeni.

Nagle gwałtownie wstrząsł głową i raźnie pomknął do góry.

— Na później wszystkie refleksje, teraz do poszukiwania samych dat — upominał sam siebie.

W kilka minut ujrzał się w niewielkim pokoju pierwszego piętra. Rozwarte drzwi po prawej stronie były zamknięte. Katyliną pocisnął ozdobną mosiężną klamkę i uśmiechnął się z zadowolenia.

Czerwony pokój starosty stał otworem.

Katylina wstąpił śmiało na próg i stoczkiem powiódł dookoła. Mimo słabego oświetlenia ujrzał się w wielkiej, amaran-towym adamaszkim obitej, licznymi obrazami obwieszanej sali.

W jednym kącie, niedaleko okna, wpadało najpierw

w oczy wielkie, staroświeckie bióro. Katyliną wprost do niego skierował swe kroki i nagle głośny wydał wykrzyk.

Bióro to wyglądało jakgdyby zaledwie przed chwilą kloś powstał od niego. W kalamarzu widać było niezaschnięty inkaust, wywrócona napół piaseczniczka zdawała się świeżo używana, rozrzucony w nieładzie biały papier dopiero co rozrzynany. W dwuramiennych lichtarzach spoczywały widocznie niedawno jeszcze osadzone świece woskowe.

— Oho, jesteśmy, jak widać, w głównej kwaterze stracha jegomości — burknął z drwiącą junakierją.¹ — Ale przede wszystkim oświećmy się lepiej!

I to mówiąc, zapalił kolejno wszystkie cztery świece woskowe.

— Teraz rozpatrzmy się dokładniej — dodał, obzierając się dokoła z zwykłym swym wzgardliwym uśmiechem.

Wielka, ponura, bogato ozdobiona sala w wyraźniejszych przedstawiła się zarysach.

Katylina, mimo całej swej beczelnej zuchwałości, przybrał nagle inny wyraz twarzy i pomimowolnym niejako ruchem sięgnął ręką za czapkę, która mu zawadjacko aż gdzieś daleko na lewe pochyliła się ucho.

Długim rzędem wzdłuż jednej szerokiej ściany wisiały olejne portrety kilkunastu z rodu Żwirskich, o drugą w sztucznych piramidach opierały się starożytne zbroje i wojenne trofea, resztę ścian jakieś dziwne, bezładne, fantastyczne okrywały ozdoby.

W środku sali stał okrągły stół dębowy, porąbany i oszczerbiony ze wszystkich stron.

— To ślady szabli starosty — mruknął Katylina, przypominając sobie opowiadanie mandatarjusza.

I z tak rzadkim u siebie wyrazem czci spojrzął na pobliski, wygodniejszy od innych fotel, skąd nieszczęśliwy starzec, co utratę ojczyzny przypłacił utratą rozumu, z swym wiecznym odzywał się protestem.

Katylina zadumał się na chwilę ponuro, ale wnet odezwała się w nim nieprzezyciężona żyłka sarkastyczna.

<https://mem.org.pl>

¹ buńczucznośćią.

— Djabie jakieś nieszczęście miała ta dawna arystokracja polska. Z upadkiem ojczyzny jedni potracili imiona i sławy, drudzy majątki, inni rozumy. Nie lepiej to być sobie nowej daty, dorobkowym arystokratą, tak niby z żydowskim berłydkiem albo ekonomskim batogiem w herbie, taki pewno nie straci nigdy ani poczciwej sławy, ani rozumu i to według tej prostej zasady, według której goły nigdy nie potrzebuje się obawiać rozboju...

Po tej sarkastycznej uwadze wziął jeden kandelaber do ręki i przystąpił bliżej do wiszących na ścianie portretów. I zadrżał zlekka na widok wspaniałych postaci i twarzy, co tak jakoś smętnie a majestatycznie wyzierały z swych ram, jak gdyby czuły i widziały dzisiejszy upadek i pogwałcenie ich drogiej puścizny.

Katylna, jakkolwiek nawskrós przesiąkł już zabójczym jadem skeptycyzmu, uczuł jakieś osobliwsze w swych piersiach wzruszenie. Zwiesił głowę na ramię i zamarzył smętnie. Dopiero po dobrej pauzie otrząsł się z zamyślenia i powolnym krokiem przesunął się wzdłuż dalszego rzędu obrazów.

Przed czwartym od końca zatrzymał się znowu.

— Stąd podobno znam już z historii dzieje rodziny — szepnął. — To zapewne pradziad nieboszczyka starościca, Adam Żwirski, wojewoda ruski, co głównie przyczynił się do zwycięstwa pod Byczyną¹ i pojmania rakuskiego kandydata.

— A to — ciągnął, postępując o krok dalej — Hieronim Żwirski, kasztelan bełzki, przyjaciel Jerzego Lubomirskiego, spółnik jego zwycięstw pod Częstochową i Montwami i towarzyszy późniejszej dobrowolnej banicji.²

— Ten, to Stefan Żwirski, wojewoda inflancki, co pod Gdańskiem³ padł w sprawie króla Stanisława... A tu — postępując jeszcze dalej — to już sam starosta, zapamiętały obrońca

¹ pod Byczyną w r. 1588 wzięto do niewoli arcyks. Maksymiljana.

² Lubomirski, hetman w. koronny, zwycięzca Rakoczego i Kozaków, podniósł bunt przeciwko królowi Janowi Kazimierzowi i pobił wojska królewskie, poczem uszedł na wygnanie.

³ Stanisław Leszczyński, obrany ponownie królem, oblężony został w Gdańsku przez wojska rosyjskie.

Barszczanów,¹ nieustraszony przeciwnik Targowicy,² nieszczęśliwy szaleniec na starość...

— Ah! — krzyknął głośno i wtył odskoczył z zdziwienia, czy przestachu. — To nieboszczyk starościc! ale skądże mi ta twarz tak znajoma, tak jakoś żywa w pamięci! — mruzczał, bijąc się w czoło i wpatrując się chciwie w tło obrazu.

Przedstawiał on średniego wieku mężczyznę, ponurej i dzikiej, ale dziwnie śmiałej i energicznej fizjognomji. Pod wypukłym, wyrazistym czołem iskrzyło się w głębokich jamach dwoje siwych, niespokojnych oczu; szeroko rozwarłe nozdrza, silnie zaciśnięte usta, naprzód wychylona broda, znamionowały charakter namiętny, zuchwały, nieugięty i przedsiębiorczy. Zdawało się, że człowiekowi temu nie mogło się zdawać nic niepodobnem, nic zanadto śmiałem lub dziwaczne.

Katylna stał jak wryty na miejscu.

— Niech mnie licho porwie, — mruknął wreszcie — ale ja twarz tę gdzieś już spotkałem w mem życiu... Ale gdzie u diabła?! Tak żywo tkwi mi w pamięci. Znałem kogoś tak podobnego? O nie, twarze tego rodzaju nie tak łatwo powtarzają się w dzisiejszych czasach.

I jakby chcąc przymusem skupić myśli i rozbudzić pamięć nieposłuszną, postąpił ku fotelowi nieboszczyka starosty i usiadł na nim w głębokiem zamyśleniu, trąc ręką po czole.

Nagle wzdrygnął się gwałtownie, wszystka krew ścięła mu się w żyłach, oddech zamarł w krtani.

Wszystkie malowane postacie poruszyły się razem w jednej chwili i wszystkie groźnem, okropnem przeszły go spojrzeniem. Adam, wojewoda ruski, surowego nasrożył marsa, Hieronim, kasztelan bełzki, gniewnie przewracał oczy, Stefan, wojewoda inflancki, przygryzł wargi i nieustannie ruszał wąsem, a przedostatni starosta w jakiś przerażający uśmiechnął się sposób, podczas kiedy sam starościc z gwałtownym zamachem wyskoczył z swych ram i obcesem posunął się ku natrętowi...

¹ w Barze w r. 1768 utworzono konfederację przeciwko Rosji.

² w Targowicy w maju 1792 r. Szczęsny Pотоcki, Seweryn Rzewuski i Ksawery Branicki utworzyli konfederację przeciwko konstytucji 3 Maja.

Katylna czuł, że mu włosy kolcami najeżyły się na głowie, a zimne mrowie przenikało go od stóp do głowy. Zebrał wszystkie siły, aby jednym rzutem porwać się z fotelu i z głośnym krzykiem ratować się ucieczką. Skoczył rzeczywiście na równe nogi i krzyknął głośno, ale w temże samem okamgnieniu stanął osłupiały z zadziwienia i splunął z rubasznym wybuchem śmiechu.

Wszystkie obrazy wisiały martwe i nieporuszone na miejscu.

— Zdrzymałem się, widzę, na piękne! — zaśmiał się szyderczo. — Co to może niezdarna natura ludzka! Brakowało, żeby w tej chwili wszedł strach, na którego poluję, a gotówbym był co tchu drapnąć w nogi! Do kroćset piorunów! Skąd ja nagle przyszedłem do takich snów fantastycznych!

I jakby dla lepszego ocucenia się chciał tam i nazad przejść się po pokoju.

Nagle znowu drgnął zlekka, przystanął na miejscu i pilnie nadstawił uszu.

Zdało mu się, że w drugim pokoju jakieś ciche, leciuchne ozwało się stąpanie.

— Ah! — szepnął przez zęby, przechylając się nieco za fotelem — teraz dopiero idzie strach prawdziwy!

Nim jeszcze doszepnął tych wyrazów, jakiś biały cień mignął mu przed oczyma, a po chwili zarysowała się w progu jakaś postać kobieca z małą latarką w ręku w śnieżnej bieliźnie.

Katylna aż oddech przytłumił w sobie i nie śmiał ani mrugnąć.

Bo też strach ten nie był wcale taki, jakiego się spodziewał w swej zuchwałej niecierpliwości!

Lekkim i cichym, lubo pewnym i śmiałym krokiem weszła do tajemniczego pokoju młoda dziewczyna najstraszniejszej pod słońcem powierzchowności, bo prawdziwie anielskich wdzięków i powabów.

Zdawało się, że dopiero zerwała się z łóżka, bo wzburzone cokolwiek włosy w długich warkoczach sływały jej na ramiona, a wierzchnią część ciała osłaniał lekki kaftanik płócienny.

Zatrzymała się na chwilę w progu i ślicznem wyrazem okiem niebieskiem powiodła bystro dokoła.

Nagle krzyknęła przeraźliwie, a mała latarka wypadła z brzękiem z jej drżących rączek. Oczy jej spotkały się w tej chwili z zuchwałym, iskrzącym wzrokiem Katyliny.

Chciała się cofnąć co tchu, ale tymczasem pomieszany w pierwszej chwili Katyliną odzyskał już całą swą przytomność i zimną krew.

Jednym susem wyskoczył naraz z za fotelu i przecinając odwrót wybladłej z przestachu dziewczynie, siłił się przybrać minę jakiegoś galanteryjnego ugrzecznienia, z którym nie bardzo było mu do twarzy.

— Nie lękaj się pani niczego, proszę — zawołał z galanteryjnym wygięciem ręki.

Młoda dziewczyna cofnęła się o krok wtył i jedno ramię wsparła o ścianę, drugie mimowolnie wyciągnęła przed siebie, jakgdyby się chciała bronić przed zbliżeniem natręta.

— Kto pan jesteś, czego pan chcesz? — wyszepnęła nad wyraz dźwięcznym, choć nieco niepewnym i drżącym głosem, wpatrując się w nieznanomego swemi cudnemi, szeroko z przestachu rozwartemi oczyma.

Dwie gotowe do strzału lufy pistoletu nie byłyby pewno tak jakoś mieszały i zachwiały Katylinę, jak to jedno spojrzenie młodej, bezbronnej, niespodziewanie zaskoczonej dziewczyny. Chciał coś prędko odpowiedzieć, ale mu się jakoś język zaplątał w gębie.

— Pani, ja... przyszedłem, jestem... nie, nie jestem złodziej! — wybełkotał wreszcie.

W tej chwili dziewczyna lekki wydała wykrzyk — i uśmiech nagłego spokoju rozlał się po jej twarzy.

Katyliną obejrzał się mimowolnie i w innej stanął postawie.

W drzwiach od krętych schodów ukazała się olbrzymia postać Kościa Bulija, z którym niedawno w najciekawszym rozstaliśmy się miejscu.

Stary kozak miał w tej chwili minę strasznie groźną i im-

ponującą. Gęste brwi nasunął głęboko na oczy, wargi przygryzł surowo, a ręce zacisnął w kulak.

Pomieszany wobec przestraszonej dziewczyny awantur-
nik Katyliną powrócił do swego zwyczajnego, zuchwałego, wy-
zywającego wyrazu, a i drwiący, szyderczy uśmiech ukazał mu
się znowu na ustach.

Kost' groźny i milczący posunął się naprzód, a lekkim
poruszeniem ręki dał znak dziewczynie, aby wyszła z pokoju.
Dziewczę zawahało się jakby w jakiejś obawie tajemnej, ale
Kost' powtórzył dobitnie swój znak i mruknął z naciskiem:

— Niech panna wyjdzie...

Dziewczyna krótką chwilę zdawała się jeszcze walczyć
z sobą, ale nagle szybko jak strzała pomknęła ku schodom.

Kost' i Katyliną zostali sami.

Stary kozak stał niemy i nieruchomy na miejscu i zda-
wał się bacznie mieć ucho na lekkie kroki zstępującej z scho-
dów dziewczyny.

Katyliną tymczasem obrócił się spokojnie i gwiżdżąc przez
zęby, wszedł napowrót do czerwonej sali i z najzimniejszą
krwią zaczął zapalać sobie cygaro o pozostawioną na stole
świecę.

Kost' Bulij jeszcze groźniejszy wszedł po chwili za nim.

Katyliną spojrział nań od niechcenia.

— Ho, ho! mój zacny przewoźnik — mruknął wesoło. —
Przedwczoraj potraktowaliście mnie fajką tytoniu, może dziś
zato przyjmiecie odemnie cygaro — dodał, wyciągając rękę
z kilkoma cygarami.

Kost' jeszcze straszniej nasrożył czoło i postępując o krok
naprzód, wybuchnął z gwałtownie powstrzymywanym impetem:

— Co tu robisz, czego tu chcesz?... ty!

Katyliną obojętnie puścił spory kłęb dymu przed siebie.

— Pst, pst, bratku — odezwał się drwiąco, przykładając
palec do nosa. — Tylko spokojnie, z flegmą, bez uniesienia.

— Czego tu chcesz? — krzyknął stary kozak jeszcze do-
nośniej i znowu o krok postąpił dalej.

— Owa! — zasmiał się szyderczo Katyliną — szukasz oka-

zji, jak widzę. Wrzeszczysz, bratku, że aż nieboszczyki poruszyli się na swych gwoździach.

Kość mimowolnie rzucił okiem na ścianę obwieszoną portretami i w samej rzeczy przytłumił głos cokolwiek.

— Poco tu przyszedłeś, pytam — zapytał niemniej groźnie. Katyliną zagwizdał swoim zwyczajem.

— Poto samo, poco i ty, bratku.

Kozak aż drgnął cały, tak srogim na tę odpowiedź zakipiał gniewem.

— Ha, poczekaj, lotrze! nauczę cię! — wrzasnął gromowym głosem i posunął naprzód.

Katyliną zmarszczył brwi od niechcenia.

— Słuchajno, drągalu — rzekł, podnosząc głos cokolwiek — chcesz, widzę, oberwać po skórze.

— Przyszedłeś tu jako złodziej albo jako szpieg — piorunował Kość dalej. — Ale poczekaj, odbierzesz swoją nagrodę!

Na twarz Katyliny lekki wystąpił rumieniec, z oczu gwałtowna strzeliła błyskawica.

— Złodziej albo szpieg! — mruknął i rzucając cygaro daleko na środek pokoju, ścisnął silnie pięść i stanął w postawie, jakby nagle chciał rzucić się na przeciwnika.

Kość Bulij z niemą zaciekłością przygryzł wargi, oczy mu krwią zasły, a ręką sięgnął w zanadrze.

— Dam ja ci, ty sobacza, szpiegowska duszo! — huknął, a w rękę jego długi zabłysnął nóż.

Katyliną cofnął się o krok wtył i zaśmiał się na całe gardło. Kość mimowoli przystanął na miejscu, lufa pistoletu zagroziła mu o trzy kroki.

Katyliną nie ustawał w swym rulasznym śmiechu.

— Dobry masz nóż, stary błaznie, tylko trochę za krótki!

Stary kozak stał jak wryty, ale z oczu strzelały mu błyskawice, jakby mimo tak bliskiego niebezpieczeństwa kuli chciał rzucić się na przeciwnika.

Katyliną usiadł spokojnie na pobliski fotel.

— Pogadajmy — rzekł z flegmą — tylko bez gniewu, a porozumiemy się. <https://rcin.org.pl>

Kość cały trząsł się ze złości, ale nic nie odpowiedział.

Katyliną, popalając cygaro, ciągnął dalej:

— Nazwałeś mię złodziejem lub szpiegiem, to wielka obelga, lecz pal cię djabli, nie mam do ciebie żalu, bo z pozoru mogłem zakrawać na coś podobnego, choć właściwie wszedłem do dworu jako przyjaciel i sprzymierzeniec.

— Przyjaciel i sprzymierzeniec? — mruknął Kost' przez zęby z szczególniejszem spojrzeniem.

— Tak, szanowny kluczniku, przybyłem strachowi zakłętego dworu wielką wyświadczyć przysługę.

Kost' coś niezrozumiale mruknął przez zęby.

— Przedewszystkiem musisz jednak wiedzieć — powiedział Katyliną dalej, — że w nadziemskie, innoświatowe strachy nie wierzę, to też przygotowywałem się tylko do rozmowy z ludźmi żyjącymi.

— Lecz czegoż pan chcesz? — zahuczał klucznik ledwie zrozumiale.

— Chcę pomówić poufnie z strachem czyli właścicielem tajemnicy zakłętego dworu.

— Masz mię pan przed sobą.

— Ba, ba, ja nigdy nie lubię zaczynać od ogona tam, gdzie się spodziewam głowy.

— Tu prócz mnie, stróża i właściciela tego domu, niema nikogo więcej.

— Fiufiu! a ta bogini jasnowłosa?

— Nie widziałeś pan nikogo, prócz mnie! — krzyknął stary kozak z jakimś rozpaczliwym naciskiem.

Katyliną parsknął głośnym śmiechem i zapominając się, lufę pistoletu zniżył ku ziemi. W tej chwili stary kozak szybko jak błyskawica rzucił się na niego, a chwytając jedną ręką za przychylony na bok pistolet, drugą porwał za gardło przeciwnika i wraz z fotelem powalił go na ziemię...

Katyliną krzyknął dziko, ale zaskoczony zniemacka, nie mógł utrzymać broni w ręku, ani oprzeć się nagłemu napadowi. Po kilku chwilach gwałtownego pasowania się ujrzał się rozbrojonym i bezsilnie powalonym na ziemię. Olbrzymi klucznik oboma kolanami przyklął mu na piersiach, wydarty

pistolet rzucił daleko w kąt pokoju i znowu ów długi, straszny nóż zabłysnął w jego rękę.

Katylina, mimo całej swej zuchwałej odwagi, uczuł zimny dreszcz po całym ciele. Oczy starego kozaka zaszły krwią, usta drgały konwulsyjnie, z poza silnie ściśniętych zębów toczyła się piana wściekłości, a cała fizjognomja jakiś dziki i okrutny przybrała wyraz.

.....

XIV

ZWIERZENIA

Juljusz nie wiedział nic zgoła o zuchwałej wyprawie Katyliny, ale całą noc trapił go jakiś sen niespokojny i burzliwy. Wnet widział się samym w zaklętym dworze, opadniętym od całego roju upiórów i strachów, wnet z własnego domu musiał uciekać przed pośmiertnymi odwiedzinami nieboszczyka starościca, wnet znowu w innych dziwacznych znachodził się położeniach.

Z brzaskiem dnia rozwarł oczy i zaraz wyskoczył z łóżka, a dla lepszego orzeźwienia się z ociężałości, zwykłego następstwa każdej źle przespanej nocy, wybrał się na konną przejażdżkę.

Nie wyjechał jeszcze kilkanaście kroków za bramę, kiedy zaszedł mu drogę zamówiony na dziś do dworu były żołnierz, Mykita Ołańczuk. Miał w ręku obrudzony swój kapelusz bez dna i wypatrzył się na młodego dziedzica z niemem zapytaniem, jakby przypominając wczorajszą rozmowę.

Juljusz zatrzymał konia.

— Idziesz do mnie? — zapytał.

— Miałem taki *befel*¹ od jaśnie wielmożnego pana — odpowiedział ex-żołnierz.

— Czemuż tak rano?

<https://rcin.org.pl>

¹ rozkaz.

— Bo mam jeszcze coś nowego *meldować* jaśnie wielmożnemu panu.

— Coś nowego?

— Tak, jasny panie. Dziś spałem znów pod krzyżem przy drodze do Buczała, a jak tylko posłyszałem, że we wsi kur zapiał, zakradłem się w pobliże dworu, a tam tej nocy jakieś dziwne działy się rzeczy.

Juljusz zmarszczył czoło.

— Skądże ci przychodzi ta ciekawość, lotrze? — przemówił surowo.

Oczy obdartusa łysnęły złowrogo.

— Przysięgłem nie darować swej krzywdy Kostłowi i nie daruję — wycedził z wolna z naciskiem jakiejś piekielnej zawziętości.

Juljusz ściągnął brwi i chciał wybuchnąć gwałtownie, ale powstrzymał się nagle.

— Cóż mi masz powiedzieć? — zapytał.

Ex-żołnierz przechylił głowę na bok i przybrał minę tajemniczą i podstępą.

— Tej nocy znowu maziarz był we dworze i dopiero ze świtem wyjechał z swym wózkiem obładowanym.

— A ta pani czy panna, coś ją widział niedawno?

— Tej nie widziałem dzisiaj, ale zato spotkałem się z samym nieboszczykiem.

— Z samym nieboszczykiem?!

— Z nim, z nim, jasny panie. Kiedy zakradałem się pod dwór, widziałem, jak na koniu pędził przez pole naprzelaj ku dworowi, a potem zaraz zajaśniało światło w narożnych oknach lewego skrzydła.

— A gdzież był ów maziarz?

— Przed świtem jeszcze wyjechał z zagrody Kostł'a Bulija. Siedziałem przyczajony w zbożu i widziałem, jak skręcał ku gościńcowi.

Juljusz podrzucił głowę i wzruszył ramionami jak człowiek, który napróżno próbuje się zorientować w jakiejś zawiłej sprawie.

Ołańczuk prawil zcicha dalej:

— We dworze działy się tymczasem jakieś straszne rzeczy. Choć kur już dawno zapiał, staroście nie przestał doka-
zywać. Powiedziałem sobie: niech się dzieje co chce, i podsu-
nałem się pod sam parkan i słyszałem wewnątrz jakieś stuki
i krzyki, że aż włosy stawały na głowie.

Juljusz zamyślił się głęboko, a potem bystro wpatrzył
się w oczy byłego żołnierza.

— Czy tylko ty nie lżesz, łotrze? — zapytał surowo.

— Ani na włos, jasny panie.

Juljusz znowu zadumał się na chwilę.

— Kazałem ci dzisiaj przyjść do siebie, bo nie mogłem
zrozumieć, czego wczoraj chciałeś odemnie.

— Prosiłem o mój *recht*¹ przeciw Kost'owi Bulijowi, bo
ja mu nie daruję, — mruczał przez zaciśnięte zęby — że z jego
rąk sto kijów dostałem, że potem musiałem uciekać i prawu-
jąc się pięć lat daremnie, straciłem cały majątek i dziś *wy-
rychtowałem*² się na żebraka...

Juljusz aż wzdrygnął się przed złowrogim wyrazem, jaki
po tych słowach wybił się na szpetnej twarzy ex-żołnierza. Ma-
lowała się w niej taka dzika, namiętna nienawiść, że zda się
każdy rys drgał nią zosobna.

— Słuchajno — ozwał się Juljusz, jakby jakąś szczęśliwą
uderzony myślą. — Wynagrodzę ci wszystko.

— Jakto, jasny panie?

— Nie miałeś nigdy własnego gruntu, siedziałeś zawsze
w komornie, ja cię osadzę na gruncie i dam zapomogę, wyj-
dziesz na gospodarza.

— A z Kost'iem co będzie?... — zapytał Ołańczuk z nie-
zmiennym wyrazem nienawiści.

Juljusz rzucił się gwałtownie.

— Chodzi tu o ciebie, nie Kost'ia!

Mykita Ołańczuk z szczególnym wyrazem uporu wstrząsł
głową.

— Nie daruję mojej krzywdy Kost'owi — rzekł nieza-

¹ prawo.

² z niem.: wykierowałem się

chwiany — a kiedy teraz wiem, że on w spółce z maziarem okrada dwór, to nie spocznę, aż oddam go do kryminału.

— Ależ, łotrze, to nieprawda, a zresztą wiedz, że Kościowi wolnoby nawet wszystko wywieźć z dworu, bo on jest jego właścicielem.

— Ha, to już kryminał rozsądzi — odpowiedział ex-żołnierz z tym zamkniętym na wszelkie przedstawienia uporem, który stanowi jedną z charakterystycznych cech naszego ruskiego ludu.

— Kryminałowi nic do tego! — zawołał Juljusz, niecierpliwiąc się coraz więcej.

— Jeśli jasny pan się w to nie wda, to ja sam skargę na Kostia zaniosę do kryminału.

Juljuszowi nagle myśl niepokojąca przemknęła przez głowę. Przypomniiał sobie niedawne doniesienie mandatarjusza i poznał, że w takim składzie rzeczy tajemnicy zakłętego dworu, a tem samem i tajemnicy Eugenji podwójne naraz zagrozić mogło niebezpieczeństwo. Poszukiwania cyrkulu mogły z innych powodów wesprzeć śledztwo kryminału. Na wszelki wypadek mogło wypłynąć stąd coś kompromitującego dla Eugenji.

Juljusz jakieś pędkie powziął postanowienie.

— Pójdź do dominjum i złóż do protokołu swoje zeznanie, — rzekł naraz zmienionym widocznie tonem — sędzia to już pośle sam do kryminału. A jeśli chcesz pracować i pilnie odrabiać pańszczyznę, to cię osadzę na pustce w którymś folwarku. Tymczasem — dodał, rzucając mu mały pieniądź srebrny — idź i napij się wódki!

Po tych słowach spał konia i raźnie pognął naprzód.

— Nie pozostaje nic innego do zrobienia — myślał półgłośnie, — muszę dziś otwarcie przestrzec Eugenję, a tymczasem potrzeba zapewnić się u mandatarjusza.

O milę za Oparkami wybiegał na gościniec publiczny wygon wąski i nierówny, którym zboże zwożono z pól, a który znacznie bliżej i prędzej prowadził do Buczał.

Juljusz w swym pospiechu wybrał tę drogę, zaledwie jednak niewielką ujechał staję, ujrzał z niemałym zdziwieniem,

że szybkim pędem jakiś wóz podróźny zbliża się ku niemu. Wkrótce tem bardziej wzmogło się jego zdziwienie, gdy zdala już poznał wyraźnie konie i wóz Kost'ia Bulija.

— Gdzie on jedzie tak rano, tą drogą?! — mruknął, przyspieszając w biegu.

Tuż zaraz zbliżył się już zupełnie do wozu, a teraz dopiero poznał, że stary kozak nie jechał sam.

Wtyle wozu siedziała jakaś postać kobieca w wieśniaczym stroju.

Juljusz uczuł, że mu lekki rumieniec wystąpił na lice, a serce nieco żywszym uderzyło biegiem.

Kost' Bulij, powożąc końmi, wyglądał jeszcze surowszym i posępniejszym na twarzy niż zazwyczaj, a niespodziewane spotkanie z dziedzicem sprawiało mu widocznie jakiś kłopot i niespokój. Juljusz spostrzegł, że kilka razy obrócił się do swej towarzyszki i szepnął jej coś naprędce.

— To ona, niezawodnie! — mruknął młodzieniec, ale w tej chwili aż zadrżał zlekka, tak jakoś groźnie i surowo spojrzął na niego stary kozak.

Nie zważając jednak na to, podsunął się pod sam wóz, odpowiadając skinieniem ręki na uroczysty ukłon klucznika.

Siedząca na wozie kobieta odchyliła się na przeciwną stronę, a jakby umyślnie pozwoliła spaść na twarz długiej, białej, perkalowej chustce, jaką w kształcie spuszczonego od głowy na ramiona szalu noszą w lecie wieśniaczki tych okolic. Mimo największego natężenia Juljusz nie mógł widzieć twarzy tajemniczej kobiety, wszakże po jednej stronie wyzierały z pod płóciennnej osłony wcale nie po wiejsku uczesane warkocze jasnych i lśniących włosów i wygięła się na bok puszysta szyja alabastrowej białości i przedziwnego kształtu i zaokrąglenia.

— Ona! — szepnął Juljusz — niezawodnie ona!

I w pierwszej chwili chciał bez namysłu zbliżyć się do wozu i wprost zagadnąć hrabiankę, ale wnet przewyciężyła w nim delikatność wrodzona.

— Nie chce, abym ją poznał, więc dobrze, udam, że się nie domyślam niczego — szepnął i konia popędził śpieszniej.

Lecz nie mógł powściągnąć zupełnie ciekawości. Po kilkunastu krokach obrócił się nagle, a w tejże samej chwili obejrzała się nawpół podróżna.

Juljusz nie zdołał lekkiego przytłumić wykrzyku.

Teraz już nie mógł mieć żadnej wątpliwości. W pośpiechu z odległości nie mógł wprowadzić rozróżnić dokładnie jej rysów twarzy, ale ogólny ich zlew i wyraz, a szczególnie ta cudowna barwa oczu, przedstawiły mu się wyraźnie.

Drugiego takiego owalu i wyrazu twarzy, drugiego takiego połysku i takiej barwy oczu obok hrabianki niepodobna było, zdaniem Juljusza, przydybać na całej kuli ziemskiej.

Ta pewność niezbita odurzyła i oszołomiła do reszty Juljusza. Niepodobieństwo było pojąć, dla jakich celów i powodów młoda, szesnastoletnia hrabianka na tak dziwne i awanturnicze narażała się przygody. Sama jedna, w wieśniaczym przebraniu, w towarzystwie prostego kozaka odbywała podróż prostym wozem chłopskim, nie troszcząc się o żadne względy przyzwoitości, niepomna na żadne wymagania swego stanu, wieku i rodzaju.

Juljusz napróżno łamał sobie głowę. Gubiąc się w labiryncie najróżnorodniejszych domysłów i kombinacyj, nie wybrnął z ciemnej zagadki.

— To nie do pojęcia, nie do uwierzenia! — szepnął, nie przestając z najdziwniejszemi bić się myślami.

Nareszcie wyjechał z ciasnego wygonu i stanął na drodze między Żwirowem a Buczałami. Kilka chwil przypatrywał się w niemem zamyśleniu ponurym murom dworu, jeżdżącym się poza cienistą ulicą lipową, a potem skręcił ku Buczałom, ku znanemu nam mieszkaniu mandatarjusza, czyli prześwietnemu dominjum w języku urzędowym.

Pan mandatarjusz miał z natury wielki wstręt do ранego wstania, ale dziś wyjątkowo był już od półgodziny na nogach i to nawet w ścisłym urzędowaniu. Bo też ważny wypadek wyrwał go z łóżka.

Dwóch strażników finansowych stawilo się w dominjum, wcale nie powszednie wnosząc zażalenie.

Zatrzymali w drodze jakiegoś przejeżdżającego maziarza,

a podejrzewając go o kontrabandę¹ chcieli przetrząść jego wózek. Ale maziarz oparł się temu żądaniu, a pochwyciwszy lusznę² od wozu, stał w zaciętej obronie. Akcyźniki dobyli szabel, maziarz poprzestał na swojej broni. Wszczęła się zawzięta walka, jeden z akcyźników oberwał potężnego guza w czoło, drugi dwa zęby wypluł z krwią i pianą, a maziarz lubo szablą lekko draśnięty po twarzy, bronił się zawzięcie i ani myślał ulegnąć. Strażnicy wdali się w układy. Zrzekając się już regresu³ za postradane zęby a otrzymane wzamian guzy, chcieli tylko okupu za kontrabandę, ale i na to nie przystawał rozbójnik-maziarz.

Poturbowani strażnicy chcieli już ze względów strategicznych zatrzeć na ogólną rejteradę, kiedy wtem zjawia się na gościńcu dwóch huzarów, jadących gdzieś na egzekucję.

Tak silna pomoc niespodziewana musiała złamać zuchwałą upór mniemanego kontrabandzisty. Poddął się po krótkim namyśle, ale tylko huzarom i pod ich też zasłoną przybył w towarzystwie swych przeciwników do dominjum.

Pan mandatarjusz ubrał się naprędce i z przynależną powagą przystąpił do urzędowania. Obie ręce wsadził do kieszeni, brzuch wypiął naprzód, brwi podciągnął aż pod samą czuprynę, wąsy naszczurzył na obie strony i w takiej imponującej postawie słuchał zażalenia pokrzywdzonych, rzucając od czasu do czasu ukośne spojrzenie na szanownego swego aktuarjusza, pana Gustawa Chochelkę, który z najeżonymi bakenbardami, z niezbędną nigdy parą krochmalnych kołnierzyków, z zwykłą swą uroczyście-nadętą miną, rozsiadł się przy brudnym stoliku i na przełamanym w nawpół arkuszu papieru nakreślił w pośrodku wielkimi literami: *Protokoll*.

Pan mandatarjusz wysłuchiwał do końca opowiadania strażników, a teraz dopiero zwrócił się do winowajcy, który niemy i nieruchomy stał w kącie, jakgdyby nie troszczył się wcale o to, co się dzieje wokoło niego.

¹ przemysłnictwo. <https://rcin.org.pl>

² drażek, opierający się na końcu osi i służący do podtrzymywania drabiny wozu.

³ wynagrodzenia.

— Gdzież jest ten łotr? — zapytał pan mandatarjusz z surowym naciskiem.

Maziarz wystąpił naprzód. Rysy twarzy jego kryły się nie tylko pod gęstym dokoła zarostem brody i licznymi plamami mazi, ale i pod grubą chustką płócienną, którą dla odniesionego zadrażnienia tak jakoś niezręcznie owinał całą głowę, że tylko dwoje siwych, ruchliwych, iskrzących oczu wyzierało z swych głębokich jam.

Z samych tych oczu poznać łatwo naszego znajomego kuma Dmytra.

Mandatarjusz spojrział na niego bystro, ale aż o krok wtył cofnął się przed jego wzrokiem.

— A to jakiś szubiennik — mruknął — rozbójnik na wielki kamień.

Biedny pan mandatarjusz ułożył sobie już w myślach, z jakiej strony dobrać się *ante omnia*¹ do podróżnej kabzy winowajcy, a to jedno spojrzenie zupełnie pomieszało mu szyki.

— Hm, hm — krząknął i jeszcze się groźniej nasrożył.

— Hm, hm — wtórował Chochelka, jakby przypominając, że już ukończył nadglówek protokołu.

— Jak się nazywasz? — zagadnął mandatarjusz oskarżonego.

— Dmytro Czaczała.

— Czaczała! także nazwisko! — szepnął z uśmiechem politowania Chochelka i z dumą poprawił bakenbardów.

— Skąd jesteś?... — indagował² mandatarjusz dalej.

— Z gór od Skolego — odpowiedział maziarz krótko i stanowczo.

— Co wiesz z sobą? — ciągnął dalej mandatarjusz, choć podobne zapytania nie leżały pierwotnie w jego programie.

— Handluję mazią — odpowiedział maziarz jednym zaw sze tonem.

— I bakunem³ — wtrącił jeden z rewizorów.

— Nie mam żadnej kontrabandy.

— Przekonamy się, łotrze, — zawołał surowo mandata-

<https://rcin.org.pl>

¹ przedewszystkiem.

² badał.

³ tytoniem.

rjusz — zrewidować wózek i jego samego — dodał, obracając się do strażników i swego policjanta, który stojąc przy drzwiach w mundurze przerobionym z starej popielatej, brukselinowej kacabajki¹ pani sędziny, uzupełniał etat urzędników prześwietnej dominji.

Maziarz drgnął cały i niespokojnem dokoła powiódł okiem.

Nagle jakaś szybka myśl przemknęła mu przez głowę. Wózek jego stał bez straży na dworze. Huzary dawno już odjechali napowrót swoją drogą. Twarz maziarza zadrgała gwałtownie w każdym rysie, z oczu strzeliła groźna błyskawica, a cała postawa tak jakoś straszny przybrała wyraz, że mandatarjusz aż o parę kroków cofnął się wtył, a pan Gustaw Chochelka, powstawszy napół z krzesła dla asystowania rewizji, co tchu przysiadł napowrót i jakby dla lepszego ubezpieczenia się, potracił nogą skuloną pod stołem sukę legawą, która w dowód oryginalności aktuarjuszowskiej fantazji nosiła nazwę Pepity.

Pan mandatarjusz ochłonął po chwili z pierwszego przestachu i surowo podniósł się na pięty.

— Ej, łotrze, cóż to sobie myślisz?! — zahuczał w gniewie i indygnacji.²

Maziarz obie ręce zapchał w zanadrze i odskakując w bok szybko jak strzała, lysnął nagle dwoma dubeltowemi krucicami.

— Trupem powalę każdego, kto się do mnie zbliży! — zawołał silnym, gromowym głosem i z trzaskiem odwiódł kurki.

Obadwaj rewizorowie zatoczyli się w sam róg kancelarji, pan sędzia pobladł jak ściana i tak się w jednym momencie zgiał i skurczył, że prawie przysiadł na piętach, a biedny pan Chochelka w jednym momencie znikł z powierzchni jak kamfora. W piekielnym przestachu taką jakąś obronną zajął pozycję, że jedna strona jego najeżonych bakenbardów pomieszała się z ogonem legawej suki.

— Cz... cz... człowie... ku! — zabelkotał mandatarjusz, obie ręce wyciągając przed siebie.

<https://rcin.org.pl>

¹ ciepły kaftan z taniego gatunku sukna.

² oburzenie.

Maziarz dziki wydał wykrzyk i jednym susem poskoczył ku drzwiom.

— Ah! — zawołał mandatarjusz, prostując się stopniowo.

— Oh! — wyjąknęli strażnicy, naprzód wychylając głowy.

— Ufff — zasapał pan Chochelka, zamykając oczy.

Maziarz wpadł na dziedziniec i zręcznie i zwinnie, jak linoskok, o kilka kroków zdala wskoczył na swój wóz. Pochwycił batóg i lejce i z głośnym krzykiem miał już ruszyć z miejsca, kiedy wtem z boku rzucił się policjant i konia powstrzymał za uzdę. Czcigodny wyobraziciel wykonawczej władzy dominikalnej wyszedł wcześniej z kancelarji, a nie będąc świadkiem ostatniej sceny, nie postrzegł teraz w zamieszaniu groźnej broni w ręku zbiega.

— Puszczaj! — huknął maziarz strasznym głosem.

— Owa, *rychtyg!*¹ — burknął zuchwale wiejski konstabel.²

Kum Dmytro znowu dziki wydał wykrzyk, który tuż zaraz zmieszał się z grzmotem wystrzału.

Policjant powalił się na ziemię jak długi, niepokązny, leniwy napozór srokaez maziarza szalonym rozbiegł się pędem.

— Łapaj! trzymaj! chwytaj! — zagrmiał w tej chwili mandatarjusz, który za pierwszym turkotem umykającego wozu odzyskał całą swą energję i odwagę i wypadł co tchu na dwór.

— Łapaj! trzymaj! — wtórowali mu w niebogłosy obadwaj strażnicy, Bóg wie na kogo.

Tak głośne i odważne krzyki mandatarjusza i rewizorów ocuciły odwagę i biednego aktuarjusza. Wyskoczył z pod stołu, sukę kopnął daleko od siebie i w gwałtownym zapędzie pochwycił ukrytą w kącie, sznurkami powiazaną strzelbę, która zwyczajnie na wróble nabita była grochem.

— Gdzie on? daj go tu! — zawrzeszczał na całe gardło i wypadając na ganek, strzelił naoslep w powietrze, popod samem uchem mandatarjusza.

Nieprzygotowany na to pan sędzia skądinąd wyobrazził sobie ten atak i pewny, że nieznajomy złoczyńca zaszedł go z boku

<https://rcin.org.pl>

¹ dobrze.

² z ang. *constabl* policjant.

i ugodził kulą znienacka, jęknął głucho i plackiem padł na ziemię.

W tej chwili w progu nowy, przeraźliwy rozległ się wykrzyk. Pani sędzina przestraszona pierwszym strzałem w jednej koszuli porwała się z łóżka, a słysząc nowy wystrzał i widząc męża powalonego na ziemię, runęła także na podłogę, niepomna na swój lekki kostjum.

Pan Gustaw Chochelka skamieniał z przerażenia.

— Jezus, Marja! — jęknął i przekonany, że niechcący zabił swego pryncypała, rzucił strzelbę na ziemię i co sił i tchu stało, jął uciekać ku folwarkowi.

XV

MANDATARJUSZ IN FLORIBUS¹

Śród tego ogólnego zamieszania i popłochu nie spostrzegł nikt, że na zasłane trupami pobojuwisko nowa przybyła osoba.

Juljusz, dojeżdżając do mieszkania mandatarjusza, posłyszał zdala wystrzał pistoletu, po chwili spotkał się z uciekającym maziarzem, a stając prawie równocześnie z drugim wystrzałem przed gankiem, niemy i osłupiały z zdziwienia, przypatrywał się całej poprzedniej scenie.

— Co to znaczy, co to jest? — zawołał, ochłonawszy z pierwszego wrażenia.

Na ten wykrzyk pierwszy podniósł się z ziemi policjant, któremu podobno największe groziło niebezpieczeństwo. Kula świsnęła mu ponad samą głową, że nieborak przytomność stracił w pierwszej chwili.

Podniósł się teraz powoli i ostrożnie i jakby sam sobie niedowierzając obejrzał się dokoła z szeroko rozdziawioną gębą i okropnie na wierzch wybałuszonymi oczyma.

— Co się tu dzieje? — zapytał nanowo Juljusz.

— Rozbój, jasny panie — wybełkotał policjant.

<https://rcin.org.pl>

¹ w stanie kwitnym.

Wymówiony tytuł jasnego pana działał elektrycznie na szanownego mandatarjusza i jego godną połowicę. Oboje naraz porwali się z ziemi. Mandatarjusz stanął w strasznie głupiej pozycji i ledwie na niezgrabny zdobył się ukłon, pani sędzina krzyknęła przeraźliwie na widok swego negliżu i szybko jak kula znikła w sieniach.

Juljusz głośnym zaniósł się śmiechem.

Mandatarjusz opamiętał się po części.

— Trzydzieści lat jestem mandatarjuszem — wybelkotał, szeroko rozkrzyżowując ręce — a jeszcze po dziś dzień nie zdarzył mi się podobny wypadek.

— Ale cóż się stało właściwie? — powtórzył zapytanie Juljusz, skacząc z konia.

— Okropna historia! cyrkuł i kryminał nie zechce nawet uwierzyć!

— Czemu?

— A, panie dobrodzieju, to nie do uwierzenia!

Juljusz zaczął się już niecierpliwić, rozciekawiony do najwyższego.

— Przestańże się pan dziwić — przemówił z silniejszym naciskiem — i odpowiedz raz na moje zapytanie.

Mandatarjusz połapał jakoś rozstrzelone myśli i *per longum et latum*¹ jał opowiadać całe zdarzenie.

Juljusz przysłuchiwał się z nadzwyczajnem zajęciem, a twarz jego mieniła się coraz więcej.

Domyślił się zaraz, że zuchwały zbieg był to ten sam maziarz, którego według zeznania Ołańczuka niedawno Kost' z Eugenją oczekiwali przed dworem i który tej jeszcze nocy miał być u starego klucznika. Rozpamiętując i kombinując cały tok wypadków, przyszedł łatwo do przekonania, że pod sukniemi i pozorem maziarza wcale jakaś inna ukrywała się osoba.

Lecz któż mogła być ta osoba?

I na to łatwa znachodziła się odpowiedź. Zapamiętały opór przeciw rewizji, niezwykajne uzbrojenie, objawiona śmia-

<https://rcin.org.pl>

¹ wzdłuż i wszerz.

łość i zręczność i to skore narażenie się na najwyższe niebezpieczeństwo, byle tylko ująć uwięzienia — wszystko to naprowadzało w owych czasach na pewien nieomylny zda się ślad.

Juljusz uderzył się w czoło, jakgdyby mu się nagle jakaś ważna rozjaśniła zagadka.

W jego bujnej, rozpalonej wyobraźni uroczą postać Eugenji cudownym naraz olśniła się blaskiem. Z pięknej, dowcipnej, szlachetnej dziewczyny stała się naraz romantyczna bohaterka, kapłanka wielkiej idei,¹ uczestniczka wielkich zamiarów!

Im silniej jednak ustalało się w nim to przekonanie, tem większy ogarniał go niepokój.

Tajemnemu jej działaniu zagrażało odkrycie, nad niebezpiecznymi jej związkami groźne zawisło niebezpieczeństwo.

Niedawne odkrycia Olańczuka i świeże zdarzenie w dominjum musiałyby, dochodząc zestawione razem do wiedzy zwierzchności, podsycić jej poprzednie podejrzenia i wywołując ściślejsze śledztwo, mogły łatwo naprowadzić na ślad całej tajemnicy. W takim razie jakże srogie niebezpieczeństwo zagrażało Eugenji i reszcie współdziałających osób!

Myśl ta przeszywała nawskróś Juljusza, a bijąc się z nią zawzięcie, powziął nagle jakieś silne postanowienie. Zwrócił się do mandatarjusza, który dotąd jeszcze nie mógł zupełnie przyjąć do siebie, i ozwał się cokolwiek zmienionym głosem:

— Panie Gągolewski, prosiłbym pana na słówko.

Mandatarjusz w tej chwili całą pięścią uderzył się w czoło i zarzucił wtył głowę jak człowiek, który nagle znalazł klucz do jakiejś ważnej zagadki.

— Mam go już! — wykrzyknął tryumfująco, nie uważając na zagadnienie dziedzica.

Juljusz wypatrzył się nań zdziwiony.

Mandatarjusz dumnem dokoła potoczył spojrzeniem.

— Ho, ho, ho — przemówił z emfazą — przenikliwość moja...

— Prosiłem pana na słówko rozmowy — przerwał Juljusz niecierpliwie.

<https://rcin.org.pl>

¹ idei oswobodzenia ojczyzny.

Mandatarjusz w niskim ukłonie zgiął się we dwoje.

— Przepraszam uniżenie pana dobrodzieja, nie uważałem! Roztrząsałem, kto jest ten maziarz, i wiem już, wiem, niech mię siarczysty piorun...

Juljusz niespokojnie obejrzał się dokoła i nowym niecierpliwym gestem przerwał dalsze tryumfujące wynurzania się mandatarjusza.

— Proszę pana, panie Gągolewski — rzekł, zmierzając do kancelarji.

Mandatarjusz skwapliwie poskoczył za swym znakomitym gościem, zaledwie jednak stanął w kancelarji, ozwał się nieco zniżonym głosem, głowę ze znaczeniem przechylając na bok:

— Panie dobrodzieju, to jeden z tych... z tych... z ostatniego cyrkularza...

— Jakto? — zapytał Juljusz, choć dorozumiewał się, co znaczą te wyrazy.

Mandatarjusz stanął na piętach, oczy wytrzeszczył, brwi podciągnął do góry, wargi wydał naprzód i przykładając z uroczystą powagą palec do nosa, mruknął ledwie zrozumiale.

— Em... mi... Emissarjuszszsz!...

Juljusz zadrgał zlekka.

— Pst! — szepnął niespokojnie.

— Pst! — powtórzył mechanicznie mandatarjusz.

Młodzieniec szybko przeszedł się po pokoju.

— Panie Gągolewski — ozwał się po chwili namysłu — sądzę, że mogę panu śmiało zaufać.

Mandatarjusz w uroczystem milczeniu pochylił głowę na piersi i tylko zpodelba zerknął na młodzieńca.

— Słuchaj pan — ciągnął dalej Juljusz, otrząsając się z wszelkiego wahania. — Cały dzisiejszy wypadek musisz pan jakoś... tak... zręcznie... tak...

— Zatachlować...¹ niby... — dokończył mandatarjusz, *peritus rei*.²

— Tak jakoś zupełnie zatrzeć i zagładzić.

<https://rcin.org.pl>

¹ zatrzeć.

² świadom rzeczy.

Twarz mandatarjusza na krótką chwilę szczególniejszem rozpromieniła się zadowoleniem.

— Mam go! — poszepnął w duchu.

— Hm, hm — krząknął poważnie, pokiwując głową.

Juljusz coraz niespokojniej wpatrywał się w jego twarz.

— Jakże? — zapytał.

Mandatarjusz ciągle kiwał głową, jakby się z jakimiś ciężkimi ważył myślami.

— Trudno, bardzo trudno... — szepnął.

— Trudno? — powtórzył Juljusz.

— Hm, hm, hm, tararara — mruczał pan sędzia w pozorsem zamyśleniu i nadymał się coraz więcej.

— Cóż więc?... — naglił niecierpliwie Juljusz.

— Ta... — mruknął pan mandatarjusz i rozkrzyżował ręce.

— Uda się?

— Pieniądze u tych łajdaków wszystko mogą. Ale to lotry na wielki kamień, fiufiufiu, potrzeba ogromnie poforsować!

— Mniejsza o to.

— Parę setek...

— Bierz lichu.

Mandatarjusz aż oblizal się z radości.

— Ja się sam narażam, ale to nic — mruknął, zerkając zpodęłba.

— Będę pamiętał o tem i potrafię panu nagrodzić.

— O, panie dobrodzieju! — kłaniał się mandatarjusz — żeby tylko dekret nie odebrali — poszepnął po chwili w tragicznej stawiając się pozycji.

— Zapewniam panu w takim razie dzisiejsze utrzymanie po koniec życia.

Mandatarjusz odkrząknął głośno i z impetem potarł czoło.

— Ha, w Bogu nadzieja! — przemówił. — Spróbuję z tem tałatajstwem. Strażników potrzeba odwieść od zaskarżenia, a u policjanta i aktuarjusza okupić milczenie.

— Jak pan uważasz.

— A co będzie potrzeba... — dodał mandatarjusz z pewnem wielomownem poruszeniem ręki.

— Zażądasz pan w mojem imieniu od Girgilewicza.

Mandatarjusz uklonił się w milczeniu.

— Ale jeszcze nie dość na tem.

Mandatarjusz nastrzygł uszy i wydał spodnią wargę.

Juljusz prawił dalej:

— Ołańczuk przybędzie tu dzisiaj z zaskarżeniem przeciw Kostiówi Bulijowi. Podejrzewa go, że w spółce z tym właśnie maziarzem okrada dwór żwirowski...

Pan Gągolewski uważnie pokiwał głową i nieznacznie łypnął oczyma.

— Jego zeznania mogłyby ściągnąć śledztwo.

— Rozumiem.

— Potrzebaby je także...

— Złożyć *ad acta*.

— Ale oprócz tego chodzi jeszcze przeszkodzić Ołańczukowi, aby nie udał się wprost do kryminału.

— Wpakuję go do aresztu na parę tygodni.

Juljusz zawahał się i zmarszczył brwi.

— A czy to ujdzie? — zapytał.

Mandatarjusz uśmiechnął się z zaufaniem.

— Mam właśnie wyborby pretekst pod ręką. W Buczałach skradziono konia jednemu chłopowi. Rzucę podejrzenie na Mykietę Ołańczuka.

Juljusz wzruszył ramionami.

— Ha, kiedy inaczej być nie może.

— Tylko, że tego łotra potrzeba żywić — poderwał mandatarjusz z indygnacją.

— Policzysz pan sobie u mnie każdy dzień.

Mandatarjusz swym zwykłym uniżonym odpowiedział ukłonem.

— Mogę się tedy zupełnie spuścić na pana? — zapytał Juljusz, jakby dla ostatecznego utwierdzenia się.

— Ręczę za wszystko sumieniem! — zawołał mandatarjusz z uroczystą dobitnością.

Juljusz podał mu rękę i, po krótkim pożegnaniu, wyszedł z kancelarji.

Pan mandatarjusz odprowadził dziedzica aż na ganek,

sam przypadł przytrzymać strzemiona i nie przestał kłaniać się uniżenie, aż koń cwałem pomknął na gościniec.

Teraz zaś zmieniła się nagle cała jego postać. Wyprężył się sztywnie, brzuch wypiął naprzód, ręce schował do kieszeni i z promieniującą od zadowolenia twarzą wracał powoli do kancelarji.

— Starościc był warjat, a to głupiec, dureń co się zowie... — przemówił sam do siebie wesoło.

— Mam go teraz zupełnie w mojej mocy — ciągnął dalej po chwili. — Niechno mi teraz spróbuje zaimponować ten hododryga,¹ ten Czorgut czyli raczej czort przeklęty. Dziedzic skompromitowany, to ani kwestji, musi więc siedzieć cicho jak trusia, bo inaczej powącha pismo nosem. A temu oczajduszy, temu przybędzie przy pierwszej okazji takiego wytnę szcutka w nos, że aż za dziesiątą miedzę wytnie kołowrota. Pokażę mu, mo-spanie, gdzie raki zimują.

I pan mandatarjusz na samo wspomnienie Katyliny za-perzył się i zabundziuczył, jakby djabła chciał schwycić za rogi.

Nagle coś sobie przypomniał.

— Trzeba się wziąć do tych strażników — mruknął i odchylając drzwi, obudwu przywołał do kancelarji.

— To mi się podoba! — zagrmiał zaraz na wstępie piorunującym głosem. — Dwóch zbrojnych strażników pozwala niebezpiecznemu kontrabandziście umknąć z kancelarji. A za cóż to wam cesarz płaci, do kroćset piorunów. Doniosę to niezwłocznie finansowej władzy, niech takich tchórzów ponapędza na cztery wiatry, do milion djabłów!...

Obadwaj strażnicy pogłupieli na tę harangę² niespodziewaną.

— Ależ wielmożny sędzio — ozwał się jeden.

— *Halt's Maul!*³ — zakrzyknął pan mandatarjusz po niemiecku, jak zwykł czynić, kiedy w sprawach urzędowych komuś chciał silniej zaimponować. — Osobiście pojedę do pana respicjenta⁴ i opowiem mu, jakich ma pod sobą ludzi, tchó-

¹ z ukr. nicpoń.

² mowę, z franc. *harangue*.

³ zamknij gębę.

⁴ wyższy urzędnik w straży skarbowej.

rzów, darmojadów, co we dwóch nie mogą przytrzymać jednego kontrabandzistę, choć im jeszcze huzary pomagali.

— Ależ, łaskawy panie — ozwał się drugi z strażników.

— *Halt's Maul*, mości dobrodzieju — srożył się dalej mandatarjusz — do respicjenta, do cyrkułu, do kryminału was osmaruję, łajdaki, kolką w żebra wam zajadę, tchórze!

I tym trybem dalej piorunował i odgrązał się dalej, że obadwaj strażnicy potruchleli z przestachu i nuż dalej kłaniać się aż do kolan wielmożnego sędziego i prosić pokornie, aby raczył łaskawie przemilczeć całe zdarzenie i puścić w niepamięć ich uchybienie.

Pan sędzia długo dał się prosić i błagać, aż zmiękł narreszcie, kiedy jeden z strażników przyrzekł paczkę wybornych cygar, a drugi spory zwój węgierskiego tytoniu najlepszej sorty w nagrodę milczenia.

— Bogdaj to mieć głowę na karku — mruknął po wyjściu strażników, z zadowoleniem zacierając ręce. — I setek kilka kapnie do kieszeni i dziedzica złowiło się na wędkę i cygarka i tytoń przypląną, i temu hołodrydze będzie można puścić fimfę w nos!

— Ależ — dodał po krótkiej pauzie, marszcząc brwi cokolwiek — z tem wszystkiem wielki ze mnie cymbał! Dziedzic tak skoro przystał na tych kilka setek, że można było śmiało żądać z tysiączkę.

— No, no — pocieszał się — jakoś to będzie. Co się odwlekło, to nie uciekło. Poznawszy naturę dziedzica, będziemy umieli zastosować się na przyszłość.

Poufny ten monolog przerwało nagle wejście walecznego aktuarjusza, naszego nieocenionego pana Gustawa Chochelki i jego nieodstępnej suki Pepity.

Godny *alter ego*¹ pana mandatarjusza, upędziwszy ćwierć mili w piekielnym przestachu, opamiętał się jakoś, że przecież bądź co bądź grochowym nabojem nie mógł zabić na śmierć swego pryncypała.

— Mój Boże! — szepnął żałośnie — nieraz dziesięć razy

<https://rcin.org.pl>

¹ drugie ja.

strzelę, nim jednego wróbla ubiję, a teraz odrazu miałbym zastrzelić pana sędziego! A pan sędzia przecież nie wróbel!

Po tej logicznej uwadze zaczął pan Chochelka spokojnie zastanawiać się nad stanem rzeczy. Przypomniał sobie najwyraźniej, że strzelając w swem bohaterskiem uniesieniu, mierzył w górę, prosto w niebo.

— Jakimże więc sposobem mogłem trafić w niego! Chyba się już djabeł usadził! — lamentował dalej.

Tym trybem rozpamiętywał biedak dalej swoje położenie, a im więcej zagłębiał się w myślach, tem silniej utwierdzał się w przekonaniu, że kiedy do ubicia jednego wróbla potrzebował dziesięciu strzałów, dla pana mandatarjusza w żaden sposób nie mógł wystarczyć jeden, bo przecież, jak arcytrafnie i logicznie zauważał, pan mandatarjusz nie wróbel!

— Ho, ho, jemuby i wół nie sprostął! — pocieszał się w ciężkiem utrapieniu.

I po tym ostatecznym argumencie nie myślał już uciekać dalej.

— Niech się dzieje, co chce, powrócę do domu — zawyrokował stanowczo. — Głowy mi nie urwą!

Miał rację, zupełną rację pan aktuarjusz! Głowie jego żadne nie zagrażało niebezpieczeństwo!

Ale bo też byli złośliwi ludzie, co utrzymywali głośno i otwarcie, że pan Chochelka nie ma wcale głowy, wbrew silnemu przekonaniu innych, którzy mniej ujemni w swych sądach, przyznawali mu na wszelki wypadek pół głowy, czyli raczej *pół główki*.

Bądź jak bądź, z całą czy połową głowy, pan Gustaw Chochelka postanowił wrócić do domu i mężnie stawić czoło wszelkiemu niebezpieczeństwu.

Trochę mdło mu się zrobiło koło serca, kiedy zbliżał się do prześwieatnej dominji, ależ zato widzieć go było o kilka chwil później, kiedy spotkawszy się z policjantem, dowiedział się, że nietylko ten sam żadnego nie poniósł uszkodzenia, ale i pan sędzia zdrów jak ryba i właśnie co długą z dziedzicem odbył konferencję.

— Teraz rewizorów przywołał do kancelarii — kończył policjant — ale wygląda coś bardzo rozsierzony.

Pan aktuarjusz w jednej chwili w innego zmienił się człowieka.

Skurczona z przestachu postać wyprostowała się w całej swej niepospolitej długości, wybałuszone na wierzch oczy cofnęły się o pół cala do swych jam, wybladła twarz zajaśniała hardym uśmiechem.

Szkoda, że zwierciadła nie było pod ręką. Pan Chochelka byłby sam do siebie zalotnemi strzelił oczyma, tak się naraz wydawał pięknym, wspaniałym, imponującym!

Poprawił naprędce zawiesiste bakenbardy, podciągnął sztywne kołnierzyki, potarł z impetem czuprynę i dalej co tchu na prześcigi z swą wierną Pepitą popędził ku domowi.

Jak bomba wpadł do kancelarii i zabójczemi dokoła miotając spojrzeniami, zawołał zdyszany głosem:

— To, to! djabeł go tam dopędził!

— Kogo? — zapytał mandatarjusz zdziwiony.

— A tego łotra, rozbójnika!

— Maziarza?

— Pół mili pędziłem za nim!

Pan mandatarjusz zgłupiał zupełnie i niemilosierpie rozdziawił gębę.

— P... p... pędziłeś?... — zająknął się.

— Ale cóż? Nie mogłem nigdzie przydybać konia, a piechotą ani rusz dopędzić łotra!

Pan mandatarjusz teraz dopiero opamiętał się z swego zdziwienia, a przypominając sobie jednocześnie ten wystrzał niespodziewany, co go w tak niefortunną potracił sytuację, zmarszczył brwi, przygryzł wargi i gniewnie wzruszył ramionami.

— At, milczałbyś pan do licha — ofuknął z oburzeniem. — Za kogoż mię to masz, abym wierzył twoim banialukom!

Pan aktuarjusz zaperzył się urażony.

— Wolno wierzyć albo nie wierzyć, jak się panu sędziemu podoba! — burknął zuchwale.

Pan sędzia groźnie podniósł się na pięty, ale wtem na

szczęście pana Chochelki rozwarły się drzwi i w żołnierskiej postawie wszedł Mykita Ołańczuk.

Twarz pana sędziego surowy i złowrogi przybrała wyraz.

Pociągany do protokołu Ołańczuk powtórzył szczegółowo wszystko to, co wczoraj i dzisiaj wyznał przed Juljuszem.

Pan sędzia, ukończywszy śledztwo, w zamyśleniu przechadzał się po pokoju.

— Kombinując cały stan rzeczy, — szeptał przez zęby — na nader ważne można wpaść odkrycia. Ktoby tylko mogła być ta jejmościanka z jasnymi włosami?! Ach, żebym też to wszystko doniósł! Pan komisarz Schnoferl przebłagałby się w swej niechęci do mnie i na całym arkuszu wypaliłby mi reskrypt pochwalny. Dalibóg trzeba nad tem pomyśleć!

A obracając się do swego nader pilnie przy stoliku zajętego aktuarjusza, podyktował mu zwykłą formułkę, zamykającą protokół, a potem sam wziął pióro do ręki i z wielkim zamachem i kunsztownymi wykrętami nakreślił swoje imię z niezbędnym przydatkiem tytułów: *Mandatar und Polizeirichter*.

— Skończone! — mruknął i odetchnął po ciężkim trudzie.

— A cóż, proszę wielmożnego sędziego, stanie się z Kostiem? — zapytał Ołańczuk z właściwym sobie wyrazem zawziętej nienawiści.

Mandatarjusz groźnie nasrożył wąsy.

— Z Kostiem, nie wiem, — mruknął z przyciskiem — ale ty pójdziesz do aresztu.

— Ja! za co?

— Ukradłeś konia, urwiszu!

Ołańczuk skoczył jak opętany i przeżegnał się całą pięścią.

Pan sędzia krzyknął na policjanta.

— Okuj mi tego lotra i wsadź do tylnego aresztu!

— Ależ dla Boga, ja nie wiem nic o żadnym koniu...

Mandatarjusz przerwał mu dalszą ekskuzę¹ głośnym policzkiem.

— Milcz, lotrze!

<https://rcin.org.pl>

¹ uniewinnienie się.

— Ależ, łaskawy sędzio.

— Ho, ho, już ty się przyznasz ptaszku, jak parę miesięcy posiedzisz o chlebie i wodzie.

— Parę miesięcy!... — wyjęknął Ołańczuk z dziką złością.

Pan mandatarjusz skinął tylko ręką, a barczysty policjant w okamgnieniu założył kajdany ex-żołnierzowi i za kark wyprowadził go z kancelarji.

Pan mandatarjusz odsapał i odkrząknął należycie i spojrział na zegarek.

— Pierwsza! — zawołał jakby przestraszony. — Niech djabli porwą, człowiek jak koń pracuje! Przed czwartą porwałem się z łóżka i do pierwszej nie można było odetchnąć.

Pan Chochelka niemem tylko westchnieniem zawtórował skardze swego czcigodnego pryncypała.

W tej chwili z trzaskiem rozwarły się drzwi, a pani sędzina wpadła zadyszana do pokoju.

— Ty nic nie wiesz! — krzyknęła z pełnej piersi na wstępie.

Pan mandatarjusz wytrzeszczył oczy.

— Sięczkowska tu była z Oparek!

— I cóż?

— Powiadam ci, dziwne rzeczy dzieją się we dworze! — trzepotała prędko, jakby w obawie, aby jej kto nie uprzedził.

— Cóż przecie?

— Wyobraź sobie: ten przybysz nieznajomy, ten Czort... Czort... at! djabeł go tam wie, jak się nazywa!

— Katylina?

— A tak, ten Katylina zniknął gdzieś bez wieści i słyhu.

— Eh! — mruknął pan mandatarjusz, nie dowierzając.

— Ale powiadam ci, tej nocy *punkt* o dwunastej kazał się obudzić lokajowi i uzbrojony w dubeltówkę, cztery pistolety, sztylety i pałasze...

— Co, co, co? — przerwał mandatarjusz, cofając się o parę kroków wtył.

— Powiadam ci, Sięczkowskiej wszystko to opowiadał sam Filip, który mu konia przyprowadził. Dziedzic o niczem nie wiedział.

Mandatarjusz z niedowierzaniem pokiwał głową.

— Ale powiadam ci: rano kazał go szukać, ale nie było nigdzie ani śladu, dopiero dziś w południe powrócił...

— Powrócił?

— Sam koń bez swego jeźdźcy.

— Owa!

— Dziedzic lata po pokojach jak opętany, bo nie wie, co o tem myśleć.

— Zapewne urwisz gdzieś kark skręcił, jak mu to przepowiedziałem — mruknął mandatarjusz, z zadowoleniem zacierając ręce.

Jak widać, przeklęty Katyliną ciągle jeszcze okrutnego nabawiał go przestachu i respektu.

— A gdzież Sięczkowska? — zapytał nagle swoją połowicę.

— Jest u mnie.

— A to można się wszystkiego dowiedzieć od niej samej — mruknął, wychodząc z kancelarji.

W progu zatrzymał się na chwilkę.

— Dobrze rozważywszy, to i to jest jedna z wiadomości, za którąby się pan Schnoferl pewnie nie gniewał.

XVI

WĄTPLIWOŚCI

Idąc niewolniczo za tokiem wypadków, musimy znowu zajrzeć do hrabiowskiego pałacu w Orkizowie.

Hrabia zamknął się w swej kancelarji i jakąś ważną i tajemną konferencję wytoczył z Żachlewiczem, którego mieliśmy sposobność poznać nieco bliżej za pierwszym razem.

Hrabina otrzymała świeżą przesyłkę książek i nut i od kilku godzin już zaczytała się zawzięcie w najnowszym podówczas dziele Eugenjusza Sue: ¹ *Martin l'enfant trouvé*. Nagle szybki krok dał się słyszeć w przyległym pokoju, a do przepysznie urządzonego buduaru wpadła jak strzała Eugenja.

<https://rcin.org.pl>

¹ Eugenjusz Sue, powieściopisarz francuski, napisał szereg romansów sensacyjnych; *Marcin Podrzutek* wyszedł w 12 tomach dopiero w r. 1847.

Hrabina podniosła książkę w rękę i wpatrzyła się w córkę z niemem zapytaniem.

Eugenja wracała właśnie z przechadzki po ogrodzie. Miała na sobie lekką suknię muślinową i biały przystający pikowy kaftanik po wierzchu, a w rękę trzymała okrągły ryżowy kapelusz z szerokimi krysami. Na twarzy jej malowała się zwyczajna wesołość i swoboda, granicząca o dziecięce roztrzepanie.

— Niech mnie mama łaje jak chce — zawołała zaraz na wstępie — ale znowu nasłuchiłam się bez liku nowin od Solczaniowej!

Rozdrażniona cokolwiek swą zajmującą «lekturą» hrabina skrzywiła się niechętnie.

— *Ma chère*,¹ zaczynasz, jak widzę, znajdować coraz większe upodobanie w rozmowach z Solczaniową!

— Ależbo, kochana mamó, to jedyna, nieoceniona, nieoszacowana kobieta. Wobec niej traci wszelki pozór nadzwyczajności najświetniejszy wynalazek naszych czasów...

— *Le telegraphe electrique*!² — dokończyła hrabina z przymuszonym uśmiechem.

— O, niezawodnie! Wyobraź sobie, kochana mameczko, mamy teraz dopiero piątą po południu, a ona wie już z największą dokładnością, co się dziś stało w całej okolicy i już z swej kroniki dzisiejszej dwa osobliwsze opowiedziała mi zdarzenia.

Hrabina zrobiła gest, jakby nie bardzo była ciekawa tego wszystkiego.

Eugenja nie zważała na to i prędko ciągnęła dalej:

— Nie uwierzyłaby mamcia, jak dziwne rzeczy dzieją się w naszym najbliższem sąsiedztwie.

— Zapewne nowa bajeczka o zaklętym dworze.

— Bynajmniej.

Hrabina wzruszyła ramionami i przysunęła książkę bliżej ku oczom, jakby żałowała czasu na próżną rozmowę.

Eugenja poskoczyła zręcznie ku matce i w pośpiechu ucałowała jej drobną, arystokratyczną rękę.

<https://rcin.org.pl>

¹ moja droga.

² telegraf elektryczny.

— Musisz i ty posłuchać, kochana mamó, bo obadwa wypadki, to jakby żywe epizody najciekawszego romansu.

— *Enfant!...*¹ — szepnęła hrabina z pobłażliwym uśmiechem.

— *Imaginez-vous,*² wszystko to stało się u naszego sąsiada czy kuzyna...

— *Chez qui?*³

— U pana Juljusza.

Hrabina wydeła spodnią wargę.

— Przed dwoma czy trzema dniami — prawda dalej Eugenia — przybył do niego jakiś dawny znajomy, kolega szkolny, przyjaciel...

— Mówił mi wczoraj o tem Żachlewicz — przerwała hrabina.

— A wymienił ci i jego nazwisko?

— *Ah, c'est un homme bizarre, singulier!*⁴

— Damazy Czorgut, czy Czorgat.

Hrabina wstrzęsła się, jakby samo to brzmienie działało nieprzyjemnie na jej nerwy.

— *Mais que veux-tu donc de ce bonhomme?*⁵ — ozwała się wreszcie od niechcenia.

— Wyobraż sobie, kochana mameczko, jak tylko pojawił się w Oparkach, owdadnął wszystko i wszystkich do tego stopnia, że on, a nie Juljusz, zdawał się oficjalistom panem w domu.

Hrabina znowu niezadowolnioną zrobiła minę.

— W czymże mię to może interesować? — przerwała.

— Ależ bo nie dasz mi dokończyć. Chwilkę tylko cierpliwości! Człowiek ten, zabawiwszy zaledwie dwa czy trzy dni w Oparkach, kazał sobie tej nocy osiodłać konia i, nie mówiąc nic nikomu, wyjechał uzbrojony od stóp do głowy. Służąc⁶ mu przyprowadził konia, domyślał się, że na jakąś szczególną gotował się wyprawę, bo pistolety podwójnymi zaopatrzył na-

¹ dziecko. ² wyobraż sobie ³ u kogo?

⁴ człowiek osobliwy to, dziwaczny. ⁵ lecz cóż chcesz od tego pocziwca?

bojami i wsiadając na siodło, mruknął półgłosem: Niech się dzieje co chce, odważam się na wszystko.

Hrabina uśmiechnęła się z wzgardliwą ironją.

— I cóż dalej? — zapytała.

— Otóż popędził gdzieś i nie powrócił więcej.

— Zapewne zaraz pokaże się jakiś deces¹ we dworze — wtrąciła hrabina.

— Broń Boże! był to przecież ścisły przyjaciel pana Juljusza!

— Więc może wrócić jeszcze.

— Około południa wrócił jego koń, sam bez jeźdźca i co szczególna, przybiegł z przerwanaą uzdą i raniony w bok, jakby go ktoś pchnął szablą lub dzidą.

Na zimnej, dumnej twarzy hrabiny wybił się wyraz lekkiego zdziwienia.

— I cóż dalej?

— Pan Juljusz myślał, że w przejażdżce spotkał go jaki przypadek i wysłał go szukać na wszystkie strony, Ale dotąd nie przydybał nikt ani śladu po nim.

— Szczególna!

— Równocześnie osobliwszy wypadek zdarzył się w Buczałach.

— W Buczałach?

— Strażnicy finansowi przytrzymali gdzieś w drodze jakiegoś mazarza, którego twarz i cała powierzchowność wydała im się wielce podejrzaną. Chcieli przetrząść jego wózek, ale on stawiał zawzięty opór i gdyby nie dwóch przejeżdżających przypadkowo huzarów, byłby obronił się przeciw wszelkim natarciom. Przestraszywszy się zaś huzarów, dał się zaprowadzić do mandatarjusza. Tu...

— Tu?

— Chciano koniecznie przetrząść jego wózek, ale ujrawszy, że obadwaj huzary odjechali napowrót, odzyskał całą zu-

¹ zgon.

chwałą odwagę i energję i dobywszy parę pistoletów z zana-
drza, przemocą utorował sobie drogę.

— *Est-il possible?*¹ — krzyknęła hrabina.

— Mandatarjusz sam i jego policjant o włoskę tylko uszli
śmierci, u strażników skończyło się wszystko na przestachu.

— I to dziś się stało?

— Dziś rano. Nie wiem skąd, ale wszyscy domniemywają
się pewnego związku między jednym a drugim wypadkiem...

— Pewnego związku! — powtórzyła hrabina, nadspodzie-
wanie zaintrygowana całem opowiadaniem.

— Mówią, — kontynuowała Eugenia — że w wózku tym
zamiast mazi znajdował się trup tego Czorguta, ale to zapewne
dodatek z fantazji naszej pocziwej Solczaniowej.

— Kto wie — mruknęła hrabina pod wpływem świeżo
odczytanych rozdziałów *Marcina Podrzutka*.

Eugenia parsknęła wesołym śmiechem.

— Mamcia zapomina, — poderwała — że pocziwa na-
sza Solczaniowa wie i opowiada nietylko wszystko, co się stało,
ale i co się stać mogło. Otóż przypuśćmy, że pół z tego wszyst-
kiego stało się rzeczywiście, a drugie pół stać się tylko mogło,
a zamiast tragedji otrzymamy komedję.

Hrabina chciała coś odpowiedzieć, ale zatrzymała się
nagle i pilnie nadstawiła uszu.

Na dziedzińcu rozległ się turkot powozu.

Eugenia poskoczyła do okna i klasnęła w ręce z radości.

— Pan Juljusz! — krzyknęła. — Otóż o wszystkim do-
wiemy się najlepiej!

— Pan Juljusz! — powtórzyła hrabina przeciągle, jakby
zdziwiona tak prędkiem powtórzeniem wczorajszej wizyty.

Juljusz tymczasem wysiadł z powozu i szybko wbiegł na
marmurowe schody ganku.

Wstępując do sieni dworu, spotkał się oko w oko z Ża-
chlewiczem, który po dłuższej konferencji wychodził z kance-
larji hrabiego. Skulony i skrzywiony jak zawsze, przesuwał się
milczkiem popod ścianę, a kłaniając się nisko Juljuszowi z swym

<https://mem.org.pl>

¹ czy to możliwe?

zwyczajnym fałszywym, obleśnym uśmiechem, rzucił nań zukosa jakieś szczególniejsze zagadkowe spojrzenie.

Juljusz wzdrygnął się zlekka. Sam nie wiedząc czego, doznał w tej chwili jakiegoś nieprzyjemnego, przykrego uczucia, jak człowiek, co niespodziewanie potraci nogą ukrytą w gęstwinie gadzinę lub inny jaki płaz obrzydliwy.

Prawie mimowolnie obejrzał się za nieznanym sobie jegomością, a choć nie obaczył już więcej jego fizjognomji, jakąś dziwną, niepojętą uczuł do niego odrazę.

Przytłumiając w sobie jednak to nieprzyjemne wrażenie, starał się ile możności przybrać wyraz spokojny i swobodny, zwłaszcza że ważną założył sobie misję dyplomatyczną. Miał bowiem z wszelką delikatnością dać poznać hrabiance, jak groźna nad jej tajemnicą zawisła chmura i jak usilnej potrzeba przeczności, aby uniknąć wiszącego niebezpieczeństwa.

Za kilka chwil znalazł się już w gronie rodziny hrabiowskiej, ale dziwne jakieś pomieszanie i zakłopotanie wybiło się na jego twarzy.

Hrabina i córka, rozciekawione nowinami swej klucznicy, przyjęły go wprawdzie z zwykłą uprzejmością, ale hrabia wydawał się zupełnie zmienionym.

Jeśli już wczoraj uderzały w nim większy chłód i większa niż zawsze duma, to dzisiaj tem wyraźniej nasuwało się jeszcze to spostrzeżenie.

Hrabia wyglądał widocznie jak nie w swoim humorze, a odpowiadając obowiązkom gościnności, nagradzał lodowatą grzecznością niezwyczajnie rażący wyraz dumy, jaki się wybił na jego twarzy.

Ale prócz tego wyrazu twarz ta w tej chwili inne jeszcze nosiła cechy. Hrabia jakby się o kilka lat postarzał nagle, usta miał spalone, czoło licznemi okryte zmarszczkami. Przebiegało się na pierwszy rzut oka w tych pięknych, szlachetnych rysach, że hrabia z jakimś ważnem pasował się postanowieniem i jakąś ciężką wewnętrzną staczał walkę.

Ten szczególniejszy stan hrabiego, a nadewszystko niezachwiana wesołość, spokój i swoboda hrabiówki pomieszały zupełnie szyki biednemu młodzieńcowi, który podobnie jak po

swem widzeniu w pustym ogrodzie wszystko spodziewał się zastać inaczej.

Po dzisiejszem spotkaniu w buczalskim wygonie przygotował się na kłopot i pomieszanie hrabianki, a tem samem na kłopot i pomieszanie rodziców, którzy nie mogli przecie nie wiedzieć o nocnych tajemniczych wycieczkach córki jedynej.

Zamiast tego wszystkiego zastał rodziców oziębłych, obojętnych, zdziwionych widocznie jego przybyciem, a córkę jeszcze weselszą i swobodniejszą, niż zazwyczaj. Napróżno bił się zawzięcie z myślami, jak pojąć i rozwiązać tę zagadkę i od czego wreszcie najstosowniej rozpocząć kampanję.

— Umiałaby do tego stopnia panować nad sobą? — pomyślał w duchu, wlepiając bystry wzrok w piękną, jasną i pogodną twarz młodej dziewczyny.

Przypuszczenie to wydało mu się dziecinnem, niedorzecznem. Taka moc nad sobą i zręczność w udaniu nie godziła się ani z wiekiem, ani z wesołem usposobieniem hrabianki.

Tem niepodobniej wydawało się jeszcze, aby tajemnicę swoją umiała zachować i wobec rodziców, aby w przebraniu uciekała się pod opiekę prostego kozaka, bez wiedzy i woli matki.

Goniąc w myślach za nicią Arjadny¹ do tej szczególniejszej zagadki, w coraz większą wikłał się gmatwaninę i tem głębiej brnął w ciemność.

Eugenja spostrzegła przykre usposobienie młodzieńca i jakby chcąc naprowadzić go na tor żywszej rozmowy, zagadnęła żywo:

— Ależ nie opowiadasz nam pan nic o tych szczególniejszych wypadkach, jakie miały zajść u jego mandatarjusza.

Juljusz drgnął zlekka.

— Już wie o tem — pomyślał.

— Czy już doszły do wiadomości pani? — zapytał z udanem zdziwieniem.

¹ Arjadna, córka króla kretęjskiego, miała dać Tezeuszowi kłębek nici, aby go uchronić przed zgubieniem się w labiryncie.

— Nasza klucznica przez swoje rozliczne korelacje¹ oficynowe otrzymuje bardzo prędko podobne nowiny.

— Słyszałem także o tem wszystkiem od Żachlewicza, ale wątpiłem, aby to była prawda — wtrącił hrabia.

— Żyjemy w ważnym okresie czasu — przemówił Juljusz ze znaczeniem.

— *Comment?...²* — poderwała hrabina, nie pojmując znaczenia odpowiedzi.

Juljusz z boku bystro i uważnie śledził każdy ruch Eugenji.

— Dwóch strażników finansowych omal nie dostało w ręce człowieka, który przebrany za maziarza miał podobno więcej na celu rozwój i postęp myśli ludu niż bieg kół u wozu.

— Ah! — zawołał hrabia i gwałtownie ruszył się wraz z fotelem.

— *Que dites-vous!³* — wykrzyknęła jednocześnie hrabina.

Eugenja nie powiedziała, ale jej oko lysnęło, a Juljuszowi zdało się, że i pierś podniosła się cokolwiek.

— Ale umknął szczęśliwie? — zapytał śpiesznie hrabia.

— Ocalał jakby cudem, ale na nieszczęście...

— Na nieszczęście — podchwycił hrabia skwapliwie.

Juljusz uważał, że Eugenja jakby z przestachu zlekka rozwarła usta i zdawała się oddech zatrzymywać w sobie.

— Przy tej i innej sposobności pozostały pewne ślady i wskazówki, — ciągnął młodzieniec powoli dalej i bystre w hrabiance utkwiał spojrzenie — które mogą łatwo naprowadzić do wykrycia jeśli już nie jego samego, to przynajmniej skojarzonych z nim osób.

Hrabia coś niezrozumiale mruknął przez zęby.

— I tym to wielkie zagraża niebezpieczeństwo, — kontynuował Juljusz — bo cyrkuł zwrócił już i tak uwagę na ich zwyczajne miejsce zebrania.

— Jakto, miejsce to już znane? — zapytał hrabia z nietajonym niespokojem.

— Ach, to byłoby okropnem! — wykrzyknęła Eugenja,

<https://rein.org.pl>

¹ stosunki.

² jak?

³ co mówisz!

a Juljuszowi się przywidywało, że lekki dreszcz przeszedł ją od stóp do głowy.

Juljusz po krótkiej pauzie, jakby umyślnie wymierzonej na podniesienie efektu słów następnych, odezwał się z pewnym uroczystym smutkiem:

— Niestety, miejsce to jest już dziś zwierchności podejrzanego, a po łada śledztwie pana komisarza Schnoferl może być zupełnie zbadane.

— I miejsce to jest?... — zapytał hrabia z silnem zajęciem.

— Zaklęty dwór!

Hrabia o krok wtył posunął się z fotelem, a hrabianka klasnęła w dłonie, a potem jeden paluszek przyłożyła do marmurowego czoła i powtórzyła przeciągle, jakby jakąś długo ukrytą odgadując tajemnicę:

— Dwór zaklęty!

Te nagle gesta, ten niespodziany ton mowy obaliły jednym zamachem wszystkie dotychczasowe wywody i podejrzenia Juljusza.

Żywy jej udział mógł być tylko interesem dla sprawy samej, jej trwogę i obawę zdawało się obce tylko wzniecać niebezpieczeństwo.

Zachwiany w swoich badaniach Juljusz miał już zrzucić przybraną maskę dyplomatyczną i wypowiedzieć wręcz swe przestrogi, ale powstrzymał się nagle, zrażony chłodem i obojętnością hrabiego.

— Ile mnie dotychczas wiadomo, — zabrał głos, wracając do przyjętej roli — znajduje się pomiędzy zagrożonymi uczestnikami schadzek w zaklętym dworze jakaś młoda, zda się, z wyższego stanu dziewczyna!

— Owa sylfida ogrodowa, niezawodnie! — wykrzyknęła Eugenia.

— I mnie się tak zdaje — powtórzył Juljusz z silnym naciskiem...

— A na czemże się opiera pańskie przypuszczenie?

— Jeden z moich poddanych zeznał do protokołu, że dniem naprzód widział owego maziarza jadącego ku zaklętemu

dworowi, gdzie pod bramą oczekiwał go Kost' Bulij z jakąś młodą panną...

— Której opis zgadza się z pańskimi spostrzeżeniami — kończyła domyślna hrabianka.

— Jota w jotę, pani — przyznawał młodzieniec z szczególniejszem spojrzeniem.

Eugenja podrzuciła główkę, jakby sobie coś przypomniała.

— W takim razie pozostaje mi tylko przeprosić pana — odezwiała się z uśmiechem.

— Mnie! — wybąknął Juljusz zdziwiony.

— Pokazuje się, że sylfida pańska była rzeczywistą istotą.

— O, tego byłem pewny od samego początku!

Młoda dziewczyna z ironicznym uśmiechem wzruszyła ramionami.

— U mnie zaś niestety dotąd pozostają jeszcze niejaki wątpliwości — poszepnęła z lekkim skinieniem ręki.

Hrabia siedział dotychczas zatopiony w myślach, nagle podniósł głowę i, spozierając uważnie w twarz młodzieńca, zapytał:

— Czy mandatarjusz pański zrobił użytek z wszystkich tych zeznań?

— Broń Boże! Lecz i tak już zwrócona uwaga zwierzchności; to też lada dzień może zjechać na śledztwo komisarz, urzędnik wielce gorliwy...

Hrabia pochylił nieco głowę, a Juljuszowi zdawało się, że lekki rumieniec wybiegł na jego lica.

— To przynajmniej z Kostiem nie omieszkasz się pan rozmówić.

— Bylbym to już dziś uczynił, gdyby mię nie zaprzętnął inny szczególny wypadek w moim domu.

— Ah! — zawołała hrabina, przypominając sobie posłyszana świeżo historję o Czorgucie.

Juljusz ciągnął dalej:

— Przed dwoma dniami przybył do mnie mój dawny kolega szkolny i miał dłuższy czas spędzić u mnie, ale wczoraj wyjechał gdzieś konno w nocy, uzbrojony w moje pistolety,

i dotąd nie wrócił. Koń jego przybiegł z przerwana uзда i ranny ciężko w bok.

— Więc to prawda! — krzyknęły jednocześnie matka i córka.

— Szczególna... — mruknął hrabia.

Juljusz potarł czoło i prawił dalej:

— Nie wiem wcale, co sądzić o tem zdarzeniu. Mój przyjaciel, jest to człowiek zapamiętałej odwagi, posuniętej aż do szalonej zuchwałości, ale nie mogę dociec, gdzieby mógł popaść w takie niebezpieczeństwo.

— Może spadł poprostu, a koń przebił się o kół od płotu.

— To zdawałoby się wcale prawdopodobnem, gdyby nie przerwana uзда!

— Na jakież pan tedy wpadasz domysł?

— Lękam się, czy nie zagnawszy się przypadkowo pod zaklęty dwór, nie popadł tam jakiemu przypadkowi.

— Ależ dla Boga — poderwała Eugenja — z zaklętego dworu robi się naprawdę coś zakłętego.

Hrabia wzruszył ramionami, a hrabina coś niezrozumiale szepnęła po francusku.

W tej chwili wszedł galonowy lokaj do salonu i na srebrnej tacy przyniósł list opieczętowany.

— Do jasnej pani — rzekł z ukłonem.

— Z poczty?

— Przez umyślnego ze Szwydki.

— Od Adamowej — wykrzyknęła hrabina i skwapliwie pochwyciła za list.

— *Vous permettez, monsieur*¹ — zwróciła się do Juljusza i otworzyła list z pośpiechem.

Chwilkę przebiegła szybko oczyma po różowej karcie listowej, a naraz oderwała się od czytania.

— August powrócił!

— Powrócił! — wykrzyknęła Eugenja i z taką jakąś radością poskoczyła w krzesło, że Juljusz, sam nie wiedząc czego,

¹ pozwoli pan.

zadrżał na całym ciele i uczuł, że mu się jakoś gwałtownie ścisnęło serce.

Eugenja, jakby czuła potrzebę wytłumaczyć się z swego nagłego wybuchu radości, zwróciła się do Juljusza i rzekła:

— August... to mój kuzyn, jakiś brat cioteczno-wujeczny, spółnik i towarzysz zabaw i igraszek dziecinnych. Wraca obecnie z zagranicy, gdzie przepędził całe trzy lata.

Tłumaczenie to, zamiast pomniejszyć, powiększyło w Juljuszu tylko nieprzyjemne wrażenie pierwszej chwili.

Odtąd zupełnie już stracił humor, a wmawiając w siebie, że dopełnił już swego obowiązku, zbył jak najkrócej swą wizytę i pożegnał się z hrabstwem.

Hrabia nie próbował go zatrzymywać i ani jednym słowkiem nie ponowił dawnych zwyczajnych zaprosin, a do właściwego wyrazu jego fizjognomji przymieszało się widocznie przy pożegnaniu jakieś mimowolne pomieszanie i zakłopotanie.

Nie uszło to uwagi Juljusza, a oczywiście nowe stąd wysnuwały się uwagi i wątpliwości.

Przekonany silnie, że tajemniczą nimfą ogrodową i współniczką śmiałych zamiarów pseudomaziarza nie był nikt inny jak tylko młoda nadobna hrabianka, wykladał sobie młodzieniec po swojemu owe szczególniejsze zakłopotanie hrabiego.

Wszakże z tem wszystkiem niepodobna było uwierzyć, aby sama szesnastoletnia dziewczyna do tego stopnia posunęła udanie i tak ogromną posiadała władzę sama nad sobą, żeby potrafiła niewzruszona i niezachwiana wytrzymać śledztwo wzroku, któreby mogło przynieść zaszczyt najprzenikliwшему instygatorowi policyjnemu.

Wyjeżdżając za bramę dworu, popadł w walkę tych samych domysłów i wątpliwości, z jakimi bił się w powrocie z swej ostatniej wizyty w Orkizowie.

Własny wzrok, szczególny zbieg wypadków i te i owe spostrzeżenia następne zdawały się najdobitniej stwierdzać powzięte podejrzenia, kiedy tuż zaraz nowa jakaś okoliczność najsmutniejszy wszystkim zadawała kłam.

Do tych myśli i rozpamiętywań mieszało się i wspomnie-

nie owego Augusta, którego powrót z zagranicy w tak wielką radość wprowadził Eugenję.

Przypomniał sobie teraz, że o tym Auguście częste poprzednio słyszał wzmianki. Był to młody hrabia August Wyklicki, kuzyn hrabiny i bliski sąsiad majątku hrabstwa.

Juljusz nie widział go nigdy, słyszał o nim bardzo mało, a jakąś dziwną instynktową czuł już ku niemu zazdrość i odrazę.

Pochylił głowę na piersi i zamarzył głęboko, a czasami tylko jakieś z piersi wyrwało się westchnienie i jakieś słówko cichym szmerem wymykało się z zaciśniętych ust.

Powóz tymczasem skręcił w bok wzdłuż szerokiego łąnu żyta, który jednolitym obszarem ciągnął się aż po jedną stronę żywopłotu przy ogrodzie pałacowym.

Podjeżdżając pod mały pagórek powóz zwolnił cokolwiek w biegu, a w tej samej chwili pędem błyskawicy jakaś postać wyskoczyła z żyta i jednym susem dopadła stopni powozu.

Wyrwany niespodziewanie z swego głębokiego zamyślenia, nie mógł Juljusz lekkiego przytłumić wykrzyku. Wykrzyk ten wzmógł się jeszcze, kiedy w tej jakby z nieba spadłej postaci poznał Katylinę *in propria persona*.¹

Niepoprawny awanturnik, któregośmy w tak nieprzyjemnej pozycji zostawili w czerwonym pokoju zakłętego dworu, wyglądał dziwnie jakoś zmieniony na twarzy. Zatarł się ów zuchwały, wyzywający wyraz oczu, znikł ów drwiący, rubaszny uśmiech lekceważenia z ust zaciśniętych.

W tym momencie pan Damazy Czorgut wyglądał na przyzwoitego, jakąś ważną sprawą zaprzątzonego człowieka, a w ruchach jego jakiś febryczny przebiegał pośpiech.

— Ty!! tu!!! — wykrzyknął Juljusz zdziwiony.

— Pst!... sza... Nie mam czasu teraz... Nie susz sobie głowę o mnie... Wkrótce się obaczymy... Mam ci wiele powiedzieć... — szepnął urywanym głosem i ścisnąwszy w przelocie rękę osłupiałego z zdziwienia przyjaciela, skoczył z stopnia i w jednym mgnieniu oka znikł napowrót w gęstwinie żyta.

Wszystko to stało się tak nagle, prędko i niespodziewa-

¹ we własnej osobie.

nie, że Juljusz musiał aż przetrzeć oczy, aby całe to spotkanie nie wziąć za senne złudzenie, a biedny furman, posłyszawszy jakiś głos za sobą i obejrzawszy się co żywo, mało lejce nie wypuścił z przestachu, tak szybko mignął i zniknął mu przed oczyma cień jakiejś nierozeznanej bliżej postaci.

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, Juljusz wychylił głowę z powozu, a nie widząc już ani śladu po swym szczególnym przyjacielu, wzruszył ramionami i mruknął półgłosem:

— Nowa zagadka! Kiedyż nareszcie wyjaśni się wszystko!

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

CZEŚĆ DRUGA

I

SPISEK

Upłynęło już kilka miesięcy od ostatnich scen naszej powieści.

Opuszczony na tak długi czas tok działania musiał oczywiście w wewnętrznym swym rozwoju, wewnętrznych swych wpływach i przemianach postąpić znacznie dalej, wszakże ogólny stan rzeczy, ogólna zewnętrzna sytuacja działających osób pozostała niezmienna. Wszystkich naszych znajomych zastaniemy na tych samych stanowiskach, jakie zajmowali poprzednio.

Ale nieuprzedzając czytelnika zawiele, pochwytujemy wątek dalszego opowiadania, a choćby z samego tylko respektu dla powagi urzędu zaczniemy od prześwietnej dominji.

Czcigodny pan mandatarjusz odbywał właśnie jedną z najważniejszych funkcij swego codziennego działania, oddawał się drzymce poobiednej. Pani sędzina posunęła z wizytą do księdzowej, a w kancelarji dominikalnej urzędował pan Gustaw Chochelka sam.

Siedzi właśnie przy brudnym, obryzganym stoliku i gryząc pióro w zębach lub dusząc je zawzięcie w rękę, widocznie sili się z niesłychanem nacięciem na jakiś koncept niepospolity.

Ale niełatwe to podobno dla biedaka zadanie!

Spocił się cały, włosy wzburzył na wszystkie strony, bakenbardy najeżył okropnie, kołnierzyki podciągnął aż powyżej uszu, a zaledwie z trudem i móżolem dwa nędzne wiersze nakreślił na papierze.

Prawdaż bo, że waleczny nasz bohater nie forsuje¹ się nad lada relacją² urzędową, na które dzięki przezorności wyższych władz gotowiuteńkie znajdują się już formularze, że byle tylko uwaga przy przepisywaniu, a idzie jak z płatka.

Pan Gustaw Chochelka inne, ważniejsze wypracowuje zadanie i to *in propriis privatis*.³

Gdybyśmy się umieli przymilić jego tyle interesującej osobie, wyznałby nam pewnie na ucho z pewnym nieopisanym uśmiechem zadowolenia, że konceptuje list miłosny do jakiejś panny Marjanny czy Serafiny, która go, jak powiada, wściekle kokietuje, że już nie może *obstać* dłużej. Chce jej więc wypalić nareszcie wyznanie miłosne po wszelkiej formie, ale dziwnem nieszczęściem koncept jak zaklęty utkwil we łbie i ani rusz dopisać trzeciego wiersza, aby przynajmniej dopełnić zwykłą przyjętą liczbę perfekcji.⁴

Z ciężkiem westchnieniem odczytuje biedak po raz prawie setny:

«Już kilka razy chwyciłem za pióro do ręki, aby zbolełemu sercu memu...»

Ale cóż dalej? Nad tem pan Chochelka od dwu godzin suszył i łamał sobie mózgownicę.

— Popuścić cugle... — mruknął i już zamachnął się piórem, ale nagle się zawahał.

— Popuścić!... popuścić... cugle!... nie — szepnął niezadowolony, skubiąc nieszczęśliwe bakenbardy.

— Aha! — wykrzyknął naraz: — Już kilkanaście razy chwyciłem za pióro do ręki, aby zbolełemu sercu memu *dać wziąć wolność!*...

Znowu niekontent pokiwał głową.

¹ wysila się. ² sprawozdaniem. ³ we własnych osobistych sprawach.
⁴ doskonalej miary.

— Dać... wziąć — poszepnął i z ciężkiem westchnieniem zamyślił się głęboko.

— Przeklęcie — wybąknął gniewnie — nic się nie klei... Jestem przecie odcytany! — dodał, jakby sam siebie wbijając w ambicję.

Pan Chochelka jest odcytany! Prawda! Niech kto tylko wspomniał Mickiewicza, a zaraz podniósł się na pięty, poprawiał bakenbardy i uśmiechnął się jak człowiek, któremu nic tajnego pod słońcem.

— Mickiewicz, Mickiewicz! — wycedził — to ten, co to zrobił wiersze o pani Twardowskiej, o, ja jego *wiem*. Zdurna głowa!

I trzeba wiedzieć, że pan Chochelka nie ograniczał się jedynie na Mickiewiczu. Raz w jednym tygodniu odczytał całego *Rinaldiniego* i *Życie Genowefy*,¹ ale odtąd dał sobie słowo żadnej powieści nie wziąć do ręki.

— Bo takem się przejął temi historjami, żem cały drugi tydzień chodził jak cymbał wierutny! — mawiał.

Pan Chochelka, jak widać, nie lubił przedstawiać się nigdy w swej naturalnej postaci!

Ależ biedak męczy, dręczy i mozoli się w tej chwili, a tu ciężko jak z kamienia! Rób co chcesz, trzeci wiersz nie wykluwa się z głowy.

Pan aktuarjusz splunął gniewnie.

— Tfy do licha! Nie idzie zgoła! a tak tęgą mam głowę — mruknął.

Nie można mu brać za złe tej przechwałki! *Każda liszka chwali swój ogon* — powiada przysłowie, dlaczegożby więc panu Chochelce nie miało być wolno pochwalić *exceptionaliter*² swej głowy?

Mimo jednak tak tęgiej w własnem przekonaniu głowy koncepcja listu nie postąpiła ani o krok dalej.

¹ Rinaldo Rinaldini, słynny dowódca rozbójników włoskich, oraz Podanie o życiu św. Genowefy, książeczki brabanckiej, dwa utwory należące do literatury jarmarcznej i dziś jeszcze cieszą się wśród ludu wielką popularnością; przetłumaczone na język polski miały po kilkanaście wydań.

² wyjątkowo.

— Co tu począć! — wyjęknął w zwątpieniu.

Nagle ręką uderzył się w czoło.

— Utnę wierszem! — wykrzyknął z tryumfem.

— Wybornie! kapitalnie! — pocieszał się po krótkim namyśle, w deklamatorskiej stawiając się pozycji.

— Już kilka razy chwytałem za pióro do ręki — Ażeby serca mego zbolące jęki!

— Tam do diabła! mam wielki talent poetyczny, a dotychczas ani wiedziałem o nim! *Ręki! Jęki!* jaki rym siarczysty! Ej ba, nie koniec na tem, nasuwają mi się dwa nowe rymy: *Ręki, jęki, męki, dźwięki!*

I jakby przestraszony swem niespodziewanem bogactwem pan Chochelka oburącz chwycił się za głowę.

— Cóż to teraz wybrać na miłość Boga? — zagadnął się,¹ tragicznie zwracając oczy. — Serca mego zbolące jęki, zbolące męki, zbolące dźwięki! wszystko dobrze! kapitalnie! wybornie!

I jak szalony zerwał się z krzesła i zaczął biegać tam i nazad po pokoju.

— Serce cierpi zbolące męki — wyśmienicie! Serce puka głośno, a zatem jęczy, a zatem serca jęki, excelentnie!²

Nagle przystanął.

— Serca zbolące dźwięki — to podobno najlepiej, najpoetyczniej! — mruknął w niepewności.

— Et, co tam! — wstrząsł się po chwili namysłu — jęki, męki, dźwięki! wszystkie dobre. Wszystkie wpakuję! Niech wie, że się znam na rymach! Ho, ho, bo to niełatwo do jednej końcówki aż trzech *extrafein*³ dobrać rymów.

Co tchu siadł do stolika i z niemałym jeszcze ponownym trudem i mozolem, jak niemniej z niepospolitem przelaniem potu i inkaustu, wypisał na papier:

Już kilka razy chwytałem za pióro do ręki,
Ażeby serca mego zbolące jęki,
Ażeby piersi mej nieustanne męki,
Ażeby głowy mojej ogniste dźwięki...

<https://rcin.org.pl>

¹ zapytał.

² znakomicie.

³ doskonałych.

Tu utknął i poskrobał się w głowę.

— Dalej? — zagadnął sam do siebie — hm, dalej... dalej...

— Jest! — wrzasnął i poskoczył w siedzeniu:

Wynurzyć dziś tobie,
Jak samemu sobie,
Kiedybym był w grobie,
Albo stał przy żłobie.

Tu wybuchł tym głośnym, urywanym śmiechem, który u dzieci i warjatów ma oznaczać najwyższy stopień radości.

I w samej rzeczy miał się czem cieszyć pocziwiec, cały wiersz ostatni udał mu się, że nic dodać. Sam jeden zamykał w sobie i krytykę poprzednich wierszy, i tytuł, charakter i nazwisko autora!

Na szczęście miał to być na dziś wiersz ostatni.

W tej chwili zajechał jakiś kocz przed prześwietne dominium, a zwolna i ostrożnie wyłaził z niego jakiś chudy, skrzywiony człowiek.

— Pan Żachlewicz, były plenipotent hrabiego z Orkizowa! — wykrzyknął aktuarjusz-poeta, wyzierając przez okno. — Trzeba zbudzić pana sędziego!

I popędził co żywo na drugą stronę.

Pan Żachlewicz wszedł tymczasem do kancelarji i obzie-rając się dokoła, jakby nieśmiały i zakłopotany, zatrzymał się we drzwiach.

Tuż zaraz wpadł pan sędzia z takim pośpiechem, że nawet nie przetarł dobrze zaspanych oczu. Pan Żachlewicz widać wielkie miał u niego znaczenie.

— Do nóg upadam pana dobrodzieja! — zawołał, kłaniając się nisko.

— Sługa i podnózek pana sędziego dobrodzieja — wycedził Żachlewicz i rękę wyciągnął naprzód.

W tej chwili obudwu spojrzenia zetknęły się z sobą i zupełnie różny wyraz wybił się na obu twarzach. Jeden drugiego wietrzył przez skórę. Mandatarjusz zrozumiał na pierwszy rzut oka, że Żachlewicz w jakimś ważnym przybywa do niego interesie i chciałby go łatwym zbyć kosztem.

Żachlewicz ujrzał się odrazu odgadniętym i poczuł instynktowo, że nie z łada przeciwnikiem będzie miał do czynienia.

— Trzeba dobrze się wziąć na kiel! — pomyślał Żachlewicz.

— Trafila kosa na kamień! — tryumfował w duchu pan mandatarjusz.

— Pan dobrodziej już z zagranicy? — zapytał głośno.

— Ledwie co wróciłem.

— Mogę prosić pana dobrodzieja na drugą stronę... mojej żony wprowadzie niema...

Pan Żachlewicz przerwał mu uściskiem ręki.

— Przepraszam pana sędziego, nieładnie to może, ale przyznam się, że przybyłem *li tylko* za interesem, nie chciałbym więc robić subjekeji.¹

Pan mandatarjusz obejrzał się za panem Chochelką, a ten już rozumiał znaczenie tego poruszenia. W takim razie obowiązkiem jego było brać czapkę i wynosić się na przechadzkę. Pan aktuarjusz często nie gniewał się za to wcale, bo szedł sobie zwyczajnie na ogród, gdzie pod cień wielkiej lipy lubiła podchodzić pani sędzina, gdy tylko zaczął ją trapić frasunek.

Żachlewicz i mandatarjusz pozostali w kancelarji.

Pierwszy usiadł na starej, brudnej drelichem² pobitej sofce, drugi z urzędową powagą zajął miejsce na drewnianem krześle w pobliżu.

Żachlewicz się czegoś wahał i namyslał, jakby układał plan kampanji. Mandatarjusz milczał zawzięcie i tylko zukosa zerkał na swego gościa.

— Hm! hm! — krząknął nareszcie Żachlewicz.

— Hum, hum — zawtórował mandatarjusz.

Żachlewicz uśmiechnął się oblesnie, a nie spuszczać przeszywającego spojrzenia z mandatarjusza, cedził zwolna:

— Mam nader ważny i delikatny interes do pana sędziego dobrodzieja.

— O, pan dobrodziej potrzebuje tylko rozkazać! — upewniał z ukłonem mandatarjusz.

— Będzie to mały sekretik.

Mandatarjusz z nabożeństwem pochylił głowę na piersi.

— Przedewszystkiem tedy tajemnica pod słowem honoru — ciągnął z naciskiem Żachlewicz.

Mandatarjusz, zamiast odpowiedzieć, z uroczystą powagą wyciągnął rękę.

Żachlewicz poprawił się w siedzeniu.

— Na uczciwość... — zaczął swoim ulubionem przysłowiem i zawahał się, jakby nie wiedział od czego uderzyć.

— Pan sędzia wiesz zapewne, — zabrał głos po chwili — że przed trzema miesiącami podziękowałem za służbę hrabiemu...

— Słyszałem o tem — odpowiedział mandatarjusz niepospolicie rozciekawiony samym początkiem.

— I jakże pan sobie to tłumaczyłeś, jeśli wolno zapytać?

— Przyznam się, że, jak wszyscy inni, nie wiedziałem bynajmniej co myśleć o tem. Pan dobrodziej, żrenica w oku hrabiego...

Żachlewicz uśmiechnął się po swojemu.

— Dziś muszę się z nim procesować, panie łaskawy — rzekł po chwili.

— Czy być może! — wrzasnął mandatarjusz zdziwiony naprawdę.

— Na uczciwość, była to konieczność nieodzowna.

Mandatarjusz swoim zwyczajem rozdziawił gębę.

— O cóż to poszło? — mruknął, jakby niedowierzając.

— Zaraz kochanemu panu wszystko wytłumaczę, bo będę bardzo potrzebował jego pomocy.

Mandatarjusz uśmiechnął się skrycie, a strasznie go jakoś zaświerzbiała dłoń.

— Proszę tylko rozkazać, w czym mogę służyć — odezwał się po chwili.

Żachlewicz przełożył nogę na nogę, poczy w większy jeszcze niż zazwyczaj wywrócił zyz i prawil dalej powoli, wając w ustach każde słówko.

— Oceniając moje długoletnie wokoło swego domu usługi, pan hrabia przyrzekał mi zawsze pewną gratyfikację¹ osobną...

Mandatarjusz pokiwał głową poważnie, jakby chciał ukryć tym sposobem szyderczy uśmiech, który nagwałt cisnął się na usta.

Zachlewicz nie uważał tego i ciągnął dalej:

— W samej rzeczy też chciał wypełnić obietnicę przed trzema laty.

— Kiedy objął klucz żwirowski? — wtrącił mandatarjusz.

— Tak, wtedy darował mi na wieczne czasy formalnym zapisem jedną wieś całą...

Mandatarjusz aż napół poskoczył z swego siedzenia, tak go jakoś piknęło szczęście jeneralnego rządcy.

— A którą? — zapytał pośpiesznie.

— Buczały! — odpowiedział Zachlewicz jakby od niechcienia.

— Buczały! — powtórzył mandatarjusz i pokiwał głową. Zachlewicz westchnął i machnął ręką.

— Ale cóż, nim jeszcze mogłem darowiznę wziąć w posiadanie i wleźć do tabuli,² przybywa ten klucznik stary, Kost' Bulij!

— Z testamentem!

— Pan hrabia musiał oddać cały klucz, a więc i moja darowizna...

— Poszła *ad acta*³ — kończył mandatarjusz urzędowym przyrównaniem.

Zachlewicz wstrząsł głową.

— Tak znowu nie myślę.

— 'Jakto?

— Darowiznę uważam zawsze za darowiznę; nie dostając więc Buczał, miałem prawo rościć sobie jakiś inny ekwiwalent.⁴

— Słusznie.

¹ gratyfikacją nazywamy w zwyczajnym wyrażeniu pieniądze.

² na hipotekę. ³ poszła do aktów, czyli została zapomnianą.

⁴ wynagrodzenie równej wartości.

— Tymczasem pan hrabia zapatrywał się na tę rzecz inaczej. Utrzymuje, że do darowizny tej skłonił go jedynie nowy przyrost majątku, a z upadkiem tego przyrostu, upada i jej znaczenie...

— Hm, hm — mruknął mandatarjusz i brwi podciągnął do góry.

— Jednem słowem hrabia położył swoją donację¹ jedynie tylko jako skutek własnego posiadania Żwirowa.

— Tracąc zaś sam Żwirów, nie czuł się obowiązany do niczego — uzupełniał mandatarjusz własnym domysłem.

Żachlewicz skinął głową, potakując.

— Mógłbym jednak poprzestać na tem? — zapytał po chwili.

Mandatarjusz krząknął i wzruszył ramionami.

— Udałem się do zręcznych adwokatów — prawili dalej były rzadca jeneralny.

— A ci zrobili panu nadzieję...

— Bynajmniej, przepowiedzieli mi otwarcie przegraną wobec prawa.

— A pan dobrodziej na to...

— Nie straciłem nadziei. Zapis mój upadał wobec prawa dlatego, że upadła i sama sukcesja² hrabiego; w razie jednak jego legalnego³ powrotu do sukcesji, powracam i ja do moich praw na Buczały.

Mandatarjusz rozdziawił gębę, wybałuszył oczy, najeżył wąsy i nastrzygł uszy, ale nie rozumiał nic jak w rogu.⁴

Żachlewicz chwilkę milczał z spuszczonego oczyma, jakby umyślnie chciał mandatarjusza w tem większe jeszcze wprowadzić oczekiwanie.

— Otóż tedy... — zaczął nareszcie.

Mandatarjusz z krzesłem gwałtownie posunął się naprzód.

— Aby przyjść do swej donacji, potrzeba koniecznie wprowadzić hrabiego w posiadanie całego Żwirowa.

Mandatarjusz machnął ręką, jakby zawiedziony w nadziei.

¹ darowiznę.

² spadek.

³ prawnego.

⁴ skrócone przysłowie: głupi, jak tabaka w rogu.

— Panu sędziemu wydaje się to niepodobieństwem?

— A panu dobrodziejowi nie?

— Bynajmniej.

Mandatarjusz zarzucił głowę wtył z wyrazem najwyższego zdziwienia.

Zachlewicz spokojnie cedził przez zęby.

— Mam pewną nadzieję, że przy boskiej i ludzkiej pomocy uda mi się dokazać tego.

— Obalić testament po trzech latach z okładem! — wykrzyknął mandatarjusz.

— W tym razie niema zadawnienia.

— Ależ testament ważny po wszelkiej formie.

— Przeciwnie, na uczciwość, ja myślę, że zupełnie nieważny! — przerwał były rządcą z silnym naciskiem.

— A to jakim sposobem? — zapytał mandatarjusz i aż gębę rozdziawił, aby lepiej słyszeć odpowiedź.

Zachlewicz uśmiechnął się po swojemu.

— Wiadomo panu, że prawo nie wszystkim pozwala rozrządzać swą wolą.

— Jakto? — wykrzyknął mandatarjusz, nie rozumiejąc dobrze.

Zachlewicz ciągnął dalej:

— Są ludzie, którzy wobec prawa nie mają własnej woli, np. więci pod kuratelę...

— Warjaci! — wrzasnął mandatarjusz i niezmiernie wybaluszył oczy, bo nagle zaczęło mu już świtać w głowie.

Zachlewicz pochylił głowę w milczeniu.

Mandatarjusz pięścią uderzył się w czoło.

— Fiufiufiu! — zasyczał.

Ale nagle się zamyślił i z niejakim powątpiewaniem wstrząsł głową.

— A dowody?! — szepnął, brodę wychylając naprzód.

— Po części są już, a po części będą!

— Są już!

Zachlewicz uderzył się po kieszeni na piersiach.

— Różne dokumenty przywiozłem z sobą z Drezna.

— Ehe...e...! — wyciągnął mandatarjusz, jakby się czegoś dorozumiewał.

— Dwóch lekarzy drezdeńskich, przywołanych podczas choroby starościca, wystawiło świadectwo, właściciel i posługacz hotelu, gdzie mieszkał starościc, zeznali i zaprzysięgli do protokołu, że nieboszczykowi brakowało piątej kłepki.

— Fiufiufiu — zaświstał *da capo*¹ mandatarjusz.

— Starościc wyglądał Niemcom na prostego chłopą, przebranego przypadkiem w suknie pańskie. Sam nic nie znaczył, we wszystkim stanowił według upodobania jeden z jego sług, to jest zapewne jeden z kozaków, który traktował swego pana jak chłopą.

— O, ba! już co temu, to nie wierzę. Starościc dałby sobie imponować od kogoś, ulegałby czyjejs woli! A, toto!

— Powiadam panu, kilka osób poprzysięgło ten stosunek między panem i sługą i to jest jeden z główniejszych dowodów obłąkania.

Mandatarjusz pokiwał głową nieprzekonany.

— Ale do czego się tu długo rozwodzić! Zebrane w Dreźnie poszlaki wystarczają wobec prawa — ciągnął Zachlewicz. — Starościc nie był panem swych zdrowych zmysłów, a temsamem i legalnym panem swej woli zagranicą, to już dowiedzione.

— Dokumentnie?

— Najzupełniej.

— Teraz tylko chodzi o to...

Mandatarjusz poruszył się trochę w swem krześle i pilnie nastrzygł uszu.

— O co naprzykład? — zapytał.

— Aby dowieść, że starościc i przed swym wyjazdem zagranicę był... tak... niby...

— *Mente captus!*² — uzupełnił mandatarjusz.

Zachlewicz skwapliwie kiwnął głową.

Panu Gągolewskiemu cała sprawa wyświeciła się jak na

¹ od początku.

² pozbawiony rozumu.

dłoni. Nie mógł już usiedzieć w krześle, porwał się z miejsca i jak opętany jął biegać po pokoju.

— To mi koncept! — wykrzyknął nareszcie nie bez pewnego uczucia zazdrości.

— Do tego potrzebuję jednak pomocy pańskiej, Girgilewicza i innych, co tak długi czas w bliższych ze starościcem zostawali stosunkach.

Mandatarjusz przystanął i mimowolnie dłoń wyciągnął naprzód.

— Aha — mruknął, podnosząc się na pięty i wydymając wargi.

— Od świadectwa panów wiele zależy — kontynuował¹ były rzadca.

Mandatarjusz nadymał się coraz bardziej.

— Trudna to sprawa — rzekł nareszcie — dowodzić komuś po śmierci, że za życia nie miał piątej kleпки.

— Panowie będziecie potrzebowali przytoczyć tylko wszystkie jego dziwactwa i szczególności, których pamięć dotychczas nie zaginęła w okolicy, a to wystarczy.

— Więc pan dobrodziej poprostu zamawiasz sobie moje świadectwo? — zagadnął mandatarjusz z ukośnem spojrzeniem.

— O, więcej jeszcze, panie łaskawy.

— Więcej?

— W ręce pana złożę całą drugą część sprawy. Chciałbym, aby pan dobrodziej, prócz własnego świadectwa, wybrał także i takich poddanych, coby mogli zaprzysiąc obłąkanie nieboszczyka, wogóle, abys całe dalsze niesłychanie już łatwe dowodzenie wziął zupełnie na siebie.

Mandatarjusz stał niemy i nieruchomy i pilnie tylko chwycił każde słówko swego gościa.

Żachlewicz ciągnął dalej:

— Wiem, że przytem będą rozmaite zachody, korowody,² koszta, wydatki, ale na to mogę panu dobrodziejowi *anticipative*³ złożyć kilka tysiączków.

¹ ciągnął dalej.

² kłopoty.

³ zgóry.

Mandatarjuszowi błogo się zrobiło koło serca. Jakby go kto oliwą posmarował od stóp do głowy!

Mrugnął nieznacznie oczyma, cmoknął językiem pocichu i poszepnął w duchu:

— Parę tysięcy *anticipative!*

Zachlewicz badał pilnie wyraz fizjognomji zacnego sędziego i uśmiechnął się z zadowolenia.

— Jeśli się uda nam szczęśliwie, jak mam nadzieję, pan hrabia obejmie cały majątek i musi nam być osobno wdzięcznym, choć dziś działamy wbrew jego woli.

— Hm, hm — zakrzęknął mandatarjusz.

— A tego studencika, co mu tak właśnie do wielkiego pana jak kuchcie do patyny...¹

— Julusza?

— Jego samego napędzimy napowrót do szkół.

— Do szkół! — wykrzyknął mandatarjusz wzgardliwie.

Zachlewicz uśmiechnął się z dumą i rozkoszą.

— Jeśli się tylko obadwaj weźmiemy za ręce — prawili dalej z naciskiem — a wszystko pójdzie jak z płatka, na uczciwość. Pan hrabia wróci do swej słusznej po bracie sukcesji...

— Pan dobrodziej weźmiesz Buczały — wpadał mu w mowę mandatarjusz, oblizując się nieznacznie.

— Pan sędzia także źle na tem nie wyjdiesz... kilka tysięcy gotówką i dożywotnie miejsce, to nie bagatela.

Pan Gagolewski porwał się z krzesła i zaczął szybko przechodzić się po pokoju. Cały plan ukartowany stał mu wyraźnie przed oczyma i nieprzyzwyczajoną uśmiechał się zdala pokusą.

— Niech mię djabli porwą, złoty interes! — pomyślał sobie i uśmiechnął się po swojemu.

— Panie dobrodzieju — rzekł głośno, zwracając się ku swemu gościowi. — Nie ma co mówić, ułożyłeś wszystko najwyborniej!

— Zgadzasz się tedy pan sędzia? — podchwytywał skwapliwie były rządca, jeneralny.

<https://rcin.org.pl>

¹ patyna, metalowe nakrycie kielicha przy mszy św.

— Flufiu! pan dobrodziej nie dla proporcji masz głowę na karku!

Żachlewicz w milczeniu wyciągnął rękę naprzód.

— A zatem zgoda?

— Hm, hm — krząknął z udanem wahaniem.

Żachlewicz dobył z kieszeni gruby pugilares i otwierając go zwolna, zaświcił w oczy mandatarjuszowi sporym pękiem długich, wielogłowych banknotów.

Pana Gągolewskiego jakby jakiś rozkoszny owionął wie-
trzyk, tak go coś przyjemnie zalechtało po całym cieple. Ręka
sama wychylała się naprzód, a łakoma ślinka cisnęła się do ust.

— Same setki! — szepnął i zcicha cmoknął językiem.

— Forując z dworu tego studencika, możnaby sobie po-
gadać potem z tym drugim hołodrygą... — mruknął półgłosem.

Żachlewicz milcząc, przeliczał banknoty.

— Trzy tysięcy na pierwsze potrzeby wystarczą? — za-
pytał.

Mandatarjusz westchnął niewiedzieć czy z łakomstwa,
czy z szkrupułów sumienia.

— Zawsze wołałem służyć panu z panów niż lada jakiemu
szerepetce!¹ — rzekł z dumą i powagą. — Między panem hra-
bią a tym żakiem² niema właściwie wyboru. Lepiej pod wozem
u pierwszego, niż na wozie u drugiego.

Żachlewicz zwój banknotów rzucił zręcznie na stolik
i rozwarł ramiona. Obadwaj zacni mężowie uściskali się ser-
decznie.

— Stoi ugoda! — wykrzyknął Żachlewicz.

— Stoi — stwierdził dobitnie mandatarjusz.

— Fora z szerepetką!

— Górą pan z panów!

Po tem serdecznem obopólnem wylaniu obadwaj spółnicy
zajęły napowrót swe dawne miejsca.

Ale pan mandatarjusz musiał się naprzód uspokoić z innej
strony. Rzucony na stolik pęk banknotów okropnie nęcił oczy
i nabawiał go jakiegoś dreszczu pożądliwego. Nie mogąc po-

<https://rcin.org.pl>

¹ chłystkowi.

² student w pogardliwym znaczeniu.

wstrzymać się dłużej pan Gągolewski nagle szybko ku stołowi wyciągnął rękę.

— Aby kto nie podejrział... — mruknął i w jednym mgnieniu oka cały plik zagarnął do kieszeni.

Teraz dopiero niewysłowiona rozkosz rozlała się po jego twarzy. Uspokojony zupełnie, odsapnął i krząknął głośno, jakby mu już ostatni ciężar spadł z serca.

Żachlewicz zukosa patrzył na wszystkie poruszenia mandariusza i uśmiechnął się złośliwie.

— Pozostaje nam teraz naradzić się tylko nad środkami działania.

— Potrzeba zastanowić się nad dowodami warjacji starościca.

— Pan Girgilewicz będzie z nami?

— Niezawodnie.

— Obudwom panom nietrudno będzie przypomnieć sobie wszystkie dziwactwa nieboszczyka, któreby mogły posłużyć za dowody jego obłąkania.

— Ho, ho! ja ich sam pamiętam bez liku.

— I na wszystko będziesz pan mógł sam złożyć przysięgę i znajdziesz innych gotowych do przysięgi świadków?

— Bagatela!

— Zaczniemy dowodzić, że staroście był *mente captus* od samego dzieciństwa.

— Nic łatwiejszego. Ciągłe przesiadywał przecie w czerwonym pokoju obok swego obłąkanego ojca i z nim razem wołał nieustannie «Niepozwalam! Protestuję!»

Żachlewicz skinął głową w zamyśleniu.

— A potem? — zapytał.

— Jak urosł w młokosa, to już broił, panie, że końca miary nie było. Codzień prawie zajeżdżał konia, codzień jakiejś nowej szalonej dopuścił się swawoli. Na byczej skórceby nie spisał, co dokazywał nieustannie.

— Czy pan już byłeś wtedy w skarbie?¹

— Właśnie co nastalem

<https://rcin.org.pl>

¹ majątku skarbowym, t. j. dworskim.

— I odtąd nie zmieniał się już do końca?

Mandatarjusz zawahał się nagle.

— O nie — mruknął — jakiś czas zdawał się zmieniony zupełnie.

Żachlewicz pilnie nadstawił uszu.

— Było to wtedy, kiedy mu ta Kseńka zajechała w głowę.

— Ah — szepnął Żachlewicz, jakby sobie coś przypomniając.

Mandatarjusz ciągnął dalej:

— Wtedy złagodniał znacznie, ale nie na długo. Potrzeba go było zato widzieć, kiedy Kseńka drapnęła gdzieś bez wieści! Dziki zwierz nie mógł być straszniejszy! Biada chłopowi, co w złą godzinę wlaźł mu w drogę!

— Tej pory nam wcale nie tykać — przerwał Żachlewicz — w nieszczęściu miłośnem każdy człowiek wygląda jak warjat. Chodzi więcej o to, czy starościc, objawszy na siebie majątek, umiał się rządzić w gospodarstwie.

— Rządy jego w przysłowie weszły, panie dobrodzieju.

— Znam je sam mniej więcej. Zaczął znowu od tego, że wszystkich szesnaście wsi swoich kazał spalić jednej nocy, aby je potem według swego planu i porządku odbudować na nowo.

— O, to będzie ważne *punctum juris*¹ — wykrzyknął mandatarjusz.

— Chcąc być pewnym sukcesu, nie można poprzestać na nim jedynie.

— Postawię pięćdziesiąt nowych!

— Naprzykład?

— Ot, dajmy na to, nie będzie to wobec sądu dowodem warjacji, że nieboszczyk przy swych ogromnych zasobach gotówki nigdy dobrowolnie nie zapłacił podatków i rok rocznie ścigał na się egzekucje i sekwestracje?...²

¹ argument prawny.

² egzekucją nazywamy wykonanie wyroku, zwłaszcza sądowego, środkami przymusowymi; sekwestracją zajęcie majątku celem ściągnięcia należności skarbowych.

Zachlewicz podciągnął brwi do góry, jakby niekoniecznie przekonany tym dowodem.

Mandatarjusz niezrażony prawil dalej:

— Co jesieni regularnie zjeżdżał sekwestrator po licznych, bezskutecznych upomnieniach na sekwestrację. Uprzedzony o tem staroście sprowadzał zawsze mnóstwo najpospolitszego użytku srebrnych naczyń i te zawsze pod nos stawil sekwestratorowi. Srebra były dobre i ważne, a wartością swą pokrywały cały zaległy podatek. A staroście był kontent, jakby go kto na sto koni wsadził.¹

— Widzisz aspan, czem płacę podatek — przechwalał się zawsze, nie pomnając, że prócz kosztów egzekucji i sekwestracji, stracił pół na pół na srebrze.

Zachlewicz uśmiechnął się i kiwnął głową.

— Masz pan rację, to w samej rzeczy nowe *punctum juris*, wybitny dowód warjacji.

— Tego rodzaju szaleństw nie policzyliby do jutra.

— Musimy wybierać tylko więcej rażące.

— Raz — przypomniał sobie dalej mandatarjusz — otrzymał jakiś mandat² z cyrkułu, właśnie kiedy był u niego żyjący po dziś dzień żyd, arendarz z Oparek. Należało natychmiast odpisać zwierzchności, a pan staroście obrał przestraszonego arendarza za swego tłumacza.

— Ależ ja nie umiem pisać po niemiecku, jasny panie! — wypraszał się żyd.

— To pisz po żydowsku, to wszystko jedno! — rozkazywał niezrażony.

— Na nic się nie przydały wszelkie prośby i przedstawienia, żyd musiał swoim konceptem i swoim pismem odpowiadać do cyrkułu. Do cyrkułu! — powtórzył z naciskiem, oczy niesłychanie wytrzeszczając naprzód, a palec wznosząc do góry, aby snąć tem lepiej uwydatnić zgrozę podobnego przestępstwa.

¹ pewien magnat (Baworowski), który nienawidził rządu austriackiego, płacił podatki srebrnymi naczyniami i nocniami, które specjalnie na ten cel kazał robić; wypadek ten, znany w tradycji galicyjskiej, przeniósł Łoziński do swojej powieści.

² rozkaz.

Żachlewicz w zamyśleniu pochylił głowę na bok, jak-gdyby ważył wartość tego nowego dowodu.

Mandatarjusz zamyślił się, jakgdyby za czemś goniąc w pamięci.

— Albo to nie dobre — ozwał się nagle — co zrobił z Susmanem, najbogatszym żydem z Drohobycza. Jako dzierżawca akcyzy w tym okręgu, najeżdżał on często tutejszych arendarzy z egzekucją za zaległe opłaty. Dowiedziawszy się o tem starościc, kazał go przy najbliższej sposobności pochwycić i przystawić do dworu.

— I przetrzepał go zapewne po swojemu!

— Gdzietam! Obszedł się z nim jak najgrzeczniej napozór. Rozmawiał z nim bardzo uprzejmie, wypytywał się ile płaci za akcyzę, ile pociąga zarobku, a na końcu zagadnął go niespodziewanie:

— A umiesz aspan palcem kiwać?

Żyd zgłupiał w pierwszej chwili, ale domyślając się jakiegoś żartu, odpowiedział z uśmiechem:

— Czemu nie, jak tylko jasny pan rozkaże.

— A więc kiwaj sobie, kiwaj! — rzekł do osłupiałego żyda z tym naciskiem głosu, który najmniejszego nie dozwalał oporu, — kiwaj nieustannie, a jak zapomnisz na chwilę, to ci mój kozak przypomni.

— W tej chwili wypadł Kość Bulij z ogromnym nahajem i stanął za jego plecyma w tak groźnej postaci, że biedne żydzisko odrazu zimnym oblało się potem. Zaczął więc kiwać, kiwać, kiwać, a jak tylko zwolnił cokolwiek, Kość zaraz zamachnął się nahajem.

— I długo trwała ta osobliwsza męka? — zapytał Żachlewicz.

— Blisko półtora godziny. Nieszczęśliwy dzierżawca akcyzy już po godzinie stracił władzę w całej ręce, palec zaczął puchnąć mu powoli, nareszcie nie zważał już na dotkliwe przypomnienia kozaka i padł płackiem na ziemię, gotów wszelkiej innej poddać się karze. Wtedy rzekł mu starościc:

— Wracaj aspan do domu, a nie pokazuj mi się w moich

dobrach, bo na drugi raz będziesz musiał aż dwoma palcami kiwać!

Żyd wrócił do domu nawpół nieżywy i kilka dni nie mógł jeszcze zupełnie przyjść do siebie...

— A nie skarżył?

— Owszem, wytoczył proces kryminalny o gwałt publiczny, ale dzięki mojemu pośrednictwu jakoś się to zatachowało.

Żachlewicz potarł czoło.

— Dobrze, — rzekł — będziemy i z tego korzystali!

— Ale, ale — zawołał po chwili — a ta głośna w okolicy anegdota z krawcem staromiejskim, czy także prawdziwa?

— Najprawdziwsza w świecie! Sam byłem świadkiem wszystkiego. Staroście kupił sztukę sukna i kazał sobie staromiejskiemu żydowi krawcowi zrobić płaszcz.

— Ale każdy najdrobniejszy kawałeczek pozostały oddasz mi napowrót! — zaostrzał na końcu.

— We dwa dni przybył krawiec z robotą i z kawałkami. Staroście oglądnął wszystko i nie przymierzając nawet, kazał przerobić płaszcz na surdut, upominając się znowu o każdą resztę najmniejszą. Następnie z surduta kazał sobie zrobić szpencer, a z szpencera kamizelkę, z kamizelki czapkę, a zawsze o kawałki dopominał się najusilniej. Kiedy już ostatnia skończyła się przemiana, a żyd przybył z czapką do dworu, zapytał go staroście:

— A kawałki masz?

— Mam, jasny panie.

— Wszystkie?

— Co do jednego.

— A więc teraz tu u mnie uszyjesz płaszcz napowrót!

— Gdyby piorun nagle ugodził w żyda, nie mógłby go tyle zdziwić i przestraszyć, co ten rozkaz niespodziewany. Na próżno biedak prosił się do domu i na różne odwoływał się przeszkody. Staroście nie odstąpił od swego. W miejsce okrawek dodawał łokieć sukna nowego, ale koniecznie chciał mieć płaszcz jak dawniej. Nie wiedząc innego ratunku, przyznał się żyd, że parę łokci sukna zostawił w domu. Staroście na to za-

płacił mu za robotę ile żądał, ale w naddatku kazał mu wlepić sowitą porcję plag na pamiętkę.

Zachlewicz zatarł ręce z zadowoleniem i powstawszy z krzesła, zaczął się przechadzać po pokoju.

— Takich jego dziwacznych conceptów znajdzie się więcej?

— Bez liku — upewniał mandatarjusz — wszakże...

Zachlewicz przystanął niespokojny.

— Wszystko to działo się przed ową chorobą i przybyciem tego kwestarza.

Zachlewicz zamyślił się.

— A potem? — mruknął.

Potem zmienił się, jakby nie tensam! Z dawnego gwałtownego tyrana dla chłopów, zrobił się pan łagodny i dobroduszny, z dumnego niesłuchanie arystokraty, człowiek bardzo otwarty i przystępny. Dawniej, jak djabeł święconej wody, unikał wszelkich książek, potem z Paryża sprowadzał je pakami i po całych dniach nie odrywał się od czytania.

Zachlewicz uśmiechnął się niezrażony.

— Nic to nie szkodzi — rzekł z flegmą — to właśnie najpożądany dla nas zarzut, najważniejsze *punctum iuris!* Przed kwestarzem i po kwestarzu starościc był *mente captus*...

— I kwita! — dokończył mandatarjusz.

— Nie warcibyśmy funta kłaków obydwaj, gdybyśmy nie dopięli swego.

— W Bogu nadzieja — pocieszał się nabożnie pan mandatarjusz.

— Przedewszystkiem jednak ścisła we wszystkim tajemnica.

Mandatarjusz potarł nagle czoło i jakby się czegoś zafrasował.

— Jedną tylko wielką będziemy mieli przeszkodę... — mruknął, potrząsając głową.

— Jakążto? — zapytał Zachlewicz.

— Ten łotr Katyliną będzie nam brózdził.

— Ah — podchwycił Zachlewicz. Kiedy odjeżdżałem do Drezn, to gdzieś zginął był wówczas.

Mandatarjusz westchnął żałośnie.

— Oj toto! Złego djabeł nie porwie! Znalazł się zaraz nazajutrz.

— A gdzież był wtedy?

— Nikt tego nie wie.

— Nawet Juljusz?

— Ha, on chyba jeden.

— Lecz jakże się zjawił napowrót?

— Wpadł nagle do mnie jak bomba i kazał się forszpanem¹ odesłać do Oparek.

— I odtąd nie opuścił już dworu?

— Ani na dzień jeden.

— A czemże się trudni?

— Wszystkiem!

Tu pan mandatarjusz z zawziętą nienawiścią przygryzł wargi i strasznie nasrożył czoło.

— Powiadam panu — zaczął po chwili. — To łotr na wielki kamień. Hohoho! Świat zejść dokoła a nie znaleźć drugiego takiego oczajduszę!

Żachlewicz się zamyślił.

— Cóż on tu znaczy właściwie?

— Wszystko, panie, wszystko! — wybuchnął prawie z rozpaczą — wszystkich otumanił, oślepił, zawojował, miesza się do wszystkiego, przewodzi we wszystkim!

— Ręczę, — dodał z nietajoną zgrozą — że zechce wściubić swój nos nawet do przyszłej rekrutacji.

— O jeden powód więcej, aby go wykurzyć conajrychlej wraz z godnym pryncypałem.

— O tak, tak! — podchwycił skwapliwie mandatarjusz — potrzeba wyrugować obydwóch jeszcze przed rekrutacją, przed rekrutacją! Ani rusz inaczej!

— Zawsze jednak myślisz pan, — ozwał się na nowo Żachlewicz — że to indywiduum może być dla nas niebezpieczne?...

¹ podwodą dostarczoną z urzędu.

— Niech Matka Boska broni, co to za drab! — zawołał mandatarjusz, oboma rękami chwytając się za głowę.

— Powiadam panu, mnie, no, mówię, mnie w najohydniejszy sposób wywiódł w pole — dodał jakby na jaknajsilniejsze utwierdzenie swego powiedzenia.

— Hm, hm — zakrzęknął Żachlewicz, z niedowierzaniem pokiwując głową.

Stary mandatarjusz westchnął z głębi piersi.

— Miałem zupełnie w rękę tego chłystka Juljusza i przy lada okazji mogłem mu taką puścić fimfę, żeby siarczyście powąchał pismo nosem. Ale cóż pan na to powiesz, ja, ja stary osioł dałem się temu urwipolciewi złowić w sidła jak dudek jaki.

— Żle... — mruknął Żachlewicz.

— Ot, mości dobrodzieju, cymbał ze mnie, cymbał, że nie dodać! — prawil mandatarjusz jednym tchem, szaloną jakąś ku samemu sobie uniesiony furją.

Żachlewicz z niemem współczuciem pokiwywał głową.

— Wyobraź sobie pan dobrodziej — ciągnął mandatarjusz dalej — ten nędznik chytrym podstępem, przebiegłością bez przykładu, wymógł na mnie kartkę, niby list do dziedzica, która mi w tej sprawie na zawsze wiąże ręce i na kłódkę zamyka gębę.

Żachlewicz zmarszczył czoło.

— Masz pan rację, — rzekł — ten człowiek może nam być niebezpieczny.

— On jak wyżeł wszystko zwietrzy naprzód, wszędzie wściubi swój nos, jak piskorz wykręci się z wszystkiego, a jeszcze przytem nadrwi i naszydzi sobie z człowieka, że aż w kischkach się obraca! — kontynuował rozsierdzony do najwyższego mandatarjusz, jakby niedość jeszcze dobitna była cała poprzednia rekomendacja.

— A do tego — dodał po chwili, zniżając głos — jak umie porozumieć się po niemiecku z naszymi panami z cyrkułu, z kryminału! fiufiufiu! — zasyczał, przebierając szybko palcami, jakby muchy łapał w powietrzu.

Pan Zachlewicz aż z krzesła się porwał, tak go jakoś ta ostatnia ubodła wiadomość.

— Własną broń wydrze nam z ręki! — wykrzyknął.

— Jak dwa a dwa jest cztery!

— Trzeba go się naprzód pozbyć koniecznie.

Mandatarjusz westchnął znowu ciężko.

— To niepodobna! ja już sobie niemało nad tem głowy nasuszyłem!

— Poróżnić go jakoś z Juljuszem...

Mandatarjusz bez nadziei machnął ręką.

— Ani gadania!

Zachlewicz uderzył się w czoło.

— Podejdę z mańki¹ hrabiankę! — wykrzyknął i chytrze łypnął oczyma.

Mandatarjusz w zamyśleniu wydał naprzód obie wargi.

— Ta — mruknął.

Zachlewicz wyteżył wzrok przed siebie, jakby w myślach rozwijał jakiś plan ukryty.

— Spuść się pan tylko na mnie! Już ja go jakoś wykurzę.

W tej samej chwili drzwi rozwarły się z trzaskiem, a jakby umyślnie przysłany Katyliną ukazał się we drzwiach.

Obadwaj zacni spółnicy, zajęci żywą rozmową, nie słyszeli wcale tętnienia zajeżdżającego przed ganek konia. Katyliną pojawił się nagle przed ich oczyma jak *deus ex machina*,² jak groźna wróżba dla knowanych właśnie zamiarów.

Mandatarjusz pobladł jak ściana z zdziwienia i przestraszenia, z rozdziawioną gębą wypatrzył się wybałuszonymi na wierzch oczyma na niespodziewanego gościa, niemy i nieruchomy, jak drogoskaz na rozstajnym gościńcu.

Zachlewicz w nieświadomem pomieszaniu odskoczył o krok wtył i zaczął kłaniać się zawzięcie raz po raz, jakby przed samym JW. hrabią.

¹ wyrażenie ludowe: podejść chytrze.

² w tragedji starożytnej zdarzało się, że katastrofę rozwiązywał bożek, spuszczone niespodziewanie z góry, zapomocą odpowiedniej maszyneryj; podobnie o osobie, która nagle występuje, mówimy, że pojawiła się jak *deus ex machina*.

Katyliną parsknął swym zwyczajnym rubasznym śmiechem.

— Przeszkodziłem panom podobno — rzekł.

— O nie, bynajmniej! — upewniał mandatarjusz, opamiętując się powoli.

Żachlewicz nie przestawał kłaniać się coraz uniżeniej.

Katyliną z wyrazem drwiącego zdziwienia spoglądał na nieznanego sobie człowieka, który z tak przesadną witał a witał go grzecznością.

Mandatarjusz spostrzegł ciągle zakłopotanie swego spółnika, i chwytając go za rękę, rzekł prędko, w uroczystej stawiąc się pozycji:

— Mam honor zarekomendować panu pana Czorguta, przyjaciela naszego dziedzica.

Żachlewicz kłaniał się dalej.

— Pan Żachlewicz, były rządca jeneralny i pełnomocnik pana hrabiego z Orkizowa, mój przyjaciel! — ciągnął dalej mandatarjusz.

Katyliną skinął zlekka głową, ale za pierwszym już spojrzeniem strasznie mu się nie podobala fizjognomja nieznanego.

— Bardzo mi przyjemnie poznać pana Tachlewicza — rzekł swym zwykłym lekceważącym, impertynenckim tonem.

— Żachlewicza! — poprawił prędko mandatarjusz.

— Żachlewicz! przepraszam przesłyszało mi się — mruknął i rzucając się na drelichową sofkę, niedbale machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: Wszystko jedno.

Żachlewicza ogromnie ubódl ton mowy niepoprawnego afrota,¹ a umyślne, jak się zdawało, przekręcenie nazwiska oburzyło go do żywego.

Przyszedł zupełnie do siebie i chwytając za czapkę, zaczął żegnać się mniej uniżenie.

— Zasiedziałem się — mruczał zcicha — a czekają mnie w domu. Upadam do nóg.

¹ człowieka znieważającego.

I uściskawszy się czule z panem Gągolewskim, wybiegł prędko z kancelarii.

Katyliną odprowadził go szyderczym wzrokiem i uśmiechem aż do drzwi, a potem wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

W czteromiesięcznym przeciągu czasu powierzchowność jego żadnej napozór nie uległa zmianie, wszakże bystrzejszy wzrok postrzegawczy mógłby w fizjognomji jego jakichś wcale nowych dopatrzeć odcieni. Poza dawnym wyzywającym szyderczym spojrzeniem, dawnym nieodstępny uśmiechem lekceważenia dla wszystkich i wszystkiego, przebijał się pewny cień jakiegoś skrytego zajęcia, jakiegoś stalszego zamyślenia.

Kiedy ujrzał się sam z mandatarjuszem, ozwał się prędko:

— Przejeżdżając wstąpiłem do pana na chwilkę.

Mandatarjusz uklonił się w milczeniu.

— Żadnej wieści o Ołańczuku?

— Najmniejszej. Zdaje się jednak, że nie wskórawszy nic w kryminale samborskim, poszedł aż do Lwowa.

Katyliną niezadowolony kiwnął głową.

— Pan dobrodziej sam kazałeś go wypuścić z aresztu — odezwał się mandatarjusz.

— Myślisz pan jednak, że wskóra coś we Lwowie?

Mandatarjusz podciągnął brwi z ważną miną.

— Ten łotr zacięty do istnego szaleństwa może nam ściągnąć na kark komisję.

Katyliną machnął ręką z lekceważeniem.

— W zaklętym dworze ucichło już zupełnie? — zapytał.

— Owszem, dziś mówił mi policjant, że wczoraj znowu po raz pierwszy od kilku miesięcy zajaśniało światło w narożnych oknach dworu.

Katyliną porwał się gwałtownie.

— Czy pewnie tylko?! — wykrzyknął.

— Policjant, wracając z egzekucji z Zawalnego, widział je na własne oczy.

Katyliną chwycił za swój lekki słomiany kapelusz i skinął głową na pożegnanie.

— Gdyby cokolwiek przyszło o Ołańczuku, proszę mi donieść niezwłocznie! — rzekł, prędko skręcając do drzwi.

— Nie omieszkam.

— Do widzenia zatem, panie Gągolewski.

Chwilkę potem Katyliną popędził już konno ku gościńcowi, a mandatarjusz, patrząc za nim z ganku, pokręcił głową ze znaczeniem i palcem potarł po czole.

— Gdybym sam jak osioł nie wlaźł był w zasadzkę... — mruknął ze zmartwieniem.

Po chwili wyprężył się dumnie i groźnie nasrożył czoło.

— Ale jak pryncypałowi skroimy kurtę, tożto z sobą pogadamy, mój ty panie portrecie łotrowski! — dodał jakby na własne pocieszenie.

II

DOMYSŁY

Katyliną w niezwykajnem zamyśleniu powrócił do domu i zaraz udał się do pokoju Juljusza. Wiadomość o nowem pojawieniu się stracha w zaklętym dworze szczególniejsze sprawiła na nim wrażenie. Całą drogę bił się z najróżnorodniejszymi myślami, a kiedy wreszcie stanął w Oparkach i oddawszy konie służącemu, śpieszył do pokoju przyjaciela, mruknął półgłosem:

— Teraz już zgłupiałem do reszty! Po wszystkim, co zaszło, to nowe zamieszkanie zaklętego dworu niepojętą wydaje mi się zagadką.

Juljusz siedział nad jakąś książką w swoim pokoju, a snąć się nie spodziewał tak rychłego powrotu przyjaciela, bo wykrzyknął w zdziwieniu:

— Jakto, ty już tutaj?

— Nie jeździłem do Zawalni.

— Cóż ci przeszkodziło?

Katyliną rzucił się jakby utrudzony na pobliski fotel.

— Wyobraź sobie — rzekł żywo — zaledwie wyjechałem

za bramę, spotykam polowego z Hruszówki, a ten klnie mi się na wszystko, że w zaklętym dworze znowu po nocy jaśniej światło.

— Niepodobna! — krzyknął Juljusz, zrywając się napół z krzesła.

— Nie wierzyłem także z początku, ale przybywszy do mandatarjusza w sprawie Ołańczuka, dowiaduję się, że i jego policjant widział tej nocy światło w narożnych oknach dworu.

Juljusz wydał wykrzyk zdziwienia i przestachu, Katyliną wzruszył ramionami jak człowiek, który gniewa się czegoś sam na siebie.

Aby zrozumieć, dlaczego wiadomość, która do niedawna nikogo nie dziwiła w okolicy, obecnie tak wielkie na obudwóch przyjaciółach sprawiła wrażenie, musimy teraz dopiero opowiedzieć, co się działo z Katyliną, kiedyśmy go zostawili w ręku starego klucznika, a spotkali następnie w życie koło orkizowskiego ogrodu.

Katyliną mimo swego wcale jeszcze młodocianego wieku niejedno w życiu przeżył niebezpieczeństwo, niejednej zuchwalej ważył się przygody, wszakże owa pamiętna noc w czerwonym pokoju zaklętego dworu najsroższem ze wszystkich musiała mu pozostać wspomnieniem.

Rozbrojony i pokonany znienacka, ujrzał się w jednej chwili w zupełnej mocy człowieka, który zdawał się zmysły tracić z wściekłości, a morderczą w ręku połyskiwał bronią. Po jego krwią zaszłych oczach, zapienionych ustach i konwulsyjnie drgającej twarzy nie można się było spodziewać ani isierki litości lub opamiętania.

Daleki od wszelkiej pomocy ludzkiej, Katyliną wszelką już do szczętu postradał nadzieję i poddając się ślepo srogiemu swemu lo-owi, czekał z rezygnacją na nieochybny cios morderczy.

Kość Bulij zaryczał jak zwierz rozszrożony i z okropnym poświstem wywinął nożem w powietrzu, kiedy tuż za nim rozległ się głośny wykrzyk zgrozy, a wzniesiona do morderczego razu ręka na niespodzianą w pol drogi natrafiła zapórę.

Na sam wykrzyk ten zadrżał stary kozak, a w wzroku

jego napół obłąkanym z wściekłości mignęło światło opamiętania.

— Kostiu, stój! — ozwał się w tej chwili urywany z przestachu głos niewieści, a dwie drobne i delikatne rączki ujęły całą siłą uzbrojone i wzniesione w górę ramię starego klucznika.

— Wyznam ci, — opowiadał potem sam Katyliną Juljuszowi — że jakoś niesłychanie błogo i lubo zrobiło mi się w tej chwili, bo bądź co bądź, ale mówiąc między nami, strasznie głupio wygląda koło serca, kiedy śmierć już naprawdę zaziera w oczy i szczyrzy zęby, a człowiek jeszcze czuje zdrowie i życie w sobie. Odetchnąłem swobodniej całą piersią i wyęzając wzrok ku memu aniołowi wybawicielowi, spotkałem się z nim oko w oko. Był to mój niedawny strach niewieści z latarką w ręku.

— Ah! — dodawał z niewyciecznym u siebie zachwytem — nigdy, nigdy nie zapomnę tego spojrzenia. Zdaje się, że pod jego wpływem zapomniałem zupełnie o mojem położeniu. Widziałem tylko przed sobą dwoje cudnych niebieskich oczu, drgających zgrozą, litością i energją zarazem.

— Kost' Bulij, jakby zaczarowany, opamiętywał się nagle, a z jego ponurej twarzy rozwił się gdzieś bez śladu ów wyraz dzikiej, okrutnej wściekłości. Mimowolnie prawie puścił moją przygniecioną rękę i nie tak silnie już cisnął kolanami.

— Stój! dla Boga! Co chcesz uczynić! — krzyknęła na nowo moja wybawicielka, przytrzymując ciągle wzniesione do góry ramię kozaka.

— Ależ panno... — wybąknął kozak, więcej przestraszony niż rozszokowany.

— Puść go! — rozkazywała młoda dziewczyna z dziwną energją.

— Ależ panno! — powtórzył na nowo kozak i znowu ulżył mi znacznie.

— Wtedy ja, wybijając się nagle z pod czaru wzroku nieznajomej, w jednej chwili odzyskałem całą moją energję, zręcznie i zwinnie pomknąłem się na bok, i zanim się opamiętał mój pogromca, wyrwałem się z rąk jego i jednym susem stałem już za stołem w pośrodku pokoju.

— I wtedy — dodawał Katyliną właściwym sobie butnym tonem — zmieniła się cała sytuacja! Dobyłem z kieszeni drugiego pistoletu i wymierzyłem wprost w łeb klucznikowi, który widząc mnie wolnym, w dawną zdawał się wpadać wściekłość. Przyznam się, że chciałem się teraz z nim podroczyć cokolwiek i byłbym mu sowicie nagrodził mój własny przestach, ale wtem młoda dziewczyna zwraca się ku mnie dumna i wspaiała jak królowa i wskazując palcem na drzwi, rzecze z silnym naciskiem:

— Wyjdź pan! natychmiast!

— I proszę! bez oporu, bez wahania, jakby jakąś czarodziejską owdziękięty siłą, usłuchałem jak trusia.¹ Cicho, skromnie, potulnie, na palcach zeszedłem na dół i nim jeszcze ochłonałem z pierwszego wrażenia, byłem już po drugiej stronie parkanu ogrodowego. Ale konia nie zastałem na dawnym miejscu. Urwał się zapewne zniecierpliwiony długiem czekaniem.

— Zacząłem teraz rozważać, co mam począć dalej. I oto szczęśliwa myśl przyszła mi do głowy. Moja wybawicielka odpowiadała zupełnie twemu opisowi, w takim razie mogła to być tylko piękna hrabianka z Orkizowa.

— Aby więc i samego siebie przekonać i położyć koniec twoim wątpliwościom, postanowiłem zakraść się pod sam dwór orkizowski, aby widzieć wracającą hrabiankę.

W samej rzeczy też, nie wahając się długo, poszedł za pierwszym swym popędem, dotarł aż do Orkizowa i skryty w zbożu przy jednym gościńcu prowadzącym do dworu, czatował w zasadzce niejako na powrót młodej dziewczyny.

Ale całe przedpołudnie czekał napróżno, żaden wóz nie zbliżał się ku dworowi, popołudniu poznał powóz Juljusza, sama zaś hrabianka chyba jaką podziemną ścieżką dostała się napowrót do domu.

Zawiedziony w swem oczekiwaniu, zaczął Katyliną rozmyślać nad całym stanem rzeczy i coraz większem zdawało mu się niepodobieństwem, aby nieznajoma zakłętego dworu, a szesnastoletnia jedynaczka tak arystokratycznego domu, była

¹ właściwie: królik, przen. niewiniątko.

jedną i tą samą osobą. Przy głębszem zastanowieniu się samo to przypuszczenie wydawało się śmieszną niedorzecznością.

O ile jednak poznaliśmy dotąd charakter Katyliny, mogliśmy przewidzieć zgóry, że nie poprzestał na tem przekonaniu.

— Aby się przeświadczyć niezbiecie, muszę obaczyć koniecznie hrabiankę — powiedział sam sobie.

Pozostał też w swoim ukryciu, a ukazując się na chwilę tylko powracającemu z dworu Juljuszowi, wrócił pod żywopłot ogrodowy, w nadziei, że stąd najprędzej ujrzy hrabiankę.

I rzeczywiście spełniło się jego oczekiwanie. Nad wieczorem wyszła Eugenia z matką do ogrodu, a ukryty w swej zasadzce Katyliną ujrzał ją zdaleka na krótką chwilę.

I teraz dopiero w największą popadł wątpliwość.

Nadobna postać nieznajomej z zakłętego dworu stała mu żywo przed oczyma, ale głównie utkwiał mu w pamięci ogólny wyraz jej rysów, jej wzrok czarodziejski, bezprzykładna białłość jej cery i włos niezwykajnie jasny i bujny, a wszystkie te cechy znajdował kropla w kroplę w młodej hrabiance. Zdało mu się tylko, iż nieznajoma była cokolwiek wyższą, cokolwiek poważniejszą w ruchach, ale to mogło być tylko złudzeniem uroczystości miejsca i chwili, a poniekąd i skutkiem różnicy stroju.

Tak tedy niczego nie dociekłszy, a właściwie w tem sprzeczniejsze jeszcze zagmatwany wątpliwości, wrócił naza jutrz do domu i z wszystkich swych przygód doznanych zdał wierną sprawę Juljuszowi.

Obadwaj przyjaciele złożyli naradę wojenną.

Szlachetny aż do idealności Juljusz zżymał się gwałtownie na nieprawe naruszenie obcej tajemnicy i zuchwałe lekceważenie ostatniej woli nieboszczyka. Katyliną tysiącnymi tłumaczył się powodami, nie mógł jednak żadną miarą surowego uniknąć potępienia.

Oburzony Juljusz nie zważał bynajmniej na srogie niebezpieczeństwo, jakie podczas swej wyprawy przechodził zuchwały towarzysz młodości, i do coraz ostrzejszych unosił się wyrzutów.

Śród tego jak zawołany nadszedł Kost' Bulij.

Juljusz przyjął starego kozaka zmieszany i zakłopotany, jakby sam poczuwał się do winy, a wysłuchawszy jego skargi na swawolną inwazję Czorguta, przeproszał go najuroczyściej i nie badając dalej jego tajemnicy, prosił tylko, aby o całym zdarzeniu zupełnie zachował milczenie.

Katylina z swej strony musiał związać się uroczystem słowem honoru, że nigdy więcej żadnego samowolnego nie dopuści się kroku.

Na tem skończyła się pierwsza wyprawa Katyliny.

Odtąd jednak ogłuchły zupełnie wieści o pośmiertnych sztuczках starościca.

Zakłęty dwór używał wprawdzie zawsze swej dawnej tajemniczej, podejrzaney reputacji, ale nikt już jakoś ani nie widział światła w jego pokojach ani nie słyszał wrzasku i rumotu w jego wnętrzu.

Juljusz pragnął właściwie wszelkiemi siłami poznać tak starannie ukrywaną tajemnicę, ale, jak wszyscy ludzie wygórowanej delikatności uczuć, a nie bardzo energicznego i przedsiębiorczego ducha, radby był przyjść do niej bez własnych zabiegów i własnego przyczynienia się.

Katylina nietyle wymyślny w wyborze środków, musiał z wielkiem swem niezadowoleniem poddać się życzeniom przyjaciela.

Obadwaj jednak mniej więcej na jeden zgodzili się domysł.

Ów maziarz tajemniczy był to w ich przekonaniu jakiś zręczny wysłannik, który, poznawszy zapewne Kost'ia Bulija przy boku starościca zagranicą, wybrał sobie później dom jego za miejsce schadzki i schronienia śród swej niebezpiecznej podróży.

Przypuszczenie to wyjaśniało zupełnie i ów zagadkowy punkt testamentu co do przeznaczenia zakłętego dworu.

Starościc, zawiązawszy jeszcze podczas swego pobytu w kraju tajemne z Paryżem¹ stosunki, musiał je utrzymywać i podczas swej ucieczki, a zaskoczony nagłą śmiercią w Dre-

<https://rcin.org.pl>

¹ z emigracją w Paryżu.

źnie, zapewne umyślnie przeznaczył dwór swój na jakieś tajne ognisko propagandy.

Długoletni wierny sługa i towarzysz starościca, stary kozak Kost' Bulij, znał zapewne dawniej tajemnicę związków starościca, to też i później wydawał się najstosowniejszem narzędziem jego pośmiertnych planów.

Dalsze rozmyślenia i kombinacje naprowadzały nawet o krok dalej, pozwalaly się domniemywać z mniej więcej niemylną pewnością, kto był właściwie ten zbiegły maziarz.

— Niezawodnie ów kwestarz tajemniczy, — wpadł pierwszy na ten domysł Katyliną — co podczas choroby starościca tak wielką osiągnął nad nim władzę i tak silny wywarł wpływ, że zmienił niejako zupełnie jego charakter moralny i na wcale nową popchnął go drogę.

Z wszystkiego, co obadwaj przyjaciele wiedzieli dotychczas o starościcu, nietrudno im było powziąć prawdziwe wyobrażenie o całym jego charakterze.

Starościc był niezaprzeczenie jednym z owych silnych, nieugiętych, nad wyraz namiętnych, a energicznych i przedsiębiorczych charakterów, co nieukiełzani wyższą myślą, niewprowadzeni na odpowiedni tor, najłatwiej wpadają na bezdroże i trawieni gorączkowemi żądzami swej natury, wobec ścieśnionego zakresu działania najczęściej samopas puszczają swą wolę i rzeczywistymi w oczach świata stają się dziwakami.

Zaniedbane wychowanie starościca nie mogło okiełzać wrodzonej gwałtowności jego charakteru, a odziedziczona po obłąkanym ojcu zaciekle nienawiść do pewnych stosunków¹ wyrodziła się w zuchwały nieprzełamany opór przeciw wszystkiemu, co uchodziło za legalne, za zwyczajne, za odpowiednie panującemu składowi rzeczy.

Starościc dopuszczał się gwałtownej samowoli przeciw chłopom nietyłe z jakichś złośliwych popędów tyranji i okrutności, ile dla tej jedynie przyczyny, że chłop stał pod opieką prawa, tulił się pod skrzydła władzy.²

¹ roz. stosunków wytworzonych przez rządy zaborcze, tu austriackie.

² Akcja *Zakłętego dworu* rozgrywa się w r. 1845, a więc tuż przed rzeką galicyjską, którą wzniecił rząd austriacki; chcąc wykopać przepaść między

Starościc stronił od świata i ludzi nie dla jakiejś chorobliwej mizantropji,¹ ale z obawy, aby nie stykał się z ludźmi, do których z natury nieprzełaganą kipiał nienawiścią lub wrzał wzdgådą, wyssaną niejako z mlekiem macierzyńskim.

Pojmując w podobny sposób charakter starościca i zapatrując się z tej strony na jego dziwactwa, łatwo sobie wytłumaczyć, że od chwili, kiedy mógł przejrzeć jaśniej i szersze umysłem zakreślił koło, musiał zmienić zupełnie swoje usposobienie i postępowanie.

Odziedziczona nienawiść zawrzała głębiej i ku jednemu wyższemu zlała się celowi, a wrodzona energja i przedsiębiorczość ducha szerszą i śmielszą zakreśliła sobie działalność.

Jak widzimy, z tego wszystkiego, Juljusz i Katyliną wyjaśniali sobie zupełnie prawie tajemnicę zakłętego dworu. Obadwaj przypuszczali prócz tego, że dawniejszy kwestarz a terazniejszy maziarz zostaje w stosunkach z hrabią i że sama hrabianka dzieli niebezpieczeństwo ojca.

Przy takim zaś składzie rzeczy mniemali z pewnością, że dwór zakłęty, skompromitowany już i tak cokolwiek wobec zwierzchności, po odwiedzinach Katyliny przestanie być miejscem niebezpiecznych schadzek, że hrabianka podejrzana przez Juljusza, a zaskoczona przez Katylinę, nie zechce się narażać dalej, sam maziarz po ostatniej przygodzie z mandatarjuszem zniknie na zawsze z okolicy, a Kość Bulij będzie się starał, ile możliwości, zatrzeć dawne kompromitujące ślady.

Cztery następne miesiące usprawiedliwiały we wszystkim te przypuszczenia.

Juljusz przez cały ten czas zaledwie dwa razy był w Orkizowie.

Nie mógł nie spostrzec jakiejś nieodgadnionej a coraz wzrastającej oziębłości hrabiego, a nadto oburzało go i to po-

wsią a szlachtą, rząd rozsyłał agitatorów, którzy przedewszystkiem mówili o jego najlepszych chęciach dla ludu, czemu jednak szlachta stoi na przeszkodzie; o tej roli opiekuna ludu rząd głosił przy każdej sposobności.

¹ niechęć do ludzi.

trosze, że Eugenja aż do istnej obłudy odgrywała swą drugą rolę, zapierając się wszelkiego udziału w wypadkach zakłętego dworu.

Co jednak podobno najwięcej go ubodło i, co jak się zdaje widomem cierpieniem wyrzyło się na twarzy — to spotkanie z hrabią Augustem Wyklickim w orkizowskim pałacu.

Juljuszowi zdawało się, że w stosunku Eugenji z dalekim kuzynem przebija się coś więcej niż same reminiscencje¹ dawnej przyjaźni, niż życzliwe uczucia dalekiego powinowactwa.

Z tem wszystkiem, jak tylko w tej chwili dowiedział się o nowej schadzce w zakętym dworze, niebezpieczeństwo Eugenji stanęło mu najpierwej przed oczyma.

— Nowe schadzki w zakętym dworze! — mruknął — to już więcej jak nierozwaga, to szaleństwo!

Katyliną wzruszył ramionami.

— A jak na toż — rzekł — nieugięty w swej zaciekłości Ołańczuk poszedł do Lwowa, a składając tam swoje zeznania, gotów ściągnąć nam komisję.

— Uparłeś się, aby go wypuścić z aresztu.

— Bo upewniłem się naprzód, że nic nie wskóra w sam-borskim kryminale.

Juljusz w zamyśleniu przeszedł się tam i nazad po pokoju.

— W takim składzie rzeczy niepodobna nam zachować się nieczynnie.

Katyliną z drwiącą miną machnął ręką.

— Wiesz, że w szkołach oponowałem² nieraz przeciw twojej nazwie Gracchusa. Tobie przypadłby lepiej przydomek Hamleta!³

Juljusz zmarszczył czoło, jakby głębiej uczuł przymówkę.

— Być może, — rzekł z przekąsem — lecz tem właśnie różnimy się od siebie, że mój szkolny przydomek zamało odpowiedni memu charakterowi, twój aż zanadto stosowny.

Katyliną parsknął śmiechem.

¹ wspomnienia.

² sprzeciwiałem się.

³ Hamlet, bohater tragedji Szekspira, był człowiekiem słabej woli i nie-decydowanym do czynu.

— Ho, ho! stajesz się drażliwym jak widzę.

Juljusz nic nie odpowiedział, tylko zadzwonił gwałtownie.

— Każ mi osiodłać *Laudona*! — zawołał na wchodzącego Filipa.

Katyliną rozparł się wygodnie na sofie i z nietajonem szyderstwem spoglądał na rozdrażnionego cokolwiek przyjaciela.

— Cóż myślisz robić? — zapytał wreszcie.

— Pozwól mi działać na własną rękę — odpowiedział Juljusz szorstko i, jakby dla uwolnienia się od dalszego badania, wyszedł szybko z pokoju.

Katyliną flegmatycznie wzruszył ramionami, sięgnął po leżące w pobliżu cygaro i zapalając je najspokojniej, szepnął sam do siebie:

— Złote serce, walny charakter u tego chłopaka, ależ z tem wszystkiem — szlafmyca! ¹ niech mię djabli porwą, szlafmyca!

Należałoby może napomknąć jeszcze kilku słowy, jaki trwałszy stosunek w ciągu upłynionych czterech miesięcy ustalił się między Juljuszem i Czorgutem.

Nie tak łatwa na to odpowiedź.

Katyliną, przywędrowawszy raz do dawnego kolegi i przyjaciela, rozgospodarował się u niego jak w własnym domu, nieproszony zajął się wszystkimi sprawami majątkowymi, mieszał się do wszystkiego, dysponował każdemu, nie ulegał nikomu.

Juljusz przyjął z początku dawnego przyjaciela tylko jako chwilowego gościa w swym domu, lecz niebawem przekonał się, że przybycie jego wielkie wróżyło mu korzyści. Niepraktyczny z natury marzyciel nie umiał sobie zgoła radzić w sprawach majątkowych. Zdany zupełnie na łaskę i rozum swych oficjalistów, ulegał im biernie we wszystkim, a w swej przesadnej delikatności ani pomyślał nigdy o żadnej kontroli.

Być może, iż oswoiwszy się powoli z swym, jakby z nieba spadłym majątkiem, oswoiłby się także lepiej i z gospodarstwem,

<https://rcin.org.pl>

¹ przen. człowiek bez energii.

ale w pierwszych chwilach swego posiadania przychodziło mu to strasznie trudno.

Energiczny charakter Katyliny, jego większa znajomość ludzi, ten wreszcie właściwy mu bezwzględny tryb postępowania, równoważyły zupełnie niepraktyczność i początkową nieporadność Juljusza. Nie znając się zupełnie na gospodarstwie wiejskiem, Katyliną umiał sobie przecież poradzić we wszystkim, a od jednego razu podniósł dochody dwójnasób w górę ku niesłychanemu zmartwieniu Girgilewicza i reszty mniej więcej podobnych mu kolegów.

Myliłby się jednak grubo, ktoby z tej działalności Katyliny wnosił o jakimś stosunku służebnym czy obowiązkowym do Juljusza.

Katylina działał wszystko z własnego popędu, *ex propria diligentia*,¹ kiedy chciał, jak chciał, to robił, nie czekając żadnego upoważnienia właściciela i nie troszcząc się bynajmniej o jego rozkazy.

Nie dał sobie ani wspomnieć o żadnej płacy, ani też przeczytywał się w czemkolwiek związanym.

Wszystkie swe potrzeby zaspokajał na koszt Juljusza bez wszelkiej żenady i wszelkich szkrupułów sumienia.

Trawiony zawsze swym nieprzyzwyczajonym pociągami do awanturniczego trybu życia, który tylu przebytemi jeszcze podsycił się przygodami, nie wiedział sam nigdy, czy tydzień następny, czy nawet dzień jutrzejszy przepędzi w Oparkach, czy też przypadkiem jakim na nowe i niepewne zapędzi się koleje.

— Dziś tu, jutro tam! — uważał już od dawna za swą zasadę, za swoje hasło ulubione.

Wszakże przekonywał się powoli, że im dłużej zasiadywał się na jednym miejscu, tem silniej skłaniał się do porządniejszego trybu życia.

Gdyby nie owa intrygująca z początku tajemnica zakłętego dworu, a następnie owo spotkanie się z tą piękną nieznaną w czerwonym pokoju, byłby może dawno już sprzykrzył sobie pobyt w Oparkach, chociaż stanowisko wobec ofi-

¹ z własnej pilności.

cialistów Juljusza nie było także bez pewnej ponęty dla jego wiecznie szyderczego usposobienia.

Nie zadając sobie najmniejszego przymusu w obcowaniu z Juljuszem, przyjmował i od niego bez urazy drażliwszą nawet przymówkę, jak równy od równego.

To też i teraz zły humor Juljusza najmniejszego na nim nie wywarł wpływu.

Leżał sobie wygodnie i spokojnie na sofce, i popalając cygaro wielkimi kłębami dymu, puścił wolny bieg myślom.

Nagle porwał się napół.

— Żeby też po dziś dzień nie wiedzieć jeszcze z pewnością, czy to była rzeczywiście hrabianka czy nie, to doprawdy potrzeba cymbała na to! — wykrzyknął głośno.

— Ciekawym, co też on zechce zrobić! — Byle tylko nie popsuł wszystkiego i nie ocaliwszy nikogo, sam jeszcze nie dostał się do kozy... — mruknął przez zęby.

Po chwili wstał z sofy i przystąpił do okna.

— Koń już osiodłany! Gdzie też on pojedzie?!

W tej samej chwili Juljusz ukazał się na ganku i spiesznie dosiadł konia, a tuż zaraz rozległ się tętent kopyt.

Katylna odstał od okna i zadzwonił gwałtownie.

— Każ osiodłać mi bułanego, ale duchem, piorunem! — zawołał na wchodzącego lokaja.

III

PIERWSZE ODKRYCIE

Juljusz z silnem jakimś postanowieniem wyjechał z domu i pognął ku Buczałom, skąd, jak wiadomo, jedyna do zakłętego dworu prowadziła droga.

O kilkanaście kroków przed zakrętem w znaną nam lipową ulicę spotkał młody dziedzic swego godnego mandatarjusza.

Pan Gągolewski wracał z folwarku, a twarz jego promieniała całą szczególnem zadowoleniem, bo łatwiej, niż się spo-

dziewał, powiodło mu się Girgilewicza przyciągnąć do knowanego spisku.

Stary ekonom, podlechtany świetnemi obietnicami, a sro-
dze rozżalony na Katylinę, nakłonił się skoro do wszystkiego
i oświadczył się gotowym w każdej chwili wystąpić z świad-
ectwem, że nieboszczyk starościc był warjat, *taj tylko!*

— Wykurzimy za dziesiątą miedzę tego młodego szere-
petkę i jego zausznika! — przyrzekał na końcu mandatarjusz.

Pan Girgilewicz westchnął ciężko.

— Już tam nietylę chodzi mi o samego dziedzica, bo mię-
dzy nami mówiąc, to jeszcze nie złe byłoby człeczysko — rzekł,
potrząsając głową — ale ten zawłoka, to istny czort, *taj tylko.*

Mandatarjusz na każde wspomnienie Czorguta mimo-
wolnie srożył czoło.

— Poczekajno jegomość, — pocieszał się teraz — taką mu
kurtę skroimy, że mu aż w pięty pójdzie.

— Dałby Bóg, *taj tylko* — wzdychał Girgilewicz i po krót-
kiej dalszej rozprawie dobił ostatecznie targu.

Mandatarjusz, dopiawszy swego, wracał do domu w zło-
tym humorze; całą drogę mówił półgłębko do siebie i na wszyst-
kie strony obiema gestykulował rękoma.

— Niema co mówić, — rozpamiętywał — tęgi łeb u tego
Zachlewicza! Jak wszystko wykalkulował! Wielka szkoda, że
nie ma egzaminów na mandatarjusza i *polizeirychtera!* fiufiu!
cały cyrkuł zakasowałby z kretešem!

Po tym wybuchu swej adoracji, pomieszanej znacznie
z zazdrością, przystąpił pan sędzia w dalszym monologu do
właściwej rzeczy.

— Dowiedzione już, — prawil dalej — starościc nie był
przy zdrowych zmysłach umierając, a my postawimy dowody,
że mu brakowało piątej kleпки i za życia... Testament musi być
uznany za żaden... *null und nichtig*,¹ mości dobrodzieju!... Ja-
śnie wielmożny hrabia, pan z panów, obejmie majątek *ob in-
testato*...² ten niedowarzony młokos dostanie szczutka w nos...
a ten jego przyjaciel i zausznik frrr — zafurczał nagle, ale tuż

<https://rcin.org.pl>

¹ nieważny.

² po zmarłym bez testamentu.

zaraz przymilkł coprędzej, bo za plecyma swemi posłyszał tętent konia, a obróciwszy się, ujrzał Juljusza.

Pochwycił skwapliwie za czapkę i uklonił się jak mógł najuniżeniej.

Zacny nasz mandatarjusz miał tę chwalebłą zasadę, że nie lubił nigdy zarzucać sieci przed niewodem, czyli inaczej strzegł się jak ognia pokazać pierwej swe drapieżne pazury, aż póki wszelkie nie usunęło się niebezpieczeństwo.

Juljusz uprzejmem skinieniem głowy odpowiedział na uniżony ukłon swego oficjalisty i nie zatrzymując się wcale, pognął dalej.

— Gdzie też on jedzie? — zagadnął się mandatarjusz.

Juljusz skrzył w lipową ulicę.

Mandatarjusz cmoknął językiem.

— Do zakłętego dworu! Hoho! coś nowego się święci! dali-bóg święci!

— Żeby go też można podejrzeć bliżej — szepnął.

Po chwili pokiwał głową, lypnął oczyma i mruknął przez zęby:

— Fiufiu! pan komisarz Schnoferl!

Ale w tym momencie zadrżał cały, bo znowu rażny za plecyma ozwał się tętent.

Obejrzał się coprędzej. Przed nim stał Katylina na zdyszczanym i spienionym koniu.

— Nie widziałeś pan w tej chwili Juljusza? — zawołał pan Damazy Czorgut, nie odpowiadając nawet na uniżony ukłon mandatarjusza.

— Właśnie co znikł w lipowej ulicy — odpowiedział skwapliwie pan Gągolewski.

Katylina skoczył z konia.

— Dobrze — mruknął przez zęby. — Mój mości Gągolewski — zawołał głośno, ściągając na dół uzdę — bądź łaskaw, weź konia mego do siebie, ja pójdę piechotą.

I w tejże samej chwili, nie troszcząc się bynajmniej o odpowiedź, rzucił tak zręcznie uzdę ku mandatarjuszowi, że jak stryczek zawisła mu na szyi. Sam zaś co tchu popędził ku lipowej ulicy.

Nieprzygotowany na tak zaszczytne zlecenie mandatarz rozdziawił nielitościwie gębę, wybałuszył oczy i stał niemy i nieruchomy, z uzdą na szyi, jak osioł pochwycony na arkan wśród stepu.

Opamiętał się nareszcie po dobrej chwili i nabiegając krwią cały, z dziką złością zgrzytnął zębami.

— Zaco on mnie ma! ten oczajdusza! — zawołał w najwyższej pasji i indygnacji.

I zrywając gwałtownie uzdę z szyi, chciał ją daleko rzucić od siebie, ale wtem zawahał się jakoś.

— Niech cię piorun trzaśnie! — wysapał w gniewie, machnąwszy ręką. — Ale poczekaj szubienniku, zapłacisz mi wszystko z lichwą! Tak mi Boże daj zdrowie!

Po tym gwałtownym wybuchu, trzęsąc się jak w febrze z gniewu, szybkim krokiem pospieszył do swego mieszkania, prowadząc znużonego konia za sobą.

Juljusz tymczasem pędził wprost ku zakłętemu dworowi.

Krótką chwilę, jakby z samej ciekawości tylko, zatrzymał się przed główną bramą wjazdową i zaraz skreślił w bok, wąską ścieżką wzdłuż parkanu ogrodowego.

W kilka chwil stał przed zagrodą Kostia Bulija.

Z poza wysokiego ociernionego płotu ozwało się głośnie szczekanie psów.

Juljusz zskoczył z konia i przystąpił do bramy, lecz zastał zamkniętą. Zaczął pukać coraz silniej, ale prócz szczekania psów, żaden inny nie odpowiadał mu głos.

Dobytując się ciągle bezskutecznie, spostrzegł, że bramę zamykała tylko żelazna zasuwka z drugiej strony. Oczywiście więc musiał ktoś być w domu.

Zniecierpliwiony podjechał koniem pod samą bramę, spał się w siodle i przechylając się przez wierzch, przy pomocy szpicruta odsunął rygiel żelazny.

Brama rozwarła się na ścieżaj.

Obadwa brytany jakby przestraszone nagłym napadem, czy może udobruchane samą powierzchownością Juljusza, przestały naraz ujadać i tylko z cicha warczały przy swych budach.

Juljusz zsiadł z konia i z niejakim wahaniem oglądał się dokoła.

Samotna zagroda wyglądała pusta i głucha, jakby niezamieszкана. Jedne tylko psy dawały oznaki życia.

Młodzieniec widocznie chwiał się w niepewności, jak sobie dalej postąpić.

Zasunięty z tej strony rygiel świadczył niezbicie, że jeśli nie sam Kost', to ktoś inny musi być w domu.

Juljusz chciał niezwłocznie widzieć się z starym kozakiem, pierwszy raz postanowił z nim pomówić otwarcie i stanowczo. Nie zastawszy zaś teraz, jak się zdawało, jego samego, chciał przynajmniej widzieć osobę, co po nim zasunęła rygiel u bramy.

Tymczasem nikt z chaty nie wychodził na jego przyjęcie, a prócz obudwu psów w całej zagrodzie żadnej żywej nie widać było duszy.

Juljusz postanowił zaprowadzić konia swego do stajni i wejść wprost do chaty.

Stajnia przypierała jak zwykle we wszystkich chłopskich zagrodach tuż do stodoły, a stała naprzeciw głównego budynku.

Juljusz wszedł do środka i zastał ją zupełnie próżną.

Kost'ia więc w samej rzeczy nie było w domu, bo tylko on sam wyjeżdżał swymi czarnymi końmi.

Młodzieniec zawahał się w progu i nie myślał już iść dalej.

— Niewątpliwie niema go w domu — szepnął sam do siebie.

Wtem koń jego zarżał głośno, a z przyległej stodoły odpowiedziało mu jakieś inne głośne rżenie końskie.

Juljusz drgnął mimowolnie.

— Więc nie mylę się, ktoś tu jest koniecznie — mruknął.

I zmieniając nagle poprzednie swe postanowienie, przywiązał konia swego do żłobu, a sam przez szczeliny w ścianie próbował zajrzeć do środka stodoły. Wszakże wszędzie wyglądały tylko zasieki zboża, a tok¹ do młócenia stał pusty i próżny.

<https://rcin.org.pl>

¹ miejsce młocki.

Dopiero po dłuższym usilnem rozglądaniu się dopatrzył Juljusz, naprowadzony rzeniem konia, że w najciemniejszym kącie stajni odchyłała się ściana od stodoly i prowadziła w ciasną kryjówkę, założoną dokola snopami i okłotami.¹

Kryjówka ta nie była w tej chwili próżną. Z niej wychodziło rzenie konia.

Juljusz odchylił zlekka ukryte drzwi i wydał wykrzyk zdziwienia.

Ujrzał przed sobą mały wózek z czarnem słomianem nakryciem i tego małego srokatego konia, którym tajemniczy maziarz uciekał z dominjum, spotykając się w drodze z nim samym.

— A więc on jest tutaj znowu! — mruknął Juljusz.

Pierwsze domysły sprawdzały się zupełnie.

Światło w narożnych oknach dworu znamionowało tylko nowy powrót tajemniczego gościa.

— Lecz jakże po ostatniej swej przygodzie odważył się powrócić w te strony, nie zmieniawszy nawet przebrania? — zagadnął się Juljusz w głębokiem zamyśleniu.

— Taka nieroztropność jest nietylko szaleństwem wobec siebie samego, ale zbrodnią wobec sprawy. Jak łatwo może się wszystko odkryć.

— Nie żałuję, że tu przyszedłem! Muszę koniecznie wiedzieć się z samym maziarzem! — dodał z silnem postanowieniem.

Im pilniej jednak rozmyślał nad ogólnym składem rzeczy, tem dziwniejszem wydawało mu się całe postępowanie zagadkowego maziarza.

Domyślał się już z niezbitą pewnością, że człowiek ten był to tylko w innem przebraniu ten sam zręczny kwestarz-emisarjusz, co przybywszy podczas choroby starościca do Żwirowa, potrafił w nim w krótkim czasie tak gorliwego i zapamiętałego zjednać sobie zwolennika i niejako jednym zamachem zmienił cały charakter i całą istotę moralną człowieka, którego wszyscy mieli za półgłówka, dziwaka i niemal warjata.

¹ snopy zboża lekko omłócone, w których pozostało jeszcze pośledniejsze ziarno.

Juljusz wiedział głównie z opowiadania mandatarjusza, że władza cyrkularna wpadła wówczas na trop tego mniemanego kwestarza, że odkryła wprawdzie jego niebezpieczny charakter, ale samego nie mogła dostać w swe ręce.

Od tego czasu zrzucił on zapewne habit kwestarski, a przywdział osmoloną płótniankę maziarza; lecz dlaczegoż teraz po nowem niebezpieczeństwie odkrycia do tego samego uciekł się przebrania?

Czy zapomocą swych stosunków dowiedział się, że za wpływem Juljusza cały ten wypadek został zręcznie przytłumiony i zupełnie poszedł w niepamięć?

W takim razie miał Juljusz zupełne prawo do jego wdzięczności, a szczególnie zaufania.

— Czyż zresztą ma mię za szpiega, że nie pragnie się znieść ze mną? — bił się dalej z myślami niedoświadczony młodzieniec.

— Jeśli był wysłannikiem tajnych stowarzyszeń, piastunem i krzewicielem tajnych zamiarów, musiało mu więc temsamem zależeć na jak największym przyroście zwolenników.

— Dlaczegoż jednak tak starannie unikał Oparek?

Na wszystkie takie i tym podobne zagadnienia jeden tylko słaby nasuwał się domysł.

Aby tem lepiej ubezpieczyć swoje tajemnicze schronienie i miejsce schadzek z spółnikami, wystrzegał się przebiegły emisariusz wszelkich agitacyj w bezpośredniem pobliżu i tylko na nieco dalsze okolice rozciągał swe działania.

Po nieszczęśliwych próbach samego starościca, a późniejszem reformatorskiem niepowodzeniu Juljusza, niebezpiecznie było podnieść na nowo głos w dobrach, zostających pod pilniejszym nadzorem, wśród chłopów zrażonych pierwszemi niezachęcającemi doświadczeniami. Wszyscy bowiem przypominali sobie, jak surowe po ucieczce starościca wytoczyło się śledztwo i jak groźna nad kilku gromadami wisiała chmura.

W ciągu ubiegłych czterech miesięcy Juljusz potajemnie dowiadywał się o działaniu maziarza w okolicy i przekonał się, że ma wielki wpływ i zachowanie w gromadach nieco odle-

glejszych, rzadko jednak, i to tylko w przejeździe, pokazywał się w sąsiedztwie Żwirowa.

Bądź jak bądź, nie zapuszczając się w żadne dalsze domysły i kombinacje, postanowił Juljusz dotrzeć dziś koniecznie do dna tajemnicy i nie opuścić pierwszej odludnej zagrody, pokąd otwarcie i stanowczo nie rozmówi się z maziarzem.

Przekonawszy się, że niema jego samego w ukryciu przy wózku i koniu w stodole, chciał udać się do wnętrza chaty i nie ruszyć stamtąd, aż pokąd zamierzonego nie dopnie celu.

Dziwiło go jednak wielce, że kiedy psy dawniej zamilkły zupełnie, teraz nagle z podwójną ujadąły zaciekłością i wszelkimi siłami rwały się ku chacie samej.

Juljusz przystąpił ku drzwiom, ale na niespodziewaną trafił zaporę. Drzwi nie zdawały się zamknięte, a żadną miarą niepodobna ich było otworzyć, jakby je ztyłu jakieś silne podpierały barki.

Namozoliwszy się napróżno czas niejakiś, zaniechał utrudzony dalszej próby i postanowił spokojnie czekać na dziedzińcu, aż pokąd jaka żywa nie pojawi się dusza.

Kilka chwil przechadzał się w milczeniu tam i nazad po dość ciasnej oborze, a wtem spostrzegł, że do przyległego ogrodu hrabiowskiego prowadziła stąd wygodna furtka, która w tej chwili była nawet napół odchylona.

Juljusz w pierwszym zapędzie zmierzył wprost ku niej. Na samym progu zawahał się jednak.

— Złamałbym ostatnią wolę nieboszczyka — rzekł sam do siebie, cofając się mimowolnie wtył.

Wszakże nic łatwiejszego, jak coś tłumaczyć samemu sobie.

Juljusz zamyślił się na chwilę, a potem wstrząsł głową, jakby się jakiegoś ważnego pozbył ciężaru.

— Testament mówi tylko o samym dworze — rzekł sam do siebie. — Nie wolno mi tylko przestąpić progów dworu, ale o ogrodzie niema wyraźnej wzmianki.

— A zresztą do czegoż to wszystko, kiedy i tak cała tajemnica jest już mniej więcej w moim ręku — dodał jakby na

ostatnią swą ekskuzę.¹ I nie wahając się już dłużej, wszedł wprost do ogrodu.

Od furtki prowadziła wśród krzewów agrestu i pożyczek wąska ścieżka ku cienistej ulicy kasztanowej, tej samej, którą Kost' Bulij biegł do zakłętego dworu, kiedy po rozstaniu się z maziarzem ujrzał nagle światło w narożnych oknach dworu.

Wglądając w wszystko uważnie, spostrzegł Juljusz, że ścieżka ta, acz widocznie wydeptana, zdawała się być bardzo mało uczęszczaną i zaledwie tylko tuowdzie mniej bujny zarost trawy świadczył, że czasami ludzka przesuwała się po niej stopa.

W samej zaś cienistej ulicy kasztanowej i takich nawet nie było śladów. Bujny zarost trawy zielenił się wszędzie.

Wogóle też wyglądał cały ogród strasznie opuszczony i spustoszony. Najpiękniejsze drzewa owocowe w dzikie powystrzelały konary, rzadsze krzewy pokoszlawiały do niepoznanienia, a najszlachetniejsze kwiaty wyrodziły się zupełnie, przygluszone dzikim chwastem i bodjakami.

Juljusz nie szedł ku dworowi, ale skręcił wprost wgląd ogrodu.

Mimo całego swego zaniedbania i opustoszenia, ogród zakłętego dworu bardzo urocą nastęrczał przechadzkę.

Każda ulica, każda grządka, każde drzewo przypominały w nim dawny smak i dawne czasy. Cieniste szpalery labiryntowymi zakrętami wily się dokoła, a tuowdzie wpadały w szerokie altany z stuletnich lip i modrzewiów, lub nagle w kilkanaście drobnych, agrestem wysadzanych rozbiegały się ścieżek. Pogarbione i poźłobione w pniach drzewa owocowe zdawały się z jakimś melancholijnym smutkiem potrzasać bezpłodnemi gałęziami, jakby czuły swe dzisiejsze opuszczenie.

Juljusz przypominał sobie, że według opowiadania dawnych sług dworskich rozlewał się w zatyle ogrodu szeroki staw z małą wysepką pośrodku, na której nieboszczyk starościc najchętniej swe tajne z kwestarzem odbywał konferencje.

Jakby jakimś niewiadomem owładnięty przeczuciem, Ju-

<https://rcin.org.pl>

¹ obronę.

ljusz spieszył w tę stronę, orjentując się bacznie wśród krętych, najczęściej zwodniczych ścieżek.

Niebawem natrafił na szerszą cokolwiek ulicę, a postępując wprost za jej kierunkiem, ujrzał zdala gęste zarośla trzciny i szuwaru, które w ciągu pięcioletniego opuszczenia ogrodu okryły bujnie tak troskliwie utrzymywane niegdyś brzegi i tylko wierzchołki drzew pozwalały widzieć z położonej w środku wysepki.

— Wyborne miejsce do tajemniczych schadzek — wykrzyknął Juljusz mimowolnie — możnaby się ukryć przed samym Argusem!¹

I prawie bezmyślnie postępował wzdłuż brzegów, próbując tuowdzie przejrzeć przez gęste zarośla.

Nagle przystanął uradowany.

Jedna wąska smuga stawu była zupełnie wolna od zarośli, a kamiennymi płytami wyłożone pochyłe wybrzeże wskazywało, że tu dawniej przybijały łódki z wysepki.

Teraz jeszcze znajdowało się w pobliżu kilka starych, napoły spróchniałych łodzi z wygodnemi, skórą wybijanemi siedzeniami, a koło nich mnóstwo mniej więcej zgrabnie wyciosanych spoczywało wiosł. Juljusz nie mógł przytłumić lekkiego wykrzyku zadowolenia.

— Pojadę do wysepki! — zawołał sam do siebie.

I przystępując bliżej do łódek, przymocowanych na łańcuskach do wielkiego żelaznego pala, wybierał oczyma, która z nich najlepiej nadałaby się do podróży.

Nagle wstrząsł się zlekka i pilnie nadstawił uszu.

Śród głuchej ciszy, przerywanej tylko świegotem ptasząt po drzewach, odezwał się lekki plusk wody, jakby uderzenie wiosł w oddali.

Juljusz cofnął się szybko w głąb zarośla trzciny, wytyżając ucho i wzrok ku stronie, skąd pierwszy doleciał go szmer.

W samej rzeczy był to plusk wiosł i coraz przebiegał się głośniejszy i wyraźniejszy.

¹ Argus w podaniach greckich był olbrzymem o mnóstwie oczu, patrzących na różne strony świata, stąd zwrot o argusowych oczach.

Juljusz uczuł, że mu krew cokolwiek szybszym uderzała biegiem.

Za chwilę miał stać oko w oko z tajemniczym człowiekiem, który może nie życzył sobie tego spotkania, a w którego tajemnicę on tak zuchwale się zakradał.

I sam nie wiedział młodzieniec, czy ma odrazu wystąpić naprzód i oczekiwać go otwarcie u brzegu, czy pozostać nieruchomo w swem ukryciu i dopiero później zastąpić mu drogę.

— Może właśnie najgorzej uprzedzę go o sobie, że go aż do tej tropilem kryjówki... — szepnął sam do siebie.

Tymczasem plusk wiosła zbliżał się coraz więcej.

— Pójdę i będę go oczekiwał na zakręcie ulicy — poszepnął naraz stanowczo.

I już chciał wzdłuż zarośli trzciny popędzić w głąb ogrodu, kiedy znowu nagle przystanął nieruchomy.

— Zapóźno... — mruknął.

Rzeczywiście łódka musiała już być bardzo blisko, bo coraz wyraźniejsze rysowały się już kręgi na wodzie, a fale coraz wyżej występowały na kamienne wybrzeże.

— Będę czekał tutaj, aż łódka przybije do brzegu, a wtedy wystąpię otwarcie i śmiało — rzekł sobie z silnem postanowieniem.

— Przybyłem tu przecież z troskliwości o niego samego — poszepnął, jakby sam sobie dodawał otuchy.

W tej chwili drgnął znowu.

Zdawało mu się wyraźnie, że coś zaszeleściło za jego plecyma w pobliskich zaroślach agrestu.

Obrócił się, a tuż jakiś cień mignął mu przed oczyma, jakby jakaś postać ludzka zniknęła nagle w dziko wybujałych krzakach.

W tejże samej chwili oczekiwana łódka przybiła do brzegu.

Juljusz szybko wystąpił z swego ukrycia, a nagle stając jak wryty na miejscu, głośny wydał wykrzyk, na który jakby echo odezwał się jakiś inny głos w pobliskich krzakach agrestu.

Z przypartej do brzegu łódki wyskoczyła drobna nóżką młoda dziewczyna w lekkiej różowej sukni, obciśniętej u góry

białym pikowym kaftanikiem. Główkę osłaniał okrągły kapelusik tyrolski z błękitną dokoła wstążką. W ręku wisiał zgrabny słomkowy koszyczek, który niezupełnie zamknięty pozwalał obok robotek kobiecych widzieć jakąś elegancko oprawną książkę.

Na nagły, niespodziewany wykrzyk Juljusza drgnęła młoda dziewczyna przestraszona, a szybko podnosząc głowę, powiodła dokoła niebieskimi, jak kwiat bławatu, oczyma.

— Eugenja! — wykrzyknął Juliusz znowu.

Na twarz dziewczyny wystąpił silny rumieniec, drżąc, zakłopotana, zmieszana stała nieruchoma na miejscu, i sama nie wiedziała jak sobie postąpić.

W pierwszej chwili chciała napowrót wskoczyć do łódki, ale zawahała się nagle i pozostała w jednej pozycji na miejscu.

Juliusz postąpił naprzód.

— Pani — wybąknął niemniej może trwożliwy i pomieszany jak ona sama.

— Panie!... — odszepnęła dziewczyna prawie mechanicznie.

Juliusz mimowolnie cofnął się w tył.

Głos ten wydał mu się wcale obcym.

Wypatrzył się zachwiany na nieznajomą, ale z pod szerokich kres kapelusza nie mógł bynajmniej dojrzeć jej rysów.

Tylko po jednej stronie jakby umyślnie rozwiązany spadał na szyję bujny pukiel włosów jasnych jak len, miękkich i lśniących jak jedwab.

— Ona!... — poszeptał Juliusz na to spostrzeżenie.

I utwierdzony na nowo, postąpił naprzód.

Dziewczyna stała jak wryta z pochyloną na piersi głową.

Zakłopotany młodzieniec zapomniał jakoś języka w gębie, jak w rogu nie wiedział, czem się odezwać.

Nareszcie z największym napięciem przyszedł do siebie po części.

— Przebacz pani — rzekł, zacinając się cokolwiek — szukałem cię tu...

Dziewczyna z gestem zdziwienia cofnęła się w tył.

Juliusz zawahał się na chwilę, ale nagle postępując o krok dalej, ozwał się już o wiele poważniejszym głosem:

— Przepraszam panią, szukałem właściwie kogo innego, szukałem maziarza...

— Ah! — szepnęła dziewczyna i drgnęła zlekka.

— Pani nie chciałaś słuchać przestróg — ciągnął Juljusz dalej.

— Ja? — przerwała i głowę podniosła w górę.

Juljusz odskoczył z głośnym wykrzykiem.

Przed nim nie stała Eugenja.

Łudzące podobieństwo nieznanym dziewczyny z hrabianką polegało głównie na wspólnej obudowie śnieżnej białości cery i jednakiej barwie oczu i włosów. Do tego przylączyło się jeszcze jakieś dziwne, geneanomiczne¹ niejako pokrewieństwo rysów twarzy.

Gdyby obydwie stanęły obok siebie, niepodobnaby zdaleka odróżnić jednej od drugiej, lecz zbliżka nader jasna i wyraźna występowała różnica.

Hrabianka była znacznie niższa i szczuplejsza, nieznanoma miała więcej wrodzonej godności i powagi w całej swej postaci i wydawała się nawet cokolwiek starszą.

Około ust hrabianki igrał wieczny uśmiech dziecięcej swobody i wesołości, twarz nieznanomej nosiła więcej smętny, możnaby rzec, melancholijny jakiś wyraz twarzy.

Piękna była równie jedna jak druga, wszakże przy bliższym rozpatrzeniu, wybitna i co do piękności zachodziła różnica.

Hrabianka przedstawiała się odrazu w całym blasku swych wdzięków i powabów, nieznanoma kazała się podziwiać powoli, stopniowo, potęgując coraz wyżej pierwsze wrażenie, jakie sprawiał jej widok.

W hrabiance przebijało się więcej zmysłowej rozkoszy, w nieznanomej przeważał wybitniej czar ideału.

Gdyby wolno uciec się do porównania orjentalnego poety, możnaby rzec najtrafniej jego słowy: pierwsza zdawała się ziemię wznosić ku niebu, druga niebo przychyłać ku ziemi.

Juljusz w swem zdziwieniu, pomieszaniu i zakłopotaniu nie miał ani czasu, ani siły do podobnych zestawień i porównań.

<https://rcin.org.pl>

¹ wypływające jakby ze wspólnego urodzenia.

Stał na miejscu jak wryty, a w głowie jego jedna tylko wirowała myśl:

— To nie Eugenja!

Widząc szczególniejszy stan Juljusza, nieznajoma otrzęsła się powoli z swego pierwszego popłochu i zamieszania.

Spoglądnęła śmiało i spokojnie na napół nieprzytomnego z zdziwienia młodzieńca, a na różowych, precudnie wciętych usteczkach osiadł nawet lekki uśmiech.

I prawie żał się jej zrobiło Juljusza, który nowemu, tak niespodziewanemu spostrzeżeniu zupełnie dał zbić się z toru.

— Pan się pomyliłeś? — rzekła dziewczyna, jakby mu chciała przyjść w pomoc.

— W samej rzeczy... to niesłychane podobieństwo! — zająknął się, a zachwycone w twarz dziewczyny utkwil spojrzenie.

Nieznajoma żywym na nowo oblokła się rumieńcem, a oczy zwolna spuściła na dół.

Juljusz uniesiony niejako wbrew własnej woli i wiedzy szaleń zachwyty i podziwu, nagle i niespodzianie pochwycił jej drobną, pulchną rączkę i ścisnął ją silniej, jakgdyby się chciał przekonać, czy nie ludzi się czczą marą wyobraźni.

Dziewczyna szarpnęła się prawie przestraszona.

— Pani! — zawołała tonem wyrzutu.

— Któż pani jesteś? — wykrzyknął Juljusz błagalnym głosem.

— Ależ pani! — wyszepnęła dziewczyna, wrywając rękę i usuwając się wtył.

Młodzieniec opamiętał się po chwili. Posunął ręką po czoło i odezwał się spokojniej:

— Przepraszam panią... postępowanie moje wydaje ci się dziwnem... ale racz mnie tylko wysłuchać...

Dziewczyna zrobiła gest, jakby mu chciała przerwać.

Juljusz skwapliwie ciągnął dalej:

— Nie myśl pani, że mię tutaj prosta tylko sprowadziła ciekawość...

Dziewczyna obejrzała się niespokojnie i krzyknęła nagle. Juljusz obrócił się prędko.

O kilka kroków zbliżał się boczną ulicą Kost' Bulij, groźny i surowy jak jaki duch złowrogi.

— Uchodź pan! — zawołała dziewczyna i w zapomnieniu pochwyciła go za rękę, jakby do tem większego nagłąc pospiechu.

Krótką tylko chwilkę trwało to nowe przypadkowe dotknięcie ręki, a wszystka krew silniej zawrzała w Juljuszu, a i dziewczyna zadrżała cała od stóp do głowy.

Młodzieniec oczywiście nie myślał usłuchać jej rady.

Stał na miejscu nieruchomy, nie odrywając oczu od swego czarodziejskiego widziadła.

Kost' Bulij zatrzymał się o dwa kroki przed nim.

A strasznym był w tej chwili stary kozak.

Oczy błyskały złowrogo z pod gęstych krzaczystych brwi, zaciśnięte usta drgały konwulsyjnie, a cała olbrzymia postać wyprężyla się gniewnie i groźnie.

Młoda dziewczyna wydała nowy okrzyk trwogi.

Kost' zrobił jakieś gwałtowne wysilenie, jakby się pragnął uspokoić.

— Niech panna wróci do altany... — ozwał się, łagodząc głos ile możliwości.

I podniósłszy z ziemi opuszczone wiosło, postąpił ku brzegowi i ręką przytrzymał czółno.

Dziewczyna chwilkę chwiała się w niepewności.

Wtem zgrabnie i zwinnie wskoczyła w łódkę.

Biorąc wiosło z rąk starego kozaka, młoda dziewczyna nachyliła się szybko do jego ucha i jakieś krótkie, urywane poszepnęła mu słówko.

Kost' wzruszył ramionami.

Nieznajoma ochoczo plusnęła wiosłem, łódka szybko odbiła od brzegu i skręciła poza zarośla szuwaru.

Juljusz niemy i nieruchomy stał na brzegu, pożerając w zachwycie każde poruszenie dziewczyny.

Nieznajoma obróciła się ku niemu i skinąwszy zlekka ręką i głową na znak pożegnania, dłuższe utkwiała weń spojrzenie.

Juljusz zadrżał cały.

W spojrzeniu tem szczególny przebiegał się wyraz.

Niebieskie oczy nieznajomej nie zdawały się żegnać na zawsze z Juljuszem, ale jakby mówiły wyraźnie: Do widzenia!

Nie troszcząc się wcale o obecność starego kozaka, nie odwrócił oczu młodzieniec, póki łódka i jej czarodziejska sterniczka zupełnie nie znikły z oczu.

Teraz dopiero spojrzał na starego kozaka.

Pierwszy raz widział go w tak zmienionej postaci.

Dotychczas stary kozak zachowywał zawsze wobec młodego dziedzica zwyczajne względy poważania.

W tej chwili stał z założonemi na krzyż rękami, w kapeluszu na głowie i z gniewem i lekceważeniem mierzył nieuwolnionego jeszcze z pierwszego wrażenia młodzieńca.

— Czego pan chcesz tutaj? — zawołał zuchwałym tonem, o krok postępując naprzód.

Juljusz nabiegł krwią na twarzy, ale przytłumiając w sobie gwałtowniejszy wybuch oburzenia, odpowiedział spokojnie:

— Szukam ciebie.

— Tutaj?

— W domu cię nie zastałem.

— A czegoż pan chcesz odemnie?

— Chciałem pogadać z tobą wyraźnie i otwarcie...

Kost' kiwnął głową niechętnie.

Juljusz ściągnął brew.

— Ani ty, ani twój gość, maziarz, nie zdajecie się pojmo-
wać waszego położenia... waszego...

Kozak wzgardliwie machnął ręką.

Gwałtowna, nieokrzesana, chłopska natura starego sługi dworskiego nie dała się powściągnąć w chwilach gniewu i oburzenia.

— Nie wściubiaj lepiej swego nosa, gdzieś nie dał grosza! — wrzasnął w wściekłości.

— Schowaj swoje durne rady dla siebie samego — do-
dał, postępując naprzód z zaciśniętymi pięściami — a fora stąd,
bo na kiju wyskoczysz!

Nieprzygotowany na taki grad słów zelżywych Juljusz
stał w pierwszej chwili oniemiały z gniewu i oburzenia.

— Łotrze! — zawołał nareszcie, trzęsąc się od złości.

Stary kozak srodze zawrócił oczyma.

— Tyś sam łotr! — huknął w odpowiedź piorunującym głosem. — Nieboszczyk pan zrobił z ciebie, charłaka¹ bez butów, wielkiego pana, a zato i po śmierci nie chcesz szanować jego woli, psi synu!

Juljusz w kułak zacisnął pięści i nie zważając na nic, chciał w obces rzucić się na olbrzyma, ale w tej chwili ktoś silnie powstrzymał go za rękę.

— Co robisz! — szepnął mu głos znajomy.

Stary kozak cofnął się wtył i zgrzytnął zębami.

— I ten tutaj! — mruknął w wściekłości.

— Katylina! — wykrzyknął Juljusz.

Pan Damazy Czorgut przybywał jak zawołany, aby wcale nierównej przeszkodzić walce.

Rozpierając się szeroko na swych silnych nogach i wpa-trując się groźnie w twarz starego klucznika, rzekł swym zwy-
czajnym, lapidarnym² stylem:

— Słuchaj-no ty, stary drabie, ciężą ci już, widzę, twoje kości, ja ci wnet ulżę ciężaru.

Kost' Bulij mimowolnie cofnął się wtył.

Od owego spotkania w czerwonym pokoju czuł on wielki respekt dla nieustraszonego awanturnika.

Juljusz, uniesiony gniewem do najwyższego, chciał ko-niecznie rzucić się na klucznika.

— Stójże! — zagrmiał mu Katylina niecierpliwie.

— Ja się sam z nim rozmówię — dodał.

Stary kozak przez ten czas uspokajał się widocznie. Znikł ten dziki, srogi wyraz z oczu i twarzy, a pozostała tylko wła-
ściwa mu surowość i pochmurność.

Stał wyprężony na miejscu i tylko jedną ręką sięgnął w zanadrze.

Katylina postąpił o krok naprzód ku niemu.

— Z kim to ty mówiłeś, zuchwalcze? — zapytał go, za-ciskając zęby.

<https://rcin.org.pl>

¹ biedota, nędzarz.

² bardzo zwięzłym.

Kost' Bulij wyciągnął rękę z zanadrza i łysnął małą krucicą.¹

— Nauczyłem się przezorności od pana — odpowiedział spokojnie.

— At, lichy się nauczyłeś, mój bratku, bo ja mam zawsze dwie pary przy sobie — rzekł Katyliną swym zwykłym drwiącym tonem i ręką chciał sięgnąć do kieszeni.

Kozak ściągnął brwi.

— Za pozwoleniem, niech pan stoi nie ruszając się na miejscu, albo strzelę.

Katyliną zawahał się.

— Cóż z tego, że strzelisz, — wybuchł, wracając nagle do swego zwykłego, humorystycznego usposobienia — kiedy nie trafisz!

— Obaczymy!

Krótką tą rozmową pozwoliła Juljuszowi opamiętać się zupełnie.

Lubo słowa starego kozaka wzburzyły gwałtownie wszystką krew w jego żyłach, miał jednakże zanadto silne uczucie słuszności, aby nie² poznać, że swem wtargnięciem do ogrodu i swym napadem na nieznaną dziewczynę wywołał uzasadniony gniew starego klucznika: a że gniew ten w za gwałtownych objawił się wyrazach, uniewinniło to cokolwiek charakter i stanowisko byłego poufnika starościca.

Uspokojony i znacznie prześlagnany wystąpił Juljusz na przód i odezwał się niezupełnie jeszcze pewnym głosem:

— Nie obawiaj się niczego. stary durniu! Nie przyszliśmy, czyli raczej ja nie przyszedłem tu z prostej ciekawości. Nie zastawszy cię w domu, przypadkiem tylko zapędziłem się aż tutaj.

— Przypadkiem? — powtórzył Kost' jakby niezupełnie przekonany.

— Furtka z twojej obory była otwartą...

— A cóż pan chciałeś odemnie? — przerwał kozak i mimowolnie zdjął kapelusz.

<https://rcin.org.pl>

¹ krótki pistolet.

² w tekście mylnie: się.

— Chciałem ci powiedzieć, że nad tajemnicą, jaka osłania cię w tym dworze, groźna zawisła chmura. Lada dzień może spaść komisja!

W miarę spokojnego tłumaczenia się Juljusza miękł coraz starszy kozak, twarz jego łagodniała widocznie.

Spuścił kurek z pistoletu i chowając go spokojnie w zanadrze, poskoczył ku Juljuszowi i pokornie pochwycił go za kolana.

— Przebaczcie, jasny panie! — rzekł prawie rozrzewnionym głosem — przybyliście w miejsce, gdzie według ostatniej woli nieboszczyka prócz mnie jedna tylko jeszcze żyjąca wstąpić może osoba. Przydybawszy was tutaj, — ciągnął dalej odetchnąwszy — uniosłem się zadaleko.

W nagle zmienionej mowie starego kozaka przebijał się ton tak serdecznej szczerości, że sam Katyliną dał się odrazu przebłagać i nie myślał już mścić zniewagi przyjaciela.

Kość Bulij ciągnął dalej:

— We wszystkim, co robię, wypełniam tylko ślepo wolę nieboszczyka pana.

— Ależ nieboszczyk pan nie mógł sobie życzyć, abyś zamykał oczy na wszelkie niebezpieczeństwa — ozwał się Juljusz. Stary kozak uśmiechnął się w dziwny sposób.

— Nie bójcie się, jasny panie — odparł z pewnym naciśnięciem. — Na wszystko ma oczy otwarte kto inny.

Nagle przymilkł, jakby się przestraszył tego co powiedział.

— Ot, co tam wiele gadać — poderwał prędko. — Przyśiągłem nieboszczykowi panu, kiedy konał na moich rękach, że ślepo we wszystkim wypełnię jego ostatnią wolę i jak życia własnego będę strzegł tajemnicy, którą mi powierzył.

— Bóg świadkiem, — dodał po chwili wytchnienia — że święcie dotrzymuję przysięgi. Toż, jasny panie, nie pytaj mnie o nic i nie badaj sam niczego, bo wszystko nadaremnie.

— Mówiłem ci, że mi dotychczas chodziło i chodzi tylko o wasze własne bezpieczeństwo — odezwał się Juljusz.

— Niepotrzeba tego wszystkiego, — odparł z pewnym dobrodusznym nastrojem stary kozak — umiemy sami czuwać nad sobą.

— Z tem wszystkim jabym się wam nigdy nie powierzył! — zaśmiał się szyderczo Katylina.

Stary kozak nie odpowiedział. Rzucił okiem na przeciwną wysepkę, a potem z jakimś niepokojem obejrzał się dokoła.

Twarz jego postradała znów ów chwilowy łagodniejszy wyraz i zdawała się niecierpliwieć nagle.

— Nie mam czasu dłużej rozmawiać z panami — ozwał się prędko. — Odprowadzę panów do furtki.

Juljusz i Katylina mimowolnie zwrócili oczy ku wysepce.

Po jednej stronie zarosłej krzewami wysepki wznosił się niewielki ślimak z murowaną altaną, która miała kształt olbrzymiego grzyba.

Wpatrując się w tę stronę, Juljusz i Katylina wydali lekki wykrzyk.

Zdawało się obudwom, że z poza muru, przedstawiającego pień grzyba, wychylała się ukradkiem jakaś postać kobieca.

Stary kozak poszedł mimowolnie za kierunkiem wzroku obudwu młodzieńców i znowu ściągnął brew.

— Pójdźmy! — zawołał szorstko.

— Pójdźmy! — powtórzył Katylina i machnął ręką.

Juljusz z westchnieniem oderwał oczy od wysepki i milczący i zamyślony postąpił za Kostiem, który jakąś krótszą ulicą prowadził prędko ku swej zagrodzie.

Katylina gwizdał całą drogę, ale widocznie jakiś jedyny przedmiot zajmował niezwykajne jego myśli.

Niebawem stanęli wszyscy u wiadomej furtki.

Tu stary klucznik zatrzymał się nagle.

Cała jego postać przybrała jakiś wyraz poważny i uroczysty. Stał wprost naprzeciw Juljusza i krzyżując ręce na piersiach, ozwał się z silniejszym naciskiem:

— Jeszcze jedno słowo, jasny panie!

Katylina przestał gwizdać i ciekawie rozszerzył oczy.

— Cóż takiego? — zapytał Juljusz.

— Chciałbym kilka słów z jasnym panem pomówić na osobności.

Katylina z drwiącą miną wzruszył głową.

— Sekreta! — mruknął, i gwiżdżąc dalej, wszedł na oborę, gdzie go zaraz obadwa psy głośnem powitały szczekaniem.

Juljusz i Kost' pozostali sami przy furtce.

— Mam jasnemu panu coś powiedzieć, czego dotąd nie myślałem wyjawić — ozwał się powolnym głosem stary kozak.

— Słucham cię.

— JWny pan wie, że przynosząc z sobą testament nieboszczyka pana, nie zaraz złożyłem go w sądzie, ale przeszło trzy tygodnie po powrocie zatrzymałem go jeszcze u siebie?

— Nie słyszałem o tem nigdy.

Stary kozak ciągnął jednym tonem dalej:

— Chcę wyznać jasnemu panu, dlaczego sobie pozwoliłem takiej przewłoki.

— Ale cóż mi na tem może zależeć?

Kost' Bulij ruszył głową i ramionami, jakby chciał powiedzieć: zaraz się dowiesz.

— Kiedy nieboszczyk JWny starościc, świeć Panie jego duszy, — zaczął po chwili przykrego jakiegoś rozpamiętywania — czuł się już bliskim śmierci, podyktował dwa różne zupełnie testamenta.

— Dwa różne testamenta! — zawtórzył Juljusz prędko, jakby dobrze niedosłyszał.

— Tak, jasny panie.

— I cóż tedy?

Kost' Bulij pochylił głowę na piersi i ciągnął, jakby pod wpływem jakiegoś bolesnego wspomnienia:

— Na kilka godzin przed śmiercią nieboszczyk przywołał mię do swego łóżka i rzekł mi słabym głosem:

— Służyłeś mi wiernie za mego życia, nie wątpię, że zechcesz usłużyć mi i po śmierci. Nie pozwolę nigdy, aby dobra moje, które od wieków należały do rodziny najczystszej szlachty polskiej, dostały się kiedykolwiek w posiadanie cudzoziemców. Mój brat przyjął tytuł, stał się grafem, więc już tem samem stracił prawo sukcesji do Żwirowa.

Tu urwał na chwilę stary kozak, jakby w lepszy szyk układał swe wspomnienia.

— Przysięgłem mu po raz drugi — prawić dalej, prze-

skakując cokolwiek w opowiadaniu — wykonać święcie wszystko, co rozkaże. Wtedy rzekł do mnie:

— W twoje ręce składam obadwa testamenty, wracaj do kraju i zasięgnij dokładnych wiadomości co do charakteru i sposobu myślenia młodego Żwirskiego, mego imiennika i dalekiego kuzyna, któremu cały mój zapisuję majątek.

Znowu zatrzymał się na chwilę, tym razem snąc dla zbadania, jakie wrażenie sprawiają jego słowa.

— Jeślibyś go uznał niegodnym tak świetnej zmiany losu, — kontynuował z naciskiem stary kozak — spal pierwszy testament, a przedłóż sądowi drugi, gdzie wcale inne zawierają się postanowienia. W przeciwnym zaś razie...

— W przeciwnym razie?... — podchwycił spiesźnie Juljusz.

— Spal drugi, a przedłóż pierwszy...

— Ty więc?

— Spaliłem drugi.

— Lecz dlaczego mi to mówisz? — zapytał Juljusz prędko. Stary kozak pokornie skłonił się ku kolanom młodzieńca.

— Abyś mi jasny pan nie kazał żałować, — ozwał się spokojnie — że nie zachowałem i drugiego późniejszego, aby w razie potrzeby tem pewniej obronić od natrętnej ciekawości przekazaną mi pośmiertną tajemnicę nieboszczyka pana.

Juljusz zrozumiał znaczenie całej rozmowy.

Zarumieniał się zlekka, ale przezwyciężając gwałtowne chwilowe pomieszenie, odpowiedział z stanowczą dobitnością:

— Rozumiem cię, Kostiu! Lecz bądź spokojny! Odtąd dwór zaklęty nie istnieje dla mnie bynajmniej.

Kost' skłonił się unizienie.

— A dla tego? — zapytał po chwili, wskazując palcem na oddalonego Katylinę.

— Ręczę ci i za niego.

Kost' z pewnem serdecznem wylaniem pochwycił za kolana młodzieńca, mówiąc wzruszonym głosem:

— Dziękuję, jasny panie.

Juljusz musnął ręką po czole i zawahał się czegoś.

— Jeszcze tylko słówko, Kostiu.

— Słucham, jasny panie.

— Jedno zapytanie.

Kost' schmurzył czoło, jakby z obawy czy niezadowolenia.

— Czy będę mógł poznać kiedy tę nieznajomą?

Kost' milczał.

— Jakto, nigdy?

— Nie wiem — odciął krótko.

— Nie wiesz, mówisz?

— Przysiągłem w najdrobniejszej rzeczy zachować tajemnicę...

— A teźe nigdy się nie będę mógł dowiedzieć?

— Może...

— Może — podchwycił na nowo z jakimś febrycznym pospiechem. — Bogdaj czy nie prędzej nawet niż się jasny pan spodziewasz! — dodał, a oczy dziwnym rozgorzały mu blaskiem.

— A teraz...

— Ani słowa więcej.

Juljusz wstrząsł głową, jakby się gwałtem od natrętnych uwalniał zachceń i wszedł do obory Kost'ia, gdzie wśród ujadania psów tam i nazad przechadzał się zniecierpliwiony Katyliną.

— Skończyliście? — rzekł z wzgardliwym poruszeniem ramion.

— Jedźmy! — odparł Juljusz krótko.

Kost' poskoczył do stajni i wyprowadził konia.

Katyliną niezadowolony pokiwał głową.

— Nie zmieścimy się obadwaj, muszę piechotą wracać do Buczał.

Juljusz dopiero teraz mógł zastanowić się nad niespodziewanem pojawieniem się Katyliny w ogrodzie.

— Skądże ty się tu wzięłeś? — zapytał go nagle.

— Popędziłem za tobą, przekonany zgóry, że strzelisz jakiegoś baka.

— To opieka...

— Daj pokój, — przerwał Katyliną, niedbale wzruszając

ramionami — bezemnie byłbyś się poczuł z naszym zaklętym klucznikiem.

Juljusz zarumienił się na to nieprzyjemne wspomnienie i wskoczył prędko w siodło.

— Zaczekam na ciebie u mandatarjusza! — zawołał odjeżdżając.

— Do widzenia, do widzenia — mruknął Katylina i machnął ręką.

Potem obrócił się do kozaka, aby go jakimś szydercem zbyć pożegnaniem, ale wtem drgnął i lekki wydał wykrzyk.

W oknie chaty kozaka mignęła jakaś twarz ludzka, która mu dziwnie jakoś wydawała się znajomą.

W pierwszej chwili chciał mimowoli rzucić się ku drzwiom: klucznik zastąpił mu drogę.

Katylina opamiętał się nagle, zachwiał się na chwilkę jakby niepewny co ma robić dalej, ale tuż zaraz machnął ręką i wzruszył ramionami.

— Pal djabli całą tę historję! — mruknął przez zęby.

I pożegnawszy lekkim skinieniem głowy starego klucznika, zasunął głębiej na uszy swój słomiany kapelusz i gwizdząc głośno, puścił się spiesznym krokiem ku gościńcowi.

— Dość dziś na jednym odkryciu... — mruknął sam do siebie. — Nasza nimfa ogrodowa nie jest jedną osobą z hrabianką! ale, że to szczególniejsze podobieństwo ma swoje znaczenie, swoje skutki i przyczyny *et caetera omnia*,¹ za to gardłem ręczę!

IV

PAN Z PANÓW

Hrabia Zygmunt Żwirski niezwyczajnie rano zerwał się z łóżka. Głucha cisza panowała jeszcze w dalszych częściach pałacu, kiedy już nawpół ubrany w głębokiem zamyśleniu tam i nazad przechadzał się po swym pokoju.

¹ i wszystko inne.

W ciągu upłynionych czterech miesięcy hrabia do zdziwienia zmienił się na twarzy. Posiwał znacznie na skroniach, czoło w liczne porysowało się fałdy, a oczy przybierały częsta jakiś zagadkowy wyraz trwogi i niepewności.

W oficynach i na folwarkach szeptano sobie na ucho, że odkąd nieporównany Żachlewicz oddalił się ze służby, hrabia nie może sobie dać rady i gryzie się biedne panisko we dnie i w nocy.

W samej rzeczy od czasu oddalenia się pełnomocnego rządcy dziwna jakaś zmiana zaszła w całym usposobieniu hrabiego.

Dumny magnat staczał widocznie jakąś zawziętą z samym sobą walkę. W najweselszem towarzystwie nie mógł ukryć głębokiego zamyślenia, a i w domowym pożyciu stawał się codziennie nudniejszym, jakby jakiemuś tajemnemu ulegał cierpieniu. Zamyślony i zadumany kładł się na spoczynek, zły i niecierpliwy zrywał się z łóżka, a wbrew dawnym swym nawyknieniom najchętniej przebywał teraz w samotności, bądź zamknięty w swej kancelarji, bądź ukryty gdzie w szpalerach ogrodu.

A dziwny ten stan orkizowskiego dziedzica pogorszył się jeszcze, odkąd Żachlewicz powrócił z zagranicy i jakąś dłuższą miał z nim konferencję.

Przypuszczeni do tajemnicy Żachlewicza, możemy domyśleć się po części, co właściwie dojmowało hrabiemu.

Nie mógł poprostu oprzeć się zwodniczym namowom swego przebiegłego sługi, a wahał się znowu, czy idąc za niemi nie zboczy z drogi honoru i poczciwości, po której przez całe swe dotychczasowe stapał życie.

Napróżno wyczerpywał Żachlewicz wszystkie zasoby swej obłudnej wymowy i swych sofistycznych¹ dowodów, nigdy nie mógł przekonać go stanowczo.

Szlachetny potomek wojewodów i kasztelanów grzeszył wobec świata dumą bez granic i miary, wszakże duma ta miała poniekąd swe słuszne powody.

Hrabia nie pysznił się swym majątkiem, ani swym tytu-

<https://rein.org.pl>

¹ krętałkich.

łem hrabiowskim, bo wiedział aż nadto dobrze, że pierwsze nie jest wyłącznym przywilejem szlachty, drugie zaś tak wielce spowszedniało w naszej biednej krainie, że nie masz wnuka zawołanego ekonoma złodzieja, lub oszusta dorobkiewicza, któryby go pełnem prawem nie mógł na swej wizytowej położyć karcie.

Hrabia Zygmunt Żwirski szczyił się jedynie swem imieniem, zasługami swych przodków. Protoplasta¹ mężów, co bohaterstwem i poświęceniami zapisali się w kartach dziejów, miał wszelkie prawa do szacunku wieków potomnych, mógł słusznie wywyższać się nad tych, co ogołoceni z własnych zasług, nie mieli żadnych świetniejszych wspomnień na podniesienie obecnej nicości.

Opierając jednak całą swą wyższość moralną i społeczeńską na samej świetności imienia, podlega się temsamem surowemu obowiązкови czuwać i troszczyć się wszelkimi siłami, aby imię to zachowało się nieskazitelne dla dalszych potomków, aby wspomnienia te, jeśli już niepodniesione i niepomnzone, to przynajmniej bez plamy i uszczerbku zeszły na czasy potomne.

Przejęty do głębi temi zasadami, musiał dumny hrabia zawziętą staczać z sobą walkę, aby się nakłonić do kroku, który na wszelki wypadek różny dopuszczał wykład.

Przebiegłość Żachlewicza zasłaniała w nim przed światem wszelki udział hrabiego, wszakże nie tak łatwo było przezwyciężyć tajne szkrupuły sumienia i honoru.

Hrabia czuł jakoś instynktowo, że łączy się z chytrą i niegodziwą intrygą, że sprawę swą niekoniecznie czystym powierza rękóm, a szlacheckim jego wyobrażenióm sprzeciwiał się srodze cały ten skryty, podstępny sposób działania, jak i niemniej ten niekoniecznie zaszczytny rodzaj spółki z swym sługą.

Atoli z innej strony wiele znowu przemawiało za propozycją Żachlewicza.

¹ przodek; tu widocznie mylnie, gdyż idzie o potomka.

Żwirów,¹ gniazdo rodzinne, stolica okrytych sławą praszczurów, wypadał z posiadania prostej linii Żwirskich, sława i świetność imienia przechodziła na jakąś uboczną, nieznaną gałąź. Daleki imiennik rozsiadywał się na miejscu, które po raz pierwszy zapisał w kroniki główny twórca wielkości rodziny, ów Spytek z Żwirowa, co znacznie przyczynił się do Jagiellowego zwycięstwa pod Grūnwaldem, a później liczne inne ojczyźnie oddał przysługi. Zeszczuplona na majątku prosta linja Żwirskich musiała tem samem upadać na znaczeniu i powadze, ów zaś wyobraziciel młodszej linji, dzisiejszy dziedzic Żwirowa, zdawał się hrabiemu człowiekiem nowszych czasów, prześląkłym jadem zgubnych idei demokratycznych, nie umiejącym cenić odwiecznych tradycyj rodzinnych i lekceważącym sobie blask i sławę protoplastów, do których nie mógł odnosić się bezpośrednio.

Pomijając jednak wszystkie takie i tym podobne wywody, wpływające niemało na umysł dumnego magnata, nie przemawiałyż inne jeszcze bliższe względy za rewindykacją² rodzinnego gniazda?

Po wszelkich prawach ludzkich i boskich hrabia Zygmunt był bliższym sukcesorem bratniej spuścizny, niż jakiś nieznany imiennik, zepsuty niedowarzonemi teorjami młokos i chudopacholek, który dotychczas nie liczył się wcale do rodziny.

Szlachetny pan z panów poczytywał się zresztą za głowę familji, jedyne go wyobraziciela sławy imienia, a jako taki, odróżniał swój własny indywidualny interes od widoków swych descendantów.³

Wyniesiony zasługami przodków, uważał się niewolnikiem obowiązków wobec descendantów. Mógł sam za siebie zrzec się Żwirowa, lecz czuł się powinny bronić praw dalszych potomków.

¹ Miejscowości tej nazwy nie znajdujemy w *Słowniku geograficznym*, również w żadnym herbarzu niema magnackiej rodziny Żwirskich. Herbarza p. t. *Klejnoty rycerstwa polskiego* nie znamy, a w dziele Paprockiego *Herby rycerstwa polskiego* nazwiska Żwirskich nie spotykamy; nazwa i wyjątek z herbarza przytoczone są fikcyjnie.

² odebraniem.

³ potomków.

Aby jednak obadwa sprzeczne pogodzić z sobą względy lub stanowczo za jednym lub drugim oświadczyć się krokiem, czyli jednym słowem, aby przyjąć lub odrzucić wręcz propozycję Żachlewicza, do tego brakowało mu niestety i potrzebnej bystrości umysłu i siły charakteru.

Chwiejny i niepewny siebie, przyzwolił na pierwsze kroki Żachlewicza, z wahaniem i obawą patrzył na postępy jego dalszych zabiegów i machinacyj.

Były rzadca nie zasypiał tymczasem sprawy.

Plan jego postępował, dojrzewał, rozwijał się z każdym dniem, z każdą godziną.

Podróż do Drezna przyniosła jak najpomyślniejsze owoce. Pozyskane zagranicą dokumenta i świadectwa wystarczały wobec prawa, aby zachwiać znacznie powagę ostatniej woli nieboszczyka starościca, świeżo zaś zapewniona pomoc mandatarjusza i ekonoma rokowały niewątpliwie dokazać reszty.

Dziedzictwo Juljusza wisiało dziś już na włosku. Energetyczne poparcie sprawy u sądu mogło jednym zamachem obalić testament i przywrócić prawa naturalnym sukcesorom.

Osiągając tak świetne korzyści, hrabia sam mógł zupełnie zachować się na uboczu, nie potrzebował nigdzie pod własnym występować imieniem.

Aby przewyciężyć wszelkie jego szkrupuły i wątpliwości, Żachlewicz zrzekał się nawet pisemnej donacji na Buczały. Wytaczał proces na podstawie ustnego przyrzeczenia. Hrabiemu nie pozostało nic innego, jak tylko wyznać, że rzeczywiście obiecał swemu rządcy Buczały i gotów był dotrzymać obietnicy, gdyby go niespodziewane nadejście testamentu z całego nie wyzuwało dziedzictwa. Dobijając się zaś otrzymanej obietnicy, miał Żachlewicz przywrócić całe dziedzictwo hrabiemu.

Uwiedziony jego namowami hrabia wczoraj skłonił się do wszystkiego. Ale dziś rano wstał z łóżka chwiejny i wahający się więcej niż kiedykolwiek.

W nocy okropny jakiś trapił go sen.

Zdawało mu się, że wygrał proces i wracał w posiadanie Żwirowa.

Komornik¹ z woźnym wprowadzili go w posiadanie starego, opuszczonego dworu.

W ich towarzystwie przechodził przez wszystkie, tak dobrze mu z lat dziecięcych znane pokoje. Każdy sprzęt, każdy kąt budził w nim jakieś przyjemne i rzewne wspomnienia, a przecież coś srodze dolegało mu w sercu, jakieś przykre uczucia ścisnęły mu pierś, jednym słowem jakoś strasznie smutno i duszno mu było w tych murach. Komornik prowadził go z komnaty do komnaty, woźny wszędzie nosowym głosem obwoływał go panem i dziedzicem. Ale te jednostajne formalności jakieś niemiłe sprawiały na nim wrażenie, ten głos woźnego przejmował go jakąś obawą niewiadomą.

Nareszcie zbliżyli się do czerwonego pokoju.

Woźny rozwarł drzwi na ścieżaj, a hrabia i komornik jednocześnie przestąpili próg.

I nagle potруchleli obadwaj, a woźny znikł gdzieś bez śladu.

Hrabia czuł, że mu włosy kolcami najeżyły się na głowie, a oddech zaumierał mu w krtani.

Przed okrągłym stołem, w wielkim, aksamitem obitym fotelu, siedział nieboszczyk starosta nieruchomy i wyprężony jak statua z kamienia.

Komornik drżąc jak listek ze strachu, chciał odczytać dekret dziedzictwa; starosta groźnie ruszył wąsem i skinął ręką, komornik umilkł jak zakłęty, a starosta ozwał się uroczystym, grobowym, bezdźwięcznym głosem:

— Protestuję! Nie pozwalam!

A słowa te po wszystkich pokojach przerażającym odbiły się echem, że aż dwór cały zatrzęsł się w swych posadach.

Hrabia chciał uciekać, ale nogi jakby wrosły mu w posadzkę.

— I ja protestuję, i ja nie pozwalam! — ozwał się w tej chwili nowy straszny głos, a za fotelem ojca ukazał się starość.

Surowość i groza malowały się w jego twarzy, błyskawice strzelały z oczu.

— Ja tu pan — krzyknął jeszcze straszniejszym niż pierwszej głosem.

— Bracie! — jęknął hrabia, dzwoniąc zębami z przestachu.

Starościc w dziki wybuchnął śmiech.

Hrabiemu wszystka krew ścięła się w żyłach.

Starościc śmiał się ciągle, a za nim jakby piekło samo tysiącem gardzieli śmiało się echo.

— Bracie! — wybełkotał jeszcze raz hrabia i padł na kolana.

Starościc już nie śmiał się więcej, ale jęknął tak dziko i przerażająco, że hrabia plackiem padł na ziemię pewny, że cały dwór rozlatuje się w gruzy.

— Bracie, bracie! mówisz! — zawołał starościc okropnym głosem. — A Kseńka!...

Hrabia drgnął gwałtownie i w tej chwili zimnym zlany potem ocknął się ze snu.

Siadł w łóżku i przetarł oczy, a jeszcze drżał cały jak listek.

Zadzwoił na lokaja, i dopiero po dobrej chwili uspokoił się zupełnie. Nie mogąc zaś czy nie chcąc zasnąć na nowo, ubrał się wcześniej niż zazwyczaj.

Szczególniejszy sen, łącząc się tak ściśle z planem Zachlewicza, silnie musiał na nim sprawić wrażenie.

Smutny i zamyślony przechadzał się po pokoju, a od chwili do chwili tylko jakieś niezrozumiałe wycedzał słowa.

— Poco mi tego wszystkiego — mruknął nareszcie wyraźniej. — Powetuję podróż Zachlewiczowi i napędzę go na cztery wiatry!

— Ten sen... — dodał ciszej i wstrząsł się cały.

Po chwili usiadał w fotelu przy biurze i głowę wsparł o poręcz.

— Jestem i tak dość bogaty — pocieszał sam siebie. — Nie wystarczają mi wprowadzić dochody, ale coraz więcej się

przekonuje, że ludzie mają rację: Zachlewicz okradał mię nie-milosiermie.

Zamyślił się znowu, a oczy jego padły przypadkowo na stos książek na biurku.

Jedna z nich, przepysznie oprawna, nęciła szczególnie jego oczy. Na jej skórzanych okładkach lśnił złocisty napis: *Klejnoty rycerstwa polskiego*.¹

Mimowolnie sięgnął ręką po nią i otworzył naoslep. Snać jednak z przyzwyczajenia książka zawsze na jednym otwierała się miejscu.

Hrabia uśmiechnął się z dumą.

Otwarta stronica przedstawiała herb: Topor, rodzinny klejnot Żwirskich, którego pierwszym założycielem, jak niesie tradycja, miał być nikt inny, jak tylko jeden z towarzyszków ojca Lecha.

O kilka wierszy pod herbem czytał hrabia półgłębko po raz już może tysięczny w swem życiu:

«Żwirscy z Żwirowa, wielka i można rodzina, przesiedlona z Małopolski do Rusi... Król Władysław Jagiełło nadał jej zamek Żwirów i szerokie ziemie na Rusi. Od zamku nazwali się Żwirscy»...

Skończywszy czytać, hrabia głowę pochylił na piersi i w nową wpadł zadumę.

Nagle gwałtownie zerwał się z miejsca i szybkimi krokami jął przechadzać się po pokoju.

Syrenie ponęty dumy przemówiły znowu w jego wnętrzu.

Niedawny zamiar wspaniałomyślny zachwiał się ponownie, zręczny plan Zachlewicza uludną uśmiechał się pokusą.

Ale tuż nagle przypomniał się i sen dzisiejszy, a z nim razem odżyły i dawne szkrupuły i wątpliwości.

I znowu w myślach jego bezładny zrobił się wir.

Usiadł nieruchomo przy biurku i głowę wsparł na ramieniu.

Nagle krzyknął i zerwał się z siedzenia, a oczy mu za-lśniły, jakby jakaś tajna, szczęśliwa objawiała myśl.

<https://rcin.org.pl>

¹ zob. przypis na str. 279.

Wyprostował się w całej postawie i szybko tam i nazad przeszedł się po pokoju.

— Jedyne śródek... — mruknął półgłosem.

Wtem przystanął i schmurzył czoło, ale tuż zaraz wypogodził się na nowo i od niechcenia machnął ręką.

— Jest Żwirskim *et c'est assez*...¹ — szepnął i głowę ze znaczeniem zadarł do góry.

Potem zadzwonił na lokaja i szczęśliwy, zadowolony, jakby jakiegoś przykrego pozbawiony ciężaru, skończył swe ubranie.

W ciągu tych rozmyślań dziesiąta już dochodziła godzina.

— Pójdź się dowiedz, czy pani wstała — rzekł do lokaja.

A zostając sam, przeszedł się jeszcze raz po pokoju i mruknął sam do siebie:

— Ciekawym, co na to powie Celestyna.

Eugenja, od dwu godzin już ubrana, powróciła właśnie z ogromnym bukietem w ręku z przechadzki po ogrodzie.

Piękna twarz młodej dziewczyny jaśnieje, jak zawsze, dziecięcą swobodą i wesołością, ale cała postać jej wypełniała i spoważniała znacznie.

Wraz z nią weszła do pokoju wysoka, przystojna, nieco starsza wiekiem dziewczyna, przyjęta od niedawna do jej szczególnych usług panna służąca.

Eugenja rzuciła bukiet niedbale na mały stolik mahoniowy i jakby utrudzona przechadzką, usiadła spiesźnie na małą, aksamitem obitą sofkę.

— Znosi się dziś znowu na gorący dzień jak w środku lata — szepnęła odetchnąwszy.

— Czy pani każe włożyć w wodę bukiet? — zapytała towarzyszka.

— Proszę...

— Myślę, — dodała po chwili — że musiał wrócić już posłaniec z pocztą. Dziś mają przyjść nowe dzienniki.

— Dowiem się zaraz — odpowiedziała panna służąca

<https://rein.org.pl>

¹ a to dość.

i ustawiwszy bukiet w przepysznym dzbanuszkę porcelanowym na stoliku przed sofką, wyszła z pokoju.

Hrabianka pozostała sama.

Pochyliła główkę na krawędź sofki i przymrużyła cokolwiek oczy, jakby w nagle wpadła w zamyślenie. Uśmiechnięta wesoło twarzyczka zaczęła poważnieć stopniowo, a różowe usteczka ścisnęły się silniej.

Młodą dziewczynę kilka poważniejszych zajęło myśli.

Po raz pierwszy zaczęła zastanawiać się mimowolnie, dlaczego kuzynek August, ten wesoły towarzysz dziecięcych zabaw i swawoli, z którym była poufała jak z bratem rodzonym, od niejakięgo czasu tak poważną i jakąś melancholijną przybiera wobec niej minę i codziennie prawie staje się jakby więcej obcym i nieśmiałym.

W pierwszych dniach po swym powrocie z zagranicy powitał ją z dawną dziecięcą swobodą i poufałością, ale z każdą wizytą nową widocznie coraz więcej zmieniał ton, coraz mniej się śmiał, a zato coraz więcej wzdychał, a jednocześnie i w spojrzeniach jego inny jakiś malował się wyraz. W miejsce dawnego, szczerego i otwartego przywiązania braterskiego rozlewał się teraz napół tajony żar podziwu i uwielbienia.

Rozpamiętując wszystkie te spostrzeżenia, młoda dziewczyna mimo rozlanej powagi na twarzy nie mogła lekkiego przytłumić uśmiechu.

Ale tuż zaraz nasunął się jej Juljusz w pamięci.

Eugenja była młodą, bardzo młodą, ale mimo to umiała poznać z łatwością, że od pierwszego wejrzenia silne na młodzińcu zrobiła wrażenie, i, że ów żar podziwu i uwielbienia, jaki spostrzegła w spojrzeniach Augusta, tlił może silniej jeszcze w oczach Juljusza.

Ale dlaczegoż Juljusz od tak dawna nie pokazywał się w Orkizowie?

Młoda dziewczyna uśmiechnęła się znowu.

Przypomniła sobie, że podczas ostatnich odwiedzin zjechał się z Augustem...

Ale wtem i inna powstała w niej myśl.

Nie mogło ująć uwagi młodej dziewczyny, że od niejakię-

goś czasu hrabia zmienił swe postępowanie z Juljuszem. Przyjmował go chłodniej niż dawniej, a żegnał zawsze bez zaprosin jak poprzednio.

— Cóż to ma znaczyć? — szepnęła w zamyśleniu.

Kilka chwil nie umiała dać sobie żadnej odpowiedzi, ale nagle jakaś myśl strzeliła jej do głowy.

Wyobrażała sobie, że ojciec spostrzegł wrażenie, jakie sprawiła na młodym człowieku i snadź niezadowolony z tego ochłódł i zobojętniał dla jego dalszych odwiedzin.

— Ale dlaczegoż to? — zagadnęła sama siebie. — Juljusz uchodzi za najbogatszego obywatela w całej okolicy i ma być z nami cokolwiek spokrewniony...

Jak widać, piękna hrabianka zimno i obojętnie rozmyślała o obudwu młodzieńcach, których napewno poczytywała za swych wielbicieli, a niepodobnaby nawet odpowiedzieć, któremu z nich oddawała pierwszeństwo.

Juljusz podobał jej się lepiej z twarzy, August zaś z swego wesołego usposobienia. Wyniesionego z ubóstwa do miljonowego majątku dziedzica Żwirowa osłaniał w oczach jej pewien urok romantyczny, za Augustem przemawiały tytuł i urodzenie.

Poniewolnej, głębszej sympatji, nieświadomej swego początku skłonności stalszej, nie czuła hrabianka ani do jednego ani do drugiego.

Młoda, powabna dziewczyna należała więcej do tych realnych natur, które nie od pierwszej zaraz rozgorywiają iskry, nie pierwszemu odrazu poddają się wpływowi i nie za pierwszym naoslep rzucają popędem.

Hrabianka była zdolną miłości, miłości stałej i namiętnej, ale, aby ją rozniecać w jej sercu, potrzeba było silniejszych wrażeń zewnętrznych lub głębszej dojrzałości uczuciowej.

Hrabianka liczyła dopiero siedemnaście wiosen, a jej wesołe, kapryśne, trzpiotowate z natury usposobienie ochraniało ją dotychczas od tych napadów nieokreślonej tęsknoty, nieświadomej melancholji, którym w tym wieku zwykły ulegać dziewicze serca i umysły, a które zdaniem psychologów i pato-

logów¹ mają być jawnemi tylko oznakami dojrzałości uczuciowej, czyli inaczej, potrzeby kochania.

Hrabianka, jeśli czasami zasmuciła swą piękną twarzą, to chyba tylko wtedy, kiedy nagle zmiana pogody jakiejś ułożonej i upragnionej przeszkodziła wizycie lub igraszce, kiedy jakaś nowa przepyszna suknia niezupełnie dobrze przystawała do figury, lub kiedy nagle zwiędł któryś z kwiatów ulubionych, lub jaki inny tym podobny zdarzył się wypadek.

To też i obecna zaduma hrabianki w bardzo małej z sercem zostawała styczeńości. Bez najmniejszego oporu rozstała się z myślami, kiedy nagle powróciła panna służąca z nowymi dziennikami w rękę.

Hrabianka uśmiechnęła się i spiesźnie wyciągnęła rękę.

— Pani prosi pannę Eugenję do siebie — ozwała się służąca.

Eugenja zerwała się z sofki i prędko i zwinnie jak jaśkółka pomknęła do trzeciego pokoju, gdzie zastała ojca i matkę razem.

Nie wiedzieć dlaczego, ale Eugenji się zdawało, że oboje mieli w tej chwili jakiś niezwykajny wyraz twarzy.

— Mama kazała mię wołać? — zawołała na wstępie.

— *Oui, ma chère, nous causerons un peu.*²

Tu hrabina z kilku nieznaczącemi ozwała się zapytaniem, nareszcie rzuciwszy wzrok porozumienia na męża, rzekła, bystre w córce topiąc spojrzenie:

— Powiedz mi, duszko: jak ci się podobał nasz młody sąsiad: kuzyn?

Eugenja zarumieniła się zlekka i szeroko rozwarła oczy.

— *De qui parlez-vous, ma mère?*³

— *De monsieur Jules.*⁴

Eugenja wzruszyła ramionami.

— No, jakże? — zapytał ojciec.

¹ badacz przyczyn i objawów chorób.

² tak jest, moja droga, pomówimy nieco.

³ o kim mówisz, moja mamo.

⁴ o panu Juljuszu.

— Hm, — wycedziła przez zęby młoda dziewczyna, nie pojmując, co znaczy to zapytanie.

— *Or?*¹

— *Il est bien.*² Do rzeczy... — odpowiedziała z komiczną powagą.

Hrabina uśmiechnęła się mimowolnie.

Hrabia ruszył się niezadowolony w swym fotelu: jakby nie mogąc poskromić jakiejś ukrytej niecierpliwości, ozwał się prędko:

— Moja Geńciu, nie jesteś już dzieckiem i zbliżasz się coraz do chwili, gdzie trzeba pójść zamaż.

— *Oui, ma chère*³ — potwierdzała hrabina.

Dziewczyna zarumieniała się jak wisznia i spuszczaając oczy na dół, jakąś niezrozumiałą dała odpowiedź.

Hrabia zabrał głos na nowo.

— Otóż, moja duszko, chcielibyśmy wiedzieć, czy Juljusz podobał ci się przynajmniej o tyle, żebyś bez wstrętu poszła za niego, gdyby takie było nasze życzenie...

Eugenja w pierwszej chwili niezdolną była odpowiedzi.

Szczególne to zapytanie spadło na nią tak nagle i niespodziewanie, że zupełnie straciła głowę.

Uniesiony swą niecierpliwością hrabia niekoniecznie zręcznie zabierał się do dzieła.

— Powiedz tylko, duszko, — pochwyciła matka — co byś powiedziała, gdyby się ośmielił starać o twą rękę?

Eugenja zrobiła gwałtowne wysilenie, aby przewyciężyć swój kłopot i pomieszanie.

— Poddam się we wszystkim waszej woli... — szepnęła.

— Bez przymusu, rozumie się.

Eugenja zrobiła gest, jakby jej za przykre już było dalsze badanie.

Hrabia nie czekał ponownej odpowiedzi. Porwał się z krzesła zadowolony i składając serdeczny pocałunek na czole córki, obrócił się żywo do żony.

¹ a więc.

² „jest dobrze” t. j. niczego mu zarzucić nie można.

³ tak jest, moja droga.

— Porozumiecie się już dalej obydwie — rzekł.

I po tych słowach ucałował z kawalerską układnością rękę hrabiny i spiesźnie wyszedł z pokoju.

Za drzwiami zatarł ręce z zadowoleniem i mruknął sam do siebie:

— W taki sposób najlepiej zaradzi się wszystkiemu... Juljusz wprowadzie niewysokiego urodzenia... ale zwie się Żwirski! A Żwirski to coś więcej niż jakichś tam dziesięciu onegdajszej daty hrabiów Plewińskich lub Samińskich!

V

NIEZNAJOMA

Upłynęło już dwa dni od owej pamiętnej sceny w ogrodzie zakłętego dworu, a Juljusz nie uspokoił się jeszcze zupełnie.

Tajemnicza postać pięknej nieznanjomej stała mu ciągle przed oczyma, pociągała mimowolnie wszystkie myśli ku sobie.

Napróżno młodzieniec łamał sobie głowę, aby wpaść na jakikolwiek ślad odkrycia. Wszystkie domysły i kombinacje rozwiewały się same z siebie.

Dotychczas wiedział tylko, że piękna nimfa ogrodowa nie była Eugenją, jak mniemał niezbitcie z początku. A niewiedzieć dlaczego odkrycie to niespodziewaną przejęło go radością i jakaś nieświadoma, nieokreślona nadzieja, z której nie umiał zdać sprawy sam sobie, owładывała coraz silniej jego umysł.

Ni stąd ni zowąd zrodziło się w nim jakieś tajemne przekonanie, iż różność osoby hrabianki a pięknej nieznanjomej jakieś niedomniemywane nawet wróży mu szczęście.

Kiedy i w jaki sposób miało się ziścić to szczęście, z jakich wypływało wniosków i na jakiej spoczywać miało podstawie, o to nie śmiał zagadnąć samego siebie.

Bił się tylko nieustannie z myślami, jaki związek mógł zachodzić między nieznaną a tajemniczym maziarem. Łączyłaż ich tylko wspólność planów i nadziei, czy jakie inne zachodziły stosunki?

Nieznajoma z samej swej powierzchowności wydawała mu się osobą niepospolitego urodzenia. Wyższe wychowanie przebiła się w każdym jej ruchu, szlachetność duszy zwierciadliła się w oczach i tej pięknej twarzy, której każdy rys tchnął jakąś słodczą niewysłowioną.

Ile mógł pokombinować z dotychczasowych swych odkryć, nieznajoma nie przesiadywała stale w zakłętym dworze. Pojawiała się jednocześnie z przybyciem maziarza, a oddalała z jego odjazdem.

Ołańczuk widział młodą dziewczynę, oczekującą przed bramą tajemniczego gościa zakłętego dworu, a on sam spotkał ją z Kostiem Bulijem w wieśniaczym przebraniu w tensam dzień, kiedy maziarz, wyjechawszy z Żwirowa, tak nieprzyjemnej w drodze doznał przygody i tak gwałtowną z mandatarjuszem wyprawił scenę. Nie zdawało się więc podlegać żadnej wątpliwości, że nieznajoma tylko w pewnych naprzód umówionych porach zjeżdżała przebrana do dworu, a przepędziwszy kilka dni w tajemniczym ukryciu z swym zagadkowym towarzyszem, wracała następnie pod opieką Kostia na swe dawne mieszkanie.

Lecz gdzież było to mieszkanie?

Nieznajoma zdawała się tak młodą, a czyż już sama jedna stała na świecie, że pod opieką prostego kozaka nie wahała się przybywać do zakłętego dworu i przemieszkować tu po kilka dni, a może nawet po kilka tygodni. Gdzież podówczas przebywali jej rodzice, jej krewni lub opiekunowie?

Na wszystkie takie i tym podobne zagadnienia niepodobna była wszelka odpowiedź, co naturalnym trybem rzeczy musiało tylko tem wyżej podniecać zajęcie Juljusza.

A nie tylko on sam, ale i Katyliną silił się wszelkimi sposobami dotrzeć w głąb dziwnej tajemnicy.

Piękna nieznajoma ocaliła życie naszemu zuchwałemu awanturnikowi, a jej jedno wejrzenie w owej okropnej chwili wbiło się mu silniej w pamięć niż sama groza ówczesnego położenia.

Gdyby nawet można było zajrzeć w głąb jego serca, okazałoby się niezawodnie, że od owej pamiętnej chwili jakaś nieznana

poruszyła się w niem struna i zadrgało jakieś uczucie, którego złośliwy szyderca nie znał wprzód ani z imienia.

Wrażenie owego momentu spoczywało niezatarte w jego duszy, a ilekroć przypomniało się silniej, podpadał dziwnemu jakiemuś uczuciu jakby smutku, niezadowolenia czy tęsknoty.

Chwilowe te napady nie mogły wprowadzić przeistoczyć odrazu ogólnego charakteru niepoprawnego szydercy i afrynta i nie zmieniły napozór jego zawsze wesołego i sarkastycznego usposobienia, wszakże nie przemijały zupełnie bez wpływu i śladu.

Katyliną w takich chwilach zżymał się sam na siebie, drwił z własnych uczuć, przytłumiał z niechęcią każde rzewniejsze wzruszenie, ale mimo tych wszystkich wysiłków nie mógł zaprzeczyć sam sobie, że nie jest już zupełnie tym samym, jakim był do niedawna.

Niejednym z dawnych kroków i postępów nie w tym samym co pierwej przedstawiał się światło, niejednym żart z ubiegłych czasów wydał się mu teraz jakoś wcale niesmacznym, niejedno zdanie przynajmniej niestosownym.

Ale zbawienny ten zwrot charakteru nie ustalał się jeszcze stanowczo, zanadto często nie mógł oprzeć się naciskowi dawnych nawyków i skłonności, a nieraz na czas niejakiś musiał ustąpić zupełnie przygłuszony dawnymi popędami, zwyciężony wrodzonymi namiętnościami.

Bądź jak bądź w serce i w duszę onegdajszego zuchwałego awanturnika, niepoprawnego cynika, bluźniercy i sarkasty, padło już wiele obiecujące ziarno, zatliła już drobniutka iskierka, a byle szczęśliwe konstelacje¹ zewnętrzne, a z ziarnka tego mógł szlachetny wystrzelić owoc, z iskierki tej jasny rozżarzyć się płomyk.

Juljusz, słabszy wolą, nie potrafił dotychczas nigdy stałego na swym przyjacielu wywrzeć wpływu, lecz teraz już samym swym przykładem działał, nie wiedząc o tem, silniej na jego niesforą naturę.

Katyliną mimo prawdziwej sympatji dla Juljusza, mimo

<https://rcin.org.pl>

¹ układ wypadków.

całego uznania dla jego serca i charakteru, niewielki pod pewnym względem czuł ku niemu szacunek.

— Mazgaj, szlafmyca i kwita! — były ulubione przydomki, jakimi jeszcze od czasów szkolnych zaszczycił swego przyjaciela.

— Byłeś i jesteś bawelnianym ciamajdą! — powiedział mu wówczas, kiedy biorąc na siebie jego przewinę, przełamywał jego opór i wbrew jego woli szedł śmiało zrywać z przeszłością i według wszelkich rachub ludzkich, zamykał sobie na zawsze wszelką karierę życia.

To samo przekonanie miał o nim i teraz jeszcze potrojsze, wszakże czuł sam stopniowo, że mimo całej swej wrodzonej niesfory i zuchwałości zaczyna powoli ulegać jego wpływowi.

Jednem słowem Katyliną poznawał sam najlepiej, że w wnętrzu jego jakaś powolna a ważna przeprowadza się zmiana, do której pierwszy popęd, pierwszy impuls dała owa noc w czerwonym pokoju, czyli raczej owo spojrzenie pięknej nieznajomej.

A rzecz szczególna, najgrubszy materialista z przekonania i usposobienia, który dotychczas w najpiękniejszej kobiecie nie mógł dopatrzeć nic innego, jak tylko doskonały zlew form cielesnych, poezję ciała, ideał inkarnatu, jak sam mówił, nie podziwiał w swej nieznajomej wybawicielce ani tej kibici tak smukłej i pełnej, ani tych form tak okrągłych i wydatnych, ani tej twarzyczki tak świeżej i uroczej, ale z całego widzenia utkwiał mu jedynie ów niebiański wyraz spojrzenia i ta wcale niecielesna barwa oka.

— W tem spojrzeniu, w tem oku przebijała się najwznioślejsza dusza! — wykrzyknął raz w zapale.

A zapomniał niedowiarek, że całe swe życie wiarę w duszę poczytywał za najniedorzeczniejsze pod słońcem absurdum.¹

— Dusza, to ta tajemna sprężyna, co porusza krew w naszych żyłach, utrzymuje czucie w naszych nerwach i ani o włos więcej. Niech ci krew zatrzyma się w biegu, a nerwy po-

<https://rcin.org.pl>

¹ głupstwo.

pękają jak liny w rozbitym okręcie, a możesz zabrać się zaraz do stworzenia świata — bo będziesz miał gotowy materiał — golutenkie *nic!*

To był jeden z główniejszych dogmatów zatwardziałego sceptyka,¹ który, jak sam twierdził, nie wierzył ni w Boga, ni w diabła.

— Ale to jedynie z chwalebnej zasady — mówił. — Nie lubię żadnych ostateczności, Bóg zanadto dobry, djabeł zanadto zły! Toż wolę trzymać się średniej drogi i nie mieć nic do czynienia ani z jednym ani z drugim.

A piękna nasza nieznajoma ani się spodziewała, że w tej najczarniejszym sceptycyzmem zatrutej duszy mimo swej woli i wiedzy zaczęła odgrywać rolę nawracającego apostoła.

Podczas owej sceny w ogrodzie zakłętego dworu Katylinina ukryty w krzakach agrestu miał sposobność widzieć po raz drugi swą wybawicielkę, spotkać się po raz drugi z tem anielskiem spojrzeniem, które od pierwszego zetknięcia tak silny wywarło na nim wpływ.

I była to nowa ważna chwila w życiu naszego młodocianego awanturnika.

Snać jednak silił się zawzięcie przełamać jej wpływ pierwotny, bo od dwóch dni był widocznie w złym humorze, a w swych ostrzejszych niż kiedykolwiek uwagach sarkastycznych wyglądał, jakby gniewał się czegoś na samego siebie, a chciał mścić się na całym świecie.

W rozmowach z Juljuszem strzegł się baczenie wspomnieć kiedykolwiek o pięknej nieznajomej, ilekroć zaś sam Juljusz zaczął unosić się nad jej spotkaniem i zastanawiać się nad jej tajemnicą, wpadał widocznie w jakąś niechęć, zakrawającą prawie na zazdrość.

W tej chwili wszedł do pokoju Juljusza przy ostrogach, z szpiorutem w ręku, jakby się do jakiejś dalszej konnej przysposobił podróży.

— Gdzieżto Pan Bóg prowadzi? — zapytał Juljusz.

— Nie zgadłbyś, nigdy.

<https://rcin.org.pl>

¹ człowiek podający wszystko w wątpliwość.

— Proszę!

Katyliną rzucił się na pobliskie krzesło.

— Wędrując do ciebie, — rzekł — wstąpiłem do sławnej tu w okolicy karczmy ryczychowskiej.

— Do Organistów.

— Na pokrzepienie gołałem aż cztery kielichy wódki, a nie miałem czem zapłacić za jeden.

Juljusz uśmiechnął się z lekkim wyrzutem.

— Jakże sobie poradziłeś?

— Nie zapłaciłem poprostu.

— Poprostu! — powtórzył Juljusz ironicznie.

— Organista chciał z początku oponować, ale ugłaskałem go jakoś.

— Dałeś zastaw?

— Pokazałem pięść potężną.

— A teraz wzruszony wyrzutami sumienia jedziesz zapłacić.

— Zrobię wycieczkę w okolice, poznam się bliżej z samym Organistą i pozbędę się długu zarazem.

— A oprócz tego?

— Oprócz tego?

Juljusz uśmiechnął się ze znaczeniem.

— Będę się starał zasięgnąć czegoś o pięknej nieznamomej — dokończył.

Katyliną zmieszał się cokolwiek.

— Czy sądzisz, że możnaby się tam czegoś dowiedzieć? — zapytał.

— Jak mówią, garbaty Organista ma być żywą kroniką całej okolicy.

— Hm! — krzyknął Katyliną i szpicrutą poklepał po swych butach.

— Spodziewam się, że nie złamałbym tym sposobem przyrzeczenia, jakie za siebie i za mnie dałeś Kościowi.

— Przyrzekłem tylko szanować tajemnicę zakłętego dworu i przestrzegać ostatniej woli nieboszczyka.

— A więc do widzenia się.

Juljusz porwał się nagle z siedzenia i poskoczył do okna.

Przed ganek zajechała czterokonna kareta, a z niej wysiadał hrabia Zygmunt.

— Hrabia!... Myślałem, że się czegoś na mnie gniewa! — wykrzyknął Juljusz i wybiegł na przyjęcie gościa.

Katyliną zatrzymał się w pokoju.

— Muszę zabrać znajomość z panem hrabią! — mruknął.

— Co mi to szkodzi! — dodał po chwili. — Nie może mu wprawdzie zależeć na mojej znajomości, ale i mnie tam po nim, jak umarłemu po kadzidle.

I, aby godnie zaprezentować się panu hrabiemu, obie ręce wpakował do kieszeni, nogi rozstawił jak mógł najszerzej, głowę zarzucił wtył, a wargi z dumą i lekceważeniem wydał naprzód.

Hrabia wszedł niebawem z Juljuszem do pokoju, a spostrzegłszy Katylinę w podobnej postawie, prawie zawahał się u progu, tak jakoś wydał mu się butnym, zuchwałym i wyzywającym z miny.

Juljusz przygryzł wargi z niechęcią, ale uznał za stosowne przedstawić swego dawnego kolegę.

— Mój przyjaciel, Damazy Czorgut — rzekł.

Katyliną uklonił się, jak trybun plebejusz ambitnemu patrycjuszowi.¹

Hrabia znał mniej więcej z opowiadania Katylinę.

Spojrzał na niego nie bez pewnej ciekawości, ale z widocznym lekceważeniem, a chociaż kilkakrotnie jego szorstkie słyszał nazwisko, tak mu się jakoś w tej chwili wydało, odpowiednie osobistości swego właściciela, że prawie mimowolnie powtórzył półgłosem:

— Pan Damazy Czorgut...

Katyliną zauważył dobrze wyraz twarzy dumnego magnata, a na ustach jego osiadł złośliwy uśmiech.

— Tak, panie hrabio, — ozwał się nagle drwiącym tonem — Damazy Czorgut.

— Mój ojciec był leśniczym w tym samym kluczu, gdzie

dziad dzisiejszego hrabi Plewińskiego służył za ekonoma! — dodał z naciskiem, aby dać do zrozumienia, że po pierwsze wogóle niewielka sztuka być hrabią w Galicji, a po wtóre można nim być, nazywając się nietylko Czorgut, ale nawet Plewiński!

Hrabia pojął znaczenie tej przymówki i z dumą obrócił się plecyma, a Juljusz gniewne i prawie groźne spojrzenie rzucał na swego niesfornego przyjaciela.

Katylna uśmiechnął się szyderczo i wzruszył ramionami.

— Jadę — rzekł obojętnie.

— Sługa i podnózek pana hrabiego! — zawołał tym samym tonem, z jakim żegnał się z Girgilewiczem lub Gągolewskim.

I nie troszcząc się bynajmniej o wrażenie swych słów i swego całego znalezienia się, wyszedł z pokoju, gwizdząc przez zęby i szpicrutem wymachując w powietrzu!

Obrażony magnat nabiegł krwią cały.

— *Impertinent!*¹ — mruknął, nie obróciwszy się.

Juljusz po raz pierwszy musiał wstydzić się za swego przyjaciela i po raz pierwszy rozgniewał się na niego jako gospodarz domu.

Hrabia wyglądał oburzony do najwyższego.

— Cóż to za szczególnych trzymasz ludzi, panie Juljuszu? — rzekł z przekąsem.

— Nieskończenie przepraszam pana hrabiego — rzekł spiesznie — człowiek ten rubaszny z natury i wychowania, uchyla wbrew swej wiedzy i woli...

Hrabia wzruszył ramionami.

— Dlaczegoż go pan trzymasz?

— Zawdzięczam mu jedną ważną przysługę, mógłbym rzec nawet jedno dobrodziejstwo z czasów dawniejszych.

Hrabia wydał wargi, jakby niekoniecznie wielką przykładał do tego wagę.

Juljusz poderwał skwapliwie:

— Byłem biedny i miałem utrzymywać matkę sędziwą.

¹ zuchwałęc.

Cała nadzieja przyszłości polegała tylko na owocach mych nauk...

— Tymczasem — dodał po krótkiej pauzie — pewien krok nierozważny, poprostu wiersz za śmiało napisany i rozpowszechniony, groził mi pozbawieniem dobrodziejstwa publicznych nauk.

— A ten człowiek?

— Wbrew mej woli i mimo największego mego oporu przyjął winę mą na siebie.

— Człowiek z przeczuciem jak widać... — odezwał się hrabia z lekką ironją.

— W owym czasie — zawołał Juljusz z szczerem wylaniem — było to dla mnie ogromnem dobrodziejstwem.

Hrabia zamyślił się lekko.

— Zechcesz, panie Juljuszu, przyjąć odemnie, jako od starszego wiekiem i doświadczeniem, małą radę?

— Słucham pana hrabiego.

— Zapłać mu za to hojnie i pozbądź go się jak najprędzej. Juljusz zarumienił się zlekka.

Hrabia zauważył to, ale niezrażony ciągnął dalej:

— Wierzaj mi, ludzie tego rodzaju nie pojmują innej wdzięczności.

— Śmiałbym się w tym względzie sprzeciwić panu hrabiemu.

Hrabia uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Nie przekonasz mię starego — rzekł.

— A zresztą — dodał po chwili — dla niego samego byłoby lepiej być panem w własnym dworku, niż konfidentem¹ w cudzym pałacu.

Juljusz chciał coś odpowiedzieć.

— Mówmy o czem innem — przerwał hrabia i od niechcienia skinął ręką.

Rozmowa weszła na inny tor.

Hrabia zapytywał Juljusza o różne szczegóły gospodar-

¹ powiernikiem.

stwa, a zachowywał wszędzie ton jakiejś uprzejmej, serdecznej, napół ojcowskiej poufałości.

Odjeżdżając uściskał go z wylaniem i zapraszał usilnie do siebie.

Na ganku, na samem wsiadaniu ozwał się jeszcze, jakby sobie coś nagle przypominając:

— Ale, ale! Proszono mię, abym ci robił wyrzuty, panie Juljuszu.

— Czy zawiniłem przeciw komu?

— Nie starasz się zabrać znajomości z swymi sąsiadami. Juljusz skromną przybrał minę.

— Moi sąsiedzi — rzekł z pewnem wahaniem — są wyżsi odemnie urodzeniem i stanowiskiem, nie chciałbym, aby mię poczytali za natręta, a przyjmowali jak intruza.

Hrabia z rodzajem wyrzutu pokiwał głową.

— Ej panie, ubliżasz mnie i sobie.

— Panu hrabiemu!

— Nie zapominaj przecie, że wraz ze mną nazywasz się Żwirski — rzekł hrabia z niezwykle naciskiem. — A Żwirski to imię, przed którym zaledwie Sanguszek lub Radziwiłł może upomnieć się o pierwszeństwo!

Po tych słowach jeszcze raz kordjalnie uściśnął rękę Juljusza, wskoczył do powozu i dał znak woźnicy, aby ruszył z miejsca.

Juljusz wrócił do pokoju i w głębokie wpadł zamyślenie.

Co znaczyła nowa, nagła zmiana w usposobieniu hrabiego?

Dlaczegoż z tak szczególną, uderzającą dobitnością przypominał mu świetność jego imienia, wynosił go niejako nad wszystkich swych innych utytułowanych sąsiadów?

Przed trzema dniami byłoby go to wszystko niewysłowioną przejęło radością, a pierwszą myślą, pierwszą śmielszą iluzją, byłyby niezawodnie Eugenja.

Dziś uszczęśliwiała go wprawdzie przyjacielskie wynurzenia hrabiego, ale tylko o tyle, o ile same w sobie zasługiwały na uznanie. <https://rcin.org.pl>

Eugenja nasuwała się w myślach młodzieńca jakby tylko

dlatego, aby mu przypomnieć swe szczególne, geneanomiczne podobieństwo do pięknej nieznajomej zakłętego dworu.

Skądże jednak powstało to tak silne i prędkie zajęcie się nieznajomą?

Juljusz sam nie umiałby dać na to odpowiedzi.

A przecież to tak łatwo wytłumaczyć!

Duch ludzki czuje osobliwszy, nieprzełamany pociąg do wszystkiego, co unika jego badania, ukrywa się przed jego okiem, jednym słowem, co osłania się mgłą tajemnicy, cieniem zagadki.

Rozmarzony do melancholji Juljusz ulegał więcej niż ktokolwiek inny temu pociągowi. Marząc do niedawna o Eugenji, miał więcej przed oczyma ducha podejrzaną przypadkowo w ogrodzie zakłętego dworu dziewczynę, niż poznaną w przepysznym pałacu hrabiankę. Odkąd jednak rozwiął się ten dwoiśty charakter Eugenji, upadła temsamem większa część jej dawnego uroku.

Pozostała nadal tylko młoda, piękna, dowcipna, bogata córka arystokratycznego rodu, a znikła zupełnie bohaterka jakiejś romantycznej tajemnicy, domniemywana współniczka szczytnych zamiarów, odważna piastunka najwznioślejszych marzeń i nadziei.

Wszystkie te ostatnie przymioty zwały się natomiast w piękną nieznajomą, wszystkie dawniejsze urocze marzenia przeniosły się na jej jedynie postać.

Juljusz z rozkoszą przypominał sobie chwilę ostatniego z nią spotkania. Widział ją tak krótko, a przecież każdy rys jej nadobnej twarzy tak żywo i wyraźnie tkwił mu w pamięci, jakgdyby nieustannie miał przed sobą jej portret najwierniejszy.

Zaledwie kilka słów zamienił z nią w pomieszaniu i załopotaniu, a głos jej świeży, dźwięczny, metaliczny, brzmiał mu ciągle w uszach.

Szlachetna, urocza jej postać imponowała mu swą przyrodzoną godnością, we wszystkich późniejszych marzeniach i rozpamiętywaniach.

— Kto ona jest? — zagadywał się¹ młodzieniec po raz już tysięczny — kto mi wyświeci tę dziwną tajemnicę?

Jakby w odpowiedź na to zapytanie, ozwał się nagle lokaj w progu.

— Kost' Bulij, klucznik zakłętego dworu...

Juljusz porwał się jak oparzony.

— Co mówisz? — krzyknął.

— Kost' Bulij chce się widzieć z panem — odpowiedział lokaj zdziwiony trochę wrażeniem swych słów.

— Kost' Bulij jest tutaj? — pytał Juljusz prędko, jakby niedobrze zrozumiał.

— Czeka w przedpokoju.

— Niech wejdzie!

Lokaj wyszedł, a za drzwiami wzruszył ramionami i mruknął sam do siebie:

— Otóż masz! dziwuj się chłopom, że mają tremę² przed starym klucznikiem, kiedy go się sam pan przestraszył jak stu diabłów.

Po krótkiej chwili Kost' Bulij stanął przed Juljuszem.

Olbrzymi starzec miał swój zwyczajny, surowy i ponury wyraz twarzy, uklonił się nisko przed młodym dziedzicem i stanął sztywny i wyprężony, jakby naprzód czekał jego zagadnienia.

— Cóż mi powiesz, Kostiu? — zapytał Juljusz, nie mogąc ukryć, że wcale nie był przygotowany na te odwiedziny.

Kost' Bulij odgarnął siwy włos z czoła i ozwał się cokolwiek przytłumionym głosem:

— Przed trzema dniami pytałeś mnie, jasny panie, czy będziesz mógł poznać kiedy tajemnicę naszego dworu.

— Tak — bąknął Juljusz w coraz większym zdziwieniu.

— Powiedziałem wtedy jasnemu panu...

— Dowiesz się jej prędzej, niż się spodziewasz.

— Dotrzymuję słowa — odpowiedział Kost' Bulij z ukłonem.

— Jakto, przychodzisz?...

<https://cin.org.pl>

¹ germanizm.

² czują obawę.

— Zaprosić jasnego pana na godzinę rozmowy do zakłétego dworu.

— Z maziarzem!

Kost' uklónił się milcząc.

— Kiedyżto? zaraz? — zawołał Juljusz z gorączkowym pośpiechem.

— Od dziś za tydzień, o godzinie dwunastej w nocy — cedził stary kozak uroczystym głosem.

— Od dziś za tydzień, o godzinie dwunastej w nocy! — powtórzył Juljusz machinalnie.

— Jasny pan podjedzie do lipowej ulicy — ciągnął kozak, nie zmieniając tonu.

— A tam mam czekać?

— Tak, jasny panie.

— Ty przyjedziesz po mnie?

— Ja.

Tu stary kozak skłónił się nisko, jakby chciał odejść.

— Jakto? na tem się kończy twoje posłannictwo? — wykrzyknął Juljusz.

— Od dziś za tydzień o dwunastej w nocy — powtórzył Kost' uroczystym głosem.

— Czy sam tylko mam stanąć?

— Sam.

Juljusz widocznie pasował się z jakąś myślą upartą.

Nareszcie wybuchł nagle, jakby nie mógł żadną miarą powściągnąć się dłużej.

— A ona? — zapytał.

— Ona? — powtórzył Kost', a na surowej jego twarzy mignęło coś naksztatł uśmiechu.

— Czy obaczę ją także?

— Może.

— Może! — zawołał Juljusz i z rodzajem jakiegoś gorączkowego rozdrażnienia rzucił się wtył sofki.

Kost' uklónił się nisko i wyszedł z pokoju.

Juljusz pozostał sam, opadnięty rojem najdziwaczniejszych myśli, domniemywał i kombinował.

VI

WAŻNE POSZLAKI

Na samym wstępie naszej powieści w pierwszych początkach zawiązującego się działania poznaliśmy czytelników z murowaną karczmą rycychowską i jej głośnym w okolicy arendarzem, garbatym Chaimem Organistą.

Porwani prądem późniejszych wypadków nie mieliśmy ani czasu ani sposobności odnowić pierwszej pobieżnej znajomości — i tak karczmę, jak i dowcipnego Organistę, zupełnie straciliśmy z oczu.

Wyprzedzając obecnie Katylinę, zajrzemy na krótką chwilę do wnętrza karczmy Organisty.

Izba szynkowna ludna, huczna i gwarna jak zawsze.

Mieszane towarzystwo rozdzieliło się przy kilku osobnych stołach, i popijając piwo lub wódkę, w różnych przedmiotach wrzaskliwe toczy rozhovory.¹

Szczególnym zbiegiem okoliczności zastajemy w przepelnionej szynkowni kilka znajomych nam twarzy.

Na końcu głównego stołu wpośród niewielkiej rzeszy chłopów siedzi rozparty z właściwą sobie powagą wójt rycychowski, któregośmy już dwukrotnie spotkali w towarzystwie maziarza.

Nieco dalej przy osobnym mniejszym stole widać kółko szlachty chodackkowej, a na jej czele wodzi rej z buńczuczną miną i szumiastym wąsem p. Dominik Zerwikaptur Szczeczuga, znany nam energiczny uczestnik nocnej schadzki w mieszkaniu Kostia Bulija.

Głębiej na uboczu, tuż pod samym alkierzem, otoczyło mały czworograniasty stół grono wracających z jarmarku małomieszczan starzelickich, przysłuchując się pilnie jakimś wielce ciekawym wykładom i rozprawom sławetnego Jędrzeja Juryka,

<https://rcin.org.pl>

¹ pogadankę.

również uczestnika tajemniczej schadzki u starego klucznika zakłętego dworu.

Po wszystkich kątach zwinny i chyży jak wrzecziono uwija się sam zacny arendarz z butlą i kielichem w ręku.

Tu z niemym migiem potrząsie twarzą, tam z dowcipnym uśmiechem łypnie oczyma, ówdzie jakimś wesółym i rubasznym strzeli conceptem, tego z swych gości poufale poklepie po ramieniu, owego jakimś pociesznem rozśmieszy zapytaniem, do tamtego wreszcie z komicznem skrzywieniem pokiwa głową lub pogrozi palcem.

A wszyscy na wyścigi ubijają się o niego, każdy choć na moment radby go przywołać do siebie, aby obok szumu we łbie i jakiś żarcik dowcipny wynieść do domu.

— Do mnie, Organisto!

— Na słówko, panie arendarzu!

— Do kompanji, Chaimie! — odzywają się zewsząd głosy.

Organista kręci i wierci się na wszystkie strony i odgryza się jak może.

Jednemu garb swój chce posłać zamiast siebie, drugiemu flaszkę z wódką podsuwa w zastępstwie, trzeciemu służyłby na zawołanie, ale nie wierzy w jego przyjaźń po trzeźwemu.

Tylko przy stołach, gdzie przewodzą nasi znajomi, więcej na sobie samem ogranicza się towarzystwo.

Pan Dominik Zerwikatur Szczeczuga kręci nieustannie krzaczasty wąs w górę i na dół i z zwykłą sobie energją i dobitnością wyrażen fulminuje¹ na dzisiejsze czasy i stosunki.

— Niech mię siarczysty piorun trzaśnie, panowie bracia, rób co chcesz, coś potrzeba pomyśleć! — powtarza raz po raz.

Panowie bracia kręcą wąsy, podgartują czupryny, pokrywają głowami i na znak przyznania wzdychają żałośnie.

A pana Dominika oczy łyskają jak dwie żarzące główne na przygasłym ognisku.

— Goś potrzeba pomyśleć i to dobrze pomyśleć — peroruje² dalej dobitnym, ale cokolwiek przytłumionym głosem.

¹ piorunuje, rzuca gromy.

² wywodzi.

— Gdzie dziś respekt dla szlachty! — wrzasnął głośniejsze i w stół uderzył pięścią.

— Lada kto chce nas za nos wodzić, mospanie! — poderwał drugi z grona, niski, gruby, pękaty pan Kacper Zerwikaptur Solyszko.

— Nas, szlachtę z dziadów pradziadów! — zawtórowała reszta braci chórem.

— Hej, hej — zawodził żałośnie, ocierając oczy rękawem pan Tymoteusz Łagurysz. — Toć każdy z nas równał się ongi wojewodzie, a mógł nawet królewskiego dostąpić dystynktu.¹

Szlachta z dumą pokręciła węża, a baranie czapki jakby same z siebie poprzesuwały się na bakier.

Szczeczuga obejrzał się ostrożnie dokoła i zagięty palec przyłożył do zawieszistego nosa.

— Do kroćset djabłów, panowie bracia, — szepnął, zaciskając zęby. — Trzask, prask, szast, bzdęk i kwita.²

— Szast, bzdęk! i kwita! — powtórzyła bracia cichem a zgodnem echem, że aż chłopci nieco dalej poodsuwali się w swych ławach.

A tymczasem w tym samym duchu, choć nieco w odmiennym sposobie, toczyła się rozmowa przy drzwiach alkierza wśród małomieszczańskiego koła.

Ostrożny, przezorny pan Jędrzej Juryk mówił coś zwolna i zcicha przez zęby, a mieszczanom ledwie oczy nie wyleżą z jam, tak słuchają pilnie, a ledwie głowy nie zlecą z karków, tak potakują gorliwie.

— Znacie przecie wszyscy kuma Dmytra, — prawi pan Jędrzej. — Otóż to on mi wytłumaczył rzecz całą!

— Hm, hm, — mruknęli mieszczenie, w głębokiem zamysleniu potrząsając głowami.

Juryk wyprężył się na palce i z tryumfem powiódł oczyma dokoła.

— Pan nie pan, chłop nie chłop, szlachcic nie szlachcic, mieszczanin nie mieszczanin — rzekł po chwili z przyciskiem — wszyscy są jak jeden człek.

¹ odnaczenia.

² słowa te przypominają sposób wyrażania się Chrzciciela na dobrzyńskiej radzie w *Panu Tadeuszu*.

— Toż i Starzeliczanie nie chowają się za piec — ozwał się jeden z mieszczan, silny, krępy bednarz, pan Jan Perułka.

— Niech tylko maziarz przyjedzie — poszepnęli inni i prostując się na swych siedzeniach pozakładali ręce poza szerokie pasy skórzane.

— A kiedyż maziarz pokaże się u nas? — zapytał pan Jan Perułka.

— Nie przyjedzie aż potrzeba będzie!

— Aż potrzeba będzie! — powtórzyli wszyscy chórem i ponajeżali podstrzyżone wąsy.

— Tymczasem panowie — prosił Juryk — jeszcze po kufelku piwa!

— Żeby nie było zawiele — przedstawiał niski, chudy, garbaty pan Bartłomiej Barszczyk.

— At, co tam, na lepsze czasy! — zawołał Juryk.

— Na lepsze czasy! — powtórzyło całe grono.

A w tym samym czasie i przy stole, gdzie siedział nasz wójt ryczychowski, Iwan Chudoba, podobny słyhać było okrzyk.

— Na lepsze czasy! żeby licha nie znać! — zachęcał zacny wójt swoich towarzyszy, przyzwawszy nową flaszę wódki na stół.

— Żeby licha nie znać! — wtórowało całe grono, a spory kielich szybką dokoła obiegł koleją.

— W zdrowie naszego kuma Dmytra, który się już tak dawno do nas nie pokazuje! — zawołał wójt, nową rozpoczynając koleję.

— Niema to jak nasz kum Dmytro!

— Ho ho! człowiek jak złoto!

— A rozum u niego fiu fiu!

— Niech się sam jegomość schowa!

Wójt ryczychowski uśmiechał się z zadowoleniem.

— I to on wam, panie wójcie, wszystko to mówił?... — zapytał Hryć Tandara od końca stołu.

— On, on! wszystko co do słowa! — potwierdził Iwan Chudoba z powagą i dobitnością.

— Wszyscy wierzymy mu! — krzyknął przysiężny, Pawło Wenczur.

— Wszyscy, cała gromada! — zawołali chórem inni.

— Napijmy się tymczasem! — zachęcał uszczęśliwiony Chudoba.

W tej chwili jakiś silny głos zagrział w sieniach, a mimowolna cisza nastała w szynkowni.

— Jest tam kto? — ozwał się głos z sieni.

Stróż karczemny wybiegł z karczmy, a sam Organista, stawiając butel na szynkwasie, spieszył na powitanie niepospolitego, jak się zaraz domyślił, gościa.

Nagle z trzaskiem rozwarły się drzwi, a do gwarnej szynkowni wszedł Katylina.

Garbaty Organista cofnął się o krok z niskim ukłonem, a odrazu przypomniał sobie fizjognomję swego dłużnika.

— Ajaj! wielmożny pan! — zawołał, kłaniając się raz po raz.

Garbaty Organista wiedział już zaraz w pierwszych dniach, jak wielkiego znaczenia dostąpił w Oparkach jego niedawny obszarpany gość o wykrzywionych butach.

Wejście Katyliny sprawiło pewne wrażenie na wszystkich przytomnych. Chłopi podnieśli się z uszanowaniem z swych ław, mieszczenie pomilkli nagle wśród wrzawy, a szlachta mierzyła go badawczym wzrokiem, jakby oczekując pierwszego powitania z jego strony.

Rzeczywiście też Katylina kiwnął głową dokoła, a przed panami bracią uchylił zlekka kapelusza.

— Patrzy coś na jednego z naszych — szepnął pan Kacper Solyszko, odpowiadając na ukłon z dumą i powagą.

Organista tymczasem obiegał swego znakomitego gościa ze wszystkich stron i kłaniał się a kłaniał nieustannie. Jakieś przecucie mówiło mu, że niedarmo wstąpił do jego karczmy.

— Czemże mogę służyć wielmożnemu panu? — zapytywał po raz już czwarty.

— Najprzód winienem ci coś! — odparł Katylina, uderzając go po ramieniu.

— Ach, czemu nie więcej! — wykrzyknął grzeczny żyd z ukłonem.

Katylina uśmiechnął się szyderczo.

— Szkoda, — rzekł — żem wówczas wędrując nie znalazł twego życzenia.

— Ny, wtedy-to i ja sam jego nie znalazł — odpowiedział dowcipny żyd bez zająknięcia.

— Szczeryś przynajmniej — mruknął Katyliną wesóło.

— Bo mi wielmożny pan nie zapłaci za fałszywość.

— Słuchajno, — ozwał się nagle poważnie Katyliną, kładąc rękę na jego ramieniu — nie mam czasu dowcipkować z tobą...

Żyd uklonił się milcząco.

— Mam jednak do ciebie pewien interes.

— Niech wielmożny pan rozkazuje, ja dla wielmożnego pana wszystko już zgóry zrobił!

— Masz czas na chwilkę!

— Tylko dla wielmożnego pana.

— Chciałbym kilka słów pomówić z tobą na osobności.

Organista aż rumieńcem nabiegł, taka owładnęła go ciekawość, którą jak wszyscy ludzie dowcipni w wysokim stopniu posiadał z natury.

— Niech wielmożny pan pozwoli do alkierza.

— Prowadź!

Organista zwinął się prędko po szynkowni. Surę i Szmula postawił przed szynkwasem i co tchu stawił się na rozkazy Katyliny, prowadząc go przed sobą do ciasnego, *betami*¹ za-
rzuconego alkierza.

— Niech wielmożny pan siada — zapraszał, kulawy podsuwając stół.

Katyliną usiadł, zapaliwszy naprzód cygaro.

— A teraz co wielmożny pan rozkaże? — zapytał Organista.

— Chciałbym się od ciebie czegoś dowiedzieć, mój Chaimie.

— Dowiedzieć! — powtórzył żyd przeciągle, jakby cokolwiek zawiedziony w oczekiwaniu.

¹ pierzynami.

— Tylko z łaski swojej mów mi szczerze, co myślisz, albo nie mów nic zgoła.

— Wielmożny pan coś zdaleka zajeżdża.

Katyliną puścił kilka sporych kłębow dymu i osłoniwszy się w gruby obłok, ozwał się po chwili:

— Mówią, że znasz na palcach całą okolicę.

— Czemużbym nie miał znać wielmożny panie, trzydzieści lat siedzę na arendzie.

— Powiedzże mi, dawno już maziarz, kum Dmytro, pokazuje się w tych okolicach?

— Maziarz, kum Dmytro — ciągnął żyd leniwo i jakoś zpodółba wpatrzył się na pytającego. — A wielmożnemu panu na co tego?

Katyliną ruszył się niecierpliwie.

— Bądź łaskaw odpowiadaj tylko na moje zapytania, a uwolnij mnie od swoich.

Organista nieznacznie pokiwał głową i wzruszył ramionami.

— Ot, tak blisko pięć lat temu.

— Pięć lat... — powtórzył Katyliną przez zęby.

— A dawniej nikt go nie widział w okolicy?

— Nikt.

— Skądże się wzięły jego liczne znajomości między chłopami?

Żyd uśmiechnął się i machnął ręką.

— Jakże go nie mają znać, kiedy gdzie się pokaże, wszystkim płaci wódkę, maź sprzedaje póldarmo i to jeszcze na kredyt, a jak zacznie kiedy przepowiadać to o tem, to owem, *ny dalibóg*, ja sam nie mogę ucha oderwać. Co on umie rozmaitych bajek, *historjów*, przypowieści! Ajaj! za cały dzieńby nie porachował! — prawil Organista, zapalając się trochę.

Katyliną osłonił się nową chmurą dymu.

— Dobrze... — mruknął przez zęby.

— A teraz powiedz mi z łaski swojej, czy znasz Kością Buliją?

— Niech go djabli biorą. — odparł żyd, wstrząsając się z zabobonnym przestachem — poco mi znać takiego czarownika!

— A dawniej go znałeś?

— Ny, dawniej co innego. Kiedy jeszcze służył za koczaka u żywego starościca, tom go nieraz widywał. Ale wtedy to on był całkiem inny.

— A prawda to, — zapytał Katyliną, prędko puszczając spore kłęby dymu — że u niego ma czasami przesiadywać jakaś piękna dziewczyna?

Żyd ściągnął brwi do góry i ze znaczeniem pokiwał głową.

— To taka dziewczyna, jak nieprzymierzając ja i wielmożny pan.

— Jakto? co? — podchwytywał Katyliną z pospiechem.

Żyd przybrał tajemniczą minę, splunął na ziemię i z niesmakiem musnął się po brodzie.

— Proszę wielmożnego pana, to ma być djabeł, co pilnuje nieboszczyka starościca, kiedy wstanie z grobu.

Katyliną zachnął się niecierpliwie.

— Wiesz co, mój Organisto, — rzekł — miałem cię za trochę mędrszego, ale tyś wielki dureń z twoim chodzącym nieboszczykiem!

Organista skrzywił się urażony.

— Wolno wielmożnemu panu wierzyć albo nie wierzyć. Ja sam nieboszczyka nie widziałem po śmierci, ale wielu innych go widziało.

— A za życia znałeś starościca?

— Broń Boże. On albo ciągle siedział we dworze, albo jak wiatr uganiał na koniu, a ja z mojej karczmy nie mogłem za nim biegać, aby go widzieć.

— A słyszałeś przecie co o tej dziewczynie, która czasami ma przebywać u Koscia Bulija?

Organista zamyślił się.

— Wiem tylko jedną rzecz, wielmożny panie.

— Ah! — wykrzyknął Katyliną.

— Stara żebraczka Burdzicha opowiada, że raz z Buczała chciała przejść do Oparek i wybrała krótszą drogę przez wygon między polami.

Katyliną bliżej podsunął się z krzesłem, przypominając sobie w tej chwili owo spotkanie Juljusza w tym samym wygonie.

— I cóż? — zapytał.

— W pół drogi zachorowała nagle. Upadła na miejscu i prawie bez duszy leżała aż do nocy. Kiedy nagle przyszła do przytomności, ujrzała pochyloną nad sobą jakąś młodą, bardzo, bardzo ładną dziewczynę, tak niby pannę niby chłopkę, która ją wszelkimi siłami próbowała przyprowadzić do życia. Burdicha myślała, że to jaka święta, ale się okrutnie przestraszyła, bo tuż w pobliżu stał Kost' Bulij z wozem.

Tu przerwał na chwilę Organista i przez drzwi otwarte badawczym wzrokiem rzucił do szynkowni.

— Cóż dalej? — naglił Katylina.

— Ny, na rozkaz tej dziewczyny stary kozak wziął babę na wóz i podwiózł aż do Buczał pod pierwszą chatę chłopską. Tu ją zсадził na ziemię, aby się sama dowlekła do drzwi, a ta dziewczyna czy panna wepchnęła jej w rękę kilka cwancygierów.¹

— A potem? — pytał Katylina niecierpliwie.

— Potem?... Nic już nie wiem więcej...

— Hm — mruknął Katylina, rzucając na ziemię niedopalone cygaro — niewielem się od ciebie dowiedział.

A po chwili, jakby sobie coś przypominając, zapytał jeszcze:

— A powiedz mi, co się stało z drugim kozakiem starościca?

— Z Oleksą Pańczakiem?

— Podobno!

— Gdzieś przepadł bez wieści. Kost' powiada, że uciekł od starościca z drogi, ale gdzie się podział, o tem nikt nie wie.

— Szczególna... — mruknął Katylina i zamyślił się głęboko.

Po chwili sięgnął ręką do kieszeni i, dobywając banknot na pięć reńskich, rzucił go przed żyda.

— Będziemy kwita z długiem! — rzekł niedbale, zmierzając ku drzwiom.

Żyd uklonił się jak mógł najniżej, ale zastąpił drogę odchodzącemu.

<https://rcin.org.pl>

¹ dawna moneta austriacka.

- Teraz ja się mam zapytać wielmożnego pana o jedno.
- Naprzykład?
- Czy wielmożny pan wie, co się święci?
- Gdzie?
- W urzędzie.
- Nie rozumiem cię.
- Jakto, wielmożny pan nie wie o skardze pana Zachlewicza?

— Ani słowa!

Żyd aż podskoczył w górę.

— Ajaj! pan komornik Gramarski już od kilku dni komisjonuje, a wielmożny pan, ani jaśnie wielmożny dziedzic nic nie wie!

— O cóż to chodzi?

Żyd zawahał się nagle.

— *Ny*, to na co ja mam mówić, może to wszystko nieprawda.

— Ale cóż takiego do licha?

— *Ny*, to ja wielmożnemu panu powiem... Jak słyhać — dodał, zniżając głos — były komisarz pana grafa z Orkizowa, pan Zachlewicz, wytoczył proces przeciw testamentowi nieboszczyka starościca.

— Jakto?

— Hoho, proszę wielmożnego pana, jak ja tylko posłyszał, że pan Zachlewicz jedzie do Drezna, — prawil żyd, cmo-kając językiem — to ja już zaraz mówiłem, nie nadarmo on tam pojechał.

Katylina rzucił się niecierpliwie.

— Pal cię djabli z twoimi domysłami, gadaj mi, co wiesz o procesie!

— Niech wielmożny pan słucha. Pan Zachlewicz przywiózł z Drezna jakieś dowody, że przepraszam honor wielmożnego pana, nieboszczyk starościc nie był, jak to mówią, pełna rozumu, tak niby *myszygene*,¹ wielmożny panie.

¹ w żargonie żydowskim: warijant.

Katyliną podskoczył jak opętany, a poczciwy Organista aż przycupnął z przestachu.

— Kto to mówi? — krzyknął gromowym głosem, pojmując odrazu całe niebezpieczeństwo podobnego zarzutu.

— Ny, proszę wielmożnego pana, to nie ja, uchowaj Boże, to pan Zachlewicz.

— Łotr nad łotrami!

— Prawda, prawda, wielmożny panie — przyznawał żyd skwapliwie i przestraszony gwałtownością swego imponującego gościa, nieznacznie nakręcał ku drzwiom.

— Skądżeś słyszał o tem wszystkim? — pytał Katyliną, zastępując mu drogę.

— Ny, słyszałem, że już kilkunastu chłopów z rozmaitych wsiów przysięgało przed komornikiem.

— A Juljusz o niczem nie wie!

— To źle, wielmożny panie! Potrzebaby jakoś radzić!

Katyliną uderzył się w czoło.

— Zastałem niedawno Zachlewicza u Gągolewskiego. Obadwaj łotry muszą być w spółce!

I zgrzytnął zębami, a twarz jego tak groźny przybrała wyraz, że nie bardzo odważny Organista cofnął się aż za przyległą szafę.

— Ajaj, to jakiś hajdamaka... — poszepnął w duchu.

Katyliną już ani nie spojrzął na niego. Pomknął ku drzwiom i odbierając konia z rąk stróża, wskoczył w siodło i jak szalony popędził gościńcem ku Buczałom...

Bystry i przenikliwy jego umysł poznał odrazu całe niebezpieczeństwo sytuacji.

Niektóre dziwactwa i szczególności starościca można było w samej rzeczy wziąć za wybryki zwichnionej głowy, a jeśli tylko w takim świetle dały się przedstawić sądowi, musiały nieodzownie pociągnąć za sobą unieważnienie testamentu, na którym jedynie opierało się dziedzictwo Juljusza.

Cała jego fortuna miała pójść jak przyszła nagle i niespodziewanie, jak powiew wiatru.

— Za plecyma Zachlewicza stoi hrabia — mruknął Katyliną półgłosem wśród rozmyślania. — Ale poczekajno, mój

jaśnie wielmożny, pogadamy z sobą! — dodał prawie z radosnym uśmiechem.

Nie ludząc się co do doniosłości niebezpieczeństwa, nie mógł jednak przytłumić pewnego zadowolenia z tych wypadków, które energicznej jego naturze tak obfite do działania nastroczały pole.

Wiedział on, że nie mając ani jednej chwili do stracenia, potrzeba jak największą rozwinąć gorliwość i wszelkich możliwych użyć środków, aby pokrzyżować plany przeciwnikom i zażegnać chmurę, nim jeszcze przygotowany wystrzeli z niej piorun.

Zanosilo się oczywiście na walkę zawziętą, a Katyliną czuł się w swoim żywiole i zgóry już obliczał tryumfy zwycięstwa.

— Naprzód zajdę z mańki mandatarjusza... — poszepnął, napędzając konia do szybszego biegu.

I z rodzajem radości i zadowolenia zaczął układać sobie w myślach, jak najskuteczniej uderzy na pierwszego przeciwnika.

— Ale, że Juljusz dotychczas o niczem nie uwiadomiony?! — zagadnął się nagle.

— Ręczę, że w tem jakaś łotrowska machinacja Gągolewskiego! — wykrzyknął po chwili.

A przyspieszając znowu bieg konia, nie spostrzegł w swem głębokiem zamyśleniu, że na jego widok jakiś człowiek, co ścieżką szedł wzdłuż wierzbami wysadzonego gościńca, skrył się co żywo za pień drzewa i nie wychylił głowy, aż póki tętent konia nie przebrzmiał woddali.

Był to znany nam nieprześlągany nieprzyjaciół Kostia Bulija, Mykita Ołańczuk, którego demoniczna zawziętość i chęć zemsty przybrała już od dawna charakter istnej manji szalonej.

Katyliną nie spieszył wprost do Oparek, ale krótszą drogą przez ściernie i łąki pognął ku Buczałom.

Właśnie, kiedy docierał do zabudowań folwarcznych, spotkał się z jakąś prózną bryczką, wyjeżdżającą widocznie od mieszkania mandatarjusza.

— Stój! — krzyknął zdaleka na furmana. Bryczka zatrzymała się na miejscu.

— Gdzie jedziesz? — zapytał Katylina.

— Popaść na folwark, wielmożny panie — odparł woźnica.

— A z kimeś przyjechał?

— Z panem Żachlewiczem.

Katyliną aż krzyknął z radości.

— A gdzie pan Żachlewicz? — zapytał dalej skwapliwie.

— Został u pana sędziego.

Katyliną z całej siły zaciął konia i jak strzała pomknął ku zabudowaniu dominikałnemu.

— Walnie, wyśmienicie! — poszepnął w duchu. — Obu dwu naraz schwycę na wędę!

VII

KATYLINA ROZPOCZYNA KAMPANIĘ

Pan mandatarjusz z fajką na długim cybuchu w głębokim zamyśleniu przechadza się po kancelarji.

Nieoceniony aktuarjusz-poeta, pan Gustaw Chochelka, siedzi poważny i nadęty przy stoliku, a gryząc pióro w zębach, czeka na rozkazy swego pryncypała. Tymczasem zaś zwykłym trybem podciąga kołnierzyki, muska bakenbardy i jeży czuprynę, a bogdaj czy nie szuka końcówek do jakiego nowego miłosnego wiersza.

Wtyle przy drzwiach w pokornej postawie stoi dwóch chłopów z Oparek, Hawryło Facuła i Kiryło Gieręga.

Obadwaj przyszli na sprawę¹ do wielmożnego sędziego.

A była to nielada między nimi sprawa.

Zeszli się w karczmie w niedzielę popołudniu, a dysputując o różnych przedmiotach, różnej także byli opinji.

Facuła mówił tak, Gieręga siak, Hawryło Kirylę w twarz,

<https://rcin.org.pl>

¹ sąd.

Kiryło Hawryłę w piersi! Facule stłukła się fajka, Gieredze zawieruszyła się spinka od koszuli.

Więc obadwaj co żywo do pana sędziego.

Pierwszy chce plastra na głowę i nagrodę za fajkę, drugi gojącej maści na piersi i restytucji¹ spinki postradanej.

Aby jednak tem bezpieczniej upewnić się wygranej, Hawryło, jako przednią straż, wysłał dwie gęsi tuczne do dominjum, Kiryło jako rezerwę przyniósł prosię w worku.

Pan sędzia wypytuje obudwóch z surową powagą i ścisłą bezstronnością.

A Kiryło znowu tak, a Hawryło znowu siak.

Pan sędzia niby patrzy niby słucha, a w głowę jak fura siana zajechały mu dwie gęsi tuczne i prosię w worku.

— Gadać jak to było, Hawryło! — rozkazuje jednemu, a w uszach zagęgały mu obie gęsi.

Hawryło ledwie zaczął, a tu znowu prosię zakwiczalo w worku.

— Stój! — krzyknął pan sędzia.

— Gadać, Kiryło!

Kiryło kłania się do samej ziemi i tnie swoje. Hawryło przerywa i wszystko zaczyna *da capo*.

Panu sędziemu w jednym uchu zagęgały gęsi, w drugim zakwiczalo prosię.

— Cicho! — krzyknął — cicho obadwaj!

I zaczął przechadzać się po kancelarji i coś mruczy przez zęby.

Hawryło podsłuchuje z rozdziawioną gębą i myśli w duchu:

— Za mną się skłania.

Kiryło uśmiecha się z tryumfem i szepce sobie:

— Moja wygrana.

A pan sędzia chodzi i chodzi a mruczy:

— Dwie gęsi tuczne, prosię na pieczęste!... Prosię na pieczęste, dwie gęsi tuczne! Hm, hm, fiu, fiu, fiu!

¹ zwrot.

— Kto zaczął? — zapytał i obie naprzód wyciągnął ręce, jakby w wyobraźni w jednej waży prosię, w drugiej gęsi obie.

— Hawryło zaczął, wielmożny sędzio.

— Kiriło zaczął! Zadał mi złodziejstwo!

— Kto kogo pierwej uderzył?

— Hawryło mnie!

— Hawryło ciebie, pst, sza! Ani słowa!

Tu pan sędzia przystanął i szeroko rozwarł nozdrza, jakby w jednej chwili wachał i tłustą gąskę upieczoną i prosię nadziewane.

Facuła skrobie się w głowę.

— Źle — myśli.

Gieręga pokiwnuje głową.

— Niedobrze! — wzdycha.

— Kto skończył? — pyta dalej pan sędzia.

— Kiriło skończył!

— Ja go tylko odtrącił od siebie, łaskawy sędzio.

— Pst, sza! Ani słowa!

— Hawryło zaczął, Kiriło skończył! Hm, hm, Kiriło skończył, Hawryło zaczął... — duma dalej pan mandatarjusz.

I znowu zatrzymał się na miejscu i poruszył wargami, jakgdyby jednym półgębkiem smakował gęsi z jabłecznym kompotem, a drugim przypaloną skórkę prosięcia.

— Za drzwi obadwaj! — zakonkludował nareszcie.

Hawryło i Kiriło pokłonili się nisko i wyszli z kancelarii.

Pierwszy pozostał w sieniach, drugi czmychnął do kuchni i w ręce pani sędziny wysypał prosię z worka.

Pan sędzia pozostał sam z swym aktuarjuszem.

— Proszę pisać, panie Chochelka — *Per mandatum!*¹ — rozkazywał godny sługa Temidy.

A śnać na uspokojenie swego zanadto drażliwego sumienia mruknął półgłosem:

— I gęsi zostaną i prosię pójdzie do chlewa.

Na nieszczęście pan Chochelka, wyteńczywszy uszy, które długością zdawały się rywalizować z kołnierzykami, wziął te

<https://rcin.org.pl>

¹ z rozkazu.

słowa za prosty wstęp mandatu i w kilku pociągach pióra nakreślił je na papier.

— Jest! — rzekł jednocześnie z ostatniem pociągnięciem pióra.

— Co jest?

— Prosię!

— Jakie prosię! — wykrzyknął pan mandatarjusz, zapomniawszy o swoim głośnym monologu.

— Pan sędzia dyktował przecie.

— Co?

Pan Chochełka z urażoną powagą nachylił się ku papierowi i odczytał pełnym głosem:

— I gęsi zostaną i prosię pójdzie do chlewa.

— Osiół! — wrzasnął mandatarjusz, łapiąc się za głowę.

— Osiół? Pan sędzia dyktowałeś prosię. Ale to nic, ja poprawię.

I poślinionym palcem pociągnął po fatalnem prosięciu, a piórem zamachnął, aby natomiast przynależytego postawić osła.

Pan mandatarjusz z furją poskoczył ku niemu i wyrwijając mu nieszczęsny papier z przed nosa, zgmatwał i zdarł go w tysiąc kawałków.

Pan Chochełka wzruszył tylko ramionami jak człowiek na niewinne narażony prześladowanie i siedział spokojnie na miejscu.

— Pan wtedy będziesz mandatarjuszem, kiedy ja biskupem — wykrzyknął pan Gągolewski w najwyższej indygnacji.

— Pan sędzia zapomina, że mam już *Mandatarsprüfung*,¹ a co do *Polizeirichtersprüfung*...² — oponował urażony aktuarjusz-poeta.

Mandatarjusz wzruszył ramionami i machnął ręką.

— Weź pan inny papier! — krzyknął.

Pan Chochełka z urzędową flegmą i powagą wziął inny półarkusz siwego papieru, ale zato z wielkim zamachem i fer-

¹ egzamin mandatarjuszowski.

² egzamin na sędziego policyjnego.

worem zamaczał pióro do kwartowego kałamarza, sporządzonego z starej stłuczonej flaszki, którą wszystkourny policjant sznurkiem obciął w zimnej wodzie.

Pan mandatarjusz postawił się w pozycji Cezara dyktującego listy siedmiu sekretarzom naraz.

— Pisz pan — rzekł.

Pan Chochelka furknął piórem w powietrzu.

Pryncypał dyktował:

«Wójtowi w Oparkach!

Nakazuje się pod karą 25 kijów, aby Hawryłę Facułę i Kyryle Gieregę pogodził z sobą niezwłocznie.

Dominjum Żwirów dnia 26 października 1845».

— Pięć! — powtórzył Chochelka z tryumfującą miną i nadstawił pióro panu sędziemu.

Pan Gągolewski wziął pióro do ręki i nakreślił swoje imię z zwykłym wykrętasem i zwykłym przydatkiem niemieckich tytułów.

— Hawryło! Kyrilo! — zawołał teraz, obracając się ku drzwiom.

Weszli obaj chłopci, a pan sędzia, nie patrząc nawet na nich, podał im papier złożony.

— Wójtowi! — rzekł od niechcenia.

Obadwaj chłopci sięgnęli po papier, ale zręczniejszy Kyrilo uprzedził przeciwnika i uniósł skarb nieoceniony.

A w samej rzeczy skarbem mógł się nazwać taki wyrok! Sam Salomon by go pozazdrościł!

Zaledwie wynieśli się obadwaj skarżyciele, a pan sędzia jakby umęczony dopełnionym aktem urzędowania, odetchnął z pełnej piersi i chciał wygodnie ułożyć się na sofce, kiedy wtem turkot bryczki rozległ się na ganku.

— Pan Żachlewicz! — krzyknął mandatarjusz uradowany i wybiegł naprzeciw gościa.

Pan Chochelka z pasją podciągnął kołnierzyki.

— Wytrzymajże dłużej u takiego gbura bez wychowania! — mruknął i biorąc za czapkę wymknął się za drzwi.

Mandatarjusz wprowadził swego gościa do kancelarji,

a zaledwie zaskrzypliły drzwi za Chochelką, pochwycił go za rękę i zapytał skwapliwie:

— I cóż, jak stoją interesa?

— Wybornie!

— Wybornie! — powtórzył mandatarjusz i zatarł ręce.

— Najdalej za dziesięć dni nie będzie studencika we dworze!

— Czy być może!

— Pojutrze zjedzie komornik.

— Tutaj?

— Wysłucha pierwszych zarzutów przeciwnych czyli tak zwanej ekscepcji¹ dzisiejszego dziedzica.

— A jak te zarzuty pokażą się nieważne...

— Co po trzydziestu zaprzysiężonych świadectwach daje się zgóry przewidzieć... — uzupełniał Żachlewicz.

— Wtedy...

— Pan komornik uzna testament za nieważny, a *provisorjum*² aż do dalszego rozstrzygnięcia przyzna najbliższemu naturalnemu sukcesorowi.

— Jaśnie wielmożnemu Kazimierzowi³ hrabi Żwirskiemu.

— Dziedzic zaś dzisiejszy z wszelkimi pretensjami, protestami i rekursami...⁴

— *Auf den Rechtsweg!*⁵ — dorzucił mandatarjusz i strzepnął palce...

— Amen! — zakonkludował Żachlewicz i głowę pochylił na piersi.

Wtem tętent konia rozległ się przed gankiem.

— Na macie! — krzyknął mandatarjusz, poskakując do okna — Katyлина!

Żachlewicz drgnął przestraszony.

— Katyлина! — powtórzył mechanicznie i skwapliwie pochwycił za czapkę.

— Nie chcę, aby mię tu zastał — poszepnął do mandatarjusza.

¹ obrony przeciw zarzutom. ² tymczasowe posiadanie.

³ pomyłka, zam.: Zygmuntowi.

⁴ sprzeciw.

⁵ na drogę prawną.

— Zapóźno! już idzie! — zawołał mandatarjusz, postępując ku drzwiom.

— Idzie!

W samej rzeczy w sieniach dały się prędkie i głośnie słyszeć kroki.

Żachlewicz, jak piskorz, kręcił się po pokoju.

— Schowam się! — szepnął.

I tuż znalazł upragnione schronienie.

W kącie między dwoma szafami z aktami wisiała garderoba pana Chochelki, na którą troskliwy właściciel uszył rozdaj kapy z papieru.

Żachlewicz jednym susem poskoczył pod papierową zasłonę i przycupnął we dwoje pod krótkim płaszczykiem bandyckim, najcelniejszym artykułem garderoby pana Chochelki.

Jednocześnie drzwi rozwarły się z trzaskiem, a Katylina wszedł do pokoju.

Twarcz jego miała swój zwykły spokojny i niedbały wyraz, tylko do owego uśmiechu szyderczego w ustach i oczach przymieszało się coś jak ukryta groźba.

Mandatarjusz powitał go zwykłymi ukłonami.

Katyliną badawczem okiem powiódł dokoła i uśmiechnął się z podwójną złośliwością.

Papierowa kapa między dwoma szafami zatrzęsała się zlekka.

— Pan sam jesteś, panie Gągolewski? — zapytał mandatarjusza.

— Sam.

Katyliną rzucił się na sofkę i szpicrutem poklepał po butach.

— Cóż tam słyhać? — zapytał znowu, a ukradkiem lypnął ku nieszczęsnej kapie papierowej.

— Nic — odparł mandatarjusz cokolwiek zaniepokojony.

— Nic zgoła nowego?

— Przynajmniej ja o niczem nie wiem.

Katyliną zagwizdał przez zęby.

— Przybyłem umyślnie, aby się czegoś dowiedzieć od pana — ozwał się znowu po chwili.

Mandatarjusz wzruszył ramionami, ale zaniepokoił się naprawdę.

— Jakichże nowin spodziewałeś się pan dobrodziej ode mnie? — odważył się zapytać.

Katyliną bystro wpatrzył się w mandatarjusza, a ten mimowolnie cofnął się o krok wtył.

— Ołańczuk nie powrócił?

— Dotąd nikt go jeszcze nie widział w całym dominjum. Z oczu Katyliny złowrogi jakiś strzelił wyraz.

Porwał się z sofki i szybko postąpił ku stołowi.

Mandatarjusz odetchnął ciężko: zdawało mu się, że Katyliną zmierza ku fatalnemu ukryciu.

— Daj mi pan z łaski swojej arkusz papieru! — żądał niebezpieczny gość.

Mandatarjusz skwapliwie poskoczył na zawołanie.

Katyliną usiadł przy stoliku, pochwycił za pióro i zamaczawszy w niezgrabnym kałamarzu, z zamachem szastnął po papierze.

Nagle rzucił się gwałtownie.

— Cóż za ohydny masz pan atrament! — wykrzyknął i pochwycił za nieszczęśliwy kałamarz.

Mandatarjusz z przestrachu przykląkł na obadwa kolana.

W tej chwili kałamarz z świstem przemknął mu tuż ponad głową i pozostawiając sporą plamę na okazałym nosie, padł trafnie wymierzony w kąt między szafy, poza papierową zasłonę.

I nagle głośny rozległ się brzdęk, pomieszany z wykrzykiem gniewu i przestrachu.

Fatalna flaszka ugodziła w samą czaszkę Żachlewicza i rozbiła się w drobne kawałki.

— A to co? — wykrzyknął Katyliną z udanym prze-strachem.

— Gwałtu! ratunku! — zawrzeszczał okropnym głosem Żachlewicz — zamordowano mię!

Przygluszony nagle, niespodziewanem uderzeniem, wziął nieborak leżący się zewsząd atrament za czystą krew w pierw-

szym przestrachu i wysuwając się raczkami z swego ukrycia, jęczał w niebogłosy.

— Krew! krew! ratunku!

Mandatarjusz stał jak wryty na miejscu, a z przestrachu, gniewu i oburzenia nie mógł wyrzec ani słowa.

Katylinina zanosił się od śmiechu.

— Cóż pan tam robiłeś do djabła, panie Tachlewicz? — zapytał nareszcie.

Zelektryzowany szyderczym dźwiękiem tego głosu, Zachlewicz porwał się na równe nogi i ocierając strugi atramentu od gęby i nosa, uspokoił się wprawdzie co do swego uszkodzenia, ale zato wściekłym zawrzał gniewem i z zaciśniętymi pięściami prawie o krok naprzód postąpił ku Katylinie.

— Pocóż pan tam wlałeś, panie Tachlewicz? — pytał niezmiyszany szyderca.

— Bo mi się tak podob...bło... — silił się powiedzieć pan Zachlewicz, ale na nieszczęście zachlisnął się nową strugą atramentu.

— Wybornyś sobie panie Tachlewicz!

— Nie nazywam się Tach... chle... wcz — zachlisnął się znowu biedak napół z złości, napół z nowego napływu atramentu.

Tymczasem osłupiały narazie mandatarjusz opamiętał się jakoś i w groźnej wyprężył się postawie.

Postępek Katyliny rozgniewał i oburzył go do żywego, a przywiezione właśnie przez Zachlewicza wiadomości śmiałem natchnęły go postanowieniem.

— Co mi teraz robi, kiedy za tydzień już wezmą djabli samego dziedzica... — mruknął sam do siebie.

I w jednej chwili zmieniony do niepoznania, postąpił naprzód ku Katylinie.

— Co to znaczy? — krzyknął — w moim domu!...

Katylinina rzucił nań jedno spojrzenie, a mandatarjusz co żywo cofnął się wtył i zamilkł jak zaczarowany.

Katylinina postąpił ku drzewom.

— Wody! — krzyknął do sieni.

Potem spokojnie wrócił na środek pokoju i rzekł jakby nic nie zaszło:

— Zaraz się pan Tachlewicz umyje, a potem będę się starał wyłumaczyć!

— Nie nazywam się Tachlewicz! — wrzasnął Zachlewicz z wściekłością.

— Tak, pan komisarz nie nazywa się Tachlewicz! — ozwał się mandatarjusz buńczuczno.

I odzyskując całą swą powagę, podniósł się na palce i groźnie schmurzył czoło.

Katyliną parsknął urągającym śmiechem i postąpił naprzód ku niemu.

Ale wtem rozwarły się drzwi, a do kancelarji wleciała przestraszona krzykiem pani sędzina, a za nią pan Chochelka i służąca z konewką wody.

— *O la Boga!* co się tu dzieje? — krzyczała pani sędzina zasapana.

— Nic zgoła — odpowiedział Katyliną drwiąco-uspokajającym tonem. — Pan Tachlewicz trochę się poplamił, ale się zaraz obmyje.

Tu pan mandatarjusz nie mógł powstrzymać się dłużej.

— Dosyć tego! — zahuczał gromowym głosem. — Nie chcę już cierpieć dłużej! Nie dbam więcej o służbę u dziedzica, który sobie jakichś od świata posprowadzał łaj...

Nie dokończył, bo twarz Katyliny tak groźny przybrała wyraz, że i śmielszy z natury mógł się przestraszyć naprawdę.

Pan Chochelka zawczasu salwował¹ sobie ku drzwiom rejteradę,² a pani sędzina cała drżąca poskoczyła na bok i rzucając mężowi spojrzenie opamiętania, zawołała upominając:

— Bonifasiu! Bonifasiu!

Ale Bonifasio jeszcze w sroższy wpadł ferwor i chciał już dokończyć sens przerwany, kiedy Katyliną postąpił spokojnie ku niemu i patrząc mu bystro w oczy, rzekł zwolna a dobitnie:

— Słuchajno aspan, czy myślisz, że jak w imieniu dzie-

¹ zabezpieczał.

² ucieczkę.

dzica krzyknę na chłopów, to się potrafisz ochronić od pięćdziesięciu kijów?

Mandatarjusz struchlał cały.

Wiedział aż zanadto dobrze, że w ciągu swego długoletniego urzędowania zraził sobie chłopów nazabój i że na pierwszy wykrzyk Katyliny zleciałyby się wszystkie szesnaście gromad na jego rozkazy. Mówiło mu zaś silne wewnętrzne przeświadczenie, że zuchwały awanturnik niewiele troszczy się o środki legalne i gotów nieochybnie spełnić obietnicę.

— Jakto? pan mówisz...? — zawołał, spuszczać z tonu.

— Że jeśli aspan cicho i pokornie nie będziesz słuchał moich rozkazów, krzyknę na wójta i chłopów i taką mu sprawę łaźnię, o jakiej świat nie słyszał!...

I jakgdyby dla tem silniejszego utwierdzenia otworzył drzwi od sieni i wrzasnął gromowym głosem:

— Hej, policjant! stójka!

Policjanta nie było, ale wpadł tak zwany stójka, t. j. dostawiany codziennie kolejno od pojedynczych gromad nominalny stróż kancelarji, właściwie zaś daremny sługa pani sędziny.

Katyliną przystąpił żywo ku niemu i chwytając go za ucho, obrócił go szybko do drzwi.

— Biegaj mi co żywo do wójta i każ, niech tu natychmiast przyjdzie z dziesięciu tęgimi parobkami! Ruszaj, marsz! — i popchnął go ku drzwiom.

Stójka wyleciał jak opętany, a po chwili mignął się tylko przed oknami.

Pan mandatarjusz stał osłupiały na miejscu. Zachlewicz zbladł jak ściana poza zasychającymi plamami atramentu, a pani sędzina czuła wielką ochotę dostać spazmów.

Katyliną spokojnie obejrzał się dokoła.

— Mam pogadać z panem Tachlewiczem i chciałbym pozostać z nim sam na sam. Prosiłbym więc państwa... — dodał, wskazując na drzwi.

— Pójdź, Bonifasiu! — krzyknęła pani sędzina i co żywo za rękę pociągnęła skonsternowanego mężulka.

<https://rcin.org.pl>

Chochelka już przed chwilą znikł gdzieś, jak kamfora.

Katylna obrócił się do Zachlewicza, który chyłkiem chciał także wymknąć się z pokoju.

— Za pozwoleniem — rzekł, zastępując mu drogę. — Pomówimy z sobą kilka słówek.

— Ależ ja pana dobrodzieja nie znam! — wykrzyknął Zachlewicz prawie z rozpaczą.

— Nic nie szkodzi, to mię poznasz zaraz.

— Czegoż pan chcesz odemnie?

— Małego wyjaśnienia.

— Wyjaśnienia?

Tylko wyjaśnienia... — pomyślał i duch wstąpił w nikczemnego tchórza.

— Niech pan siada! — prosił Katylna.

I rzucając się sam na drelichową sofkę, zmusił swą ofiarę usiąść koło siebie.

— Teraz — rzekł z flegmą i spokojem — zaczniemy mówić na serjo.

Zachlewicz uczuł, że mu się znowu jakoś duszno zrobiło na piersiach.

Katylna ciągnął dalej z naciskiem:

— Wiem o wszystkim, o wszystkim, panie Tachlewicz. Chudy, skrzywiony człowiek drgnął cały.

Katylna świdrujący utopił w nim wzrok.

— Pan jesteś wielkim łotrem, panie Tachlewicz!

— Panie dobrodzieju! — krzyknął skrzywiony człowiek i porwał się z sofy, a oczyma łypnął ku drzwiom.

— Pan jesteś wielkim łotrem — powtórzył Katylna z większym naciskiem i kładąc mu swą silną, szeroką rękę na ramieniu, zmusił go siąść napowrót.

— Czegoż pan dobrodziej żądasz odemnie? — wybelkotał Zachlewicz napół nieprzytomny z wściekłości a podłego tchórzostwa.

Katylna zaśmiał się z gryzącem szyderstwem.

— Nie bój się, — rzekł — nie będę ci roztrząsał sumienia, jesteś łotrem dla siebie i dla kryminału! mnie nic do tego.

— Panu dobrodziejowi nic do tego? — poszepnął tchórz mechanicznie, jakby się uspakajając tem zapewnieniem.

— Ja chcę cię tylko zrobić nieszkodliwym sobie.

Żachlewicz szeroko rozwarł oczy i wypatrzył się na swego dręczyciela, jak delinkwent¹ na sędziego.

Katyliną z silnym naciskiem prawil dalej:

— Powiedziałem panu, że wiem o wszystkim, o wszystkim...

Żachlewicz przytłumił w sobie ciężkie westchnienie.

— Dostawszy pana teraz w swoje ręce...

— W swoje ręce! — wydzwonił Żachlewicz z piekielnym przestraczem, i aż ciemno zrobiło mu się w oczach.

Katyliną kontynuował niezrażony:

— Chcę poprostu korzystać z przypadku, a mówiąc krótko i węzłowato, mam panu postawić dwa warunki do wyboru.

— Wa... warunki!

— Właściwie dwie propozycje.

Żachlewicz coś wybełkotał przez zęby.

— Wybór bardzo łatwy. Albo zgodzisz się na pięćdziesiąt kijów, które ci tutaj *eo instante*² każę na wieczną wyliczyć pamiętkę...

Żachlewicz był bliskim zemdlenia.

— Albo... — ciągnął Katyliną dalej.

— A... albo?

— Raczysz łaskawie napisać list do mnie.

— List do pana! — wykrzyknął Żachlewicz, jakby własnym uszom nie dowierzając.

— Tak, list i nic więcej.

— A kiedy? — zapytał skwapliwie.

— Natychmiast.

— Lecz cóż ma być w tym liście?

— *Primo*:³ że proces przeciw Juljuszowi podjąłeś za ścisłem z hrabią porozumieniem, za jego wiedzą i wolą, jego środkami i funduszami, że on tylko dla ukrycia się przed światem wysunął ciebie naprzód, a sam zachował się biernie.

<https://rcin.org.pl>

¹ przestępca.

² natychmiast.

³ po pierwsze.

— Nigdy! Przenigdy! — wrzasnął Zachlewicz.

— A więc skończyliśmy z sobą — rzekł Katylina obojętnie i wstał z sofki, a ręką wskazał ku oknu.

Zachlewicza zimny pot oblał.

Przed gankiem stał wójt z dziesięcioma sążnistymi drągami.

— Ależ to gwałt, panie! — zawołał.

— A gwałt — odpowiedział Katylina, wzruszając ramionami.

— To zbrodnia, kryminal!

Katylina parsknął śmiechem.

— Nie traćmy czasu! — rzekł, i przystępując do drzwi, zawołał donośnie:

— Hej, wójcie!

— Stój pan! — krzyknął Zachlewicz.

— Przyjmujesz?

— Prz... prz... yj... muje.

Wójt z niskim ukłonem ukazał się w progu.

— Zaczekaj jeszcze kilka minut! — rzekł Katylina i przytknął drzwi napowrót.

— A teraz — prawil, obracając się do Zachlewicza — wróćmy do dalszego ciągu listu.

— Dalszego ciągu!... — wyszepnął Zachlewicz głosem bez dźwięku i głowę bezsilnie spuścił na piersi.

Katylina spokojnie ciągnął dalej:

— *Secundo*:¹ przyznasz pan, że przekonany o niesłuszności swej sprawy, uciekłeś się do różnych sztuczek i intryg niesumiennych.

— Ja... jakto?

— Między innemi wściubiłeś grube łapowe komornikowi i podplaciłeś świadków...

Zachlewicz zachnął się oparzony.

— Ależ to niepodobieństwo! — wykrzyknął.

— Na tem kończą się moje żądania.

— Dziękuję!

<https://rcin.org.pl>

¹ po drugie.

— Pan nie przyjmujesz drugiego punktu?

— W żaden sposób.

Katyliną obojętnie wzruszył ramionami.

— Stoi tedy na kijach? — zapytał po chwili.

— Na kijach! — wykrzyknął Żachlewicz i zadrżał cały.

Katyliną z wolna podniósł się z sofki.

— Wójt czeka za drzwiami — szepnął, jakby tylko dla przypomnienia.

Żachlewicz z rozpaczą zgrzytnął zębami.

— Panie... — wydzwonił ledwie zrozumiale.

— Powiedziałem: *aut, aut!*¹

Żachlewicz stał nieruchomy na miejscu, jakby walczył sam z sobą.

Nagle wstrząsł głową i jakoś dziwnie lypnął oczyma.

— Dobrze! — zawołał prędko — zgadzam się na wszystko.

— Przecież! — mruknął Katyliną.

Żachlewicz uśmiechnął się prawie zadowolony.

— Pan dobrodzieju podyktujesz mi sam ten list? — zapytał z szczególnym pospiechem.

— Jeśli pan chcesz...

— Bardzo proszę!

— A więc siadaj pan.

Żachlewicz przysunął się do stolika, a chwytając za papier, poszepnął w duchu:

— Wszystko, co napiszę, niema najmniejszego znaczenia. Ulegam fizycznemu przymusowi, brutalnej przemocy, gwałtowi, a w takim położeniu musiałbym podpisać i własny wyrok śmierci.

Katyliną śledził pilnie fizjognomję swego przeciwnika, a jej uspokojony, prawie zadowolony wyraz zachwiał go cokolwiek.

— Na jaką nową myśl mógł wpaść ten łotr? — zagadnął się zaniepokojony.

— Jużem gotów — ozwał się Żachlewicz.

— A więc... Proszę pisać.

I rzucając się napowrót na sofkę, zaczął dyktować prędko:
«Wielmożny mości dobrodzieju!

«Zmuszony odkryć całą szczerą prawdę, wyznaję otwarcie, że proces przeciw testamentowi nieboszczyka starościca Miłkołaja Żwirskiego wytoczyłem za ścisłym porozumieniem z moim pryncypałem, jaśnie wielmożnym hrabią Zygmuntem Żwirskim, który mię w wszelkie potrzebne zaopatrzył fundusze i do wszelkich odpowiednich upoważnił kroków. Sam JW. hrabia nie chciał dlatego tylko pod własnem wystąpić imieniem, że przeświadczony najzupełniej o niesłuszności procesu, bał się skompromitować wobec ludzi honoru. Podejmując się zaś w jego imieniu popierać całą sprawę, nie ludziłem się także co do jej moralnej podstawy, wszakże do dziś dnia udało mi się poprowadzić wszystko jaknajlepiej. Sowitem łapowem ująłem komornika, pana Dezyderjusza Gramarskiego, pieniędzmi i przyrzeczeniami na przyszłość zapewniłem sobie pomoc i świadectwo p. p. Gągolewskiego, Girgilewicza i innych!...»

— Koniec? — podchwycił skwapliwie Żachlewicz.

— Jeszcze tylko krótkie zakończenie:

«Z szczerą otwartością i najpełniejszym zaufaniem — wynurzam się obecnie przed w. panem dobrodziejem, wiedząc, że o wszystkim dowiedziałeś się już skądinąd. Śmiem ci jednak proponować, abyś zaniechał bronić zgubnej sprawy, a połączył się z nami, za co mu w imieniu JW. hrabiego hojną mogę przyrzec nagrodę. Oczekując pomyślnej, jak tuszę, decyzji w. pana dobrodzieja, zostaję uniżonym sługą. Pankracy Żachlewicz».

— Skończyłem.

— Złóż pan i zaadresuj.

Żachlewicz zabrał się dopełnić ostatniego rozkazu, a Katyliną tymczasem rozwarł drzwi od sieni i krzyknął donośnie:

— Panie Gągolewski, panie Chochelka!

Wpadł co żywo upokorzony mandatarjusz, ale Chochelka znikł gdzieś jak kamfora.

— Gdzie aktuarjusz? — zagrzemiał Katyliną.

— Gdzieś się schował! Nie można go znaleźć! — odpowiedział skonsternowany mandatarjusz.

— Szukać go! — krzyknął Katyliną piorunującym głosem.

Mandatarjusz wybiegł i nuż wraz z swą połowicą po wszystkich kątach rozbijać się za zbiegiem, który, jak poświadczali czekający na ganku chłopci, nie wyszedł nigdzie z domu.

Wszakże napróżno szukali i wołali go po imieniu w niebogłosy.

Nieoceniony aktuarjusz-poeta znikł, jakby w ziemię zapadł.

Na szczęście wójtowi przyszła myśl zajrzeć do gruby¹ od pieca, a tam dopiero odszukano zbiega.

Biedny adonis² parafjański, przestraszony energicznem wystąpieniem Katyliny, zaraz w pierwszej chwili za bezpiecznem obejrzał się schronieniem, a odkryty teraz drżał, jak listek i krzyczał jak opętany.

— Ja się do niczego nie mieszałem! Ja nic tutaj nie znaczę!

Wyciągnięty za nogi z swej kryjówki, nie dał się uspokoić żadnem przedstawieniem, a osmolony i okopcony szedł na zawołanie Katyliny, jak zbrodniarz pod rusztowanie.

Przestach jego oburzał samego mandatarjusza.

— Cóż to do diabła! — zawołał z indygnacją — głowę panu nie urwie!

I popchnął go naprzód, a sam za nim w pokornej postawie wsunął się do kancelarji.

Katyliną parsknął głośnym śmiechem na widok oplakanego stanu biednego aktuarjusza.

— Cóżto pan kominy wycierałeś, panie Chochelka?

Niefortunny adonis rozkrzyżował ręce i wybełkotał na nowo z pospiechem rozpacz:

— Ja się do niczego nie mieszałem, ja tu nic nie znaczę!

— Ale któż pana obwinia?

Panu Chochelce lżej się trochę zrobiło na sercu.

— Myślałem...

Katyliną machnął ręką wzgardliwie i obracając się do Zachlewicza, rzekł rozkazująco:

¹ otwór.

² Według podań Adonis był młodzieńcem tak pięknym, że zakochała się w nim bogini Wenus, stąd pięknego i zalotnego młodzieńca nazywają adoniszem.

— Odczytaj pan swój list głośno, panie Tachlewicz.

Były rządcą orkizowski skurczył i zgarbił się we dwoje i odczytał świeżo napisany list głośno od początku do końca.

Mandatarjusz rozdziawił gębę, wytrzeszczył oczy i stał jak piorunem rażony.

— Ja... jakto — wybelkotał wreszcie po dobrej chwili — pan Żachlewicz utrzymuje, że, że... pieniędzmi zapewnił sobie moje świadectwo!

— Jak pan słyszysz.

— To... to... fałsz... potwarz!

— Powiedz pan raczej: zdrada! — odparł drwiąc Katyliną.

Obracając się zaś do Żachlewicza, zagrmiał dobitnie:

— No, panie Tachlewicz, powiedz-że mu w oczy co napisałeś.

Żachlewicz spuścił oczy na dół i szepnął głosem bez dźwięku i wyrazu:

— Tak... to wszystko prawda!

— Kłamstwo! ani złamanego szeląga nie widziałem! — wołał mandatarjusz z całego gardła — gdzie dowody, gdzie świadkowie?

Katyliną z złośliwym śmiechem radował się z położenia swych ofiar.

— Cicho, cicho, moi panowie, — ozwał się po chwili — nie chcę was poróżnić naprawdę. Wart Pac pałaca a pałac Paca!

I przystępując prędko do Żachlewicza, wyrwał mu list z ręki i rzekł z przyciskiem:

— Skończyliśmy z sobą, panie Tachlewicz! Ruszaj do djabła!

Żachlewicz co żywo pochwycił za czapkę.

Katyliną otworzył drzwi i zawołał wójta.

— Słuchaj, — rozkazywał z tą dobitną bezwzględnością, która chłopą naszego zawsze do mimowolnego zmusza szacunku — każesz dwom ludziom odprowadzić tego pana aż za granicę naszego dominium!

— Ja tu mam bryczkę... Jest na folwarku! — ważył się wtrącić Żachlewicz.

— Bryczkę przytrzymaną na folwarku aresztuję do jutra w imieniu dziedzica. Pan przejdiesz się piechotą, panie Tachlewicz.

— Ależ panie...

— Bez długich zachodów: Dalej, wójcie, wyprowadzić go! Tachlewicz w beznadziejnej złości zgrzytnął zębami, ale prędko jak kot czmychnął za drzwi.

Katylina obrócił się nagle do mandatarjusza.

— Teraz my jeszcze pomówimy ze sobą kilka słów! — rzekł z przerażającym przyciskiem.

— Jam niewinny w niczem! — wybelkotał mandatarjusz.

Katylina rzucił się gwałtownie.

— Pan jesteś łotr na wielki kamień, infamis¹ od stóp do głowy!

— Panie dobrodzieju, ja tego... to...

— Mógłbym aspanu sprawić łaźnię, żebyś ją popamiętał do samej śmierci, ale niech cię djabli biorą! Ruszaj na cztery wiatry! Za dwie godziny aby ani śladu nie było po tobie w całym kluczu.

— Ależ panie dobrodzieju... ja ulegam cyrkułowi... Odprawiając mnie, musi dziedzic zawiadomić cyrkuł.

Katylina wzgardliwie wzruszył ramionami.

— Furda, dziedzic aspana nie odprawia, tylko aspan sam ucieka.

Mandatarjusz na pół łokcia rozdziawił gębę.

— Ja... ja... u... uciekam?

— To jest, uciekniesz!

— Sumienie nakazuje mi pilnować urzędowania.

— A roztropność radzi czmychnąć co żywo, bo jutro ogłoszę we wszystkich szesnastu gromadach, że ktokolwiek dał kiedy aspanu łapowe, może się teraz upomnieć o nie!

W mandatarjusza jakby piorun ugodził. Aż w oczach mu się ściemniło w pierwszej chwili.

— Ha! jeśli pan dobrodziej chłopów zamyśla buntować... — wybelkotał skonsternowany do reszty.

¹ pozbawiony czci, łajdak.

— Widzisz pan więc, że nie masz tu co robić. Jedź sobie jak najprędzej, gdzie cię oczy poniosą! Ale wara gdziekolwiek dołki kopać podemną, bo cię wsadzę do kryminału, jak mię tu widzisz!

— Do kryminału! — wybąknął mandatarjusz mimowolnie.

— Myślisz, że trudno mi przyjdzie dowieść ci zdzierstwa, przedajności, nadużycia władzy *et caetera*?

Mandatarjusz pochylił głowę na piersi i nie wyrzekł ani słowa.

Wychodząc zaś z kancelarji na skinienie Katyliny, zgrzytnął z wściekłości zębami i mruknął sam do siebie:

— A to oczajdusza! nie mówiłem! zgubił mię na wieki! Zabił, zarznął mię bez noża!

Katyliną tymczasem przystąpił do pana Chochelki i uderzając go po ramieniu, rzekł:

— Teraz na nas kolej, panie Chochelka.

Biedny aktuarjusz mało nie przykląkł na oba kolana, tak silny zatrzęsł nim strach.

— Bóg świadkiem, ja się nie mieszałem do niczego! — wykrzyknął na nowo.

— To też dlatego, — odrzekł Katyliną z drwiącym naciśkiem — choć mówiąc między nami jesteś głupi jak but, chcę cię podnieść trochę. Zrobię z pana chochlę przynajmniej...

— Ch... chochlę!

— Pan masz już egzamin na mandatarjusza?

— Brakuje mi tylko *Polizeirichtersprüfung*.

— Mniejsza o to, tymczasem możesz pan zawiadywać *dominjum*.

Pan Chochelka poczerwieniał jak burak i zdawało się, że wraz z bankenbardami podrósł nagle na kilka cali.

— Jakto? — wybełkotał.

— Mianuję pana tymczasowym mandatarjuszem!

Pan Chochelka drżał teraz zarówno z radości jak dawniej z przestachu, a nie wiedział, czy do nóg się rzucić niespodziewanemu dobroczyńcy, czy w inny jakiś sposób wyrazić mu swą wdzięczność nieskończoną.

Ale Katyliną nie miał czasu w tej chwili zabawić się z nim długo.

Pochwycił za kapelusz i rzekł prędko:

— *Pilnuj pan aktów* tymczasem i czekaj moich dalszych instrukcyj! A teraz bywaj zdrow.

Chochelka uklonił się do samej ziemi, ale *napróżno* silił się jakieś zrozumiałe wybelkotać słowo.

Dopiero kiedy Katyliną wyszedł z kancelarji i po kilku słowach, rzuconych do wójta, dosiadł konia, pan Chochelka rzucił się prawie nieprzytomny z dumy i szczęścia:

— *Dominikalrepräsident*,¹ ja!!!

Katylina nie jechał do Oparek, ale wprost skręcił ku Orkizowie.

— Odrazu uderzę na hrabiego! — mruknął przez zęby. — Juljusz za głowę się weźmie, jak mu tyle naraz przywiozę wiadomości...

I zaciął konia z całej siły.

— Z jaśnie wielmożnym będzie trudniejsza sprawa! — szepnął po chwili namysłu — ale też ona wszystko rozstrzyga! Hrabia musi mi dać formalne zrzeczenie na piśmie!

I co koń wyskoczył, popędził gościńcem ku Orkizowie.

Słońce już tylko połową swej tarczy przyświecało na zachodzie, a za chwilę schowało się zupełnie za góry.

Katylina coraz gwałtowniej napędzał konia.

— Wieczór! — mruknął niezadowolony.

— Ha, tem lepiej — pocieszał się po chwili — pewniej zastanę hrabiego w domu!

I w duchu zaczął ważyć i układać, od czego ma zagaic z nim rozmowę i jak ugodzić weń najskuteczniej.

— Ręczę, — zawołał nagle — że mazgaj Juljusz będzie się na mnie gniewał za wszystko! Gdybym mu się naprzód zwierzył, nie dałby mi pewnie ani kroku zrobić!

Zamyślił się na chwilę, a potem wesoło wstrząsł głową.

— Jeśli nie naprawię sprawy, — poszepnął — to popsuc

¹ przedstawiciel dominjum.

jej nie mogę. W najgorszym razie Juljusz może się mnie wyprzeć zupełnie. Działam na własną rękę.

Już dobry zapadł zmrok, kiedy nareszcie stanął przed znanym nam pałacem hrabskim w Orkizowie. Unużony koń ledwo mógł utrzymać się na nogach i parskał z całej siły, a i Katylina aż oddech stracił z szybkiego pędu.

— Jest pan hrabia? — zawołał dopiero po krótkiej chwili wypoczynku do stojącego na ganku lokaja.

— Jest!

— Któż to? — ozwał się w tej chwili zdziwiony głos z boku.

Katyliną obrócił się co żywo i ujrzał hrabiego samego wraz z żoną i córką.

Przechadzał się po dziedzińcu i wracał właśnie do pałacu.

Katyliną uklonił się skwapliwie, a na widok hrabiny i hrabianki zmieszał się narazie. Lecz właśnie w takich chwilach pomieszania i zakłopotania wybuchała podwójnie jego rubaszność i obcesowość wrodzona.

— Hej! — krzyknął na lokaja, który, czekając snąć skienia hrabiego, stał nieruchomy na miejscu — potrzyмай mi konia!

Lokaj przyskoczył zelektryzowany energicznym rozkazem.

Katyliną zręcznym susem zeskoczył na ziemię i postąpił śmiało naprzeciw hrabstwu.

Hrabia niedawno powrócił do domu, bo wyjechawszy od Juljusza, wstąpił jeszcze do jednego z sąsiadów po drodze. A szczególnym przypadkiem właśnie teraz opowiadał żonie i córce swe spotkanie z okrzyczanym w okolicy przyjacielem Juljusza.

Katyliną, jak istny *lupus in fabula*,¹ wpadł w sam tok rozmowy o sobie.

Nietrudno sobie wyobrazić, jak wielce musiało nagle pojawienie się jego zdziwić hrabiego, a z jaką ciekawością mierzyły go kobiety od stóp do głowy.

Katyliną przewycięzał nagwałt kłopot i zamieszanie,

<https://rcin.org.pl>

¹ wilk w bajce.

w jakie szczególnie wprowadziła go żywa, śmiała, ironicznie uśmiechnięta hrabianka, tak¹ uderzająco podobna do nieznajomej zakłętego dworu, że przy panującym zmroku można było łatwo zupełnemu ulec złudzeniu.

— Zdaje mi się, że nie potrzebuję się już przedstawiać panu hrabiemu! — zawołał prędko z nowym ukłonem niesforny i nieokrzesany plebejusz.

Hrabia przymrużył oczy i wzruszył ramionami.

— Nie przypominam sobie... — rzekł z dumą. — Kto pan jesteś?

Katyliną przygryzł wargi, a w oczach mignął mu ten właściwy mu uśmiech urągający.

— Jestem Damazy Czorgut, — odpowiedział spokojnie, ale nie bez pewnego drwiącego nacisku — przed kilku godzinami miałem zaszczyt być przedstawionym panu hrabiemu u mego przyjaciela, Juljusza Żwirskiego.

— Ah — szepnął hrabia od niechcenia i uśmiechnął się wzgardliwie.

Snać mimo swej szlachetności charakteru nie mógł zuchwalemu plebejuszowi przebaczyć niedawnego impertynentkiego znalezienia się.

Katyliną zarumienił się zlekka, a odzyskując swą flegmę zwyczajną, ozwał się bez wszelkich wstępów i korowodów:

— Przybywam w ważnym interesie do pana hrabiego i prosiłbym o kilka chwil posłuchania.

— Teraz zaraz? — zapytał hrabia zdziwiony.

— Natychmiast, jeśli pan hrabia pozwoli!

Hrabia wzruszył ramionami.

— Nie przyjmuję nikogo tak późno — ozwał się po chwili niedbale. — Może... zechce udać się do mego rządu.

— Chcę kilka chwil pomówić z panem hrabią osobiście.

Hrabia znowu wzruszył ramionami.

— Powtarzam, przybyłem w interesie wielkiej wagi! — podchwycił Katyliną skwapliwie.

Hrabia zdawał się namyślać.

<https://rcin.org.pl>

¹ w tekście mylnie dodano: że.

— *Vous consentirez donc, papa*¹ — ozwała się prędko Eugenja, którą śmiało i energiczne wystąpienie Katyliny w wysokim rozciekawilo stopniu.

— *Il peut s'agir de quelque chose importante*² — poparła romantyczna hrabina.

Hrabia zlekka machnął ręką.

— Proszę się udać ku lewemu skrzydłu pałacu. Przyjdę zaraz do mej kancelarji — rzekł do Katyliny i odpowiadając od niechcenia na jego ukłon ponowny, poprowadził żonę i córkę ku głównym drzwiom pałacu.

Katyliną nie wypadł bynajmniej z właściwego charakteru. Gwiżdżąc przez zęby i wymachując w powietrzu szpicrutem, kroczył przez dziedziniec ku gankowi z taką swobodą i niedbałością, jakby wśród własnej przechadzał się zagrody.

— Słuchaj-no ty! — krzyknął na pierwszego lokaja, co mu zaszedł drogę — gdzie to jest kancelarja pana hrabiego?

— Tam na lewem skrzydle — odparł lokaj i chciał prędko iść dalej.

— Prowadźże, błaznie! — zawołał i szpicrutem machnął mu pod nosem.

Lokaj w pokornym ukłonie zgiął się we dwoje.

— Służę wielmożnemu panu — wyszepnął skonfundowany, wnosząc o wielmożności gościa z samego tonu jego mowy.

Przed kancelarją hrabiego, zamkniętą zwyczajnie na klucz, był mały skromnie umeblowany przedpokój, przeznaczony dla proszących o posłuchanie oficjalistów i propinatorów.

Stanąwszy tu, rzucił się Katyliną na małą, skórą wybitą sofkę i rozpierając się jak najwygodniej, zaczął w myślach układać plan przyszej rozmowy z hrabią.

Lokaj tymczasem zapalił świecę, ciągle bijąc się z myślami, kto może być ten gość znakomity, o którego sam jasny pan niewiele zdaje się troszczyć.

Po kilku chwilach oczekiwania nadszedł nareszcie hrabia.

Katyliną porwał się z miejsca z ukłonem.

¹ zgodzisz się przeciw, ojcze.

² może tu iść o co ważnego.

Hrabia, jakby nikogo nie widział, otworzył drzwi swej kancelarji i puszczając naprzód lokaja, zatrzymał się we drzwiach, aby pierwszej pozapalano świece.

Katyliną postępował krok w krok za nim, a w tym momencie złośliwy uśmiech usiadł mu na ustach.

Stał w ceremonjalnej pozycji i udając, że bierze za trzymanie się hrabiego w progu za ofiarowane sobie pierwszeństwo wstępu, zawołał skwapliwie:

— O bardzo proszę pana hrabiego! Niech pan hrabia idzie naprzód! Ja za panem hrabią!...

Dumny magnat przygryzł wargi, nie wiedząc, czy natrafia na głupotę, czy na otwartą efronterję.¹ Nie odpowiedział też ani słowa, a wchodząc do pokoju, obrócił się zaraz przy drzwiach i odsyłając lokaja skinieniem ręki, zapytał Katylinę krótko i szorstko:

— Cóż mi pan powie?

Katyliną bez żenady wysunął się naprzód.

— Niech pan hrabia będzie łaskaw usiąść. Interes mój jest bardzo ważny, wymaga swobodnej rozmowy.

Hrabia, jakgdyby chcąc tylko czempredziej pozbyć się nieokrzesanego swego gościa, rzucił się milcząc na stojący przy biurze fotel.

Katyliną obrócił się i z trzaskiem pociągnął zasuwkę u drzwi.

— Co to znaczy? — krzyknął hrabia prawie zaniepokojony.

— Aby nikt nie przeszkodził — odparł Katyliną obojętnie, i pociągnawszy za sobą małe safjanowe karło, usiadł w pobliżu hrabiego, który zaczynał już zżymać się widocznie.

— Panie hrabio, — ozwał się nareszcie bez wstępu z silnym naciskiem — przybyłem tu w pełnym zaufaniu w honor i charakter pana hrabiego, tak wielbiony w całej okolicy.

— Czegoż chce właściwie? — przerwał hrabia z nietajoną niechęcią.

¹ butę.

— Panie hrabio, na to imię i na ten honor szarpią się właśnie ludzie bez czci i wiary.

Nieprzygotowany na taki wstęp, hrabia rzucił się w fotelu w najwyższem zdziwieniu.

Katyliną niezrażony prawil dalej:

— Rzucają na pana hrabiego ohydną potwarz, bezczelne oszczerstwo.

— Nie rozumiem pana — odrzekł hrabia, nie posiadając się z zdziwienia.

— Pan hrabia pozwoli, że odczytam mu coś zamiast przedmowy.

Hrabia skinął ręką na znak przyzwolenia.

Katyliną dobył list Zachlewicza i odczytał głośno.

Zaraz po pierwszych wierszach znanego nam pisma hrabia porwał się z fotelu i stanął jak wryty, a trupia bladeść okryła jego piękną, szlachetną twarz.

Katyliną z tryumfem i zadowoleniem śledził sprawione na hrabiu wrażenie, a chcąc go jeszcze powiększyć, dodał z silnym naciskiem:

— Tak, panie hrabio. Zachlewicz obwinia go otwarcie o uczestnictwo w podłej intrydze, o spółnictwo w brudnym procesie, popieranym przekupstwem i fałszywemi świadectwami.

Hrabia dumnie machnął ręką. Nie mógł zaprzec w własnem sumieniu, że wiedział o wytoczonym procesie, ale jak wiemy, obmyślił zaraz i środek zaradczy, aby wszystko pogodzić z honorem i uczciwością. Zachlewiczowi nigdy żadnych zgóry nie udzielał funduszków, ani śmiał pomyśleć o przekupstwie sędziów i świadków.

To też potrzebował kilku chwil, nim ochłonął z pierwszego wybuchu gniewu, zdziwienia i oburzenia, w jakie go wprowadziły zaraz początkowe słowa fatalnego listu niedawnego ulubieńca.

— Zwyciężyłem, — poszeptał w duchu Katyliną — przygnębiłem go zupełnie i zrobię z nim co zechcę.

Ale się pomylił grubo tym razem.

Hrabia dotknięty niesłusznym zarzutem, podniósł się nagle w całej swej dumie obrażonej i rzekł wyniośle:

— Dziękuję panu. Zakomunikowaniem tego listu wyświadczyłeś mi prawdziwą przysługę. Jeśli zaś panu chodzi o uspokojenie Juljusza, — dodał po chwili — to możesz mu powiedzieć odemnie, że na wytoczony bez mej wiedzy i woli proces przyzwoliłem dopiero po obmyśleniu środka, który w razie przegranej świetniejsze jeszcze niż dotychczasowe rokował mu położenie.

Katyliną wypatrzył się zdziwiony na hrabiego.

— Jakto? — zapytał — przegrana miała być niby korzyścią dla niego?

— Będę jutro w Oparkach — odpowiedział hrabia z dumą — i rozmówię się sam z Juljuszem.

— A teraz żegnam — dodał i skinął ręką.

Katyliną zmieszał się: duma i powaga hrabiego imponowała mu mimo całej wrodzonej zuchwałości i rubaszości charakteru.

Zbity zupełnie z ułożonego w myślach toku rozmowy, przemówił z jakimś niezwykłym u siebie wahaniem:

— Ja przyjechałem właściwie prosić pana hrabiego o pisemne zrzeczenie się wszelkich pretensyj do spadku po nieboszczyku starościcu.

Hrabia wyprężył się z dumą.

— Powiedziałem, że będę jutro w Oparkach — odparł krótko i pociągnął za sznurek od dzwonka.

Tuż zaraz dały się słyszeć kroki na korytarzu, a Katyliną odsunął zasówkę ode drzwi.

— Pójdę do pani na herbatę — rzekł hrabia do wchodzącego lokaja, nie troszcząc się dalej o swego gościa.

Katyliną przygryzł wargi i zły i niekontent z siebie, pożegnał hrabiego i wyszedł przed nim z pokoju.

Kiedy dosiadł konia i puścił się z powrotem do Oparek, mruknął z niechęcią:

— Niech mię licho porwie, podrwiłem sprawę! Myślałem, że z hrabią pójdzie tak łatwo, jak z Żachlewiczem i mandatarjuszem!

VIII

WSPOMNIENIA

Mimo surowego testamentu nieboszczyka starościca i surowszej jeszcze straży starego kozaka, pozwolimy sobie zajrzeć na chwilę do ogrodu zakłętego dworu.

My powieściopisarze, bez dyplomów i patentów, szczególnych używamy praw i przywilejów. Niemasz dla nas ni murów ni zamków, ni stróży ni krat, nie troszczymy się o żadne zakazy i przeszkody, nie szanujemy niczyjej woli i tajemnicy, nie przebaczymy nikomu żadnej słabostki i śmieszności, wściubiamy nos gdzie chcemy, zaglądamy gdzie się nam podoba, podsłuchujemy co nam potrzeba, a pochwyciwszy raz czytelnika w swoją władzę, przerzucamy go jak piłkę z miejsca na miejsce.

Wszakże jeśli kiedy, to tym razem mniemamy mu się przysłużyć tą nową zmianą widowni działania.

Trudno-bo sobie wyobrazić powabniejsze ustronie nad tę uroczą, romantyczną wysepkę, co wśród szerokiego stawu leżała w głębi opuszczonego ogrodu.

Po jej środku wznosi się, jak wiemy, z pomiędzy krzewów i zarośli wysoki ślimak z murowaną altaną u szczytu.

Altana ta, o jednym filarze, z szerokim, czerwono pokostowanym dachem blaszanym, ma kształt olbrzymiego muchomora, a otoczona dokoła rozlicznymi krzewami i czterma płaczącymi jesionami, gubi się zupełnie w cieniu, i tylko sam dach wyjeżdża się zdala.

Murowany filar okalają ławki marmurowe, a na jednej z nich przed okrągłym, mozaikowym stolikiem siedzi w tej chwili wsparta na ramieniu jakaś postać kobieca.

Nie potrzebowalibyśmy nawet powiedzieć,¹ że to nasza piękna nieznajoma o jasnych włosach i błękitnych oczach.

Dokoła panuje głęboka cisza. Liście i gałęzie drzew mil-

<https://rcin.org.pl>

¹ germanizm,

czą jak zakłète, ptaszêta przycichły w krzewach, a czasami tylko plusknie głośniejsza rybka w stawie lub zaszeleści coś w trzcinie i szuwarze po przeciwnej stronie brzegu.

Młoda dziewczyna patrzy w zamyśleniu przed siebie, a wszystko około niej w dziwnym jakimś romantycznym przedstawia się świetle. Dokoła ciche i czyste tło wody, dalej gęste zarośla trzciny i szuwaru, w ogrodzie drzewa stare, pogarbione, smutne, melancholijne, z pokurczonymi konarami, z żółklemi pod tchnieniem jesieni liśćmi: a tam na końcu szczupłego widnokręgu szary dwór tajemniczy, smętny, poważny, uroczysty, z powybijanymi tu ówdzie szybami patrzy przed siebie, jakby śledził, aby nikt głuchej dokoła nie ważył się przerwać ciszy.

Na stoliku przed młodą dziewczyną leży książka otwarta i jakaś włóczkowa tkanina zaczęta.

Nieznajoma nie czyta i nie tka dalej, ale w głębokim zamyśleniu patrzy w głąb.

Patrzy milcząca i nieruchoma, ale nagle drgnęła zlekka i przetarła oczy.

Szczególna! Dłuższem, pomimowolnem spojrzeniem utkwiała przypadkowo w jakiś krzew ogrodowy, a nagle zdawało się jej, że korona krzewu przemienia się powoli i stopniowo w głowę ludzką, dwie gałęzie wyciągnęły się jak dwa ramiona, a sam trzon zaokrąglił się i rozpadł we dwoje jak dwie ludzkie nogi. I krótką chwilę zamiast krzewu stanął przed jej oczyma dorodny młodzieniec o niebieskich oczach... Juljusz!

Dziewczyna pochwyciła za książkę, oczy jej szybko biegały po stronicy, ale dziwna! wiersze jakoś plątały się z sobą, litery spływały się razem, a zamiast druku przedstawiała się nagle jakby zaczarowana rycina tejsamej postaci.

Dziewczyna książkę odepchnęła od siebie, ale już nie sięgała po robótkę.

Przymrużyła napół oczy, wsparła głowę na śnieżnej rączce, i myślała, myślała... a myślała o czym, o kim?

Bez mojej pomocy zgadłabyś już piękna czytelniczko, choćbyś sama dopiero myślała myśleć kiedyś o czym podobnem.

Przed oczyma duszy pięknej nieznajomej rysowała się postać młodzieńca, którą po trzykroć spotkała już w swem ży-

ciu. Raz, kiedy biegła ulicą ogrodu wzdłuż parkanu, powtórę, kiedy przebrana za wieśniaczkę z Kostiem Bulijem jechała wygonem wśród pola, a po raz trzeci, kiedy niedawno przybijała łódką do brzegu.

Mówiła z nim zaledwie słów kilka, a pełny, męski dźwięk jego głosu przypominał jej się tak wiernie, jak wyraźnie jego postać rysowała się przed oczyma.

Piękna samotnica westchnęła, a nawet jakieś słowo niezrozumiałe wymknęło się z jej ust.

Ale, wtem drgnęła gwałtownie.

Śród głuchej ciszy rozległ się nagle głośny plusk fali.

Dziewczyna podniosła się szybko i wskoczyła na ławeczkę marmurową, aby dalej dojrzeć okiem.

Ku wysepce biegła chyżo jakaś łódka mała.

Dziewczyna wydała okrzyk radosny i prędko jak strzała pomknęła ku brzegu.

W łódce wiosłował jakiś niemłody już, jak się zdawało, mężczyzna, którego twarz zakrywały szerokie kresy białego pilśniowego kapelusza. Miał na sobie siwą czamare z wyłożonym kołnierzem i wiszącymi taśmami i takiej samej barwy pantaloney, spadające po dawnemu szerokim fałdem na cholewy palonych butów. Na otwartych piersiach wyglądała cienka i śnieżna koszula, spięta pod szyją grubą dziwnie lśniąca zdala spinką.

Po kilku nowych, silnych uderzeniach wiosła łódka przybiła do brzegu, a nieznajomy zwinnie i zręcznie jak chłopak wyskoczył na ląd.

Piękna samotnica poskoczyła ku niemu i pochwytując obie jego ręce, przycisnęła je z uczuciem do swych ust.

Nieznajomy odsunął kapelusz i na ślicznem, śnieżnem, marmurowem czole dziewczyny głośny i serdeczny złożył pocałunek.

Odchylone kresy kapelusza pozwalają widzieć jego twarz całą, a twarz ta jest nam oddawna znajomą.

— Maziarz! — wykrzykniesz może niecierpliwa a domyślna czytelniczko, i nie pomylisz się wcale.

Nieznajomy żeglarz był to w nowem szczególnem prze-

braniu tajemniczy maziarz, kum Dmytro, nasz pierwszy znajomy z ryczychowskiej karczmy.

Oczyszczone z gęstych plam mazi, tem wybitniej uwydatniają się jego śmiałe, niezwykajne rysy.

Te oczy żywe, ruchliwe, badawcze, osadzone w głębokich, gęstemi brwiami ocienionych jamach, to myślące, wysokie czoło, krótkim, twardym, siwiejącym okolone włosem, ten nos rozwarty szeroko u spodu, te zgrabnie wykrojone i silnie zaciśnięte usta, ta szczególnie zaokrąglona broda, wszystko to świadczy na pierwszy rzut oka o dziwnie namiętnej naturze, niepospolitej energii, sile ducha i odwadze, posuniętej aż do zuchwałej zapamiętałości.

W rażącą sprzeczność z tymi ostrymi i surowymi rysami wpadał głos miękki i tkliwy, jakim przemówił w tej chwili do młodej dziewczyny.

— Kazałem ci długo czekać, moje dziecko, — rzekł, tuląc pieszczotkę do swych piersi — ledwie się przebrałem z drogi.

Dziewczę drgnęło.

— Ach ta droga, te przebrania... — wyszepnęła i główkę pochyliła na piersi.

Nieznajomy schmurzył zlekka czoło, a w oczach żywszy mignął mu ogień.

— Skończą się już rychło, moje dziecko — rzekł zcicha i nowy na czole dziewczyny złożył pocałunek.

Dziewczyna nie uspokoiła się tak łatwo.

— Po tysiącznych nowych przygodach i niebezpieczeństwach... — szepnęła.

Nieznajomy, albo raczej pozostając przy naszym dotychczasowem nazwaniu maziarz, wstrząsł niechętnie głową, jakby mu niemiłe były podobne utyskiwania.

— Pójdź, moja Jadziu, usiądźmy! — rzekł pędko.

Otóż dowiedzieliśmy się, że nasza piękna nieznajoma, którąśmy rozmaitymi opisywali przydomkami i przymiotnikami, nazywa się Jadzia czyli Jadwiga. Być może, że rychło poznamy także i nazwisko naszego tajemniczego maziarza.

Usiadł on teraz na marmurowej ławeczce w altanie u boku dziewczyny i ściskając jej drobną, pulchną rączkę w swej szor-

stkiej dłoni, wpatrywał się w śliczną jej twarzyczkę z upodobaniem i miłością.

I nagle jakiś napół figlarny, napół dobroduszny uśmiech osiadł mu na twarzy.

— Moja Jadziu — rzekł po chwili, nie spuszczać oka z dziewczyny. — Powiedz mi, ile to już razy spotkałaś się z młodym dziedzicem z Operek?

Jadzia zczerwieniała jak wiśnia i z rodzajem tajemnego przestachu wypatrzyła się na pytającego.

Maziarz przybrał minę spokojną i obojętną, nawet ów uśmiech żartobliwy znikł mu z ust.

— Dwa czy trzy razy, nie pamiętam dobrze — wyszepnęła dziewczyna.

Maziarz przytłumił uśmiech zadowolenia.

— Już dobrze! zaczyna kłamać, ma więc powód obawiać się czegoś... — pomyślał w duchu.

Głośniejsz dodał żartobliwie:

— Ej, przypomnij sobie dobrze, dwa czy trzy razy?...

— Trzy — wybąknęła Jadwiga, mimowolnie czegoś zaniepokojona.

— No, toś miała sposobność przypatrzeć mu się dobrze?

Pąs Jadwigi przeszedł w szkarłat.

— Ja... ja... — wyszepnęła, ale ucięła nagle jak zaczerowana.

Nielitościwy maziarz nie ustawał w badaniu, a wszystkie dotychczasowe spostrzeżenia jakimś widocznym napawały go zadowoleniem.

— Powiedz mi więc, jak ci się podobał z powierzchowności?

— Alboż ja wiem, — wyszepnęła prędko, jakgdyby przymocą chciała wybrnąć z swego zakłopotania — widziałam go tylko zdaleka...

— Przecież?

— Cóż mam odpowiedzieć... nie wiem... doprawdy... dla czego mnie się pytasz, ojcze?...

Maziarz uśmiechnął się ze znaczeniem.

— Chodziło mi, by wzbudzić u ciebie udział dla tego młodzieńca, — rzekł — zagraża mu w tej chwili cios niespodziewany.

— Jemu! — krzyknęło dziewczę i porwało się z siedzenia.

— Oho, czegoż to się tak przestraszasz?

Jadwiga spuściła oczy i prawie nie czuła się w sile odpowiedzieć.

Maziarz z wyrozumiałością kiwnął głową.

— Wyobraź sobie, — ciągnął dalej — chcę mu wydrzeć nagle cały majątek.

— Któż taki?

— Ludzie, co mają interes dybać na unieważnienie testamentu nieboszczyka starościca.

Jadwiga zrobiła gest, jakby nie pojmowała znaczenia tych wyrazów.

Maziarz tłumaczył się jaśniej.

— Podniesiono zarzut, że nieboszczyk starościc był warjatem i jako taki nie miał prawa rozrządzać dowolnie swym majątkiem. Testament jego musi być uznany za nieważny, a przekazany Juljuszowi majątek przypadnie najbliższym sukcesorom.

— Komużto? — zapytała dziewczyna.

— Hrabiemu Zygmuntowi Żwirskiemu — odpowiedział maziarz, a twarz jego sposepniała.

— I to już stało się nieodwołalnie?

— Dotychczas jeszcze nie, lecz prawdopodobnie nastąpi niezawodnie.

— Jakto! więc nieboszczyk starościc, w którego pałacu mieszkamy, był rzeczywiście warjatem?

Maziarz wzruszył ramionami, a dziwny uśmiech mignął mu przez usta.

— Więc Juljusz zostanie biednym? — szepnęła dziewczyna.

A rzecz szczególna, wiadomość ta sprawiła jej niemal jakąś radość tajemną.

Maziarz ściągnął brwi.

— Ja tylko jeden mogę go uratować.

— Ty, mój ojciec?

— Ja przy twojej pomocy.

Dziewczę rzuciło się zdziwione.

— Żartujesz, ojciec?

Maziarz poważnie wstrząsł głową.

— Czy byłabyś od tego? — zapytał.

— Ja? — wybknęła.

Maziarz czule ścisnął ją za rękę.

— Gotowabyś tedy przyczynić się wraz ze mną, aby uchronić Juljusza od krzywdy.

— Czyż możesz wątpić o tem, mój ojciec?

Nieznajomy podciągnął brwi do góry.

— A gdyby to wymagało po tobie pewnego poświęcenia?

— Poświęcenia? — powtórzyła dziewczyna, szeroko rozwierając oczy.

— Naprzykład, gdyby chodziło potem o twoją rękę?... — wycedził maziarz z wolna i wpatrzył się bystro w jej oczy.

Dziewczyna znowu żywym oblała się szkarłatem.

— Mój ojciec, — wyjąknęła — wszędzie i zawsze będę tylko posłuszną twej woli, twemu życzeniu.

Ojciec uśmiechnął się z nietajonem zadowoleniem, po chwili zamyślił się i spoważniał na nowo.

— Moja córko, — rzekł znacznie zmienionym głosem — wiesz, że nierad słuchałem zawsze o twoich wspomnieniach z lat dziecięcych i niechętnie zbywałem wszelkie w tym przedmiocie rozmowy.

— Powiedziałem ci, — dodał po krótkiej pauzie — że jestem twym ojcem, wyjawilem ci, jak świętej oddałem się sprawie, jak wzniosłem zaprzysięgłem się celom, i kazałem ci poprzestać na tem wszystkim...

Jadwiga z rodzajem gorączkowej ciekawości wpatrzyła się w twarz ojca.

— Byłam ci posłuszną, mój ojciec — szepnęła.

Maziarz ciągnął dalej poważnym, prawie uroczystym tonem:

— Dziś chcę cię przygotować do ważnych zwierzeń.

— Słucham cię, mój ojciec.

Maziarz wstrząsł głową.

— Naprzód musisz zebrać wszystkie swe wspomnienia

z lat dziecięcych, musisz mi sama opowiedzieć, ile wiesz o sobie dotychczas, a o czym ci jeszcze pozostaje wiedzieć.

— Mam ci więc, ojciec...

— Opowiedzieć całe swe życie aż do chwili, kiedyś poznała we mnie swego ojca.¹

Twarz mówiącego miała przytem jakiś smutny, ponury wyraz, a dziewczyna pochyliła głowę na piersi i w jakieś melancholijne zapadła zamyślenie.

Młoda dziewczyna pragnęła oddawna dowiedzieć się czegoś o swem pochodzeniu. Dotychczas wiedziała tylko, że jest córką człowieka, który w niebezpieczne wplątany zamiary, nie mógł do niej przyznać się otwarcie i musiał ciągle przed światem ukrywać swe imię i stanowisko. Wszystkie jej zaś wspomnienia z lat dziecięcych miały jakoś tak niezwykłą barwę, tak romantyczny urok, że wyglądały raczej na płody poetycznego urojenia, niż ustępy z rzeczywistego życia.

Spodziewając się w tej chwili pożądanego nakoniec wyjaśnienia, przypominała sobie skwapliwie wszystkie zagadkowe zdarzenia, jakie w jej krótkim zdarzyły się już życiu.

— Jak daleko sięga moja pamięć — ozwała się po chwili — przypominam sobie dobrze, że małym dzieckiem mieszkałam w jakimś małym miasteczku, gdzieś daleko, wpośród Mazurów podobno... Przypominam sobie dobrze matkę moją i człowieka, którego nazywałam ojcem.

Czoło nieznanego coraz grubszymi zaszuwało się chmurami, a oczy nieruchomo utkwily w ziemię.

— Matka moja była młoda i ładna, — ciągnęła dziewczyna dalej — ojciec...

— Mąż jej — poprawił maziarz.

— Mąż jej wydawał mi się znacznie starszym. Był kowalem, trzymał dużo ludzi w swej kuźni i rzadko tylko pokazywał się w pokoju, gdzie mieszkałam z matką. Pamiętam dobrze, że na mnie niemiłym zawsze patrzył okiem, a z matką były nawet częste kłótnie, których ja bywałam przyczyną.

¹ To opowiadanie Jadwigi dla maziarza było niepotrzebne, ponieważ doskonale wiedział jakie szczegóły z życia są jej znane, służy ono jedynie do informacji czytelnika.

Nieznajomy poruszył się w siedzeniu, jakby chciał przyspieszyć tok opowiadania.

Dziewczyna zrozumiała go podobno, bo prędko postąpiła dalej.

— Pewnego dnia siedziałam przy oknie i bawiłam się lalką, którą mi zrobiła matka moja... Wtem przed kuźnię mego ojca zajechały dwa kryte powozy. Jakby mię coś tknęło, przywołać do okna moją matkę i zwrócić jej uwagę szczególnie na pierwszy, czterema końmi uprzężony powóz, z którego jakiś nieznajomy wyglądał mężczyzna. Rzuciwszy okiem do okna moja matka wydała głośny wykrzyk i usiadła na pobliskie krzesło, jakby ją nagle opuściły siły.

Na czoło nieznajomego jedna więcej przybyła chmura.

Dziewczyna kontynuowała:

— Ja, nie zważając na to, z szczególnem zajęciem wpatrywałam się w powóz wspaniały. Widziałam, że mój oj... mój ojczym — poprawiła się prędko — przybiegł skwapliwie do powozu i z wielkiem uszanowaniem rozmawiał z nieznajomym panem. Nagle wpadł do naszej izby i coś długo szeptał matce do ucha. Matka płakała i, jak mi się zdawało, opierała się czemuś usilnie. Nareszcie przyzwoliła po długiej walce z sobą. Nieznajomy pan w powozie zdawał się niecierpliwić, bo tuż wbiegł do izby jeden z jego ludzi i surowo nakrzyczał na rodziców moich. Matka, zanosząc się od płaczu, przystąpiła do mnie i zaczęła mię ścisnąć i całować, ojczym coś gniewnie mruczał pod nosem. Ja na widok matki bolejącej rozplakałam się także. Matka otarła łzy i łkając pocichu, starała się mię uciszyć i utulić.

— Cyt, cyt, Jadziu — ozwała się drżącym głosem — pojedziemy do kościoła w tym pięknym powozie.

— Na tę obietnicę uspokoiłam się w jednym momencie i z niewypowiedzianą radością spoglądałam ku powozowi...

— Ojczym mój przystąpił do mnie. Po raz pierwszy w życiu ucałował mię serdecznie i biorąc na ręce, rzekł pochlebny głosem:

— Pójdź moja duszko, zaniosę cię do powozu, a mama zbierze się tymczasem.

— Wolałabym była iść z matką wraz, ale nie śmiałam się sprzeciwić mniemanemu ojcu, który po raz pierwszy okazał się dla mnie tak czułym i dobrym. Choć mi lzy kręciły się w oczach, dałam się unieść spokojnie. Matka wypadła za mną do sieni i jeszcze raz uściskała i ucałowała mnie wśród łez i łkania.

— Wtedy jakiś dziwny ogarnął mnie żal i niepokój... chciałam się wyrzucić, ale ojczym prędko wybiegł z domu i zaniósł mnie do drugiego powozu, gdzie siedziała niemłoda jakaś kobieta, z twarzą łagodną i dobrotliwą. Ta wzięła mnie na ręce... zaczęła utulać i okrywać pieścizotami... A wtem zaturkotał pierwszy powóz, a za nim szybkim pędem ruszył i nasz. Zaczęłam krzyczeć i wołać na matkę, którą przez jedno tylko mgnienie oka ujrzałam jeszcze raz stojącą w oknie, z wyciągniętymi ku mnie ramionami.

— Nieznajoma pani, moja późniejsza droga matka, pani Tączewska — prawila dziewczyna z wzrastającym rozrzewnieniem — uspakajała mnie wszelkimi siłami... pocieszała, całowała, podarowała liczne przygotowane łakocie i zabawki... Nie dałam się utulić wśród płaczu i łkania, aż nagle sen zmrużył moje powieki...

Maziarz wstrząsł głową, jakby opowiadanie to niemile sprawiało na nim wrażenie.

— Tak jechałyście kilka dni... — ozwał się prędko.

— Powóz pierwszy gdzieś zniknął nam z oczu i my same już odbywałyśmy dalszą podróż.

— Przybyłyście wreszcie do Lwowa... — kontynuował sam maziarz.

— Nieznajoma pani wprowadziła mnie do bardzo ładnego pomieszkania, podała mi prześliczne sukienki, kazała mi nazywać się ciocią, a obsypywała mnie tylu pieścizotami, że dzięki wrażliwości dziecięcego serca za tydzień uspokoiłam się zupełnie i tylko kiedy niekiedy pomyślałam o matce, pozostałej gdzieś w kuźni dalekiej, która, jak mnie upewniała ciocia Tączewska, miała kiedyś zgłosić się do mnie. Tymczasem mijały dnie, tygodnie, miesiące... przeniesiona w inną sferę, przyzwyczajona do innego życia... coraz rzadziej myślałam już o matce,

której miejsce tak doskonale umiała zająć kochana, nieocionona ciocia.

— Byłaś więc szczęśliwą odtąd? — zapytał maziarz, a twarz jego rozjaśniła się nagle.

— O bardzo szczęśliwą, zupełnie szczęśliwą... Podrósłszy, zaczęłam uczęszczać do jednego z pierwszych konwiktów, ciocia, siwiejąc i starzejąc się coraz bardziej, przemieniła się w babunię, a bardzo zręcznie umiała zawsze zbywać wszelkie zapytania, odnoszące się do moich lat dziecięcych. Równieśnice moje w konwikcie zapytywały mię nieraz o moich rodziców. Nie umiałam im nic odpowiedzieć, jak tylko, że mieszkają daleko. Wracając jednak do domu po skończonych lekcjach, postanawiałam zawsze zapytać babkę, dlaczego tak długo nie mogłam widzieć się z rodzicami. Babka w takich razach przybierała minę smutną i żalostną i wyrzucała mi, że przestałam ją już kochać, kiedy tęsknię znowu za mamą. Dopiero, kiedy skończyłam rok piętnasty, powiedziała mi babunia pewnego razu, że człowiek, którego nazywałam ojcem, był tylko moim ojczymem, bo ożenił się z matką moją, kiedy już byłam na świecie.

— Ojciec twój prawdziwy — rzekła mi babunia — jest człowiekiem wielkiego urodzenia, ale wykroczył ciężko przeciw władzom, przeciw istnjącemu porządkowi rzeczy, musi więc ukrywać się ciągle, boby srogiej popadł karze.

— Możesz sobie wyobrazić, mój ojczu, jakie wrażenie sprawiło na mnie to oświadczenie!

— Pytałam, czy będę widzieć kiedy mego ojca.

— Może, — odpowiedziała mi babka — jak urośniesz w lata i rozsądek.

— Odtąd nie miałam już ani jednej chwili spokojnej. Myśl o moim ojcu, o jego niebezpieczeństwach i przygodach nie odstępowała mnie we dnie i w nocy, a i moja matka biedna stała mi ciągle przed oczyma. Tak przeżyłam rok nowy...

— Wtem pewnego dnia — ciągnęła dalej o wiele smutniej i żałośniej — moja babka odebrała list z poczty. Uważałam, że list ten wielkie sprawił na niej wrażenie. Całe dwa dni

następne jakimiś dziwnymi niepokoiła mię uwagami... Nareszcie...

Tu dziewczyna z ciężkim smutkiem pochyliła głowę na piersi, a dwie łzy zabłysły w jej ślicznych oczach.

— Nareszcie — ozwała się na nowo — oświadczyła mi po licznych przygotowaniach i aluzjach, że muszę przywdziać żałobę i pójść na egzekwje do kościoła, bo matka moja umarła przed tygodniem.

Umilkła i z głębokiem westchnieniem łzy otarła z oczu.

Maziarz ponuro wpatrzył się w ziemię.

Dziewczyna przytłumiła boleść i prędko ciągnęła dalej:

— W miesiąc potem jakiś nieznajomy człowiek wszedł niespodziewanie do naszego mieszkania. Babunia знаła go zdawna i krzyknęła radośnie na jego powitanie. Mnie czegoś mimowolnie silniej uderzyło serce, jakbym przeczuła, że przyjsie jego wiąże się z moim losem.

— Babunia wyszła z nieznajomym człowiekiem do drugiego pokoju, a po kwadransie przywołała i mnie do siebie:

— Przygotuj się do wielkiego szczęścia, moje dziecię, — ozwała się do mnie ze łzami w oczach — obaczysz twego ojca!

Musiałam aż usiąść, aby nie upaść z radości.

— Kiedy, gdzie?! — krzyknęłam w zachwyceniu.

Babunia przysunęła się do mnie i zaczęła mi tłumaczyć:

— Ojciec twój, jak wiesz, zagrożony surowymi wyrokami władz, a oddany zawsze swym wielkim zamiarom, musi ukrywać się przed śledztwem. W tej chwili znalazł schronienie w opuszczonym zamku swego dawnego przyjaciela, nieboszczyka starościca, Mikołaja Żwirskiego. Przebrana za wieśniaczkę pojedziesz z Kostiem do Żwirowa, a tam ujrzysz ojca twego.

— Z bijącym sercem powzięłam tę wiadomość. Wypatrzyłam się uważnie na nieznajomego człowieka, a mimo jego surowej i ponurej fizjognomji dziwną jakąś uczułam ku niemu sympatję. Nigdy bo nie zapomnę, z jak głębokiem uczuciem i rozrzewnieniem spoglądał na mnie w owej chwili. Babunia знаła go dawniej, bo była za młodu panną respektową u pierwszej

Zwirskiej, a przy niej i przy starym kozaku wychował się nieboszczyk staroście.

— Pocziwa kobieta... — mruknął maziarz, nie mogąc głębokiego ukryć rozrzewnienia.

Jadwiga przytuliła się bliżej do ojca i całując jego ręce, kończyła zcicha:

— Niebawem też poznałam cię, mój ojczy, poznałam twoje wielkie i tajemnicze zamiary, ale nigdy nic bliższego nie dowiedziałam się o matce. Ilekroć z twym przyjazdem do dworu Kost' przyjechał po mnie do Lwowa, szalałam z radości, że ciebie obaczę i cieszyłam się nadzieją, że posłyszę coś o mojej matce.

Maziarz z uczuciem przycisnął ją do swych piersi.

— Dowiesz się, dowiesz o wszystkim, moje dziecko, — rzekł prędko — ale nie dzisiaj.

— Nie dzisiaj?

— Najdalej za kilka dni.

Wtem przycichli oboje, a nagle rozległ się głośny plusk łódki.

Maziarz zaniepokojony poskoczył z siedzenia.

Łódka przybiła do brzegu, a z niej ciężko wyskoczył jakiś człowiek.

Maziarz zbiegł szybko z altany:

— Kost' — wykrzyknął — nie poszedł jeszcze!

— Ty tu jeszcze, Kost'iu — zawołał, gdy mu stary kozak niebawem stanął przed oczyma.

Kost' Bulij miał jakąś minę pomieszaną i prawie niepokojną.

— Wróciłem, *bałku*,¹ — rzekł — bo... bo...

— Cóż — zapytał maziarz prędko.

— Uciekajcie, *bałku*! — wybuchł nagle stary kozak.

Maziarz zachnął się gwałtownie.

— Cóż się stało?

— Ta nic, *bałku*, ale kiedym już wychodził z chaty, to mi się jakoś strasznie duszno zrobiło w piersiach, a wtem na

¹ ukr. ojczy.

zły znak i obraz Matki Boskiej zleciał z ściany. Przeżegnałem się, ale mię coś piknęło niedobrego... Jakies przeczucie mi mówi, że coś nam złego zagraża.

Maziarz uśmiechnął się.

— Czy takie masz tylko poszlaki?...

Stary kozak smutnie pokiwał głową.

— Oba psy, co wczoraj były takie jeszcze wesole — ozwał się jakby na ostateczne już przekonanie — od dziś rana wzięły pod siebie ogony, kurczą się i skomlą, jakby im dokuczał jakiś okropny ból... To zły znak, *bałku!* zły znak!...

Maziarz z pobłażliwym uśmiechem poklepał go po ramieniu.

— Marudzisz, stary! Matka Boska się urwała, bo zmorszał sznurek, na którym wisiała, a psy skomlą i kurczą się, boś im może przeparzył osypkę.

Kost' Bulij pokiwał głową nieprzekonany.

— Ej, *bałku*, na całe lata wybierałem się nieraz z domu, a nigdy mi nie było tak ciężko na sercu jak teraz, choć tylko dwa dni mam zabawić w drodze.

— Oszalałeś, widzę, na starość!... — mruknął maziarz i schmurzył czoło.

Nawykły snąć do ślepego posłuszeństwa kozak nie śmiał sprzeciwić się dłużej.

— Zostawajcież z Bogiem! — mruknął i z miłością i uszanowaniem chwycił za kolana maziarza.

— Bywaj zdrów, stary. Ale gdybyś wstępując nie zastał Juljusza, to zaczekaj na niego choćby dzień cały.

— Dobrze, *bałku*.

I chciał już odejść, ale nagle się obrócił.

— Pożegnaj się z panną! — rzekł i postąpił ku altanie.

Maziarz niespokojnie potarł się po czole.

— Zwarjował stary, czy może rzeczywiście jakieś nieprzewidziane zagraża nam niebezpieczeństwo... — poszepnął w duchu.

I zamyślił się głęboko.

— Może zdrada! — mruknął po chwili półgłosem i wzдрыgnął się cały.

Nagle wstrząsł głową, a z oczu jasna strzeliła mu błyskawica.

— Ha — szepnął z tryumfem — ludzie giną, ale idea zawsze żyje!...

IX

JULJUSZ

Kiedy Katyliną jak szalony pędził do Orkizowa i za jednym zamachem do zawziętej z dumnym magnatem gotował się walki, na zupełnie inny tor wstąpiły tymczasem rzeczy w Oparkach.

W godzinę po wyjściu hrabiego otrzymał Juljusz z rąk woźnego sądowe uwiadomienie o wytoczonym procesie.

Pan komornik Dezyderjusz Gramarski zapowiadał swój rychły przyjazd na komisję, a uprzedzając o wszystkich skutkach, jakie może pociągnąć za sobą unieważnienie testamentu starościca, wzywał dotychczasowego spadkobiercę, aby z swej strony gromadził wszelkie zarzuty i dowody przeciwnie.

Otrzymawszy tę niespodziewaną wiadomość, stanął Juljusz jak piorunem rażony.

Nie przestraszył się bynajmniej, że w jednej chwili może utracić cały majątek i wrócić do dawnego ubóstwa, ale drżał cały na samą myśl, że majątku tego używał bez troski po dzień dzisiejszy. Nie o przyszłość, ale o przeszłość chodziło zacnemu młodzieńcowi.

Podniesione zarzuty mogły być w samej rzeczy słuszne, a w takim razie okazywała się prawna jego napozór sukcesja tylko niesłusznem uroszczeniem. Cała spuścizna należała właściwie do kogo innego, a on korzystał tylko z nieszczęsnego przypadku, który bliższych i słuszniejszych skrzywdził spadkobierców.

A im pilniej zagłębiał się w cały skład rzeczy, tem wyżej wzmagał się jego niepokój.

Zdawało mu się, że nim swą wiedzę i woli popełnił jakiś występki w tej sprawie. Nie powinienże był sam z siebie

wpaść na podobną myśl i nie stawać dobrowolnie narzędziem obcego pokrzywdzenia? Wszakże od samego początku nie mógł wytłumaczyć sobie żadną miarą, jakiemu przypadkowi miał zawdzięczać swoje szczęście niespodziewane.

Starościc nie widział go nigdy w życiu i z ojcem jego w żadnych bliższych nie zostawał stosunkach.

Skądże więc nagle przyszło mu wydziedziczać bliższych swych spadkobierców, a całą fortunę zlewać na nieznanomego imiennika?

Zresztą w całej okolicy, w całym nawet kraju starościc uchodził za dziwaka, za warjata. Nie powinnoż było to samo już posłużyć za ważną wskazówkę nowemu spadkobiercy i odstraszyć go od objęcia spuścizny?

Czy zgadzało się z honorem i sumieniem czekać tak długo, aż ktoś inny wystąpi z dowodami, że objęta w posiadanie puścizna jest nabytkiem nieprawym i niesłusznym?

Bijąc się z takimi i tym podobnymi myślami, upadł szlachetny młodzieniec zupełnie na duchu. Trapiiony przesadnymi szkrupułami sumienia i honoru, nie śmiał już ani wątpić, że podniesione zarzuty są zupełnie słuszne.

— Nie mogę się ludzi dłużej, — poszepnął z goryczą sam do siebie — korzystałem niegodnie z obłąkania i umysłowej nieprzytomności człowieka, który z dziecinnych jakichś powodów zapomniał o swych bliższych krewnych. Wyciągnąłem rękę po cudzą własność i używałem jej bez troski i wyrzutów sumienia!...

I wstrząsł się cały, a głowę z boleścią pochylił na piersi.

— Czemże się usprawiedliwię w oczach świata?... Mogęż powiedzieć, że dopuściłem się tego mimo wiedzy i woli?... Nie obijało się ustawicznie o moje uszy, że nieboszczyk był dziwakiem i warjatem?... Dlaczegoż nie powstrzymałem mej zaborczej ręki i nie starałem się z własnego popędu sprawdzić lub zbić naprzód tego zarzutu?...

I w tej chwili biedny Juljusz z głębi serca złorzeczył świetnemu losowi, którego mu do tej chwili zazdrościł świat cały.

I nagle duszno mu się zrobiło w przepysznych ścianach

pałacu, jakieś ciężkie brzemie przytłaczało mu piersi, chciał wybiec na dziedziniec i zebrać myśli pod tchnieniem świeżego powietrza.

— Muszę starać się naprawić mój błąd niegodny — mruknął. — Lepiej późno niż nigdy.

Postąpił spieszenie ku drzwiom, ale nagle cofnął się na powrót.

W progu pojawił się niespodziewanie pan mandatarjusz.

— Pan Gągolewski! — poszepnął i zdziwiony wzruszył ramionami.

Zacny mandatarjusz niezwyčajną miał minę. Zgarbiony i skurczony we dwoje, kłaniał się nisko, a wyglądał strasznie jakoś niepewny siebie.

— Pan dobrodziej daruje, — zaczął belkotać ledwie zrozumiale — że ośmielał się jeszcze naprzykrzać panu dobrodziejowi, ale ufny w jego szlachetność charakteru...

— Cóż to się stało? — zawołał Juljusz, nie pojmując nic jak w rogu.

— Oddalony bez wszelkiego poprzedniego uwiadomienia, pod zimę, w ciągu roku...

— Kto pana oddala?

Teraz znowu mandatarjusz wybałuszył oczy z zdziwienia.

— Jakto? pan dobrodziej nie wie o niczem?

Juljusz wzruszył ramionami.

— Pan Kat... pan Czorgut oddalił mię w imieniu pana dobrodzieja.

— W mojem imieniu? Za co?

Mandatarjusz odetchnął łatwiej i jakoś silniej rozparł się w nogach.

— Ktoś mię denuncjował¹ — rzekł, głowę przykrzywiając na bok — że wystąpiłem jako świadek w procesie p. Zachlewicza.

Juljusz rzucił się gwałtownie, mandatarjusz przykucnął na nowo.

— Jakto pan już świadczyłeś?

<https://rcin.org.pl>

¹ doniósł do policji.

— Musiałem... sąd mię zawezwał... kazał przysięgać... samą tylko szczerą zeznawałem prawdę — jękał się, niewinną przybierając minę.

Juljusz zachnął się niechętnie.

— Katylina nie miał prawa oddalać pana z obowiązku.

— Nie miał? — powtórzył skwapliwie mandatarjusz i wyprostował się w całej postaci.

— Gdzie jest teraz pan Czorgut?...

— Popędził z listem Żachlewicza do Orkizowa, a ja tymczasem postanowiłem udać się do pana dobrodzieja.

Jak widzimy, przebiegły mandatarjusz przekonawszy się, że groźny przeciwnik w inną pomknął stronę, postanowił pospieszyć co tchu do Juljusza i upomnieć się o zapłatę i ordynarję za rok cały.

— Jeśli studencika diabli wezmą, — rozumował — to wrócę nazad i rozpocznę nowy okres służby, a jeśli ten oczajdusza Katylina przeszkodzi wszystkiemu, to niech mię przynajmniej zaspokoja według prawa. Oddalonemu w ciągu roku oficjalście należy się pensja za rok cały!

Ani się jednak spodziewał, że Juljusz o niczem nie wie i z wcale innej strony zapatruje się na rzecz całą.

To też zgłupiał zupełnie, kiedy Juljusz rzucił się jak szalony i zawołał z furją:

— Jakto? Katylina pojechał do Orkizowa, do hrabiego? Poco? dlaczego?

Mandatarjusz podciągnął brwi w górę, krząknął i odkaslnął należycie i opowiedział pokrótce, jak Katylina napadł go w kancelarji, jak kałamarmem palnął po łbie Żachlewicza, jak potem przymusił go do napisania kompromitującego listu i jak wreszcie z listem tym pognął do Orkizowa.

Juljusz wpadł w najwyższe oburzenie.

— Ten człowiek oszalał! — zawołał w gniewie i gwałtownie pociągnął za sznurek.

— Niech Tomasz co tchu zaprzęga konie do powozu! — krzyknął na wchodzącego lokaja.

Mandatarjusz nieznacznie tylnął oczyma.

— Owa! — poszepnął — jeszcze go nigdy nie widział w takiej furji. — Co mu się stało?

Juljusz nagle zwrócił się ku niemu.

— Panie Gągolewski, — rzekł prędko — dotychczas tylko ja jeden mam prawo oddalić pana z obowiązku.

Mandatarjusz uklonił się nisko.

— Mój przyjaciel dopuścił się nadużycia.

— O gdybym był to wiedział!

— Panu wolno składać świadectwo, jakie mu się podoba, to jest, jakie mu dyktuje sumienie.

— Ja zawsze i wszędzie idę tylko za głosem sumienia.

— Nie mam też najmniejszej przyczyny usuwać pana z dotychczasowej posady...

— Zresztą — dodał po chwili — nie wiem, jak długo zatrzymam jeszcze jurysdykcję¹ w moim ręku.

— O, hoho! panie dobrodzieju — zaśmiał się obleśnie pan mandatarjusz. — Strachy na lachy! pan dobrodziej wygra niezawodnie.

— Za nic w świecie nie zatrzymałbym majątku, na którymby ciężył jakikolwiek cień lub pozór niesłuszności...

Mandatarjusz chciał się odezwać z czemś na nowo, ale Juljusz przerwał mu żywo.

— Wracaj pan na swoją posadę i działaj, jak ci każe sumienie...

— Pan dobrodziej raczy mi dać list od siebie, — odezwał się mandatarjusz — bo pan Czorgut złożył władzę w ręce mego aktuarjusza.

Juljusz poskoczył prędko do stolika i nakreśliwszy kilka wierszy na papierze, podał go spiesźnie mandatarjuszowi.

Pan Gągolewski uklonił się nisko i promieniejąc od radości wyszedł z pokoju.

Za drzwiami zaśmiał się zcicha:

— Djabło utrę nosa Chochelce! — mruknął półgłosem.

— Ten Juljusz! — oddał, kiwnąwszy głową. — Ot, co

dureń to dureń! ale niema co mówić z charakterem, dalibóg z charakterem.

Juljusz tymczasem oburzony i przestraszony dorywczem i dowolnem postępowaniem swego przyjaciela, postanowił natychmiast udać się do hrabiego, i przeprosiwszy go usilnie, pozostawić mu wszelką wolność działania.

— Gdyby on sam zechciał odstąpić od procesu, — poszepnął sam do siebie z silnem postanowieniem — to ja nie odstąpię. Ani jednej chwili nie chciałbym zatrzymać majątku, którego nie mógłbym posiadać z spokojnem sumieniem.

Już wychodził z pokoju, aby wsiąść do powozu, kiedy znowu ode drzwi cofnął się zdziwiony.

W progu ukazała się olbrzymia postać Kostia Bulija.

Miał w ręku gruby kij sękaty, a na plecach słomianą kosałkę grubo wypchaną, jakby w jakąś daleką wybrał się podróż.

— Sława Bogu i Jezusowi! — mruknął stary kozak, kłaniając się ku ziemi.

— Cóż mi powiecie, Kostiu Buliju? — zapytał Juljusz rozciekawiony do najwyższego.

— Naznaczyłem jasnemu panu schadzkę we dworze.

— Tak, na czwartek.

— Przyszedłem ją przyspieszyć, jasny panie.

— Jakto?

— Jasnemu panu chcą odebrać majątek, który po wszelkiem dostał mu się prawie.

— Wy wiecie już o tem?

— Wiemy i dlatego kum Dmytro przyspiesza schadzkę.

— Maziarz?

Kost' skinął głową.

— A w czemże jego zajmuje mój proces?

— Kum Dmytro był największym przyjacielem nieboszczyka pana — odpowiedział klucznik z naciskiem.

— Więc staroście nie był obłąkany? — wykrzyknął Juljusz.

Z pod gęstych drzwi Kostia Bulija jasna lśnęła błyskawica.

— Hańba na tego, kto to mówi — wykrzyknął uroczystym głosem.

— Ale przeciwnicy moi nagromadzili jakieś dowody.

— Furda! — odparł kozak krótko.

Juljusz wstrząsł głową.

— Świat i sprawiedliwość ziemską mogą osądzić inaczej, mój stary.

— Nie bójcie się, jasny panie, — przemówił Kost' Bulij dobitnie — od tego my.

Proste a dobitne słowa starego kozaka dziwną otuchę wlewały w zburzoną pierś młodzieńca. Zdawało mu się jakoś instynktowo, że po tem świadectwie może być spokojny w własnym sumieniu, choćby nawet przegrał sprawę wobec prawa i ludzi.

— I kiedyż to kum Dmytro chce się widzieć ze mną? — zapytał naraz.

— Jutro.

— Jutro?

— O dwunastej w nocy.

— W tem samem miejscu?

— Tak, jasny panie, w lipowej ulicy.

— Tam zastanę was?

— Nie, zastaniecie samego kuma Dmytra.

— Ja na dwa dni wybrałem się w drogę — dodał, a głos jego zadrżał zlekka.

Po twarzy młodzieńca dziwny jakiś przemknął niepokój.

— Sami jedziecie, Kostiu? — zapytał z lekkim wahaniem.

Kost' zrozumiał snać zapytanie, bo mimo niezwykajnie zasnuconej twarzy lekki uśmiech mignął mu około ust.

— Sam — odpowiedział krótko.

— A obok kuma Dmytra obaczę jeszcze i kogo innego? — zapytał młodzieniec pospiesznie, jakgdyby jakąś drażliwą chciał przewyciężyć niepewność.

— Obaczycie jego córkę.

— Jego córkę! — wykrzyknął Juljusz i uderzył się w czoło.

Kost' Bulij w głębokiej zadumie spoglądał przez chwilę na młodzieńca łagodnym, prawie rozrzuwionym spojrzeniem.

Nagle otrząsł się z zamyślenia i westchnął zlekka.

— Bogu oddaję, jasny panie — przemówił z ukłonem i wyszedł z pokoju.

Juljusz nie śmiał go zatrzymać.

Pozostawszy sam, rzucił się na sofkę i chciał ważyć i rozmyślać, o ile zeznanie Kost'ia Bulija może uspokoić i utwierdzić go w własnem sumieniu, ale napróżno. Myślom i oczom inny nasuwał się przedmiot.

Juljusz miał jutro obaczyć piękną nieznajomą. Ten tajemniczy maziarz, domniemywany piastun wielkich zamiarów, był jej ojcem.

— Jutro poznam bliżej oboje! — radował się w myślach młodzieniec, a uroczą postać pięknej nieznajomej stanęła mu żywo przed oczyma.

— Powóz już dawno zajechał! — ozwał się wchodzący w tej chwili lokaj.

Juljusz wstrząsł się zlekka.

— Już zapóźno, nie wyjadę dziś... — mruknął, powodząc okiem po pokoju, po którym gęsty zapadał zmrok.

I pozostał w swych marzeniach, a marzył ciągle o jednym tylko przedmiocie. Śnać nie nudził się bynajmniej jednostajnością, bo nawet rozmowę z Katyliną odłożył na jutro, a sam do późnej nocy siedział nieruchomo na sofce.

Nazajutrz trzeźwiejszym umysłem zaczął Juljusz roztrząsać na nowo swe nieprzewidziane położenie.

I po długim namyśle przyszedł do przekonania, że wczorajsze zeznanie starego kozaka nie może go bynajmniej zasłaniać ani wobec prawa, ani nawet wobec własnego sumienia.

Przywiązany ślepo i bez granic do osoby starościca, mógł Kost' Bulij tłumaczyć sobie naturalnie wszelkie dziwactwa i szczególności swego pana, lecz inaczej przedstawiłyby się one człowiekowi obojętnemu i bezstronnemu. Ów zaś tajemniczy przyjaciel nieboszczyka, ukrywający się w przebraniu maziarza, nie mógł ani wobec świata ani wobec prawa wystąpić z swem świadectwem.

Niezachwiany zgola w swem pierwotnem postanowieniu, myślał Juljusz z swej strony napierać się wszelkimi siłami, aby

wyjaśniło się stanowczo, jaką wagę należy przywiązywać do ostatniej woli nieboszczyka.

Śród tego rozmyślania Katyliną z promieniejącą miną tryumfatora wszedł do pokoju.

— *Ty spis, Zygmuncie, a twoi sąsiedzi*¹ — zadeklamował we drzwiach znany wiersz Karpińskiego i puścił spory kłęb dymu z świeżo zapalonego sygara.

Juljusz schmurzył czoło i spojrzał na wchodzącego przyjaciela poważnie, a nawet surowo.

Katylina parsknął śmiechem.

— Hoho, widzę, nie zapomniałeś jeszcze, żem wczoraj fimfę w nos puścił hrabiemu! — ozwał się wesolo. — Bądź spokojny, naprawilem złe. Wieczorem pojechałem umyślnie do Orkizowa.

— Wiem o tem, i to jest właśnie co mię oburza do najwyższego.

— Najpierw się dowiedz, poco tam jeździłem.

— Przywłaszczyłeś sobie prawo jakiegoś opiekuna czy protektora nademną i uwziąłeś się skompromitować mię wobec świata.

Katylina wyjął sygaro z ust i wypatrzył się na przyjaciela osłupiały z zdziwienia.

— Jakto, ty już wiesz o wszystkim i potępiasz moje kroki?

— Nietylko potępiam, ale się ich wstydzę.

— Eheu! — mruknął Katylina i sygaro na nowo wetknął do ust, a obie ręce schował do kieszeni.

Juljusz zarumienił się i wpadł w niezwykły ferwor.

— Zrobiłeś burdę u mandatarjusza — zawołał żywo i głośno — znieważyłś gościa jego domu, co niczem nie da się uniewinnić, i różnych innych dopuściłś się głupstw i szaleństw, do których najmniejszego nie miałeś upoważnienia!...

— Oho — podchwycił nieprześlągany szyderca — twojem zdaniem potrzeba, jak widzę, wyraźnego upoważnienia do robienia głupstw i szaleństw. Ty uznajesz tylko durniów uprzywilejowanych, za osobnymi niby patentami...

<https://rcin.org.pl>

Zimne szyderstwo Katyliny wprowadziło w istną furję Juljusza.

— Nie potrząsaj dzwonkami bladeńskimi tam, gdzieś się wstydić powinien, jeśliś jeszcze nie ogłuchł na głos honoru!

Katyliną znowu sygaro wyjął z ust i nieznacznie wstrząsł głową.

Juljusz niezrażony prawil dalej:

— Postąpiwszy sobie jak istny hajdamaka z moimi ofi-
cjalistami, nadużyłeś na domiar wszystkiego mojego zaufania,
pognałeś w moim imieniu na leb na szyję do hrabiego...

Katyliną w ciągu tego przystąpił do sznurka i zadzwonił
gwałtownie.

Juljusz urwał nagle.

— Cóż to znowu znaczy?

Katyliną obrócił się do wchodzącego lokaja:

— Przynieś karafkę świeżej wody dla swego pana! --
rzekł z flegmą i skinął ręką.

Juljusz zacisnął zęby, a widać było, że wszystka krew
wezbrała mu do głowy.

— Panie! — zawołał groźnie, kiedy lokaj z głupią miną
wyszedł z pokoju.

Katyliną spokojnie wzruszył ramionami.

— Mój kochany, — odrzekł spokojnie — nim zechcesz da-
lej sypać gromy i pioruny, napij się pierwszej wody i daj sobie
powiedzieć, że nigdy niczyjem nie lubię się zasłaniać imieniem
i pod niczyją nie chowam się połą. Co robiłem, robiłem na wła-
sną odpowiedzialność, a tobie zostawiłem zupełną wolność za-
parcia się, *dezawuowania*¹ mnie, jak mówi język dyploma-
tyczny.

— Jakto, nie odprawilżes w moim imieniu mandata-
rjusza?...

Katyliną wzgardliwie machnął ręką.

— Przepraszam uniżenie! poradziłem mu we własnem
imieniu uciekać na cztery wiatry i nic więcej...

— A pociżes jeździł do hrabiego?

<https://rcin.org.pl>

¹ zaprzeczenia, wyparcia się.

— Aby mu również we własnem imieniu pokazać list Zachlewicza i powiedzieć mu również w *najwłaściwszem* imieniu: JW. hrabio, jesteś galgan na wielki kamień i kwita!

— I powiedziałeś mu to? — krzyknął Juljusz, poskakując naprzód.

— Pan hrabia zaparł się udziału w procesie, upewnił mię, że choćby testament starościca został obalony, ty żadnej nie poniesiesz straty, owszem korzyść niezawodną i przyrzekł nareszcie, że dziś sam będzie u ciebie i porozumie się z tobą otwarcie. Po tem wszystkiem «galgan» utknął mi w gardle.

— Ależ człowieku, nie pomyślałeś sobie, że ja sam mogę pragnąć usilnie procesu, by nie pozostawić na sobie zarzutu, że korzystając z chwili obłąkania, nieprzytomności umysłowej warjata, zagarnąłem obcy majątek, wyrządziłem krzywdę bliższym i słuszniejszym spadkobiercom...

— Czyż myślisz, — zawołał, zapalając się coraz więcej — że byłbym w stanie używać majątku, na którym pozostałby lada cień, lada pozór niesłusznego nabytku?...

Katyliną w głębokiem milczeniu wysłuchał żywej diatryby¹ swego szlachetnego przyjaciela. A śnać znał dobrze jego zasady i charakter cały, bo nie objawił żadnego zdziwienia, owszem zdawało się, jakoby w duszy wyrzucał sam sobie, że naprzód nie domyślił się podobnego rezultatu.

Rzucił niedopalone sygaro daleko od siebie i wyciągając rękę ku przyjacielowi, rzekł z niezwykłym u siebie nastrojeniem uczuciowym:

— Tyś Gracchus prawdziwy, mój Juljuszu! Powinien byłem odgadnąć cię odrazu. Ale człowiek w pierwszej chwili sądzi zwyczajnie innych podług siebie samego. Mnie, gdyby los rzucił jaką kość w łapę, tobym chciał widzieć tego, kto by mi ją próbował wydrzeć.

Juljusz z widocznem zadowoleniem przyjmował jawny hold swego towarzysza młodości.

— Uwziąłeś się przedstawiać zawsze w gorszem świetle, niż w rzeczywistości znosi twoja natura. Ręczę, że dla siebie

<https://rcin.org.pl>

¹ wywód oratorski (z greck.).

w takim razie nie robilbyś wcale tego, czego gotówbyś się ważyć dla mnie.

Katyliną niedbale machnął ręką.

— Dajmy pokój komplementom — rzekł obojętnie. — Ja się pożegnam, abyś mię mógł lepiej *dezawuować* — dodał stanowczo.

— Jakto! chcesz mię opuścić?

— Nie, przyjacielu, wyprzedzę cię tylko do Lwowa i będę szukał lekcji i zatrudnienia dla ciebie i samego siebie.

— Myślisz więc...

— Iż niebawem przyjedziesz za mną goły jak turecki święty, bo ręczę, że nie weźmiesz z sobą nawet chustki od nosa, kupionej podczas twego krótkiego panowania.

Juljusz w milczeniu pochylił głowę na piersi.

— Ha — rzekł po chwili — pogadamy jeszcze o tem z sobą...

— Ja tymczasem — dodał, dzwoniąc na służącego — pojedę sam do Orkizowa, i powiem hrabiemu, że do rozstrzygnięcia procesu uważam się tylko za administratora majątku, tudzież, że jałmużny nie myślę przyjmować od nikogo, dopóki mi własne siły starczą do pracy.

Katyliną pokiwał głową, machnął ręką i zapaliwszy sygaro, mruknął przez zęby:

— Zdaje się, że cała ta historia skończy się jak w palce trząśł. *Fuimus Troes!*¹ powiemy sobie przy pierwszym spotkaniu we Lwowie.

X

OKRUTNA ZEMSTA

Na dworze ciemna, głucha noc.

Niebo czarnym zasnulo się całunem, ani jeden srebrny promyczek nie spływa z góry, a jakieś duszne, parne, ołowiane powietrze owionęło ziemię.

¹ z *Eneidy*, ks. II, dosłownie: Byliśmy Trojanami, rozumie się: ale już nie jesteśmy; tutaj w znaczeniu: miałeś majątek, ale już go nie masz.

I dziwnie jakoś straszno i złowrogo w pobliżu zakłętego dworu.

Niedoperze jak czarne, skrzydlate duchy uwijają się dookoła, sowy i puhacze z dzikim krzykiem odzywają się w zawalonych napół oficynach, a snąc przeczuwając slotę, lękają się wylecieć z bezpiecznego ukrycia i wrzeszczą z głodu coraz przeraźliwiej.

W chacie starego klucznika słabe łyska światelko, ale wewnątrz głucha, grobowa zdaje się panować cisza.

Nagle rozwarły się drzwi od sieni, a w progu ukazały się dwie osoby.

— Będzie slota, mój ojcie — ozwał się dźwięczny i słodki głos kobiecy.

— Nic nie szkodzi! On przybędzie — ozwał się silny głos męski, głos naszego znajomego maziarza.

— Więc idziesz, ojcie? — zapytała nieco trwożliwie dziewczyna, nieochybnie nasza piękna, jasnowłosa Jadwiga.

Maziarz podniósł w górę trzymaną w ręku latarkę, a przy blasku jej światła dziwnie fantastycznie zarysowała się jego postać.

Był ubrany jak wczoraj na wysepce, tylko jeszcze długi czarny płaszcz wisiał mu niedbale na ramionach. Ponure, surowe jego rysy nosiły w tej chwili wyraz jakiegoś głębokiego rozmarzenia, tylko oczy migotały zawsze tym dzikim, niespokojnym, tajemniczym blaskiem.

— Ulewa nie spadnie tak prędko, — szepnął na zapytanie córki, rozglądając się dokoła — przyprowadzę ci gościa jeszcze przed deszczem.

— Więc ja go koniecznie muszę widzieć tak późno?

— Wiem, żebyś mi nie przebaczyła, gdybym go sam tylko przyjął.

— Mój ojcie... — szepnęła dziewczyna skonfundowana.

Maziarz pochwycił ją nagle w swe ramiona i przyciskając ją do piersi, ucałował i uściskał milcząc jej śliczną, jasnowłosą główkę.

— Do widzenia, moje dziecko. — szepnął nareszcie. — Za pół godziny przybędzie nas dwóch!

Dziewczę wzdrygnęło się zlekka.

— Nie wiem co mi jest, ale boję się dziś czegoś zostać samą.

— Dzieckoś — odparł prędko maziarz. — Całe dnie i noce przepędzałaś sama bez trwogi, a dziś lękasz się półgodziny.

I jeszcze raz pocałował ją w czoło, a potem zlekka wepchnął do sieni.

— Zamknij się, moja duszko i oczekuj nas bez troski.

I połe płaszcza po bandycku zarzucił na ramię, poskoczył z progu i z pospiechem pomknął ku furtce ogrodowej.

Dziewczę znikło w sieniach, a za przymkniętymi drzwiami żelazna zaskrzypiała zasuwa.

Prawie w tejże samej chwili zatrzeszczała laskowa brama, a na jej szczycie zarysowała się wśród ciemności jakaś postać ludzka.

Lekka błyskawica mignęła w tej chwili na dalekim zachodzie nieba, a przy jej blasku poznać złowrogie rysy Mykity Ołańczuka!

Siedział na szczycie bramy i pilnie rozglądał się na wszystkie strony.

Nagle w cichy, przytłumiony a mimo to strasznie jakiś dziki wybuchł śmiech.

— Psy się ani ruszą! — szepnął. — Wronie oko¹ skutkowało! Złodziej żyd tak długo mi odmawiał tej odrobiny trutki! — dodał jakby z żalem ukrytym.

I zręcznie i zwinnie w jednym mgnieniu oka zsunął się na dół.

Sięgnął za pazuchę, a w ręku długi błysnął mu nóż.

— No, Kostiu Buliju, — mruknął półgłosem — porachujemy się raz z sobą! Kogut już zapiał, twój djabeł ci nie pomoże, psij synu!

I nędznik zgrzytnął zębami, jak głodny wilk na widok zdobyczy.

Nagle drgnął i niespokojnie obejrzał się dokoła.

— Będzie słota, — mruknął — a jam już potruł psy i nie mogę odwlekać dłużej!

<https://rcin.org.pl>

¹ swojska roślina z rodzaju liljowatych, należąca do ostrych trucizn.

— Cicho, głucho — poszeptał uspokojony po krótkiej chwili. — Słota nie nadejdzie i za godzinę! Mam czas!

Wstrząsł się i rzucił z ramion jakiś spory ciężar.

Był to pęk silnych kołów bukowych i gruby powróż z li-powego łyka.

Chyłkiem na palcach postąpił ku chacie, koły przyparł pod ścianę, a z łykiem posunął ku drzwiom.

Zasilił powróż wokoło żelaznej klamki, a potem odstąpił szybko i przywiązał go mocno do grubego jesiona, co piał się o kilka kroków od chaty.

— Teraz niech sobie z wewnątrz otworzy drzwi — mruknął nędznik i uśmiechnął się zadowolony, a potem prędko pochwycił za koły i postąpił pod okno.

— Jest w domu — mruknął, widząc, że światło przebija się z za okiennic.

I znów w ów głuchy, przytłumiony wybuchł śmiech.

— Poprzebijalesz sobie okiennice, aby cię nikt nie podej-rzał, jak z upiorem i djabełem wchodzisz w konszachty. Po-czekajno, bratku!

I wtykając kół silnie w ziemię, przyparł go silnie do okiennic.

— Teraz ją sobie otwórz! — poszeptał z dzikiem szy-derstwem.

I to samo powtórzył przy dwóch dalszych oknach chaty. Potem przystanął i odetchnął ciężko.

— Djabeł mu nie pomoże, bo już po północy, a ucieknąć mi nie ucieknie!

I sięgnąwszy za pazuchę, szastnął nagle po swej odzieży, a w rękę zajęło mu się kilka zapalek.

Przeczekał spokojnie, aż zgorzała siarka, a potem przy-tkał zapalki do sporego pędu wyjętych z kieszeni kłaków i wszystko razem rzucił na dach chaty...

— Nareszcie zapłacę ci, stary zbój, za moich sto kijów i moje doby¹ zmarnowane! — rzekł głośniejszym głosem i nowy rozża-rzywszy ogień rzucił na dach przyległej stodoły.

<https://rcin.org.pl>

¹ rozumie się: lata.

A potem kapelusz głęboko zasunął na czoło i jak strzała pomknął ku bramie.

Wydrapawszy się zwinnie jak kot na szczyt bramy, rzucił jeszcze raz okiem poza siebie, a na widok jasnych płomieni, wybuchających zwolna na dachu, na nowo dzikim zawył śmiechem i skoczył na drugą stronę.

Znamy przyczynę, dla której Mykita Ołańczuk tak zaciekle dla starego kozaka żywił nienawiść.

Dla zuchwałego oporu i targnięcia się na starościca poniósł on za surową, może nawet za okrutną i niehumanitarną karę.

Starościc w pierwszym wybuchu swej gwałtowności nie umiał się powściągnąć, a nim jeszcze wyrzekł słowo, już gorliwi słudzy spełniali jego rozkazy.

Mykita Ołańczuk należał do tych dzikich, zaciekłych natur, których nieprześlądana nienawiść i mściwość stopniuje się tylko upływem czasu, a kończy się z życiem samem.

Pokrzywdzony rzeczywiście przez starościca, zakipiał srogą ku niemu złością, a daremne skargi i procesa, jakoteż wynikła stąd nędza i ubóstwo podsycaly, rozżarzały tem więcej pierwotną żądzę zemsty.

Ołańczuk przysiągł sobie, jak mówił «nie darować swego» i trwał zawzięcie w swem postanowieniu.

Śmierć starościca nie uśmierzyła, a nawet nie złagodziła jego zacieklej złości. Przeniósł ją tylko w całej pełni na Kościa Bulija, ślepego wykonawcę okrutnej woli nieboszczyka.

W starym kozaku nienawidził w jednej osobie niesłusznego sędziego i zanadto gorliwego kata.

A każdy rok nowy utwierdzał go tylko w tej nienawiści, która wkońcu doszła do jakiegoś delirycznego zapomnienia,¹ do szalonej, nieprzytomnej zaciekłości.

Napróbowawszy się napróżno zaspokoić swą dziką żądzę zemsty legalnymi środkami, zaniechał zniechęcony dalszych skarg i procesów i nie wzdygał się już dłużej przed zbrodnią samą.

Ogień u naszego ludu prostego jest niestety najzwyczaj-

<https://rein.org.pl>

¹ warjackiego zapamiętania się.

niejszą a prawie jedyną bronią zemsty, podpalenie najpowszejdniejszą, najczęstszą po złodziejstwie zbrodnią.

— Puszczę cię z dymem! — grozi za łada drobnostkę najbliższy sąsiad sąsiadowi.

A jak często pogróżka taka w okrutny spełnia się czyn!

To też i Mykita Ołańczuk postanowił podpalić Kościół Bułija. Wierząc jednak, że Kościół Bułij zostaje w tajemniczych związkach z nieboszczykiem starościcem, a nawet z djabłem samym, poczytywał ten rodzaj zemsty za niedostateczny.

— Djabieł mu chatę duchem odbuduje, ale od śmierci go nie ocali, bo nad śmiercią sam Pan Bóg tylko ma prawo — rozumował w swej grubej, ciemnej zabobonności.

I po krótkiej walce z samym sobą postanowił dybać wprost na życie nieprzyjaciela i podpalić w taki sposób, aby on sam znalazł śmierć w płomieniach.

Widzieliśmy, jak zmyślne i okrutne porobił do tego przygotowania.

Dniem jeszcze naprzód usunął największą przeszkodę, czujność psów.

Walęsając się po całej okolicy, poznał w pobliskim miasteczku jakiegoś osławionego żyda przechowywacza kradzieży, a pod pozorem, że do wielce zyskowej przysposabia się wyprawy, wyłudził od niego truciznę na oba czujne i wierne psy.

Dokonawszy teraz zbrodni, uciekał co tchu przez pola i łąki.

W znacznem oddaleniu przystanął na chwilę i obejrzał się poza siebie.

Dom i stodoła stały w jasnych płomieniach.

Zbrodniarz dziko łysnął oczyma.

— Zaczyna się grzać nieboraczek — mruknął z okrutnem zadowoleniem.

W tej chwili w przyległych Buczałach ponuro i donośnie zagrzmiały dzwony.

Zbrodniarz przeżegnał się skwapliwie.

— Już biją na gwałt — poszepnął po chwili. — Tak prędko się spostrzegli...

<https://rcin.org.pl>

Nic nie szkodzi, — pocieszał się po krótkiej pauzie — przybędą zapóźno.

I nie obzierając się, jał jakby gnany furją uciekać dalej.

Nędznik ani się domyślał, że ohydna jego żądza zemsty zupełnie obcą wybrała sobie ofiarę, okrutna zbrodnia nad wcale niewinną zawisła głową.

W blado oświetlonej chacie siedziała Jadzia w kącie przy ścianie, głowę sparła na śnieżnej dłoni, a myślom snąć wolny puściła obieg, bo w jej napół przymrużonych oczach i koło ust różanych malował się jakiś błogi, swobodny uśmiech.

Dziewczę roilo o przyszłym szczęściu, stawiało zamki na lodzie, cieszyło się tęczowemi barwy baniek mydlanych.

Naraz znikł uśmiech, a twarz i oczy jakiś powabny i tęskny przybrały wyraz.

Dziewczę widocznie z marzeń na przyszłość wpadło w wspomnienia i wrażenia przeszłości.

Przypominała sobie ten domek i tę kuźnię w małym odległym miasteczku, gdzie upłynęły pierwsze lata jej dziecięcego wieku.

Stała jej żywo przed oczyma ta matka nieboszczka, której pieczyoty tak żywo tkwiły jej w pamięci, choć minęły tak dawno, a trwały tak krótko.

Dziewczę westchnęło żałością.

Nie wiedzieć dlaczego wszystkie późniejsze chwile, przebyte w szczęściu i dostatkach, nie miały dla niej tyle uroku, co te rzewne wspomnienia pierwszych pieczyot macierzyńskich.

— Biedna matka — szepnęła z westchnieniem — umarła, nie widziawszy mnie więcej!...

I gorąca łza zakręciła się w jej cudnem oku.

A tuż odżył w pamięci i ów kowal, ojczym ponury, zamysłony, który choć niemilemi patrzył na nią oczyma, nigdy najmniejszej nie wyrządził jej krzywdy.

— On żyje zapewne do tej chwili! — poszepnęła dziewczyna, a główkę w głębokiem zamyśleniu pochyliła na piersi.

— Dlaczegoż muszę być tak obojętną mężowi mej matki? — zagadnęła się po chwili. — Dlaczegoż matka moja nie mogła nigdy zgłosić się do mnie za życia?...

I napróżno zaczęła zaciekać się nad głęboką tajemnicą, która osłaniała jej urodzenie.

Do tej chwili nie wiedziała nawet, jakie właściwie nosiła nazwisko.

Ojciec wtajemniczył ją w swoje plany, swoje zamiary, ale nigdy nie wyjawił swego imienia.

Dlaczegoż jej druga, przybrana matka, ta zacna, dobra pani Tączewska nie umiała o nim powiedzieć nic więcej jak tylko, że był największym przyjacielem nieboszczyka starościca, Mikołaja Żwirskiego!

A ileż zato nagadała się jej staruszka o tym starościcu, swym wychowanku, który obok najburzliwszej gwałtowności, najniesforniejszego uporu, łączył najlepsze serce, najszlachetniejszy charakter!

A i ten wierny, pełen poświęcenia kozak Kost' Bulij wspominał zawsze z taką czcią, z takim uwielbieniem nieboszczyka starościca, że nigdy nie mógł na większą pochwałę zdobyć się dla jej ojca jak tylko, «że był przyjacielem jego nieboszczyka pana».

— Obadwaj byli jak jedna dusza i jedno ciało — mawiał stary kozak.

I dla tej jednej przyczyny gotów był w każdej chwili dla jej ojca do najwyższego posunąć się poświęcenia, dla tej przyczyny dzielił z nim najsroźsze niebezpieczeństwa, narażał bez wahania wolność i życie, oddał się ślepo duszą i ciałem jego daleko sięgającym zamiarom.

A te zamiary miały urzeczywistnić się pożyślnie?

Gdyby się wykryły przed czasem, albo rozbiły nieprzyjaźnie?...

Na tę myśl zimny dreszcz wstrząsł dziewczynę od stóp do głowy; nie śmiała się nawet zastanawiać dłużej nad tem i z największem nateżeniem siłała się nadać inny zwrot, inny bieg swym rozbudzonym marzeniom.

I mimowolnie Juljusz nasunął jej się przed oczy.

Miała go widzieć dzisiaj, miała z nim mówić swobodnie, miała nawet przyczynić się jakoś do wybawienia go od groźnego ciosu.

Ojciec mówił coś o poświęceniu, o oddaniu ręki... zapytywał ją w tak dziwny sposób, mówił o młodzieńcu z takim jakimś szczególnym wyrazem i naciskiem!

Młoda dziewczyna zasnuwała się w coraz szersze i gęstsze pasmo najróżniejszych domniemywań. A myśl jej płynęła tak swobodnie, tak lekko, tak różne potrząsała struny uczucia, tak jakiś luby budziła urok, że oddawała jej się coraz bezoporniej i niejako wbrew własnej woli i wiedzy przenosiła się w jakiś stan obcy, w jakąś inną, pełną najcudniejszej ułudy sferę.

Oczka jej zmrużyły się do reszty, główka dalej pochyliła się na piersi. Jakiś blask różany owionął ją dokoła, jakieś nieokreślone nadziemskie tony i akordy ludziły ucho, anioł w srebrzystej szacie ukazał się nad jej głową i rozpostarł skrzydła swe nad jej marzeniami niewinnymi...

Dziewczę usnęło...

A właśnie w tej chwili zaciekle zbrodniarz dokonał swego okrutnego zamachu, a podłożony ogień płomienistym językiem wystrzelił do góry i coraz szersze zakreślał koło.

Niebo chmurne i zagniewane spoglądało z swej wyżyny, a jakby w zawody z wybuchającym na dole płomieniem, zaczęło nagle coraz częstszymi rozjaśniać się błyskawicami.

A dziewczę drzemało spokojnie, uroczemi a niewinnymi ukołysane marzeniami.

Zdało jej się, że Juljusz stoi przed nią, w oczach jego lśniły łzy, usta drżały z rozrzewnienia... Coś mówił do niej wzruszonym głosem i wyciągnął rękę nieśmiałą...

Ona chciała odpowiedzieć... serce jej biło gwałtownie... twarz płomieniała... a nie miała siły rękę swą podnieść do ręki młodzieńca...

Aż nagle zbliżył się ojciec z promieniejącą od radości twarzą, własnymi dłońmi złączył ich ręce... chciał coś przemówić...

Ale wtem cudny obraz rozwił się jak zaczarowany, jakiś dziwny, chaotyczny nieład powstał dokoła, duszne, ołowiane powietrze spadło jej na piersi, jakieś czarne, okropne, złowrogię mary powstawały jedna po drugiej... i tuż nagle jakiś potwór ohydny wyrósł z ziemi przed jej oczyma i wyciągnął ku

niej straszne, monstrualne, błoną niedoperza spojone szpony i rozwarł paszczę, ziejącą krwią i ogniem.

Piekielny przestrach ogarnął dziewczynę, włosy najeżyły jej się na głowie, zimny dreszcz przenikał ją od stóp do głowy, krew zatrzymywała się w biegu, a oddech urywał w krtani.

Zbierając wszystkie swe siły, rzuciła się dziewczyna gwałtownie i wydała przeraźliwy wykrzyk.

I ocknęła się ze snu nareszcie.

Rozpierzchły się okropne mary i widziadła, ale został ów nieświadomy przestrach piekielny i owo straszne, ołowiane powietrze tłoczyło piersi jak we śnie.

Porwała się szybko z siedzenia i przetarła oczy i nowy przeraźliwszy jeszcze wydała wykrzyk przestrachu i zgrozy.

Izbę napelniała ciemność nieprzebita, gorąca gąszcz dymu paliła piersi, wierciła oczy, a nad głową rozlegał się jakiś dziwny złowrogi szelest, jakiś przerażający powiew wiatru, jakgdyby stado puhaczów i niedoperzów trzepotało bezustannie skrzydłami.

— Wielki Boże?!... co to jest, co to znaczy! — krzyknęła dziewczyna.

I jeszcze raz rzuciła sobą gwałtownie i potarła oczy, jakgdyby nie wierzyła sama sobie, że ocknęła się z swego snu okropnego.

— O nie! ja nie śpię, ja czuam! — krzyknęła napół nieżywa z przestrachu.

Nad głową tymczasem coraz bliżej i głośniejszy odzywał się ów straszny szum — szum falujących płomieni, a od pory do pory z przerażającym łomotem trzeszczały palące się belki i krokwie.

Dziewczyna poskoczyła do okna.

— To ogień, to pożar, wielki Boże! — krzyknęła i upadła na kolana.

Gorąca gąszcz dymu wzmagała się coraz bardziej.

Jadwiga nie mogła odetchnąć, okropny zakrztusił ją kaszel, a w głowie zakręciło się jak w kołowrocie.

— Ratunku! — pomocy! — wyjęknęła wśród kaszlu.

Ale któż ją mógł usłyszeć?

Maziarz w lipowej ulicy pod Buczałami oczekiwał Juljusza, Kost' Bulij wybrał się wczoraj w dalszą jakąś podróż, a groza sąsiedztwa zakłętego dworu odstraszała zdaleka każdego przechodnia.

Krótką chwilkę leżała Jadwiga bezprzytomnie na kolanach.

Nagle nadludzką kupiąc w sobie siłę, porwała się na nogi i uderzyła pięścią w okno.

Krew trysnęła z śnieżnej rączki, ale okiennica oparła się uderzeniu. Wszakże przez wyrzniętą w niej w kształcie serca dziurę wionęło powietrze z zewnątrz.

Dziewczę odetchnęło i z największym wyężeniem odsunęło zasuwkę od okiennicy.

Ale podparta z drugiej strony okiennica trzymała się jak przykuta.

— Ratunku! pomocy!... — zawołała dziewczyna trochę głośniej.

Ale cicho było na dworze, tylko nad jej głową huczało i trzeszczało coraz okropniej.

— Ratunku! pomocy!... — powtórzyła dziewczyna z dziką, obłąkaną rozpaczą.

Okropny łomot walących się krokwi odpowiedział na jej wołanie.

Jadwiga znowu bezsilnie padła na kolana i znowu straszny zakrztusił ją kaszel.

— Śmierć! Umierać!... — wyjęknęła.

I znowu jakby jakaś nadziemska wstąpiła w nią siła: porwała się prędko, rozdarła z gwałtownem wysileniem suknię na swych duszących się piersiach i poskoczyła do drugiego okna.

I w mgnieniu oka skrwawioną rączką drugą wybiła szybę, odsunęła zasuwę od okiennicy i całą siłą próbowała wyłamać się na dwór...

Zdało się jej, że okiennica ugina się pod jej naciskiem... że jedno tylko mgnienie oka a uratuje się szczęśliwie... ale wtem okropnie coś zapiekło ją w głowę...

Właśnie tuż nad oknem przepaliła się powała, a płomienny

język wdarł się do środka i wił się na wszystkie strony jak żądło gadziny...

Dziewczyna jęknęła okropnie...

Dzika rozpacz i zgroza ostatnie wstrząsła w niej siły.

Jednym susem poskoczyła do pierwszego okna i całą mocą uderzyła w przypartą okiennicę...

Wtem znowu okropnie zahuczało, zatrzeszczało i załomotało nad jej głową.

Nieszczęśliwej zdało się, że wśród tego huku i grzmotu rozległ się i jakiś donośny krzyk pomieszanych głosów ludzkich...

Pocisnęła jeszcze raz okiennicę... I owa okrutna zapora ustąpiła z głuchym trzaskiem...

Ale tuż okropny rozległ się grzmot, straszny blask oślepił jej na wierzch z przestrachu wysadzone oczy... a przez otwarte okno buchnęły zewsząd płomienie.

Dziewczyna wydała rozdzierający wykrzyk... bezsilnie zatoczyła się wtył... jeszcze jeden urwany jęk wymknął się z jej piersi... chciała coś wyszeptać... ale już wszelkie opuściły ją siły... padła na ziemię bez ducha.

A tu znowu okropny rozległ się grzmot, a płomienie ze wszystkich stron buchnęły do środka!...

.....

XI

UPIÓR

Kiedy w chacie Kości'a Bulija tak okropna odbywała się scena, znajdował się maziarz na zakręcie lipowej ulicy, która od Buczał prowadziła do Żwirowa. Jak wiemy, miał po północy Juljusz przybyć w to miejsce.

Snać z wielką niecierpliwością oczekiwał go maziarz, bo szybko tam i nazad przechadzał się wszecz gościńca, a ustawicznie skręcał ku Buczałom oko i ucho.

— Już północ musiała minąć — szepnęła, przystając na miejscu. — Miałżeby nie przyjść?

I zamyślił się głęboko, a po chwili wstrząsł się, jakby go jakiś szczególnie przejął dreszcz.

— Szczególna! — mruknął znowu półszepsem. — Kost' rozstawał się ze mną z jakimś złowrogiem przeczuciem. Jadzia zegnała się z dziwną jakąś obawą i niespokojnością... a ja, ja sam czuję coś, coś nieświadomego... jakąś osobliwszą ciężkość na sercu...

Zacisnął usta i ręką gwałtownie potarł po czole.

— Miałożby to być przeczucie? tajemnicza skazówka niebios?... — poszepnął w ponurem zamyśleniu.

Dziwna i niezbadana zagadka! Ludzie najsilniejszego ducha, najsprężystszego charakteru podpadają wpływom jakiegoś fatalistycznego przeczucia, jakiegoś nieświadomego, nieokreślonego niepokoju, którego ani pojąć ani wyobrazić sobie nie mogą zwyczajne i pospolite natury. Jest to jakiś niepojęty dar dywinyjny,¹ jakaś wyższa potęga uczuciowa, różna zupełnie od tego mimowolnego rozdrażnienia, jakiemu często bez wszelkiej przyczyny ulegają ludzie nerwowi. Cezar z ściśnionem sercem szedł do Kapitolu, kiedy pod morderczymi miał paść ciosami,² Napoleona jakieś przykre trapiło uczucie, kiedy rozpoczynał bitwę pod Waterloo.³

Toż i nasz maziarz mimo całej swej niepospolitej siły ducha i energii, którą mieliśmy już sposobność poznać po części, czuł się w tej chwili w jakimś niezwykłym, niepokojącym usposobieniu.

— Tam do kata! — mruknął z niesmakiem. — Te dziecinne obawy Kost'ia i Jadwigi mnie samemu, jak widzę, wlażyły do głowy.

I wstrząsł się cały, jakby przemocą chciał wszelki rzucić z siebie ciężar.

— Co gorsza, — mruknął po chwili — ulewa się zbliża, a Juljusza nie widać.

W dusznem i parnem powietrzu głucha i grobowa panowała cisza, żaden listek nie zaszemrał na drzewach, tylko zdala od dworu załatywał czasami przeraźliwy, złowrogi wrzask

¹ przeczuwania.

² Cezara, idącego na Kapitol, gdzie został zamordowany, ostrzegano, że uknuto przeciwko niemu spisek.

³ Waterloo w Belgji pamiętne ostateczną klęską Napoleona w r. 1815.

sowy i puhacza. Zasnute czarnymi chmurami niebo ponuro i groźnie spoglądało na ziemię, a od pory do pory, jakby w jawny znak gniewu, strzeliło zygzakiem błyskawicy na zachodzie.

Maziarz lepiej owinął się płaszczem i usiadł u pnia rozłożystej lipy.

— Będę czekał aż do deszczu — poszeptał i przechylając głowę na piersi w głęboką zapadł zadumę.

A snąć coś ważnego zaprzętało jego serce i głowę, bo oczy lśniły mu nadziemskim blaskiem, a w tej chwili wyglądały jak dwie jedyne gwiazdy zbłąkane z nieba na ziemię.

Przed jego duszą dziwny, fantastyczny odsłonił się obraz, nie mający ni związku, ni znaczenia...

Jakiś ptak wielki, dumny, wspaniały... śnieżny pierzem a potężny szpony, siedział w swem gnieździe, spokojny i bezbronny w poczuciu swej siły i szlachetności...

Aż tu z boku jakiś olbrzymi a potworny pod gniazdo zakrada się pająk i chyłkiem i milczkiem zaczyna osnuwać jego jedno skrzydło i szpon jeden...

Z każdą chwilą rośnie sieć straszna, sieć z żelaza, spajanego krwią i łzami!... już jedno skrzydło i jeden szpon uwięzły w pętach... a tu nowe siły przybywają w pomoc wrogowi...

Zapóźno dumny ptak poznaje niebezpieczeństwo... broni się zapamiętałe jednym skrzydłem i szponem... zboczony krwią, złamany na siłach ulega przemocy... ohydna sieć osnuwa go dokoła!...

Napróżno potem rwie i rzuca się nieustannie... mimo wszelkich zamachów i wysień nie może przełamać strasznej przemocy...

Aż oto podźwignął się na nowo i jeszcze raz gwałtownie wyprężył swe skrzydła i szpony...

I zaczynają pękać okrutne więzy... a każda nić przerwana wydaje łoskot gromu... bucha strumieniami krwi i łez...

Dziwaczny ten obraz fantasmagoryczny,¹ złudna igraszka chorobliwie rozdrażnionej wyobraźni, rozpieczęcił się nagle jakby cudem, a maziarz porwał się przerażony z ziemi.

<https://rcin.org.pl>

¹ urojony.

W jednej chwili z dwóch przeciwnych miejsc rozległ się głośny tętent koni.

Jacyś jeźdźcy pędzili co tchu w jednym kierunku.

Maziarz drgnął cały, a z oczu dziwna strzeliła mu błyskawica... Obejrzał się poza siebie a krwawa, złowieszcza luna rozlewała się nad żwirowskim dworem.

— Zdradzonym! ściganym! — wykrzyknął i jak strzała pomknął na ścierń po lewej stronie gościńca.

Dziwne obawy Kostia i Jadwigi, jak niemniej jego przecucie własne, naprowadziły go odrazu na domysł srogiego niebezpieczeństwa, toż pod wpływem pierwszego wrażenia myślał tylko co tchu ratować się ucieczką.

Zaledwie jednak nieznaczny ubiegł kawał, powstrzymał się nagle i z dzikim przestachem wstrząsł się od stóp do głowy.

— A Jadzia! — ryknął przytłumionym głosem bólesci i rozpacz.

I nagle stanął na chwilę niepewny, wahający...

Wtem głuchy po polu rozległ się tętent, a z przeciwnej strony spieszył jakiś jeździec co koń wyskoczy.

Oczy maziarza łysnęły nadzieją i radością.

— To Juljusz! — mruknął — tędy przez pola krótsza z Oparek prowadzi droga!

I prędzej od lotu błyskawicy zaskoczył drogę jeźdźcowi.

— Juljusz! — krzyknął, a jeździec przystanął.

— Kto to? Co znaczy ten ogień? — zapytał zdyszany młodzieniec jednym tchem.

— Zdrada! — zawołał maziarz z febrycznym pospiechem... — ale pędź, spiesz, ratuj Jadwigę... moją córkę!

Juljusz nie słuchał już dalej...

Wydając jakiś wykrzyk niezrozumiały spał konia i jak szalony popędził ku dworowi.

Miejsce pożaru zaludniło się już przed chwilą.

Przybył ów hufiec jeźdźców, którego tak wielce przestraszył się maziarz.

Nie był to jednak nikt inny, jak tylko nasz poczciwy Girgilewicz z atamanem i kilkoma parobkami na fol-

warcznych koniach, tudzież zacny mandatarjusz z swym sztabem, panem Gustawem Chochełką i policjantem przy pałaszu.

Na folwarku pierwszy spostrzegł ataman ogień w Żwirowie i dał co tchu znać ekonomowi.*

Girgilewicz zerwał się jak opętany, bo trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że nader skory był zawsze do ratowania w wszelkich wypadkach tego rodzaju. Nieraz o dwie mile pędził do pożaru i swym stentorowym¹ głosem obejmował zaraz komendę nad gaszącymi.

Toteż i teraz w jednym mgnieniu oka zarzucił gunię bajową² na siebie, nieodstępny nahaj pochwycił w rękę i dopadłszy do stajen folwarcznych, wsiadł na oklep na pierwszego lepszego konia.

— Za mną, *taj tylko!* — huknął na pobudzonych parobków.

I już na czele całego hufcu pomknął ku Żwirowie.

Wszystkim zdawało się z początku, że sam dwór się pali, na różne też wszyscy wpadali domysły.

— Może to tylko tumaną puszcza nieboszczyk! — zawołał gumienny.

— *Taj tylko!* — zagrzmiął Girgilewicz i zaciął konia.

— Tuman czy nie tuman! — zawołał energiczny ataman — musimy być przy ogniu. Wszystkim razem nieboszczyk karków nie skręci.

— *Taj tylko!* — potwierdził swym trybem Girgilewicz i znowu zaciął konia.

Na zakręcie w lipową ulicę spotkał się hufiec z mandatarjuszem, który przebudzony przez wartownika aresztu, uznał za potrzebne znajdować się w własnej urzędowej osobie na miejscu pożaru.

Dla większej jednak okazałości i większego bezpieczeństwa wziął z sobą Chochełkę i policjanta.

Biedny aktuarjusz, wyrwany z ramion Orfeusza,³ blady jak trup, w najgrubszym negliżu jechał na starej szkapie pana

¹ donośny.

² długa kapota, sięgająca za kolana, z grubego, kosmatego sukna.

³ mylnie zəm. Morfeusza, boga snu u Greków.

sędziego, oboma rękami trzymał się grzywy, a zębami dzwonił prawdziwie jak na gwałt.

Policjant na jedno ramię wdział swój mundur, a pałasz w poспiechu na prawy przewiesił bok.

Nikt jednak nie zapomniiał w popłochu, że dwór zaklęty, choć opuszczony, jest pełen rozmaitych kosztownych sprzętów, z których możeby się coś dało uratować dla siebie.

Obadwa hufce pędziły razem, a dopiero w połowie lipowej ulicy przekonali się wszyscy, że dwór stoi nienaruszony.

— To Kost' Bulij się pali! — zawołał ataman.

Mandatarjusz skrzywił się niechętnie.

— Pal go diabli, — mruknął — ja jak warjat zerwałem się ze snu!

— Dalej, *taj tylko!* — zagrzmiął Girgilewicz...

Za kilka chwil cały orszak stanął na miejscu pożaru.

Tylko nieszczęśliwy Chochelka nie mógł tak prędko przytrzymać konia, a wyprzedziwszy mimowolnie o kilka kroków swych towarzyszy, zaczął wrzeszczyć w niebogłosy i tracąc z przestachu równowagę, padł jak długi na ziemię.

Girgilewicz tymczasem skoczył z konia, a za jego przykładem poszli wszyscy.

Chata i stodoła Kost'ia Bulija stały już w jasnych płomieniach. W stodole paliły się ściany, u chaty dogorywał z dziwnym łomotem zrąb dachu.

Na niebie krwawa wznosiła się luna, a tuż w jej pobliżu jedna błyskawica migłała po drugiej.

A dziwnie jakoś strasznym i uroczystym wydawał się w tej chwili sam dwór zaklęty.

Wysokie okna promieniały odblaskiem płomieni, szare mury wpadały w jakąś czerwonawą, krwawą barwę, a łomot trzeszczących i walących się belek i krokwi zdawał się wewnątrz głuchem odbijać echem.

Girgilewicz przeżegnał się naprzód, a potem wprawnem dokoła rzucił okiem.

— Jezus, Marja! — krzyknął — drzwi i okna popodpieranę!

— Ktoś musi być w środku — zawołał ataman.

— *Taj tylko* — potwierdził Girgilewicz, wierny swemu przysłowiu w każdej dobie życia.

Ataman poskoczył ku drzwiom i przywiezioną z sobą siekierą rozrębał łykowy powróż, ekonom sam poskoczył do okna i z wielkiem nateżeniem odsunął kół podpierający okiennicę.

I w tej chwili osłonięta zewnątrz wężykami płomieni ukazała się w oknie Jadwiga, podobna do Madonny w ognistej aureoli.

Wszyscy wydali jeden tylko wykrzyk przerażenia i wyciągnęli ręce naprzód.

Ale dziewczyna nie miała już siły wyskoczyć na dwór, zatoczyła się wtył i znikła w gęstwinie dymu, a za nią, jak rój gadzin rozsrożonych, ze wszystkich stron buchnęły przez okna płomienie.

Cały tłum, powiększony kilku nowymi przybyszami, stał jak wryty na miejscu.

Nikt nie miał odwagi rzucić się do środka.

Płomienie przedzierały się już do powały i doszły właśnie do ścian samych.

— Niema ratunku — poszepnął ataman i załamał ręce.

A w tej chwili głośny ztyłu rozległ się wykrzyk.

Juljusz niepostrzeżony przypadł na miejsce, właśnie kiedy postać Jadwigi w tak okropnem oświeceniu zajaśniała w oknie.

Zeskoczył z konia i z dzikim krzykiem rzucił się naoslep ku ogniowi.

— Dziedzic! — obiegło szybkim dokoła szmerem.

— Jasny pan! — poprawił Girgilewicz.

I domyślając się zaraz, że bieży rzucić się do wnętrza chaty, zaskoczył mu drogę.

— Jasny panie, już przepadło, *taj tylko!* — zawołał, przytrzymując go nagwałt swem silnem ramieniem.

Ale Juljusz z lwią mocą pchnął go od siebie i jednym susem poskoczył ku oknu...

I już, już miał zniknąć w płomieniach, kiedy ktoś szybko jak strzała przedzierał się przez tłum przerażony, pochwytuje

za kołnierz młodzieńca, i herkuleczną siłą ciska nim jak piłką napowrót w ręce Girgilewicza.

— Gałgany! trzymajcie tego warjata! — zagrmiał nowy przybysz piorunującym głosem i sam w mgnieniu oka zniknął w płomieniach.

Wszyscy wydali nowy wykrzyk zgrozy i zdziwienia.

Był to Katylina.

Nazajutrz miał już nazawsze opuścić Oparki, a w nocy, jakby go jakaś tajemnicza parła siła, chciał zajrzeć jeszcze raz w pobliże zakłętego dworu, zbliżyć się jeszcze raz do swej nieznajomej wybawicielki, która, jak wiemy, tak silne sprawiła na nim wrażenie.

I w sam czas jeszcze przybył, aby ją ujrzeć w oknie i szybko jak strzała pospieszyć na jej ratunek.

Juljusz nagwałt rwał się za nim.

Ale na szczęście Girgilewicz wziął słownie surowy mandat Katyliny, oboma ramionami pochwycił wpół Juljusza i przywołując sobie jeszcze gumienego i atamana w pomoc, potarzał raz po raz:

— Nie puszczę, *taj tylko!*

Za Katyliną przez nagły pociąg wichru gęstsze do wnętrza chaty buchnęły płomienie, a z przerażającym hukiem i łosem zawalił się tej samej chwili zrąb dachu.

Wszyscy przeżegnali się przerażeni.

Sam mandatarjusz zapomniał całą swą nienawiść do Katyliny i z trwogą i zwątpieniem załamał ręce.

A tuż i chmurne i zagniewane oddawna niebo miało czynnie mieszać się w tok działania.

Dotychczas huczało tylko złowrogo, ale nagle strasznym ozwało się grzmotem.

Okropna błyskawica rozdarła na dwoje czarne poza luną sklepienie, a dwa pioruny uderzyły w pobliżu tak szybko po sobie, że jeden zdawał się tylko ścigać i przygłuszać drugiego.

Okropny popłoch ogarnął całe grono, ściśnione teraz w jeden gęsty kłęb nieruchomy.

A prawie jednocześnie z okropnym hukiem grzmotu ja-

kiś dziki, nadludzki, przeraźliwszy jeszcze głos ozwał się w pobliżu, a jakaś postać ludzka pojawiła się jakby z pod ziemi od strony ogrodu.

— Jezus, Marja! — wrzasnął tłum w dzikiej zgrozie i jakby za jednym rozkazem padli wszyscy na kolana.

— Wszelki duch chwali Pana Boga! — wydzwonił zębami najśmielszy ze wszystkich ataman.

— Nie... nie... boszczyk, *t... t... taj tylko!* — jęknął Girgilewicz i puszczając Juljusza, padł wraz z mandatarjuszem placikiem na ziemię...

Wszyscy poznali nieboszczyka starościca!...

Upiór jeszcze okropniejszy wydał wykrzyk i pędzej od błyskawicy przemknął się, jakby w powietrzu, przed oczyma widzów i zniknął w płomieniach.

A tu znowu jasna błyskawica rozdarła niebo, nowy grzmot wstrząsł powietrze, trzeci piorun głośniejszy od dwóch poprzednich uderzył w pobliżu, a wraz z wielkimi kroplami deszczu szalona zawyla burza.

Chata Kościa Bulija wydawała się jak jedna tylko olbrzymia głównia żarząca, a nagle burza w dzikie płomienie zakręciła wir.

I była to chwila nieokreślonej okropności i zgrozy... Samo piekło nie mogłoby się na straszniejszy zdobyć obraz!

A nie zazdrościć ludziom, co byli jej świadkami!

Sam Juljusz stał na miejscu jak wryty, napół nieprzytomny z przerażenia... nogi jakby mu przyrosły do ziemi... włosy kolcami najeżyły się na głowie...

A tu wicher z wściekłą wył gwałtownością i jak listkiem trząsł płomienną bryłą chaty!

I nagle ktoś jak z piekła wypadł ze środka i bez ducha legł przed tłumem...

Był to Katyliną od stóp do głowy w płomieniach.

Juljusz sam jeden miał siłę i przytomność poskoczyć ku niemu, ale na szczęście nie potrzeba było gasić jego sukien płomieniejących, bo tuż z nieba puściła się ulewa...

Opamiętując się powoli, śmielsi z przytomnych podnieśli się z ziemi.

Ale w tej samej chwili napowrót z piekielną zgrozą padli na kolana.

Niebo nową rozdarło się błyskawicą, nowym na ziemię strzeliło piorunem, a burza znowu z dzikim zawyłą hukiem i jak trąba zakręciła się wkoło.

Nagle w całej swej posadzie zatrzęsł się napół ugaszony zrab chaty i jakby rzucony o krok w górę z podobnym do grzmotu łomotem załamał i zapadł się cały.

— Boże miłosierdzia! — dzwonił zębami mandatarjusz i pięścią bił się w piersi.

— Boże, zmiłuj się nad nami! — wtórowali inni jednym pomieszanem echem.

A Juljusz oboma pięściami uderzył się w czoło i okropny jęk wyrwał się z jego piersi.

— Zginęła! — krzyknął — zginęła!...

I dzika rozpacz malowała się w jego twarzy, obląkanie patrzyło z oczu.

A tymczasem chmury porwane dzikim wichrem pomknęły wdał, deszcz po kilku chwilach ustał jak zakłęty, luna rozwiała się z widnokregu, a niebo na dalszym zachodzie zajaśniało blaskiem gwiazd i księżyca.

I tak nagle, w mgnieniu oka, zmienił się cały, nieokreślonej okropności obraz, że można go było wziąć raczej za senne złudzenie, za potworne mamidło wyobraźni, niż za jawną rzeczywistość...

Prócz nieszczęśliwego Chochelki, który zemdlął ze strachu, opamiętali się stopniowo wszyscy przerażeni świadkowie niedawnej szalonej gry żywiołów.

Podnieśli się z ziemi i patrząc z drżeniem i zgrozą na straszne dzieło zniszczenia, szepnęli prawie wszyscy jakby za jednym natchnieniem:

— Upiór!... Zginęła!

A Juljusz tylko ostatnie powtórzył słowo, ale powtórzył

z taką rozdzierającą boleścią i rozpaczą, że aż dreszcz przejmował słuchaczy...

Katyliną tymczasem leżał bez ducha na ziemi i ciągle jeszcze nie dawał najmniejszych oznaków życia...

XII

KOST' BULIJ

Nazajutrz przy zgłiszczach wczorajszego pożaru ważna i uroczysta odbywała się scena.

Pan mandatarjusz z całym swym sztabem urzędowym zjechał na miejsce układać sprawozdanie do zwierzchniej władzy, a zarazem wytoczyć śledztwo co do przyczyny pożaru.

Z ciekawości przybył jednocześnie i ważny świadek wczorajszy, nasz zacny Girgilewicz z gumiennym i atamanem.

A śnać wszyscy nie dobrze jeszcze przespali się po wczorajszym przestרחu, bo mandatarjusz wyglądał strasznie blady, oczy miał zapadłe, usta zapieczone, a nawet cokolwiek złamał się w postawie, a Girgilewicz więcej niż zazwyczaj siny wydawał się na twarzy, a oczy okrutnie wybałuszył na wierzch.

Biedny Chochelka, jak z krzyża zdjęty, siedzi przy przyniesionym ze wsi stole i za dyktatem mandatarjusza od gozdziny już spisuje szczegółową o wydarzonym przypadku relację.

Kilku chłopów przerzuciło z największym staraniem zgłiszczą całej chaty, dobyło z pod gruzów wiele sprzętów napół przepalonych, ale z trupa ludzkiego nie znalazł się nigdzie najmniejszy ślad widoczny.

— Nieboszczyk rozwiął się z dymem, — pomrukuja wszyscy — ale gdzież sam Kost' Bulij i ta młoda dziewczyna?

W samej rzeczy wszyscy widzieli jakąś młodą dziewczynę w oknie, na jej ratunek skoczył Katyliną w płomień, ku niej zdawał się biec upiór starościca, ale mimo to pozostała

nieuratowana wewnątrz chaty, kiedy skręcone wichrem ściany i zrąb dachu zapadły się w gruzy.

Gdzież się więc podziiała?

Spalić się na popiół nie mogła, bo pożar przygaszony nagłą ulewą nie poszedł do samego spodu.

Trup jej, mniej czy więcej uszkodzony, powinien być pozostać pod zgłiszczami, jak pozostało wiele sprzętów chaty.

Utrzymywał wprawdzie głośno i otwarcie jeden z parobków, że kiedy nieboszczyk pojawił się nagle i wskoczył w płomienie, a wszyscy przytomni plackiem padli na ziemię, on jeden podniósł oczy i widział najwyraźniej, jak upiór wśród gromów i błyskawic wleciał z dziewczyną w górę i wraz z wichrem, który pognał dalej burzę, pomknął z dzikim poświstem popod obłoki.

Ale jakoś mało kto temu wierzył, a Girgilewicz machnął ręką i rzekł po swojemu:

— Kłamiesz, durniu, *taj tylko!*

Zacny ekonom na inny, własny wpadł wykład.

— Starościc musiał rozlać się mazią, *taj tylko* — mówił z dobitnem przekonaniem, odwołując się do licznych podobnych podań ludowych.

— Ale cóż się stało z dziewczyną? — zapytał mandatarjusz.

Girgilewicz uśmiechnął się z politowaniem.

— To u pana sędziego była dziewczyna! Ba i bardzo, *taj tylko!*

— Widzieliśmy ją przecie na własne oczy — dowodził mandatarjusz.

— Furda, *taj tylko!* To zły duch przybrał postać ładnej dziewczyny, aby kogoś zwabić do płomieni, *taj tylko!*

Chłopom ten wykład wielce przypadł do przekonania.

— Tak, tak, musiało być, wielmożny panie, — popierał stary gumienny i przeżegnał się nabożnie — ja sam widziałem raz djabła, wracając w nocy z karczmy, a szelma w różne prze-rzucał się postacie. Raz przerzucił się nawet w moją żonę...

Mandatarjusz machnął ręką.

— Jakże tu o tem wszystkiem donieść cyrkulowi! — po-

szepnął — pan komisarz Schnoferl nie uwierzy temu i jeszcze gotów mnie wyśmiać! A tu przecie człowiek na własne oczy widział i tę dziewczynę i nieboszczyka.

— Nieboszczyk prawie o mnie otarł się ramieniem! — potwierdzał ataman i zadrżał cały.

— Ja ciągle jeszcze widzę jego oczy okropne — dorzucił ataman.

— Co tu gadać, *taj tylko* — zakończył Girgilewicz i w powietrzu zrobił krzyż święty. — Wszyscy przysięgliśmy na to jak jeden!

Mandatarjusz pokiwał głową i potarł z partesem¹ czuprynę.

— Dotychczas wierzyłem w filozofję, mości dobrodzieju, — przemówił po chwili — ale od wczoraj plunąłem na nią.

— Najlepiej pan sędzia zrobiłeś, bo to wszystko oszukaństwo, *taj tylko*.

— Ale gdzież się Kost' Bulij podział? — zagadnął znowu mandatarjusz.

— Podobno wybrał się gdzieś w drogę, — ozwał się wójt żwirowski — ludzie spotykali go z wozem i końmi na gościńcu.

Pan mandatarjusz znowu pokiwał głową i potarł czuprynę.

— Niech pan pisze, panie Chochelka — rzekł, układając dalszy tok niemieckiej relacji.

Ale wtem przerwał mu Girgilewicz głośnym wykrzykiem tryumfu.

— Jest, jest, *taj tylko!* — huknął z całego gardła.

— Dziewczyna!

— At! co tam dziewczyna! Maż, *taj tylko*.

— Jaka maż?

— Mówilem przecie, że starościc musiał rozlać się mazią. Otóż patrzcie, *taj tylko*.

Biedny ekonom nie mógł dać sobie rady i spokoju i dopóty nosem rył w zgliszczach, aż póki wśród węgla i popiołów zgorzałej do szczętu stodoły nie spostrzegł małą kałużę mazi.

<https://rcin.org.pl>

¹ z powagą.

Obok niej leżał spalony na węgiel koń i żelaziwa z jakiegoś wózka zgorzałego.

Czytelnicy przypomniał sobie, że w stodole za sianem i snopami stał ukryty koń i wózek znanego nam maziarza.

Girgilewicz nie posiadał się z radości nad swem odkryciem.

— Nie mówiłem, *taj tylko!* — powtarzał raz po raz.

— Maż, sprawiedliwa maż — wtórowali chłopci z wiarą i przekonaniem.

Ale wtem wszyscy głośny wydali wykrzyk, a pan Chochelka jak oparzony porwał się od stolika i chwycił się za połę atamana.

Przed zniszczoną zagrodę zajechał nagle szalonym pędem uprzężony wóz parą czarnymi końmi, a z niego wyskoczył Kost' Bulij.

A strasznie jakoś zmieniony wyglądał stary kozak.

Przerażająca bladość okrywała twarz całą, oczy jakimś złowieszczym, napół obłąkanym migwały ogniem, a zsiniałe usta drgały jak w kurczach.

— Co to jest? Co się stało? — zapytał ochryplym, urywanym głosem.

Mandatarjusz cofnął się wtył i jakieś mrowie przeszło go od stóp do głowy, a pod wpływem pierwszego wrażenia nikt nie mógł zdobyć się na odpowiedź.

— Cóż tu zaszło? — zasapał stary kozak.

— Nieszczęście, wielkie nieszczęście! — odezwał się pierwszy wójt.

— O tak, wielkie nieszczęście! — powtórzyli chłopci i mimo swej obawy i odrazy z współczuciem pokiwali głowami.

Chłopek nasz żadnego ciosu losu nie pojmuje lepiej, nie czuje głębiej jak klęskę pożaru, który w jednej chwili chłonąc jego dobytek, zdaje się zarazem uragać okrutnie jego żmudnej i ciężkiej pracy i z tego znoju przelanego bezowocnie i z tych trosk, obaw i nadziei, jakim ulegał rok cały.

Kost' Bulij drżał na całym ciele i dzikiem dokoła powodził spojrzaniem.

— I spaliło się co? — pytał dalej prawie w obłąkaniu.

— Wszystko — odpowiedział wójt cichym głosem.

Stary kozak wstrząsł gwałtownie głową i jakby jakieś ukryte przewyciężając wahanie, zawołał znowu z febrycznym pospiechem:

— W chacie nie była... nie było nikogo.

Wójt wzruszył ramionami.

— Tać w chacie była jakaś dziewczyna...

— I ocalała?! — wrzasnął kozak i swą olbrzymią dłonią pochwycił za ramię mówiącego.

— Gdzietam ocalała — ozwał się ataman z boku, bo biedny wójt okropnie przestraszony dotknięciem kozaka, nie miał nawet siły odpowiedzieć.

— Zginęła.

— Zginęła! — powtórzył okropnym głosem kozak.

I puszczając wójta, pochwycił oboma rękami atamana i zatrząsł nim jak słomą w powietrzu.

— Mów, jak było, co się stało, mów, mów! — wrzeszczał i trząsł swą ofiarą coraz silniej.

— Gwałtu, co chcecie, co robicie, poczekajcie!

— Cóż to, oszalałeś? — zawołał z swej strony mandatarjusz.

— Mówcie wszystko, jak było? — krzyczał dalej kozak.

— No cóż, jak było? — zawołał turmoszony¹ niewinnie ataman, wpadając w ferwor. — Przylecieliśmy wszyscy za późno, kiedy już zaczęły się palić ściany!... No... w oknie pokazała się jakaś młoda dziewczyna... no, dziedzic chciał ją ratować, ale nie puścił go komisarz.

— Nie puścił go! — zaryczał kozak przeraźliwie.

— Ta, bo sam rzucił się w płomienie... my już myśleli, że i on się spali, ale wtem no... załyskało, zagrzmiało, zaczęły bić pioruny... no... taj...

— Mówże — rozkazywał olbrzym napół szalony z samej ciekawości.

— No, taj pojawił się naraz nieboszczyk pan!

— Nieboszczyk pan!

<https://rcin.org.pl>

¹ wstrząsany.

— Aha! on sam! Zakrzyczał, że aż człowiekowi szpik zastygł w kościach i wskoczył w ogień, pan komisarz wyleciał nazad, a nieboszczyk sobie tam został, aż trzask, prask, rum, bum zawałiła się chata!

— Nad obojgiem?!

— Nad obojgiem.

Kost' Bulij jęknął, że aż zimny dreszcz przeszedł wszystkich przytomnych.

— Gdzież ich trupy! — wrzasnął i z dziką rozpaczą oboma pięściami uderzył się w czoło.

— Niema z nich ani śladu — ozwał się wójt.

— Zniknęły gdzieś zupełnie, *taj tylko* — przemówił nareszcie Girgilewicz, który przez cały ciąg tej sceny stał niemy i nieruchomy na boku.

— Zniknęli oboje z chaty — zawołał kozak z jakimś niepodobnym do opisanego wyrazem, a z oczu strzeliła mu jakaś zagadkowa błyskawica, jasny promyk nadziei.

I znowu oboma pięściami uderzył się w czoło i stanął nieruchomy na miejscu, jakby jakąś ukrytą ścigał myśl.

I nagle wstrząsł się gwałtownie i w całej swej postawie zaczął drzeć i chwiać się jak listek osiki.

Obecni chłopci w milczeniu potrząsali głowami, a Girgilewicz ze znaczeniem palcem powiódł po czole i mruknął przez zęby:

— *Taj tylko.*

Wtem Kost' Bulij wyprężył się w całej postawie i tak jakimś gniewnem i groźnem powiódł po wszystkich spojrzeniem, że biedny Chochelka aż przykląkł na obadwa kolana.

— A wy tu czego chcecie? — zagrmiał nagle dobitnym głosem. — To moja zagroda, moje obejście, kto was tu zaprosił?

Mandatarjusz mimo całej swej dumy i powagi uznał za rzecz stosowną cofnąć się o parę kroków i tłumaczyć się otwarcie:

— Przybyliśmy wyszukać trupa dziewczyny i ułożyć relację do cyrkułu.

Kost' Bulij rzucił się gwałtownie:

— Jakiej dziewczyny? tu nie było żadnej dziewczyny! —

zagrzmiał piorunującym głosem, w jednej chwili zmieniony nie do poznania.

— Ależ widzieliśmy ją wszyscy — ozwał się mandatarjusz.

— Łżesz, drabie! — huknął kozak, folgując zupełnie swej gwałtowności — przyszlście kraść, co mi zostało od ognia! Ale ja was tu nauczę!

— *Taj tylko!* — wybąknął Girgilewicz oniemiały z zdziwienia i indygnacji.

Mandatarjusz posiniał cały na tak srogą obelgę, doznaną wobec tyłu świadków.

— Co mówisz? — zawołał z półgroźbą.

Ale stary kozak straszny był w swej olbrzymiej, herkulicznej postaci, z temi napół obłąkanemi oczyma i konwulsyjnie drgającemi usty.

— Ejże nie żartujcie ze mną! fora, won! pókiście cali! — zawołał, a oczy dzikim rozgorzały mu blaskiem.

— Uciekajmy! — wrzasnął Chochelka, odzywając się z wielkim sensem po raz pierwszy w ciągu całej sceny.

— Chodźmy, bo to warjat! — mruknął mandatarjusz, cofając się copędzej.

Girgilewicz i chłopci nietyle zlekli się warjacji, co tajemnych sił czarodziejskich olbrzyma.

Toż hurmem posunęli za panem sędzią, a w jednej chwili jakby wymiółł, wypróżniła się spustoszona zagroda.

Kost' Bulij pozostał sam, a drżał ciągle jak listek i snąć trapiiony jakimś wewnętrznym niepokojem czy jakąś niecierpliwością niepowściągniłą, rzucał i miotał sobą na wszystkie strony i biegał jak szalony po całym obejściu.

— Zniknęli! zniknęli! — powtarzał raz po raz i oddychał ciężko, a ręką tarł po czole.

I nagle przystanął i nachylił ucho, czy daleko już odbiegły głosy wypłoszonej gawiedzi.

— Jeszcze ich słyszać... — mruknął.

I znowu zaczął kręcić się i biegać wokoło.

— Młody dziedzic chciał skakać... ten Katyliną nie dopuścił go, ale sam skoczył... i wszystko nic... — szeptał bez ładu, jakby rozpamiętywał tylko świeżo posłyszane słowa.

— A potem... potem...

Tu wstrząsł się cały i nadstawiając pilnie ucha ku gościńcowi, rozkrzyżował naraz ręce, jakby już nie chciał pasować się dłużej z samym sobą.

Poskoczył ku furtce ogrodowej i obzierając się dokoła bystrem i badawczem okiem, włożył dwa palce w gębę i świsnął głośno i w jakiś szczególny sposób.

I przystanął cicho z rozwartemi napół usty i bacznie wychylonem uchem, cały drżący jak listek.

Krótką chwilę trwało grobowe milczenie, tylko serce staroego kozaka biło jak młotem.

Nagle od strony ogrodu taki sam głośny i wyraźny ozwał się świst.

Kozak drgnął gwałtownie i padł na kolana.

Łzy jak groch spłynęły mu z oczu, pierś wydeła się wysoko, a twarz rozpromieniła dziwnem szczęściem i radością.

— Tam na wysepce! — mruknął urywanym tchem. — O dzięki, dzięki ci, Boże!...

Wieść o strasznych i dziwnych wypadkach w Żwirowie rozbiegła się lotem błyskawicy po całej okolicy, a zaraz rano doniosła się do uszu hrabstwa w Orkizowie.

Wszakże całe zasłyszane zdarzenie wyglądało tak dziwaczne, niepojęte, trudne do uwierzenia, że około południa hrabia wysłał umyślnie pisarza prowentowego do Oparek, aby bliższych i pewniejszych zaczerpnąć wiadomości.

Właśnie też w tej chwili cała rodzina hrabska z wielką niecierpliwością oczekuje powrotu posłańca.

Eugenja z Arturem patrzy w okno i prawie drży cała z niecierpliwości, a sama zimna i obojętna na wszystko hrabina wydaje się w jakimś nadzwyczajnem rozdrażnieniu.

Bo też niesłychane, niestworzone rzeczy rozpowiadali ludzie.

Pominąwszy wszelkie okraszy i ubarwienia samego pożaru, poświęcenia Katyliny i tragicznej śmierci dziewczyny, urosło i nagle pojawienie się nieboszczyka w tysiączne dziwaczne przydatki i potworne rozmiary.

Śród grzmotów, piorunów i błyskawic wyskoczył, jak mówiono, starościc z pod ziemi, wzbil się w górę na czarnym koniu o czarnych błonach niedoperzych, chwilę chwiał się i krążył nad głowami skamieniałych z przestachu widzów, potem jak strzała puścił się w sam środek płomieni i unosząc dziewczynę w jednym ramieniu, z dzikim poświstem wichru zniknął w beźmiernem przestworzu napowietrznem.

Inni jeszcze jaskrawszych barw dobierali do tego obrazu, a pocziwa Solczaniowa z własnej szczodrośliwości i na własną odpowiedzialność dołączyła jeszcze bezpłatnie trzęsienie ziemi i rześisty deszcz z samej siarki, krwi i ognistych meteorów.

Hrabiego wprowadzały zawsze w zły humor wieści o pośmiertnem pojawieniu się brata, to też chmurny i gniewny przechadzał się teraz po pokoju, a nieraz aż zanadto surowo karmił dziecinne wybryki niecierpliwości córki, która nie mogła doczekać się wyprawionego na zwiady pisarza.

Nareścież po dobrej nowej półgodzinie miał się zjawić gorąco pożądanym.

— Jedzie, jedzie! — wykrzyknął trzynastoletni Artur, a siedemnastoletnia Eugenia z dziecinną radością klasnęła w ręce i poskoczyła od okna ku kanapie, gdzie siedziała hrabina.

— Pan Barszczyk przyjechał — oznajmił tuż zaraz wchodzący lokaj.

— Niech tu przyjdzie — polecił hrabia.

Za krótką chwilę rozwarły się drzwi, a nieśmiało i niezgrabnie wśliznął się do pokoju pisarz prowontowy, pan Nicefor Barszczyk, z którego twarzą tępą i uśmiechem głupkowatym nie godziło się wcale przebiegłe spojrzenie i nos wybiegający w szpic ciekawy i dowcipny.

— Jesteś nareście — ozwał się hrabia. — Jakże się ma pan Juljusz?

Barszczyk oczywiście dla zasiągnięcia tej jedynie wiadomości wyprawiony był do Oparek.

Na zapytanie hrabiego pan Nicefor Barszczyk odkrząknął należycie, przelknął zawadzałego w gardle ślinę i napoły krztusząc się, napoły jakając przystąpił do zdawania relacji.

— Pan Juljusz zdrow zupełnie; kiedym przyjechał do

Oparek, miał właśnie jakąś konferencję z Kost'iem Bulijem, klucznikiem.

Hrabia prędko machnął ręką, jakby nie mile było mu wspomnienie starego kozaka.

— A cóż się dzieje z przyjacielem dziedzica? — zapytał dalej.

— Okropnie się popiekl, jasnie wielmożny panie, ale sprowadzonych dwóch doktorów nie tracą nadziei.

— A nie dowiedziałeś się pan czegoś bliższego o całym zdarzeniu? — wtrąciła niepowściągnięta w ciekawości hrabianka.

Pan Barszczyk zarumienił się aż powyżej uszu na zagadnienie hrabianki, znowu odkrząknął i odkasznął należycie i przewyciężając mimowolne pomieszanie ozwał się z pospiechem:

— Owszem dowiedziałem się wszystkiego jak najdokładniej... jasnie wielmożni państwo nie uwierzą, ile ludzie podobawali...

— A więc powiedz nam, co wiesz, tylko w krótkości — ozwał się hrabia siadając.

Pan Nicefor Barszczyk po nowych, należytych odkrzáknieniach opowiedział jak mógł najwierniej i najkrócej całe zdarzenie.

Odwaga, energja i poświęcenie się Katyliny silne na wszystkich zrobiły wrażenie.

— *C'est un diable incarné*¹ — poszepnęła hrabina.

— *C'est un héros*² — poprawiła córka, w której oczach postać niedawnego awanturnika zajaśniała nagle w blasku romantycznego bohaterstwa.

Niesłychanie jednak dziwny i zagadkowy wyglądał koniec opowiadania pana Barszczyka.

Nie zdawało się podlegać najmniejszej wątpliwości, że na miejscu pożaru pojawiła się nagle i niespodziewanie jak z pod ziemi jakaś postać ludzka, którą wszyscy wzięli za postać nieboszczyka starościca.

<https://rcin.org.pl>

¹ to djabeł wcielony.

² to bohater.

Domniemywany upiór rzucił się w płomień, w kilka chwil zawałił się nad nim cały płomieniejący zrab chaty, a pod gruzami nie znaleziono najmniejszego śladu ani po nim, ani po owej tajemniczej dziewczynie.

— Gdzież się więc podzieli oboje?

Hrabia skinieniem ręki odprawił Barszczyka, a obracając się do żony i córki, ozwał się żywo:

— Przypominacie sobie, że Juljusz wspominał nam dawniej o jakiejś młodej dziewczynie, którą przypadkowo spostrzegł w ogrodzie żwirowskiego dworu?

— To ta Najada czy Sylfida,¹ podobna do mnie! — krzyknęła hrabianka.

— *Je m'en souviens*² — szepnęła hrabina.

— Otóż to ona zapewne znajdowała się w chacie i znikła w tak osobliwszy sposób.

— Nierozwiązana zagadka!

— *Mais il faut avouer*,³ Juljusz znalazł się bardzo ładnie, *dans cette affaire*...⁴

Na wspomnienie Juljusza lekka chmura zawisła na czole hrabiego, młoda hrabianka jakieś szczególne zrobiła poruszenie.

— *A propos*⁵ — ozwała się nagle, przytłumiając jakieś skryte wahanie i posuwając się z pochlebneń przymileniem do ojca — nie mogłabym już wiedzieć, jakie tajemnicze znaczenie miała owa szczególna ze mną rozmowa?

— Która rozmowa? — poszepnął hrabia, a na czoło nowa nabiegła mu chmura.

— Przemawiałeś do mnie, ojcze, jakgdyby Juljusz miał zamiar starać się o moją rękę.

— Chciałem ci tylko dać do zrozumienia, że jeśli mu to w samej rzeczy przyszło na myśl, z mojej strony nie potrzebowałby się obawiać żadnej przeszkody.

Eugenja z dziwnym ruchem wydeła spodnią wargę.

Hrabia ściągnął brwi i ozwał się prędko, jakby kończąc rozmowę:

— Juljusz jest jednym z najszlachetniejszych ludzi, ja-

¹ nimfy greckie: wodna i leśna.

² przypominam to sobie.

³ lecz trzeba przyznać.

⁴ w tej sprawie.

⁵ ale.

kich kiedykolwiek znałem, a nosząc imię Żwirskich i w swem niedawnem ubóstwie nie o wiele oddalił się od nas stanowiskiem... Zresztą za kilka dni dowiesz się czegoś więcej w tej mierze.

— Za kilka dni! — powtórzyła hrabianka. — Może nowa jaka tajemnica?

Hrabia nie odpowiedział, zaczął nagle w zamyśleniu przechadzać się po pokoju, a po chwili przystanął i mruknął półgłosem jakby sam do siebie:

— Pocóż Kost' był dziś u Juljusza?

W tym momencie rozwarły się drzwi, a do pokoju wszedł lokaj z widocznym wyrazem pomieszczenia i przestrochu na twarzy.

— Jasny panie... — mruknął z zająknięciem.

— Cóż takiego?

— Ten, ten... Ko... Kost'... Bulij... klucznik zakłętego dworu...

— Kost' Bulij? — powtórzył hrabia mimowolnie i zadrżał zlekką.

— Kost' Bulij! — wykrzyknęła hrabianka, a oczy jej lśniły ciekawością.

— Przyjechał tutaj i chce się widzieć z jasnym panem.

— Ze mną?! — wykrzyknął hrabia z szczególniejszym naciskiem.

Od ośmnastu lat, od czasu śmierci nieboszczyka ojca i rozłączenia się z bratem, hrabia po raz pierwszy miał ujrzeć Kostia. Od owego czasu nie spotkał go nigdy w swem życiu.

To też jakby nie dowierzając słowom swego lokaja, powtórzył na nowo:

— Ze mną chce się widzieć?

— Sam na sam, powiada.

— Przyślij go do mojej kancelarji.

— Cóż to może być? — wykrzyknęła ciekawie hrabianka.

— *Une tête à tête mystérieuse!*¹ — poszepnęła hrabina.

Hrabia w niezwykle jakimś wzburzeniu skinął głową

<https://rcin.org.pl>

¹ w cztery oczy, tak tajemniczo.

na żonę i córkę, i nie mówiąc ani słowa, wybiegł z salonu i szybko skręcił ku swej kancelarji.

Za chwilę rozwarły się drzwi, a poważnie i uroczyście wszedł Kost' Bulij.

Hrabiego przeszedł lekki dreszcz na widok tej olbrzymiej, ponurej i groźnej prawie postaci, która tysiączne budziła w nim wspomnienia, a bardzo silnie wryła się w jego pamięć.

Kost' Bulij miał swój zwyczajny wyraz twarzy, tylko więcej jeszcze niż zazwyczaj urozystości przebijało się w jego ruchach i postaci.

Uklonił się nisko na wstępie i wyprężony po sam niemal sufit czekał spokojnie, aż go hrabia zagadnie.

Ale snąc sam jego widok jakieś przykre sprawiał na hrabiu wrażenie, bo długi czas stał milczący i nieruchomy i widocznie jakąś wewnętrzną staczał walkę.

— Chciałeś się ze mną widzieć, Kostiu — ozwał się nareszcie cokolwiek zmienionym głosem.

Kost' uklonił się w milczeniu.

— Cóż mi tedy powiesz?

Kost' sięgnął w zanadrze.

Hrabia z ciekawością i rodzajem lekkiego niepokoju towarzyszył oczyma temu poruszeniu.

Kost' wyjął jakiś żółkły kawał papieru i w uroczystym milczeniu podał go hrabiemu.

Hrabia drgnął.

— Pismo Mikołaja!... — szepnął.

Oczy starego kozaka roziskrzyły się jak dwa węgle, a brwi silniej ściągnęły się pod chmurnem czołem.

Hrabia trzymał list w drżących rękach i widocznie nie miał odwagi odczytać go w pierwszej chwili.

Wypatrzył się na kozaka niespokojnemi i pytającemi oczyma i przewracał w ręku wypłowiały papier na wszystkie strony.

Kost' Bulij, jakby się radował nieświadomą zgrozą hrabiego, milczał jak zaklęty.

— Co znaczy to pismo? — zapytał wreszcie brat starościca chwiejnym głosem.

— List — bąknął kozak lakonicznie.

— Od Mikołaja! od mego brata?!

Kozak uroczyście skinął głową.

Hrabiego zimne mrowie przeszło po całym ciele.

Odbierał list od nieboszczyka z rąk posłańca, który w całej swej postaci miał w tej chwili coś naprawdę nadziemskiego, demonicznego.

I chwilę stał niemy i nieruchomy z rozwartymi oczyma i drżącymi usty.

— Od mego brata? — wybąknął naraz powtórnie i drgnął gwałtownie.

— Pisał go na kilka godzin przed śmiercią — wycodził kozak zwolna i uroczyście.

— I teraz mi go dopiero przynosisz?

— Teraz.

— Cóż to ma znaczyć? — pytał hrabia dalej z febrycznym pospiechem, jakby koniecznie jakąś uspokajającą chciał otrzymać wiadomość.

— Niech jasny pan czyta!

Hrabia z gwałtownym impetem rozwarł list. Zawierał on tylko kilka wierszy.

«Bracie! Jeśli więcej może ci zależeć na błogosławieństwie brata umierającego, niż ci niegdyś zależało na uczuciach żyjącego, miej zupełne i nieograniczone zaufanie do Kost'ia Bulija, a każdemu jego słowu wierz ślepo, jakbyś słuchał mej własnej spowiedzi z za grobu. Bóg z tobą! Mikołaj».

Hrabia po przeczytaniu listu stał osłupiały na miejscu i pytającymi oczyma wypatrzył się na starego kozaka.

— Cóż znaczy ten list, dlaczego mi tak późno doręczasz? — wybąknął ledwie zrozumiale.

Kost' Bulij chwilę trwał w swym uporczywym milczeniu, a nagle ozwał się dziwnie uroczystym głosem:

— Mam jasnemu panu wyjaśnić wielkiej wagi tajemnicę...

— A ten list...

— Powinien mi zapewnić wiarę i zaufanie.

Hrabia bezwładnie rzucił się na fotel, jakby nie miał sił utrzymać się dłużej na nogach.

— Cóż mi powiesz? — zapytał.

A po gwałtownem zżymaniu się piersi, po drzeniu ręki i trupiej bladej twarzy widać było, jak silne wstrząsało nim wzruszenie.

— To, co wiem, mogę tylko w jednym wyjawić miejscu — odpowiedział stary kozak z właściwym sobie naciskiem.

— I gdzie to?

— W czerwonym pokoju żwirowskiego dworu.

Hrabia drgnął gwałtownie.

Czerwony pokój zakłętego dworu z swem uroczystem a ponurem przystrojeniem, gdzie przesiadywał obłąkany ojciec, a przebywał najchętniej brat nieboszczyk, zachował jakiś dziwnie złowieszczy charakter w młodocianych wspomnieniach hrabiego.

— Czy jasny pan się boi? — zapytał Kość Bulij.

Hrabia dumnie rzucił głowę. I w takich chwilach i wobec takich ludzi nie mógł i nie chciał uchodzić za tchórza.

— Boję się tylko naruszyć otwarty zakaz nieboszczyka brata.

— W tym wypadku pójdziesz jasny pan za najgorętszą wolą i życzeniem brata.

Hrabia z impetem potarł się po czole.

— I kiedyż mam stanąć?

— Dziś!

— Zaraz?

— O północy.

— O północy, dlaczegoż o północy?! — wykrzyknął hrabia, a nowy jakiś mimowolny przeszedł go dreszcz.

— Taka była wola umierającego brata. Tylko w czerwonym pokoju i o dwunastej w nocy mogę jasnemu panu odsłonić jego tajemnicę.

Hrabia znowu gwałtownie potarł czoło.

— Dobrze, — rzekł prędko — stanę dziś...

— Będę oczekiwał jaśnie pana w lipowej ulicy.

— Przybędę konno!

— Jasny pan przyrzeka mi to słowem swoim?

— Ręczę.

Kost' Bulij skłonił się nisko.

— Bogu oddaję — rzekł z swym uroczystym naciskiem i sztywnie i poważnie wyszedł z pokoju.

Hrabia z dreszczem obejrzał się dokoła, jak człowiek obudzony nagle z jakiegoś snu dziwnego.

XIII

SCHADZKA WE DWORZE

Prędzej niż się może spodziewała niejedna z pięknych czytelniczek, zbliżyliśmy się do rozwinięcia wypadków i zawiązań, które posłużyły za tło naszej powieści.

Za krótką chwilę rozsnują i wyświecą się wszystkie zagadki przed naszymi oczyma, zapowiedziana scena w czerwonym pokoju zakłętego dworu położy kres całemu działaniu.

Na zakręcie znanej nam ulicy lipowej Kost' Bulij czeka już od półgodziny.

Po wczorajszej burzy i walce żywiołów noc dziwnie piękna, spokojna, niebo jasne i pogodne, księżyc, otoczony rojem gwiazd, dziennym prawie blaskiem opromienia ziemię, a najlżejszy wietrzyk nie porusza się w drzewach.

Stary kozak siedzi pod tą samą rozłożystą lipą, pod którą maziarz oczekiwał wczoraj Juljusza.

Srebrny blask księżyca opromienia go od stóp do głowy i nadaje olbrzymiej jego postaci coś więcej jeszcze fantastycznego, przerażającego, złowrogiego.

Gęste krzaczaste brwi głębiej zasunęły mu się na oczy, usta i zęby zacisnęły się silniej, a twarz przybrała jakiś nadmiarę ponury i tajemniczy wyraz.

Snać jakieś ciężkie myśli odzywają mu się w pamięci, bo czasami wstrząśnie głową wśród głębokiej zadumy, a często zerknie z pod oka ku pustemu dworowi i coś niezrozumiale mruknie pod nosem.

Nagle podniósł się z ziemi i stanął oparty o lipę, a olbrzy-

nia postać jego wydaje się niemal potworną w półmroku księżycowego oświetlenia.

— Brat z bratem — mruknął bez związku i z impetem potarł się po czole.

I zerknął znowu ku narożnym oknom zakłętego dworu, a potem pilnie nadstawił ucho.

— Jedzie — poszeptał.

— Jedzie brat niegodny! — dodał półgłosem, a z oczu groźna strzeliła mu błyskawica.

Kość Bulij obok dawnych niechęci ku hrabiemu miał go jeszcze teraz za głównego i właściwego motora procesu przeciw testamentowi starościca.

— Skrzywdził brata za życia, — mruknął dalej sam do siebie — a po śmierci targnął się na jego sławę, z chciwości chciał z niego zrobić warjata... ale...

Tymczasem tętent zbliżył się pod samą ulicę, a sam hrabia pojawił się na zakręcie.

Kość zdjął kapelusz i postąpił naprzód.

Hrabia drgnął mimowolnie. Nagły widok olbrzymiej postaci starego kozaka mógł przestraszyć nawet i takiego, co zgóry przygotował się na jego spotkanie.

— Sława Bogu! — odezwał się kozak.

Hrabia kiwnął głową.

— Przyjechałem! — mruknął.

— Spieszmy, jasny panie — ozwał się Kość skwapliwie i tak prędko puścił się zaraz w głąb ulicy, że hrabia tylko cwałem jadąc, mógł dotrzymać mu kroku.

Nareszcie stanęli u wielkiej bramy wjazdowej.

Kość poskoczył spiesznie i dobywając wielki żelazny klucz z zanadru, z głośnym trzaskiem i skrzypem rozwarł obadwa skrzydła szerokiej bramy.

Hrabia milcząc wjechał na dziedziniec.

Kość z takim samym trzaskiem i loskotem zawarł drzwi napowrót.

Hrabiego przeszło czegoś mrowie od stóp do głowy. To przeraźliwe skrzypienie zardzewiałych zawiasów bramy miało

w sobie wśród głuchoj grobowej ciszy nocy coś naprawdę straszego i złowrogiego.

A jakby przebudzone nagłym tym trzaskiem i skrzypem ozwały się w tej samej chwili dzikim krzykiem sowy i puhacze w oficynach.

Hrabia był odważny z natury, a wolny od wszelkich przesądów i zabobonów z wychowania, a przecież jakiś dziwny, niepojęty ogarnął go strach i jakoś ciężko zrobiło mu się na piersiach.

Kost' Bulij zbliżył się do konia i znienacka pochwycił go za uźdę.

— Cóż to znaczy?! — krzyknął hrabia.

— Jasny pan zsiądzie...

— A cóż się z moim koniem stanie?

— Odprowadzę go do oficyn.

Hrabia skoczył na ziemię i rzucił cugle Kost'owi.

Kost' Bulij poprowadził konia ku zawalonym napół oficynom.

Hrabia pozostał sam na dziedzińcu, a coraz silniej ogarniała go owa jakaś nieświadoma, nieokreślona obawa i niespokojność. Zaczął sobie już wyrzucać, że ulegając pierwszemu popędowi sam jeden o tej porze przybył na schadzkę i radby się był z całej duszy wymknął napowrót.

Obejrzał się dokoła i znowu zimny przejął go dreszcz.

Przed nim jeżył się stary opuszczony dwór: okrążony rojami niedoperzy, opromieniony bladawym blaskiem księżyca, dziwnie jakąś straszną i fantastyczną miał w tej chwili postać.

Stada świrków¹ dały się przeraźliwie po wszystkich stronach, sowy i puhacze wrzeszczały w przyległych oficynach, a wewnątrz dworu jakieś głucho, złowrogie rozlegało się echo.

Stare, rozłożyste lipy, modrzewie i jasiony, ciągnące się rzędem wokoło dziedzińca, rzucały przed siebie długie i potworne cienia, i jakby jakimś kołem magicznem otoczyły cały przestronny dziedziniec.

Hrabia jakby dla nabrania otuchy i odwagi zaczął prędko przechadzać się wokoło.

¹ świerszczów.

— Pocóż tu właściwie przybyłem? — mruknął sam do siebie.

— Jakaż to tajemnicę ma mi zwierzyć Kost' Bulij?

I przystanął na miejscu, a głowę w głębokiej zadumie pochylił na piersi.

Wpadł na ten sam tok myśli, jakim oddawał się przez całą drogę, jadąc do Żwirowa.

Poznawał zupełnie jasno, że tak zwany dwór zaklęty jakaś dziwna i głęboka osłania tajemnica.

Lecz na czemże polegała ta tajemnica?

Po wczorajszej rozmowie z starym klucznikiem rozpa- miętywał pilnie, o ile tajemnica ta mogła w czemkolwiek od- nosić się do niego.

Jak już poznaliśmy mniej więcej, życie hrabiego i jego rodziny płynęło tak zwykłym i powszednim trybem, że chyba jakiś przypadek nieprzewidziany mógł je z jakimkolwiek nie- zwyczajnem połączyć zdarzeniem.

Od pierwszego dzieciństwa nie mógł hrabia, jak wiemy, pogodzić się z swym bratem starszym. Główna tego wina cię- żyła na jego matce, nieboszczce starościnie, która nie lubiła pa- sierba, a wszelkie pieszczoty zlewała na własnego jedynaka.

Pierwsze powstałe stąd zarody niechęci między oboma braćmi rozdmuchiwały się coraz gorzej z wzrostem w lata.

Starościc Mikołaj stronił od matki i przyrodniego brata, a trzymał się ciągle u boku obłąkanego ojca. Przeciwnie Zygmunt rzadko kiedy widywał ojca, nie odstępował nigdy boku matki.

Sprzeczność wychowania i temperamentu zrodziła w obu- dwu braciach rażącą sprzeczność charakterów, skłonności i wyo- brażeń, a kiedy już obadwaj dojrzeli w młodzieńców, zaszła pewna gwałtowna katastrofa, która dotychczasową niechęć dzie- cinną zmieniła w zawziętą nienawiść.

Katastrofę tę znamy po części z opowiadania mandata- rjusza, w pierwszych rozdziałach naszej powieści.

Ona to stanowiła jedyny cień w dotychczasowem życiu hrabiego, a jej wspomnienie dziwną i w tej chwili wywoływało w nim walkę.

Nie mógł zaprzeczyć, że starszy brat miał słuszny do niego żal, a przecież czuł się zupełnie niewinnym w własnem sumieniu.

— Mikołaj nie dał mi się nigdy wytłumaczyć! — szepnął w ciągu rozpamiętywań.

W samej rzeczy nieboszczyk starościc od owej katastrofy jakby nożem przeciął wszelkie stosunki z bratem.

Napróżno nawet po kilku latach ubiegłych hrabia Zygmunt kilkakrotnie zgłaszał się do niego. Uparty i niezłomny w swych postanowieniach starościc nie chciał ani słyszeć o żadnej ekskuzie,¹ unikał najzawzięciej wszelkiego zetknięcia się z hrabią, a wszelkie jego listy pojednawcze odsyłał nieodpieczętowane.

A trzeba oddać tę sprawiedliwość hrabiemu, że niezrażony tysiącnymi zawodami, a nawet nowymi urazami, starał się wszelkimi sposobami przebłagać gniew starszego brata i pragnął gorąco uniewinnić się z owego kroku, który stanowił główną przyczynę jego nieprzyjaźni i zawziętości.

Kiedy starościc po owej gwałtownej scenie z Mykitą Ołańczukiem popadł w tak ciężką chorobę, że już lekarze tracili nadzieję ocalenia go od śmierci, pospieszył hrabia Zygmunt co prędzej odwiedzić brata, ale na sam jego widok wstrząsł się chory gwałtownie i z gniewu i z wzruszenia popadł w zupełną nieprzytomność.

Po takim przyjęciu nie śmiał już hrabia po raz drugi pokazać się w Żwirowie, wszakże codziennie zasięgał troskliwie wiadomości o stanie chorego.

W czasie tej choroby pojawił się w Żwirowie, jak wiadomo, ów kwestarz tajemniczy, który tak przeważny na umysł i usposobienie starościca potrafił wywrzeć wpływ.

Nagła i uderzająca zmiana w całej naturze nieboszczyka podsuwała nadzieję, że długoletnia nienawiść braci da się przemienić przynajmniej w powierzchowną zgodę i przyjaźń.

Hrabia i wtedy robił pierwszy krok i zdawało się nawet, że tym razem pomyślnym skutkiem uwieńczy się jego usiłowanie, kiedy tuż nagle jak grom z jasnego nieba spadło owo

¹ tłumaczeniu się

śledztwo surowe, przed którego następstwami starościc musiał uciekać zagranicę.

I od tego czasu nie było już sposobności do wzajemnego zbliżenia.

Starościc przepędził czas niejakiś w Paryżu, w jawnych stosunkach z emigracją, a wezwany dziennikami do powrotu do kraju pod utratą praw austriackiego obywatelstwa, chciał podobno wracać do ojczyzny, kiedy go wtém nagła w Dreźnie zaskoczyła śmierć.

Hrabia, jako jedyny bliski krewny, objął całą puściznę, ale powrót Kost'ia Bulija z testamentem nieboszczyka w niespodziewany sposób zmienił stan rzeczy.

Hrabia poznał stąd najlepiej, że nieboszczyk umarł nieprzejeđnany, że i na łożu śmiertelnem zachował do jedynego brata żal, żywiony i podsycany za życia.

Od czasu zaś powrotu Kost'ia Bulija zaczęły rozbiegać się owe dziwne wieści o duchach i strachach zakłętego dworu, a nie mogło już podlegać najmniejszej wątpliwości, że wszystkie pogłoski tego rodzaju opierały się na jakichś tajemniczych wypadkach rzeczywistych.

Pominąwszy tysiąc innych głośnych w okolicy wieści, zachował hrabia w pamięci samo opowiadanie Juljusza i wreszcie najnowszą kilkunastu świadkami stwierdzoną scenę przy pożarze chaty Kost'ia Bulija.

Jakaż tedy tajemnica ukrywała się w murach zakłętego dworu, a w czem i o ile łączyła się z nieboszczykiem bratem?

Nad tem zapytaniem namozolił się już hrabia niejednokrotnie, a obecnie mając przed oczyma cały opisany powyżej skład rzeczy i stosunków, zachodził w głowę, w czem tajemnica ta mogła odnosić się do niego samego, i z jakich powodów, przyczyn i widoków chciał mu ją dziś wyjawić Kost' Bulij, o którego niechęci ku sobie najpewniejsze oddawna miał przeświadczenie.

Śród takiego rozmyślenia doczekał się powrotu Kost'ia Bulija.

— Pójdźmy, jasny panie, — ozwał się uroczystym głosem stary kozak.

Hrabia wstrząsł się zlekka, ale przytłumiając prędko jakieś mimowolne wahanie, postąpił śmiało naprzód.

— Prowadź!

Kost' Bulij w milczeniu skrzył wprost ku głównym drzwiom wchodowym.

Hrabia postępował za nim w głębokiem zamyśleniu.

— Przybyłem tu na zagadkowy list nieboszczyka brata — poszepnął w duchu — spełniam akt pietyzmu¹ dla jego ostatniej woli.

Kost' Bulij dobył tymczasem klucz z zanadrza i z głośnym trzaskiem rozwarł drzwi na ścieżaj.

— Proszę jaśnie pana — rzekł pokornym, ale uroczystym głosem.

Hrabia znowu zawahał się mimowolnie.

— Idź naprzód — rzekł nareszcie i zapiął wyżej surdut na piersiach, jakgdyby się obawiał, aby nie poznać gwałtowniejszego bicia serca.

Kost' Bulij postąpił naprzód, a zaraz przy drzwiach schylił się i podniósł coś z ziemi.

— Co to? — zapytał hrabia prędko.

— Latarnia, jasny panie.

I jednocześnie z temi słowy błysnęła zapalka, a za chwilę zatliła świeca w latarni.

Hrabia postąpił naprzód, Kost' Bulij cofnął się nagle wtył.

Niespodziewany ten ruch przestraszył naprawdę hrabiego. Odskoczył na bok jak oparzony i zapytał prędko z widocznem drżeniem głosu:

— Co to jest? co to znaczy?

— Zamknę drzwi, jasny panie — odparł kozak spokojnie.

I dobywszy klucz z odwrotnej strony z tym samym głośnym trzaskiem i łomotem zamknął drzwi na dwa spusty.

Hrabia znowu zadrgał gwałtownie.

Szczególna rzecz, nie lękał się żadnego wyraźnego niebezpieczeństwa dla siebie, a odważny z natury patrzyłby pewno bez drżenia w rurę wymierzonej ku swym piersiom krucicy

albo na ruch zawisłej nad swą głową szabli, a przecież w tej chwili jakiś srogi, tajemny, nieokreślony przejmował go strach.

Mimo to pewnym krokiem wstąpił za klucznikiem na szerokie schody marmurowe, które urywając się co kilka stopni, prowadziły na pierwsze piętro pałacu.

Głuche, przerażające echo odzywało się za każdym krokiem nocnych wędrowców.

Hrabia drżał jak listek, ale już nie z samej tylko nieświadomej zgrozy.

Schody te wywoływały w nim liczne i rozrzewniające wspomnienia z lat dziecięcych. Ileż to razy schodził tymi schodami z matką, boną lub guwernerem, a jak często odbierał surowe upomnienia, że dwa schody przeskakiwał naraz, chcąc dorównać Mikołajowi, dla którego pięć i sześć nie było wielką przeszkodą.

Raz był upadł przy podobnej próbie i do krwi skaleczył głowę, a ileż to potrzeba było pieśczot matki, aby uśmierzyć ból nieznośny.

Przeszło ośmnaście lat nie stąpił tu nogą, bo odwiedzając brata w czasie choroby, zwiedził tylko dół pałacu.

Stary kozak, jakby odgadując stan duszy hrabiego, obrócił się nagle i przyświecając latarnią dokoła, rzekł z pewnym naciskiem:

— Czy jasny pan widzi dobrze?

— Widzę. Idź tylko spieszniej!

Kość Bulij szybko postąpił naprzód, a niebawem stanął na górze.

Szeroki kurytarz rozbiegał się stąd na dwie strony, a wprost schodom wspaniałe znajdowały się drzwi.

Kość Bulij nie dobywał już klucza, pocisnął tylko za klamkę, a drzwi rozwarły się na ścieżaj.

Hrabia wzdrygnął się i odskoczył o krok.

Wiedział, że drzwi te prowadzą do czerwonego pokoju, o którym od lat dziecięcych nie mógł wspomnieć nigdy bez lekkiego drżenia.

W czerwonym pokoju uprzytomniał się zaraz obłąkany

ojciec, jak chudy, wynędzniały cierpieniem, a sztywny i nieruchomy jak mumja, siedział w swem krześle poręczowem, i głuchym, grobowym, jakby podziemnym głosem wołał nieustannie:

— Nie pozwalam! Protestuję!

Hrabia dzieckiem bardzo rzadko i to tylko w jakichś ważnych i uroczystych chwilach odwiedzał ojca w takim stanie. Nieboszczka starościna obawiała się owych jego chwilowych wybuchów gwałtowności, kiedy to, jak wiemy, dobywał karabeli i jak opętany rąbał w stół dębowy, mniemając, że mści zdradę Potockiego, Ponińskiego, Branickiego...

Kost' Bulij zdawał się spostrzegać wzruszenie hrabiego, bo czasami zerknął z pod oka ku niemu, a lekki uśmiech złośliwy osiadł na ustach.

— Jesteśmy już na miejscu, jasny panie — ozwał się narreszcie uroczystym głosem.

I przechodząc ów wielki, skórzanemi ławkami dokoła otoczony przedpokój, który znamy z wyprawy Katyliny, rozwarł na ścieżaj drzwi od czerwonej sali portretowej.

— Zaraz zapalę świecę, jasny panie — rzekł i latarkę postawił na ziemi, a sam postąpił ku znanemu nam mahoniovemu biurku i pozapalawszy woskowe świece w obudwu dwuramiennych kandelabrach, postawił je na szerokim stole dębowym w pośrodku sali.

Blask świec nie oświetlał jasno całej przestrzeni.

Dalsze rzędy portretów rodzinnych wyglądały jak w mgle, a ustawione po kątach zbroje i trofea wojenne przybierały w cieniu jakieś potworne, fantastyczne postacie.

Hrabia czuł, że mu serce bije gwałtownie, i jakieś zimne mrowie przechodziło go czasami od stóp do głowy. Znajdował się o północy w opuszczonej sali swych przodków w towarzystwie człowieka, który w całej swej postaci, w każdym ruchu i spojrzeniu miał coś naprawdę przerażającego.

Kost' Bulij odkąd wstąpił do czerwonego pokoju, wydawał się jeszcze surowszym i uroczystszy nawet niż przed chwilą. Twarz jego przybrała jakiś dziwny, niepodobny do opi-

sania wyraz. Stał nagle na miejscu jak wryty i skrzyżowawszy ręce na piersiach, wlepił wzrok nieruchomy w jeden kąt sali.

Hrabia powiódł oczyma po ścianach obwieszonych portretami, a mimo tajemnej zgrozy, jaka nim wstrząsała, wyprostował się nagle w całej postawie, a nawet uśmiech szczęścia i dumy rozjaśnił mu twarz zmieszaną.

Widok tyłu sławą okrytych przodków zdawał się niespodziewaną napawać go odwagą i otuchą, bo zapominając nagle o swej obawie nieświadomej, pochwylił za jeden lichtarz dwuramienny i postępując szybko ku ścianie, zaczął roziskrzonym okiem przypatrywać się rysom i postaciom swych szczytnych antenatów.¹

Kost' Bulij stał ciągle niemy i nieruchomy na jednym miejscu i dopiero po chwili obejrzał się za swym towarzyszem i z szczególniejszym wyrazem śledził każde jego poruszenie.

Hrabia prędko przechodził od portretu do portretu. Miął już cały rząd karmazynów,² wojewodów, kasztelanów, starostów, aż nagle stanął przed portretem ojca.

Na obrazie nie był to ów starzec siwowłosy z długą, siwą, w nieładzie rozwianą brodą, z owem smętnem obląkanem okiem, wybladły i zbolący na twarzy, jak go sobie przypominał hrabia z swych lat młodocianych.

Nieszczęścia ojczyzny, zamąciwszy mu rozum, złamały zarazem i jego siły fizyczne.

Malarz przedstawił go na płótnie w pełni siły męskiej, z czołem dumnym, okiem żywym i iskrzącym.

Był to możny jeszcze starosta, zwolennik konfederacji barskiej, nie rozpaczający o ocaleniu ojczyzny, niezłamany okrutnym zawodem i zwątpieniem.

Hrabia kilka chwil wpatrywał się w wydatne i szlachetne rysy ojca, a pierś wzdykała mu się coraz gwałtowniej.

Nagle postąpił o krok dalej i zatrzymał się przed wizerunkiem brata.

Wstrząsł się zlekka i z przytłumionem westchnieniem po kiwał głową.

¹ przodków

² tak nazywano bogatą szlachtę starożytnego rodu.

Z oczu Kost'ia Bulija strzeliła błyskawica.

Wypreżył się w całej postawie, brwi zasunął głęboko na oczy, a pozostawiając jedną rękę na piersiach, drugą podniósł w górę i przemówił głuchym a uroczystym głosem:

— Przypatrzcie mu się dobrze, jasny panie, bo to portret brata, którego skrzywdziście za życia i chcecie skrzywdzić po śmierci.

Hrabia odskoczył jak opętany, a nieprzygotowany na tak nagle i osobliwsze zagadnienie, omal lichtarza nie opuścił z przestachu.

— Co mówisz? — wykrzyknął.

Kost' Bulij w tej samej groźnej i uroczystej postawie postąpił o krok naprzód.

— Mówię, jasny panie, — ciągnął dalej z szczególnym naciskiem — że dość cierpienia sprawiliście nieboszczykowi panu mojemu za życia, i moglibyście dać mu już święty spokój po śmierci.

Hrabia rzucił się gwałtownie.

— Co to znaczy? — Nie rozumiem! — zawołał i wypatrzył się na starego kozaka osłupiałemi pod pierwszym wrażeniem oczyma.

Kost' Bulij ze złością zacisnął zęby.

— Może nieprawda? — szepnął.

Błada dotąd twarz hrabiego nabiegła nagle rumieńcem gniewu i oburzenia.

— Mój przyjacielu... — ozwał się, podnosząc głos.

Kost' Bulij zaśmiał się półgłosem.

— Nieprzyjemne wam to wspomnienie, jasny panie, wierzę.

Dotknięty w swej dumie magnat odzyskał swą zwykłą pewność i groźny i surowy wypreżył się w całej postawie.

— Cóż to sobie myślisz, łotrze! — krzyknął głośniejszym głosem i postąpił o krok naprzód.

Stary kozak stał nieporuszony na miejscu, a oczy zamigotały mu jeszcze groźniejszym niż dotychczas blaskiem.

— Zwolna, zwolna, jasny panie, — ozwał się z uroczystym

naciskiem. — Powstrzymajcie wasz gniew aż na koniec, kiedy posłyszycie całą prawdę.

Hrabia drgnął gwałtownie na złowrogi wyraz, jaki w tej chwili malował się w oczach i twarzy kozaka, ale prędko opamiętał się na nowo i jeszcze o krok postąpił naprzód.

— Więc to w zasadzkę mię złowileś, stary drabie? — ozwał się prędko.

Kost' Bulij znowu w dziwny uśmiechnął się sposób.

— Ha! — mruknął szyderczo — jasny pan stawisz zasadzki na cudze majątki, a przysłowie mówi: Kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada.

To już było za wiele dla dumnego, niesłusznie dotkniętego magnata. Trupia bladeść okryła twarz jego, a gniew i oburzenie wstrząsły nim całym do głębi.

— Łotrze! — krzyknął i zrobił gest, jakby chciał rzucić się na przeciwnika.

Kost' Bulij zaśmiał się z dziką złością.

— Ha, niemiło wam to słuchać, jasny panie, a przecież to wszystko prawda, święta prawda!

— Nie ukrzywdziliście starszego brata za życia? — ciągnął dalej z coraz większą gwałtownością — a teraz nie dybiecie na majątek, który przekazał komu innemu, nie chcecież z podłej chciwości poddać go po śmierci na pośmiewisko świata, nie mienicież go warjatem i półgłówkiem?...

Hrabia trząsł się jak we febrze z gniewu, a usta drgały mu konwulsyjnie.

— Milcz! — krzyknął, jakby napół nieprzytomny z oburzenia.

Stary kozak z szyderstwem i lekceważeniem wstrząsł głową.

— Ale pomyliliście się, pomylili, jasny panie! — ozwał się na nowo, nie zmieniając tonu.

Hrabia zgrzytnął zębami i ręką sięgnął do kieszeni surduta.

Kost' Bulij ciągnął dalej niezrażony;

— Chcieliście podać na pośmiewisko imię swego starszego brata, a tymczasem hańba spadnie na wasze własne.

Hrabia tupnął nogą i wydając głośny wykrzyk, poskoczył o dwa kroki naprzód.

Kost' Bulij mimowolnie cofnął się wtył i wyciągając rękę, zawołał groźnie:

— Jasny panie!

W ręku hrabiego lyskała lufa pistoletu.

— Nędzniku! myślałeś, że mię bezbronnego złowisz w zasadzkę! — zawołał i naprzód wyciągnął lufę pistoletu.

Kost' Bulij skrzyżował ręce na piersiach i w dziki wybuchł śmiech.

Hrabia cały drżący zamilkł i przystanął jak wryty na miejscu.

Śmiech ten miał w sobie coś niesłychanie przerażającego, prawie nieludzkiego.

— Żleście się zabezpieczyli, jasny panie, — ozwał się kozak z szyderczym naciskiem — macie kulę na żywych, ale co wam zostanie na umarłych?

To słowo *umarłych* wymówił stary kozak z tak dziwnym naciskiem, że wszystkie włosy najeżyły się na głowie hrabiego.

Kost' Bulij, jakby dla większego wrażenia zrobił krótką pauzę, a potem rękę podniósł do góry i cedził powoli i uroczyście:

— Jasny panie! czasami i nieboszczyki powstają z grobu!

W tej samej chwili jakby jakiś dzwon zagrobowy zaczął głucho i złowrogo bić stary zegar, umieszczony w jednym kącie sali.

— Dwunasta! — mruknął stary kozak ze znaczeniem.

A tuż w temże mgnieniu oka jakiś dziwny rozległ się łoskot... z głuchym chrzęstem zatrzęsły się zbroje i trofea wojenne w jednym rogu pokoju... a nagły prąd wiatru wionął po komnacie... i gasząc trzy świece na stole, czwartym pozostałym płomykiem zachwiał na wszystkie strony...

Hrabia obrócił się mimowolnie i nagle wykrzyk piekielnej zgrozy wyrwał się z jego piersi.

Opuścił pistolet i zafacząc się wtył padł bezsilnie na pobliski fotel...

Stary kozak przeraźliwym wybuchł śmiechem...

XIV

*REDIVIVUS!*¹

W przeciwną ścianę z trzaskiem ukryte rozwarły się drzwi, a w progu jakaś ludzka pojawiła się postać.

— Mikołaj! — wyszepnął napół nieżywy hrabia głosem bez wyrazu i dźwięku.

— Nieboszczyk! — wykrzyknął stary kozak z tryumfem i radością.

W samej rzeczy rzucić tylko okiem na wiszący na ścianie portret i stojącą we drzwiach postać, a nie można się łudzić ani chwili.

Był to starościc zmartwychwstały albo jego z drugiego świata zaklęty cień.

Stał nieruchomy jak posąg na miejscu, tylko oczy dziwnym jakimś blaskiem gorzały mu w głębokich jamach.

A po tych iskrzących się oczach, po tem czole wyniosłem i wypukłem, po tym nosie szeroko rozwartym u spodu i pięknie rozkrojonych a silnie zaciśniętych ustach, poznajemy przy bliższem rozpatrzeniu się tajemniczą figurę, co w przebraniu maziarza tak wielki i ważny wpływ wywierała na tok i rozwój naszej powieści.

Teraz dopiero znajdujemy wyjaśnienie, dlaczego wzdłuż i wszerz uwielbiany przez chłopów i mieszczan kum Dmytro, występował zawsze osmarowany mazią na twarzy, dlaczego kręcąc się po całej okolicy z umysłu zdawał się omijać wszystkie wsie żywirowskiego klucza, i dlaczego stawiony przed mandatarjuszem dla lekkiego zadrażnienia całą twarz owinał chustką.

Wyświeca nam się zarazem i owe nieograniczone przywiązanie, owa uległość bezwarunkowa, owa cześć bałwochwalcza, jaką wszędzie i zawsze objawiał mu Kost' Bulij.

¹ znowu oglądany, czyli zmartwychwstały.

Ale hrabia, nie widziawszy nigdy maziarza, a przekonany święcie o zgonie brata, wziął nagle jego pojawienie się za jakiś cień ułudny, za widmo upiora z drugiego świata i skamieniały z przestachu i zgrozy, napół obłąkanymi oczyma wpatrzył się w postać złowrogą.

Starościc chwilę jeszcze stał w progu nieruchomy jak z glazu, nagle postąpił o krok naprzód i przemówił cichym i uroczystym, a zarazem surowym i szorstkim głosem:

— Bracie! Zyguncie!

Hrabia w zabobonnym przestachu wyciągnął obie ręce przed siebie.

— Wszelki duch chwali Pana Boga! — wybąknął złamany zupełnie na duchu.

Na ustach starościca mignął uśmiech.

— Uspokój się, bracie, ja żyję — przemówił spokojnie i stanowczo.

— Żyjesz?! — wybełkotał hrabia, a w oczach jego malowała się niepewność i nieprzytomność.

W jednej chwili zdało mu się nagle, że go jakaś senna trapi mara.

I rzucił się gwałtownie w fotelu, a oboma rękami potarł oczy.

Starościc tymczasem powolnym krokiem zbliżył się ku niemu i zwolna położył mu rękę na ramieniu.

Hrabia drgnął i poskoczył w górę.

W piekielnym popłochu chciał wołać ratunku i szukać pomocy. Obejrzał się skwapliwie, a w drugim kącie sali jeżyła się tylko olbrzymia postać Kostia Bulija i iskrzyły się z pod gęstych brwi jego ponure, złowieszcze oczy.

Hrabia z dziką zgrozą powalił się bezsilny napowrót na fotel, a zdało mu się w pierwszym momencie, że rozum zaczyna mu się plątać pod wpływem tak okropnego wrażenia.

Starościc jeszcze raz rękę położył mu na ramieniu, a w twarzy jego zacierał się powoli wyraz surowy, groźny i zagniewany, z jakim pojawił się w sali.

— Ja żyję, bracie, powtórz mi to wiele łagodniej.

— Ty... t... ty... żyjesz? — wyjąkał hrabia.

— Czyż jeszcze nie wierzysz... dotknij się mej ręki!

Hrabia z szeroko rozwartemi oczyma patrzył ciągle na pół nieprzytomny w mniemane widmo zagrobowe.

— Żyjesz! Nie umarłeś! — wykrzyknął nareszcie, jakby przychodząc do siebie i pojmując stopniowo cały stan rzeczy.

— Uspokójże się! — przemówił znowu starościc.

— Żyjesz! żyjesz! i to ty, ty Mikołaju! — powtórzył hrabia znowu.

— Ja, twój jedyny brat, Zygmuncie.

— A twoja śmierć?

— Udana.

— A zwłoki pochowane w grobowcu?

— Nie moje.

— Nie twoje?!

— Pochowaliście ciało Oleksy Pańczaka.

— Twego drugiego kozaka. I ty żyjesz i wracasz?

Starościc z uśmiechem wstrząsł głową.

— Czy wracam do dawnego życia, pytasz? — ozwał się po krótkiej pauzie. — Niestety umarłem już dla świata i dla samego siebie.

— Ale żyjesz? — zapytał hrabia z naiwnym pospiechem.

— Żyję dla wielkiej i szlachetnej idei — odparł starościc, a w oczach dziwny lśnił mu żar.

Hrabia obiema rękami chwycił się za głowę.

— Nie wiem doprawdy, czy śnię czy czuвам. Jesteś dla mnie zagadką nierozwiązaną!

Starościc nagle ściągnął brwi, a twarz jego przybrała pierwotny surowy i ponury wyraz.

— Kazałem cię tu ściągnąć, bracie, — ozwał się po chwili — aby z tobą pomówić obszernie.

— O ja dawno tego pragnąłem! — ozwał się hrabia.

Na czoło starościca liczne nabiegły chmury.

— Kost' już przygotował cię po swojemu na treść naszej rozmowy.

— Jakto? — zawołał hrabia żywo. — Zarzuty, które mi śmiał robić w tej chwili...

— Są zarazem i moje.

— Twoje, mówisz!

Starościc wyprostował się chmurny i ponury.

— Pomówimy otwarcie, mój bracie — rzekł i nagle chwytając za najbliższy fotel, usiadł w pobliżu.

— Pomówimy po raz pierwszy od lat ośmnastu — dodał po chwili.

— Słucham cię, Mikołaju — ozwał się hrabia, a w głosie jego przebijało się silne wzruszenie.

Starościc zwiesił głowę na piersi i milczał czas niejakiś...

— Odkrywając ci na wstępie tajemnicę mojej śmierci, — przemówił naraz — dałem ci najlepszy dowód mego zaufania. Nie myśl, że w jakimś zaślepieniu złości i nienawiści podnoszę w tej chwili przeciw tobie głos zaskarżenia wobec wizerunków naszych przodków i wobec żywej tu jeszcze pamięci naszego ojca wspólnego.

Hrabia spuścił oczy ku ziemi i schmurzył czoło.

— Ależ jednocześnie pozwolisz mi się raz uniewinnić przed sobą — przemówił z naciskiem.

Na ustach starościca gorzki zaigrał uśmiech.

— Uniewinnić — szepnął i umilkł.

Hrabia Zygmunt szybko zabrał głos.

— Nie chcę i nie myślę wszelkiej zrzucić z siebie winy, lecz pewno nie zasłużyłem sobie na tak zawzięty gniew z twej strony...

Znowu gorzki uśmiech zaigrał na ustach starościca, a Kost' Bulij, co stał od początku sceny między oboma braćmi, usunął się w przeciwny kąt sali i westchnął głośno i żałośnie.

— Zaczniemy się tedy tłumaczyć — ozwał się starościc.

— Słucham twego zaskarżenia, Mikołaju.

Twarz starościca przybrała smętny i ponury wyraz.

— Przebaczysz mi, Zygmuncie, — rzekł cokolwiek chwiejnym głosem — że dla związku rzeczy nie będę oszczędzał i innej drogiej ci osoby.

— Mojej matki! — wykrzyknął hrabia żywo.

— Mojej macochy — wyszeptał starościc i głowę pochylił na piersi.

Hrabiemu wszystka krew wezbrała do głowy.

— Ona już od dziesięciu lat spoczywa w grobie — poszepnął i głos jego drżał silnie.

— I od dziesięciu lat jej przebaczyłem, a i teraz nie myślę ubliżać jej pamięci. Bez żalu i niewczesnego wyrzutu wspomnę tylko, co ominąć niepodobna.

— Słucham cię — rzekł¹ z zupełną determinacją.²

Starościc potarł ręką po czole i w zamyśleniu wstrząsł głową.

— Nie potrzebuję ci przypominać mych lat dziecięcych — ozwał się po niejakej pauzie. — Wiesz, że niemowlęciem straciłem matkę, a zaraz w rok otrzymałem macochę. Nie wiem, z jakich nieszczęsnych poszlak i skazówek zakroiłem w oczach ludzkich zaraz w pierwszym dzieciństwie na zupełnego idjotę, na stworzenie z urodzenia upośledzone na umyśle.

— Tak się zdawało wszystkim — poderwał hrabia, chcąc stanąć zaraz w obronie matki.

— I dlatego też nikt nie uznał godnem zająć się szczerze moim umysłem. Jak bydlę pozostawiono mię na sam wpływ ślepych instynktów — prawili dalej z cierpką goryczą.

— Mikołaju! Mikołaju! — przerwał łagodząc hrabia.

Starościc, nie zważając na to, ciągnął dalej:

— Ojciec mój podlegał już wówczas chwilowym napadom nieprzytomności, która się niebawem w zupełne zmieniła obłąkanie, inni nie czuli obowiązku rozwijać umysł idjoty, upośledzonego niedołęgi i tak wzrosłem w lata, umiejac zaledwie czytać i pisać, ciemny i nieokrzesany, dziki i gwałtowny, odpychany, upośledzany od wszystkich, a mianowicie od ciebie, mój bracie...

— Mikołaju! — przerwał na nowo hrabia z przykrem wzruszeniem.

Starościc wstrząsł głową.

— Jeszczeż póki bawiła we dworze pocziwa Tączewska, była przecież jakaś dusza na świecie, która się zajmowała mną i umysłem moim, ale kiedy ona opuściła dwór, zostałem i ja zupełnie opuszczony.

¹ powinno być: rzekł hrabia.

² stanowczością.

— Ależ zmiłuj się, miałeś wspólnych ze mną guwernerów — wtrącił hrabia.

— Lecz ci zgóry poczytywali mię za nieuka i idjotę, a tem samem drażnili do najwyższego moją dumę i mój upór. Z umysłu, na złość im odrzucałem od siebie wszelką naukę. Odpychałem wszystkich od siebie; brzydki, niezgrabny, dziki, głupkowaty Mikołaj nie znalazł nigdzie milszego schronienia jak w czerwonym pokoju u boku ojca, który z namiętnej miłości ojczyzny postradał rozum i zdrowie.

Tu głębokie wzruszenie wybiło się na jego twarzy, a dwie łzy lśniły mu w oczach.

— A ten ojciec w swem obląkaniu nauczył mię więcej, niż ciebie wszyscy twoi guwernerowie w swych rozumach...¹

I urwał nagle i ręką gwałtownie potarł po czole.

— Ale nie... nie o tem mi teraz mówić — zaczął na nowo. — W owym to czasie ciemny, dziki, namiętny, poznałem po raz pierwszy uczucie, o którym poprzednio nie miałem ani wyobrażenia.

— Ksenka — szepnął hrabia i mimowolnie głowę pochylił na piersi.

— Ksenka — powtórzył starościc z silnym naciskiem. — Tak, o niej mam mówić, Zygmuncie, ja kochałem ją szczerze.

— Prostą dziewczkę! — szepnął Zygmunt, nie podnosząc głowy.

Starościc dziwnym wybuchł śmiechem.

— Prostą dziewczkę, mówisz — zawołał zapalając się. — A nie pomnisz, że czem ja byłem wówczas w mojem zaniedbaniu i opuszczeniu, czemże to różniłem się od niej, w czem ją przewyższałem?... Byłem jej zupełnie równy pojęciem i umysłem, a instynktem jakoś nie wierzyłem nigdy w przywileje urodzenia!

Umilkł znowu i bystro wpatrzył się w twarz brata, który siedział ciągle nieruchomo z pochyloną na piersi głową.

¹ wykreślone przez cenzurę austriacką.

— Zygmuncie! — ozwał się nareszcie starościc dziwnie przenikającym głosem — czy wiedziałeś, jaką mi sprawiałeś boleść, na jak srogą narażałeś mię walkę uczuć?...

Zygmunt wstrząsł się cały i podnosząc głowę, zabierał głos z gorączkową skwapliwością.

— Ale dlaczegoż, bracie, nie pozwoliłeś się mi nigdy uniewinnić z tego kroku, dlaczegoż odtąd nie chciałeś nigdy usłyszeć ani jednego słowa z ust moich?

Starościc uśmiechnął się z goryczą.

Hrabia szybko ciągnął dalej:

— Zaślepiłeś się w prostej dziewczce do szaleństwa, do zupełnego zapomnienia się, odrzucałeś ze wzgardą wszelkie przedstawienia, wszelkie rady i upomnienia... Nie było innego środka uleczenia cię od silnej warjacji.

Starościc gwałtownie ściągnął brwi, a z oczu groźna strzeliła mu błyskawica.

Podniósł się cokolwiek z siedzenia i ozwał się szorstkim i surowym głosem:

— Więc i przed własnem sumieniem osłaniasz się maską faryzeuszowskiej obłudy. Aby mię uleczyć od urojonego szaleństwa, chciałeś mię przyprawić o rzeczywiste. Narzucając się na sędziego mych losów, zrobiłeś się zarazem siepakiem i wykonawcą swych własnych wyroków, godząc we mnie ciosem zdradzieckim, obłudnym i nikczemnym, mniemałeś mi wyświadczyć dobrodziejstwo! Czyn podły i haniebny chcesz liczyć za zasługę!...

— Mikołaju! bracie — ozwał się hrabia drżącym głosem i blady jak trup podniósł się także napół z swego siedzenia.

Starościc z goryczą wykrzywił usta.

— I nietylko, że skaziłeś, skalałeś, oplułeś, zdeптаłeś nogami najwyższe, najszlachetniejsze uczucie, do jakiego mogłem się wznieść w owym czasie, ale... — dodał i zgrzytnął zębami.

— Ale... — wyszepnął hrabia mechanicznie.

— Kazałeś mojej córce na wieki wstydzić się swej matki!

— Twej córce! — wybełkotał hrabia, przerażony.

— A czemże była owa Jadzia, którą do posagu matki dodałeś owemu kowalowi Niemcowi na Podgórzu?

— Jakto? ty... ty... wiesz, co zrobiłem z Kseńką? — wybekotał hrabia w najwyższym pomieszaniu.

— Wydałeś ją poniewczasie zamąż za kowala na Podgórzu i w jego i jej ręku zostawiłeś jedyne dziecko moje, córkę moją...

— Lecz ty ją znalazłeś!? — podchwycił hrabia prędko.

— Znalazłem! Znalazłem na twoje nieszczęście...

— Na moje nieszczęście? — powtórzył hrabia osłupiały. Starosta znowu usta wykrzywił z goryczą.

— Możesz teraz śmiało ojca jej ogłosić warjatem, szaleńcem... Umarły dla świata, umarły dla siebie samego, nie podniesie on głosu na swoją obronę... Ale, kiedy chciwą rękę wyciągniesz po jego, komu innemu przekazany majątek, wtedy wystąpi ona, córka potajemnie, ale prawnie uznana i adoptowana, i jednym słowem udaremni twoje niegodne trudy i zabiegi!

Hrabia wyprostował się w całej postaci, a żal i boleść malowała się w jego twarzy.

— Bracie! — zawołał rozrzewnionym głosem, zakrywając twarz rękoma. — Nie zasłużyłem na ten ostatni zarzut!

Staroście wstrząsł się zlekka, jakby mu się nagle żal zrobiło brata.

— Więc Zachlewicz na własną działa rękę? — zapytał skwapliwie.

Hrabia chwilę milczał, jakby chciał przytłumić naprzód swe gwałtowne wzruszenie.

— Prawda, — rzekł naraz z skruchą i wylaniem — zawińnięm wobec ciebie w latach młodości lekkomyślności i nierozwagi, ale czyż mię zaraz mniemasz zdolnym, do jednego niegodnego uczynku przyłączyć i drugi? O nie, nigdy, przenigdy! — zawołał i wzdrygnął się z odrazy.

I po krótkiej chwili obopólnego milczenia, zabrał głos na nowo i wypowiedział szczerze i otwarcie, jak dla przesadnych i uludnych widoków ambicji dał się obcej namowie nakłonić do nieszczęsnego procesu, którego żadnymi dwuznacznymi nie myślał popierać środkami, a którego skutek pomyślny chciał okupić ręką swej córki jedynej.

Staroście drgnął na to ostatnie zeznanie.

— Przeznaczyłeś ją Juljuszowi? — zapytał z dziwną skwapliwością.

— Dopiero po takim postanowieniu dałem się uwieść niecnym namowom przeniewierczego oficjalisty.

— Alboż Juljusz kocha twoją córkę?

— Tak mi się zdaje, czyli raczej tak mi się zdawało w początkach poznania.

Staroście odetchnął.

— A twoja córka? — zapytał po chwili.

— Eugenia jest bardzo dobrze wychowaną — odpowiedział prędko hrabia z znaczącym przyciskiem.

Staroście machnął ręką z ironicznym uśmiechem.

— To jeszcze nadzieja nie stracona! — mruknął.

I nagle krótką chwilę wypatrzył się w niemem milczeniu na wzruszoną twarz brata i cofając się o krok wtył, wstrząsł głową, jakby chciał jakieś gwałtowne przytłumić rozrzewnienie.

— Bracie! — zawołał nagle i rozwarł szeroko ramiona. — Zapomnijmy, co było.

— Mikołaju! — wykrzyknął hrabia ze łzami w oczach i rzucił się w objęcia brata...

I długą chwilę trzymali się obaj bracia w czułym, serdecznym uścisku. Po raz pierwszy uderzyły ich serca rodzeńskim ku sobie uczuciem, a sprzeczne dusze w bratnim zetknięciu się porozumieniu.

— Zygmuncie!

— Mikołaju! — wykrzyknęli obadwaj jednocześnie, i nowym serdecznym zespoili się uściskiem.

A stary kozak, co dotąd zimny i obojętny napozór stał na uboczu, zaczął nagle oboma rękami ocierać zwilżone oczy, a przyskakując ku obudwom pojednanym braciom, w rozrzewnieniu ścisnął ich kolana.

— Sława Bogu! sława! — szeptał z głębokiem nabożeństwem.

A podnosząc oczy ku hrabiemu, ozwał się drżącym z wzruszenia głosem: <https://rcin.org.pl>

— Przebaczenie mi, jasny panie, za surowo was sądziłem!

A w tej chwili, jakby anioł zesłany z nieba na utwierdzenie

nie bratniej zgody, jakby genjusz opiekuńczy szlachetnej rodziny, pojawiła się we drzwiach ukrytych niebiańska postać Jadzi.

— Moja córka! — wykrzyknął starościc.

— Jadzia! — zawołał hrabia i wyciągnął ku niej ramiona.

Jadzia była strasznie blada i jakby cierpiąca. Ubrana w bieli jedną rączkę trzymała owiniętą na szarfie jedwabnej.

— Mój ojcze! — wykrzyknęła swym dzwicznym, anielskim głosem i postąpiła naprzód.

Starościc pochwycił ją za wolną rękę.

— Twój stryj, Jadziu! — zawołał, stawiając ją przed bratem.

Hrabia z uczuciem przycisnął młodą dziewczynę do swych piersi.

— O nie, nietylko stryj — zawołał silnym głosem. — Miokołaju! ja cię już pojąłem, odgadłem przyczynę twojej śmierci udanej i twego obecnego przebrania! Żyj bez troski... ja będę opiekunem, ojcem twojej córki...

I znowu powtórzył się serdeczny uścisk obudwu braci.

A nie spostrzegli nawet w swem wzruszeniu i zajęciu, że przed chwilą głośny na dworze rozległ się świst, a Kost' Bulij szybko wybiegł z pokoju.

Jadzia, nie znająca całej tajemnicy ojca, wypatrzyła się zdziwionemi i prawie przestraszonymi oczyma w jego twarz rozrzewnioną.

Kilka słów wyświeciło jej cały stosunek.

— Ja to sam jestem owym mniemanym nieboszczykiem starościcem, o którym niejednokrotnie słyszałaś! — zawołał ojciec, a stryj uzupełnił resztę.

— Ale ten pożar! wasze ocalenie — wykrzyknął nagle hrabia, przypominając sobie całe to dziwne zdarzenie.

Starościc spoważniał na samo wspomnienie tej chwili.

— Cudem tylko uszliśmy śmierci — przemówił i oczy wzniosł ku niebu. — Omylony bezzasadnem podejrzeniem za późno przybyłem na miejsce pożaru. Cały dom już prawie dogorywał, ale jakaś dziwna i cudowna opieka boska czuwała nad córką moją. Pozbawiona przytomności leżała na ziemi całkiem nieuszkodzona. Rozpacz nadała mi jakieś nadziemskiej,

herkuleicznej siły i energii. Wpadłszy wpośród płomieni wyrzuciłem jedną ręką przez okno upadającego bez ducha Katylinę, a drugą uniosłem szczęśliwie Jadwigę...

— Uniosłeś gdzie? którądy? — poderwał hrabia prędko i ciekawie.

Na ustach starościca lekki zaigrał uśmiech.

— Przypominasz sobie zapewne, — rzekł — że pod dawniejszem mieszkaniem ogrodnika znajdowała się obszerna piwnica, przeznaczona na przechowywanie korzonków i cebulek kwiatów.

— Prawda, prawda, — zawołał hrabia żywo.

Starościc z uśmiechem ciągnął dalej:

— Kost' Bulij, zajmując mieszkanie ogrodnika, w pierwszej izbie chaty w kącie pod szerokim przypieckiem sporządził nowe drzwi do środka, a nadto ukrytym w krzakach wyłomem połączył piwnicę z ogrodem.

— A na cóż to? — zapytał hrabia mimowolnie.

Starościc uśmiechnął się ze znaczeniem.

— W chacie Kost'ia Bulija — ciągnął, cokolwiek zniżając głos — odbywałem¹ Lękając się zdrady i nagłego obskoczenia, przygotowaliśmy sobie drogę do ucieczki.

— Ah! — wykrzyknął hrabia i uderzył się w czoło. — Tędy uciekliście!

— Na nieopisaną zgrozę chłopów i Girgilewicza — dorzucił starościc wesoło.

Hrabia w nagłym zamyśleniu pokiwał głową.

— Pojmuję teraz wszystkie straszne wieści o zaklętym dworze.

Starościc uśmiechnął się smutno.

— Niestety dziś już nie ubezpieczają mnie one jak dawniej... Pojawienie się wobec tylu świadków przy pożarze ściganie zapewne komisję, śledztwo, poszukiwania... Jeszcze tej nocy muszę uchodzić z tych okolic.

— Na zawsze? — zapytała Jadzia z lekkim drżeniem.

<https://rcin.org.pl>

¹ wykreślone przez cenzurę, należy dopełnić: schadzek ze spiskowcami.

Na ustach starościca smętny zaigrał uśmiech.

— Moje dziecię, — poszepnął — umarli nie należą do siebie i nie znają żadnych węzłów i względów ziemskich.

— Nie rozumię cię, ojczu — wybąknęła strwożona dziewczyna.

Starościc wyprostował się w całej postawie, twarz jego przybrała dziwnie smętny i uroczysty wyraz, oczy osobliwszym migotały blaskiem.

— Powiedziałem wam już, kochani, — ozwał się po chwili z silnym naciskiem — że umarłem dla świata, dla siebie samego, dla was, i dla wszystkich, co mię znali. Starościc Mikołaj Żwirski nie żyje! Lepsza część jego istoty, jego duszy i natury, odrodziła się do nowego bytu poświęconego, oddanego jednej wyłącznie myśli. Na grobie starościca wziął namaszczenie swoje kum Dmytro.¹

Uroczyste słowa starościca przerwał nagle głośny wykrzyk.

Przed chwilą już stanął w progu niepostrzeżony Juljusz wraz z Kostiem Bulijem, który, jak wiadomo, na posłyszany świst na dworze wyszedł z pokoju.

Wszystkich oczy zwróciły się ku nim.

Jadzia zadrżała jak listek, a na bladej jej twarzy żywy rozlał się pąs.

Juljusz stał jak wryty na miejscu.

— Nieboszczyk starościc! — mruknął przerażony.

Starościc poskoczył ku niemu i chwytając go za rękę, zawołał, jakby dalej kontynuując zaczęłą przemowę.

— Tak nieboszczyk! nieboszczyk w całym pojęciu tego wyrazu! Starościc Żwirski przyszedł do przekonania za życia, że cała i jedyna nadzieja naszego odrodzenia leży w pojednaniu i solidarności z ludem. Ale, by ten lud spólną natchnąć myślą, ku jednej porwać zasadzie, jednymi przejąć celami, nie można przemawiać do niego z stanowiska, które winą wieków upły-

<https://rcin.org.pl>

¹ wykreślone przez cenzurę, jak i poprzednie słowa.

nionych budzi w nim tylko niechęć i nieufność. Chcąc pożądaną na lud wywrzeć wpływ, potrzeba zniżyć się do niego, przyswoić sobie jego obyczaje i wyobrażenia i przemawiać do jego serca jego własnym językiem. Oddany z duszą i z ciałem idei odrodzenia, starościc Żwirski chciał własnym przykładem stwierdzić swe przekonanie. Umarł zupełnie w dawnej postaci i istocie, a odżył w nowej, użyteczniejszej.¹ Zapomnijcie wszyscy o starościcu Żwirskim, a zachowajcie tylko pamięć i przywiązanie dla kuma Dmytra, który opuścił was niebawem, ale stanie w waszem gronie.²

Wszyscy w niemem milczeniu otoczyli maziara i wyrazem bałwochwalczego podziwu wpatrywali się w jego twarz, opromienioną blaskiem wyższego natchnienia.

— Ojcie! — wykrzyknęła Jadzia i rzuciła się ku jego piersiom.

— Bracie! — zawołał hrabia z lśnieniem okiem — tyś przewyższył naszych wielkich przodków.

A Juljusz stał na boku drżący jak listek. Rumieniec okrywał mu lica, szlachetny blask bił z oczu.

— Panie, — odezwał się naraz wzruszonym, ale pewnym i stanowczym głosem — do twoich wielkich zamiarów potrzeba i wielkich środków! Poznaawszy twoje cele, nie mogę żadną miarą zatrzymać twego daru. Składam go napowrót w twoje ręce, rozrządzaj nim raczej ku tryumfowi twojej idei.

Starościc z radością i uczuciem spojrział na młodzieńca. Ścisnął go serdecznie za rękę i rzekł z widocznem rozrzewaniem:

— Zatrzymaj go, zacny młodzieńcze, i działaj nim w swoim zakresie, w swojej sferze. Mnie pozostały środki dostateczne. Prócz znacznej zatrzymanej gotówki posiadam inne obfite źródło. Ojciec mój nieboszczyk powierzył mi w jednej z swych chwil jasnych, że w dworze znajduje się ukryty znaczny skarb rodzinny w złocie, który jeszcze dziad mój wyłącznie i jedynie przeznaczył na cele publiczne, *pro publico bono*. Jak ojciec

¹ wykreślone przez cenzurę austriacką.

² wykreślone przez cenzurę austriacką, rozumie się w dniu walki o wolność ojczyzny.

dziadowi, tak ja musiałem przysiąc ojcu, że skarbu tego nie tknę nigdy, chyba *pro publico bono*! Zdaje się jednak, że rozporządzając nim teraz, nie łamię przysięgi.

Juljusz wstrząsł głową niezachwiany w swem postanowieniu.

— Ależ panie, jam ci zupełnie obcy, a ty masz córkę!

W oczach starościca zagadkowy zamajaczył promyk.

Spojrzał bystro na młodzieńca, który z zachwytem i uwielbieniem wpatrzył się w tej chwili w cudną postać dziewczyny.

Twarz starościca zajaśniała, a dziwny uśmiech przemknął mu przez usta.

Pochwycił jedną ręką Jadwigę, drugą przyciągnął bliżej Juljusza.

— Tak, mam córkę, córkę jedyną, ubóstwianą, brat Zygmunt przyrzekł jej być ojcem, a ty, Juljuszu, mój synie, czemuś chcesz być dla niej...

— Bratem czy mężem? — dodał po chwili.

Jadzia krzyknęła i drżąca i zaploniona skryła twarzyczkę na piersiach ojca.

Juljusz stał chwilkę niemy i nieruchomy, jakby nagle szczęście olśniło i pozbawiło go przytomności.

— Ojciec mój! — krzyknął nagle napół szalony z radości i przyciskając gwałtownie jego rękę do ust, bezwiednie i mimowolnie pochylił się na kolana do stóp dziewczyny.

I prześliczna grupa utworzyła się nagle w tym ponurym blado oświetlonym pokoju.

Starościc z swą natchnioną, nadziemskim blaskiem opromienioną twarzą dziwnie wspaniale wyglądał wśród tych nadobnych postaci, drżących pod gwałtownem wzruszeniem i natłokiem wspólnych uczuć i nadziei!

Na boku stał hrabia poważny i imponujący, wzruszenie malowało się na jego twarzy, łzy lśniły w oczach, a wtyle za nim ukląkł stary kozak, drżał jak listek ze wzruszenia i zalewając się łzami szczęścia i radości, mruczał z ułożonemi na piersiach rękami w prostocie swej duszy pocziwej i szlachetnej:

— Boże! daj im tylko to, czego warci!

XV

ROZDZIAŁ OSTATNI

Poznawszy tajemnicę zakłętego dworu, stanęliśmy nareszcie u kresu powieści.

Wszystko, co pozostało jeszcze powiedzieć, czytelnik sam z siebie mógłby domyśleć się po większej części.

Wierny swym planom, pojednany z bratem i zapewniony o losie swej córki, staroście zaraz nazajutrz zniknął z okolicy.

Tajemnica jego śmierci, mimo surowego śledztwa wytoczonego wskutek pojawienia się nieboszczyka przy pożarze, pozostała nienaruszoną.

Bo też pomyślnym zbiegiem przypadków staroście bardzo zręcznie umiał omamić wszelkie pozory; śmierć jego w Dreźnie stwierdzały liczne niezbite dowody.

Staroście, przejeżdżając przez Niemcy po dłuższym pobycie w Paryżu, dla większego bezpieczeństwa przywdział był suknie swego kozaka Oleksy Pańczuka, jego zaś przebrał w swoje własne. W tak zmienionych postaciach przybyli do Dreznia. Tu zachorował nagle ciężko przebrany kozak, a najusilniejsza pomoc lekarzy nie mogła zachować go przy życiu. Wtedy to staroście pod natchnieniem wyższej myśli powziął swój plan szczególnie. Pozostał i nadal w swem *incognito*,¹ a owego kozaka dał po wszelkiej formie pochować za siebie samego.

Tym sposobem wyjaśniają nam się zupełnie dziwne wiadomości, jakie Zachlewicz zasięgnął w Dreźnie. Mniemany staroście wydawał się wszystkim w samej rzeczy, jeśli nie warjatem, to przynajmniej jakimś dziwakiem i niedołągą bez wszelkiego wychowania i wykształcenia, tem więcej, że wszędzie i zawsze szedł ślepo i bezwarunkowo za wolą swego kozaka, który tylko w oczach Kostia Bulija w swej właściwej przedstawiał się postaci.

Umarłszy i pochowawszy się *in effigie*² w Dreźnie, sta-

¹ jako nieznany.

² pozornie.

rościć z Kostiem Bulijem powrócił do kraju, a dalsze jego dzieje i działanie znamy z toku powieści.

Co się dalej z nim stało, niepodobna mimo najszczerzej chęci opowiedzieć w całości...

Powieść nasza toczyła się, jak wiadomo, w roku 1845. Rok następny, pamiętny w dziejach naszego kraju, nastręczył starościcowi szerokie pole działania, ale jak tyle ofiar innych, pochłonął go w sobie...

Tymczasem chcąc nie chcąc, musimy po tych tylko niewielu skazówkach rozstać się z naszym bohaterem

Hrabia Zygmunt Żwirski dotrzymał wiernie danego bratu w ostatniej rozmowie przyrzeczenia.

Odebrawszy od Kostia Bulija metrykę i akt adopcji Jadwigi, przyjął zupełną nad nią opiekę.

Oczywiście, że na pierwszą wieść o jej pojawieniu się Zachlewicz odstąpił cożywo od procesu. Wygrana, wobec pojawienia się bliższego od hrabi spadkobiercy, nie mogła mu już najmniejszej przynieść korzyści...

Juljusz zaraz w miesiąc dobrowolnie podzielił się majątkiem z właściwą sukcesorką, prowadząc ją z upojonem sercem do ołtarza.

Katylna, wygojony i uleczony, po raz pierwszy w swem życiu wystąpił w czarnym fraku i służył za drużbę przyjacielowi.

Eugenja drużbowiała Jadwidze, ale zaraz w kilka miesięcy poszła sama za jej przykładem i oddała rękę znanemu nam kuzynowi, hrabiemu Augustowi Wyklickiemu. Familijne, genealogiczne¹ podobieństwo między obiema siostrami stryjeczniemi pozostało na zawsze, owszem wzrosło zczasem jeszcze wyżej.

Hrabia oddalił na cztery wiatry Zachlewicza, a dzięki lepszej administracji uporządkował sprawy swe bardzo pomysłnie.

Dziś jest to magnat całą gębą, szanowany i poważany w kraju, należy do szczupłej liczby arystokracji polskiej, na której znaczenie składają się w równej części zasługi przodków,

cnoty osobiste i szczere i serdeczne wylanie dla kraju. Bardzo rzadko pokazuje się tylko we Lwowie, a unika jak ognia wszelkiego zetknięcia się z tak zwanymi arystokratami galicyjskimi, co to bądź dawne ekonomiczne plamy, bądź spekulanckie brudy lub ciepłe jeszcze z pod berłydków miejsca pookrywali pozorną politurą...

.....

Młody Artur Żwirski urósł dziś w dojrzałego młodzieńca, a rówieśnicy nazywają go ironicznie *sawantem*, bo zna całego Mickiewicza na palcach, i bierze żywy udział w ruchu ojczyściej literatury. Niektórzy obawiali się nawet, aby uchowaj Boże nie został sam literatem polskim, coby niesłychaną rzeczą wydało się w gronie galicyjsko-arystokratycznej młodzieży, nie umiejącej po polsku.

Pamięć brata zachowuje sam hrabia Zygmunt święcie w swem sercu, a jego tajemnicy przestrzega nawet i po rzeczywistej śmierci...

Pozostawiając sobie dalsze główne osoby naszej powieści na sam koniec, wypada nam wspomnieć naprzód jeszcze o kilku figurach podrzędniejszych.

Mykita Ołańczuk po podłożeniu pożaru zniknął bez wieści z okolicy i nikt nie wie, co się z nim stało.

Jedni mówią, że błąka się gdzieś po Podolu, drudzy utrzymują, że umarł w Samborze w wojskowym szpitalu, a naprzekór jednym i drugim utrzymywał jakiś dziad przechodzący, że się powiesił gdzieś koło Drohobycza na drzewie przy drodze...

.....

Czcigodny mandatarjusz pan Bonifacy Gągolewski, skompromitowany porozumieniem z Żachlewiczem, musiał po dwudziestu latach zejść z swej długo piastowanej posady. Czas jakiś siedział na «bruku», potem znalazł gdzieś obowiązek w wschodnich obwodach. Nie wiodło mu się już tak jak w Żwirowie, ale pocieszał się zawsze jak mógł.

Niebawem nastąpiła organizacja,¹ pan mandatarjusz osiadł w miasteczku na stałym mieszkaniu.

¹ władz administracyjnych, które zniosły ustrój dominikalny, a więc i mandatarjaty.

Czcigodna połowica wolniejsze życie zaczęła prowadzić w miasteczku, jakaś nieszczęśliwa spółka z żydem bankrutem pochłonęła całą żmudnie uciulaną gotówkę starego mandatarjusza, a tysiączne przykrości jak grad zlewają się na jego tak zacną i zasłużoną osobę.

— Pal djabli wszystko — mawia często były mandatarjusz z ciężkiem westchnieniem. — Nie było i nie będzie nad mandatarjuszów! Bogdajto mandatarjuszowskie czasy! Co mi tam szkodziło, że szelma żyd klóćąc się z drugim po wszystkich znanych słowach zelżywych dodawał zawsze ty taki, ty owaki, ty *mandator*! albo, że głupi chłop nie miał gorszego przekleństwa na niesforne i szkodne prosięta, gęsi, kury i kaczki jak: bogdaj cię mandator zjadł! Człowiek śmiał się z tego, a z tem wszystkiem miał i znaczenie i codziennie puchła mu kieszeń... a teraz!...

Nie dziw, że w takich chwilach kwasu i złego humoru, były mandatarjusz wpada w ferwor niezwykły i wzbiera żółcią i sarkazmem.

I ciągle pocziwiec żyje w tem przekonaniu, że bez mandatarjuszów nie można obejść się na świecie, i, że dziś jutro utworzy im się dawne pole działania.

— Galicja bez mandatarjuszów, to jak zegarek bez kółek — mawia.

A pierwsze zapytanie, kiedy gdzie przypadkowo spotka się z jakim dawnym znajomym, jest zawsze jedno i to samo:

— A nie słyhać tam co o mandatarjatach?

Nie powinnoż rozczulać tak szczere i serdeczne przywiązanie do swego dawnego stanu?

Nim jednak porzucimy czcigodnego wyobraziciela minionej u nas epoki jurydykcyjnej, musimy z swej strony dorzucić jedną uwagę. Charakteryzując pana Gągolewskiego, nie mieliśmy nigdy na myśli całego ogólnego stanu mandatarjuszów w Galicji, wpośród których, jak wiemy najlepiej, znajdowało się wielu ludzi zacnych, prawych i wylanych dla ojczyzny. Pan Bonifacy Gągolewski ma służyć za typ szczególny, za wyobraziciela większej, gorszej części mandatarjuszów, jak się urobiła i uformowała na swem anormalnem stanowisku. A mamy to

wewnętrzne przekonanie, że malując go, jeśli nie za bladych, to pewno nie za jaskrawych użyliśmy barw.

Od pana mandatarjusza najłatwiejsze i najstosowniejsze przejście do pana Gustawa Chochełki.

Nieoceniony aspirant erotycznego rymotwórstwa o sążnistych nogach i zawieszistych bakenbardach zrobił, jak mówią, w świecie karierę niesłychaną! Został diurnistą przy urzędzie podatkowym.

— Ale to przez szczególny przypadek — jak powiada sam.

Różnemi drogami idzie szczęście ludzkie! Z upływem czasu miał już wyleczyć się zupełnie z swego romantycznego usposobienia, ale w swoją tęgą głowę i powaby swych bakenbardów wierzy po dzień dzisiejszy...

Najtragiczniejszy los spotkał pocziwego Girgilewicza. Juljusz przebaczył mu udział w spisku z Żachlewiczem, ale nie mógł ścierpieć jego surowego obchodzenia się z chłopami. Po skończonym roku pan Girgilewicz wołał ustąpić z służby niż zmienić tryb postępowania.

— Chamom kłaniać się nie będę, *taj tylko* — mawiał z nieprzełamanym uporem. — Wiem kto do czego jest, cham do nahaja, *taj tylko!*

— A zresztą poco mi już w służbie stare tyrać kości, — dodawał — trzydzieści lat byłem na miejscu, uciulało się parę tysięcy, *taj tylko!*

I w samej rzeczy nie parę, ale przeszło sto tysięcy uciulało się w ciągu trzydziestoletniego administrowania buczalskiego klucza przy pierwotnem niedbalstwie starościca i następnym beładzie po jego śmierci udanej.

Pan Girgilewicz, jak wszystko zliczył i zabrał, co od tylu lat odkładał do skarby, aż sam krzyknął ze strachu i oburącz chwycił się za głowę.

A tu nadomiar przybywa zacna połowica i wysypuje na stół długą pończochę samych dukatów. Uzbierała je z samych wieprzów, prosiąt, gęsi, kur i kaczek, wykarmianych przez trzydzieści lat na pańskim pośladzie.

<https://reiner.org.pl>

— Jest z czem zacząć, *taj tylko!* — wykrzyknął i zatarł ręce.

A zaraz nazajutrz wraz z nieocenioną połowicą popędził co tchu do Lwowa.

— Jadę targować parę folwarków, *taj tylko* — poszepnął na ucho znajomym.

I targował się, targował długo! aż wreszcie dobił się własnej posiadłości.

I dziwne nieszczęście losu!

Zaledwie rozgospodarzył się na swoim i zaczął smakować w przyjętym tytule jaśnie wielmożnego, a co najgłówniej — cieszyć się niekontrolowaną władzą nad swymi poddanymi, aż tu — o furje piekielne! w jednej chwili ustaje pańszczyzna, zrywają się węzły poddańcze!

W Girgilewicza jakby grom uderzył z jasnego nieba. Duszno mu się nagle zrobiło w piersiach, ciemno w oczach, bezładnie w głowie.

— Koniec świata, *taj tylko!* — mruknął na pierwszą o tem wiadomość.

I od tej chwili, jakgdyby kto jednym zamachem starł na miazgę całą jego dawną energję i istotę, zmienił się do niepoznania.

Pogrzebowy smutek rozlał się na jego twarzy, boleść i zwątpienie zwierciadliły się w oczach.

Cały świat wydał mu się jakoś pustym, dzikim a posępny, jak sam przedsionek piekła. Nic go nie zajęło, nic nie rozweseliło, chodził smutny i ponury z wybladłą twarzą, zapadłemi oczyma, zapiekłemi usty, jak upiór z drugiego świata.

— Niema co robić na świecie, *taj tylko* — powtarzał raz po raz.

Wszystkie dawniejsze wyobrażenia starego ekonoma powaliły się w gruzy na wieki, a nie było ani chęci ani materiału tworzyć nowe.

Nie jadł, nie pił, nie spał, a w krótkim czasie zwiędł i zeschł, jak u jego ulubionego nahaja trzon z sarniej nóżki.

— Koniec świata, *taj tylko* — powtarzał nieustannie i wzdychał ciężko i żałośnie.

I bez żalu, bez smutku rozstał się z tym światem po kilku miesiącach, przebytych bez pańszczyzny i poddaństwa. Ostatnie jego słowa były:

— *Furda, ani rusz bez pańszczyzny, taj tylko!*

W testamencie swym ślubował sto mszy Bogu, jeśli wróćą dawne stosunki, a cham zostanie nazad chamem — *taj tylko*, jak dopisał własną ręką.

Jego syn jedyny objął majątek, a zasilony indemnizacją,¹ mieszka stale we Lwowie i należy do naszej tak zwanej galijskiej młodzieży *merinosowej*.²

Ugania konno wzdłuż wałów i po wysokim zamku, ambonuje³ krzesło na balkonie...

Rodzoniuteńki wnuk karczemnego stróża Jurka Giergoły, bezpośredni potomek ekonoma Onufrego Girgilewicza, poprostu na Wojtka ochrzczony, podpisuje się dziś na biletach wizytowych *Le chevalier Adalbert de Gergolicki*.⁴

Niech żyje arystokracja rodowa!...

.....

A cóż się stało z Zaklętym dworem, z Juljuszem, Jadzią, Kostiem Bulijem, a przedewszystkiem z Katyliną? wszak to najglówniejsze figury powieści! — wykrzykniesz może piękna a niecierpliwa czytelniczko.

Przyznam ci się, że wbrew przyjętym obyczajom powieściopisarskim umyślnie pozostawiłem je na sam koniec, jedynie, aby aż do ostatniego wiersza przetrzymać ciekawość twoją.

Dwór zaklęty, upiększony i zrestaurowany, jest dzisiaj siedzibą Juljusza i pięknej małżonki. Odkąd przestał osłaniać tajemnicze zabiegi maziarza, upadł zarazem ciężący na nim warunek testamentu starościca.

¹ odszkodowanie, które przyznano właścicielom ziemskich majątków za zniesioną w r. 1848 pańszczyznę i połączone z nią powinności poddańcze.

² tak nazywano we Lwowie synów ludzi świeżo wzbogaconych, spędzających czas lekkomyślnie.

³ składa zgóry opłatę za użytkowanie.

⁴ kawaler, jako tytuł szlachecki.

Kost' Bulij odbudował się na dawnem miejscu i jest w ciągłych stosunkach z dworem, Juljusz i Jadwiga czczą i kochają w nim najwierniejszego przyjaciela nieboszczyka starościca, a stary kozak przylgnął z taką samą nieograniczoną miłością, z tem samem bezwarunkowem poświęceniem do dzieci, jakiem tchnął niegdyś dla ojca.

Posiwał jak gołąb i więcej jeszcze jak dawniej stał się milczącym i małomownym, ale nigdy nie wierzy, aby staroście umarł naprawdę.

— Przyjdzie on, przyjdzie, niech tylko wybije godzina!... — powiada zawsze niezachwiany w swem przekonaniu.

Cóż jeszcze powiedzieć o Jadwidze i Juljuszu?

Bóg zda się wysłuchał modlitwy Kost'ia Bulija i złał na nich to szczęście i błogosławieństwo, na jakie zasługują szlachetnością swych dusz i serc kochających.

Troje prześlicznych dzieł uswięciło już dotąd ich związek i wzajemną miłość bez granic, a dalszy przyrost w nadziei.

Pamięć starościca tkwi święta i nienaruszona w sercach obojga, a Juljusz trwa wierny i niezachwiany w swych zasadach... Pracuje gorliwie dla idei odrodzenia, majątkiem i własnym udziałem popiera silnie każdy cel narodowy, każdy błysk i objaw narodowego ducha, a nie ustaje w zabiegach ku oświeceniu i przyjednaniu ludu...

Dlaczegoż to tak rzadki przykład pośród naszej szlachty, która umie jeszcze wprawdzie kochać ojczyznę, a nie chce czy nie umie objawiać tej miłości... czynem i poświęceniem?

.....

Katylina, acz uszlachetniony i podniesiony moralnie, nie wyleczył się nigdy z swych niesfornych i awanturniczych popędów, lecz odtąd umiał im zawsze podsunąć pewien cel szlachetny, nadać pewien kierunek godny...

Trzy tygodnie przeleżał na rany od pożaru, a ta ciężka próba przyczyniła się także niemało, aby szlachetną jego w gruncie duszę, niezrównane serce i jedyny charakter oczyścić i uwolnić od zgubnych zadawnionych przywar i skłonności, które czasem mogły go zwichnąć zupełnie,

Katylińa zachował zawsze swój humor wesóły i niezachwiany, swą otwartość szczerą i serdeczną, swą energję zuchwałą i niepokahowaną, ale nauczył się czuć delikatniej i pojmować subtelniej obowiązki honoru.

W jego fizjognomji nawet zatarł się ów jaskrawy wyraz niepoprawnej efronterji¹ i cynicznego sardonizmu;² a w charakterze najmniej po nich nie został ślad.

— Skąpałem się nareszcie w pokoście przyzwoitości towarzyskiej, podkadziłem się dymem względów światowych — mawiał sam o sobie w swych właściwych drastycznych porównaniach.

Śnać jednak wrażenie, jakie sprawiła na nim niedawna tajemnicza nimfa zakłętego dworu, było głębsze i silniejsze, niż się zdawało pierwotnie, bo zaraz po ślubie przyjaciela wyniósł się z jego domu.

— Ocalony z jednego ognia, na co mi igrać z drugim niebezpieczniejszym? — wynurzył się z szczerą otwartością.

Juljusz nie mógł zapomnieć jego poświęcenia i zmusił go najusilniejszymi zakłęciami przyjąć dzierżawę Szypałówki, jednego z odleglejszych folwarków żwirowskiego klucza.

Ale niedługo przesiedział na niej spokojnie zapamiętały zwolennik niezwykłych przygód i burzliwszych zapasów życia. Przejęty ideą starościca wplątał się w wypadki następnego roku i tak żywy i ważny wziął w nich udział, że po rozbiciu się wszystkiego popadł w pierwszej instancji karze śmierci, zmniejszonej potem w dwudziestoletnie więzienie.

Ogólna amnestja w dwa lata później powróciła go napowrót na łono ojczyzny, ale znowu nie na długo.

Katylińa wżył się całą duszą i istotą w ówczesny stan rzeczy i stosunków. Lecz po rozmaitych kolejach w kilkanaście miesięcy znalazł się w Turcji, a przyjmując islam wraz z swym wodzem,³ pozostał w służbie tureckiej, obsypywany z każdym rokiem nowymi zaszczytami.

¹ buty.

² szyderstwa.

³ M. Chałem Czajkowskim czyli Sadykiem Baszą.

I szczęśliwszy od swego wodza, doczekał się niebawem walki z Rosją, w której szczytny i świetny wziął udział.¹

A teraz, mój łaskawy i niełaskawy czytelniku, radzi nie-radzi musimy pożegnać się z sobą. Jeśli tu i owdzie w toku opowiadania zawiele kazałem ci własnym odgadywać domysłem, to poznasz snadnie, że to wina przedmiotu i treści, a nie biednego autora.

KONIEC



Arh. 57/53 d. 1

Pierwsza serja

BIBLIOTEKI NARODOWEJ

obejmuje:

- Kochanowskiego TRENY, w opracowaniu prof. *Tadeusza Sinki* (Nr. 1)
Słowackiego KORDJAN, w oprac. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 2)
Kochanowskiego ODPRAWA POSŁÓW, w oprac. *T. Sinki* (Nr. 3)
Niemcewicza POWROT POSŁA, w oprac. prof. *Stan. Kota* (Nr. 4)
Lenartowicza WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *M. Janika* (Nr. 5)
Mickiewicza POEZJE (Tom I), w opr. prof. *Józefa Kallenbacha* (Nr. 6)
Słowackiego ANHELLI, w opracow. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 7)
Towiańskiego WYBOR PISM, w oprac. prof. *Stan. Pigionia* (Nr. 8)
Felińskiego BARBARA RADZIWIŁŁOWNA, w opracowaniu prof. *Maryjana Szyjkowskiego* (Nr. 9)
Brodzińskiego O KLASYCZNOŚCI I ROMANTYCZNOŚCI, w opracowaniu prof. *Aleksandra Łuckiego* (Nr. 10)
Mickiewicza DZIADY WILENSKIE, w opr. prof. *J. Kallenbacha* (Nr. 11)
Żółkiewskiego PAMIĘTNIKI O WOJNIE MOSKIEWSKIEJ, w opracowaniu prof. *Wacława Sobieskiego* (Nr. 12)
Słowackiego BENIOWSKI, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 13/14)
Kopernika WYBOR PISM, w oprac. prof. *L. Birkenmajera* (Nr. 15)
Słowackiego LILLA WENEDA, w opr. prof. *Michała Janika* (Nr. 16)
Mickiewicza KSIĘGI NARODU I PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO, w opracowaniu prof. *Stanisława Pigionia* (Nr. 17)
Kraśńskiego PRZEDŚWIT, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 18)
Potockiego WIERSE, w opracowaniu prof. *A. Brücknera* (Nr. 19)
Mickiewicza DZIADY, CZĘŚĆ III, w opr. prof. *J. Kallenbacha* (Nr. 20)
Pola PIESN O ZIEMI NASZEJ, w opr. dyr. *R. Zawilińskiego* (Nr. 21)
Fredry SLUBY PANIENSKIE, w opr. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 22)
Czartoryskiej MALWINA, w opr. prof. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 23)
Kraśńskiego NIEBOSKA KOMEDIA, w opr. prof. *J. Kleinera* (Nr. 24)
Korzeniowskiego SPEKULANT, w opr. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 25)
POLSKA PIESN LUDOWA, w opr. prof. *J. St. Bystronia* (Nr. 26)
Mickiewicza TRYBUNA LUDOW, w oprac. red. *E. Haeckera* (Nr. 27)
Korzeniowskiego KOLLOKACJA, w op. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 28)
Słowackiego KSIĄDZ MAREK, w oprac. *St. Turowskiego* (Nr. 29)
Zaleskiego WYBOR POEZYJ, w opr. prof. *Józefa Tretiaka* (Nr. 30)
Długosza BITWA GRUNWALDZKA, w opr. *J. Dąbrowskiego* (Nr. 31)
Fredry ZEMSTA, w oprac. prof. *Eugenjusza Kucharskiego* (Nr. 32)
Pola PIESNI JANUSZA, w opr. prof. *Józefa Kallenbacha* (Nr. 33)
Brodzińskiego WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *Al. Łuckiego* (Nr. 34)
Konarskiego WYBOR PISM POLITYCZNYCH, w opracowaniu prof. *Władysława Konopczyńskiego* (Nr. 35)
Fredry PAN JOWIALSKI, w oprac. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 36)
Ujejskiego WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *M. Janika* (Nr. 37)
Bliźńskiego PAN DAMAZA, w opr. *Dra Z. Nowakowskiego* (Nr. 38)
Romanowskiego DZIEWCZE Z SACZA, w opr. *Dr. St. Lama* (Nr. 39)
Reja WYBOR PISM, w oprac. prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 40)
Krasickiego DOSWIADCZYŃSKIEGO PRZYPADKI, w opracowaniu prof. *Bronisława Gubrynowicza* (Nr. 41)

- Kraśińskiego IRYDION, w oprac. prof. *Tadeusza Sinki* (Nr. 42)
 Słowackiego MINDOWE, w opracow. prof. *Wiktora Hahna* (Nr. 43)
 Goszczyńskiego ZAMEK KANIOWSKI, w op. prof. *J. Tretiaka* (Nr. 44)
 Sowińskiego WYBOR POEZYJ, w opr. dyr. *Wł. Brydy* (Nr. 45)
 Malczewskiego MARJA, w oprac. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 46)
 Słowackiego POWIESCI POETYCKIE, w opr. *M. Kridla* (Nr. 47)
 SIELANKA POLSKA W XVII WIEKU, w opr. *A. Brücknera* (Nr. 48)
 Słowackiego TRZY POEMATA, w opr. prof. *Józ. Maurera* (Nr. 49)
 Goszczyńskiego KROLZAMCZYSKA, w opr. prof. *J. Tretiaka* (Nr. 50)
 Słowackiego BALLADYNA, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 51)
 Pola MOHORT, w opracowaniu prof. *Aleksandra Łuckiego* (Nr. 52)
 Kraszewskiego STARA BASN, w opr. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 53)
 Syrokomli WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *Fr. Bielaka* (Nr. 54)
 Kraszewskiego BUDNIK, w oprac. prof. *Wiktora Hahna* (Nr. 55)
 Mochackiego O LITERATURZE POLSKIEJ XIX WIEKU, w opracowaniu prof. *Henryka Życzynskiego* (Nr. 56)
 Słowackiego SEN SREBRNY SALOMEI, opr. *S. Turowskiego* (Nr. 57)
 Kraszewski POWROT DO GNIAZDA, w opr. *W. Hahna* (Nr. 58)
 Galla-Anonima KRONIKA, w oprac. prof. *R. Grodeckiego* (Nr. 59)
 SREDNIOWIECZNA POEZJA POLSKA SWIECKA, w opracow. dra *Stefana Vrtel-Wierczyńskiego* (Nr. 60)
 Rzewuskiego LISTOPAD, w opr. prof. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 61)
 Paska PAMIETNIKI, w oprac. prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 62)
 Korzeniowskiego KARPACCY GORALE, w opr. *W. Hahna* (Nr. 63)
 Norwida WYBOR POEZYJ, w opr. prof. *St. Cywińskiego* (Nr. 64)
 SREDNIOWIECZNA PIESN RELIGIJNA POLSKA, w opracowaniu prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 65)
 Mickiewicza POEZJE (Tom II), w opr. prof. *J. Kallenbacha* i prof. *J. Bystrzyckiego* (Nr. 66)
 Asnyka WYBOR POEZYJ, w opr. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 67)
 SREDNIOWIECZNA PROZA POLSKA, w opracowaniu prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 68)
 Anczyca KOSCIUSZKO POD RACŁAWICAMI, w opracowaniu prof. *Jana St. Bystronia* (Nr. 69)
 Skargi KAZANIA SEJMOWE, w opr. prof. *Stanisława Kota* (Nr. 70)
 Kraszewskiego DZIECIĘ STAREGO MIASTA, opr. *W. Hahna* (Nr. 71)
 Mickiewicza KONRAD WALLENROD, w opr. *J. Ujejskiego* (Nr. 72)
 Zimorowica ROKSOLANKI, w oprac. prof. *A. Brücknera* (Nr. 73)
 Mickiewicza GRAŻYNA, w opracowaniu prof. *Henryka Życzynskiego*, z wstępem prof. *Józefa Tretiaka* (Nr. 74)
 Potockiego WOJNA CHOCIMSKA, w opr. prof. *A. Brücknera* (Nr. 75)
 Słowackiego MAZEPA, w opr. prof. *Bron. Gubrynowicza* (Nr. 76)
 TOWARZYSTWO FILOMATÓW, w opr. prof. *Al. Łuckiego* (Nr. 77)
 Anczyca OBRAZKI DRAMATYCZNE LUDOWE, w opracowaniu prof. *Jana St. Bystronia* (Nr. 78)
 Mickiewicza PISMA ESTETYCZNO-KRYTYCZNE, w opracowaniu prof. *Henryka Życzynskiego* (Nr. 79)
 Trembeckiego WYBOR POEZYJ. SOFIÓWKA, w opracowaniu *Władysława Jankowskiego* (Nr. 80)

<https://rcin.org.pl>

<https://rcin.org.pl>

1

2925